

CYKL OBEJMUJE NASTĘPUJĄCE TYTUŁY-.

I
PIEŚŃ WYMARSZU

II
SŁOŃCE AUSTERLITZ

III
CESARZ KRÓLÓW

IV
NIEŚMIERTELNY ZE ŚWIĘTEJ HELENY

MAX GALLO

NAPOLEON

PIEŚŃ WYMARSZU

*Czy można mi zarzucić coś,
z czego historyk nie mógłby mnie wybronić?*

Napoleon na Wyspie Świętej Heleny

*Pozostawił on Francję mniejszą,
niż ją zastał, zgoda.
Ale przecież nie tak powstaje naród.
Dla Francji jego istnienie było konieczne...
Nie wolno kupczyć wielkością.*

de Gaulle, cytowany przez André Malraux

w *Les chênes qu'on abat*

UWERTURA

TA RÓWNINA BYŁABY
WSPANIAŁYM POLEM
BITWY

Był 4 kwietnia 1805 roku, tuż po świcie.

Napoleon Bonaparte, cesarz Francuzów, unosił się w strzemionach, ściągając wodze swego araba, który niecierpliwie grzebał kopytami. Caulaincourt, wielki koniuszy i adiutant, oraz oficerowie cesarskiego orszaku trzymali się w pewnej odległości. Konie dreptały, wpadały na siebie, szable pobrzękiwały.

Cesarz znajdował się na czele, sam. Patrzył na wylaniające się z mgły ruiny zabudowań. Poznawał aleję lipową i na jej końcu klasztor franciszkanów. To wszystko, co pozostało po szkole wojskowej w Brienne, gdzie spędził pięć lat; trafił tam jako dziesięcioletni chłopiec, z którego inni się wyśmiewali, ponieważ nosił dziwne, cudacznie brzmiące cudzoziemskie nazwisko Napoleone Buonaparte, i aby go sprowokować, podśpiewywali rymowanąkę: „Napoleone Buonaparte, *Paille-an-nez**”.

Minęło zaledwie dwadzieścia lat i oto 2 grudnia 1804 r. w katedrze Notre Dame przyjął z rąk papieża Piusa VII cesarską koronę, aby się nią samemu ukoronować. Był Napoleonem Bonaparte, cesarzem Francuzów. I wkroczył dopiero w trzydziesty szósty rok życia.

Przybył z Paryża poprzedniego dnia, gdyż chciał raz jeszcze zobaczyć te strony i szkołę wojskową; nie wiedział, że została po niej tylko kupa gruzu - świadectwo burzliwych wydarzeń ostatnich dwudziestu lat. Zamknięto ją w 1793 roku, sprzedano jako dobro

* *Paille-au-nez* (dosł. „słoma w nosie”) wymawia się „pajo'ne”, co tworzy rym z włoską wersją imienia „Napoleone” (przyp. tłum.).

narodowe i zamieniono w manufakturę jaszczy artyleryjskich, a później, po przeniesieniu warsztatów, odstąpiono za bezcen i w 1799 roku rozebrano na cegły.

Spędził tu pięć najcięższych lat swego życia, sam jeden w kraju, gdzie praktycznie był obcy. Ale został Napoleonem Bonaparte, cesarzem Francuzów, choć minęło tylko dwadzieścia lat.

30 marca 1805 roku w Paryżu papież Pius VII złożył mu wizytę przed swym powrotem do Włoch. Napoleon poinformował go, że on także opuszcza Paryż i udaje się do Mediolanu, gdzie w katedrze kardynał Caprara nałoży mu na głowę koronę króla Włoch. I Pius VII raz jeszcze skłonił głowę przed cesarzem, a niebawem także i królem.

Napoleon wyjechał z Paryża 31 marca, kierując się w stronę Troyes. Zgodził się spędzić jedną noc w górującym nad miasteczkiem zamku Brienne, traktując to jako pielgrzymkę do miejsc swego samotnego dzieciństwa i tamtych lat nauki w szkole wojskowej.

Wzdłuż całej trasy z Paryża do Brienne rozbrzmiewały gromkie wiwaty. Napoleon wychylał się przez drzwiczki karety, a przy wjeździe do miast i miasteczek dosiadał swego araba i wyprostowany odpowiadał na powitania.

3 kwietnia 1805 roku, późnym rankiem, wjechał do Brienne. Tłum okolicznych wieśniaków zapełniał ulice. Napoleon rozpoznał podjazd prowadzący do otoczonego rozległymi ogrodami placu, na którym wznosił się zamek.

Pani de Brienne już czekała na schodach, by powitać go z honorami i pokazać mu apartamenty, które dla niego przygotowała i w których, jak ciszej dodała, zatrzymał się kiedyś książę Orleański.

Napoleon podszedł, otworzył okno i popatrzył na wiejski pejzaż Szampanii, który wydawał mu się taki wrogi, tak nieznamy i obcy, kiedy znalazł się tutaj sam jako dziesięcioletnie dziecko.

W ciągu pięciu lat spędzonych w szkole wojskowej w Brienne setki razy słyszał opowieści o polowaniach i uroczystościach, jakie państwo de Brienne urządzali w zamku i należących do nich lasach. Często odgłosy muzyki i konnych kawalkad dobiegały aż do szkolnego dziedzińca. Ale raz tylko Napoleona wraz z kolegami zaproszono do zamku.

Było to w dniu świętego Ludwika, 25 sierpnia 1783 roku. Pani

de Brienne zwróciła uwagę na tego chudego ucznia o oliwkowej karnacji i tak dziwnym nazwisku: Napoleone Buonaparte, ale było to z jej strony jedynie przelotne zainteresowanie. Zagubił się wśród setki uczniów szkoły, owej anonimowej masy chłopców w mundurkach z błękitnego sukna, w kurtkach o białym podszyciu, z czerwonymi wyłogami, mankietami i kołnierzem oraz białymi guzikami z herbem szkoły wojskowej.

W zamkowych ogrodach Napoleon chodził alejkami, gdzie cisnęła się cała ludność z sąsiedztwa, zaproszona przez gospodarzy z okazji królewskiego święta. Wzniesiono estrady dla akrobatów, śpiewaków i aktorów. Przeciągnięto liny dla linoskoczków. A sprzedawcy pierników i napoju z lukrecji przeciskali się przez tłum, proponując swoje specjalny. - Buonaparte przechadzał się w milczeniu, z rękami założonymi do tyłu.

To było dwadzieścia dwa lata temu.

Teraz Napoleon był cesarzem Francuzów, a pani de Brienne prosiła go, by zasiadł do stołu, a następnie przeszedł do salonu. Przybywali ludzie pragnący, by ich przedstawiono cesarzowi.

Proboszcz z sąsiedztwa, ubrany w brązowy surdut, zbliżył się zgięty, utrzymując, że był jednym z profesorów Napoleona w szkole wojskowej, prowadzonej przez franciszkanów.

- Kim pan jest? - spytał cesarz, jakby nie dosłyszał.

Proboszcz powtórzył.

- Sutanna - odrzekł Napoleon - została księżom dana na to, aby ich zawsze rozpoznawano z bliska i z daleka, nie poznają proboszcza w surducie. Proszę iść się przebrać.

Proboszcz zniknął, powrócił zmieszany i pokorny.

- Teraz księdza poznaję - rzekł Napoleon - i bardzo się cieszę, że księdza widzę.

Był przecież cesarzem Francuzów.

Przy obiedzie zaczął się niecierpliwić. Współbiesiadnicy umilkli. Ochmistrz z wrażenia przewrócił sosjerkę na obrus przed cesarzem. Napoleon wybuchnął śmiechem i atmosfera się rozładowała.

Goście odeszli od stołu wśród gwaru rozmów, potem cesarz udał się do siebie. Spał niewiele, już o świcie był na dziedzińcu, wsiadł na swego araba i opuścił zamek, aby raz jeszcze zobaczyć tę szkołę wojskową i stwierdzić, gdy tylko mgła się rozproszyła, że

popadła ona w ruinę. Nie warto było nawet myśleć o jej odbudowie. Kosztowałyby to miliony. Nie można odbudować przeszłości.

Nagle dwoma szybkimi uderzeniami ostrogi pobudził konia i popędził samotnie przez miasteczko Brienne i dalej, drogą do Bar-sur-Aube. Po kilku minutach zniknął. Rumak, długo powstrzymywany, gnał pełnym galopem, przeskakując rowy, zapuszczając się w zagajniki, stukając kopytami po kamiennych drogach. A cesarz, zmieniając co chwila kierunek, rozpoznawał to jakiś widok, to znów jakąś wioskę.

Sam, wciąż sam, ściga swoje wspomnienia po polach, wyobraża sobie Caulaincourta i zdenerwowanych oficerów, którzy usiłują go odnaleźć.

Ciszę nasiąkniętą mgłą rozdarł wystrzał. To sygnał od Caulaincourta. Trzeba znów ruszać w drogę.

Cesarz wrócił, wciąż patrząc na wieże zamku Brienne. Galopował ponad trzy godziny. Nie wie którądy, mówi swym zdziwionym oficerom.

Jego koń jest wyczerpany, pokryty potem, a z jego nozdrzy cieknie krew.

Jeszcze tego samego dnia, 4 kwietnia, cesarz opuścił Brienne i wyruszył do Mediolanu, gdzie czekała go korona króla Włoch. Zanim zamek zniknął z oczu, cesarz wychylił się z okna karety i kazał się zatrzymać. Zamkowe wieże skapane były w słońcu, które rozbłyskiwało także na pochwach szabli i ozdobach mundurów.

-Ta równina - mówi Napoleon - byłaby wspinałym polem bitwy.

CZEŚĆ PIERWSZA

WULKAN DRZEMIĄCY

POD SKAŁĄ

15 SIERPANIA 1769 - PAŹDZIERNIK 1785

Rozdział 1

Chłopiec, który 15 maja 1779 roku wszedł do rozmównicy Królewskiej Szkoły Wojskowej w Brienne, nie ukończył jeszcze dziesięciu lat, gdyż urodził się 15 sierpnia 1769 roku w Ajaccio, jako syn Carla Marii Buonaparte i Letycji Ramolino.

Ręce trzymał założone na plecy, był wyprostowany, miał szczupłą nieruchomą twarz o wystającym podbródku, kasztanowate bardzo krótko przycięte włosy i szare oczy, jego wątle ciało wciśnięte było w ciemnoniebieskie ubranie. Wydawał się niewzruszony, niemalże obojętny, w tej wielkiej zimnej sali, gdzie się znalazł, czekając, aż przyjmie go pryncypał szkoły, ojciec Lelue, z zakonu franciszkanów, którzy zarządzali szkołą.

Chłopiec wiedział jednak, że pozostanie w szkole przez wiele lat, nie mogąc jej opuścić ani na jeden dzień, i że będzie osamotniony w tym kraju, którego języka dopiero zaczął się uczyć.

1 stycznia 1779 roku przyjechał do Autun z ojcem Carlem. Był to piękny wysoki mężczyzna o regularnych rysach twarzy, o wygładzie zadbanym, a nawet wykwintnym, i pańskim sposobie bycia.

Korsyka, uliczki Ajaccio, zapach morza, sosen, pistacji, drzew poziomkowych, mirtu - cały ten świat, który był dla chłopca wszystkim, teraz pozostał daleko, stał się intymnym sekretem. Trzeba było zacisnąć zęby i zagryźć wargi, kiedy ojciec odjechał, zostawiając w kolegium w Autun swoich dwóch synów, starszego Józefa, urodzonego 7 stycznia 1768 roku, i Napoleona - jednego przeznaczony dla Kościoła, drugiego dla armii.

W Autun w ciągu niespełna czterech miesięcy, od 1 stycznia do 21 kwietnia, należało się nauczyć francuskiego - języka obcego, języka, w którym wykrzykiwali zwycięscy żołnierze na ulicach Ajaccio. Ojciec władał nim, matka nie. Jedynym językiem, którego nauczono synów, był włoski.

Uczyć się, uczyć: dziewięcioletni chłopiec zaciskał pięści, ukrywał smutek, tęsknotę, strach i poczucie opuszczenia w tym kraju deszczu, zimna, śniegu i szarości, gdzie ziemię czuć było próchnicą i błotem, a nigdy nie pachniała ona gęstą, bujną roślinnością.

Nowy język należy opanować, ponieważ to język tych, którzy pokonali jego ziomków i okupowali wyspę. Natęży się. Czyta na głos. Powtarza, dopóki słowa się nie poddadzą. Ten język będzie mu pewnego dnia potrzebny, aby pokonać tych zarozumiałych Francuzów, którzy natrzęsają się z jego nazwiska i do których nie chce się nawet zbliżyć.

Przechadza się samotnie po dziedzińcu kolegium w Autun, zamyślony i pochłimurny. Jego brat Józef - przeciwnie - jest grzeczny, spokojny i nieśmiały. Lecz Napoleon irytuje innych swym zachowaniem, w którym duma upokorzonego dziecka miesza się z goryczą pokonanego.

Drażnią go więc i prowokują. Z początku milczy, lecz gdy mu mówią, że Korsykanie są tchórzami, ponieważ pozwolili się podbić, gestykułuje i wyrzuca w gniewie: „Gdyby Francuzów było tylko cztery razy więcej, to nigdy nie zdobyliby Korsyki. Ale ich było dziesięć razy więcej”.

Mówią mu o Pasquale Paolim, przywódcy ruchu oporu przeciw Francuzom, pokonanym 9 maja 1769 roku w bitwie pod Ponte Nuovo.

Jeszcze raz się opanowuje. Pamięta. Wie, że jego ojciec i matka byli podopiecznymi Pasquale Paolego. Jako młodzi ludzie, mający zaledwie osiemnaście i czternaście lat, przebywali w otoczeniu Paolego, w Corte, w latach krótkiej niepodległości Korsyki, pomiędzy panowaniem genueńskim a francuską interwencją w roku 1767. W 1764 roku to Pasquale Paoli wywiera nacisk na rodzinę Letycji Ramolino, aby pozwolono dziewczynie poślubić Carla Marię Buonaparte. Słowo Babbo, czyli „ojca”, jak nazywano Pasquale Paolego, ma swoją wagę. Ślub się odbywa. Wkrótce rodzi się

i umiera dwoje dzieci. Potem, po urodzeniu Józefa, Letycja jest znowu brzemienna, w chwili gdy wojska króla Ludwika XV zwyciężają patriotów korsykańskich. I trzeba uciekać ścieżkami przez zarośla makii, trzeba przekraczać rzeki w bród.

Lecz w kolegium w Autun dziewięciolatek nie może tego powiedzieć ojcu Chardonowi, który między dwiema lekcjami francuskiego pyta go zarazem dobrotliwie i ironicznie:

- Dlaczego zostaliście pobici? Mielicie przecież Paolego, a on uchodził za dobrego generała.

Chłopiec nie może się pohamować:

- Tak, proszę księdza, i chciałbym być *do* niego podobny.

Jest Korsykaninem. Nienawidzi tego kraju, jego klimatu i mieszkańców. Mruczy: „Wyrządę tym Francuzom tyle złego, ile tylko zdołam”.

Jest kimś w rodzaju dobrowolnego więźnia, synem pokonanego jeńca. Nie może ani się zwierzać, ani płakać.

Przypomina sobie wieczory w rodzicielskim domu, przy ulicy Saint-Charles, wśród obfitości zapachów. Przypomina sobie łagodne głosy. Matka bywała szorstka, potrafiła go spoliczkować albo sprawić mu lanie, ale była piękna i kochała go. Siadała pomiędzy swoimi dziećmi - znowu brzemienna, spokojna i nieugięta. Opowiadała o wojnie, o ucieczce po klęsce pod Ponte Nuovo.

Babka ze strony ojca, Maria Saveria Buonaparte, przyrodni wuj Joseph Fesch (ponieważ matka Letycji ponownie wyszła za męża), matka chrzestna Gertrudę Paravicini, mamka Napoleona Ca-milla Ilari oraz służąca Saveria - jedyna służąca rodziny - wszyscy słuchali. A pobożna babka, która uczestniczyła w dziewięciu mszach dziennie, często żegnała się znakiem krzyża.

Napoleon przypominał sobie najdrobniejsze szczegóły opisu rzeki Liamone o wzburzonych nurtach. Letycja chciała przebyć rzekę w bród, lecz koń, porwany przez prąd, stracił grunt pod nogami. Carlo rzucił się do wody, chcąc ratować ciężarną żonę i syna Józefa, Letycji udało się jednak opanować wierzchowca i skierować go w stronę drugiego brzegu.

Cóż ci wszyscy Francuzi - ksiądz Chardon, uczniowie kolegium w Autun - mogą wiedzieć o Korsyce i Korsykanach, skoro nie zna-

ją szumu morza, zacisznych uliczek przy porcie i górującej nad zatoką Ajaccio fortecy o barwie ochry?

Napoleon rozmyślał o swoich wyprawach, bójkach, jakie staczał, stawiając czoło innym dzieciom, które czasami wyśmiewały się z niego, z jego zaniedbanego wyglądu, lecz które tak jak on pochodziły z Południa i mówiły tym samym pełnym ciepła i wyrazu językiem.

*Napoleone di mezza calzetta
Fa l'amore a Giacomietta**

Rzucał się na nich, zabierał Giacomietę, koleżankę z klasy, do szkoły prowadzonej przez siostry, gdzie uczył się włoskiego. Później, w wieku ośmiu lat, przemierzał z nią nabrzeża portowe. Ale wtedy już oddalał się od niej. Uczył się arytmetyki, zaszyty w budce z desek zbudowanej na tyłach domu. Rachował sam, samiutki przez cały dzień, wychodził dopiero 'wieczorem, obszarpany, obojętny, rozmarzony.

Nic o tym wszystkim nie mówić. Zachować dla siebie. Nauczyć się francuskiego.

Żołnierze zwycięskiego króla defilowali i paradowali po ulicach Ajaccio, po mieście, które jeszcze wibrowało od niedawnych walk, starć pomiędzy stronnictwami, między tymi, którzy wybrali Pasquale Paolego, zbiegłego do Anglii, a tymi, którzy przyłączyli się do Francuzów. Chłopiec wiedział dobrze, że jego ojciec, Carlo Buonaparte, należał do tych drugich. Gubernator Korsyki, pan de Marbeuf, był mile widziany w domu przy ulicy Saint-Charles. Starego uwodziciela przyciągała może także uroda Letycji.

Carlo Buonaparte, z rodziny szlacheckiej od czterech pokoleń -jak zaświadczali to heraldycy z Toskanii, skąd wywodzili się jego przodkowie, zawojował gubernatora, który szukał oparcia wśród notabli gotowych przejść na stronę Francuzów.

Carlo stawiał na tę kartę. Tak było trzeba, aby otrzymywać

* Napoleon z kiepskiej gliny chodzi nocą do Żakliny.

stanowiska, renty, subsydia. 8 czerwca 1777 roku został wybrany na deputowanego szlachty Korsyki do Stanów Generalnych do Wersalu. Wrócił olśniony potęgą królestwa Francji, jego miastami i pałacami, jego organizacją i tym nowym dobrotliwym władcą, Ludwikiem XVI. Nie ustawał w staraniach o stypendia dla synów: starszego, Józefa - przeznaczonego do stanu duchownego, oraz młodszego, Napoleona, który ma zrobić karierę wojskową.

Ośmiolatek w domu w Ajaccio słyszał to wszystko.

Sledzi defilady na ulicach miasta. Fascynują go ci oficerowie o pięknej postawie w niebiesko-białych mundurach. Rysuje żołnierzy, ustawia swoje figurki w szyku bojowym. Bawi się w wojnę. Jest dzieckiem Południa. Biega po ulicach, wspina się aż do cytadeli, tarza po ziemi, przewodzi bandzie urwisów, wystawia się na deszcz, ponieważ przyszły żołnierz musi być wytrzymały. Wymienia swój biały chleb na razowy chleb żołnierza, ponieważ należy się przyzwyczajać do żołnierskiego wikt.

Gdy się dowiaduje, że ojciec uzyskał stypendium dla niego oraz Józefa i że obaj jadą się uczyć do kolegium w Autun, gdzie Józef pozostanie, ponieważ jest przeznaczony dla Kościoła, a on, kiedy tylko nauczy się francuskiego, wstąpi do Królewskiej Szkoły Wojskowej, to aż drży z entuzjazmu i jednocześnie czuje się rozdarty na myśl o opuszczeniu matki, rodziny, swego domu i miasta.

Ale tak trzeba. Rodzą się inne dzieci: w 1775 roku Lucjan, w 1777 - Marianna Eliza. Potem przyjdą na świat Ludwik (1778), Paulina (1780), Maria Annuncjata Karolina (1782) i Hieronim (1784).

Oczywiście rodziny Buonaparte i Ramolino nie są biedne. Posiadają trzy domy, winnice, folwark w Milelli i szkołkę morwową, młyn, nieruchomości w Ucciani, w Bocognano, w Bastelice. Mają także wpływy. Ich rodziny tworzą prawdziwy klan. Trzeba jednak myśleć o karierze dzieci, utrzymać pozycję wśród szlachty królestwa, w którego skład weszła Korsyka.

Józef zatem zostanie księdzem, a Napoleon żołnierzem.

Pan de Marbeuf przyrzeka Józefowi jedno z tych beneficjów kościelnych, którymi dysponuje jego bratanek Yves Alexandre de Marbeuf, biskup Autun. Jeśli chodzi o stypendium Napoleona w szkole wojskowej - potwierdza je.

15 grudnia 1778 roku dziewięcioletni chłopiec uściskał matkę i bliskich. Trzymał się między ojcem, dumnym i eleganckim, który znów wybierał się do Wersalu, by zawieźć propozycje szlachty korsykańskiej, a bratem Józefem. Razem z nimi odjeżdżał szwagier ojca Joseph Fesch, który miał kontynuować studia w seminarium w Aix, oraz kuzyn Aurele Varese, mianowany subdiakonem przy biskupie de Marbeuf.

Oczy chłopca są suche. Wstępuje na pokład statku zmierzającego w kierunku Marsylii i patrzy, jak Korsyka zaciera się w dali. Jeszcze długo po jej zniknięciu czuje zapach tej ziemi, zapach ojczyzny.

To o niej marzył z otwartymi ustami i szklanym wzrokiem w klasie kolegium w Autun, kiedy ksiądz Chardon podsumowywał lekcję francuskiego. Na wyrzuty profesora, że nie uważa, chłopiec zerwał się z miejsca i odpowiedział władcym tonem, w którym przebijała melodia jego ojczystego języka:

- Proszę księdza, ja to już umiem.

Uczył się rzeczywiście szybko. Chłopak był w kolegium osamotniony, tylko z bratem Józefem mógł czasem powspominać dziecięce zabawy. Czy Józef pamięta ich walki? I jak czasem bywał powalony na ziemię przez młodszego brata, bitnego i rozgniewanego? Czy pamięta księdza Recco, który uczył ich arytmetyki? Napoleon już wtedy celował w tym przedmiocie, pasjonowały go rachunki. Czy pamięta ten dzień, gdy ksiądz Recco podzielił klasę na Kartagińczyków i Rzymian? Józef, starszy - trafił do Rzymian, Napoleon - do Kartagińczyków, a więc do pokonanych. I Napoleon tak długo się złościł, aż zamieniono braci miejscami to i on znalazł się w obozie zwycięzców.

Czy pamięta święto 5 maja 1777 roku, niecałe dwa lata wcześniej, gdy do Ajaccio przyjechał dzierżawca Buonapartych z dwoma rozhukanymi końmi? I jak po odjeździe dzierżawcy Napoleon wskoczył na jednego z wierzchowców i puścił się galopem? Miał wtedy tylko osiem lat. W drodze na folwark dogonił wieśniaka i zadziwił go, obliczając, ile zboża dziennie miele młyn.

Samowolny jest ten dzieciak, ale ma głowę, a do tego nieposkromioną wolę.

Po krótkim pobycie w kolegium w Autun opanowuje francuski, język pana de Marbeuf, język królewskich żołnierzy, język zwycięzców Pasquale Paolego.

„Był u mnie tylko przez trzy miesiące - zwierza się ojciec Chardon. - W tym czasie nauczył się francuskiego wystarczająco, by mógł swobodnie prowadzić rozmowę, a nawet dokonywać niewielkich tłumaczeń z francuskiego i na francuski”.

Ponieważ starania jego ojca o potwierdzenie szlacheckich przodków uwieńczone zostały sukcesem, Napoleon mógł wyruszyć do Królewskiej Szkoły Wojskowej w Brienne. A w rejestrach kolegium w Autun przełożony zapisał: „Pan Neapoleone de Buonaparte, za trzy miesiące i dwadzieścia dni sto jedenaście liwrow, dwanaście sou i osiem denarów”.

Tak właśnie nazywają tego chłopca cudzoziemca!

Zaciska pięści. Stoi prosto, żeby nie okazać słabości, nie poddać się wzruszeniu na dziedzińcu kolegium w Autun, gdzie już czeka wóz, który zawiezie go do Brienne.

Jego brat Józef, który będzie kontynuował w kolegium studia klasyczne, by zostać kiedyś księdzem, ulega nastrojowi, przyciska Napoleona do siebie.

Młodszy z braci wie, że w ten sposób na wiele lat zrywa ostatnie więzy łączące go z rodziną, że będzie odtąd mieszkał wśród Francuzów, których języka ledwie co się nauczył, że zawiozą go dalej w głąb tej zimnej i deszczowej Szampanii, tak daleko od morza. Lecz pozostaje twardy.

„Byłem cały zapłakany - opowiada Józef. - Napoleon uronił tylko jedną łezkę, którą na próżno starał się ukryć. Ksiądz Simon, zastępca przełożonego kolegium, świadek naszego pożegnania, powiedział mi po odjeździe Napoleona: -Ta jedna łza świadczy o nie mniejszym bólu rozstania niż wszystkie twoje łzy»”.

Chłopca powierzono panu de Champeaux, który zawiózł go najpierw do swego zamku w Thoisy-le-Désert. Napoleon odkrywa tam zupełnie nie znany mu świat francuskich rodzin szlacheckich, o których obyczajach nie miał pojęcia.

Milczy. Obserwuje. Jeszcze bardziej się hartuje. Odbywa długie przejażdżki po okolicach, których pofalowane pagórki nie przestają go zadziwiać. Myśli o suchych i słonecznych krajobrazach Korsyki, o figowcach, na które się wspinał, by opychać się czerwonym mięszem owoców. I jak czasem zjawiała się matka i dawała mu klapsa za karę, że zrywał figi wbrew zakazowi. Szczęśliwe czasy matczynych kar, białego soku, od którego kleiły się palce.

Nie należy niczego dać poznać po sobie, trzeba słuchać, podchwytwać powiedzenia, odgadywać sens nowych słów. Po trzech tygodniach ksiądz Hemey d'Auberive, wikary biskupa de Marbeuf, wezwany przez chorego pana de Champeaux, przyjeżdża po Napoleona do zamku Thoisy-le-Désert, aby towarzyszyć mu do Brienne.

I oto, 15 maja 1779 roku, Napoleon Bonaparte, chłopiec o szarym spojrzeniu, znalazł się w szkole wojskowej, gdzie miał spędzić przeszło pięć lat.

Rozdział 2

Chłopak pozostał sam.

Siłą powstrzymywał się, aby nie spojrzeć za odchodzącym księdzem, który pozostawił go sam na sam z przełożonym Królewskiej Szkoły Wojskowej w Brienne.

Ojciec Lelue stara się wymówić to dziwaczne nazwisko:

- Napoleone de Buonaparte, czy tak?

Chłopak milczy. Czuje na sobie badawczy wzrok. Wie, że jest mały i ma szerokie ramiona. Zaciska wargi tak, że prawie ich nie widać - żeby jego twarz o szerokim czole i żywych oczach nie wyrażała nic. Wie także, że w tym szarym kraju, we Francji, dziwnie wygląda jego oliwkowa cera.

W kolegium w Autun koledzy wyśmiewali się z jego karnacji. Nie rozumiał zbyt dobrze sensu ich pytań, lecz wyczuwał ironię i sarkazm. Czym cię karmili, że jesteś taki żółty? Kozim mlekiem i olejem? Cóż oni, wychowani w kraju śmietany i masła, mogli wiedzieć o aksamitnym smaku oliwy czy zapachu sera suszonego na kamieniu?

Zaciskał tylko pięści.

Teraz szedł za przełożonym długim zimnym korytarzem, wzdłuż szeregu wąskich drzwi. Nie zatrzymując się, ojciec Lelue podkreśla, że chłopaka wybrano ze względu na szlacheckie pochodzenie rodziny, poświadczone przez pana d'Hoziera de Sérigny, króla herbowego szlachty francuskiej, któremu pan Charles de Bonaparte, „pański ojciec”, odpowiedział skwapliwie i wyczerpująco. Na pytanie pana d'Hoziera: „Jak należy tłumaczyć na francuski chrzestne

imię pańskiego syna, które po włosku brzmi Napoleone?", odpowiedział, że „imię Napoleone jest włoskie”.

Ojciec Lelue odwraca się. Chłopak nie spuszcza oczu. Przełożony zapoznaje go z regulaminem szkoły: „urabiać charakter, tłumić pychę”. Podczas blisko sześciu lat nauki w szkole nie ma żadnych wakacji. Należy „ubierać się samemu, utrzymywać swe rzeczy osobiste w porządku i obchodzić się bez pomocy jakiegokolwiek służby. Do wieku dwunastu lat włosy ogolone do skóry. Potem pozwala się je zapuścić i wiązać w ogon, ale nie w harcap, a pudrować jedynie w niedziele i święta”.

Lecz chłopiec nie ma jeszcze dziesięciu lat, więc - ogolone do skóry.

Ojciec Lelue otwiera jedne z drzwi i usuwa się na bok. Chłopiec robi dwa kroki. Marzy mu się wielki pokój, który Letycja, jego matka, kazała opróżnić z mebli, żeby dzieci mogły się w nim bawić. Marzy mu się budka z desek zbudowana dla niego, aby mógł się w spokoju zajmować rachunkami. Marzą mu się ulice, które otwierają się na szeroki horyzont i na morze.

Cela, w której będzie sypiać, ma mniej niż dwa metry kwadratowe. Za całe umeblowanie służy pryzca, dzban na wodę i miednica. Ojciec Lelue, stojąc na progu, wyjaśnia, że zgodnie z regulaminem, „nawet w najchłodniejszej porze uczeń ma prawo jedynie do pojedynczego przykrycia, chyba że jest delikatnej budowy”.

Napoleon wytrzymuje spojrzenie przełożonego. Ojciec Lelue pokazuje dzwonek umieszczony przy łóżku. Cele zamykane są z zewnątrz na zasuwkę. W razie potrzeby uczeń musi wezwać służącego, który czuwa na korytarzu. Chłopak słucha, powstrzymując chęć, aby uciec stąd z wrzaskiem.

W domu nazywali go Rabulione - ktoś, kto wszystko rusza, do wszystkiego się wtrąca. Tutaj krępują go regulamin i dyscyplina. Uczeń musi opuścić swoją celę, kiedy tylko wstanie, i wolno mu do niej wrócić dopiero na noc. Dzień spędza w salach do nauki bądź na ćwiczeniu swego ciała. Należy zadbać, aby „uczniowie uprawiali gry, a zwłaszcza takie, które służą wyrabianiu siły i zręczności”.

Chłopiec słyszy kroki na korytarzu. Do szkoły przybywają inni uczniowie. Przygląda im się, odgadując po ubraniach stopień za-

możności ich rodzin. Słucha ich rozmów. Sami Francuzi z najlepszej szlachty. Czuje się jeszcze bardziej samotny.

- Uczniowie zmieniają bieliznę dwa razy w tygodniu - dodaje przelożony.

Napoleon znowu idzie za nim korytarzem. Wchodzą do refektarza. *To tutaj setka uczniów, których gromadzi szkoia, zbiera się przy wielkich stołach w obecności nauczycieli, pod surowymi sklepieniami bez ozdób. Chleb, woda i owoce na śniadanie i podwieczorek. Mięso przy dwóch posiłkach.*

Chłopiec siada wśród innych. Patrzą na niego. Chichoczą. Skąd pochodzi? Jak się nazywa? Napoleone? Ktoś wybucha śmieciem. *Paille-au-nez*. Tyle zdołali zrozumieć.

Nienawidzę ich.

Jest obcy.

Czyż nauczyciele geografii nie mówią, że Korsyka mimo francuskiego podboju stanowi prowincję Włoch, a więc obcego kraju?

Napoleon akceptuje to. Izoluje się od wszystkich pogardą. Bije się, ilekroć ktoś zdoła przebić jego pancerz i go zaskoczyć.

Zastawiają na niego pułapki. Gdy w czerwcu 1782 roku przybył do szkoły nowy uczeń, Balathier de Bragelonne, syn komendanta Bastii, namówili go, aby przedstawił się Napoleone, *Paille-au-nez*, jako genueńczyk. Napoleon z miejsca pyta go po włosku:

- *Sei di questa maledetta nazione*?*

Tamten potwierdza. I już Napoleon chwyta Balathiera za włosy, trzeba rozdzielić walczących.

Napoleon trzyma się na uboczu. Dla dwunastoletniego patrioty korsykańskiego francuska ortografia jest tak trudna, że umyślnie pisze niewyraźnie, aby ukryć w ten sposób błędy, ale jego styl krzepnie, zdania wyostrzają się, w miarę jak myśl rozwija się i umacnia.

Samotny chłopiec chce przezwyciężyć swą sytuację pokonanego.

Obcy? Być może. Podporządkowany - nigdy.

Zwiera się Bourrienne'owi, jednemu z niewielu uczniów, z którymi rozmawia:

* Z wł. „Czy jesteś z tego przeklętego narodu?”

- Mam nadzieję, że pewnego dnia przywrócę wolność Korsyce! Kto wie? Często los imperium zależy od jednego człowieka.

Rozpalają go lektury. Czyta wciąż na nowo Plutarcha. Jego ulubionymi przedmiotami są historia i matematyka, w której celuje; nauczyciel matematyki, ojciec Patrault, widząc, jak chłopiec rozwiązuje zadania z algebry, trygonometrii, geometrii i przekrojów stożkowych, mruczy: „To dziecko nadaje się tylko do geometrii”.

Chłopiec nie przejmując się tym zbyt. Lubi abstrakcyjne ćwiczenia umysłowe, które pozwalają mu uciec od rzeczywistości pełnej upokorzeń i ograniczeń, ale wielbi jednocześnie *Żywoty sławnych mężów* Plutarcha, które pozwalają mu uciec w inną rzeczywistość - historię, która wcale nie należy do świata wyobraźni - kiedyś bowiem istniała, a więc może się też kiedyś odrodzić.

Z jego udziałem.

Utozsamia się z bohaterami, których losy śledzi. Jest Sparta-ninem. Jest Katonem, Brutusem, Leonidasem.

Maszeruje po dziedzińcu z Plutarchem w ręku. Już go nie zaczepiają. Lecz po wielu miesiącach spędzonych w szkole, gdy się przekonał, że prawdą jest to, co przeczuwał w spontanicznym odruchu dumy: że lepszy jest od większości z nich, być może nawet od wszystkich, zaczął odpowiadać, gdy ktoś się do niego zwrócił. Stał się cierpki i uszczypliwy. Raczej rozkazuje, niż słucha. Osądza. Potępia.

Czasem słyszy na korytarzach kroki chłopców prześlizgujących się do cel. To są „nimfy”, uczniowie o dwuznacznym wyglądzie i obyczajach, którzy nocą szukają towarzysza na kilka wspólnych chwil.

Napoleon jest tym zdegustowany, lecz mimo to mu nadskakują. Ma tę delikatność rysów, a zarazem zuchwałość, które pociągają. Z furią odrzuca uwodzicieli. Tłucze ich, bije się z nimi, goni ich, obraża. Także u niektórych nauczycieli odgaduje „owe występki i rozwiązłość klasztorów”. Prowadzi z nimi wojnę, staje na czele buntów przeciwko „regentom”, którzy asystują nowemu przełożonemu, ojcu Berton. Tamci schwytali go i obili. Zaciska zęby, nie płacze. Hardo przeciwstawia się nauczycielowi, który udziela mu reprimendy. Nauczyciel się oburza:

- Kim pan jest, że odpowiada mi pan w taki sposób?

- Mężczyzną - odpowiada donośnym głosem Napoleon.

Jest nieugięty, lecz pod skorupą stanowczości kryje się wrażliwość tak silna, że czasem wydobywa się na powierzchnię jak lawa, która porywa wszystko ze sobą.

Pewnego wieczoru wychowawca przyłapał go na czytaniu i ukarał. Napoleon musiał jeść kolację, klęcząc na kolanach przed drzwiami refektarza, ubrany w hańbiący „ośli” strój: spodnie ze zgrzebnego materiału i niezgrabne buciorzy. Ten, który uważa się już za mężczyznę, spokojnie poddaje się karze, lecz naraz dziecko, którym wciąż jeszcze jest, dostaje torsji, krzyczy i tarza się po ziemi.

Przybiega nauczyciel matematyki, ojciec Patrault, wzburzony tym, jak traktuje się jego najlepszego ucznia. Przełożony przyznaje, że kara była zbyt surowa, i odwołuje ją. Chłopiec-mężczyzna wstaje, jeszcze bardziej nieokiełznany, jeszcze bardziej dumny i bardziej zdeterminowany, aby nigdy się nie ugiąć.

Odseparowany od innych, wyspiarski - taki był i taki chciał być.

Pewnego dnia przełożony gromadzi uczniów i ogłasza, że ma zamiar powierzyć im spory spleciec ziemi w pobliżu szkoły; każdy na przydzielonej działce będzie mógł uprawiać warzywa bądź kwiaty, zwłaszcza w tych okresach, kiedy nauka zwalnia rytm, aby uczniowie, którzy nie mają prawa do wakacji, wypełnili czymś swój wolny czas.

Napoleon wysłuchał przełożonego z napiętą twarzą i nieruchomym wzrokiem. Gdy tylko ojciec Berton się oddalił, zwraca się do kolegów, indaguje ich, prowadzi pertraktacje. Przez kilka dni on, który zwykle trzymał się na uboczu, wprost nagabuje kolegów. Potem się wycofuje. Uzyskał, co chciał: dwóch spośród nich odstępuje mu swoje działki.

W następnych tygodniach widzi się go, jak przy każdej okazji porządkuje swój teren, przekształcając go w cytadelę. Wsadza w ziemię kołki, wznosi palisadę, spulchnia ziemię, aby wykarczować krzaki. Buduje sobie zagrodę, swoją „wyspę”, prawdziwą pustelnię, jak ją nazywa, w której chroni się w wolnych chwilach, aby spędzać tam czas na czytaniu i rozmyślniach.

Tutaj latem, w cieniu swej altany, może oddawać się nostalgii. Nawet w ciepłych miesiącach Szampania jest smutna i monotonna,

niebo jest przymglone i nigdy się nie pojawia intensywny, niepokalany błękit Południa.

Przypomina sobie budkę z desek na tyłach rodzinnego domu.

„Być pozbawionym swego dzieciennego pokoju i ogrodu, po którym się biegało w dzieciństwie, nie mieć rodzinnego domu - to nie mieć ojczyzny” - ośmiela się wyznać pewnego dnia.

Chwilowa słabość. Koledzy, którzy zbliżą się do jego „wyspy”, jego azylu, zmuszani są do odwrotu ciosami pięści i kopniakami, bez względu na to, ilu ich jest. Wściekłość i determinacja Napoleona są tak wielkie, że chłopcy muszą się wycofać i pogodzić z tym, że wykroił dla siebie osobne „królestwo”.

„Moi koledzy wcale mnie nie lubią” - powie.

Nie tylko nie lubią, ale wręcz go nienawidzą, ponieważ jest dumny i zaczepny, wyniosły i samotny, jest inny.

Musi za to zapłacić. Przełożony zorganizował uczniów w batalion złożony z kilku kompanii. Odbywają ćwiczenia. Ustawiają się w szeregu, defilują. Każda kompania ma za kapitana jednego z uczniów wybranych ze względu na swoje szkolne wyniki. Jednym z nich jest Napoleon.

Jednak sztab uczniów wzywa go. Zjawia się pełen pogardy przed trzynastolatkami, którzy utworzyli radę wojenną. W milczeniu wysłuchuje wyroku odczytanego zgodnie z regulaminem. Na-poleone Buonaparte - orzeka wyrok - nie jest godny zaszczytu dowodzenia, ponieważ trzyma się na uboczu i uchyla od nawiązania przyjaźni ze swymi szkolnymi kolegami. Postanowiono, że ma zostać zdegradowany, pozbawiony odznak i odesłany do ostatniego szeregu batalionu. Wysłuchuje wszystkiego i nie odpowiada na afront, jakby nie mógł go on osiągnąć. Zajmuje swoje miejsce w szeregu. Spojrzenia kolegów idą za nim. Rozlegają się szeptki. Podziwiają jego niewzruszoność. I w następnych dniach niektórzy okazują mu oznaki szacunku. Potrafił się przeciwstawić. Jego odwaga znalazła uznanie.

Przyjmuje te oznaki szacunku, włączając się do niektórych gier, a nawet nimi kierując, jak w zimie 1783 roku, kiedy na dziedzińcu szkoły trzeba było zbudować prawdziwy fort, albo kiedy komenderował bitwą na śnieżki.

Wciąż jednak pozostaje nieprzystępną skałą, której nic nie mo-

że skruszyć, i im więcej mija lat, tym bardziej czuje się kimś odmiennym, kto nie może uczestniczyć w radościach tych Francuzów. Mimo że tak jak wszyscy uczniowie zmuszony jest do stałego uczestnictwa w mszach, komuniach, odmawianiu modlitw, mimo że styka się przecież z Francuzami już od wielu lat, nadal jednak odmawia „paktowania” z nimi.

Dowodzić nimi - być może, ale być jednym z nich - nigdy.

W 1782 roku ma trzynaście lat. Jest chudym wyrostkiem, z włosami tak sztywnymi i niesfornymi, że wbrew regulaminowi szkoły czesze je perukarz.

We wrześniu tego roku przybywa do Brienne na inspekcję główny wizytator szkół wojskowych, generał de Keralio. Wzywa uczniów do siebie, przegląda ich papiery, ogląda stopnie, przepytuje te dzieciaki, które prezentują się przed nim jak starzy wojacy.

Napoleon marzył o morzu i statkach. Inni szlachcice korsykańscy służyli na okrętach Jego Wysokości. Czemu on także nie miałby służyć w marynarce? Mógłby znowu zobaczyć niebo Południa, pływać między brzegami Prowansji a Korsyką.

Pan de Keralio był zadowolony z rozmowy. Młodzieniec zasługiwał na pochwałę, wyróżniał się w matematyce, był „dobrej budowy, znakomitego zdrowia”, wzrostu miał 160 centymetrów, ale był „słaby w ćwiczeniach towarzyskich i w łacinie”. Wizytator podjął decyzję, aby wysłać Napoleona jak najszybciej do Szkoły Wojskowej w Paryżu, do kompanii kadetów, gdzie dostają się najlepsi stypendyści szkół wojskowych. Później mógłby pojechać na naukę do Tulonu.

Chłopak słucha i nie posiada się z radości, choć żaden mięsień na jego twarzy nawet nie drgnie. Już tylko kilka miesięcy zostało mu do spędzenia w Brienne. Wielkimi krokami idzie do swojej samotni. Tam się uspokaja. Przyszłość wydaje się otwarta jak morze.

Wystarczy jednak kilka miesięcy, aby nadzieje się rozwiały, a młodzik znowu zamknął w sobie. W czerwcu 1783 roku pana de Keralio zastąpił inny wizytator, Reynaud des Monts, a ten uznaje Napoleona za zbyt młodego do Szkoły Wojskowej w Paryżu, odrzuca także wybór marynarki wojennej i orientuje go w stronę artylerii,

„broni uczonej”, odpowiedniej dla uczniów, którzy wyróżniają się w matematyce. W każdym razie, zdaniem nowego wizytatora, za wcześniej jest jeszcze na opuszczenie Brienne: ten Napoleone Buonaparte spędził w szkole dopiero cztery lata i cztery miesiące. Niechże się uzbroi w cierpliwość!

Złość, gorycz na nowo. Napoleon usuwa się do swej samotni. Szkoła w Brienne nie może go już niczego nauczyć. Uczęszcza zresztą tylko na lekcje matematyki. Nie interesuje go łacina. Jest dobry we wszystkich pozostałych przedmiotach. Czyta, tłumy w sobie bunt, nie chce uczestniczyć w szkolnym życiu.

Kiedy 25 sierpnia 1784 roku, w dzień świętego Ludwika, uczniowie czczą „Naszego Ojca Ludwika XVI”, nie włącza się do pochodów. Na korytarzach słychać śpiewy. Zgodnie z tradycją, odpala się fajerwerki.

Nagle rozlega się eksplozja silniejsza niż inne: od iskry z fajerwerku wystrzelonego w sąsiedztwie szkoły zapaliła się skrzynia z prochem. Uczniów ogarnia panika, uciekają i po drodze przewracają palisadę zagrody Napoleona, łamią drzewka, niszczą jego pustelnię.

Napoleon staje im na drodze uzbrojony w motykę, usiłując ich zatrzymać i obronić swoje terytorium, nie obchodzi go ani ich strach, ani niebezpieczeństwo, jakie im grozi.

Obrzucają go wyzwiskami. On grozi motyką. Oskarżają go o egoizm i upór. Ktoś rzuca uwagę, że może to obchody na cześć króla tak rozjątrzyły *Paille-an-nez*, cudzoziemca, i kto wie, może również republikanina - bo o takim ustroju marzyła niepodległa Korsyka.

Napoleon nie zniża się do odpowiedzi, mimo że szal go ogarnia na myśl, iż tyle jeszcze czasu musi zostać w szkole w Brienne. Żeby się z niej wydostać, trzeba jednak bardziej nad sobą panować, jest przecież teraz, w wieku piętnastu lat, mężczyzną odpowiedzialnym za los swojej rodziny. Zresztą w sierpniu 1784 roku nie jest już w Brienne sam. Od czerwca jest z nim w szkole jego brat Lucjan.

Ten miesiąc przyniósł wielką chwilę. 21 czerwca poproszono Napoleona do rozmównicy. W dużej izbie oczekuje go ojciec,

Carlo Buonaparte, i młodszy brat Lucjan. Napoleon nie podbiega do nich gwałtownie; przeciwnie, staje jak wryty, aby nie załamać się pod wpływem emocji. Minęło już ponad pięć lat, odkąd nie widział nikogo z rodziny.

Wpatruje się w ojca. Znowu widzi tego wysokiego, oschłego, chudego mężczyznę, noszącego perukę w kształcie podkowy, z harcapiem i podwójną jedwabną czarną wstążką biegnącą z niej do żabotu. Carlo Buonaparte wydaje się taki, jakby nigdy nie odjeżdżał, jest jak zawsze elegancki, w jedwabnym fraku obszytym galonami, ze szpadą u boku.

A jednak rysy jego twarzy są ściągnięte, cera żółta. Ojciec zawiózł właśnie do Szkoły Saint-Cyr córkę Mariannę Elizę i jej dwie kuzynki. Skarży się na zdrowie - tłumaczy synowi, że zwraca wszystko, co zje, i że bóle żołądka stają się coraz ostrzejsze. Chłopak słucha, Lucjan obserwuje go i dziwi się brakowi czułości i jakichkolwiek uczuć u brata. Lecz gdy Napoleon dowiaduje się, że Józef, starszy brat, zdecydował się porzucić kolegium w Autun i także obrał karierę wojskową, peroruje z pewnością siebie i autorytetem głowy rodziny, tak jakby choroba ojca zmuszała go natychmiast do przejścia tej roli.

Widzenie trwa krótko. Lucjan zostaje w Brienne. Napoleon będzie miał go na oku i nim pokieruje. Carlo Buonaparte udaje się do Paryża i zapowiada, że wstąpi do Brienne w drodze powrotnej na Korsykę. Napoleon towarzyszy ojcu do karety. Kiedy konie ruszają, zwraca się szorstko do Lucjana, przemawiając do niego władczym tonem.

Ma piętnaście lat. Role już się zmieniły.

25 czerwca chwyta za pióro. Jego pismo jest pochyłe, z licznymi błędami, ale sposób wyrażania się jasny, myśl wyraźna. Ma dopiero piętnaście lat, lecz zwraca się do wuja Fescha jak dorosły. Wydaje sądy o ludziach, o swoim młodszym bracie Lucjanie, którego, ponieważ jest młodszy, nazywa kawalerem, a także o starszym Józefie. Każde zdanie ukazuje człowieka, który swoje uczucia podporządkowuje rozumowi.

Człowiek ten - zaledwie piętnastoletni! - myśli samodzielnie, ma wyrobione poglądy. Zbudował własny sposób myślenia, prze-

ciwstawiając się tym, którzy go otaczają. Dziecko, które musiało się bronić, zamykać w sobie, aby nie ulec nostalgii i smutkowi i nie roztopić się w masie, stało się osobą samodzielną, niezależną, potrafiącą analizować i rozstrzygać, wyciągać wnioski. Piętnaście lat! Pisz:

„Drogi Wuju! Piszę, aby Cię poinformować o przejeździe mego drogiego ojca przez Brienne. Pozostawił on tutaj Lucciana, który jest w wieku dziewięciu lat i ma trzy stopy, jedenaście cali i sześć linii [130 cm wzrostu - przyp. tłum.]. Uczęszcza do seksty, gdzie uczy się łaciny, ale wkrótce pozna wszystkie inne przedmioty. Wykazuje dużo zdolności i dobrej woli. Należy oczekiwać, że będzie z niego porządnym człowiekiem. Zachowuje się dobrze, jest puciołowaty, żywy i roztrzepany i jak na początek są z niego zadowoleni. Bardzo dobrze zna francuski i całkiem zapomniał już języka włoskiego [...].

Pewien jestem, że mój brat Józef nie napisał do Ciebie. Trudno byłoby tego od niego wymagać. Nawet do naszego drogiego ojca pisze tylko parę linijek, jeśli w ogóle pisze [...]. Szczerze mówiąc, nie jest on już taki jak dawniej. Co do kariery, jaką chciałby obrać, stan duchowny, jak wiesz, był jego pierwszym wyborem. Trwał w tym postanowieniu aż do chwili, gdy zapragnął służyć królowi, w czym z wielu przyczyn nie ma racji [...]. Nie ma dość odwagi, aby stawić czoło niebezpieczeństwom walki. Jego słabe zdrowie nie pozwoli mu wytrzymać trudów kampanii, mój brat widzi służbę wojskową tylko od strony garnizonów [...]. On będzie zawsze sobie dobrze radził wśród ludzi, ale w walce?”.

I Napoleon ciągnie dalej ten akt oskarżenia swym nerwowym pismem. Józef nie zna matematyki, nie będzie więc mógł zostać oficerem marynarki ani artylerii. Zatem piechota?

„Rozumiem go, chce całymi dniami próżnować, chce szlifować bruki [...] Cóż to jest marny oficer piechoty? Najczęściej nicpoń, a tego nie życzyłby sobie nikt ani mój drogi ojciec, ani ty, ani matka, ani mój drogi wuj archidiakon, gdyż Józef wykazał już pewne oznaki lekkomyślności i rozrzutności”.

To młodszy brat tak mówi o starszym. Chłopiec-mężczyzna, który czuje się odpowiedzialny za całą rodzinę, jakby był jej głową.

Kilka dni później Napoleon znów bierze pióro do ręki. Spotka-

ło go nowe rozczarowanie. Ojciec nie będzie przejeżdżał przez Brienne. Z Paryża wraca bezpośrednio na Korsykę.

„Mój drogi Ojcze! Twój list, tak jak przypuszczasz, nie sprawił mi szczególnej radości, ale rozsądek i wzgląd zarówno na Twoje zdrowie, jak i na dobro rodziny, które są mi bardzo drogie, każą mi pochwalać Twój niezwłoczny powrót na Korsykę i całkiem mnie pocieszają.

Zresztą jakżebym miał się nie cieszyć i nie być zadowolonym, mając zapewnienia o kontynuowaniu Twoich dobrodziejstw, o Twym przywiązaniu oraz gotowości do pomocy w wydostaniu mnie stąd i wspieraniu w tym, co może sprawić mi przyjemność? Spieszę też zapytać o nowiny co do skutków wód na Twoje zdrowie i zapewnić Cię o moim przywiązaniu pełnym szacunku i mojej dozgonnej wdzięczności”.

Kochający syn, syn „pełen szacunku”, przywiązany do rodziny, wdzięczny syn, który docenia wysiłki ojca, aby „wydostać” go z Brienne, w dalszej części swego listu doradza jednak ojcu co do wyboru studiów Józefa. Pragnie, aby umieścić starszego brata raczej w Brienne niż w Metz, „ponieważ będzie to pociechą dla Józefa, Lucjana i dla mnie”. Prosi, aby ojciec przesłał mu dzieła na temat Korsyki. „Nie masz się co obawiać, będę się o nie troszczył i przywiozę je ze sobą na Korsykę, kiedy wrócę, choćby to było za sześć lat”.

„Żegnaj, mój drogi Ojcze - kończy. - Kawaler Lucjan ściska cię z całego serca. Pracuje bardzo dobrze. Bardzo dobrze wypadł na ćwiczeniach publicznych”.

Następnie kieruje wyrazy szacunku do wszystkich członków rodziny, do *Zie* - ciotek - i podpisuje się:

„Twój najpokorniejszy i najposłuszniejszy syn, drugi syn Buonapartego”.

W liście do ojca tylko z pozoru niewinne zdanie: „Pan wizytator będzie tutaj 15 lub najpóźniej 16 tego miesiąca, to znaczy za trzy dni. Natychmiast gdy tylko odjedzie, przekażę Ci, co mi powiedział” świadczy o oczekiwaniu Napoleona.

Musi jeszcze raz stawić się przed panem Reynaudem des Monts, który otrzymał od ministra upoważnienie, by sprowadzić do Szkoły Wojskowej w Paryżu „stypendystów szkół niższych, którzy się wy-

różniają nie tylko swymi talentami, wiadomościami i zachowaniem, lecz także zdolnościami do matematyki".

We wrześniu 1784 roku wybrał on podczas swej inspekcji w Brienne u franciszkanów pięciu uczniów, którzy stali się w ten sposób kadetami i zostali przeznaczeni do szkoły w Paryżu. Pierwszy z nich to Montarby de Dampierre, który wybrał kawalerię. Drugi, Castres de Vaux, przygotowuje się do inżynierii wojskowej. Trzej inni kandydują do artylerii. Obok Laugiera de Belle-courta i de Cominges'a jest także Napoleone Buonaparte.

Na dźwięk swego nazwiska młodzieniec zadawała się jedynie podniesieniem głowy, jego uczucia wyczytać można tylko z blasku w spojrzeniu. Wie, co znaczy ten odjazd. Przede wszystkim ucieczkę od rutyny Brienne, od zbyt dobrze znanych miejsc, od szarego pejzażu. Zostawi tu Lucjana, co jest bolesne. Może jednak uda się otrzymać stopień oficera w ciągu jednego roku i wówczas jego brat Józef otrzyma stypendium i to on z kolei znajdzie się w Brienne, by przejść kurs matematyki ojca Patrault.

Napoleon nie pokazuje po sobie radości. Lecz kroczy szybciej, przemierza dziedziniec wzdłuż i wszerz z rękami założonymi na plecy. Pokonał przeszkodę. Awansuje. Wszystko jest możliwe.

Trzeba jednak czekać. Dni wloką się niemiłosiernie. I dopiero 22 października 1784 roku król Ludwik XVI, „przydzielając Napoleone de Buonaparte, urodzonemu piętnastego sierpnia 1769 roku, stanowisko kadeta w kompanii kadetów utworzonej w mojej szkole wojskowej”, prosi „głównego wizytatora pana de Timbru-ne-Valence, aby przyjęto go i uznano na tym stanowisku”.

30 października Napoleon opuszcza Brienne w towarzystwie czterech kolegów i pod opieką jednego z księży. Najpierw udają się powozem aż do Nogent i tam wsiadają na galar do Paryża. Niebo jest szare. Od czasu do czasu pada. Ale czy piętnastoletni kadet może się oddawać melancholii w drodze do stolicy królestwa Francji, gdzie król przyjmuje go na stypendystę swej najbardziej prestiżowej szkoły wojskowej?

Oto co wyplenia w sobie obcokrajowiec, obywatel podbitego kraju, Korsykanin, kiedy czegoś pragnie.

- Pragnę - szepcze Napoleon.

Rozdział 3

Napoleon idzie przez Paryż. Jest „niskim młodym człowiekiem, bardzo śniadym, w spodniach do kolan z czerwonymi lampasami, smutnym, nachmurzonym, poważnym”, który chciwym wzrokiem chłonie miasto. Często przystaje. Pozwala oddalić się zakonnikowi i kolegom z Brienne. Chce przeżywać to sam, sam cieszyć się tym spektaklem, który go upaja. Choć jego twarz nawet nie drgnie, w głębi duszy cały wibruje jak napięta struna.

Ma zaledwie piętnaście lat i dwa miesiące, lecz odgaduje charakter tego miasta, odczuwa je jako ogromny teatr, otwarty horyzont. Przejeżdżają Pont-Neuf zatłoczony karetami i wozami. U nabrzeży cumują barki. Tragarze torują sobie drogę w barwnym tłumie, gdzie spotyka się najbardziej odmienne ubiory: wytworny strój młodego arystokraty obok łachmanów kobiety o dużym biuście i odsłoniętych ramionach.

Potrącają go, nawet na niego nie patrząc. On jednak obserwuje wszystko. Odkrywa narożne budynki na placu Dauphine stojące sztywno jak strażnicy w czerwonych uniformach z białymi wylogami. Po drugiej stronie mostu widnieją prywatne rezydencje, przed którymi rzędem stoją karety. Napoleon dostrzega dzwonnice i kopuły. Wkrótce będą mijać plac ćwiczeń wojskowych, Pole Marsowe; złoto kopuły podkreśla szarość łupkowych dachów. Czuje podniecenie. Wdycha powietrze, w którym mieszają się zapachy śmieci, mierzwy końskiej i potu. Słucha turkotu kół po bruku, odgłosu kroków tłumu ściśniętego w ciasnych uliczkach i głosów, tych francuskich głosów, które po raz pierwszy nie wydają mu się wrogie i obce.

Myśli o Korsyce, o jej niebie, krajobrazach, malowniczych zatoczkach, o jej języku, o swoich bliskich, ale Paryż, tak ogromny i wspaniały, tak tętniący życiem, jest także morzem. Koniec z zakurzoną Szampanią i z ciasnym horyzontem Brienne. W tym mieście, gdzie wszystko zdaje się być w ruchu, gdzie na każdym kroku uderza królewski splendor monumentalnych budowli i pomników, młodzieniec czuje się mniej obco niż w ograniczonym wszechświecie prowincjonalnej szkoły. Tutaj wiatr gwizdże jak nad brzegiem morza i młody człowiek z Południa odnajduje w stolicy ów bezmiar, do którego przyzwyczyły go morze i bezkresne niebo.

Laugier de Bellecourt czeka na niego, by dać mu łokciem kuksańca i dzielić z nim radość znalezienia się wreszcie tutaj, w mieście tak pełnym życia, gdzie swobodę obyczajów widać w każdym ruchu, w śmiałości spojrzeń, ale Napoleon się uchyla.

Laugier, mimo że ponad rok od niego młodszy, przez kilka miesięcy był jednym z jego najbliższych kolegów w Brienne. Lecz Napoleon szybko odrzucił tę dwuznaczną przyjaźń: Laugier, ze swym łagodnym dziewczęcym wyglądem, był z pewnością jedną z „nimef” szkoły. Korsykanin nie zapomina o tym. Odwraca się od niego. Niechże pozwolą mu samemu wejść w to miasto, odkryć na równinie Grenelle, niedaleko Pałacu Inwalidów, paryską Szkołę Wojskową.

I w miarę jak zbliża się do budynku, piękno tego pałacu, nad którym góruje wysoka kopuła na planie kwadratu, robi na nim wrażenie, choć chłopak nie daje tego po sobie poznać. Wchodzi jako ostatni z grupy, podziwiając osiem korynckich kolumn, fronton i umieszczone nad nim rzeźby oraz zegar okolony girlandami. Przechodzi przez jedną z trzech bram z kutego żelaza. Wkracza na dziedziniec rekreacyjny oświetlony przez tuzin ciężkich latarni.

Kadeci rozlokowani są w prawym skrzydle. Przechodzi przez sale, gdzie uczniowie grają w tryktraka, w szachy i warcaby, kiedy deszcz wypędzi ich z dziedzińca.

Rozmównica nie ma tej surowości i chłodu co w Brienne. Wielki obraz przedstawia Ludwika XV. Zasłony są z białego perkalu, a obicia ścian z czerwonego adamaszku z Abbeville. Ławki i fotele przykryte są tkaniną w zielone i białe róże.

Napoleon zagląda do klas, których ściany pokrywa tapeta: na niebieskim tle błyszczą złote kwiaty lili i królewskie monogramy. Drzwi są oszklone i podobnie jak okna obramowane obiciami. Przepych, okazałość i zbytek natychmiast uderzają młodzieńca.

Spożywa swój pierwszy posiłek w refektarzu, siedząc przy dzieścioosobowym stole. Potrawy są liczne: po mięsach pojawiają się desery i owoce. Służący posługują z całym ceremoniałem.

Wśród kadetów oprócz stypendystów zauważa młodzieńców z arystokracji, którzy płacą dwa tysiące liwrow rocznie za przywilej zostania uczniem tej szkoły. Gdyby nie ich arogancja i brak postępów w nauce - gdyż jeśli nawet uczęszczają na lekcje, to i tak się nie uczą - nie można by ich odróżnić w tłumie stu dwudziestu sześciu kadetów.

Napoleon czuje jednak od pierwszego dnia, że tacy diuk de Fleury, Laval-Montmorency, Puysegur czy kuzyn króla, ksiązę cle Rohan Guemenee, patrzą na niego z pogardą i natychmiast odwracają wzrok, aby pokazać, że należą do zupełnie innej rasy, a ten stypendysta, syn drobnej szlachty korsykańskiej, tylko dlatego uchodzi za Francuza, że armia królewska podbiła jego wyspę.

Te spojrzenia od samego początku osłabiają entuzjazm Napoleona.

Lecz cóż oni sobie myślą? Skoro nie ugiął się jako dziewięcioletnie dziecko, to czy można sobie wyobrazić, że opuści gardę teraz, w chwili, gdy wszystko: to miasto, ten budynek, te sale, jest żywym świadectwem jego triumfu?

Ta pewność sprawia, że staje się mniej szorstki, choć wciąż jest bezkompromisowy i nieustępliwy. Piękno miejsca, atencja, z jaką traktuje się kadetów, a nawet obecność wśród nich potomków najświetniejszych rodów królestwa upewniają go, że należy do tych nielicznych, którzy powołani są do rządzenia. Podsyca to jego dumę i pogłębia, ale zarazem też łagodzi jego drażliwość. Tolerują go - zgoda - ale niech go nie prowokują, bo będzie tym bardziej zdecydowany bronić swego pochodzenia i swoich poglądów.

Kiedy jednak okazują mu szacunek, staje się przyjacielski, już nie jest takim nadwrażliwcem. Pierwszy sukces zagoił niektóre rany.

Podczas pobytu w szkole będzie dzielił pokój ze starszym

uczniem, którego wyznaczono na jego instruktora. Był nim Alexandre des Mazis, który okazał się troskliwy, przyjacielski, a nawet uprzedzająco grzeczny. Napoleon szybko się z nim zaprzyjaźnił.

Pokój jest ciasny, wyposażony w żelazne łóżko, krzesła i niską szafkę pod oknem. Tam ustawione są trzy pary regulaminowych trzewików. Pokój wychodzi na wspólną sypialnię: izbę o ścianach wyłożonych boazerią, oświetloną lampami i ogrzewaną kilkoma fajansowymi piecykami.

Nie ma w tej szkole wojskowej nic z surowości i kiedy Bonaparte zobaczył sale do szermierki, kiedy, nie kryjąc podziwu, obejrzał w ujeżdżalni sześćdziesiąt koni - świetnych wierzchowców hiszpańskich, kosztujących nawet po osiemset i po tysiąc liwrów - nabrał przekonania, że traktują go tu jak syna wielkiego pana.

Mimo to znowu się buntuje. Nie może pozwolić, aby zepsuł go zbytek, który - jak uświadamia to sobie z całą jasnością - jest tylko chwilowy. Zna zasoby swej rodziny. Status stypendysty pozwolił mu dojść do pozycji, jakiej nie oczekiwał. Trzeba teraz osiągnąć coś więcej dzięki własnej pracy i zdolnościom, ponieważ cały ten zbytek skończy się z chwilą, gdy opuści szkołę.

Napoleon dobrze to rozumie. Odsuwa się od uczniów, którzy oddają się rozpuście.

- Panie - zwraca się do Laugiera cle Bellecourta - utrzymuje pan stosunki, których nie pochwalam. Pańscy nowi przyjaciele zgubią pana. Proszę wybierać pomiędzy nimi a mną. Nie zostawiam panu trzeciego rozwiązania. Trzeba być mężczyzną i decydować. Proszę uznać moje słowa za pierwsze ostrzeżenie.

Lecz Laugier nie umie opierać się pokusom i jego prowadzenie się potwierdza podejrzenia, jakie Napoleon żywił jeszcze w Brienne.

- Panie - mówi mu sucho - wzgardził pan moimi radami. Oznacza to odrzucenie mej przyjaźni, proszę się więcej do mnie nie odzywać.

Pracuje z dzikim zapamiętaniem. Niektórzy, zwłaszcza uczniowie pochodzący z wysokich rodów, drwią sobie z niego. Ten mały, bardzo śniady młodzieniaszek „jest przemądrzały i jest gadułą”.

Napoleon nie toleruje tych uwag. Na dziedzińcu szkoły rzuca się

zaraz z zaciśniętymi pięściami, rozdaje kuksańce tym synom wielkich panów. Jest, jak sam mówi, „małym szlachcicem”, ale wychodzi zwycięsko z tych fizycznych konfrontacji.

W niektórych wypadkach antypatia przeradza się w nienawiść.

Le Picard de Phélippeaux, szlachcic z Wandei, prowokuje Napoleona na każdym kroku i przy każdej okazji. Jest od niego o dwa lata starszy. Wstąpił do szkoły w 1781 roku. Ich rywalizacja wykracza poza szkolne ramy. Obaj instynktownie się nienawidzą, jakby pierwszy widział w stypendyście wcielenie tych nowych ludzi, którzy przewrócą stabilny świat monarchii, a drugi odgadywał w Wan-dejczyku przyszłego kontrewolucjonistę, szlachcica zdecydowanego nie dopuszczać do żadnych zmian.

Obaj zachowują się wyzywająco. Biją się. Sierżant Picot de Peccaduc siada pomiędzy nimi podczas lekcji, żeby ich rozdzielić, lecz oni posyłają sobie poci stołem kopniaki. Z takim skutkiem, że Picot ma posiniaczone nogi.

Często w sali szermierki pomiędzy lekcjami fechtunku Napoleon przechadza się z rękami skrzyżowanymi na plecach i nagle nieruchomieje. Z którejś grupy kadetów pada jakieś słówko czy zdanie. Drwią sobie z Korsyki, prowokują go. Napoleon, ściskając swój floret, szarżuje na nich pośród wybuchów śmiechu.

On jednak się nie śmieje.

Oburza się, gdy niektórzy kadeci utrzymują, iż do podboju wyspy wystarczyła garstka Francuzów. Są to oszczerstwa znane mu z kolegium w Autun i ze szkoły w Brienne, które pojawiają się na nowo i które trzeba odeprzeć.

- Nie było was sześciuset, jak twierdzicie - odpowiada - ale sześć tysięcy przeciwko nieszczęsnym wieśniakom.

Dlaczego wielki naród był zmuszony prowadzić wojnę z małym? Dał w ten sposób dowód swej „niższości”.

- Chodź - rzuca w końcu do swego przyjaciela Alexandre'a - zostawmy tych tchórzy.

Nie potrafi jednak długo milczeć, tym bardziej że co chwila jakiś szczegół czy zdanie przypominają mu o jego pochodzeniu. Kiedy klęka, by przyjąć bierzmowanie z rąk Jego Ekscelencji arcybiskupa de Juigne, ten dziwi się imieniu Napoleone, którego nie nosi żaden

ze świętych pańskich z kalendarza. Młodzik podnosi głowę, spogląda na biskupa i mówi porywczo, że świętych jest mnóstwo, a dni w roku tylko trzysta sześćdziesiąt pięć.

Nigdy nie można zamknąć mu ust.

Nawet w konfesjonale odpowiada ostro, jeśli zostanie sprowokowany. Kiedy w styczniu 1785 roku słucha księdza, do którego chodzi się spowiadać - jak każdy z kadetów musi to czynić co miesiąc - nie może powstrzymać rumieńca gniewu. Ksiądz napomina go, mówi o Korsyce, o konieczności posłuszeństwa wobec króla, którego Napoleon jest stypendystą i wdzięcznym poddanym. Zresztą Korsykanie, ciągnie ksiądz, są często bandytami o okrutnym charakterze.

- Nie przychodzę tutaj, żeby rozmawiać o Korsyce - wykrzykuje Napoleon - a do powołania księdza nie należy udzielanie mi w tej kwestii nagany!

Po czym ciosem pięści rozbija kratę oddzielającą go od spowiednika i obaj mężczyźni przechodzą do rękoczynów.

Ta nieustrasżoność w obronie ojczyzny, pasja, z jaką wychwała czyny Pasquale Paolego, pokazują, że nie należy on do tych ostrożnych, którzy obliczają swój każdy krok. Ten młodzik to przede wszystkim energia, która wyzwala się w porywie emocji.

Jego profesor literatury Domairon jest zafrapowany tą jego „dziwaczną przesadą”. To „”, orzeka. A profesor historii De Lesguille dodaje, że ten młody kadet jest „Korsykaninem zarówno z pochodzenia, jak i charakteru” i że „zajdzie daleko, jeśli okoliczności będą mu sprzyjały”.

Jednak dyrektor studiów, pan Valfort, czuje się zaniepokojony.

Donoszą mu, że ten kadet, stypendysta królewski, deklamuje ułożone przez siebie wiersze, w których opisuje, jak ukazuje mu się we śnie ojczyzna, wręcza mu sztylet i przepowiada: „Ty będziesz moim mścicielem”.

Krążą rysunki, na których przedstawiony jest w karykaturze przez swoich kolegów jako młody silny kadet maszerujący dumnym krokiem, podczas gdy stary profesor na próżno chwyta go za perukę, próbując zatrzymać. Podpis pod rysunkiem komentuje: „Buonaparte, biegnij, fruń na pomoc Paolemu, aby wydostać go z rąk nieprzyjaciół”.

Dziwaczna sytuacja: ten kadet, przyszły oficer armii króla pragnie zostać jednocześnie „mścicielem” Paolego, pokonanego przez wojska królewskie! I uczeń ten bynajmniej nie ukrywa ani swoich poglądów, ani swej determinacji.

Pan Valfort i administratorzy szkoły wzywają go do siebie. Ależ ten korsykański patriota jest jeszcze bardzo młody! Ów nierozważny entuzjizm jest w pewnym sensie gwarancją czystości jego charakteru. Zresztą dla oficerów patriotyzm jest cnotą. Sądzą oni jednak, że miłość do Korsyki nie powinna przeważać nad wdzięcznością należną monarsze za jego dobrodziejstwa. Napoleon słucha ich wyprężony na baczność.

Ma na sobie niebieski żakiet z czerwonym kołnierzem o białej podszewce i ze srebrnymi galonami. W rękę trzyma czapkę wyszywaną srebrem. Nie czuje żadnej wrogości wobec Valforta i innych oficerów. I odnosi wrażenie, że jego postawa spotyka się ze zrozumieniem.

- Panie - mówią mu - jest pan uczniem królewskim. Nie można o tym zapominać i należy pomiarkować miłość do Korsyki, która jest zresztą częścią Francji.

Przyjmuje napomnienie. Ale w jego zachowaniu nic się nie /mienia.

Pozostaje niewzruszony, nic nie osłabia jego pewności siebie. Nie zawdzięcza jej bynajmniej wygodom, jakie zapewnia szkoła, ledno z jego wyznań brzmi jak wyrzut: „Karmią nas i obsługują wspaniale, jesteśmy we wszystkim traktowani jak zamożni oficerowie, żyjący w dobrobycie większym niż przeważna część naszych rodzin, w większym, niż większość z nas będzie w przyszłości żyć”.

Jest jak skała, ponieważ wie, czego chce, i ponieważ jest przeświadczony, że ma zalety konieczne do spełnienia swoich zamiarów.

Siedząc w pokoju z Des Maxisem, tłumaczy mu, że chce przeskoczyć etapy nauki, aby już po roku otrzymać stopień oficerski i dostać nominację na podporucznika w jakimś pułku.

- Aby tak się stało - mówi Napoleon; jego twarz jest napięta, a ciało pochylone do przodu, w stronę towarzysza - trzeba jedno cześniej zdać egzamin konkursowy do szkoły artylerii oraz egzamin umożliwiający otrzymanie stopnia oficera. Nie idzie się wówczas

do szkoły artylerii w charakterze ucznia, lecz otrzymuje promocję bezpośrednio z kadeta na podporucznika.

- To wielkie wyzwanie!

- Wiem o tym - mówi Napoleon.

Musi w tym celu opanować w całości cztery tomy *Traktatu matematycznego* profesora Bezouta - który kadeci nazywają po prostu „Bezoutem” - i znać odpowiedź na wszystkie pytania egzaminatora, którym jest Laplace, sławny członek Akademii Nauk.

Napoleon prostuje się. Podejmie to wyzwanie, nauczy się „Bezouta”, będzie przyjęty jako uczeń i zarazem oficer artylerii.

Uczyć się, uczyć się z pasją.

Kiedy jego współlokator spędza kilka dni w izbie chorych, Napoleon zamyka się w pokoju i nie podnosi oczu znad podręcznika matematyki. Cóż znaczą inne przedmioty, błędy w ortografii, łacina, gramatyka czy niemiecki?

Profesor języka niemieckiego, Bauer, ocenia go po wynikach ze swego przedmiotu. Kiedy we wrześniu 1785 roku, w okresie egzaminów, stwierdza nieobecność Napoleona, pyta o niego kolegów. Odpowiadają, że ubiega się on o stopień podporucznika artylerii.

- Więc on jednak coś umie? - pyta Bauer.

- Jak to? - odpowiadają. - To przecież jeden z najlepszych matematyków w szkole.

- No tak - mówi Niemiec - zawsze uważałem, że matematyka dobrze idzie tylko głupcom.

Napoleon zaniedbuje także kurs tańca. Nie interesują go ani dobre wychowanie, ani świetne maniery, których także naucza się w Szkole Wojskowej w Paryżu w trosce o to, by utwierdzić świetność i prestiż szlachty. Jemu się spieszy, jest skupiony na sobie, pochłonięty celem, jaki sobie postawił, i nie ma czasu uczyć się tego, co nie jest mu bezpośrednio potrzebne.

Wszystko podporządkowuje jednemu: odnieść sukces w dwóch konkursach w jednym roku.

Nie ma znaczenia, że w szkole nie otrzyma podczas tego roku żadnej z nominacji, jakie przyznaje się niektórym uczniom mianowanym sierżantami, starszymi sierżantami dywizjonu czy plutonowymi. Obdarzony zmysłem użyteczności szydzi z tych trzech galonów ze srebra, obnoszonych przez niektórych.

Nie zostanie też, jak Picot de Peccaduc czy Phélippeaux, kawalerem Orderu Świętego Łazarza i Najświętszej Marii Panny z Góry Karmel! Do tego trzeba byłoby spędzić w szkole wojskowej trzy lata!

Trzy lata! Umiera na samą myśl! Potrzebuje dziesięciu miesięcy, aby nauczyć się całego podręcznika Bezouta, równanie po równaniu, dowód po dowodzie, rysunek po rysunku. Nie pozwala, aby cokolwiek go od tego odciągnęło, jest zawzięty i uparty.

Zresztą regulamin szkoły nie zezwala na żadne wyjścia, nie przewiduje się także żadnych urlopów. Podczas tego roku przyjmie zaledwie jedną wizytę w wielkiej rozmównicy szkoły: wizytę jednego z kuzynów, Arrighiego de Casanovą.

Między lekcjami a własną nauką często przemierza rozległy teren ogrodzony barierkami z sosnowych desek, zwany Promenadą, gdzie w ośmiu szpalerach rosną dęby. Zbudowano tam na początku 1785 roku dwa magazyny, a później coś w rodzaju reduty, aby dać kadetom lepsze pojęcie o tym, jak wygląda ufortyfikowane miasto.

Napoleon przechadza się szybkim krokiem wzdłuż owej promenady z książką w rękę. Uczy się. Powtarza. A czasem układa wiersze. Oto w styczniu 1785 roku pisze niezgrabny wiersz, który umieści na wyklejce swego podręcznika matematyki:

*O wielki Bezoucie,
Dokończ wreszcie swego dzieła,
Bo że ratujesz uczniów
Prawda to jest szczerą.
Śmieje się do rozpuku,
Kto do końca twych tomów dociera.
A już w maju najpóźniej
To ja będę rad udziela!*

Już w styczniu jest więc pewien, że w maju, czyli na cztery miesiące przed egzaminem przewidzianym na wrzesień, skończy studiować *Traktat matematyczny*.

Jest metodyczny, rezerwuje czas także na powtórki, ponieważ wymagania przy egzaminach są wysokie, a wstęp do artylerii,

„broni uczonej”, niełatwy. Niezamożny szlachcic, jeśli tylko ma talent, może w tym rodzaju broni być pewnym awansu, gdyż selekcja odbywa się tu według uzdolnień kandydata.

W 1785 roku naliczyć można dwudziestu pięciu kadetów przygotowujących się do artylerii. Lecz komendant szkoły, pan de Timbrune-Valence, dopuszcza do konkursu jedynie osiemnastu.

Pierwszy jest Des Mazis, przyjaciel Napoleona, który nie zdał w 1784 roku, potem idzie Picot de Peccaduc. Napoleon jest za swoim wrogiem, Wandejczykiem Phélippeaux. Niżej na liście znaleźć można Laugiera de Bellecourta, którego pomimo rozwiązłości uznano za zdolnego stanąć do konkursu.

W pierwszej chwili w Napoleonie na widok tej listy bierze górę poczucie wyższości: nie obawia się swoich kolegów. Wie, że jest jednym z najlepszych matematyków w szkole. Ale są także kandydaci ze szkół prowincjonalnych, a zwłaszcza ze szkoły w Metz, najbardziej prestiżowej szkoły artylerii. Poza tym Napoleonowi nie wystarcza sukces tylko w pierwszym konkursie. Jest jeszcze konkurs na oficerów. Zdawają więc swe wysiłki.

Trzeci tom podręcznika Bezouta rozpoczyna w lutym 1785 roku.

Nic nie może zepchnąć go z tej drogi.

Aż w końcu tego miesiąca spada na Napoleona jak błyskawica wiadomość, że jego ojciec nie żyje.

Na twarzy młodzieńca maluje się ogromny ból. Policzki mu się zapadają. Wiedział, że ojciec jest chory, ale teraz otwiera się przed nim pustka i Napoleon stoi na jej krawędzi, bliski zachwiania.

Dyrektor studiów Valfort, który przyniósł mu nowinę, proponuje, aby jak to jest w zwyczaju, usunął się do izby chorych, gdzie w ukryciu może płakać, modlić się i oddać cierpieniu, jakie zesłał mu los. Napoleon przez chwilę milczy, później odpowiada głuchym głosem, że mężczyzna musi umieć znosić cierpienie. To kobieca rzecz płakać. Pragnie więc wrócić do swoich obowiązków, jakby nic się nie stało. Żal jest sprawą osobistą. „Dożyłem przecież aż do tej chwili, myśląc także o śmierci - mówi. - Przyzwyczailem do niej mą duszę tak samo jak do życia”.

Ból jednak jest ogromny.

Dowiaduje się, że ojciec podczas ostatnich miesięcy musiał

znosić coraz bardziej okrutne ataki choroby. Wymioty, niezdolność bóle żołądka, niemożność jedzenia. W towarzystwie Józefa, swego najstarszego syna, Carlo Buonaparte chciał dojechać do Paryża, aby dać się przebadać lekarzowi królowej Marii Antoniny, doktorowi Lasonne'owi. Jednak statek, na którym opuścili Korsykę w listopadzie 1784 r., podczas burzy został zepchnięty w kierunku Calvi, dokąd zawinął, i na wybrzeżu Prowansji wylądował dopiero po nowym gwałtownym sztormie. W Aix Carlo Buonaparte odnalazł swego szwagra, seminarzystę Fescha.

Cierpienia stają się tak dokuczliwe, że lekarz, profesor Turna-tori, zaleca choremu udać się do Montpellier, gdzie praktykują sławni lekarze La Murę, de Sabatier i Barthez.

Jest już jednak za późno. W Montpellier Carlo Buonaparte słabnie z godziny na godzinę. Opiekują się nim jego syn Józef, szwagier Fesch oraz niejaka pani Pernom i jej córka Laure. Carlo - wolnomyśliciel, wróg jezuitów i wolterianin - żąda księdza, spowiada się i modli. Jego głos staje się niewyraźny, poprawia się jedynie chwilami i w godzinach poprzedzających śmierć wzywa Napoleona, jedynego syna zdolnego wydrzeć go upiorowi śmierci.

W atakach gorączki wykrzykuje, że przed mieczem Napoleona będą drżeli królowie, że jego syn zmieni oblicze świata. Gdyby był tutaj, „obroniłby mnie przed moimi wrogami”, wyrzuca z siebie. Usiłuje się podnieść, powtarza: „Napoleon, Napoleon”, później opada na poduszki. Umiera 24 lutego 1785 roku, w wieku 39 lat.

Lekarze, którzy w kilka godzin później przeprowadzą jego autopsję, piszą: „U dolnego ujścia żołądka guz wielkości dużego bata-la albo dużej wydłużonej gruszki zimowej. Błony żołądka w kierunku środka wielkiego zagięcia były bardzo grube i bardzo sztywnej budowy, przypominającej chrząstki [...]. Stwierdzamy, że znaleźliśmy wątrobę powiększoną i woreczek żółciowy przepelniony bardzo ciemną żółcią, osiagający wielkość przeciętnej gruszki i mający wydłużony kształt [...]”.

Carla Buonaparte pochowano w jednej z krypt kościoła franciszkanów.

W następnych dniach Napoleon jeszcze zapamiętałej oddaje się pracy. Topi w niej swój ból. Każe zamilknąć Des Masisowi, kiedy

ten usiłuje go pocieszyć. Mówi tylko, że teraz sukces jest mu jeszcze bardziej potrzebny. Od września musi być oficerem. Już nie ma czasu być uczniem. Jego obowiązkiem jest zostać od razu podporucznikiem.

Wie, że jego matka w Ajaccio będzie musiała od tej pory wychowywać czwórkę młodszych dzieci, mając zaledwie 500 liw-rów dochodu. Czworo starszych przebywa w szkołach i będzie mogło zadbać o swoje potrzeby. I jeśli on, Napoleon, zacznie od października 1785 roku pobierać żołd, jeśli zostanie oficerem w pułku, to rzeczywiście stanie się głową rodziny, którą czuje się już od wielu miesięcy.

W końcu marca pisze dwa listy. Jeden do wuja swego ojca, archidiakona Ajaccio, Lucjana, o którym w rodzinie mówi się, że trzyma pieniądze w sakiewce umieszczonej pod poduszką. Drugi do matki.

Listy te, zgodnie z regulaminem, należało przedłożyć oficerom szkoły odpowiedzialnym za czytanie korespondencji, a także w razie potrzeby jej poprawianie. Ukrywa więc, na ile to możliwe, swe uczucia. List z 23 marca adresowany do wuja archidiakona pozwala dostrzec pod powściągliwym stylem synowski ból:

„Mój drogi Wuju! Bezelowe byłoby opisywać, jak bolesne było dla mnie nieszczęście, które nas dotknęło. Straciliśmy ojca, a Bóg wie, jaki to był ojciec, znał jego czułość i jego przywiązanie do nas. Niestety! Wszystko nam wskazywało, że znajdziemy w nim podporę naszej młodości! Ty straciłeś w nim posłusznego i wdzięcznego siostrzeńca... Ośmielam się nawet rzec, że ojczyzna straciła przez jego śmierć obywatela oświeconego i bezinteresownego [...]. A jednak niebiosa kazały mu umrzeć, i to gdzie? O sto mil od jego kraju, w obcych stronach, gdzie nikt go nie znał, z dala od tego wszystkiego, co było mu najdroższe. Wprawdzie w tym okropnym momencie towarzyszył mu syn i musiało to być dla niego wielką pociechą, lecz z pewnością nieporównywalną do potrójnej radości, jakiej doświadczyłyby, kończąc swą drogę życiową w domu, blisko małżonki i całej swej rodziny. Jednak Najwyższa Istota nie pozwoliła na to. Wola Jego jest niewzruszona. Tylko On sam może nas pocieszyć. Niestety! Lecz jeśli pozbawił nas tego, który był nam najdroższy, to pozostawił nam jeszcze osoby, które najlepiej mogą

go zastąpić. Zechciej zatem zająć miejsce ojca, którego straciliśmy. Nasze przywiązanie, nasza wdzięczność będą proporcjonalne do tak wielkiej przysługi. Kończę, życząc Ci zdrowia równie dobrego jak moje, Napoleone di Buonaparte".

Czyta ponownie. Wybór opiekuna jest odpowiedni. Archidiakon ma znaczną fortunę. Przyjmie ów obowiązek, którego przyjęcia żąda od niego ten młodzik, nie mający jeszcze szesnastu lat i występujący z tak poważną pewnością siebie, w której uczucia sprzymierzone są z rozumem. Pięć dni później, 28 marca 1785 roku, Napoleon pisze:

„Moja droga Matko! Dopiero dziś, gdy czas uspokoił nieco pierwsze porywy mojego bólu, spieszę Cię zapewnić o wdzięczności, jaką we mnie wzbudzają wyświadczone przez Ciebie dobrodziejstwa.

Staraj się znaleźć pociechę, droga Matko, okoliczności tego wymagają. Zdwoimy nasze starania i naszą wdzięczność. Będziemy szczęśliwi, jeśli uda nam się poprzez nasze posłuszeństwo wynagrodzić Ci choć trochę niepowetowaną stratę tak drogiego małżonka.

Kończę, droga Matko, mój ból mi to nakazuje, prosząc Cię o uśmierzanie twojego bólu. Moje zdrowie jest doskonałe i modłę się codziennie, aby niebiosa wynagrodziły Cię podobnym.

Przekaż wyrazy szacunku dla *Zia Gertrude*, *Minana Saveria*, *Minana Fesch* itd.

PS 27 marca o godzinie siódmej wieczorem królowa Francji urodziła syna, nazwanego księciem Normandii. Twój bardzo kochający syn, Napoleone di Buonaparte".

Teraz, ledwie tylko wysechł atrament, kiedy rana znów się otworzyła, trzeba zabrać się ponownie do pracy. Żadnych wahań: „Mój ból mi to nakazuje".

Kiedy w początkach września 1785 roku akademik Laplace wchodzi do sali Szkoły Wojskowej przygotowanej na egzamin kadetów zdających do artylerii, Napoleon jest gotów.

Przychodzi jego kolej. Laplace siedzi, ubrany na czarno, z oczami do połowy przesłoniętymi binoklem. Ma surowy wygląd, jego ruchy są poważne, lecz głos łagodny, życzliwy. Jest niezwykle uprzejmy wobec kandydatów, którzy podchodzą sparaliżowani

strachem, wiedząc, że cała ich kariera zależeć będzie od tej odpowiedzi.

Napoleon nie traci głowy. Patrzy na podium, na którym rozstawiono dwie tablice przeznaczone na rysunki i dowody. W oknach zawieszono zasłony z grubego płótna. Stoły ustawione są tak, aby widać było rysunki. Na piętrowych ławkach pokrytych adamaszkiem z Abbeville siedzą oficerowie artylerii, przebywający akurat w Paryżu, dwaj przedstawiciele głównego wizytatora szkół, pułkownik d'Angenoust oraz szef jego biura - komisarz wojny Roland de Bellebrune. Egzamin jest bowiem publiczny.

Napoleon podchodzi. Nerwowymi ruchami kreśli figury. Na pytania odpowiada rzeczowo i precyzyjnie. Pisze równania na tablicach. Zna ze szczegółami cztery tomy *Traktatu matematycznego* Bezouta. Popępnia tylko drobne błędy.

W wynikach ogłoszonych 28 września 1785 r. jego nazwisko jest czterdzieste drugie na liście pięćdziesięciu ośmiu młodych ludzi przyjętych w stopniu podporucznika do wojsk artyleryjskich. Między nimi doliczyć się można zaledwie czterech kadetów ze Szkoły Wojskowej w Paryżu. Wyżej od niego są Picot de Peccaduc na trzydziestym ósmym miejscu i Phélippeaux na czterdziestym pierwszym. Jego przyjaciel Des Mazis jest dopiero pięćdziesiąty szósty.

Napoleon nie posiada się z radości. Chodzi wielkimi krokami po dziedzińcu rekreacyjnym, później po promenadzie. Osiągnął swój cel. Po dziesięciu miesiącach pracy otrzymał pierwszy stopień w armii, nie będzie już uczniem. Kadeci przyjęci razem z nim w stopniu podporucznika są od niego starsi - Picot de Peccaduc i Phélippeaux o dwa lata, Des Mazis o rok.

Jego pierś rozpiera duma. Sylwetka prostuje się. Być może to właśnie jest szczęście. Na krótką chwilę jednak Napoleon się zasepia, myśli o swoim ojcu, ale później znowu duma bierze górę nad smutkiem.

Ci, którzy go wyprzedzili, przygotowywali się do egzaminu przez wiele lat. Jest pierwszym Korsykaninem, który ukończył paryską Szkołę Wojskową. A w „uczonej broni” - artylerii doliczyć się można jeszcze tylko jednego oficera z Korsyki. Jest to pan de Massoni.

Wyróżnił się.

Jego nominacja na podporucznika antydatowana jest na 1 września 1785 roku. Ma wówczas szesnaście lat i piętnaście dni.

Nie upaja się sukcesem. Prosi, aby przeznaczono go do pułku La Fère, który stacjonuje w Valence. Tam także pójść ma jego przyjaciel Des Mazis, którego starszy brat jest kapitanem tego pułku.

Wybór Napoleona nie jest podyktowany względami przyjaźni, lecz chęcią znalezienia się bliżej rodziny i Korsyki, gdyż pułk La Fère wystawia dwie kompanie artylerii, które przebywają na wyspie. Młodzieniec marzy, aby tam go posłano. Minęło już ponad sześć lat, odkąd nie widział Ajaccio.

W jesiennych dniach 1785 roku Napoleon jest szczęśliwy -chyba po raz pierwszy od pamiętnego dnia 15 grudnia 1778 roku, gdy opuścił Korsykę.

Napełnia swój kuferek ubraniami i bielizną, w które szkoła wojskowa zaopatruje podporuczników: dwanaście koszul, dwanaście kołnierzyków, dwanaście par lekkich pantofli, dwanaście chustek, dwie szlafmyce, cztery pary pończoch, para sprzączek do trzewików i para podwiązek. Długo trzyma w rękach szablę, pas i srebrny naszyjnik, który otrzymują wyłącznie kadeci ze Szkoły Wojskowej w Paryżu.

Wyjeżdża w towarzystwie „kapitana bram”, który dozoruje młodych oficerów oraz pokrywa ich wydatki. 28 października 1785 roku może wreszcie spojrzeć na Paryż, w którym dotąd widział tak mało. Bonaparte kroczy wolno, jak na defiladzie zwycięstwa. Składa wizytę arcybiskupowi Autun, Jego Ekscelencji de Marbeufowi, który mieszka na parterze siedziby opatów przy Saint-Germain-des-Pres.

Odbiera gratulacje. Już nie jest obcy. Otrzymał prawo obywatelstwa w tym świecie, w który jako dziecko został brutalnie wrzucony. Nie utonął. Wziął to, co było dla niego użyteczne, nie porzucając tego, co było mu drogie.

Nosi mundur, lecz nie zmienił ani skóry, ani duszy. Zahartował się. Pokonał samego siebie. Nigdy nie spuścił głowy. Trzymał kark sztywno. Nauczył się języka tych, którzy podbili Korsykę, ale za pomocą poznanych słów stworzył własny styl. Nagiął francuskie /dania do nerwowego rytmu swojego charakteru.

Wydarł to, co mu było potrzebne, nie pozwalając się pochłonać.

29 października 1785 roku Lemoyne, kwatermistrz Szkoły Wojskowej w Paryżu, wypłaca 157 liwrów i 16 sou na pokrycie kosztów podróży do Valence kadetom: Bonapartemu, Des Mazi-sowi i Delmasowi - ten ostatni przyjęty został do artylerii jako uczeń.

Nazajutrz, 30 października, Napoleone di Buonaparte w towarzystwie dwóch kolegów wsiada do dylizansu, który zawiezie ich na Południe.

CZĘŚĆ DRUGA

ZAWSZE SAM
POŚRÓD LUDZI

LISTOPAD 1785 - WRZESIEŃ 1789

Rozdział 4

Bonaparte się niecierpliwi.

Zaledwie kilka godzin temu dylizans opuścił Paryż, a już staje w Fontainebleau na obiad. Wszystko się wlecze. Napoleon wychodzi na dziedziniec oberży, gdzie zmienia się konie. Dziś wieczorem podróżni będą nocować w Sens. Des Mazis zapewnia go, że dylizans lionński znany jest w całej Francji ze swej punktualności i sprawnej zmiany koni.

Napoleon oddała się. Kiedy wreszcie nadejdzie czas, gdy będzie mógł pogalopować sam, tak jak robił to na Korsyce jako dziecko, jechać, dokąd zechce, przez nikogo nie powstrzymywany?

Na razie Południe, ku któremu zdążają, wydaje mu się jeszcze bardzo dalekie, jak odsuwający się miraż. Tak bardzo czekał na tę chwilę: znaleźć się bliżej Korsyki i swojej rodziny. Pojechać do domu na pierwszy urlop, po roku służby.

Nazajutrz rano w Sens pierwszy wstaje z łóżka. Kręci się przy woźnicach. Złości się na myśl o wszystkich czekających ich jeszcze etapach: Joigny, Auxerre, Vermanton, Saulieu, Autun.

Przypomina mu się dzień 1 stycznia 1779 roku, kiedy ojciec zostawił go w kolegium w Autun razem z Józefem. Uspokaja się. Droga, którą podążają, prowadzi w stronę morza.

W Chalon-sur-Saône podróżni przesiadają się do dylizansu wodnego i płyną w dół spokojnej Saony aż do Lyonu, a dalej Rodanem. Napoleon stoi na dziobie. Jego włosy rozwiewa wiatr przynoszący nowe zapachy. Niebo jest inne, czyste i głębokie, krajobraz staje się pagórkowaty. Rzeka pieni się w wąwozach wyrzeźbionych w bia-

łym kamieniu. Marynarze są nieokrzesani, mówią językiem, którego brzmienie przypomina Napoleonowi akcent wieśniaków przybywających z głębi wyspy do Ajaccio. Odnajduje te same krzewiaste zarośla, sękate pnie, drzewa oliwkowe co w posiadłości Buonapartych w Milelli.

Oto wreszcie Valence, miejscowość, której domy kryte są dachówkami. To jeszcze nie całkiem jego ojczyzna, ale Napoleon jest już na jej progu, podekscytowany spotkaniem z Południem po przeszło sześciu latach.

Trzej towarzysze udają się do koszar pułku La Fère usytuowanych przy drodze prowadzącej z Lyonu do Prowansji. Wiatr gwiżdże. Po drugiej stronie drogi rozciąga się poligon strzelecki. Żołnierze odbywają ćwiczenia pomimo zaczynającej właśnie siąpić mżawki.

Podpułkownik przedstawia pułk La Fère, którego żołnierze - jak mówi - mają piękną postawę, silne nogi i dobrą figurę. Podporucznicy będą musieli przez trzy miesiące służyć w charakterze zwykłych żołnierzy i podoficerów, aby poznać codzienne życie oddziału, którym mają dowodzić.

Artyleria z La Fère to pułk pracowity i niezmordowany. Wstaje się wcześniej rano. Po ćwiczeniach w strzelaniu odbywają się manewry. W dni targowe, trzy razy w tygodniu, zbiera się żołnierzy na szkolenia teoretyczne, żeby wystrzały z armat nie przeszkadzały wieśniakom i mieszczanom.

- Dobry matematyk? - pyta podpułkownik, zwracając się do Napoleona.

Jeszcze raz odczytuje nazwisko podporucznika: niskiego, bladego, zbyt chudego gołowąsa. Niezbyt zachęcająco wygląda ten kadet, który od razu otrzymał stopień podporucznika. Policzki ma zapadnięte, zaciśnięte wargi. A jednak robi wrażenie na podpułkowniku. Ta twarz wyraża zdecydowanie i upór. Nowy podporucznik jest trudny i nieprzyjemny, ale ma charakter.

Podpułkownik z trudem wymawia jego nazwisko wykaligrafowane w rejestrach pułku jako „Napolionne de Buonaparte”. Kadet zdaje się nie dostrzegać jego wahania. Znowu wydaje się, jakby jego tożsamość była niesprecyzowana i niepewna dla tych Francuzów, którzy przecież mimo to dopuścili go między siebie,

wyróżnili i awansowali. Zasepia się trochę bardziej. On sam wie, kim jest-. Korsykaninem, oficerem armii króla Francji marzącym o powrocie do swej ojczyzny.

Kilka miesięcy później w swoim pokoju u rodziny Bou, w wielkim zeszyte o trzydziestu trzech kartkach, piórem, które zahacza w pośpiechu o papier, gdyż ręka nie nadąza za myślą, Napoleon napisze: „Korsykanie mogli według wszelkich praw sprawiedliwości zrzucić jarzmo Genuieńczyków i tak samo mogą postąpić z jarzmem Francuzów. Amen”.

W wieczór swego przyjazdu Napoleon puka do domku Bou. Drzwi otwiera mu kobieta koło pięćdziesiątki. To Marie-Claude, córka „ojca Bou”. Jest energiczna, usłużna. Pokazuje kadetowi pokój urządony po spartańsku, lecz znacznie obszerniejszy niż te, w których mieszkał w Autun, w Brienne i w Paryżu. Stoi tam stół, na którym Napoleon rozkłada książki i swój wielki zeszyt. Po drugiej stronie ulicy, na parterze „Domu Pod Głowami” Pierre Aurel prowadzi księgarnię. Porucznik Bonaparte może tam zaabonować lektury, wyjaśnia panna Bou.

-Tutaj - dorzucą - pańska bielizna będzie zawsze wyprana i wyprasowana.

Pierwsze noce. Wiatr hula po ciasnych uliczkach. Po napięciu owych dziesięciu miesięcy spędzonych w szkole wojskowej, gdzie chodziło tylko o to, aby odnieść sukces, nagle przed młodym Napoleonem, który nie skończył jeszcze siedemnastu lat, otwiera się nowy sposób życia, konieczność podjęcia obowiązków, komenderowania ludźmi po tym, jak trzeba było słuchać. Pomimo służby, ćwiczeń na poligonie i oficerskich bankietów czas płynie tu w innym rytmie.

Każdego ranka Napoleon wstępuje do ojca Couriol, na rogu ulic Vernoux i Briffaud. Sam wyciąga z blaszanej szuflady nad paleniskiem pieca dwa ciepłe paszteciki. Wypija szklankę wody i rzuca dwa sou sklepikarzowi.

Wieczorami wraz z innymi podporucznikami pułku La Fère jada kolację w oberży „Pod Trzema Gołębiami” przy ulicy Perollerie. Omawia się tam przebieg ćwiczeń wojskowych minionego dnia. Napoleon wypowiada się autorytatywnie: od stycznia 1786 roku

jest tytularnym podporucznikiem, po ukończeniu służby w charakterze żołnierza.

Pewnego ranka w połowie stycznia przebiera się w mundur oficerski: spodnie z błękitnej dzianiny, kurtka z błękitnego sukna, surdut w barwach królewskiego błękitu z kołnierzem i klapami błękitnymi, z wyłogami czerwonymi, naszywkami kieszeni lamowanymi czerwono, z żółtymi guzikami noszącymi numer 64, ponieważ służy w 64. pułku, wreszcie epolety przyozdobione frędzlami ze złotych nici i jedwabiu.

Wrażenie w chwili, gdy Bonaparte zobaczył się w tym zgrabnym mundurze, dopasowanym w ramionach i w talii, jest tak silne, że aż spuszcza wzrok. Czy można doświadczyć większej radości? Czy można nosić piękniejszy mundur?

Kieruje się w stronę koszar. Obejmuje wartość jako oficer na posterunku na placu Clerc, w centrum miasta. Wraz ze swoją kompanią bierze udział w manewrach. Śledzi budowanie baterii. Słucha wykładów z geometrii oraz rachunku różniczkowego i całkowego, a także trygonometrii, jakich profesor Dupuy de Bordes udziela oficerom pułku dla uzupełnienia ich wiadomości. Pobiera też lekcje rysunku, by nauczyć się kreślić plany, przekroje i mapy. A w sali narad oficerowie omawiają wnioski wypływające z ich doświadczeń co do sposobu celowania, ładowania dział, rozmieszczania baterii i min.

Jest uważny, spragniony wiedzy. Czyta traktaty Guiberta i Gribeauvala, teoretyków „nowoczesnej” wojny. Zapytany na temat tych spraw, jak na młodego, siedemnastoletniego podporucznika odpowiada z zadziwiającą ścisłością. Jego głos brzmi sucho, wypowiedzi są lakoniczne. Odgaduje się w nich pasję. Kocha rzemiosło wojenne. Uczy się z taką samą determinacją, z jaką opanowywał *Traktat matematyczny* Bezouta. Czuje się wśród oficerów swobodnie, ponieważ są oni tak samo jak on zafascynowani tą uczoną specjalizacją - artylerią.

Ta trudna wiedza i wysokie wymagania stwarzają pomiędzy nimi więzy serdecznej przyjaźni, które Napoleon docenia. Pomimo swego patriotyzmu korsykańskiego, który nie słabnie, lecz nawet się umacnia, czuje się swobodnie pośród kolegów.

-Artyleria - powie - jest najlepszym korpusem i najlepszym zespołem w Europie. W służbie panują rodzinne stosunki, dowódcy są jak ojcowie i są to najdzielniejsi i najbardziej godni szacunku ludzie na świecie, czyści jak łąza, choć za starzy, ponieważ pokój trwa już nazbyt długo. Młodzi oficerowie śmieją się z nich, gdyż ironia i sarkazm są w modzie, lecz naprawdę uwielbiają ich i robią wszystko, aby oddać im sprawiedliwość.

Jeśli jednak w Valence żyje się Napoleonowi najprzyjemniej, odkąd jako dziecko przybył do Francji, to jest tak dlatego, że to miasto leży już na Południu i ludzie mają tutaj przyjazny charakter.

- Korsykanin? - pytają.

Ma się na baczności. Odpowiada skinieniem głowy. Winszują mu jednak pochodzenia, uznają, że jego akcent, w którym wyczuwa się wciąż włoskie brzmienie, dodaje jego wymowie uroku. Wprowadzają go do miejscowego dobrego towarzystwa.

Stara się nadrobić braki towarzyskie, bierze lekcje tańca i dobrych manier. Pozostaje wciąż niezgrabny i skrępowany. Może jednak przyrzecć się tym szlachcicom francuskim, u których elegancja, dezynwoltura, znakomite maniery i błyskotliwe prowadzenie konwersacji wydają się wrodzone.

Jego mundur często jest wymięty, pognieciony gwałtownymi ruchami ciała. Pozwijany krawat okręca się wokół szyi. Skronie okalają długie, gładko przyczesane włosy spadające aż na ramiona. Jest w nim coś gburowatego i kanciastego. Zamiast prostoty i wdzięku, mieszanina nieśmiałości, dzikości i opryskliwości w słowach i w sposobie bycia.

Przyjmuje go jednak Jacques Tardivon, dawny przeor Platiere i generalny opat zakonu św. Rufusa, któremu polecił go biskup Autun, Jego Ekscelencja de Marbeuf, przedstawiając Napoleona jako młodego oficera z wielką przyszłością oraz jednego ze swych protegowanych. Ojciec de Tardivon przyjmuje go w swojej rezydencji, gdzie gromadzi się szlachta z Valence.

Napoleon pomimo swego wyglądu imponuje im. Jego milczenie intryguje. Jego spojrzenie przyciąga wzrok. Kiedy szwagier opata, pan de Josselin, bywalec rezydencji św. Rufusa i dawny podpuł-

kownik pułku piechoty z Artois, pyta go o coś, Napoleon odpowiada krótko, lecz ta oszczędność słów przykuwa uwagę.

Ten młody porucznik jest niezwykle.

Polecają go miejscowym damom, pani Lauberie de Saint-Germain, pani de Laurencin i pani Grégoire du Colombier, które prowadzą salony. Bonaparte zaczyna bywać w domach, gdzie mówi się po cichu o nowych ideach. Jest zarazem nieśmiały, co urzeka, i odważny, a nawet prowokacyjny w swej szczerości, co rozczuliła owe życzliwe pięćdziesięcioletki. Jest jeszcze taki młody!

Stopniowo przyzwyczajają się do życia towarzyskiego, często odwiedzają wiejski dom pani du Colombier w Basseaux, o trzy mile od Valence. Maszeruje żwawym krokiem po tej prowansalskiej krainie, przypominającej mu zapachy i roślinność Korsyki. Głowę ma nabitą ideami z przeczytanych książek. Wciąż na nowo powraca do dzieł Rousseau. Zna na pamięć całe fragmenty *Marzeń samotnego wędrowca*, *Wyznań*, *Nowej Heloizy*. Sympatyzuje z tym, którego nazywa po prostu Janem Jakubem.

Pani du Colombier mogłaby być panią de Warens, która wprowadziła Jana Jakuba w świat miłości. Napoleon, który dotąd nie poznał miłości, wrażliwy jest na towarzystwo tej wykształconej, uduchowionej i dystygowanej kobiety, która stara się go oczarować.

Siedząc przy niej, młody człowiek zwierza się z zamiaru napisania historii Korsyki. Ona zachwyca się tym pomysłem. Czy czytałeś dzieła księdza Raynala? Opat Tardivon zna tego modnego autora. Kiedy ksiądz przejeżdża z Paryża do Marsylii, zatrzymuje się u niego. Pani du Colombier radzi Napoleonowi napisać do księdza i zamówić książki u Paula Bordego, księgarza z Genewy.

I wkrótce porucznik bierze pióro i każe przysłać sobie dzieła, które mogą „posłużyć za ciąg dalszy *Wyznań* Jana Jakuba Rousseau”. „Poproszę Pana jednocześnie - kontynuuje - o przysłanie mi dwóch tomów *Historii Korsyki* księdza Germanes'a. Byłbym zobowiązany za sporządzenie mi wykazu dzieł dotyczących Korsyki, które Pan posiada bądź mógłby mi szybko sprowadzić. Oczekuję Pańskiej odpowiedzi, aby wysłać tyle pieniędzy, ile będzie potrzeba”.

Zapisuje się, tak jak radziła mu Marie-Claude Bou, do czytelnicy miejscowego księgarza, pana Aurela, i stos książek piętrzy się na

małym stoliku jego pokoju. Czyta. Przeżywa swe lektury. Jan Jakub to jego alter ego, ktoś, kto wyraził to, czego doświadcza młody człowiek, niezdecydowany jeszcze co do swej przyszłości. Czyż Napoleon także nie czuje się inny? Czyż nie bywał nie zrozumiany i wyśmiewany jak Rousseau? Kiedy Napoleon wędruje do Ba-sseaux, czyż nie jest bratem samotnego wędrowca?

Gdy w czerwcu 1786 roku wspina się z kolegą z pułku La Fère na górę Roche-Colombe i upaja pięknem natury, to czyż nie przypomina w tym Rousseau? Napoleon kroczy zamyślony i wzruszony. Odślania się przed nim rozległa panorama. Kontemplując ów bezmiar przestrzeni, czuje się wielki. Pozostaje w zgodzie z Janem Jakubem, kiedy mówi: „Uwielbiam wznosić się ponad horyzont”. Schodzi dopiero o zmierzchu. Zastanawia się, kim zostać. Pisarzem? Filozofem? Prawodawcą, tak jak chciał Rousseau? Autorem, który tak jak tamten, nakreśli umowę społeczną?

Napoleon przechodzi od entuzjazmu do przygnębienia, od ochoty do nieśmiałości. Nie ma jeszcze siedemnastu lat. Jakie będzie to dopiero rozpoczynające się życie? Parę słów wymienionych z panią de Lauberie de Saint-Germain wystarczy, aby go poruszyć. Podziwia jej urodę, jej „cnotę”. Nie sięga dalej. Nie zna miłości fizycznej.

Kiedy pani du Colombier przedstawia mu swą córkę Caroline, z miejsca się w niej zakochuje. Lecz jego wyobraźnia nie wykracza poza stosunki platoniczne. Caroline się rumieni. On blednie. Zwierza się Des Mazisowi, namiętnie zakochanemu w pewnej młodej mieszkance Valence, że on ze swej strony pragnie „uniknąć częstych wizyt, które dostarczyłyby złośliwym powodów do gadania i które zaalarmowana matka uznałaby za coś złego”.

Wystarczy jednak, że pewnego ranka zrywał z Caroline czereśnie w ogrodzie domu w Basseaux, aby przez dłuższy czas był wzburzony. Wieczorem, po powrocie do swego pokoju, odczytuje raz jeszcze fragment *Wyznań*, w których Jan Jakub opowiada, jak w sadzie rzucał kiściami czereśni w dwie młode dziewczęta, a one, śmiejąc się, odrzucały mu pestki.

Nie może zasnąć. Widzi tę scenę. Utożsamia się z pisarzem. Jest młodym człowiekiem zderzającym się z rzeczywistością, której

jeszcze nie zna. Siada za stołem. Czytanie i pisanie to dobre sposoby zrozumienia, kim się jest i co się przeżywa.

Czyta wciąż na nowo listy, które śle do niego z Korsyki jego brat Józef. Boleśnie odżywa w nim tęsknota za rodziną i za jego wyspą, za zapachem mirtu i drzewek pomarańczowych. Marzy o urlopie, do którego ma prawo i który, jeśli zostanie mu przyznany, może się zacząć od pierwszego września 1786 roku.

„Jestem - pisze trzeciego maja tegoż roku - od sześciu czy siedmiu lat z dala od ojczyzny. Jakże wielkiej zaznam rozkoszy, gdy za cztery miesiące znów zobaczę moich ziomków i krewnych! Z tych czułych wrażeń, jakich dostarcza mi wspomnienie rozkoszy mego dzieciństwa, czyż nie mogę wnosić, że szczęście moje będzie wtedy zupełne?”.

Korsyka jest więc idee fixe, niemalże obsesją Bonapartego. Jest ziemią, która cierpi nieprawości okupacji, wyspą, której przymioty opiewał Rousseau, jest jak ukryte w nim podskórne źródło nostalgii za dzieciństwem i rodziną.

Kiedy w czerwcu Napoleon dowiaduje się, że w Tournon, o cztery mile od Valence mieszka jego ziomek, artysta Pontornini, udaje się tam natychmiast, aby porozmawiać o dalekiej ojczyźnie, usłyszeć brzmienie jej mowy. Rodak przyjmuje go z entuzjazmem. Ich spotkanie kończy się dopiero w nocy, a w czasie rozmowy Pontornini szkicuje portret Napoleona, pierwszy, jaki mu kiedykolwiek zrobiono.

Młodzieniec odkrywa swój regularny profil, wydatny i lekko garbaty nos, delikatne usta, długie włosy przykrywające połowę czoła i spadające w sztywnych kosmykach aż do ramion. Wygląda na młodzieńca o zamyślonym spojrzeniu, poważnego i pełnego godności. W prawym dolnym rogu portretu Pontornini pisze: *Mi caro amico Buonaparte, Pontornini, del 1785, Toumone*, „Memu drogiemu przyjacielowi Buonapartemu, Pontornini, roku 1785, w Tournon”.

Spotkanie to jeszcze bardziej podsycia pragnienie powrotu do ojczyzny. W niecierpliwym oczekiwaniu na dzień, w którym znajdzie się wreszcie na wyspie, Napoleon zaczyna pisać, ze spontanicznością młodego człowieka i z siłą myśli zmuszonej do wynajdowania swego stylu. Język francuski, który Napoleon stara się

zmusić do posłuszeństwa, świadczy o głębokim i owocnym wpływie, jaki niemalże wbrew jego woli wywarł na nim ten kraj, stający się jego drugą ojczyzną. Jednak używa tego języka, aby wyrazić swe bolesne rozdarcie.

Jest oficerem francuskim i jest z tego dumny. Jak powie później, uważał za „honor być zwykłym podporucznikiem artylerii”.

Ale jednocześnie jest patriotą korsykańskim! Marzy o znalezieniu się w ojczyźnie i siedząc w swym pokoju, współczuje jej, a zarazem buntuje się przeciwko losowi zgotowanemu Korsykanom. „Górale, kto zburzył wasze szczęście? - pisze. - Ludzie pokojowi i cnotliwi, którzy pędziliście szczęśliwe dni na łonie waszej ojczyzny, jakież barbarzyński tyran zburzył wasze domostwa?”

To oskarżenie zwrócone jest pod adresem Genui. Ale niepokoi go także sytuacja spowodowana zwycięstwem francuskim: „Jaki spektakl ujrzę w moim kraju? Rodaków w kajdanach, ze straciłem całujących tę rękę, która ich ciemieży. To nie są już ci dzielni Korsykanie, których słynny bohater ożywił swoimi cnotami, wrogowie tyranów i bogactwa, ale nikczemni dworacy”.

Czy mógł przy tym nie pomyśleć o swoim ojcu, który był towarzyszem Pasquale Paolego, a później, gdy zwyciężyli Francuzi, stał się klientem gubernatora de Marbeufa i który swych synów posyłał do francuskich szkół?

„Jakże dalecy od natury są ludzie! - pisze Napoleon. - Jacy są tchórzliwi, nikczemni, służalczy!”.

Jego gniew obraca się przeciw tym, którzy tak upodlili jego naród. „Francuzi, nie dość wam, że wydarliście nam wszystko, co miłowaliśmy, to jeszcze zepsuliście nasze obyczaje”, pisze pełen oburzenia. „Obecny stan mej ojczyzny i niemożność odmienienia go staje się więc jeszcze jednym powodem, aby uciec z ziemi, gdzie obowiązek zmusza mnie do oddawania czci ludziom, których każe mi nienawidzić moje poczucie sprawiedliwości”.

Wstaje, spaceruje po pokoju. Powtarza frazę: „Obowiązek zmusza mnie do oddawania czci ludziom, których każe mi nienawidzić moje poczucie sprawiedliwości”. Deklamuje ją tak, jakby chciał jeszcze bardziej cierpieć z powodu swego rozdarcia, którego nie potrafi przekreślić i które w romantycznej wrażliwości siedemnastolatka musi prowadzić do rozpacz.

Wychodzi, przemierza ulice Valence, wstępuje do oberży „Pod Trzema Gołębiami”, je kolację z kolegami oficerami i wciąż zasepiony wraca do domu rodziny Bou, i znów chwyta za pióro. „Zawsze sam wśród ludzi - pisze - wracam, aby marzyć w samotności i oddawać się z całą intensywnością mojej melancholii. W którą stronę zwróciła się ona dzisiaj? W stronę śmierci [...]. Jakie szaleństwo popycha mnie, bym pragnął własnego unicestwienia? Bo cóż robić na tym świecie? Ponieważ muszę umrzeć, czyż nie lepiej byłoby się zabić samemu?”.

Chwilowa słabość? Roztkliwianie się nad sobą młodego człowieka? Napoleon jest rozdarty, ponieważ jeszcze nie wie, że potrafi zapanować nad wewnętrznym napięciem. Ma pragnienie absolutu, jakiejś sprawy, która go porwie i zmusi do podjęcia wielkich wyzwań. Dotychczas miał przed sobą tylko jeden cel: otrzymać stopień oficera. Osiągnął go. Dokąd zwrócić się teraz, gdy znalazł się na progu życia?

W stronę Korsyki! Wziąć na siebie misję wyzwolenia ojczyzny, stać się jej mścicielem.

Lecz w głębi duszy już w to powątpiewa. We Francji spędził tyle samo czasu co na wyspie. Tutaj wyrósł z dzieciństwa, tu ukształtowały się jego poglądy. To tutaj wykonuje zawód żołnierza, który kocha.

W koszarach w Valence gromadzi się żołnierzy z pułku La Fère. Wybuchły zamieszki wśród robotników jedwabnych w Lyonie. Trzeba udać się tam, by zaprowadzić porządek. Drugi batalion z La Fère, do którego należy kompania Bonapartego, wyrusza i zakłada kwaterę w Vaise, na przedmieściach Lyonu, w pobliżu robotniczej dzielnicy Bourgneuf. Oddział wojska ma rozproszyć buntowników, którzy żądają podwyżki płac o dwa sou. Trzech spośród nich zostanie powieszonych.

Napoleon stanął na wysokości zadania. Niecierpliwie pragnie jak najszybszego przywrócenia porządku, gdyż jego wyjazd na urlop na Korsykę zaplanowany jest na 1 września 1786 roku. Nie będzie opóźnienia, może jechać - batalion wrócił do Valence o wyznaczonej porze.

Napoleon podąża doliną Rodanu ku ujściu rzeki. W miarę jak zbliża się do morza, jego wyobraźnia się rozpała. Z uniesieniem

obserwuje po drodze zabytki rzymskie i przyrodę jaśniejącą w jesiennym słońcu. „Dalekie góry jak czarna chmura wieńczą rozległą równinę Tarascon, gdzie leży pogrzebanych sto tysięcy Cymbrów - pisze. - Rodan wpada do morza, szybszy niż strzała, po lewej stronie widać drogę, dalej małe miasteczko, na łące pasie się trzoda”.

I w końcu morze, port, statek, który zawiezie go na wyspę dzieciństwa.

Rozdział 5

Stojąc na dziobie statku, Napoleon rozpoznaje najpierw zapachy swej wyspy.

Tego dnia, 15 września 1786 roku, dobiega końca podróż rozpoczęta ponad dwa tygodnie wcześniej w Valence. Lecz marzył o tej chwili od siedmiu lat i dziewięciu miesięcy - jak oblicza, patrząc na rysujące się o świcie fioletowe szczyty gór na wyspie i ukazujące się mury twierdzy w Ajaccio.

Miesiąc temu skończył siedemnaście lat. Wdycha aż do dna płuc ten wonny powiew, nieomal letni, pełen zapachu mirtu i drzewek pomarańczowych, o których pisał w swoich listach Józef.

I gdy marynarze rzucają cumy, pierwszym człowiekiem, którego Napoleon spostrzega, jest jego starszy brat biegnący w stronę trapu. Należy powstrzymać łzy. Napoleon schodzi powoli, patrząc po kolei na matkę i babki: *Minanna Saveria* i *Minanna Francesca*, *Zia Gertrudę* i głośno szlochająca piastunka *Camilla Ilari*.

Otaczają one swego *Rabiilione*, później odstepując nieco, aby podziwiać błękitny mundur z czerwonymi wyłogami. *Rabiilione* oficerem?

Letycja Buonaparte idzie pod rękę ze swym synem. Z drugiej strony kroczy Józef. Za nimi młodsi bracia i siostry, Ludwik, Paulina, Karolina, a najmłodszy Hieronim, który ma zaledwie dwa lata, trzyma się swojej piastunki. Przyszli wszyscy. Dźwigają wielki kufer, tak ciężki, że z trudem podnosi go dwóch mężczyzn. Józef pyta, co jest w środku, ale jeszcze zanim usłyszy odpowiedź brata, odgaduje, że wypełniają go książki. To najcenniejsze dobro młod-

szego brata, który próbując panować nad swymi uczuciami, wypytuje już o sytuację w rodzinie.

Jak się miewa archidiakon Lucjan, bogaty stryjeczny dziadek, który zgodził się wziąć w swoje ręce sprawy rodzinnego klanu po śmierci Carla Buonaparte?

Skarżą się, że jest chory, leży w łóżku, boli go głowa, ma kolana i kostki opuchnięte od artretyzmu, nie może się poruszyć, ale apetyt ma dobry, jest gadatliwy, myśli jasno, liczy dokładnie, niestety jest bezwładny, przeszywają go okropne bóle, gdy tylko próbuje postawić stopę na ziemi.

Letycja zdążyła się już podzielić z synem kłopotami finansowymi, troską o przyszłość czworga najmłodszych dzieci, także o Lucjana, który wciąż jest uczniem w niższym seminarium w Aix. Pochyla się ku niemu i zniża głos. A co z Józefem, najstarszym? Zamierza wyjechać do Pizy, aby tam studiować prawo i kiedyś, gdy zostanie już doktorem praw, objąć może stanowisko, które w Stanach Generalnych Korsyki zajmował ich ojciec.

Od pierwszego kroku na rodzinnej ziemi Napoleon wie, że jest głową rodziny, tym, który ma „stanowisko”, którego się podziwia, lecz od którego oczekuje się także pomocy, rady i ochrony.

Jest zaledwie od pięciu dni na wyspie, gdy do domu Buonapartych przychodzi wiadomość o śmierci pana de Marbeufa 20 września 1786 roku w Bastii. We wzroku Letycji widać smutek. Kto będzie im teraz pomagać, popierać starania o subwencję dla szkółki drzewek morwowych, o stypendia dla dzieci?

Napoleon uspokaja matkę: niech dadzą mu trochę czasu. Ma sześciomiesięczny urlop. Zajmie się domem, interesami rodziny. Matka przyciska go do piersi. To syn, do którego ma zaufanie. Można mieć w nim oparcie. I siedemnastoletni młodzieniec z dumą dźwiga brzemię obowiązku. Sprostą temu wyzwaniu. To jego powinność.

Każdego ranka o świcie wyrusza z domu pieszo albo konno. Udaje się do folwarku Milleli. Tam bawił się jako dziecko. Każdy skrawek ziemi nosi ślady jakichś wspomnień.

Przemierza gęsty gaj oliwny. Zagląda do groty, której sklepienie podtrzymują dwie ogromne granitowe skały. Czyta pod wielkim

dębem, który w dzieciństwie służył mu za punkt orientacyjny, pozwalający znaleźć drogę wśród drzewek oliwnych.

Przynosi któryś z tomów ze swego kufra. Jednego dnia czyta ponownie Płutarcha, innego - Cyncerona albo Tytusa Liwiusza, Tacyta bądź Montaigne'a, Montesquieugo czy księdza Raynala. Czasem wspólnie z Józefem deklamuje Corneille'a, Voltaire'a albo jakieś stronicie Rousseau.

- Czy wiesz - zwierza się Napoleon swemu bratu - że jesteśmy dzięki temu mieszkańcami świata idealnego?

Teraz te lektury nie stanowią już ucieczki, jak w okresie samotności na kontynencie.

Korsyka nie tylko nie rozczarowuje Napoleona, lecz przeciwnie - napelnia go zachwytem. Schodzi ścieżkami nad morze. Oczekuje, aż słońce „rzuci się w łono nieskończoności”. Józef zastaje go czuwającego na szczycie skały, z łokciami opartymi na podciągniętych kolanach, medytującego z poważną twarzą, podczas gdy noc pogrąża niebo w ciemności.

Zrywa się z miejsca. Jest, jak oświadcza, „poruszony elektrycznością natury”. Wieczorem przy rodzinnym stole wychwala tę wyspę „ozdobioną wszelkimi darami”. Ale Letycja wpada mu w słowo:

- Nic, zupełnie nic się tutaj już nie dzieje - mówi.

Napoleon wie o tym. Kim byłby bez szkół w Brienne i w Paryżu? Został jednak oficerem armii francuskiej. To w królestwie robi się karierę.

Wraca do swego pokoju i pisze. Nie porzucił zamiaru pisania historii Korsyki, ale już w pierwszych dniach ze zdziwieniem i niepokojem odkrył, że całe obszary dialektu korsykańskiego zniknęły z jego pamięci. Kiedy wieśniacy czy pasterze o coś go pytają, nie rozumie ich dobrze i trudno mu z nimi porozmawiać.

Kim się stał mimo woli? Francuzem? Po francusku czyta pełen emocji i entuzjazmu, ale to język literacki. Pisze także po francusku. Kiedy jednak zabłądził w korsykańskich górach i napotkany pasterz użyczył mu baraniej skóry, aby ogrzał się w nocy, i podzielił się z nim serem i szynką, Napoleon jest dumny, że należy do tak gościnnego ludu. Obserwuje tych ludzi szorstkich i energicznych, lecz szczodrych, którzy przyjmują go z ufnością, wcale się nie troszcząc o to, kim jest.

Ich twarze i głosy sprawiają, że odżywają wspomnienia dzieciństwa.

Po kilku dniach bez trudu mówi w ojczystym dialekcie. Usiłuje nawet odnowić swą znajomość włoskiego, który całkiem już zapomniał.

W szałasie pasterza, przy ogniu, Napoleon zachęca do snucia opowieści. Upaja się sztuką słowa dojrzewającego w długim milczeniu i anegdot, które mają siłę symbolu. Kiedy powraca do swych lektur i kiedy siedzi „w cieniu drzewa pokoju i drzewa pomarańczowego”, jest jeszcze bardziej zdecydowany, by związać swą przyszłość z losem wyspy, „sceny jego najwcześniejszych dni”.

Zbliża się matka. Napoleon wstaje. Siadają obok siebie. Ona trzyma się prosto. Jest piękną kobietą, ma dopiero trzydzieści siedem lat, lecz jej figurę zdeformowało dwanaście ciąż. Twarz pozostała jednak wyniosła, poorana zmarszczkami cierpienia, żałobami po martwo urodzonych dzieciach, żalobą po mężu. Ma stanowcze spojrzenie i postawę.

-Jesteś duszą naszej rodziny - mówi do Napoleona. - Trzeba coś przedsięwziąć. Archidiakon czuje się źle, a to on podejmuje zawsze decyzje. Co robić z pepinierą?

W 1782 roku Carlo Buonaparte otrzymał od intendenta królestwa koncesję na uprawę drzewek morwowych. Obiecano mu 8 500 liwrow zaliczki, w zamian za to miał po pięciu latach, w roku 1787, rozprowadzać drzewa. Carlo jednak otrzymał tylko 5 800 liwrow, gdy w maju 1786 roku kontrakt został wypowiedziany, ministerstwo odstąpiło bowiem od projektu. Tymczasem Letycja Buonaparte założyła już plantację.

Napoleon słucha, oblicza, jego twarz jest poważna. Państwo winne jest jego rodzinie 3 050 liwrow. Uspokaja matkę. Będzie walczyć o wypłacenie tych pieniędzy, choćby musiał w tym celu poprosić w swoim pułku o nowy urlop, aby przedsięwziąć tu, na Korsyce, stosowne kroki.

Zresztą powinien także zatroszczyć się o zdrowie archidiakona, omówić z nim przyszłość folwarku w Milleli. Potrafi tak przechodzić od marzycielskiej melancholii do precyzyjnej organizacji, przeskakiwać od projektu pisania historii Korsyki do ostrych sporów z archidiakonem.

Składa mu wielokrotnie wizyty. Napoleon ocenia wpływy człowieka według tego, z jakim respektem traktują go inni. Archidiakon na Korsyce to tyle co biskup we Francji, myśli.

Archidiakon leży w łóżku. Zrzędzi, skarży się. Sprzeciwia się projektom Napoleona, który chciałby eksploatować posiadłość Milleli, podczas gdy on uważa, że straci się tam tylko pieniądze bez żadnego pożytku.

Młodzieniec i sześćdziesięcioośmioletni archidiakon spierają się o to, jaki los powinien przypaść w udziale znajdującym się na wyspie kozom.

-Trzeba na nie polować - mówi Bonaparte. - Niszczą tylko drzewa.

Arcliidiakon, który ma wielkie stada owiec, oburza się:

- Oto wasze filozoficzne pomysły, polować na korsykańskie kozy!

Rozmowa się urywa. Archidiakon wyje z bólu. Pokazuje na swoje kolana, na kostki.

1 kwietnia 1787 roku, po jednym z takich spotkań, Napoleon pisze do doktora Tissota, znanego lekarza, „członka Towarzystwa Królewskiego w Londynie, Akademii Medyczno-Fizycznej w Bazylei oraz Towarzystwa Ekonomicznego w Bernie”. Jest on szczególnie podziwiany na Korsyce, ponieważ stwierdził, że Pasquale Paoli dorównuje Cezarowi i Mahometowi.

„Spędził Pan swe życie na nauczaniu ludzkości i Pańska sława przeniknęła aż w góry Korsyki, gdzie niewiele stosuje się medycyny.

Prawdą jest, że krótka, lecz świetna pochwała, jaką wypowiedział Pan pod adresem ukochanego wodza Korsykan, jest wystarczającym powodem, by przepelniła ich wdzięczność, o której z przyjemnością mogę zaświadczyć w imieniu wszystkich moich ziomków.

Ośmielam się naprzykrzać Panu i prosić o Pańską radę dla jednego z moich wujów, który cierpi na artretyzm [...]. Wuj ma niezwykle małe stopy i ręce oraz dużą głowę [...]. Sądzę, że mając niejaką skłonność do egoizmu, znalazł się on w tej szczęśliwej sytuacji, że nie musiał rozwinąć całej ich siły [...]. Artretyzm dosięgnął go, kiedy miał trzydzieści dwa lata [...]. Okrutne bóle wystąpiły

w kolanach i stopach, czego skutki odczuła także głowa [...]. Je dobrze, dobrze trawi, czyta, śpi, jego dni płyną, lecz bez ruchu, bez możliwości cieszenia się pieśczętą słońca. Błaga on o ratunek ze strony Pańskiej nauki [...].

Ja sam od miesiąca nękany jestem zimnicą, co sprawia, że wątpię, czy uda się panu odczytać te gryzmoły".

Istotnie, pismo Napoleona jest jeszcze bardziej zamazyste i nierówne niż zazwyczaj.

Zresztą później, 31 kwietnia 1787 roku, skieruje on do swego pułkownika zaświadczenie o chorobie podpisane przez chirurga z Ajaccio i poprosi o pięcioipółmiesięczny urlop, licząc od 16 maja 1787 roku. „Ze względu na mój niewielki stan posiadania i kosztowną kurację - uściślał - proszę, aby przyznano mi urlop z wynagrodzeniem".

Odpowiedź ministerstwa była przychylna. Urlop został przedłużony do 1 listopada 1787 roku.

Młodzieniec wie, że jeśli jego zabiegi, by z urzędów w Paryżu wydostać 3 050 liwrow należnych jego rodzinie, mają doprowadzić do celu, to musi się udać do stolicy.

Matka namawia go do podróży i cieszy się, kiedy Napoleon otrzymuje urlop. On jednak przez kilka tygodni waha się z wyjazdem. W tym czasie odzywa się niewiele, jakby całą jego energię pochłaniały próby odpowiedzi na pytania, jakie sobie stawia, usiłowanie rozstrzygnięcia rozdzierającego go dylematu: Francja czy Korsyka, Francja i Korsyka. Jak przeciwstawić jedną drugiej, kiedy zależny jest od jednej, a przywiązany do drugiej?

Matka wypytuje go. Niepokoi ją jego gorączka.

Napoleon ukrywa się, błądzi wśród makii, spędza noce z pasterzami, obserwuje niebo, zatapia w nim wzrok, medytuje w ciszy. Znów ogarnia go melancholia.

Wreszcie na początku września 1787 roku oznajmia matce, że jedzie do Paryża. Po dwóch tygodniach wsiada na statek do Tulonu. Wiatr jest silny, raczej ostry niż nasycony woniami wyspy. Napoleon ma osiemnaście lat i miesiąc.

Rozdział 6

Napoleon przypatruje się kobietom. Odkąd przybył do Paryża, na nic więcej nie zwraca uwagi. Ma wrażenie, że prawie się o niego ocierają w wąskiej uliczce Four-Saint-Honoré w dzielnicy Hal, usytuowanej między ulicą Coquillière i ulicą Faubourg-Saint-Honoré, gdzie zamieszkał. Zatrzymał się w hotelu Cherbourg.

Patrzy na kobiety z taką natarczywością, że oglądają się za nim, a czasem go prowokują; już kilka razy kusiło go, aby którąś zaczepić. Powstrzymał się jednak w ostatniej chwili. Uciekł szybkimi krokami, wrócił do hotelu, biegiem przebył dwa piętra, pchnął drzwi pokoju i oparł się o nie, aby odzyskać oddech.

Siada przy stole. Zaczyna pisać gorączkowo, wręcz z pasją. Redaguje szczegółowy memoriał dla generalnego kontrolera, przytaczając wszelkie dokumenty dotyczące szkółki drzewek morwowych, przedstawiając argumenty. Zapewnia, że jego ojciec podjął się tej sprawy z patriotyzmu i w trosce o dobro publiczne.

Ale jego myśli ulatują, coś tętni w nim niespokojnie i zmusza do ponownego wyjścia. Miasto jest tutaj, ofiarowuje się jego młodej wolności. Chodzi po bulwarach, włóczy się po galeriach Palais--Royal, gdzie w półmroku tłoczą się kobiety, podniecające, bezwstydne, o wyglądzie „grenadierów”, wulgarne i prowokujące.

Ma osiemnaście lat. Przechadzające się prostytutki zaczepiają go. Odgadują, czego tu szuka, taki młody, w pomiętym mundurze, z gładkimi włosami, z tym chciwym i nieśmiałym spojrzeniem.

Czy pójdzie?

Waha się. Odchodzi. Zaczepia jedną z nich z udawaną obojęt-

nością. Chce wiedzieć, dlaczego wybrały taki zawód. Zbývają go grubiańsko. Czego chce ten chudzinka, ten mały poruczniczyna? Porozmawiać? Śmieją się szyderczo. Głupie krowy, myśli.

Wraca do siebie. Ale krew w nim pulsuje. Jest po raz pierwszy w życiu wolny, może iść za własną ciekawością, ulegać swoim pragnieniom.

Już nie jest - jak w garnizonie w Valence - młodym oficerem obserwowanym przez czujne matki; tam jeden śmiały gest wobec ich córek sprawiłby niechybnie, że przestano by go przyjmować na salonach.

Już nie jest pełnym szacunku synem, którego matka, ciotki, mamka, babki - cała socjeta korsykańska, skoligacone rodziny zmuszają do skrupulatnego przestrzegania obyczajów i zasad dobrego wychowania.

Znalazł się sam w mieście, gdzie ma się wrażenie, że wszystkie kobiety są do zdobycia, kupienia. A on, który nigdy dotąd nie zaznał rozkoszy ciała, udręczony jest widokiem wyeksponowanych wdzięków. Zmusza się jednak do walki, do pohamowania swego pożądania.

Od swego przyjazdu do Paryża jeździł „dylizansami dworskimi”, które za umiarkowaną cenę kursują aż do Wersalu. Koczek jest wygodny, lecz powolny. Potrzeba pięciu godzin, aby dotrzeć z Paryża do miasta dworu i urzędników.

Napoleon wyczekuje w przedpokojach Ministerstwa Finansów, a gdy w końcu zostaje przyjęty, naprzykrza się urzędnikom, każe otwierać akta, stwierdza, że nie istnieje żaden dokument odnoszący się do szkółki, dziwi się temu, nie chce dać za wygraną. Dlaczego dokumenty zniknęły? W grę wchodzi los całej rodziny. Dzięki naleganiom, listom i wizytom w Wersalu uzyskuje audiencję u ministra, Jego Ekscelencji cle Brienne, arcybiskupa Tuluzy. Jest natarczywy, zadziwia ministra nieustępliwością, która przebija z jego tonu pełnego szacunku.

Po powrocie do Paryża pisze do niego, raz jeszcze przedstawiając wszystkie argumenty i dając upust swemu oburzeniu i rozdrażnieniu. „Ostatecznie - stwierdza - chodzi tylko o pewną sumę pieniędzy, która nie zrekomensuje nigdy tego upodlenia, jakiego

człowiek doświadcza, widząc na każdym kroku swoje poddaństwo". Na koniec stwierdza, że jeśli należne odszkodowanie zostanie przyznane, Jego Ekscelencja de Brienne zyska sobie tym wdzięczność Napoleona oraz przede wszystkim „owo wewnętrzne zadowolenie, które jest rajem człowieka sprawiedliwego”.

Czeka na odpowiedź. Wałęsa się po Paryżu, chodzi do teatru, upaja się światłem i ową atmosferą miasta o swobodnych obyczajach, gdzie człowiek czuje się anonimowy i gdzie jedynym jego hamulcem jest moralność, wewnętrzne poczucie obowiązku oraz wzniosłe zajęcia, do których powraca, będąc sam w pokoju, chwytając za pióro i puszczając wodze fantazji.

Pisze rozprawę, w której porównuje Spartę i Rzym, umiłowanie sławy właściwe monarchiom i umiłowanie ojczyzny będące cnotą republikańską. Oddaje hołd Anglikom, którzy przyjęli nie tylko Pasquale Paolego, ale także barona de Neuhoffa, który w 1753 roku wyzwolił Korsykę spod okupacji genueńskiej. Pisze - i nie są to jedynie frazesy, ale słowa pełne pasji, jak pisarz, który pozwala działać swej wyobraźni, gdy wymyśla list barona de Neuhoffa do angielskiego męża stanu Horacego Walpole'a.

Korsyka i jej los pobrzmiewają w tych zdaniach.

„Sprzedajność wieku męskiego nie zbruka mego pióra - pisze o jedenastej wieczorem w swoim pokoju w hotelu Cherbourg w listopadzie 1787 roku. - Oddycham jedynie prawdą, czuję siłę, aby to rzec. Drodzy rodacy, zawsze byliśmy nieszczęśliwi. Dziś wcieleni w skład potężnej monarchii, jej rządy odczuwamy jedynie poprzez przywary jej ustaw i nieszczęśni nie spodziewamy się ulgi w naszych cierpieniach, jak dopiero z biegiem wieków”.

Wstaje odurzony zdaniem, które deklamuje. Kręci się po pokoju i pomimo późnej godziny nie może zasnąć.

Poprosił o następny sześciomiesięczny urlop, aby „wziąć udział w obradach Stanów Generalnych Korsyki, mojej ojczyzny, by dyskutować tam o prawach decydujących o jej skromnym powodzeniu, do czego czuję się na tyle zobowiązany, że pokryję koszty podróży w obie strony, na co bym się nie zdobył bez absolutnej konieczności”.

Otrzymał przedłużenie od 1 grudnia 1787 roku do 1 czerwca

1788 roku. Opuści więc Paryż i powróci na Korsykę, do rodziny. To jego obowiązek. Matka została sama z najmłodszymi dziećmi. Starszy syn Józef jest w Pizie, gdzie rozpoczyna studia prawnicze. Le-tycja potrzebuje Napoleona. Powinien tam na miejscu spróbować doprowadzić do końca starania, które podjął w Paryżu.

Musi więc porzucić to miasto, gdzie można patrzeć na kobiety i je zaczepiać. Czuje, że w jego ciele osiemnastoletniego mężczyzny narasta pożądanie.

Znów wychodzi.

W czwartek, 22 listopada, wybiera się do teatru włoskiego. Po skończonym przedstawieniu przechadza się wielkimi krokami najpierw po alejkach ogrodów Palais-Royal, później, ponieważ chłód jest dojmujący, po galeriach. Panuje tu tłok, wolno przechadzają się samotni mężczyźni w poszukiwaniu kobiety i samotne kobiety w poszukiwaniu klienta.

Napoleon zatrzymuje się na wysokości ogrodzenia. Spostrzega dziewczynę o bladej cerze. Nie wątpi, że jest ona jedną z tych dziewcząt, z którymi usiłował już rozmawiać pod pretekstem zrozumienia tego, co nazywa „ohydą ich stanu”. Wszystkie dotąd okazywały się aroganckie i go odtrącały.

Ta jest inna. Jej nieśmiałość zachęca go. Zamieniają parę słów.

- Zmarła pani - odzywa się Napoleon. - Jak mogła się pani zdecydować na chodzenie tymi alejami?

-Trzeba zakończyć wieczór, trzeba żyć - odpowiada.

Okazuje się, że pochodzi z Nantes.

- Proszę mi powiedzieć, jak straciła pani niewinność - mówi bez ogródek Napoleon.

Ona odpowiada łagodnie:

- Zabrał mi ją jeden oficer.

Nienawidzi go. Musiała uciec od swej rozgniewanej rodziny. Później przyszedł drugi i trzeci mężczyzna.

Naraz dziewczyna bierze pod rękę Napoleona.

- Chodźmy do pana - mówi.

- Ale co będziemy robić?

- Ogrzejemy się i nasyci pan swe pożądanie.

To jest to, czego on chce.

W nocy, kiedy znowu znalazł się sam, chodzi wzdłuż i wszerz po swym pokoju w hotelu Cherbourg. Wreszcie, aby się uspokoić, zaczyna pisać: „Wyszedłem z teatru włoskiego i przechadzałem się wielkimi krokami po alejkach Palais-Royal [...]”. Opowiada, co właśnie przeżył. „Drażniłem się z nią, aby nie umknęła [...] udając obyczajność, której braku miałem zamiar jej dowieść [...]”.

Wiele słów, aby opisać tylko to, że nie ośmielił się przyznać, że nigdy wcześniej nie miał kobiety!

Otrzymał jednak w końcu to, czego chciał. Stał się teraz mężczyzną. Może już wracać do Ajaccio.

Rozdział 7

Jest pierwszy stycznia 1788 roku.

Napoleon zasiada naprzeciw matki w wielkim pokoju na parterze rodzinnego domu.

Zszedł na ląd w Ajaccio niespełna dwie godziny temu i przez całą drogę z portu do domu matka opowiadała - poważnie, bez lamentowania, raczej ze złością w głosie, z nutą głuchego oburzenia.

Kiedy młodsze rodzeństwo Napoleona: Ludwik, Paulina, Karolina i Hieronim - z których najstarszy, Ludwik, ma zaledwie dziesięć lat, a najmłodszy, Hieronim, dopiero skończy cztery lata -wybiega z pokoju, matka powraca do rozmowy. Maluje obraz ich życia od czasu wyjazdu Napoleona do Paryża.

Syn słucha jej z poważną twarzą. Choć nie daje tego po sobie poznać, dostrzega wielką różnicę, jaka dzieli jego pierwszy powrót na Korsykę od obecnego.

Już sama podróż morska była inna. Między Marsylią a Ajaccio silny, zimny wiatr nieustannie podnosił wysokie fale, które uderzały statek z taką częstotliwością, że brzmiało to jak bicie bębna na alarm.

Napoleon, jak to miał w zwyczaju, stał na pokładzie. I od razu po wejściu do portu dostrzegł swą matkę wyprostowaną i ubraną na czarno.

Tym razem, kiedy trap rzucono, nie było okrzyków radości. Bracia i siostry pobiegli w stronę starszego brata, który nareszcie powraca, ale Letycja zawołała ich z powrotem. Żadnych wybu-

chów entuzjazmu na widok munduru oficerskiego, tylko niespokojne pytania.

- Co ci obiecali, synu, w biurach ministerstwa?

Wyjaśnia. Wyraża nadzieję, że uda się uregulować kwestię szkółki drzew morwowych. Przyznaje jednak, że nie otrzymał w istocie żadnej odpowiedzi na swój szczegółowy memoriał. Złoży więc tutaj, na wyspie, wizytę intendentowi królewskiemu, panu de la Guillaumye'owi, który rezyduje w Bastii.

Matka, już po drodze z portu, a potem w wielkim pokoju w domu przedstawia mu kłopoty. Napisała zresztą w tej sprawie do najstarszego syna Józefa, który studiuje prawo w Pizie.

- Nie mamy służącej - mówi.

Prosiła Józefa, aby znalazł jakąś służącą i przywiózł na Korsykę. „Ma zajmować się kuchnią, umieć szyć i prasować, i ma być oddana” - pisała mu w liście.

Podnosi dłoń i pokazuje Napoleonowi.

- Od czasu, gdy coś mi się stało w palec, nie mogę nawet nic zacerować.

Napoleon milczy. Rozziew między tym, co jest, a tym, czego się oczekuje, jest tak ogromny. Czy to ma być życie?

Przypomina sobie tamtą dziewczynę z Nantes, którą posiadał w zbyt krótkim zbliżeniu w pokoju hotelu Cherbourg. Kiedy wyszła, pozostało mu uczucie niezaspokojenia, goryczy, niezadowolenia i wstydu za siebie samego. Uważał się dotąd za „zbrukanego samym spojrzeniem” któreś z tych kobiet, których sytuację uważał za „haniebną”. A jednak przyciskał tę dziewczynę do swego ciała i to z nią odkrył rozkosz fizyczną.

Rozkosz? Miłość? Więc to tylko tyle? Zawsze musi być tak wielka przepaść między marzeniem i spełnieniem? A sytuacja rodziny zawsze musi być taka ciężka, jak opisuje matka?

Ślucha, kiedy ona wylicza wydatki. Dzieci są małe. Paulina ma dopiero osiem lat, Karolina sześć. Trzeba płacić za utrzymanie Lucjana w niższym seminarium w Aix. Trzeba finansować potrzeby Józefa, jego pobyt w Pizie dużo kosztuje. Powiedziała mu zresztą, aby „wydawał jak najmniej”. Jest jeszcze dwadzieścia pięć ludwików długu, który zaciągnął Carlo Buonaparte u namiestnika królewskiego du Rosela de Beaumanoira.

-Twoja podróż do Paryża... - ciągnie, ale zaraz urywa i dorzuca tylko: - Znasz sytuację rodziny.

Oto rzeczywistość.

Tamto miasto pozostało daleko: Paryż, „centrum rozkoszy”. Przypomina mu się to określenie i Napoleon mruczy je sobie pod nosem jak marzenie albo wyrzut, podczas gdy matka tłumaczy mu, o co powinien zabiegać u królewskiego intendenta. Trzeba wystarać się dla Ludwika o stypendium w jednej ze szkół wojskowych. Trzeba zażądać zapłaty za cztery tysiące drzew morwowych, które Letycja Buonaparte dostarczyła, stosując się do zarządzeń intendenta. Trzeba, trzeba...

I to ma być życie?

Ale nawet jeżeli jest takie, to nie można od niego uciec.

Napoleon pisze do królewskiego intendenta. Złoży mu też wiele wizyt w jego rezydencji w Bastii.

Te podróże na północ wyspy, te długie konne wędrówki są najszcześniejszymi chwilami jego pobytu. Czasem, gdy droga na to pozwala, puszcza konia w galop, lecz najczęściej posuwa się stępą z boczem góry, odkrywając nowe widoki i pozwalając myślom błądzić, powracać do Paryża, do galerii Palais-Royal, do tamtego spotkania z „kobietą” - jak nazwał ją w swych zapiskach - a często zdarza mu się odczytywać na nowo ten fragment napisany zaraz po wyjściu dziewczyny od niego.

Zatrzymuje się na chwilę. Stara się odpędzić myśli, które go poniżają i zawstydzają. Nagle rzuca się nierozważnie do przodu. Koń staje dęba, nie chce iść.

Po drodze spotyka pasterzy i wieśniaków. Napoleon zsiada z konia, rozmawia z nimi. Lubi te spotkania. Nie spieszy się. Zadaje pytania. Mają do niego zaufanie. Prowadzą go do starego żołnierza służącego niegdyś u Pasquale Paolego, którego nakłania do snucia wspomnień o dawnych walkach. Zanotuje je po powrocie do Ajaccio. Często zdarza się, że ludzie ci spisali swoje wspomnienia, przechowali gdzieś dokumenty wydrukowane po kryjomu w czasach genueńskiej okupacji. Napoleon zbiera te materiały, czyta, porządkuje. Tworzy w ten sposób pierwsze źródła do historii Korsyki, o której napisaniu wciąż myśli.

Kiedy jednak wjeżdża do Bastii, kiedy czeka, aż przyjmie go pan de la Guillaumye, zderza się na nowo z rzeczywistością. Pomimo okazywanych przez intendenta względów, mimo jego przyzwoitości i uprzejmości Napoleon czuje się uzależniony. Musi jednak uznać, że jest także oficerem francuskim, którego rodzina potrzebuje pomocy. Młodym porucznikiem, który kocha swe rzemiosło i nie chce ani nie może z nim zerwać.

Przy każdej swej podróży do Bastii Napoleon składa wizytę oficerom artylerii z miejscowego garnizonu. Do tradycji należy, że oficera będącego przejazdem podejmuje się obiadem.

Są oni od niego starsi, lecz gdy z jego inicjatywy rozmowa schodzi na kwestię „rządów, dawnych i nowych”, zauważa ignorancję u tych poruczników i kapitanów. Niektórzy odchodzą, nie ukrywając znudzenia, podczas gdy on kontynuuje, niezdolny do powściągnięcia swej pasji. Słyszy, jak szepczą o nim, że jest zbyt napuszony, zarozumiały i arogancki, że pedant z niego i nudziarz.

Napoleon daje się ponieść, broni prawa narodów. Przypierają go do muru. A Korsyka?

-To też naród - odpowiada.

Dziwi się. Jak oficer może tak mówić?

- Nie znacie Korsykan! - wykrzykuje Napoleon, atakuje gubernatora, o którym się mówi, że chce przeszkodzić Korsykanom w zwołaniu ich Stanów.

Oficerowie są zdumieni jego swobodą tonu i korsykańskim patriotyzmem.

- Czy dobyłbyś pan szabli przeciwko przedstawicielowi króla? - pyta któryś z nich.

Młodzieniec pobladył milknie.

Tego samego wieczoru wraca do Ajaccio, znęcając się nad swym koniem, zamyślony, zdenerwowany, gniewny. I to ma być życie? Czy już zawsze będzie musiał podporządkowywać swoje poglądy, pragnienia i ambicje tej miałkiej rzeczywistości? Czy zawsze będzie musiał się hamować, aby nie wykrzyzczyć tego, co czuje? Zawsze będzie musiał nakładać sobie wędzidło, aby nie zboczyć z drogi?

Spina konia ostrogami, podrywając go do klusa.

Jeśli trzeba zaryzykować upadek w przepaść, to trudno. Zaryzykuje.

1 czerwca 1788 roku, po spotkaniu z Józefem, który powrócił z Pizy, Napoleon wraca do swego pułku La Fère stacjonującego od pół roku w Auxonne. Urlop się skończył. Niedługo podporucznik skończy dziewiętnaście lat.

Rozdział 8

Przybywając do Auxonne 15 czerwca 1788 roku, Napoleon najpierw widzi gęstą mgłę unoszącą się nad Saoną.

Fortyfikacje i miasteczko wznoszą się na lewym brzegu wielkiego zakola. W dali, na północnym wschodzie, ponad mgłą widać lesiste wzniesienia i woźnica objaśnia Napoleonowi, że jest to góra de la Seurre. Wyciągając rękę bardziej w kierunku wschodnim, dodaje, że przy pięknej pogodzie widać ponad górą Dole pasmo Jury, a zimą - pokazuje na południe - nawet Alpy. Lecz kiedy nastaną upały i deszcze, Saona i rozlewiska wydzielają brudne wyziewy, które lepią się do mokrej skóry. Zdarza się malaria - ostrzega woźnica, zatrzymując powóz przed koszarami pułku La Fère.

Napoleon nie zwrócił większej uwagi na te słowa. Nie widział swego regimentu już od dwudziestu jeden miesięcy. Nikt nie czyni mu jednak z tego powodu wyrzutów. W królewskim korpusie artylerii jest zwyczaj udzielania oficerom półrocznych wakacji, nie licząc osobnych urlopów.

Napoleonowi pilno jest znów spotkać towarzyszy z Valence i kiedy spostrzeża Des Mazisa, spieszy w jego stronę. Spotkania są serdeczne. W pułku pod komendą generała Jeana Pierre'a du Teila, który kieruje także szkołą artylerii w Auxonne, panuje znakomita atmosfera.

Du Teil jest człowiekiem nieposzlakowanym, kochającym swój zawód, z którym jego rodzina związana jest od pokoleń.

Des Mazis pokazuje poligon strzelecki, sąsiednią łąkę, gdzie

artylerzyści często wypróbują swoje działa i moździerze, potem prowadzi Napoleona do pawilonu miejskiego, który przylega do koszar i w którym miasto Auxonne udziela darmowego mieszkania oficerom pułku La Fère. Pokój Napoleona ma numer 16. Wychodzi na południe i jest bardzo długi, ale mieści się w nim fotel, stół, sześć wiklinowych krzeseł oraz jedno drewniane. Napoleon jest w radosnym nastroju. Zbliża się do jedyne go okna, podziwia okolice Auxonne, wzgórze, zagajniki i równinę.

Jest ciepło i już o tej porze roku wilgotno. Kilka lat temu, opowiada Des Mazis, Du Teil musiał walczyć z epidemią gorączki, która dopadła większość uczniów w szkole wojskowej.

Napoleon otwiera kufer, wyklada na stół swoje zeszyty i książki. Des Mazis przerzuca je, rozpoznaje. *Wyznania* Rousseau, *Historia filozoficzna i polityczna kolonii i handlu europejskiego w obydwóch Indiach* Raynala, dzieła Corneille'a i Racine'a, *Historia Arabów* Marigny'ego, *Uwagi o historii Francji* Mably'ego, *Państwo* Platona, *Pamiętniki* barona de Totta o Turkach i Tatarach, jakaś *Historia Anglii*, dzieło o Fryderyku II, studium ustroju Wenecji.

Des Mazis potrząsa głową. Bonaparte jest stanowczo inny niż wszyscy.

- Do czego prowadzi ta niestrawna nauka? - pyta. - Po co mi wiedzieć, co się działo tysiąc lat temu? Co mnie obchodzą drobne szczegóły dziecinnych dyskusji ludzi? - Robi kilka kroków. Mówi o kobietach, o miłości. - Czy siedząc w swoim gabinecie, nie odczuwasz pustki w sercu?

Napoleon wzrusza ramionami.

- Nawet kiedy nie mam nic do roboty - mówi - jestem przeświadczony, że nie mam czasu do stracenia.

Później, skandując każde słowo, mocnym głosem recytuje wersy Pope'a:

*Im silniejszy w nas duch, tym więcej czynić powinien,
Umiera bowiem w bezruchu, żyje - kiedy jest czynny.*

- Napoleonie, ciebie już nic nie zmieni - konkluduje Des Mazis.

Jednak w następnych dniach pociąga go za sobą. Obaj nie przekroczyli jeszcze dwudziestu lat. Bonaparte bierze udział w pso-

tach, żartach i kawałach, jakim oddają się młodzi oficerowie. Także on bywa ofiarą tych figli. Kiedyś w przeddzień parady spostrzega, że jego działa zostały zagwożdżone. Nie okazuje złości. Ma bystre spojrzenie i nie daje się zaskoczyć.

Czasem jednak go ponosi. W pokoju piętro wyżej jeden z kolegów, Bussy, co wieczór gra na rogu, przeszkadzając w pracy. Napoleon sam też bierze lekcje muzyki, ale te przeciągłe, powtarzające się, głośne dźwięki szybko stają się dla niego nie do zniesienia.

Podchodzi do oficera na schodach.

- Granie na rogu musi pana bardzo męczyć - mówi.

- Nie, bynajmniej, ani trochę - odpowiada porucznik Bussy. - Ale bardzo męczy innych. Byłoby lepiej, gdyby poszedł pan gdzieś dalej i grał sobie do woli.

- Wolność Tomku w swoim domku.

- Można by mieć co do tego wątpliwości.

- Nie sądzę, aby ktokolwiek się ośmielił - grozi Bussy.

- Ja się ośmielam - mówi Napoleon.

Gotów jest się bić, ale koledzy nie dopuszczają do pojedynku. Porucznik Bussy będzie chodził grać gdzie indziej.

Napoleon umie sprawić, aby go szanowano.

Spaceruje samotnie po polach z książką w ręku. Przystaje, by zapisać kilka słów. Kreśli na ziemi czubkiem buta albo końcem pochwy szabli figury geometryczne. Codziennie spóźnia się do pensjonatu Dumont, gdzie stołuje się wraz z innymi oficerami.

Żartują sobie przyjaźnie z jego niezbyt starannego ubioru. On się broni. Nie jest bogaty i jak wielu innych oficerów buntuje się przeciwko częstym zmianom przepisów dotyczących umundurowania. Zastępuje się niebieskie spodnie czarnymi. Zamiast płaszcza pojawia się angielski surdut. A kto za to płaci? Oficerowie!

Woli pieniądze zachować na książki, które stosem piętrzą się w jego pokoju.

Napoleon pracuje jak szalony, z zadziwiającą determinacją i niemal gorączkową niecierpliwością, a także z przeświadczeniem, że to, co każdego dnia tutaj robi, kiedyś mu się przyda.

Po pierwsze: trzeba się nauczyć rzemiosła artylerzysty.

Zaczął już w Valence, lecz zdaje sobie sprawę, że zna zaledwie podstawy umiejętności ustawiania dział, strzelania, oblegania.

W szkole staje się jednym z najpilniejszych uczniów, niemal przyjacielem nauczyciela matematyki Lombarda, który od przeszło czterdziestu lat uczy w szkole artyleryjskiej w Auxonne. Lombard przetłumaczył z angielskiego dwa dzieła Robbinsa-. w 1783 roku *Zasady artylerii* oraz w 1787 roku *Tablice strzałów dla dział i haubic*. Napoleon studiuje te książki i streszcza je.

Chce zdobyć wszelkie niezbędne wiadomości. Jego głód wiedzy jest tak wielki, że du Teil wzywa go i doradza mu nieco rozrywki oraz więcej odpoczynku, ponieważ przez cały koniec roku 1788 Napoleon jest chory. Gnębi go malaria wywołana bez wątpienia oparami, które wydzielają się z bagien i fos otaczających miejskie umocnienia. Chudnie, blednie, mało je, narzuca sobie nawet dietę nabiałową.

W styczniu czuje się lepiej i może w końcu napisać do matki.

„Kraj tutaj jest bardzo niezdrowy - pisze - z powodu bagien, które go otaczają, oraz częstych wylewów rzeki, która napęlnia wszystkie fosy wodą wydzielającą zapowietrzone opary. Cierpiałem na gorączkę, która utrzymywała się przez pewien czas, potem dawała mi cztery dni odpoczynku i atakowała mnie znowu [...]. Osłabiło mnie to, wywoływało długie majaczenia, po których rekonwalescencja też trwała długo. Teraz, gdy pogoda wreszcie się poprawia [...], w oczach dochodzę do siebie”.

Du Teil wzywa go do siebie i wyznacza na członka komisji, której zadaniem jest przestudiowanie strzelania w warunkach oblężenia. Napoleon kieruje wszystkimi ćwiczeniami, redaguje memoriały, proponuje nowe doświadczenia „logicznie powiązane, racjonalne, metodyczne”.

Dowódca czyta raporty, gratuluje podporucznikowi, przepowiada mu, że będzie jednym z najświetniejszych oficerów artylerii królewskiej.

Tego samego dnia wieczorem Napoleon pisze do wuja Fescha:

„Wiedz, drogi Wuju, że generał poważa mnie do tego stopnia, iż powierzył mi zbudowanie na poligonie szeregu konstrukcji wymagających wielu obliczeń i byłem tym zajęty przez dziesięć dni,

od rana do wieczora, na czele dwustu ludzi. Ta bezprzykładna oznaka przychylności podburzyła nieco przeciwko mnie kapitanów [...]. Także moi koledzy okazują trochę zazdrości, ale wszystko to z czasem minie. Najbardziej niepokoi mnie teraz moje zdrowie, które nie wydaje się zbyt mocne".

Czasem wśród tego zapamiętywania się w pracy, pomimo satysfakcji, jaką mu ona przynosi, zdejmuje go ochota na coś innego. Marzy o Paryżu, owym „centrum rozkoszy”. Śni mu się pobyt w stolicy. Ma nawet dobry pretekst. Mógłby raz jeszcze wybrać się do Wersalu, przycisnąć urzędników ministerstwa, gdyż sprawy szkółki drzew morwowych nie udało się załatwić w Ajaccio. Brakuje mu jednak pieniędzy na podróż. Naprzykrza się archidiakonowi Ajaccio, stryjcznemu dziadkowi Lucjanowi.

„Proszę przysłać mi sto franków - pisze - ta suma wystarczy mi na to, aby pojechać do Paryża, tam gdzie można się pokazać, zawrzeć znajomości, pokonać przeszkody. Wszystko mi mówi, że mi się uda. Chciałbyś mi to uniemożliwić z braku stu franków?”

Archidiakon pozostaje głuchy na jego prośby.

Napoleon zwraca się więc do wuja Fescha. Ale i ten uchyla się od pomocy.

„Mylisz się, spodziewając się, że mógłbym tutaj pożyczyć jakieś pieniądze - odpowiada na jego list Napoleon. - Auxonne to bardzo małe miasteczko i jestem tutaj zbyt krótko, aby zawrzeć poważniejsze znajomości”. I w kilku słowach wyraża swój żal: „Już o tym nie myślę, trzeba zarzucić ten pomysł podróży do Paryża”.

Zegnajcie marzenia o nocnych przechadzkach pod galeriami Palais-Royal! Trzeba to odłożyć. Na to też przyjdzie czas. Na razie, zwierza się, „nie pozostaje mi nic innego, jak pracować. Przebieram się raz na tydzień. Od czasu choroby spiam bardzo niewiele, to niewiarygodne: kładę się o dziesiątej i wstaję o czwartej. Jadam tylko jeden posiłek dziennie”.

W tym gorączkowym stanie, w jakim się znajduje, myślami zwraca się ku przyszłości, ponieważ terażniejszość, nawet jeśli jest przyjemna, nie ofiarowuje mu nic ze spodziewanych rozkoszy i namiętnych uniesień. To książki i pisanie przynoszą mu pełnię życia, jakiej mu trzeba.

Pracuje tak, jakby przygotowywał się do konkursu na wyższego oficera albo pisał historię powszechną.

Czyta wielokrotnie *Zarys ogólny taktyki* Guiberta, który zgłębiał już w Valence. Odkrywa *Stosowanie nowoczesnej artylerii* generała Du Teila, rodzzonego brata swego dowódcy w Auxonne. Nasiąka w ten sposób nowatorskimi ideami, które francuscy teoretycy sztuki wojσκowej wypracowali po ciężkiej porażce, jakiej doznało królestwo w wojnie siedmioletniej, a zwłaszcza w przegranej bitwie pod Rossbach w 1757 roku.

Przed wszystkim jednak Napoleon czyta z piórem w ręku książki o historii Arabów, Wenecji, Anglii i Francji, wypełniając notatkami całe zeszyty.

Des Mazis znowu się dziwi. Po co to wszystko?

Napoleon nie odpowiada. Być może mówi sobie, że skoro Pasquale Paoli, który był jedynie zwykłym chorążym gwardii korsykańskiej w służbie króla Neapolu, mógł zostać takim bohaterem, to także on będzie mógł pewnego dnia odegrać jakąś rolę w służbie Korsyki. Wie, że jest jedynym wyspiarzem, który otrzymał wykształcenie oficerskie w szkołach wojskowych króla Francji. Lecz pragnie wykroczyć poza technikę wojenną. Czuje, że Korsyka potrzebuje także człowieka, który zna mechanizmy historii, który byłby prawodawcą i politykiem.

Któregoś razu otrzymuje dwadzieścia cztery godziny ścisłego aresztu. Zamykają go w zakurzonej izbie, która za całe umeblowanie ma stare łóżko, krzesło i szafę. Napoleon odkrywa na szafie poźółkły porzucony tom *in folio*. Okazuje się, że to *Kodeks Justyniana*. Napoleon siada. Nie ma ani ołówka, ani papieru, ale zaczyna czytać, uczy się na pamięć tych suchych tekstów i przy blasku jedynej świeczki przez całą noc pochłania stare tomisko.

Gdy rano zjawia się strażnik, Napoleon jest zaskoczony. Nie zauważył, kiedy upłynęły godziny. Odtąd zna prawo rzymskie. Czy to mu się przyda? Jest o tym przekonany, nawet jeśli nie zna okoliczności ani chwili, gdy będzie mógł posłużyć się tą wiedzą.

Porucznicy pułku La Fère znają jego talenty. I kiedy chodzi o ułożenie regulaminu utworzonego przez nich stowarzyszenia la Calotte, zwracają się właśnie do Napoleona. Ten zabiera się na-

tychmiast do pracy, z dziecinną powagą, jakby chodziło co najmniej o ułożenie konstytucji jakiegoś państwa.

„Istnieją - pisze - prawa konstytucyjne, których nie wolno naruszać. Muszą się one wywodzić z natury umowy pierwotnej”.

Kiedy Des Mazis studzi jego zapał, Napoleon odpowiada, że stowarzyszenie kieruje się tymi samymi zasadami, które i on wyznaje: stawia sobie za cel równość wszystkich poruczników bez względu na ich pozycję wśród szlachty, przestrzeganie kodeksu honorowego i w razie konieczności karanie tych, którzy go naruszają, oraz obronę poruczników przed wyższymi oficerami skłonnyimi do popełniania niesprawiedliwości - są to, w istocie, zasady republikańskie. Zadziwia i niepokoi Des Mazisa, gdy dodaje, że „królowie w dwunastu monarchiach Europy cieszą się władzą pochodzącą z uzurpacji [...] bardzo niewielu jest królów, którzy nie zasłużyli sobie na to, aby ich zdetronizować”.

Zresztą, czemu w ogóle królowie?

Napoleon bierze zeszyt i czyta Des Mazisowi dysertację, którą zaczął pisać. Ludzie, mówi, wkrótce naprawdę poczują się ludźmi. „Pyszni tyrani świata, strzeżcie się, by przekonanie to nigdy nie przeniknęło do serc waszych poddanych. Przesady, obyczaje, religie to zbyt słabe zapory! Wasz tron się zachwieje, jeśli pewnego dnia wasz lud, patrząc na siebie, powie: «My też jesteśmy ludźmi»”.

Des Mazis nie próbuje dyskutować z Napoleonem. Ten wręcza mu kompletny regulamin la Calotte, spisany na kartkach przewiązanych różową wstążką. Przyjaciel przegląda go. Jest bardzo poważny w tonie. Mówi się o kwestii praw, o wielkim mistrzu ceremonii. Des Mazis obawia się, żeby ich koledzy porucznicy nie wyśmiali pompatycznego tonu i przesady.

Również później nie powie Napoleonowi, że podczas odczytywania tego tekstu rzeczywiście wybuchały śmiechy, chociaż w końcu porucznicy pułku La Fère przyjęli go.

Napoleon zwierza się Des Mazisowi, ale cały czas ma w pamięci spór, który przeciwstawił go oficerom garnizonu w Bastii. Nie-rozważnie się wówczas odsłonił, wychwalając naród korsykański. Toteż gdy przyjmowany jest czy to u Du Teila, czy u komisarza wojny Naudina, czy u Lombarda, profesora matematyki, mówi ra-

czej o *Cynnie*, swej ulubionej sztuce Corneille'a, zamiast o śmiałych ideach, które w nim kielkują.

Sam się zdumiewa, kiedy wypływają one spod jego pióra. Czasem ogarnia go lęk na myśl o drodze, jaką przebył. Przestał chodzić do kościoła. Żegna się jeszcze machinalnie znakiem krzyża, ale już nie wierzy.

W pisanych przez siebie tekstach staje po stronie władzy, państwa, Cezara, a nie po stronie Kościoła. Czyta wciąż na nowo Raynala, który o powstaniu ludów mówi jako o „zbawiennym wydarzeniu”.

Zarazem Napoleon instynktownie gardzi tymi, którzy się podporządkowują. Recytuje napomnienie Raynala: „Ludy tchórzliwe, ludy głupie, jeśli wieczne opresje nie pobudzają waszej siły, jeśli poprzestajecie na bezużytecznych jękach, podczas gdy moglibyście zaryczeć, ponieważ są was miliony, i znosicie, aby tuzin dzieci uzbrojonych w kijki prowadził was, dokąd zechce - bądźcie nadal posłuszne! Idźcie i nie naprzykrzajcie się swoimi skargami, umiejcie przynajmniej znosić nieszczęście, jeśli nie umiecie zdobyć wolności”.

Napoleon spaceruje samotnie po okolicach Auxonne, a w głowie dzwięczą mu te słowa. On będzie z tych, co zaryczą. Nie pozwoli się bezwolnie prowadzić. Nie będzie posłuszny. Przyspiesza kroku. Czuje ogromną energię.

Jest jak działo, które nabija się prochem. Jego amunicją są książki, które czyta, notatki, jakie sporządza, opowiadania, które pisze, rozważania na temat monarchii, które snuje jak w gorączce. Nie wie jeszcze, kiedy przytknięty zostanie lont. Na razie w codziennym zadziwiającym wysiłku, tak jakby miało mu zabraknąć czasu, jakby już zbliżała się batalia, nabija działo - swoją głowę - wiadomościami i ideami.

Jest pewien, że kiedyś cała ta gromadzona przez niego energia będzie musiała wybuchnąć.

Pewnego wieczoru, kolejny raz czytając *Zarys ogólny taktyki* Guiberta, znów natrafia na zdanie przeczytane już w Valence, które przypomina sobie od czasu do czasu: „Wówczas znajdzie się

człowiek - pisze Guibert - być może pozostający do tej pory w cieniu i nieznanym, człowiek, który wyrobi sobie imię nie dzięki swym słowom ani dzięki swym pismom, człowiek, który dotąd medytował w ciszy [...]. Ten człowiek zawładnie poglądami, okolicznościami, fortuną [...]"

Napoleon jest równie podekscytowany jak wtedy, gdy zbliżył się do dziewczyny przy ogrodzeniu Palais-Royal. To samo pragnienie, silniejsze niż nieśmiałość. Ta sama siła, która popycha go do przodu. Ale ile wieczorów musiał się włóczyć, zanim poznał tamtą dziewczynę? Ile czasu trzeba będzie czekać na wydarzenie, które będzie iskrą wyzwalającą jego energię?

1 kwietnia 1789 roku niespodziewanie rozlega się warkot bębna.

Napoleon biegnie do koszar, jeszcze nie całkiem rozbudzony po nocy spędzonej na pisaniu. Bombardierzy pułku La Fère są już pod bronią.

Du Teil poirytowany chodzi wielkimi krokami po dziedzińcu. Otrzymał rozkaz od głównodowodzącego wojskiem księstwa Burgundii, markiza de Gouverneta, aby natychmiast posłać trzy kompanie do Seurre, górskiego miasteczka odległego o kilka mil od Auxonne. Mieszkańcy Seurre zmasakrowali bowiem dwóch kupców, oskarżając ich o spekulację zbożem.

- A gdzie są kapitanowie i porucznicy? - wścieka się Du Teil.

- Na urlopie - pada odpowiedź.

Trzeba więc powierzyć dowództwo podporucznikom, młodzikom, którzy jeszcze nie pokończyli dwudziestu lat i nigdy nie znajdowali się w takiej sytuacji. Jednak markiz obstaje przy swoim rozkazie: trzy kompanie! A więc zgoda. Bonaparte obejmie dowództwo jednej z nich.

Kiedy oddział dociera do miasteczka, jest już zupełnie jasno. Wydaje się, że powrócił spokój, choć wieśniacy wciąż się gromadzą na rogach uliczek.

Wojsko się rozlokowuje. Napoleon wybiera kwaterę przy ulicy Dulac. Przybiegają miejscowi notable, uprzedzając go grzeczni wobec oficerów. Kobiety ciągle jeszcze są wzburzone. „Dziki bes-

tie!" - krzyczą, pokazując na wieśniaków. Żona urzędnika zasądzonego podatek od soli, niezwykle wzburzona, tłumaczy długo Napoleonowi, że urząd został obłożony. Oficer okazuje się ujmujący i wrażliwy na nieszczęście, nawet jeśli to nieszczęście jest podkreślane nieco zbyt przesadnie i w sposób nie wolny od chęci podobania się. Rozmieszcza ludzi, zarządza warty, rozsyła patrole.

Sytuacja jest dość napięta, tak więc pozostają w Seurre wiele dni.

Młody dowódca wydobywa swe zeszyty i książki. Mija tydzień za tygodniem, i oto już ponad miesiąc oddział przebywa w Seurre. W tym czasie Napoleon przyjmowany jest przez miejscowych notabli, tańczy, flirtuje. Wdaje się także w rozmowy. Mówi się tu o Stanach Generalnych, które król zwołał do Wersalu na 5 maja. Niektórzy z gospodarzy Napoleona są delegatami stanu trzeciego. Dyskutuje się o sytuacji finansowej królestwa, o przywilejach podatkowych szlachty, które należy znieść.

Napoleon słucha, rzadko się włącza. Obserwuje to wszystko jak coś, co dotyczy go tylko częściowo. To tak, jakby przeglądał książkę i robił notatki. Książkę tę napisali inni, on wcale nie czuje ducha tego kraju. Jest wprawdzie oficerem, ale jego ojczyzna Jest gdzie indziej. Kiedy słyszy, jak przerzucają się argumentami, kiedy widzi, z jaką pasją dyskutują, mocniej odczuwa swoją obojętność. Jest tu tylko widz. Dla niego naprawdę liczy się jego los, związany z losem Korsyki. Jednak to, co się tutaj rozgrywa, w tym królestwie, któremu służy jako oficer - myśli - zaciąży także na przyszłości jego wyspiarskiej ojczyzny.

Pod koniec kwietnia na uliczkach Seurre mieszcianie i okoliczni wieśniacy zaczynają się gromadzić na nowo. Wymachują widłami, krzyczą, odgrażają się.

Napoleon staje na czele swej kompanii. Donośnym głosem rozkazuje żołnierzom naładować karabiny, zbliża się do wrogiego zgromadzenia.

- Mieszkańcy Seurre - krzyczy - niech porządni ludzie wracają do domu! Strzelam jedynie do hołoty!

Tłum waha się. Młodzieniec ze wzniesioną szablą powtarza:

- Niech porządni ludzie wracają do domów.

Głos mu nie zadrzał. Manifestanci się rozchodzą. Napoleon

wkłada szablę do pochwy. Wieczorem u jednego z notabli, który wydaje bal na cześć oficerów, goście otaczają Bonapartego, gratulują mu. Wykonał swój obowiązek, mówi. Nie wahał się ani przez chwilę.

Nie ma poczucia wspólnoty z tą bezwstydną zgrają, tymi wieśniakami, nędzarzami, całym tym ludem. Jest Korsykaninem, pochodzi więc z innej nacji, niemalże z innej rasy. Z ludu pasterzy i górali, którzy mówią innym językiem. Narodu zupełnie różnego od tego, który gromadził się w uliczkach i który zmasakrował kupców.

Jest Korsykaninem, ale także szlachcicem. Dumny jest z przynależności do rodziny, która od pokoleń stoi ponad pospólstwem i sprawuje nad nim władzę. Jest zwolennikiem równości wśród szlachetnie urodzonych, a nawet i wśród innych ludzi, pod warunkiem jednak iż udowodnią oni swymi czynami, że są jej godni.

Jest Korsykaninem i szlachcicem, ale jest także oficerem. Uczono go od dziecka, czym jest wojskowy porządek i ścisła hierarchia. Dumny jest z tego, że jest elementem tego porządku, że nosi oficerski mundur, nawet jeśli to mundur obcej armii.

Naprawdę nie ma nic wspólnego z hołotą.

Jeśli zastanawiał się nad rolą królów, to dlatego, że większość z nich według niego nie zasługuje, aby rządzić. Hierarchia jednak jest potrzebna. Niezbędna jest dyscyplina. Nawet jeśli w ramach takiego porządku społecznego istnieć ma równość między ludźmi, którzy na to zasługują.

- Jestem oficerem - powtarza tym, którzy podkreślają jego zdecydowanie i odwagę.

W czerwcu Napoleon wraca do Auxonne z trzema kompaniami bombardierów. Trudno mu jednak teraz wysiedzieć w pokoju, czytając i pisząc. Wędruje po okolicach Auxonne. Zwracającemu uwagę na jego nerwowość Des Mazisowi mówi, że wydarzenia są jak zjawiska przyrodnicze. Rodzą się z rzeczy i z okoliczności. Sprawą ludzi jest zrozumieć ten wielki ruch, który wstrząsa społeczeństwami.

Często zachodzi do biblioteki na placu kościelnym w Auxonne. Przegląda gazety. Ludność królestwa się burzy. Stany Generalne zebrały się w Wersalu. Na ulicach Paryża dochodzi do grabieży.

Zatrzymano i splądrowano wozy ze zbożem. Wojsko strzelało. Napoleon wie, że to początek zmian.

Wraca do swego pokoju. Zabrał się do pisania historii Korsyki.

Zamierzał przesłać swoje studium arcybiskupowi Tuluzy Loménie de Brienne, lecz został on zastąpiony na stanowisku ministra przez Neckera. A zatem przekaże je Neckerowi.

Przedtem wysłał tekst do jednego z dawnych profesorów ze szkoły w Brienne, ojca Dupuy, aby ten skorygował ewentualne błędy, przejrzał niektóre fragmenty. Oświadcza przy okazji ojcu Dupuy, że o nic u Neckera nie zabiega. Niczego od niego nie oczekuje. Chce jedynie przedstawić temu, który pod okiem króla kieruje monarchią, poglądy korsykańskiego patrioty.

W oczach Napoleona liczy się jedynie zdanie Pasquale Paolego. Czując, że ziemia zaczyna drżeć, że trzeba działać szybko, pisze 12 czerwca 1789 roku list do swego bohatera:

„Generale, urodziłem się, kiedy ojczyzna ginęła. Trzydzieści tysięcy Francuzów splugawiło nasze wybrzeże, zatopiło tron wolności w potokach krwi; taki to odrażający widok przedstawił się moim oczom na samym progu życia.

Krzyki umierających, jęki uciśnionych, łzy rozpaczycy otaczały mą kołyskę od chwili urodzenia.

Opuścił Pan naszą wyspę i z Panem pierzchła nadzieja szczęścia: ceną naszego poddania stało się niewolnictwo, dźwigając potrójne okowy nałożone przez żołnierza, prawnika i poborcę podatków, nasi rodacy żyją w poniżeniu”.

W miarę jak pióro biegnie po papierze, ton staje się bardziej podniosły. Niewiele znaczą fakty. W taki sposób Bonaparte, dwudziestoletni oficer, widzi w roku 1789 historię swej ojczyzny. Przypomina o niej Paolemu. Wyjaśnia, że napisał historię Korsyki, ponieważ „ma obowiązek służyć”. Nie mieszka w stolicy, gdzie znalazłby inne środki działania. Musi się więc zadowolić publicystyką.

„Gdyby zechciał Pan poprzeć wysiłki młodego człowieka, którego narodziny Pan widział i którego rodzice zawsze przywiązani byli do dobrej partii, ośmieliłbym się wróżyć tej pracy sukces [...]. Jakikolwiek byłby jednak sukces mej pracy, czuję, że napadnie mnie cała sfera francuskich urzędników, którzy rządzą

naszą wyspą, a których ja atakuję. Nie ma to jednak znaczenia, gdy chodzi o interes Ojczyzny.

Proszę mi pozwolić, Generale, przekazać Panu wyrazy hołdu ocl mojej rodziny. I czemuż by tego nie powiedzieć: od moich rodaków. Wzdychają za czasami, kiedy mieli nadzieję na wolność.

Matka moja, Letycja, kazała mi przypomnieć Panu o latach spędzonych w Corte".

Bonaparte czyta ponownie list, nie zmieniając ani słowa. Jego treść nosił w sobie już od wielu lat. Przypomina skoczek, który po zmierzeniu dystansu wreszcie decyduje się na skok. Ofiarowuje wyraźnie swe usługi Pasquale Paolem i gotów jest wziąć na siebie konsekwencje swych propozycji dla Korsyki.

„Będę słyszał wymyślenia niegodziwych - mówi - i jeśli burza się rozpęta, wejrzę w swoje sumienie, przypomnę sobie o prawo witości moich motywów i odtąd nie będę czuł lęku".

Kilka dni później przychodzi list od ojca Dupuy, wysłany 15 lipca 1789 roku z Laon; jego dawny profesor tłumaczy, iż aby nie urazić ministra Neckera, należałoby złagodzić niektóre określenia w dziele na temat historii Korsyki. Napoleon się buntuje. Jego historia nie jest prośbą, lecz aktem walki. Niech będzie wyraźnie wiadomo, co myślą korsykańscy patrioci, i że on jest ich przywódcą. Oto cel jego pracy. Żadnych wahań. Jest Korsykaninem o tak gwałtownych przekonaniach, że aż drży od nich jego pióro.

Często musi przerywać, gdy jego niecierpliwość staje się zbyt wielka, i dzięki temu może śledzić bieżące wypadki.

Otwiera okno i słyszy, że bębny wybijają sygnał alarmu. Znad brzegów rzeki dobiegają krzyki. Dzwony biją na trwogę. Wkrótce potem widać unoszący się dym. Napoleon rusza do centrum Auxonne.

Jest 19 lipca 1789 roku. Przewoźnicy i tragarze zebrali się tłumnie i nachodzą radcę miejskiego, wdzierają się do mieszkania poborey, palą meble i rejestry, plądrują biura akcyzy i cła.

To rozruchy.

Bonaparte przedostaje się do koszar. Oficerowie i żołnierze powtarzają sobie nowinę: 14 lipca Bastylia, królewska twierdza--więzienie, w wyniku rozruchów została zdobyta, a jej komendan-

towi odcięto głowę. Straż dołączyła do tłumu, ostrzeliwując Bastylię z dział. Napoleon nie zwleka. Obejmuje dowództwo swej kompanii. Trzy bandy grasujące po mieście rozpierchają się na widok żołnierzy. Przez całą noc wojsko patroluje miasto. Wszyscy obawiają się przybycia tych, których notable z Auxonne nazywają rozbójnikami.

Rankiem 20 lipca rozbójnicy się pojawiają. Są to wieśniacy pobierani z całej okolicy. Akcyza zostaje spalona. Urząd podatku od soli splądrowany. Wieśniacy rozpraszają się dopiero, gdy słyszą, jak oficerowie wydają rozkaz ładowania karabinów. Spokój zostaje przywrócony. Kompanie wracają do koszar. Napoleon natychmiast po powrocie do swego pokoju chwyta za pióro, jeszcze przesiąknięty atmosferą tej konfrontacji. Chce opowiedzieć swemu bratu Józefowi to, co przeżył:

„Piszę ten list wśród warkotu bębnow, wśród szczęku broni i rozlewu krwi. Motłoch tego miasta, zasilony przez hordy rozbójników z zewnątrz, którzy przybyli tu, by rabować, zabrał się w niedzielę wieczorem do demolowania budynków, gdzie mieszkają urzędnicy od dzierżaw, splądrował także urząd ceł i wiele domów. Generał ma siedemdziesiąt pięć lat. Czuje się zmęczony. Wezwał przywódcę mieszczan i nakazał mu słuchać moich rozkazów. Po licznych manewrach zatrzymaliśmy trzydziestu trzech z nich i wsadziliśmy do paki. Trzeba będzie, jak sądzę, ze dwóch albo trzech powiesić w trybie doraźnym”.

Żadnych przesłuchań. Musi zapanować porządek, nawet jeśli Korsykanin, potępiając uprzywilejowanych, dorzuca: „Cała Francja spłynęła krwią, ale niemal wszędzie była to nieczysta krew wrogów Wolności i Narodu, którzy od dawna tuczili się jego kosztem”.

Mimo iż używa tych samych słów co „patrioci francuscy”, to reaguje przede wszystkim jak oficer, który nie cierpi motłochu. I myśli przede wszystkim o Korsyce. Od tego, co się z nią stanie, zależeć będzie jego własny los.

9 sierpnia oficjalnie prosi o nowy urlop, aby udać się na Korsykę. Musi jednak czekać na decyzję, więc kręci się po pokoju, chodzi po polach, jakby czuł się zamknięty w tym kraju. Pisanie też go nie uspokaja, ale to jedyne zajęcie dające mu wrażenie, że coś robi.

Pisze do Lorenza Giubegi, sekretarza Stanów Generalnych Korsyki, który jest jego ojcem chrzestnym. Przywileje stanowe zostały właśnie zniesione przez Zgromadzenie Narodowe w wielkim jednogłośnym porywie w nocy z 4 na 5 sierpnia.

„Ten rok zapowiada się bardzo obiecująco dla porządnych ludzi - pisze Napoleon - gdyż po tylu wiekach feudalnego barbarzyństwa i politycznego niewolnictwa widzi się ze zdziwieniem, jak słowo «wolność» zapala serca, które zdawały się zepsute przez zbytek, zniewieściałość i sztuki”.

To prawda, Francja się dziwi. Tego burzliwego sierpniowego dnia młodzieniec myśli o Paryżu, centrum rozkoszy, które przekształciło się w wulkan, jednak to wydarzenie historyczne może mieć dla Napoleona znaczenie, tylko jeśli skorzysta na nim Korsyka.

Myśl, że mogłoby go nie być na wyspie, denerwuje go tak bardzo, iż udaje się ponownie do dowódcy Du Teila, który mu w końcu oznajmia, że sprawa jego urlopu jest na dobrej drodze. Trzeba jednak jeszcze poczekać.

Napoleon kontynuuje więc list do Giubegi:

„Podczas gdy Francja się odradza - pisze - co stanie się z nami, nieszczęsnymi Korsykanami? Czy wciąż poniżeni będziemy nadal całować po rękach rozzuchwalonych ciemieżców? Czy nadal będziemy patrzeć, jak wszystkie stanowiska, do których jesteśmy przeznaczeni prawem naturalnym, zajmowane są przez obcych zasługujących na pogardę tak przez swe obyczaje i prowadzenie się, jak i przez nędzne urodzenie?”

On jest z całkiem innej rasy. W tym momencie gardzi owym ludem francuskim.

16 sierpnia Napoleon był świadkiem buntu w pułku La Fère.

Żołnierze zwartą kolumną udali się do domu pułkownika, żądając, aby wydano im kasę pułkową. Widząc liczbę buntowników, a także ich determinację, słysząc krzyki i groźby, pułkownik ustąpił.

Żołnierze podzielili między siebie pieniądze, a potem upili się, zmuszając oficerów do picia, śpiewania i tańczenia razem z nimi. Napoleon z daleka przygląda się tym scenom. Widzi jednego

ze swych kolegów, porucznika Bourbers'a, otoczonego przez rozwścieczonych żołnierzy, którzy go oskarżają, że uderzył jednego z nich. Chcą go zamordować. Dwóch starszych sierżantów spieszy nieszczęśnikowi na ratunek, podnoszą go. Jednak porucznik musi jeszcze tego samego wieczoru uciekać z Auxonne w przebraniu kobiety! Trzeba było - mówi Napoleon do Des Mazisa - strzelać z dział do buntowników, do tej nędznej hołoty urągającej wszelkim zasadom dyscypliny.

Ten nieład go oburza, nawet jeśli nowa polityka wydaje mu się „krokiem w kierunku dobra”. Ale nie to jest najważniejsze. Napoleon wciąż obsesyjnie myśli o Korsyce. Chciałby, aby Giubega zaczął działać.

„Aż do tej chwili roztropność nakazywała siedzieć cicho - pisze do niego. - Prawda ma niewiele powabów dla zepsutego serca, ale dziś sytuacja się zmieniła, trzeba także zmienić sposób postępowania, jeśli stracimy tę okazję, już na zawsze zostaniemy niewolnikami [...]”.

Chce jechać na Korsykę. 21 sierpnia otrzymuje wreszcie oficjalne zawiadomienie o urlopie, który ma trwać aż do 1 czerwca 1790 roku.

Ostatnie dni w Auxonne dłużą się bez końca. Wraca z koszar do swego pokoju. Chodzi do biblioteki. Kilka razy dziennie słyszy bicie dzwonów na trwogę. Przerażeni ludzie biegają po ulicach. Mówi się o przybyciu nowych band rozbójników, wreszcie wielki strach, trwający już od miesiąca jak nawracająca gorączka, opada. Kiedy w połowie września Bonaparte opuszcza Auxonne, wydaje się, że spokój powrócił.

Napoleon Bonaparte jedzie do Marsylii, gdzie przed wyruszeniem na Korsykę chciałby spotkać się z księdzem Raynałem. Po drodze zatrzymuje się jeszcze w Valence.

Przyjmują go tu z radością, wszyscy pamiętają młodego podporucznika. W salonie opata de Tardivon z pasją mówi się o rewolucji, która wstrząsa krajem, o rozbójnikach, którzy podpalili zamki w okolicy. Zebrani mają nadzieję, że z wypadków tych monarchia wyjdzie odnowiona.

De Tardivon bierze pod ramię Napoleona. Mówi wolno, w rytm swoich małych kroków:

- Sądząc z obrotu, jaki przybierają wypadki, każdy z nas może zostać królem. Jeśli zostanie pan królem, panie cle Bonaparte, niech pan się pogodzi z religią chrześcijańską, będzie pan z niej zadowolony.

Nazajutrz Napoleon stoi na dziobie statku płynącego w dół Rodanu i upaja się powietrzem idącym od morza.

CZEŚĆ TRZECIA

GŁOWA PEŁNA
WIELKICH SPRAW
PUBLICZNYCH

WRZESIEŃ 1789 - 11 CZERWCA 1793

Rozdział 9

25 września 1789 roku Napoleon schodzi ze statku i jako pierwszy z pasażerów wyskakuje na nabrzeże portu w Ajaccio, jest gorąco jak latem. O tej porze dnia, wczesnym popołudniem, miasto jest senne, ciszę zakłócają jedynie głosy marynarzy i tragarzy. Ta cisza i pozorny spokój są tak różne od tego, co sobie wyobrażał, że przez moment Napoleon się waha.

Głowę nabitą ma rozmaitymi projektami dotyczącymi Korsyki. Wciąż jeszcze słyszy wrzawę rozruchów i widzi sceny przemocy. Przypominają mu się wydarzenia z Seurre, z Auxonne, słowa wypowiedziane do niego w Valence i na statku płynącym w dół Rodanu.

Na jednym z postojów na rzece patrioci chcieli aresztować młodą kobietę, panią de Saint-Estève, z którą Napoleon zaprzyjaźnił się podczas podróży. Dziwna wydała im się obecność oficera u jej boku. Uznali, że młoda kobieta podobna jest do hrabiny d'Artois, która opuściła Paryż, aby wyemigrować. Napoleonowi udało się na szczęście przekonać ich, że są w błędzie.

W Marsylii ulice opanowane były przez patriotów paradujących z trójkolorowymi kokardami. Mówcy stojący na kamiennych słupkach lub wózkach wzywali do czujności, ostrzegając przed rozbójnikami. Napoleon, zanim wsiadł na statek, spotkał się z księdzem Raynałem, który zachęcał go do napisania historii Korsyki.

Podczas całego rejsu Napoleon niecierpliwie przemierzał pokład, pragnąc już dotrzeć do celu, rozmyślając o roli, jaką odegra być może u boku Pasquale Paolego, jeśli ten wróci z Anglii, albo i w zastępstwie Babbo, jeśli ten nie będzie mógł przybyć na wyspę.

Aż tu nagle ten letarg Ajaccio, miasto zmorzone snem, jakby poza historią. Na chwilę Napoleona ogarnia zwątpienie. A jeśli opuścił wielką scenę tylko po to, by się znaleźć na ciasnym podwórku, gdzie nic się nie dzieje?

Na spotkanie wychodzi mu starszy brat.

- Co się dzieje we Francji? - pyta Józef. - Jak jest z tą rewolucją?

Otrzymał wprawdzie listy od brata, ale gazety nie docierają tu wcale albo dopiero po miesiącu. Nie ma wiadomości o debatach w Konstytucyjnej, mimo że zasiadają tam deputowani korsykańscy. Stan trzeci reprezentują Saliceti, adwokat w Radzie Wyższej, oraz hrabia Colonna di Cesari Rocca, siostrzeniec Paolego. Szlachtę i Kościół reprezentują hrabia de Buttafoco i ksiądz Peretti.

-Ja także jestem adwokatem - dodaje z dumą Józef - także należę do Rady Wyższej.

Nic się tutaj nie zmieniło, dorzuca Józef. Gubernator, wicehrabia de Barrin, nie publikuje żadnych dekretów przyjętych przez Konstytuante. Wszystko jest tak, jakby nie było Stanów Generalnych i zdobycia Bastylji. Wyspa 'wciąż się znajduje pod władzą wojskową.

Naraz Józef pokazuje żołnierzy, którzy noszą u czapek białe kokardy.

Napoleon się oburza. Czy na Korsyce nie wiedzą, że dokonana się rewolucja? Że zniesiono przywileje? Czy to możliwe, żeby wielki wicher, który przeszedł przez całe królestwo Francji i przyniósł wszystkim trójkolorową kokardę, w ogóle nie dotarł do Korsyki?

Jest tak oburzony, że w drodze do domu zmienia temat i wypytuje brata o sytuację w rodzinie. Józef mówi, że matka niecierpliwie go oczekuje. Dzieci są z nią. Im także spieszno zobaczyć znowu brata. Brakuje tylko Elizy, która kończy jeszcze naukę w Saint-Cyr.

Józef się waha, jakby obawiając się rozgniewać Napoleona. Ich przyszłość jest niepewna, mówi, podobnie jak wszystkich Korsykan.

- Broniłem tylko w jednej sprawie - wyjaśnia Józef.

Przez chwilę peroruje, popisując się przed Napoleonem. Uży-

skął uniewinnienie zabójcy, którego bronił; uznano, że zabójca działał w obronie koniecznej.

- A Lucjan? - pyta Napoleon.

Wrócił do domu, musiał opuścić niższe seminarium w Aix. Nie otrzymał stypendium. Tak samo Ludwik, który daremnie stara się o pomoc finansową, aby kontynuować naukę w szkole wojskowej za przykładem Napoleona. Hieronim ma zaledwie pięć lat, Karolina skończy osiem, a Paulina dziesięć.

Napoleon milczy długą chwilę, dopiero gdy wjeżdżają w ulicę Saint-Charles, skąd widać już rodzinny dom, zapowiada surowym tonem, że zaprzęgnie tu wszystkich do pracy. Potrzeba porządku, dyscypliny, ścisłego rozplanowania czasu. Ten dom, dodaje, powinien stać się dla dzieci szkołą. Nie może być mowy o próżnowaniu. Ich rodzina musi dawać przykład Korsyce.

Zaledwie Napoleon zdążył uściskać najbliższych, wysłuchać Le-tycji skarżącej się na trudności życiowe, zaledwie zdążył napomnieć Lucjana, aby był bardziej zdyscyplinowany i mniej gadał, gdy do domu zaczęli przybywać krewni.

Wciąż powraca to samo pytanie: co się dzieje we Francji?

Napoleon z zapałem odpowiada. Wielu obecnych upewnia go co do stanu umysłów na Korsyce: ludzie chcą zmiany. Codziennie czeka się tu - wyjaśniają - na przybycie statków. Wszyscy spragnieni są nowin. Lud czeka na znak Francji, by działać.

15 sierpnia mieszkańcy Ajaccio manifestowali przeciwko biskupowi Dorii i zmusili go do rozdania czterech tysięcy liwrów. Żądano także zniesienia praw admiralicji. Komendant garnizonu La Férandière i jego oficerowie nie mogli w niczym przeszkodzić. Dopiero gdy zagrozili manifestantom, że użyją dział, tłum się rozproszył. Zawiązał się komitet trzydziestu sześciu obywateli.

W Bastii, w Corte, w Sartène i po wsiach - wszędzie dochodzi do rozruchów. Emigranci zaczęli powracać na północ wyspy. Utworzyli oddziały po trzydziestu ludzi. Gubernator Barrin już nawet ich nie ściga. Ale miasta wciąż należą do niego. Luci boi się represji, lecz w razie wezwania gotów jest powstać.

Napoleon wysłuchał, po czym wystąpił z płomienną przemową. Potępił w niej „ludzi zniewieściałych i tchórzy, którzy gnuśnieją

w łagodnej niewoli". On jest z tych, którzy pragną działać. Słuchają go. Gada się bez końca.

Dopiero późną nocą Napoleon zostaje sam z bratem. Ciągnie Józefa do ogrodu, nie zważając na chłód.

- My dwaj - mówi - możemy odmienić Korsykę, przygotować powrót Pasquale Paolego albo... - na chwilę milknie, w końcu dodaje: - kontynuować jego dzieło, zostać jego następcami.

Oddala się samotnie, wielkimi krokami.

W następnych dniach Napoleon krąży po ulicach Ajaccio i okolicznych wiejskich drogach. Zbiera ludzi, przemawia, drżąc z podniecenia. Mówi to, co napisał w swym dziełku o historii Korsyki, co nosił w sobie od lat.

Józef działa osobno i wieczorami obaj bracia porównują wyniki akcji. Nocami, siedząc w swym pokoju w domu przy ulicy Saint-Charles albo w swym gabinecie do pracy w wiejskim domu w Milelli, Napoleon pisze. Na nowo zaczyna wstęp do historii Korsyki, jeszcze bardziej wysławiając charakter Pasquale Paolego. Rankiem powierza to, co napisał, bratu Lucjanowi do przepisania.

W Ajaccio zaczyna się mówić, że dom Buonapartych przypomina klasztor albo szkołę.

Napoleon nie skończył jeszcze dwudziestu jeden lat, lecz z każdym dniem nabiera większej pewności siebie.

Czasem lubi przebywać w odosobnieniu, błądzić gdzieś po pustkowiach. Kocha tę bujną roślinność, przechodzącą w nagi krajobraz salin morskich. Czasami, kiedy wraca do domu, ma dreszcze. Gorączka znowu powraca. Okolice, po których lubi się przechadzać, są niezdrowe. Nie przerywa jednak ani spotkań, ani długich wycieczek, ani swej pracy pisarskiej, której oddaje się niemal każdej nocy.

Po raz pierwszy w życiu odkrywa swój wpływ na ludzi. Z zebrania na zebranie staje się zręczniejszy, bardziej przekonujący. Niektórzy mieszkańcy Ajaccio chcieliby przeprowadzić zamach stanu. Napoleon ich uspokaja. Gubernator ma do dyspozycji żołnierzy i działa. Trzeba postępować rozważnie, wykorzystać to, co się dzieje w Paryżu, aby zmusić do ustępstw władze Korsyki.

31 października 1789 roku gromadzi w kościele św. Franciszka tych, którzy uważają się za patriotów. Wywołuje tym zdziwienie. Jest to pierwsze wystąpienie młodego człowieka, którego imię zaczyna się wymawiać z respektem. Napoleon chodzi tam i z powrotem po chórze. W rękę trzyma petycję, którą zaczyna odczytywać. „Skoro urzędnicy uzurpują sobie władzę sprzeczną z prawem - mówi - skoro deputowani bez upoważnienia powołują się na imię ludu, aby występować wbrew temu, co ślubowali, to wolno osobom prywatnym połączyć swe wysiłki”. Żąda uwolnienia Korsyki od „administracji, która nas wyniszcza, hańbi i dyskredytuje”. Apeluje do deputowanych stanu trzeciego, Salicetiego i hrabiego Colony di Cesari Rocca. Deputowanych szlachty i Kościoła nawet nie wymienia. „Jesteśmy patriotami” - kończy.

Kazał w kościele ustawić stół. Składa na nim swój tekst, bierze pióro, odwraca się ku zgromadzonym i stwierdza, że należy tę petycję podpisać i że on podpisze ją pierwszy. Pochyla się i szybkim ruchem ręki kreśli: „Buonaparte, oficer artylerii”, po czym się oddala.

Tej nocy nie śpi. Dokonał właśnie swego pierwszego aktu politycznego.

Schodzi do ogrodu przy domu w Milelli, gdzie zatrzymał się na noc. Ten podpis jest zarówno zwieńczeniem jego wszystkich rozmyślań, jak i początkiem drogi, którą musi podążać, choć nie widzi na razie jej końca.

Działać - takie jest prawo, któremu musi się podporządkować.

Nazajutrz jedzie konno do Bastii, stolicy Korsyki i siedziby gubernatora de Barrina. Tutaj toczy się główna rozgrywka. Napoleon zatrzymuje się tu na jakiś czas. Gromadzi patriotów, jest pewny siebie. Mówi, że czeka na dostarczenie dwóch skrzynek wysłanych z Livorno. Kiedy wreszcie nadchodzą, to on pierwszy je otwiera. Zanurza ręce w stosie trójkolorowych kokard, każe porozdawać je mieszkańcom Bastii i żołnierzom garnizonu.

3 listopada miasto pokryte jest trzema kolorami: niebieskim, białym i czerwonym. Lecz oficerowie trzymają swoich ludzi krótko, zamykają do aresztu tych, którzy upierają się nosić nowe kolory.

Trzeba wejść na kolejny stopień, ponieważ działać to znaczy iść

w górę. Niech mieszkańcy Bastii wyciągną broń, niech ją ostentacyjnie przygotowują, niech ostrzą noże, obnoszą karabiny, agituje Napoleon. Niech w dniu 5 listopada 1789 roku udadzą się pokojowo do kościoła św. Jana, gdzie będą prowadzone oficjalne zapisy do powstającej milicji.

Napoleon krąży po mieście. Panuje duże napięcie. W stronę kościoła posuwają się kompanie grenadierów i strzelców z pułku z Maine. Działa cytadeli wycelowane są w miasto. Oficerowie znieważają mieszkańców Bastii: „To włoskie żebractwo chce sobie z nas zakpić? Będą mieli z nami do czynienia!”.

Massoni, jedyny Korsykanin, który tak jak Napoleon jest oficerem artylerii, ostentacyjnie udaje się do cytadeli.

Na ulicach w pobliżu kościoła św. Jana dochodzi nagle do konfrontacji między żołnierzami a mieszkańcami Bastii. Padają strzały. Dwaj żołnierze zostają zabici, kilku Korsykan zaś jest rannych od ciosów bagnetu.

Barrin szybko idzie na ustępstwa. Rozdziela broń między członków nowej milicji. Pułkownikowi, dowodzącemu wojskiem, nie pozostaje nic innego jak opuścić Bastię. Kiedy jego statek się oddala, Korsykanie odprowadzają go okrzykami i kocią muzyką trąbek. „Nasi bracia z Bastii rozerwali swe łańcuchy na tysiąc kawałków”, mówi Napoleon.

Wraca teraz do Ajaccio. Zna dobrze te drogi, którymi jeździł już tyle razy. Nigdy jednak nie miał takiego poczucia kierowania wypadkami, tworzenia historii jak teraz - w początkach listopada 1789 roku. To upojenie, jakiego nigdy jeszcze nie zakosztował.

Kilka tygodni później dowiaduje się, że na wieść o wypadkach w Bastii deputowany Saliceti wysuwa żądanie, aby Korsyka nie była już poddana władzy wojskowej jak kraj podbity, lecz aby została wcielona do królestwa i by obowiązywała w niej taka sama konstytucja jak w innych częściach kraju. Napoleon nie posiada się z radości.

30 listopada 1789 roku Konstytuanta nie tylko przyjęła to żądanie, ale na wniosek Mirabeau ogłosiła, że wszyscy wygnańcy, którzy walczyli o wolność wyspy, mogą powrócić na Korsykę i korzystać z praw obywateli francuskich.

Nowina dociera na Korsykę pod koniec grudnia. Napoleon każe natychmiast wykonać transparent, który przymocowują do fasady domu przy ulicy Saint-Charles. Znajdują się na nim słowa: „Niech żyje Naród! Niech żyje Paoli! Niech żyje Mirabeau!”

W całym mieście tańczy się i śpiewa. Na placu Olmo ludzie rozpalają ognisko z radości. Krzyczą: *Evviva la Francia! Evviva il rè!* „Niech żyje Francja! Niech żyje król!”

Napoleon miesza się z tłumem. W kościołach śpiewają *Te Deum*.

Słyszac te głosy, radosne okrzyki, Napoleon odczuwa radość i dumę, że był jednym ze sprawców wydarzeń. Ci tańczący mężczyźni i kobiety, ten rozradowany lud jemu zawdzięcza swoje szczęście.

Jest więc jednym z tych wyjątkowych ludzi, których Plutarch nazywa bohaterami tworzącymi Historię. Ma zaledwie dwadzieścia lat i pięć miesięcy. Pisze. Może po raz pierwszy od czasów dzieciństwa przestaje czuć się rozdarty, jakby dwie rozdzielone części jego istoty w końcu się połączyły. Patriota korsykański zaakceptował francuskiego oficera.

Nowa Francja, ten potężny i oświecony naród - który wydawał mu się frywolny, zepsuty przez swobodę kobiet, upadek obyczajów i próżniactwo - odrodził się. Francja promieniuje. Francja uznaje Korsykę za swoją cząstkę.

Napoleon entuzjazmuje się: „Francja przyjęła nas na swe łono - mówi. - Odtąd mamy te same interesy, te same troski, już nie dzieli nas morze!”. Porzuca więc zamiar opublikowania historii Korsyki. Nie jest potrzebna w takiej chwili. „Wśród zadziwiających rzeczy w rewolucji francuskiej - zauważa - zdumiewające jest także to, że ci sami, którzy niegdyś zadawali nam śmierć jako buntownikom, dziś zostali naszymi obrońcami, a ożywiają ich te same uczucia co nas”.

W ciągu tych pierwszych miesięcy roku 1790, gdy tylko Napoleon pokaże się na ulicach Ajaccio - sam bądź w towarzystwie Józefa - wszędzie witają go i pozdrawiają z tą serdeczną i wdzięczną ciekawością, jaka towarzyszy ludziom, których luci uznaje za swoich przywódców albo przedstawicieli. Każdy chce

z nim zamienić kilka słów. Każdy gratuluje Józefowi, że został mianowany urzędnikiem miejskim.

Powoli zaczyna się tworzyć klan Buonapartych i Napoleonowi zależy na pokazaniu swym zwolennikom, że choć należy do inspiatorów, to jednocześnie jest także skromnym patriotą. Zapisał się do Gwardii Narodowej jako prosty żołnierz i kiedy przychodzi jego kolej, stoi na warcie przed drzwiami Mariusa Josepha Peraldiego, który został mianowany pułkownikiem tej formacji.

Któż dałby się tym zwieść?

Dzięki plotkom Napoleon dowiaduje się, że La Férandière, komendant garnizonu w Ajaccio, napisał na niego donos do ministra. „Ten młody oficer wychowany został w paryskiej Szkole Wojskowej - pisze La Férandière - jego siostra w Saint-Cyr, a jego matka obsypana była dobrodziejstwami rządu. Byłoby lepiej, gdyby wrócił do swego korpusu, ponieważ sieje tu stale ferment”.

Napoleon stara się uprzedzić cios i natychmiast, 16 kwietnia, pisze do swego pułkownika prośbę o nowy urlop. „Moje nadszarpnięte zdrowie - pisze - nie pozwala mi wrócić do pułku przed drugim sezonem wód mineralnych w Orezza, tzn. 15 października”. Do listu załącza zaświadczenie lekarskie potwierdzające prawdziwość jego słów. Prawdą jest, że od czasu do czasu, może w następstwie swoich spacerów po salinach, gorączkuje.

29 maja udzielono mu urlopu na cztery miesiące, licząc od 15 czerwca 1790 roku.

Jest wolny. Coraz mocniej narasta w nim przekonanie, że jego wola i chęci potrafią sforsować wszelkie zapory. Że chceć to móc. Kiedy już wyznaczy sobie cel, który chce osiągnąć, musi tylko metodycznie zgromadzić środki potrzebne do tego, żeby zacząć, i jeśli jego wola nie osłabnie, to już nic nie stanie mu na przeszkodzie.

Chce zostać na wyspie, aby nadal „siać ferment”, i skłonić Józefa do wejścia w skład delegacji, która ma się udać na spotkanie Pasquale Paolego zdążającego na Korsykę.

On sam powinien czekać na powrót Babbo na miejscu. Nie można wyjechać z wyspy w chwili, gdy lud będący w stanie wrzenia ujrzeć ma swego bohatera, któremu Napoleon ofiarował swą szablę i pióro.

24 czerwca 1790 roku Józef wsiadł na statek do Marsylii. Pasquale Paoli wyjechał tymczasem z Paryża, gdzie Zgromadzenie Narodowe powitało go oklaskami i gdzie został przyjęty przez Robespierre'a oraz klub jakobinów. Delegacja, w której skład wchodzi Józef, ma go powitać w Lyonie.

Nazajutrz, 25 czerwca, gdy Napoleon siedzi przy swoim stole do pracy, słyszy naraz wrzawę idącego tłumu i okrzyki.

Od kilku dni trwa konflikt między władzami miejskimi Ajaccio i obywatelami miasta a dowództwem garnizonu. Ratusz żąda broni i dostępu do twierdzy. La Férandière i major Lajaille odmawiają.

Napoleon chwyta za swój karabin i nie tracąc czasu na włożenie surduta i wciągnięcie butów czy nałożenie kapelusza, schodzi na ulicę.

Manifestanci rozpoznają go, obwołują swoim przywódcą. Waha się, potem jednak, przypominając sobie rozruchy, jakich był świadkiem, i wiedząc, do czego zdolny jest tłum, zgadza się objąć dowództwo, stara się pokierować ludźmi, zgadza się na aresztowanie Francuzów, ale broni ich przed poważniejszymi aktami przemocy.

W ten sposób major Lajaille został aresztowany i zatrzymany przez władze miejskie. Jednak w tym momencie Napoleon usuwa się w cień, tak samo jak 5 listopada 1789 roku w Bastii. Decyduje się wystąpić na pierwszy plan dopiero w chwili, gdy władze miejskie, po uwolnieniu majora Lajaille'a, chcą ułożyć memoriał dla usprawiedliwienia wypadków 25 czerwca. Napoleon oskarża La Férandière'a o wzniesienie „haniebnego spisku przeciw prawu” i usiłowanie „karygodnej rebelii”. Oskarża Korsykan, którzy oddali się w służbę Francji dawnego porządku, „którzy żyją pośród nas, którym dobrze się powodziło wśród powszechnego upodlenia i którzy dzisiaj nienawidzą konstytucji przywracającej nam wolność!”.

Jak mógł przy tym nie pomyśleć o własnym ojcu, Carlu Buonaparte, który był jednym z nich?

Pewnej lipcowej niedzieli, gdy Napoleon spaceruje ze swym bratem Józefem po placu Olmo, podchodzi do nich nagle grupa Korsykan, na której czele stoi niejaki ksiądz Recco, bratanek ich dawnego nauczyciela w Ajaccio. Oskarżają oni Napoleona o wznie-

cenie rozruchów 25 czerwca, o prześladowanie Francuzów i Korsykan godnych swego kraju. I dokonuje tego taki Buonaparte, którego ojciec kiedyś był zwolennikiem Paolego, a potem przyłączył się do orszaku pana, de Marbeuffa, Buonaparte, który sam jest pochodzenia toskańskiego.

Przyjaciele Napoleona oddzielają go od napastników, grożąc śmiercią każdemu, kto ośmieliłby się go dotknąć. Napoleon nie stracił zimnej krwi. „My nie jesteśmy Francuzami? - wykrzykuje. -*Orrenda bestemmia!* Okropne bluźnierstwo! Pozwę do sądu łajdaków, którzy to rozgłaszają”.

Wymieniają jeszcze kilka obelg i potem każda z grup się wycofuje. Napoleon wraca z Józefem do domu przy ulicy Saint-Charles. Jest milczący i zamyślony.

Jak głęboka nienawiść dzieli Korsykan... Jedni są zwolennikami Paolego i pozostali mu wierni, inni, jak Carlo Buonaparte, zgodzili się na współpracę z władzami francuskimi. Niektórzy przyłączyli się do sprawy rewolucyjnej Francji, a inni nie porzucili białej kokardy, są wreszcie i tacy, którym marzy się niepodległość.

We wrześniu 1790 roku Napoleon jedzie na spotkanie Pasquale Paolego, który wyładował w Bastii. Od tamtej pory Babbo panuje niepodzielnie na wyspie, aresztując swoich wrogów, Francuzów, jeżdżąc z miasteczka do miasteczka w otoczeniu tłumu admiratorów i pochlebców. Paoli wszędzie przyjmowany jest jako wybawiciel i „ojciec ojczyzny”.

Napoleon wraz z bratem przyłączają się do młodzieńców towarzyszących Paolemu, którzy jeżdżą za nim i ubiegają się o przywilej wejścia w skład jego honorowej eskorty. U wejścia do miasteczek wzniesiono łuki triumfalne. Mieszkańcy wiwatują i strzelają z muszkietów.

Napoleon jedzie u boku Paolego. Przygląda się temu postarzałemu człowiekowi, który przeżył dwadzieścia lat w Anglii, otrzymując od rządu angielskiego pensję dwóch tysięcy funtów szterlingów. Rozumie, że w otoczeniu Paolego jest tylko jednym z wielu. Być może jest nawet podejrzany: nosi przecież mundur francuskiego oficera, a także ze względu na postawę, jaką przejawiał jego ojciec. Dołącza się do tego także zadawniona niechęć pomie-

dzy ludźmi z Bastii i Ajaccio, tymi *di quà* i tymi *di là*, z tej i z drugiej strony gór. Paoli nie ufa Ajaccio. Buonapartowie zaś są z Ajaccio.

Kawalkada przybywa do Ponte Nuovo. Tutaj w 1769 roku Paoli został pokonany przez Francuzów. Podjeżdża, zsiada z konia, pokazuje uprzejmie Napoleonowi pozycje obu obozów, które zajmował i których bronił z pomocą swych partyzantów. Wszyscy z szacunkiem słuchają opowieści o tamtej walce. Napoleon suchym głosem oficera, który zna rzemiosło wojenne, konkluduje: „Skutek tych rozkazów był taki, jaki musiał być”.

Wśród obecnych zalega cisza. Pasquale Paoli patrzy na Napoleona, który zdając się nie zauważać swej zuchwałości, gratuluje staremu przywódcy heroicznej odwagi i jego wierności Korsyce. Incydent wydaje się zażegnany. Brat Napoleona Józef został wybrany na zgromadzenie, które Paoli zwołuje do Orezzy, potem zostanie jeszcze wybrany na przewodniczącego Dyrektoriatu okręgu Ajaccio.

Napoleon jest zadowolony. Zbliży się koniec roku 1790. Jego urlop się kończy. Chce i musi wracać do Francji, aby otrzymać swój żołd, ponieważ czuje się związany z królestwem jako jego obywatel i oficer. Chce także zawieźć na kontynent swego brata Ludwika, który zacznie naukę w szkole wojskowej, a Napoleon będzie nad nim czuwać i w razie potrzeby będzie go sam uczyć.

Zimą 1790 roku Napoleon niemal codziennie bywa w porcie. Jednak wiatry ciągle są niesprzyjające. Żaden statek nie wypływa do Francji. Napoleon spędza czas na pisaniu, zapędza do pracy braci i siostry.

W końcu grudnia wsiadają wreszcie z Ludwikiem na statek, ale wiatr spycha ich dwa razy z rzędu z powrotem na wybrzeża Korsyki. Trzeba czekać.

6 stycznia 1791 roku w Ajaccio Napoleon zakłada miejscowy klub patriotyczny, II Globo Patriottico. Obecny jest na każdym zebraniu, włącza się z zapalem w obrady.

Ten młody człowiek, mający zaledwie dwadzieścia jeden i pół roku, potrafi już zręcznie manipulować ludźmi. We Francji nauczył się rzemiosła wojennego. Tu, na Korsyce, nauczył się polityki: był inspiratorem wydarzeń, brał udział w starciach zwalczających się

ugrupowań i klanów, uznany został za jednego z przywódców zmian politycznych. Wykorzystywał, kogo się dało, wypychając na pierwszy plan, na oficjalne stanowiska swego brata Józefa. Sam jest jeszcze za młody, aby wysunąć się na czoło.

23 stycznia 1791 roku w gabinecie w wiejskim domu w Milelli Napoleon pisze w imieniu klubu patriotycznego w Ajaccio list do deputowanego szlachty Buttafoca. Klub postanawia ten list wydrukować, a Napoleon przesyła jego tekst Paolemu.

List jest długi i pełen emfazy. Napoleon atakuje deputowanego szlachty, krytykuje jego karierę - człowieka, który namówił Choiseula do podbicia Korsyki, i przywołuje wszystkie etapy historii wyspy. Ukazuje on Buttafoca jako „zbrukanego krwią swoich braci”. Zwraca się do deputowanych Konstytuanty: „Szanowni Lamecie, Robespierze, Petionie, Volneyu, Mirabeau, Barnavie, Bailleyu, La Fayette, oto człowiek, który ośmielił się zasiąść obok was”.

Paoli odpowiada jednak Napoleonowi suchym tonem, że trzeba „mniej mówić i okazywać mniej stronnictwo”. Napoleon zaciska zęby. Już dawno odwykł od wysłuchiwanie kazań. Zresztą czy kiedykolwiek pozwalał się karcić?

Czyta dalej list Paolego: „Niech Pan nie zadaje sobie trudu ujawniania szalbierstw Buttafoca [...] niech go pan pozostawi obojętności i pogardzie ogółu”.

Jest to policzek dla Napoleona. Zdecydował się jednak być człowiekiem Pasquale Paolego. Znosi więc zniewagę w milczeniu.

Szczyściem w ostatnich dniach stycznia 1791 roku. wiatry zmieniają kierunek. Napoleon odprowadzany aż do trapu przez matkę, braci i siostry, a także przez przyjaciół z *Globo Patriottico*, wsiada z Ludwikiem na statek do Francji. Gdy jednak znalazł się już na pokładzie i stanął na rufie, trzymając pod rękę młodszego brata, zaczęły ogarniać go wątpliwości.

Jego los związany jest z wyspą. Chce, aby tak było, i w to wierzy. A jednak kiedy szczyty Korsyki zacierają się na linii horyzontu, po raz pierwszy wcale nie odczuwa bólu rozstania. Coś się w nim zmieniło.

Rozdział 10

Jest wpół do czwartej po południu 8 lutego 1791 roku. Napoleon maszeruje rażnym krokiem drogą do Lyonu. Pod niskimi chmurami zapowiadającymi śnieg dostrzega daleką dzwonnice w Saint-Vallier-du-Rhône. W odległości zaledwie kilkuset metrów widzi pierwsze domy, a właściwie chaty małej wsi.

Jest zimno, ale jak to często bywa, kiedy zbiera się na śnieg, powietrze przesyca łagodna wilgoć. Od czasu do czasu Napoleon się odwraca, jego młodszy brat Ludwik umyślnie się ociaga. Ma dopiero trzynaste lat. Wolałby zostać w Valence i czekać na dyliżans.

„Pójdziemy aż do Serve” - rzekł Napoleon po rozmowie z woźnicą. Dyliżans zatrzyma się tam po drodze. Zmrok zapada szybko. Jakiś wieśniak otwiera im drzwi, wita oficera i chłopca, zaprasza ich do środka. Zaczekają na dyliżans, który wieczorem przejedzie przez wioskę po drodze do Saint-Vallier-du-Rhône, gdzie ma postój.

Napoleon odczuwa potrzebę dzielenia się swymi przemyśleniami. Prowadzi długą rozmowę z wieśniakiem, wręcza mu monetę. Ludwik drzemie. Przynoszą świecę, Napoleon wyjmuje z torby przybory do pisania i zaczyna pisać list do wuja Fescha:

„Znajduję się w chacie biedaka, skąd mam przyjemność pisać do Ciebie. Jest czwarta po południu, powietrze rześkie, lecz łagodne. Pieszcy marsz sprawił mi przyjemność [...]. Wszędzie zastawałem chłopów niezachwianych w swoich przekonaniach, szczególnie w Delfinacie. Wszyscy oni gotowi są zginąć w obronie Konstytucji.

W Valence widziałem zdeterminowany lud, żołnierzy patriotów oraz oficerów arystokratów [...]. Kobiety wszędzie są rojalistkami. Nic w tym dziwnego. Wolność jest kobietą piękniejszą od nich, więc je przyciemnia".

Przerywa. Ludwik zasnął. Napoleon myśli o sytuacji na Korsyce. Ludzie, których spotkał w Valence, wydali mu się jeszcze mniej kompetentni niż w Ajaccio.

„Nie trzeba tak bardzo narzekać na nasz departament" - pisze. Aby jednak zwrócić uwagę na wyspę, „dobrze byłoby, gdyby klub patriotyczny z Ajaccio podarował Mirabeau kompletny strój korsykański, to znaczy biret, kurtkę, spodnie i pończochy, ładownicę, sztylet, pistolet i strzelbę - to zrobiłoby dobre wrażenie".

Napoleon przestaje pisać. Słyszy przybliżający się odgłos kół i kopyt. Budzi Ludwika, dopisuje ostatnie zdanie. „Ściskam Cię, drogi Wuju, nadjeżdża już dyliżans. Wsiadam do niego. Będziemy nocować w Saint-Vallier".

W powozie ponownie spotyka podróżnych pozostawionych w Valence. Rozmowy zaczynają się na nowo. Napoleon broni Konstytuanty. Potępia zwolenników starego porządku, „który nie powróci" - mówi dobitnie. „Dobre towarzystwo jest w trzech czwartych arystokratyczne - dodaje - co oznacza, że ukrywa się pod maską zwolenników Konstytucji angielskiej". Przyznaje, że on sam bynajmniej nie jest zwolennikiem umiarkowanych.

W oberży w Saint-Vallier toczy się dalej dyskusja o pojęciu narodu. Napoleon powtarza to słowo. Inni mówią o „królestwie". Ocl czasu zdobycia Bastylji i połączenia się stanów w Zgromadzeniu Narodowym - argumentuje - Francję należy nazywać „narodem".

Później w pokoju, kiedy Ludwik zasypia, Napoleon jeszcze pisze. Zajęcia polityczne usunęły się w cień. Wstaje, otwiera okno, wraca do stołu. „Błuszcz owija się wokół pierwszego napotkanego drzewa - pisze - to pokrótce cała historia miłości".

Na dworze pada śnieg. Chce poczuć zimno, żeby zagłuszyć uczucia i pragnienia, które odbierają mu spokój. Wkrótce skończy dwadzieścia dwa lata.

„Czymże jest miłość? - pisze dalej. - Przyjrzyjcie się temu młodemu człowiekowi: mając trzynaście lat, kocha swego przyjaciela tak,

jak będzie kochać swą kochankę, mając lat dwadzieścia. Egoizm rodzi się później. W wieku lat czterdziestu człowiek kocha swe powodzenie, w wieku lat sześćdziesięciu tylko siebie samego. Czymże jest więc miłość? Poczuciem własnej słabości, które natychmiast ogarnia człowieka samotnego lub osamotnionego [...]"

Jeszcze raz wstaje, otwiera i zamyka okno. Cisza śniegu okrywa miasteczko i pobliskie pola. Napoleon pisze ostatnie zdanie: „Jeśli będzie w tobie uczucie, to poczujesz, że ziemia się rozstępuje”.

Dwa dni później jest już w Auxonne. Pokazuje Ludwikowi koszary pułku La Fère, gdzie ma się przedstawić pułkownikowi, panu de Lance, i pawilon miejski, gdzie będą mieszkali. Urządza swego brata w służbówce przylegającej do pokoju, w którym sam będzie mieszkał.

Na placu kościelnym, kiedy Napoleon pokazuje Ludwikowi księgarnię, otaczają ich oficerowie. Witają Napoleona chłodno. Podczas tych siedemnastu miesięcy jego urlopu monarchia i armia królewska poddane były surowym próbom. Mówi się, że Napoleon na Korsyce stanął przeciwko panom de Barrin i La Férandière. Dlaczego nie postąpił tak jak Massoni, który wybrał obóz króla?

Napoleon się broni, jednak w ciągu tej pierwszej konfrontacji z oficerami „arystokratami” napięcie narasta.

Przedstawiając pułkownikowi świadectwa wystawione przez okręg Ajaccio, Napoleon jest zdenerwowany. Dokumenty te nie tylko zaświadczają, że chciał od października wrócić do swego pułku, ale także, iż był „ożywiony najczystszy patriotyzmem, składając niewątpliwe dowody swego przywiązania do Konstytucji od początku rewolucji”.

Pułkownik okazuje się wyrozumiały i popiera prośbę Napoleona o wypłacenie zaległego żołdu od 15 października do 1 lutego. Napoleon uspokaja się, ale z niecierpliwością oczekuje na ministerialną decyzję potwierdzającą wypłatę pieniędzy. Potrzeba mu tych dwustu trzydziestu trzech liwrow, sześciu soldów i ośmiu denarów.

Teraz z jego żołdu muszą żyć obaj z bratem. Napoleon sam kupuje mięso, mleko, chleb, targuje się zawzięcie o ceny artykułów spożywczych, usług krawieckich. Sam czyści swój mundur. Nigdy

nie narzeka przed swymi kolegami. Później zwierzy się jednak: „Jestem przez edukację mego brata pozbawiony wszystkiego, nawet rzeczy niezbędnych”.

Stale jednak odwiedza księgarnię. Kupuje zeszyty, książki i gazety. Na te ostatnie wyczekuje się w Auxonne z taką samą niecierpliwością jak na Korsyce i Napoleon urzęduje dla podoficerów i żołnierzy pozyskanych dla idei rewolucyjnych publiczne czytania artykułów relacjonujących wydarzenia w Paryżu.

Jednak nocami, gdy Ludwik śpi, jego starszy brat nadal pracuje z pasją, nie umniejszoną przez niepokoje polityczne, które śledzi, komentuje i do których się włączał na Korsyce i we Francji.

Czyta Machiavellego, historię Sorbony i dzieje szlachty. Czasem na drugi dzień pokazuje Ludwikowi listy słów, jakie sporządził, by uzupełnić swoje słownictwo. Przepisuje różne konstrukcje zdaniowe i zwroty. Chce lepiej opanować język francuski, w którym gorączkowo pisze.

„Południowa krew, która płynie w moich żyłach - notuje u dołu listu do swego przyjaciela Nauclina, komisarza wojennego w Auxonne - pędy z gwałtownością Rodanu. Proszę więc wybaczyć, jeśli trudno odczytać moją bazgraninę”.

Znowu czyta dzieła Rousseau. Na marginesie niektórych fragmentów dopisuje: „Nie wierzę w to”. Czasem niecierpliwym gestem skreśla słowa, które napisał wcześniej. Już nie jest zwyczajnym uczniem robiącym notatki. Do swych poglądów dochodzi w poczuciu całkowitej wolności, ale zawsze jest w tym wiele pasji. „Panowie są plagą ludu” - pisze. I jeszcze: „Papież jest jedynie urzędowym przywódcą Kościoła. Nieomylność przysługuje prawowicie zgromadzonemu Kościołowi, a nie papieżowi”.

Zdarza mu się pracować piętnaście, nawet szesnaście godzin dziennie. Po wykonaniu swoich zadań zajmuje się Ludwikiem.

- Siłą zmuszę go do nauki - mówi.

Często ogarnia go gniew na brata. Policzkuje go. Sąsiedzi się oburzają. „Paskudny marabut!” - krzyczą do niego. Ale kiedy Ludwikowi uda się ćwiczenie z matematyki lub francuskiego, Napoleon odpręża się, uśmiecha. Chwali chłopca.

„On będzie z nas wszystkich najlepszy - pisze do Józefa. -Wszystkie kobiety w okolicy są w nim zakochane”.

Słucha z zachwytem, jak wysławia się ten trzynastolatek. Obserwuje, jak w salonach porusza się w niewymuszony i elegancki sposób. „Posiadł on francuską zręczność w obejściu - pisze dalej. - W towarzystwie wita się z gracją, zadaje zwyczajowe pytania z powagą i godnością trzydziestolatka”.

Napoleon nie spuszcza oka ze swego brata. Czuje się za niego odpowiedzialny, uczy go wszystkiego, co sam umie. I zadowolony dodaje: „Żaden z nas nie będzie miał tak świetnego wykształcenia”.

- Idziemy - mówi Napoleon. W taki sposób wychowuje się młodszego brata.

Jest godzina wpół do czwartej rano. Ludwik szczęka zębami. Ubiera się w pośpiechu. Kawalek chleba i naprzód, wiejskimi drogami w lodowatą wietrzną noc. Napoleon kieruje się w stronę Dole. Tu przy ulicy Besancon, poci numerem 17 mieszka drukarz Joly. Rzemieślnik ów zgodził się wydrukować *List do Buttafoki*. Oznacza to cztery mile marszu w jedną i w drugą stronę. W dodatku trzeba przebyć tę trasę wielokrotnie w ciągu kolejnych dni.

Pewnego ranka Napoleon ubiera się w strój sankiuloty, jakobińską kurtkę i długie spodnie z białego płótna w paski. Zdziwionemu drukarzowi wyjaśnia w krótkich, urywanych słowach, że zrobił to, ponieważ jest po stronie tych, którzy bronią wolności. Nigdy długo nie zostaje w Dole. Każe Ludwikowi znów ruszać w drogę. Przed południem trzeba być w Auxonne.

Słońce weszło. Napoleon korzysta z okazji, aby zrobić Ludwikowi lekcję geografii i powtórzyć mu, że nigdy nie wolno pozwolić, aby czas upływał bezużytecznie i na próżno.

Kiedy docierają do brzegów Saony, niedaleko koszar w Au-xonne, podchodzą do nich dwaj oficerowie z pułku La Fère. Oto i ten porucznik Bonaparte!

Dyskusja wkrótce staje się gorąca. Oficerowie wyrzucają mu, że czyta żołnierzom artykuły z gazet sprzyjające dekretom Konstytuanty. A nawet odczytał im petycję, którą klub patriotyczny w Ajaccio wysłał do Konstytuanty, wyjaśniając, że została napisana przez jego starszego brata Józefa.

Ton rozmowy się zaostrza. Dwaj oficerowie utrzymują, że

szlachta została zmuszona do emigracji i że to jedyny sposób, by pozostać wiernym królowi.

- Niech żyje naród - odpowiada Napoleon. - Ojczyzna jest ważniejsza niż król.

Dwaj oficerowie popychają go, grożąc wrzuceniem do Saony. On się broni. Lecz po chwili z koszar wychodzą żołnierze. Sprzeczka się urywa.

Choć Napoleon nie może sprawić, aby idee rewolucyjne za triumfowały w korpusie oficerskim, to żołnierze i sierżanci zgadzają się z nimi powszechnie. Baron Du Teil, mianowany w 1791 roku generalnym inspektorem artylerii, pisze, że choć wojsko nadal prezentuje się dobrze, to „żołnierze i podoficerowie nabawili się ducha łotrostwa i niesubordynacji, które dają się zauważyć na każdym kroku”. Odwracają głowę, aby nie salutować oficerom, lecz fraternizują się z obywatelami z Gwardii Narodowej i prezentują broń oficerom milicji mieszczańskich.

Pewnego wieczoru, gdy Napoleon udaje się na proszoną kolację w Nuits, wydaną na cześć jednego z kolegów, oficera pułku, który niedawno się ożenił, zaraz po wejściu do salonu spostrzega, że wpadł w pułapkę. Zaproszona została cała okoliczna „szlachetczyzna”.

Szydzą z niego. Więc to jest ten porucznik o ciętym języku, który broni idei rozbójników i popiera niezdiscyplinowanie żołnierzy? Otaczają go ciasno. Indagują. Co sądzi o aktach niesubordynacji? Czy taki stan ducha może zadowalać oficera?

Napoleon broni się. Nie jest przeciwny wojsku, stwierdza. Wierzy w konieczność dyscypliny i porządku. Ale nie będą one przestrzegane, dopóki sami oficerowie nie będą przestrzegać prawa, nie zaakceptują nowych zasad.

Pojawia się mer Nuits w karmazynowym fraku. Napoleon sądzi, że znalazł w nim sojusznika. Ale mer z jeszcze większym wigorem broni zachowania oficerów myślących o emigracji. Czego można się spodziewać po władzy - mówi - która nie umie utrzymać porządku w armii?

Utarczka jest tak żywa, że wtrąca się pani domu i przerywa dyskusję.

Jednak od następnego dnia zaczynają go spotykać afronty. Jest tak zarówno w Auxonne, jak i w Valence, dokąd przybyli z bratem 16 czerwca 1791 roku, ponieważ Napoleon otrzymał tu nominację na porucznika.

Jego nowy pułk - czwarty regiment artylerii z Grenoble, jest wewnętrznie podzielony, tak samo jak pułk La Fère, który Napoleon opuścił. Żołnierze nastawieni są przychylnie do nowych idei, natomiast część oficerów myśli o emigracji bądź podaniu się do dymisji przez wierność wobec króla.

- Niech pan nie wyjeżdża - radzi Napoleonowi, który nigdy nie miał tego zamiaru, panna Bou. - Emigracja jest zawsze nieszczęściem.

Napoleon bowiem powrócił do swej gospodyni i do swego pokoju w domu rodziny Bou. Ludwik jest przedmiotem wielkich starań gospodyni. Rozpieszcza go, matkuje mu, broni go przed wybuchami gniewu jego wymagającego brata Napoleona.

Napoleon ma w Valence mniej czasu dla Ludwika. Zadowala się codziennym ustaleniem programu nauki na dany dzień, później wychodzi, udaje się do koszar albo do czytelnicy pana Aurela. Wszędzie prowadzi się żarliwe dyskusje.

Z początkiem lipca 1791 roku nadzwyczajna nowina wprawia w poruszenie całe miasto: Ludwik XVI i jego rodzina usiłowali 20 czerwca uciec z Francji i zostali zatrzymani w Varennes. Armia markiza de Bouillé na próżno czekała, aby wywieźć ich za granicę.

- Król - wykrzykuje jeden z kolegów Napoleona - jest w trzech czwartych martwy!

Zebrani oficerowie protestują. Napoleon się zgadza. Gotów jest podpisać nową przysięgę na wierność Konstytucji, której wymaga się od oficerów.

- Jakiej Konstytucji? - pyta ktoś. - Czy należy przyznać królowi prawo weta i jakiego weta? Wstrzymującego czy absolutnego? I czemu nie postawić króla przed sądem?

Napoleon bez końca debatuje z niektórymi kolegami oficerami na placu Clerc. Większość z nich to monarchiści. Napoleon zaś -stwierdza to z mocą, przystając w miejscu i wznosząc podbródek -jest zdecydowanym republikaninem, zwolennikiem Komitetu Dobra Publicznego, a nie widzimię władcy.

Przeczytał przemówienia wszystkich monarchistycznych oratorów.

- Siłą się na niepotrzebne analizy! - wykrzykuje. - Wygłasza ją twierdzenia, których nie udowodnili... Czynią wielkie wysiłki w obronie złej sprawy... Naród liczący dwadzieścia pięć milionów ludzi może z powodzeniem być republiką... Myśleć inaczej jest polityczną głupota.

Napoleon potrafi irytować. Mówi z zapalem. Na wszystko ma odpowiedź. Emocje są tak rozpalone, że niektórzy oficerowie odwracają się na jego widok.

W oberży „Pod Trzema Gołębiami”, gdzie Napoleon jada jak dawniej, koledzy nie chcą siadać obok tego „wściekłego demagoga”, wygłaszającego opinie „niegodne francuskiego oficera, którego bezpłatnie wyedukowano w szkole wojskowej, a król obsypał dobrodziejstwami”.

Napoleon rozumie. Nie szuka zwady. Nie reaguje nawet wtedy, kiedy jeden z oficerów, porucznik du Prat, rzuca do służącej, która postawiła jego nakrycie obok nakrycia Napoleona: „Raz na zawsze proszę, żeby nigdy nie sadzać mnie obok tego człowieka”.

Jednak w kilka dni po tym incydencie Napoleon ma okazję do rewanżu. Podczas patriotycznego pochodu du Prat zbliża się do okna i zaczyna śpiewać prowokacyjnym tonem pieśń arystokratów, *Ó Richard, 6 mon roi*. Pochód staje, tłum rzuca się, by rozszarpać oficera rojalistę, wtedy Napoleon osłania go i ratuje od linczu.

Napoleon jest znany. Wraz z kilkoma oficerami, żołnierzami i miejscowymi osobistościami zostaje członkiem Towarzystwa Przyjaciół Konstytucji. Spotyka w tym rewolucyjnym klubie księgarza Aurela. Wymieniają uścisk. Napoleon wkracza na trybunę, aby potępić ucieczkę króla, postawę markiza de Bouillé, „hańbę” tego oficera. Mówi z nerwową swadą, krótkimi skandowanymi zdaniem. Otrzymuje oklaski. Powierzają mu funkcję sekretarza. Mianują go bibliotekarzem towarzystwa.

3 lipca zbierają się, aby potępić króla.

- Należy oddać go pod sąd - stwierdza Napoleon. - Opuszczając Paryż, Ludwik XVI zdradził.

Występuje jeden z żołnierzy i krzyczy w imieniu swoich kolegów:

- Mamy działa, mamy ramiona i serca, jesteśmy to winni Konstytucji!

14 lipca cała ludność Valence, żołnierze, korporacje, Gwardia Narodowa, biskup z duchowieństwem zbierają się na champ cle l'Union, Polu Jedności. Jest tam także Napoleon na czele żołnierzy czwartego regimentu. Jego brat Ludwik stoi w tłumie w towarzystwie panny Bou. Zebrani śpiewają *Ca ira*. Składają przysięgę, krzycząc: „Przysięgam”. Później biskup odprawia mszę dziękczynną. I wszyscy razem pochodem wracają do Valence.

Najgorętsi patrioci zbierają się w sali Towarzystwa Przyjaciół Konstytucji, gdzie stół zastawiony jest do bankietu. Pod koniec posiłku Napoleon wstaje. Oklaskują go. Jest jednym z najbardziej znanych w mieście oficerów patriotów. Złożył nową przysięgę wymaganą od wojskowych. Mówi, że jest republikaninem. Uważa, że trzeba osądzić króla. Napoleon wznosi toast za swoich dawnych kolegów z Auxonne i za tych, którzy w tym burgundzkim mieście bronią praw ludu.

-Niech żyje Naród! - krzyczy.

Wieczorem nie może zasnąć z podniecenia. To rewolucyjne wrzenie wśród całej ludności, wciągające w wir cały kraj, przynoszące co dnia nowe wydarzenia, zmusza go ciągle do dokonywania nowych wyborów. Jak w takich warunkach znaleźć spokój?

Pisze do Naudina, swego przyjaciela, który został w Auxonne. Jego charakter pisma to - jak sam przeprasza mówiąc - bazgroły.

„Zasypiać, mając głowę napelnioną wielkimi sprawami publicznymi i serce poruszone przez osoby, które się ceni i które opuściło się ze szczerym żalem, to rozkosz, jaką znają tylko wielcy epikurejczycy”.

Nie-przestaje się zastanawiać nad przeszłością.

„Czy będzie wojna?” - zadaje sobie pytanie w lipcu 1791 roku. Raczej w to wątpi. Ze strachu przed rewolucyjną zarazą władcy europejscy będą woleli poczekać, aż Francję rozedrze wojna domowa. Ale królowie się myślą. „Ten kraj jest pełen żarliwości i zapału” - konkluduje Napoleon. Nawet jego pułk jest zdeklarowany: „Żołnierze, sierżanci i połowa oficerów” sprzyjają nowym zasadom.

Czy będzie można zasnąć, kiedy list zostanie już złożony i zaadresowany? To niemożliwe.

Napoleon otwiera zeszyty. Rozpoczął swe pierwsze prawdziwe dzieło.

Akademia w Lyonie zaofiarowała nagrodę 1200 liwrów dla autora najlepszej rozprawy na następujący temat: „Jakie prawdy i jakie uczucia należy przede wszystkim zaszczyścić ludziom dla ich szczęścia?” Napoleon natychmiast zdecydował się wziąć udział w konkursie. Czyż Rousseau nie otrzymał kiedyś takiej samej nagrody za swą *Rozprawę o pochodzeniu i podstawach nierówności*?

Nad Valence panuje głęboka noc, gdy Napoleon znów zaczyna pisać.

Człowiek rodzi się dla szczęścia. Lecz „tam, gdzie suwerenami są królowie, nie ma mowy o człowieku, jest najwyżej niewolnik ciemniejsza, bardziej nikczemny niż niewolnik ciemniejszy”. Należy więc stawić opór uciskowi. „Francuzi tego dokonali”. Zdobyli wolność „po dwudziestu miesiącach walki i najgwałtowniejszych starć [...]. Po długich wiekach Francuzi, ogłupiani przez królów oraz ich ministrów, szlachtę i jej przesady, księży i ich szalbierstwa, nagle się przebudzili i nakreślili prawa człowieka”.

Napoleon pisze tak, jakby pisał rewolucyjną przemowę. Wychwala wolność i równość. Poci jego piórem często pojawiają się dwa słowa: „siła” i „energia”: „Bez siły, bez energii nie ma cnoty ani szczęścia”.

Pisze tak, jakby rozkazywał. Żadnej sympatii dla tyranów, ale też żadnego współczucia dla tych, którzy godzą się na tyranie, dla słabych.

„Wszyscy tyrani znajdują się bez wątpienia w piekle, ale znajdują się tam także ich niewolnicy, gdyż grzechem jest uciskać naród, ale niewiele mniejszym grzechem jest znosić ucisk”.

Jego dłoń drży od gwałtownego pisania.

Ta rozprawa lionska, którą Akademia uzna za „zbyt mało uporządkowaną, zbyt nierówną, zbyt chaotyczną i za słabo napisaną, aby zatrzymać uwagę”, jest zwierciadłem Napoleona. Przegląda się on w nim każdej nocy. Kiedy ekscytuje się „duszami gorejącymi jak ogień Etny” - mówi o sobie.

Odmalowuje postać „o bladej cerze, błędnych oczach, idącą spieszonym krokiem, mającą niezborne ruchy i sardoniczny uśmiech”. Widzi tę postać. Pokazuje ją. Oskarża. To „ambicja”, jedna z odmian szaleństwa.

Ma dwadzieścia dwa lata.

Dostrzega drugą postać, również niepokojącą. Jest to „człowiek genialny. Nieszczęśnik! Lituję się nad nim. Będzie przedmiotem podziwu i zawiści bliźnich, i będzie najbardziej ze wszystkich godny pożałowania. Nie ma równości: on będzie nieszczęśliwy w życiu”.

Napoleon chce szczęścia. A zresztą czyż nie ono jest tematem konkursu?

Kończy jednak słowami: „Ludzie genialni są jak meteory, których przeznaczeniem jest spłonąć, aby rozświetlić swoją epokę”.

To praca nocna. Rankiem w oślepiającym słońcu Napoleon porzuca marzenia, organizuje swą przyszłość.

Słucha oficerów patriotów ze swego regimentu. Prawie każdy chciałby zostać wybrany na dowódcę batalionu ochotników; w ten sposób zwykły porucznik może zostać pułkownikiem.

Czemu nie ja?

Napoleon jednak mógłby to osiągnąć tylko na Korsyce, w swej ojczyźnie, licząc na poparcie *Globo Patriottico*, klubu w Ajaccio. Cennego poparcia udzielić mógłby także Józef. Jest jednym z przedstawicieli miasta i stara się o wybór na deputowanego do Zgromadzenia Ustawodawczego, które ma zastąpić Konstytuante.

Jest wprawdzie także ten chłód ze strony Pasquale Paolego. Napoleon bierze do ręki list, który napisał do niego jego bohater w odpowiedzi na prośbę Napoleona o dokumenty do pisania historii Korsyki. Ta ocena Paolego jest równia sucha jak opinia na temat *Listu do Buttafoki*, którą kiedyś przesłał Napoleonowi:

„Nie mogę teraz otworzyć kufrów i szukać moich pism - odpowiada Napoleonowi. - Zresztą historii nie pisze się w młodości. Niech pan pozwoli, abym mu doradził najpierw stworzenie planu zgodnie z ideą, którą pan zarysował księdzu Raynalowi, a na razie może pan się zająć zbieraniem anegdot i najbardziej znamiennych faktów”.

Napoleon zaciska zęby. Musi przekonywać sam siebie, że Paoli jest ciągle tym wodzem, za którym trzeba podążać. Sam jest jeszcze taki miody, ma dopiero dwadzieścia dwa lata! Trzeba się więc pogodzić z lekceważącym tonem i z odmową. Powrócić na Korsykę, ponieważ jest Korsykaninem i tam właśnie zdobył już trochę rozgłosu i tego wpływu na ludzi, bez którego nic nie jest możliwe.

A jednak już pod tyłoma względami czuje się obywatelem Francji, przedstawicielem narodu, który zrzucił okowy i którego już nie nienawidzi. Przeciwnie, ze zdumieniem obserwuje „chłopów niezachwianych w swoich przekonaniach” i cały ten kraj „pełen żarliwości i zapału”. Trzeba jednak wracać na Korsykę, do rodziny, która potrzebuje oparcia. Trzeba iść za Paolim. Jest to decyzja wypływająca bardziej z rozsądku niż z entuzjazmu.

Napoleon pisze więc nową prośbę o półroczny urlop. Pułkownik Campagnol, który dowodzi czwartym pułkiem artylerii, odmawia. Sytuacja nie pozwala na udzielenie porucznikowi Napoleonowi Bonaparte trzeciego urlopu, gdy pierwszy trwał dwadzieścia jeden miesięcy, a drugi siedemnaście!

Napoleon nie daje za wygraną.

Pewnego sierpniowego dnia idzie drogą prowadzącą do zamku Pommier w departamencie Isere, gdzie mieści się rodowa siedziba barona Du Teila, generalnego inspektora artylerii. Nie jest on sympatykiem nowych idei, ale nie myśli też emigrować. Jako „arystokrata” spotykał się już jednak z pogrózkami.

Kiedy o dziesiątej wieczorem Napoleon stuka do drzwi, służący ociągają się z otwieraniem. Napoleon po wielokroć wykrzykuje swe nazwisko. Wreszcie wpuszczają go i po chwili może sobie pogratulować, że odbył tę podróż. Du Teil zadowolony jest, że go widzi. Doskonale pamięta tego podporucznika, który zadziwił Valence swoim uporem w pracy i swoimi uzdolnieniami.

Rozmawiają o sprawach zawodowych. Napoleon wyklada karty.

Przez kilka dni pozostaje gościem Du Teila, który przychyła się do jego prośby. Udziela zgody na trzy miesiące płatnego urlopu.

Podpisuje ją, spoglądając życzliwie na Napoleona.

- Ma pan wielkie zdolności - stwierdza. - Będzie się jeszcze o panu mówiło.

Ale wszystko zależy od okoliczności. Jak to na wojnie.

29 sierpnia Napoleon jest z powrotem w Valence i aż drży z niecierpliwości.

Niech Ludwik się przygotowuje. On musi biec do koszar, załatwić sobie u kwatermistrza skarbnika wypłatę, uregulować długi, zapłacić swoje składki na bankiety wydawane przez pułk. Kwatermistrz wypłaca mu sto sześć liwrów, trzy sou i dwa denary.

Po powrocie do domu Bou Napoleon beszta Ludwika. Wtrąca się panna Bou. Po co ten pośpiech? Mogą przecież równie dobrze wyjechać z Valence jutro.

Jutro? Kto wie, co może być jutro?

Rozdział 11

15 września 1791 roku Napoleon sam przemierza ulice Ajaccio. Wpatruje się w twarze napotykanych przechodniów. Jego wzrok zmusza ich do przywitania albo odwrócenia głowy. Napoleon chce wiedzieć, na ilu Korsykan może liczyć.

Odkąd parę godzin temu zeszli z Ludwikiem ze statku, jest to jedyne pytanie, jakie sobie stawia. Z roztargnieniem słucha słów rodzeństwa.

- Gdzie jest Józef? - pyta kilkakrotnie.

Najpierw Lucjan, a później matka wyjaśniają mu, że najstarszy z braci jest w Corte, gdzie zgromadziło się trzystu czterdziestu sześciu elektorów, którzy mają desygnować deputowanych do Zgromadzenia Ustawodawczego. Józef jest kandydatem. Wszystko jednak zależy od Pasquale Paolego. To on kontroluje kongres. Żadna decyzja nie może być podjęta wbrew niemu. Tych sześciu deputowanych, których wybrać ma kongres, musi uzyskać jego akceptację. Rywalami Józefa w Ajaccio są Pozzo di Borgo i Peralci.

- Paoli będzie ich wołał od Józefa - mówi cicho matka.

Napoleon milknie. Przypominają mu się afronty wyrządzone mu przez Paolego.

- Moi synowie są znanadto francuscy - dorzuca Letycja.

Napoleon unosi się gniewem, wychodzi z pokoju, przecina wielkimi krokami ogród i idzie wolno ulicą Saint-Charles. O tej porze, późnym popołudniem, słońce grzeje jeszcze mocno, ale szczyty gór rzucają już cień, a w uliczki wślizguje się lekka, łagodna bryza od morza.

Napoleon kieruje się w stronę placu Olmo. Zna tu każdy dom, każdy kamień. Zna z imienia i nazwiska niemal wszystkich napotykanych ludzi. Jest u siebie. Ta bliskość w stosunku do miejsc, ludzi, zapachów, koloru zmierzchu daje mu poczucie siły. Ogarnia go jednak niepokój.

Jest w Ajaccio dopiero od kilku godzin, a wydaje mu się, jakby błdził po labiryncie. Nic nie jest mu obce. Przeszedł tu wszystkie drogi. Zna wszystkie zakręty i wszystkie pułapki, a jednak obawia się, że nie będzie umiał znaleźć wyjścia, jakby już sama zażyłość z własnym krajem czyniła go bezsilnym.

Buntuje się. To przecież niemożliwe. To właśnie tutaj trzeba wykorzystać całą swoją energię. Tutaj rozegra się pierwsza scena. Tutaj powinien zagrać swoją rolę.

Pojedzie cło Corte.

Gdy kilka dni później widzi miasto Corte zbudowane na wyniosłej górze i cytadelę wznoszącą się na skale ponad miastem, gdy kopyta jego konia stukają o bruk uliczek, gdy musi sobie torować drogę wśród tłumu delegatów na kongres, to poczucie bezsilności ogarnia go ponownie.

Czuje obojętność delegatów, a ze strony niektórych nawet wrogość, okazywaną mu w pogardliwie wyniosły sposób. Nazywają go „Francuzem”, „oficerem”. Szepczą, że jego ojciec Carlo Buonaparte dołączył do de Marbeufa i zdradził Paolego. Ta atmosfera tylko pobudza go do walki. Zaciska zęby. Jest jeszcze bledszy niż zazwyczaj. Wydaje się nawet chudszy. Ktoś mówi, dość głośno, aby Napoleon usłyszał, że ten *ragazzetto*, chłoptaş, który bawi się w żołnierza, zdaje się nie mieć nawet piętnastu lat.

Zobaczą, kim jest naprawdę!

Odnajduje Józefa, który przechodzi od przygnębienia do zadowolienia. Przyłączają się do nich przyjaciele. Paoli wybiera, kogo zechce. Nie ufa Buonapartym, nie odrzuca ich jednak zupełnie. Mówi, że są młodzi. Chce im się przyjrzeć, wypróbować ich wierność. Gotów jest pozwolić, aby Józef wybrany został na członka rządu departamentu, a nawet żeby wszedł w skład komisji wykonawczej. Czy dla młodzieńca, który ma dopiero dwadzieścia cztery lata, nie jest to stanowisko powyżej oczekiwań?

Napoleon zachowuje dystans. Czy można zerwać z Pasquale Paolim? Wita się z nim w sposób pełny szacunku i ponawia ofertę swej służby. Kiedy wybory deputowanych już się odbyły i Napoleon spotyka Peraldiego i Pozzo di Borgo, którzy reprezentować będą Ajaccio w Zgromadzeniu Ustawodawczym, składa im gratulacje.

Ale po powrocie do rodzinnego domu chodzi bez końca po swoim pokoju. Ten podwójny wybór jest porażką Buonapartych. Ich wpływy w Ajaccio skurczyły się na korzyść ich rywali. A Józef musi stale przebywać w Corte, aby sprawować swą funkcję w administracji departamentu. Zagranie Paolego było zręczne.

Napoleon czuje, że znalazł się sam w obliczu nie sprzyjającej sytuacji, lecz to jakby wyzwalało skupioną w nim energię.

Rozkazuje wszystkim, braci i siostr nie wyłączając, swym autorytatywnym i szorstkim tonem. „Nie można mu się w niczym sprzeciwić” - skarży się matce Lucjan.

Jedynie Lucjan próbuje stawiać opór. Lecz Napoleon natychmiast wpada w gniew, nie toleruje żadnych dyskusji, żadnych uwag. Jest jak przyczajony kocur, sprężony i gotów bezlitośnie zdzielić łapą każdego, kto podejdzie za blisko.

Jego pragnienie czynu, wola przezwyciężenia sytuacji, która wydaje się tylko tymczasowa, jego ambicja, a także pragnienie wykazania swej wartości wyrażają się przez nerwowość, złość i niecierpliwość widoczne w każdym geście.

15 października 1791 roku Napoleon pierwszy wchodzi do pokoju, gdzie powoli i spokojnie umiera jego stryjeczny dziadek, archidiakon Lucjan. Napoleon staje w nogach łóżka, wkrótce dołączają do niego bracia i siostry oraz matka. Z Corte przyjeżdża Józef. Gdy ukazuje się ksiądz rodziny, wuj Fesch, ubrany w komżę i stułę, archidiakon Lucjan każe mu odejść. Nie potrzeba mu pomocy tej religii, której służył przecież niemal przez całe życie!

Zastygły w bezruchu Napoleon obserwuje i słucha umierającego, który hardo stawia czoło śmierci. Archidiakon ujmuje za rękę Letycję. Matka szlocha. Człowiek, który teraz odchodzi, od czasu śmierci jej męża zarządzał dobrami rodziny. Archidiakon szepcze:

- Letycjo, przestań płakać, umieram zadowolony, ponieważ widzę cię otoczoną wszystkimi twymi dziećmi. - Oddycha z trudem. - Już nie muszę żyć dla nich - dorzucą ciszej. - Józef jest wysoko we władzach kraju. Może zatem pokierować waszymi sprawami.

Obraca się do Napoleona.

- *Tu poi, Napoleone, sarai un omone**!

Powtarza ostatnie słowo: *omone*.

Wszystkie spojrzenia kierują się na Napoleona. Młodzieniec nie spuszcza wzroku. Nie pierwszy raz przepowiadają mu wielką przyszłość i sławę. W ten sposób zobowiązują go niejako do wypełnienia przepowiedni. Jego obowiązkiem jest zostać tym, kim wszyscy pragną go ujrzeć.

Gdy po pogrzebie archidiakona Napoleon wraca do domu przy ulicy Saint-Charles, wypełnia go jeszcze większe pragnienie działania.

Po pierwsze, liczy.

Letycja Buonaparte odziedziczyła mały majątek archidiakona, ale pozostawia go do dyspozycji synom. Józef powrócił już do Corte. A zatem to Napoleon będzie zarządzał pieniędzmi, które znaleziono w skórzanej sakiewce wsuniętej pod poduszkę zmarłego.

Kiedy na stole dużego pokoju na parterze Napoleon ustawia kolumny sztuk złota, pozostaje niewzruszony. Jego oczy nie błyszczą, palce nie drżą. Pieniądze są przede wszystkim środkiem dla zapewnienia przyszłości.

W tym celu trzeba zaokrąglić swój stan posiadania. Wujek Fesch jest cennym doradcą. Wie, które dobra kościelne są wystawione na sprzedaż jako dobra narodowe.

W początkach grudnia 1791 roku Napoleon ogląda razem z nim tereny Saint-Antoine i Vignale w okolicy Ajaccio oraz piękny dom Trabocchina położony w centrum miasta. Dobra te należały do kapituły w Ajaccio; 13 grudnia stają się wspólną własnością, w równych częściach, Napoleona i Fescha.

Napoleon wielokrotnie pod koniec 1791 roku jeździ oglądać

* Z wł.: „A ty, Napoleonie, będziesz wielkim człowiekiem”.

swe posiadłości. Czasem przystaje przed domem Trabocchina. To jego własność. Świadomość posiadania jednak nie uspokaja go, lecz pobudza do działania. Posiadanie ziemi czy kamieni go nie zadowala. Przeciwnie, mając zabezpieczenie, tym łatwiej można iść do przodu.

Pieniądze są tylko środkiem oddziaływania na ludzi. Pozzo di Borgo i Peraldi mają wpływy, ponieważ są bogaci. Kupują zwolenników i wynagradzają przyjaciół. Za pozostałą część złota Napoleon chciałby wzmocnić stronnictwo Buonapartych. Zaczyna przyjmować i gościć przyjaciół w domu przy ulicy Saint-Charles. Podtrzymuje sieć znajomości. Lecz jego niecierpliwość narasta.

Okazja nie daje na siebie długo czekać.

Na początku roku 1792 Napoleon jeździ po Korsyce w towarzystwie pana de Volneya, „filozofa”, byłego członka Konstytuanty, który myśli o osiedleniu się na Korsyce. Ów człowiek coś znaczy w Paryżu, jest tam znany. Napoleon go nie odstępuje, wzmacnia w nim przekonanie, że na Korsyce „lud jest prosty, gleba żyzna, a wiosna trwa przez cały rok”. Volney nie jest tylko beznamiętnym podróżnikiem. Rozmawiając wciąż z Napoleonem, opowiadając mu z zapałem o podróży, jaką odbył do Egiptu, o pięknie tego kraju, o tym, że spodziewa się nowej rewolucji, Volney szuka jednocześnie terenów do kupienia. Wie, iż ogromne dobra królewskie, przyznane za darmo niektórym rodom, wystawione są na sprzedaż. Napoleon jest doradcą Volneya, zwraca mu uwagę na liczący sześćset hektarów majątek Confina, który będzie wystawiony na licytację. Dobre ziemie i tanio!

Czy Napoleon jako pośrednik zażądał, aby Volney zarezerwował mu część tej posiadłości? Czy zawiązana została spółka między filozofem a młodym oficerem, który nie ma jeszcze dwudziestu trzech lat? Po powrocie do Ajaccio Napoleon nie odpowiada na pytania matki, wydaje się tylko jeszcze bardziej zdeterminowany i jeszcze bardziej niecierpliwy.

Długie rozmowy ze znaną osobistością, jednym z tych, których dzieła czytał, umocniły Napoleona w przekonaniu, że wszystko jest możliwe. Volney sprawił, że zaczął marzyć o dalekich podróżach, Oriencie i Egipcie. A także o Paryżu. Napoleon myśli przy tym: filozof, pisarz, podróżnik, deputowany Konstytuanty - to tylko tyle!

Podziwia i szanuje Volneya, ale jest też rozczarowany. Czuje się teraz równy Volneyowi, człowiekowi, który tak samo jak każdy, chce przeprowadzić korzystną operację na gruntach. Co więcej, Napoleon jest pewien, że ma energię i siłę - znów przychodzi mu na myśl te dwa słowa z jego liońskiej pracy konkursowej - których Volney nigdy nie miał.

Kto oprócz niego ma taki zasób siły? Na początku roku 1792 Napoleon zaczyna wierzyć, iż spośród ludzi, z którymi się styka i którym stawia czoło, tylko on jeden dysponuje takimi wewnętrznymi rezerwami. Przypomina sobie wszystkie wyzwania, które podejmował - on, *Paille-au-nez* - od czasów kolegium w Brienne. Kiedy chce, to potrafi.

Chce awansować, odgrywać jakąś rolę, otrzymać wyższy stopień w jednym z tworzących się właśnie batalionów ochotniczych. Ich adiutanci mogą zostać oficerami regularnej armii. Jest to równoważne stopniowi kapitana. Oto więc cel: zostać adiutantem batalionu. Odwiedza generała Antonia Rossiego, który faktycznie dowodzi wojskami na Korsyce. Jest to daleki kuzyn Napoleona. Potrzebuje kompetentnych oficerów, aby szkolić wieśniaków, z których składają się bataliony ochotników. Przyjmuje chętnie podanie młodego porucznika. Chce go mianować adiutantem batalionu ochotników z Ajaccio i Tallano.

Napoleon odnosi zwycięstwo, ale Letycja dostrzega u syna niepokój. Śle on wiele listów do Francji. Zwraca się z pytaniami do jednego ze swych przyjaciół, Sucey'ego, komisarza wojennego w Valence. Dowiaduje się, że oficerowie nieobecni w swych oddziałach w chwili przeglądu w styczniu 1792 roku zostaną skreśleni z rejestrów i utracą stanowiska oficerskie, jeśli nie byli w tym momencie urlopowani albo nie będą mogli przedstawić jakichś szczególnych powodów swej nieobecności. Napoleon nie chce być zwolniony. Zależy mu na stopniu. Zależy mu na Francji.

„Okoliczności zmusiły mnie, drogi Panie Sucey - pisze - do pozostania na Korsyce dłużej, niż należałoby ze względu na powinności mego stanowiska. Wiem o tym, lecz jednak nie mam sobie nic do wyrzucenia: powinności bardziej jeszcze święte i drogie dostarczają mi usprawiedliwienia”.

Kilka dni później, starając się na nowo wyjaśnić swą nieobecność, pisze:

„W tych trudnych okolicznościach punktem honoru dobrego Korsykanina jest znajdować się w swoim kraju. Z tego względu moi bliscy zażądali, abym wśród nich pozostał”.

- Nie chcesz stracić tego, co zdobyłeś we Francji - mruczy Letycja. Pochwala postępowanie syna.

Nie tracić Francji ani nie porzucać Korsyki. Nie palić za sobą żadnych mostów - oto wybór Napoleona.

Kiedy w lutym 1792 roku Rossi komunikuje mu, że nie będzie mógł go jednak mianować adiutantem batalionu, ponieważ prawo zobowiązuje oficerów do powrotu do swych oddziałów 1 kwietnia, Napoleon czuje się zmuszony bądź do natychmiastowego powrotu do Francji, bądź do dymisji z armii. Nie chce jednego ani drugiego.

Odkrywa jednak, że prawo wyłącza z tych rozporządzeń podpułkowników batalionów ochotniczych. Ci oficerowie będą mogli pozostać na swoim stanowisku i zachować stopień w armii regularnej. Kłopot w tym, że na te stopnie nie jest się mianowanym, lecz wybieranym!

Napoleon wkrótce podejmuje decyzję: zostanie podpułkownikiem drugiego batalionu korsykańskich ochotników, zwanego „batalionem Ajaccio i Tallano”.

Wybrany, bo tak trzeba. Ale za wszelką cenę podpułkownikiem.

To jego pierwsza wielka bitwa. Wie o tym. Musi zwyciężyć. Zamyka się w swoim pokoju. Czyta gazety przychodzące z Francji. Robi notatki. Schodzi do salonu, milczący i zamyślony, z nieprzenikniętą twarzą człowieka zatopionego w myślach.

Lecz kiedy tylko oddali się od ulicy Saint-Charles, jego fizjonomia się odmienia. Ubrany w mundur, maszeruje zdecydowanym krokiem, z głową uniesioną. Szczerze rozmawia ze wszystkimi i ludzie odchodzą po tych rozmowach zjednani bądź zaskoczeni śmiałością tego dwudziestotrzyletniego porucznika o chłopięcym wyglądzie, który tak dobrze wie o wszystkim, co się dzieje w Paryżu.

Ma pięciu konkurentów, wszyscy wywodzą się z wpływowych rodzin z Ajaccio. Z jednym z nich, Quenza, zawiera przymierze,

zgadzając się zostać jego zastępcą, pod warunkiem że zwolennicy jednego będą głosować na drugiego.

Jednak jego przeciwnicy, tacy jak Pozzo di Borgo czy Peraldi, nie składają broni. „Nie boję się, jeśli atakuje się mnie od przodu -mówi Napoleon do tych, którzy go ostrzegają. - Robić coś połowicznie, to tak, jakby nic nie robić”.

Donoszą mu o pogróżkach i obraźliwych słowach, jakie Pozzo i Peraldi wypowiadają pod jego adresem. Stara się panować nad sobą. Wyśmiewają jego wybujałe ambicje, mały wzrost, niewielki majątek, jego *petulanza*, zarozumiałość.

Pewnego marcowego dnia, nie mogąc już nad sobą zapanować, prowokuje Peraldiego do pojedynku i czeka na niego przez cały dzień przed kaplicą Greków. Peraldi się wykręca, ośmieszając przy tym Napoleona, który bezsilnie zaciska pięści. Zaprasza swoich zwolenników do domu, przemawia do nich, żywi ich, daje nocleg. Ochotnicy z czterech kompanii okręgu Tallano śpią na korytarzach, schodach i po pokojach rodzinnego domu. Napoleon nie liczy się z pieniędzmi, prowadzi dom otwarty.

Czasem nocą, stąpając ponad ciałami śpiących, przypomina sobie godziny spędzone w pokojach w Auxonne czy Valence, kiedy robił notatki z dzieł Rousseau czy Montesquieugo. Walka polityczna podlega zupełnie innym regułom. Trzeba stale być w pogotowiu. To podnieca niczym bliskość kobiety. 'Ib rodzaj upojenia, którego smak Napoleon odkrywa. Lubi to napięcie. To pojedynek, do którego zmobilizować trzeba wszystko: oko i szybkość decyzji, ciało w równym stopniu co umysł. A podjęcie decyzji daje ten rodzaj wolności co rozkosz.

30 marca 1792 roku Napoleon dowiaduje się, że do Ajaccio przybyli trzech komisarzy z departamentu mający nadzorować głosowanie, które odbędzie się nazajutrz. Dwaj z nich zamieszkali w domach rodziny Buonapartych. Są zatem przychylni Napoleonowi. Trzeci, Murati, wybrał gościnnie Peraldiego.

Przez cały dzień Napoleon siedzi zamknięty w swoim pokoju. Rzuca się zdenerwowany na krzesło, potem wstaje i chodzi zamyślony. Bez poparcia tego trzeciego komisarza wyniki głosowania są niepewne.

Napoleon chce dostać to stanowisko podpułkownika. Nie może sobie pozwolić na porażkę, na wątpliwości. Otwiera drzwi, woła jednego ze swych zwolenników i wydaje rozkaz: niech siłą wkroczą do Peraldiego z bronią w rękę, uprowadzą komisarza i przywiozą go tutaj.

Akcja jest krótka i brutalna.

Napoleon przyjmuje komisarza spokojnie.

- Chciałem, aby był pan wolny - mówi. - U Peraldiego nie był pan wolny, tutaj jest pan u siebie.

Nazajutrz w kościele św. Franciszka, pomimo protestów przyjaciół Pozzo di Borgo i Peraldiego, Quenza zostaje wybrany na dowódcę batalionu, a Napoleon na jego zastępcę.

Wieczorem w wypełnionym ludźmi domu przy ulicy Saint-Charles świętuje się i śpiewa. Gra orkiestra pułkowa. Napoleon trzyma się na uboczu, milczący, z nieruchomym wzrokiem.

Liczy się tylko zwycięstwo. Tak głosi prawo, które właśnie odkrył. Nieważne są środki. Wszystko zależy od zamysłu i celu.

Ale wygrać to znaczy być zniechęconym.

Kiedy Napoleon udaje się do ochotników rozmieszczonych w seminarium, czuje na sobie ciężar nienawistnych spojrzeń. Zwolennicy Peraldiego i rodziny Pozzo szemrają, gdy przechodzi. W chwili głosowania przyjaciele Napoleona odepchnęli protestującego Pozzo di Borgo. Zrzucili go z trybuny wzniesionej w kościele św. Franciszka. Gdyby nie interwencja Napoleona, Pozzo zostałby zabity. Jednak, zdaniem klanu Pozzo, to Napoleon jest przywódcą tych rozbójników. „U ludzi rozsądnych Buonapartowie będą mieli reputację wyróżniających się jedynie w przestępstwie” - powtarzają jego wrogowie.

Peraldi i Pozzo di Borgo są deputowanymi Zgromadzenia Ustawodawczego, za nimi stoi ten, który kazał ich wybrać: Pasquale Paoli. Napoleon pojmuje więc, że ta nienawiść będzie się za nim ciągnęła. Ale tak to już jest. Trzeba umieć z nią żyć. I, co się liczy, to być wyższym ponad nią i odkrywać nową, upajającą radość rządzenia ludźmi.

Miał już przedtem pod swoimi rozkazami żołnierzy, ale dotąd

sam podporządkowany był rozkazom zwierzchników. Kiedy przybywa do seminarium i zbiera ochotników gwardii narodowej, jest praktycznie jedynym dowódcą, gdyż podpułkownik Quenza nie ma doświadczenia i brak mu ambicji. To Napoleon obmyśla w najmniejszych szczegółach regulamin batalionu, który odtąd będzie nazywany nie „batalionem Ajaccio-Tallano”, lecz „batalionem Quen-za-Bonaparte”.

W mieście i w armii każdy wie, że to Napoleon wydaje rozkazy.

W ciągu kilku dni poznaje wielkość swej władzy. Przeprowadza inspekcje, peroruje, rozkazuje. Im więcej robi, tym bardziej odczuwa potrzebę działania. Czyż nie chciał być podpułkownikiem? Już nim jest. Po co jednak byłoby to wszystko, gdyby nie wykorzystał stanowiska dla zrobienia kroku wyżej? Odniesione zwycięstwo dodaje mu tylko nowych sił.

Aby kontrolować miasto, należałoby się dostać do cytadeli, gdzie kwaterują żołnierze pułku z *Limousin* pod *rozkazami* pułkownika Maillarda.

Napoleon przygląda się cytadeli, zbliża się do niej. Są tam działa. Przejąć kontrolę - to być może znaczy też pokonać Pasquale Paolego, który jak wiadomo, potrafi działać i przejmować inicjatywę. Jest w tym pewne ryzyko. Znaczyłoby to powstać przeciwko legalnej władzy. Trzeba więc podjąć pewne środki ostrożności, przedstawić siebie jako obrońcę prawa, broniącego nowych zasad przed zwolennikami despotyzmu.

Podczas pierwszych dni kwietnia 1792 roku Napoleon znajduje się ciągle w ruchu, przebiegając miasto, przeprowadzając inspekcje ochotników. Jego ciało idzie za rytmem jego myśli, która wciąż jest czujna, stale szuka sprzyjającej okazji, najlepszej strategii.

2 kwietnia 1792 roku na placu ćwiczeń pułkownik Maillard dokonał przeglądu batalionu Quenza-Bonaparte. Oddział ma wygląd wojskowy. Napoleon harcuje na koniu na czele ochotników, lecz gdy Maillard żąda, aby batalion opuścił miasto, Quenza za poduszczeniem swego zastępcy odmawia i poci rozmaitymi pretekstami zwleka.

Ludność się niepokoi. Co ci „wieśniacy” robią w mieście? Mieszkańcy Ajaccio przeklinają Napoleona. Rozповідаją o okoliczno-

ciach jego wyboru. Niektóre najbogatsze rodziny zabierają swój dobytek i wyjeżdżają do Włoch. Tu i ówdzie wybuchają bijatyki pomiędzy gwardzistami i majtkami z portu.

8 kwietnia księża, którzy odmówili złożenia przysięgi na ustawę cywilną kleru, odpowiadają mszę w klasztorze św. Franciszka i zapowiadają na następnego dzień procesję.

- Oni deklarują schizmę! - wykrzykuje Napoleon. - Ci ludzie gotowi są na wszelkie szaleństwa.

Wieczorem, po nowej utarczce przed katedrą, ktoś strzela do Napoleona i grupy otaczających go oficerów. Porucznik Rocca Serra zostaje zabity. Wkrótce ze wszystkich stron rozlegają się krzyki: *Adosso alle spalette!* „Naprzód, na epolety!” Trzeba uciekać przed tym polowaniem na ochotników z gwardii narodowej. Napoleon z żołnierzami chronią się w seminarium.

Od 8 do 13 kwietnia trwają rozruchy. Napoleon jest wszędzie. Przeciwstawia się władzom, blokuje wejścia do miasta, usiłuje podburzyć żołnierzy w cytadeli, zwodzi pułkownika Maillarda, negocjuje, przemawia, komenderuje. „Ujawnimy ten spis za pomocą szabli” - mówi, a jednocześnie zręcznie prowadzi negocjacje z władzami, gdyż nie chce być obciążony odpowiedzialnością za zamieszki, uchodzić za buntownika.

Jeździ na koniu od posterunku do posterunku, dodając ducha swym zwolennikom. Wielokrotnie każe strzelać w kierunku domów. Jego żołnierze splądrowali niektóre dzielnice miasta. Można odnieść wrażenie, że porywają go te zamieszki, które to wznieca, to powściąga, wzmacnia i powstrzymuje.

Później, gdy doszło do porozumienia, układa w pośpiechu memoriał mający go usprawiedliwić. Słowa wypaczają rzeczywistość, ale to nieważne. Liczy się tylko zdolność przekonywania. „Ludność Ajaccio to ludożercy - pisze Napoleon. - Prześladowała i mordowała ochotników”.

„W okropnym kryzysie, w jakim się znajdowaliśmy - kontynuuje - należało okazać energię i odwagę. Potrzebny był człowiek, który - gdyby po wykonaniu misji zażądano od niego przysięgi, iż nie przekroczył prawa - udzieliłby odpowiedzi takiej jak Cynceron albo Mirabeau: - „Przysięgam, że ocaliłem republikę!”

Podpisuje to bez żadnego wahania. Odkrył, że istnieją różne

prawdy. Pisanie i opowiadanie są także działaniami, które należy nagiąć do konieczności chwili, dopasować do okoliczności. Ilu jednak jest takich, którzy potrafią zrozumieć ten postępek ducha? „Dusze są zbyt ograniczone, aby wznieść się do poziomu wielkich spraw” - pisze Napoleon.

Jedzie do Corte, aby spotkać się z Paolim i uzyskać od niego nowe dowództwo. Ale raz jeszcze Paoli go pomija. Napoleon wie, iż stary wódz oskarża go o wykorzystywanie jego nazwiska podczas zamieszek.

Po powrocie do Ajaccio Napoleon spostrzega, z jak wielką nienawiścią się teraz spotyka. Na ulicy ludzie schodzą mu z drogi. Wszyscy boją się ochotników. Oskarżają Napoleona o narażanie miasta na niebezpieczeństwo. Deputowani korsykańscy w Zgromadzeniu Ustawodawczym, Peraldi i Pozzo di Borgo, mnożą przeciwko niemu pamflety. Jest w nich „krwiożerczym tygrysem”, któremu nie wolno pozwolić, aby „korzystał ze swego barbarzyństwa”.

Śmieje się szydlerczo. Nienawidzi się jedynie tych, którzy wyróżniają się z tłumu. A że oskarża się go o wzniecenie „nowej nocy świętego Bartłomieja”, to wcale mu nie przeszkadza. Uspokaja przestraszoną matkę.

W połowie maja opuszcza wyspę, aby się udać do Paryża i bronić przed oskarżeniami Pozzo di Borgo i Peraldiego w Zgromadzeniu Ustawodawczym, a także aby załatwić prawo do zachowania swego stopnia wojskowego, gdyż z powodu przekroczenia czasu urlopu został skreślony z listy kadr.

Wypadki w Ajaccio pozwoliły mu poznać samego siebie. Wszystko się w nim zmieniło. Wszystko zmienia się we Francji. 20 kwietnia 1792 roku rozpoczęła się wojna.

Czuje się w harmonii z tym światem zmian. Jest pewien, że nic go nie powstrzyma.

Rozdział 12

28 maja 1792 roku późnym popołudniem Napoleon przemierza wolno wąskie uliczki dzielnicy Tuileries. Szuka hotelu „U Holenderskich Patriotów” położonego przy ulicy Royale-Saint-Roch. Wie, że tam właśnie zatrzymali się deputowani korsykańscy do Zgromadzenia Ustawodawczego, dlatego postanowił też tam zamieszkać.

Józef był zdziwiony, gdy dowiedział się o tym wyborze brata. Pozzo di Borgo i Peraldi są przeciwnikami Buonapartych. Po co wciąż się o nich ocierać? Napoleon prychnął pogardliwie. Nie wolno nigdy uciekać przed wrogiem, trzeba iść naprzód.

Przeszedł już dwukrotnie obok swego hotelu, lecz za każdym razem widok scen rozgrywających się na ulicach w pobliżu Zgromadzenia zatrzymywał go na chodniku. Niedaleko stąd, w Palais--Royal, dziewczyny wciąż zaczepiają klientów, ale tłum jest bardziej różnorodny, hałaśliwy i wyzwolony niż wtedy, gdy jako nieśmiały osiemnastolatek prześlizgiwał się pod galeriami.

Przystaje. Jakiś mówca stojący na ławce wykrzykuje:

- Wszystkim nam gardła poderzną. Pan Veto i jego Austriaczka wydadzą Paryż wojskom księcia Brunszwiku. Co robią oficerowie, generałowie? Dopuszczają się zdrady! Emigrują!

-Śmierć im wszystkim! - krzyczy ktoś z tłumu.

Napoleon idzie dalej. Mija wielu żołnierzy Gwardii Narodowej, którzy na białych wyłogach kurtek noszą trójkolorowe kokardy. Nie zwracają na niego uwagi. Przegląda się w jakiejś szybie: mały, chudy oficer w ciemnym mundurze, z ziemistą cerą, lecz o hardej

postawie. Odchodzi samotny, z wyzywającym spojrzeniem. Ta obojętność otoczenia go pobudza. Wyjdzie z cienia.

Im głębiej wchodzi w te ulice, im bardziej pstrokaty, hałaśliwy i obdarty jest tłum, tym bardziej irytuje Napoleona. I to ma być luci stolicy? Kto weźmie wreszcie w karby ten motłoch?

Na ulicy Saint-Honoré zatrzymuje się przed fasadami klasztoru feuillantów i kościoła kapucynów. Zgromadzenie Ustawodawcze zajmuje oba te budynki oraz maneż w Tuileries na końcu ogrodów, gdzie obradują deputowani.

Napoleon wchodzi na klasztorny dziedziniec. A więc to jest centrum władzy? To tylko tyle? Tłum ciśnie się w nieładzie. Jedni wypytyują przechodzących deputowanych, inni spieszą na salę obrad. Ludzie o silnych głosach, groźnie gestykułując, oskarżają rząd o nieudolność.

- Pod sąd zdrajców, pod sąd Pana Veto!

Napoleon jest wzburzony. Jak władza tolerować może tę anarchię, rebelię, krytykę ulicy, mimo że istnieje Konstytucja, którą zaakceptować muszą wszyscy porządni ludzie? Oddała się, rozważając zdanie, które usłyszał tego wieczoru: „Lud jest jak fala poruszana wiatrem. Pod wpływem złych powiewów uwalniają się wszystkie jego namiętności”.

Decyduje się pójść do hotelu. W wejściu natyka się na Pozzo cli Borgo, który podskakuje na jego widok. Napoleon waha się, ale jednak pozdrowia deputowanego. To człowiek, który się liczy, jest podobno w najlepszych stosunkach z ministrem wojny.

Rozgościwszy się w pokoju, Napoleon natychmiast zaczyna pisać list do Józefa. Musi się z kimś podzielić swymi wrażeniami. „Zamieszkałem zbyt drogo - pisze - jutro zmienię hotel. Paryż jest w wielkich konwulsjach [...]”.

Przerywa. Znów wychodzi, w poszukiwaniu hotelu, gdzie mógłby mieszkać za mniejsze pieniądze.

W nocy ulice nie pustoszeją. Bataliony Gwardii Narodowej kierują się w stronę pałacu Tuileries, gdzie zamieszkali król i jego rodzina. Gapie entuzjastycznie witają żołnierzy, żądają rozwiązania

chroniących monarchię oddziałów Szwajcarów oraz gwardii królewskiej.

- Oni trzymają pistolety wymierzone w serce Paryża! - krzyczy ktoś.

Napoleon idzie dalej. W małej, ciasnej uliczce du Mail Napoleon rozpoznaje szarą fasadę hotelu Metz, gdzie mieszka Bourrienne, jego dawny kolega ze szkoły wojskowej w Brienne. Ceny pokoi są tu umiarkowane, ponieważ deputowani wolą mieszkać w bezpośrednim sąsiedztwie Zgromadzenia.

Wieczorem, po kolacji w „Trzech Kamieniach Milowych”, małej traktierni przy ulicy Valois, Napoleon wypytuje Bourrienne'a, który od kilku miesięcy mieszka w Paryżu.

Bourrienne mówi długo, Napoleon przerywa mu jedynie krótkimi pytaniami. Bourrienne jest dobrze poinformowany na temat życia w stolicy. Jego starszy brat, Fauvelet de Bourrienne, ma sklep meblowy mieszczący się w pałacu Longueville. Sprzedaje tam ruchomości pozostawione przez emigrantów. Jedni potracili wszystko, a inni, dobrzy obywatele, robią bajeczne fortuny na spekulacjach.

- Czemu my nie mielibyśmy spróbować? - zastanawia się Bourrienne. Brakuje mu pieniędzy.

Napoleon uderza się po kieszeniach munduru. Obaj śmieją się jak dwaj młodzi ludzie, którzy mają po dwadzieścia trzy lata i którzy chodząc po ulicach, obmyślają sposoby wzbogacenia się. Może wynajmować mieszkania, czemu nie?

Mijają ich uzbrojeni mężczyźni. Ich piki błyszczą w świetle lamp.

- Nocami oświetla się ulice - wyjaśnia Bourrienne - aby uspokoić obywateli, zapobiec wzajemnemu mordowaniu się na każdym kroku.

- Anarchia - mówi Napoleon.

Już się nie śmieje.

Nazajutrz zamieszkuje w hotelu Metz, w pokoju numer 14 na trzecim piętrze.

Zeszłej nocy po rozstaniu z Bourrienne'em walał się po Palais--Royal, wśród odurzającej atmosfery kobiecości.

29 maja wcześniej z rana pojawia się w biurach Ministerstwa Wojny, by zabiegać o ponowne wcielenie do armii. Pokazuje świadectwa od Rossiego, który dowodził na Korsyce. Przedstawia zaświadczenia administracji Ajaccio i departamentu. Tłumaczy przyczyny swej nieobecności na przeglądzie w styczniu 1792 roku: pełnił funkcję zastępcy dowódcy batalionu Gwardii Narodowej. Niepokoje, które wybuchły w Ajaccio, zmusiły go do pozostania na Korsyce.

Odgaduje, że słucha się go tu z życzliwością. Ponad dwie trzecie oficerów artylerii zdezerterowało. Wojsku brakuje kadry. Zadają mu pytania. Czy zna poruczników: Picota de Peccaduca, Phe-lippeaux, Des Mazisa? Wszyscy oni wyemigrowali. Pokazują mu listy dawnych uczniów Szkoły Wojskowej w Paryżu z lat 1784-1785; odnajduje na nich nazwiska Laugiera de Bellecourta, Castres'a de Vaux i wielu innych: oni także są na emigracji.

W trakcie tych starań ciągnących się przez wiele dni Napoleon upewnia się coraz bardziej, że zostanie znów wcielony do armii. Jednak urzędnicy w ministerstwie i oficerowie zajmujący się jego sprawą zwierzają mu poufnie, iż ma zawziętego wroga.

Kogo? Korsykańskiego deputowanego, który śle do ministerstwa listy oskarżające porucznika Buonapartego o to, że był wicherzycielem podczas rozruchów w Ajaccio. To Peralci.

-Ten człowiek jest głupcem, a teraz oszalał do reszty! -wykrzykuje Napoleon. - On wypowiedział mi wojnę! Nie daruję mu! Ma szczęście, że jest nietykalny. Nauczyłbym go, jak postępować!

Uspokajają go. Raport komisji dla ministra będzie przychylny. Jednak Napoleon, nawet gdy nie ma powodów do niepokoju, nie chce niczego zdawać na los szczęścia. Chodzi na posiedzenia Zgromadzenia Ustawodawczego, spotyka się z innymi deputowanymi korsykańskimi, nawiązuje z nimi uprzejme bądź nawet przyjazne stosunki.

Nie porzucił bowiem myśli o odgrywaniu ważnej roli na wyspie. Francja jest tak bardzo rozdarta, że nie sposób przewidzieć przyszłości. Należy zachować w rękę kartę korsykańską. „Ten kraj jest targany na wszystkie strony przez najbardziej zjadłe stronnictwa -pisze Napoleon do Józefa. - Trudno uchwycić nić przewodnią tyłu

rozmaitych programów. Nie wiem, jak to się potoczy, ale sprawy przyjmują raczej rewolucyjny obrót".

20 czerwca 1792 roku Napoleon czeka na Bourrienne'a, aby zjeść z nim obiad w restauracji przy ulicy Saint-Honoré, blisko Palais-Royal. Śledzi wzrokiem zgrabne ciała kobiet przechadzających się pod galeriami. Jest ciepło.

Niedługo po przyjściu Bourrienne'a Napoleon widzi tłum pięciu, może nawet sześciu tysięcy ludzi, którzy wychodzą od strony hal i maszerują w kierunku Tuileries. Napoleon bierze Bourrienne'a pod ramię i pociąga go za sobą. Chce obserwować tę bandę. Obaj podchodzą bliżej.

Mężczyźni i kobiety niosą piki, topory, szpady, strzelby, szpikulce i zaostrzone kije. Gdy cały ten tłum dociera do Ogrodów Tuileries, na chwilę przystaje, po czym forsuje ogrodzenie i wdzierają się do królewskich apartamentów.

Napoleon z daleka obserwuje tę scenę. Widzi króla, królową i następcę tronu wkładających czerwone czapki frygijskie. Król po pewnym wahaniu wznosi szklanę i przepija do manifestantów.

Napoleon oddala się. Mówi do Bourrienne'a:

- Król upadł nisko, a w polityce, kto nisko upadnie, ten się już nie podniesie. Taki tłum bez żadnego porządku, ich ubiór, ich słownictwo... wszystko, co motłoch ma najpodlejszego - oburza się.

jest oficerem, człowiekiem dyscypliny i porządku. Wolność i równość, owszem - ale bez anarchii, z poszanowaniem hierarchii i władzy. Zawsze potrzebni są przywódcy. Zastanawiał się - wyjaśnia przyjacielowi - nad tym, co przeżył w Ajaccio podczas rozruchów. Skuteczność działania wymaga, aby istniał jakiś przywódca, który podejmuje decyzje, narzuca je, a potem kieruje ich wykonaniem. Uważa, że jakobini to szaleńcy pozbawieni zdrowego rozsądku. Chwali natomiast La Fayette'a, którego właśnie jakobini odmalowują jako zabójcę, łajdaka i nędznika. Postawa i słowa jakobinów są niebezpieczne, niekonstytucyjne, stwierdza.

Później w pokoju hotelu Metz pisze do Józefa: „Bardzo trudno przewidzieć, co stanie się z państwem w tak burzliwych okolicznościach". Jeszcze jeden powód, aby zbliżyć się do Paolego. Lucjan, młodszy brat, mógłby zostać jego sekretarzem. Co do

Józefa, niech się postara tym razem zostać wybrany do Konwentu. „Bez tego zawsze będziesz odgrywał na Korsyce rolę głupiego”. Powtarza: „Nie pozwól się nabrać: trzeba, byś znalazł się w nowym Zgromadzeniu Narodowym, albo wyjdiesz na durnia!”.

Waha się, po czym wyginając nerwowo gęsie pióro, dopisuje: „Jedź do Ajaccio, jedź do Ajaccio, aby zostać elektorem!”. I podkreśla dopisek.

Wstaje. Trzeba wybierać, takie jest prawo polityki i życia, jednak przyszłość jest niepewna. Jeden z korsykańskich deputowanych zdradził Napoleonowi, że dowódca fortyfikacji La Varenne w raporcie dla wojskowego komitetu Zgromadzenia stwierdził, że utrzymanie Korsyki pod panowaniem francuskim jest niemożliwe i nie przyniosłoby żadnego pożytku.

Napoleon znów chwyta za pióro i tym rozkazującym tonem, jaki przyjmuje wobec starszego brata, pisze: „Trzymaj się mocno generała Paolego, on wszystko może, jest wszystkim i będzie wszystkim w przyszłości. Najbardziej prawdopodobne jest, że wszystko to zakończy się naszą niepodległością”.

Należy więc czuwać nad sprawami korsykańskimi. Napoleon coraz częściej widuje się z deputowanymi z wyspy. Nadskakuje im. Troszczy się także o sprawy rodzinne, niecierpliwi się, ponieważ nie otrzymał niezbędnych dokumentów dotyczących szkółki morwowej. Musi się też zająć swą siostrą Elizą, uczennicą szkoły w Saint-Cyr. Ów zakład wychowawczy ma zostać zlikwidowany. Co zrobić z piętnastoletnią dziewczyną? Zawieźć ją z powrotem na Korsykę, a więc opuścić Paryż? Ale jakże się od tego uchylić?

Odwiedza Elizę w Wersalu. Po drodze spotyka ochotników z Marsylii, którzy wyśpiewują wniebogłose nową pieśń bojową armii Renu, powtarzając jej mściwy refren: „Do walki ludu stań! Mąż z mężem, bronią w broń!”

„Wszystko zapowiada burzliwe wydarzenia - pisze Napoleon - wielu ludzi wyjeżdża z Paryża”. On o tym nie myśli, chyba że przyjdzie mu towarzyszyć Elizie do Ajaccio. Zachowuje spokój, przygląda się uważnie, jak uczone badający „proces zapłonu”.

Bourrienne, odwiedzając Napoleona w jego pokoju w hotelu Metz, zastaje go czasem nad obliczeniami, wykreślającego jakies

trajektorie. Zaskoczonemu Bourrienne'owi Napoleon pokazuje narysowane przez siebie tory planet.

- Astronomia jest piękną rozrywką i zachwycającą nauką - mówi. - Z moją znajomością matematyki wystarczy tylko trochę nauki, aby ja opanować. To zresztą wielka korzyść.

Uśmiecha się, widząc zdziwienie kolegi.

Uwielbia obserwować i rozumieć. Czyż astronomia i matematyka nie są w ostatecznym rachunku bardziej pasjonujące niż działania ludzi?

- Biedni są ci, którzy stoją na czele narodów - kontynuuje. - Kiedy się temu przyjrzeć z bliska, widać, że ludzie nie zasługują, aby tak bardzo zabiegać o ich uznanie.

Powtarza te słowa w liście do swego brata Lucjana, który w wieku siedemnastu lat zapalił się do polityki i surowo ocenia Napoleona. Napisał niedawno do starszego brata Józefa, że „Napoleon jest człowiekiem niebezpiecznym [...]. Wydaje mi się, że ma on skłonność, aby zostać tyranem, i sadzę, że zostałby nim, gdyby był królem, i że jego imię stałoby się postrachem dla potomności i dla wrażliwych patriotów [...]. Sądzę, że jest zdolny do nagłej zmiany frontu”.

Napoleon nie rozniewał się, kiedy Józef przekazał mu w oględnych słowach tę ocenę: Lucjan jest jeszcze młody. Tylko siedemnaście lat! Trzeba go pohamować. „Pamiętasz wypadki w Ajaccio? - pisze do Lucjana. - W Paryżu jest dokładnie tak samo. Być może ludzie tutaj są jeszcze bardziej małostkowi, bardziej złośliwi, rzucają więcej oszczerstw i ostrzej krytykują [...]. Każdy dba tylko o własny interes i chce się wybić za cenę kalumnii i okropności. Prowadzi się dziś intrygi tak podłe jak nigdy. Wszystko to odbiera sens ambicjom. Żałuje się tych, którzy mają nieszczęście odgrywać jakąś rolę, zwłaszcza jeśli mogliby się bez tego obejść: żyć spokojnie, cieszyć się miłością rodziny i szacunkiem do siebie - oto, mój drogi, stanowisko, jakie należy zająć, gdy człowiek dysponuje jakimiś czterema czy pięcioma tysiącami liwrów renty i gdy jest między dwudziestym piątym a czterdziestym rokiem życia, to znaczy gdy uspokojona wyobraźnia już cię nie dręczy”.

Słowa starszego brata do młodszego, którego chciałoby się chronić.

W tym okresie - od czerwca do sierpnia 1792 roku - często widzi przemoc wybuchającą na ulicach, panujący chaos, gromadzenie się i rozchodzenie tłumu, którego, jak się wydaje, nic już nie może utrzymać w ryzach. Obserwując te wydarzenia, Napoleon doświadcza uczucia, w którym jego odraza do anarchii miesza się z niepokojem, że nie da się już zapanować nad tą zawieruchą i że „motłoch” zaczyna rządzić w sposób niepodzielny.

12 lipca 1792 roku Napoleon znajduje w swoim hotelu list datowany 10 lipca, który informuje go, iż minister wojny zdecydował go przywrócić „na stanowisko w czwartym pułku artylerii [...], aby pełnił w nim funkcję kapitana”. Decyzja obowiązuje od 6 lutego 1792 roku, z wypłaceniem zaległego żołdu.

Napoleon natychmiast pisze do swoich. Chce się z nimi podzielić radością. Józef odpowiada mu z entuzjazmem. W wieku dwudziestu trzech lat kapitan artylerii z rocznym uposażeniem tysiąca sześciuset liwrow! Co za sukces! Matka promienieje szczęściem i gratuluje swojemu *omone*. Niech jedzie do swego pułku i zostaje we Francji.

W istocie Napoleon jeszcze się waha. Teraz, kiedy z powrotem wpisany jest do rejestrów regularnej armii, czemu na nowo nie spróbować działalności na Korsyce? W końcu wciąż jest podpułkownikiem batalionu ochotników w Ajaccio!

„Gdybym brał pod uwagę tylko interes domu i moje własne skłonności - pisze we wtorek 7 sierpnia do Józefa - przyjechałbym na Korsykę, ale wszyscy zgodnie uważacie, że powinienem pojechać do swego pułku. Więc pojedę”.

W następnych dniach przygotowuje się do wyjazdu. Jego pułk jest rozlokowany na granicy, ale Napoleon nie może jeszcze do niego dołączyć, ponieważ nie otrzymał swego patentu kapitana.

Spaceruje po ulicach, gdzie co krok tworzą się grupy gapiów komentujących najnowsze wydarzenia. Ulica oskarża dwór o spiskowanie z księciem Brunszwickim, którego prusko-austriackie wojska posuwają się naprzód. Tłum ryczy, kiedy ktoś odczytuje *Manifest* księcia skierowany do paryżan. Księżę obiecuje w nim Paryżowi „wojskową egzekucję i totalne zniszczenie oraz wydanie

buntowników na męki, jeśli paryżanie natychmiast i bezwarunkowo nie podporządkują się swemu królowi". Szaleństwo, myśli Napoleon.

Proces „zapłonu” miasta nabiera intensywności. Wybuchają bójki pomiędzy ochotnikami marsylskimi śpiewającymi *Marsylianke* a paryskimi gwardzistami.

Nocą z 9 na 10 sierpnia Napoleon budzi się i staje na równe nogi. Wszystkie dzwony Paryża biją na trwogę. Ubiera się pośpiesznie i szybko wychodzi na ulicę, aby udać się do Fauveleta de Bourrienne'a, którego sklep, położony na placu Carrousel, stanowi idealny punkt obserwacyjny.

Ulicą Petits-Champs nadchodzi w jego stronę banda ludzi niosących na końcu piki ludzką głowę. Okrążają Napoleona. Popychają. Jest ubrany jak pan. Żądają, aby krzyknął „Niech żyje naród!” Poddaje się temu ze ściągniętą twarzą.

Z okna sklepu Fauveleta de Bourrienne'a obserwuje przebieg wypadków. Buntownicy wychodzą na plac Carrousel i kierują się w stronę Tuileries.

Napoleon jest tylko zahipnotyzowanym widzem, nastawionym wrogo do tych „grup odrażających ludzi”, do tego motłochu. Wczesnym popołudniem, kiedy pałac Tuileries został zdobyty i złupiony przez buntowników, a król schronił się w Zgromadzeniu, wchodzi do ogrodu i pałacu, choć wie, że ryzykuje życie. Ponad tysiąc zabitych leży stłoczonych w tej ciasnej przestrzeni, zapelniając schody i pokoje.

Czuje niesmak i grozę. To pierwsze pole bitwy, po którym chodzi. Najemnicy szwajcarscy bili się do samego końca, potem zostali zmasakrowani. O kilka kroków od Napoleona któryś z marsylczyków zamierza właśnie dobić jednego ze Szwajcarów.

- Człowieku z Południa - interweniuje Napoleon - darujmy ży cie temu nieszczęśnikowi.

- Jesteś z Południa? - pyta marsylczyk. -Tak.

- Dobrze, darujmy mu życie.

Napoleon idzie dalej przez ogrody i pałacowe pokoje. Chce zrozumieć.

-Widziałem dobrze ubrane kobiety dopuszczające się najgorszych nieprzyzwoitości na trupach Szwajcarów - opowiada kilka godzin później Bourrienne'owi. - Kobiety okaleczały martwych żołnierzy, a później wymachiwały tymi skrwawionymi członkami. Podła hołota.

Zagłęda do okolicznych kawiarni. Wszędzie słyhać śpiewy i ryki, odgłosy pijatyki i świętowania. Napoleon czuje na sobie wrogie spojrzenia. Jest zbyt spokojny i ta rezerwa jest podejrzana. Oddala się. Wszędzie przemoc.

-Furia ukazała się pod wszystkimi swymi postaciami - mówi. Ogarnia go złość. - Gdyby Ludwik XVI ukazał się na koniu - rzuca do Bourrienne'a - zwycięstwo należałoby do niego.

Pogardza tym biernym władcą, *coglione*, który 20 czerwca skapitulował, zamiast sprowadzić działa. Ten król nie był żołnierzem. Nie zastosował instrumentów władzy, więc chaos i anarchia go pokonały. Patrzy na rewolucyjne wypadki 20 czerwca, a zwłaszcza 10 sierpnia, jako zwolennik porządku i oficer. Niezależnie od wyznawanych zasad, władza - uważa - nie powinna leżeć na ulicy zdana na łaskę tłumu, motłochu. Trzeba narzucić przestrzeganie prawa. Potrzebny jest przywódca, który umie podejmować decyzje. Potrzebny jest człowiek mający energię, siłę i odwagę. On może być takim człowiekiem.

10 sierpnia wieczorem podejmuje decyzję. Wróci na Korsykę, zamiast jechać do swego pułku. Tylko na wyspie może się wybić. Co może robić tutaj, w tym „momencie zapłonu”? Tutaj jest niczym. Tam jest podpułkownikiem.

Zgromadzenie Ustawodawcze zawiesiło króla w czynnościach i postanowiło, że wybory do Konwentu Narodowego odbędą się 2 września. Trzeba pospieszyć na Korsykę i poprzeć Józefa, aby został w końcu wybrany na deputowanego.

„Wypadki przyspieszyły - pisze w końcu sierpnia do swego wuja Peraviciniego. - Pozwól naszym wrogom szcekać, Twoi siostrzeńcy Cię kochają i będą potrafili zdobyć dla siebie pozycję”.

Najpierw musi wydostać swą siostrę Elizę z Saint-Cyr. Uwija się przez cały dzień 1 września, podczas gdy ulicami Paryża chodzą bandy krzyczące o spisku arystokratów i żądające, aby ukarać

„spiskowców”, którzy zamknięci w więzieniach tylko czekają na przybycie wojsk Brunszwika, aby zacząć się mścić i podrzynać gardła patriotom. Pod koniec dnia Napoleon może wreszcie wsadzić swoją siostrę do wynajętego kiepskiego powozu.

Później trzeba się ukrywać w Paryżu. Tymczasem dzwony biją na trwogę, a Napoleon dowiaduje się, że Verdun skapitulowało przed wojskami austriacko-pruskimi i że wróg może wkrótce wejść do Paryża i poddać miasto „całkowitemu zniszczeniu”.

Bandy gromadzą się pod więzieniami, każą sobie otwierać bramy, osądzają na miejscu więźniów i ich masakrują. Wydaje się, że motłoch wymknął się spod wszelkiej kontroli. Mówi się, że Danton pozostawia wolną rękę samozwańczym sędziom. Robes-pierre się nie pokazuje. Więzienia i ulice są w rękach żadnego krwi motłochu, podjudzanego artykułami i plakatami Marata. 5 września rzeź ustaje i 9 września Napoleon może wreszcie wraz z siostrą wyjechać z Paryża.

W dylizansie i później, na statku płynącym w dół Rodanu, Napoleon wyczuwa strach u podróżnych; niektórzy z nich uciekają z Paryża i przyznają się do tego jedynie w zawołanych słowach. W Valence odwiedza pannę Bou, która opowiada mu, że w miastach i w dolinie także zdarzały się masakry. Kilka godzin później Napoleon i Eliza ruszają w dalszą drogę obdarowani przez pannę Bou koszykiem rodzynek.

Pod koniec września 1792 roku przybywają do Marsylii. W oberży zostają otoczeni przez tłum niezycliwie przyglądających im się ludzi. W kapelusiku z piórami Eliza ma wygląd młodej szlachcianki.

- Śmierć arystokratom! - krzyczą.

Wszystko może się zdarzyć. Napoleon zrywa siostrze kapelusze i rzuca go w tłum.

-Tacy sami arystokraci jak wy - rzuca.

Oklaskują go. Tego samego wieczoru dowiaduje się o statek do Ajaccio.

Będzie jednak musiał czekać do 10 października, by odpłynąć z Tulonu. Już wie, że jego brat nie został wybrany do Konwentu. Józef otrzymał tylko sześćdziesiąt cztery głosy na trzystu dzie-

więćdziesięciu ośmiu elektorów, a w drugiej turze nie padł na jego nazwisko żaden głos! Zła nowina. Dowiaduje się także, że 21 września 1792 roku Konwent zniósł monarchię i proklamował republikę oraz że dzień wcześniej armia francuska, której oficerem jest przecież także Napoleon, odniosła pod dowództwem Keller-manna i Dumourieza zwycięstwo pod Valmy.

14 października Prusacy wyszli z Verdun. Nie wziął udziału w żadnym z tych wydarzeń, które według słów Goethego, „rozpoczynają nową epokę w historii świata”.

15 października 1792 roku wraz z Elizą schodzą na ląd w Ajaccio. Widząc swoich bliskich zgromadzonych na nabrzeżu, matkę otoczoną wszystkimi dziećmi, Napoleon jest szczęśliwy.

Lecz to daleko stąd, na północy, na granicy, w Valmy, sława musnęła swoim skrzydłem żołnierzy.

Tutaj, na tej wyspie, czego może dokonać?

Rozdział 13

W wielkim pokoju rodzinnego domu Napoleon patrzy na matkę. Wydaje mu się bardziej ociężała, ale ciągle jest energiczna, a tego późnopaździemkowego wieczoru roku 1792 wprost promienieje. Chodzi od jednego swego dziecka do drugiego. Często przystaje przed Elizą, którą nadal nazywa tak jak kiedyś - Marianną. Całuje ją, później podchodzi do Napoleona i koniuszkami palców muska jego policzki. Po raz pierwszy od tak bardzo dawna wszystkie jej dzieci zebrały się w domu. Trzeba smakować tę chwilę pokoju i szczęścia.

Napoleon wstaje, oddala się od pozostałych.

Już od wielu dni wyczekuje na znak od Paolego. Czy Babbo pozostawi go bez zajęcia? 18 października Napoleon napisał do niego, oświadczając, że chce z powrotem objąć swe stanowisko podpułkownika w batalionie ochotników. Lecz żadna odpowiedź nie nadchodzi z Corte, gdzie rezyduje Paoli.

- Ze swoim dworem -.dorzuca gorzko Lucjan.

Paoli nie chciał tego *giovanotto*, chłoptasia, na sekretarza.

- Nie lubi nas - powtarza Lucjan starszym braciom. - Napoleon przyjechał z Francji z jeszcze jedną naszywką. Jest dla Paolego zbyt francuski, podejrzany - ciągnie Lucjan. - Paoli się nas boi.

Napoleon nie daje za wygraną. Ogłosił kompaniom swego batalionu, które stoją garnizonem w Corte i Bonifacio, że udaje się do nich: „Odtąd będę tam i wszystko pójdzie tak, jak należy”. Napoleon ma zamiar „zaprowadzić we wszystkim porządek”.

Nie dostał odpowiedzi. Czeką. Nie może zerwać z Paolim, który ma na Korsyce pełnię władzy i dysponuje poparciem - najliczniejszej tutaj - ludności wiejskiej.

Zatem w domu w Ajaccio, mimo szczęścia bliskich, radości matki i wdzięczności, jaką mu ona okazuje, Napoleon jest zniecierpliwiony. Leje ulewny deszcz, lecz Napoleon otwiera drzwi, wychodzi do ogrodu i po kilku minutach wraca z włosami przyklejonymi do twarzy i w zmoczoną mundurze. Matka podchodzi do niego, ale on ją odsuwa wzburzony.

Są jeszcze Indie, mówi. Tam potrzebują oficerów artylerii. Dobrze im płacą. Mógłby wstąpić na służbę do Anglików w Ben-galu albo organizować artylerię Hindusom, którzy z nimi walczą. Nieważne, po której stronie. Co on tu robi? Marnuje życie. Jego koledzy wkroczyli do Moguncji i Frankfurtu. Nie może się pogodzić z tym mizernym losem, z tą beczynnością w chwili, gdy cały świat znalazł się w ruchu, gdy Francja zwycięża i gdy on mógł także być w armii, która zwyciężyła naci Sambrą i Mozą. Tylko że nie pojechał do swojego pułku. Jest tutaj, na Korsyce, gdzie nie chcą wykorzystać jego umiejętności.

Wyjedzie do Indii.

- Oficerowie artylerii wszędzie są rzadkością - zauważa. - I jeśli się zdecyduje, to myślę, że jeszcze o mnie usłyszycie.

Przyciska do siebie matkę. Ten ostentacyjny gest czułości jest u niego czymś niezwykłym. Zazwyczaj Napoleon jest pełen rezerwy i Letycja zdziwiona jest takim zachowaniem i nagłym wybuchem uczuć.

- Wrócę z Indii za kilka lat - mruczy Napoleon. - Będę bogaty jak nabab i przywożę dobre posagi dla moich trzech sióstr.

Lucjan głośno protestuje: Napoleon ma zbyt wielkie wymagania, jeśli nie jest zadowolony, będąc kapitanem w wieku dwudziestu trzech lat.

- Ach, dobrzy jesteście - przerywa mu Napoleon, wzruszając ramionami - jeśli myślicie, że ten awans, zgoda, że szybki, to wynik jakichś zasług, które miałem czy których nie miałem... Jestem kapitanem, wiecie o tym tak samo dobrze jak ja, gdyż wszyscy wyżsi oficerowie pułku La Fère są w Koblencji, na emigracji. Zobaczycie teraz, jak długo pozostawią mnie kapitanem... Widziałem te

sprawy wystarczająco blisko, będąc w Paryżu, i wiem, że bez protekcji nie dojdzie się tam do niczego. A rzeczywistym motorem protekcji są przeważnie kobiety. Ja, jak wiecie, nie jestem w ich guście. Trudno im się spodobać, kiedy człowiek nie potrafi im nadskakiwać, a to jest coś, czego nigdy nie umiałem i pewnie się nigdy nie nauczę.

- On nie wyjedzie - stwierdza po prostu Letycja.

Napoleon mówi nagle ostrym tonem:

-Jadę do Corte.

Nazajutrz przemierza konno dolinę rzeki Gravone. Kiedy przybywa do Bocognano, wieśniacy i pasterze witają go gorąco. Ci ludzie są mu wierni. Szacunek oraz oznaki przywiązania i oddania, jakich mu nie szczędzą, uspokajają go i umacniają jego determinację. Wyrwie Paolemuto dowództwo, do którego ma prawo. Nie pozwoli się odsunąć.

Pasterze z Bocognano towarzyszą mu aż do chwili, gdy pojawiają się mury Corte. Powtarzają mu, iż gotowi są dla niego umrzeć. On mówi, że są mu potrzebni. Zawsze będzie pamiętał o ich przyjaźni. To właśnie znaczy być wodzem: utworzyć wokół siebie klan, umieć zgromadzić ludzi, przywiązać ich do siebie i wynagradzać.

Uczy się tego.

W Corte rządzi Paoli. Pozzo di Borgo jest jego zaufanym doradcą. Paoli wyznaczył na dowódcę wojsk swego kuzyna Colonnę cli Cesari. Napoleon nalega, aby został przyjęty przez, jak go nazywa, „generała”. Paoli każe mu jednak czekać.

Napoleon codziennie składa wizyty kompaniom ochotników, które są zakwaterowane w okolicach Corte. Ochotnicy przyjmują go z radością, ale otoczenie Paolego daje mu do zrozumienia, że nie potrzeba tutaj dodatkowego podpułkownika. Jest Quenza, pierwszy podpułkownik, to wystarczy.

Napoleon jest posłuszny. Przechadza się samotnie uliczkami Corte. Przypomina sobie wszystkie upokorzenia i ostre odprawy, jakich doznał ze strony Pasquale Paolego. W listopadzie 1792 roku, kiedy Konwent zadeklarował właśnie uroczyste, że „zapewnia

braterstwo i pomoc wszystkim ludom, które będą chciały odzyskać wolność", gdy wojska Dumourieza odniosły nad Austriakami wielkie zwycięstwo pod Jemappes i okupują Belgię, czy musi nadal pozostawać w cieniu Paolego?

Są jeszcze inni Korsykanie, członkowie Konwentu, Saliceti, Chiappe, Casabianca, którzy wybrali bez zastrzeżeń stronę Francji i republiki. Z nimi, a zwłaszcza z Salicetim, Napoleon i cały klan Buonapartych mieli zawsze przyjazne stosunki. Czemu więc nadal iść za Paolim?

- Paoli i Pozzo di Borgo to jedno stronnictwo - zwierza się Napoleon Józefowi. I na zastrzeżenia i wątpliwości brata dodaje: - Stronnictwo antynarodowe.

W kwaterach swego batalionu, kiedy ochotnicy zgromadzą się wokół niego, Napoleon przemawia, wysławiając armię republikańską:

- Nasi nie zasypiają gruszek w popiele - mówi. - Sabaudia i hrabstwo Nicei są już wzięte.

Wpatruje się kolejno w każdego ochotnika i powtarza: „Nasi”. To znaczy Francuzi. Potem, odmierzając starannie efekt, cofając się o krok, dodaje:

- Wkrótce zaatakowana zostanie Sardynia.

Ochotnicy unoszą broń.

- Żołnierze wolności zawsze zatriumfują nad najemnymi sługami tyranów - konkluduje.

Gdy zdecydował się w końcu porzucić dotychczasową ostrożność, słowa te brzmią w jego ustach naturalnie, są wynikiem długich miesięcy wahań i namysłu. Dokonawszy wyboru, Napoleon czuje się jakby wyzwolony. Ponagla otoczenie Paolego i w końcu udaje mu się znaleźć twarzą w twarz z tym, w którym widzi teraz tylko starego człowieka, wobec którego nie musi już być ostrożny, gdyż jest on jedynie przeszkodą, którą można albo wykorzystać jako osłonę, albo obalić. Wystarczy tylko wybrać odpowiedni moment.

Napoleon zwraca się do niego z całą stanowczością. Mówi głosem tak podniesionym, że otoczenie Paolego zaczyna szemrać. Napoleon żąda. Chce swego dowództwa, ma do niego prawo. Korsykanie muszą się włączyć do wojny prowadzonej przez repub-

likę. Jeśli odmówi mu się tego, czego żąda - kończy - to odjedzie i z Ajaccio napisze do Paryża o opieszałości i szykanach, by nie powiedzieć, zdradzie stronnictwa antynarodowego.

Paoli słucha z półprzymkniętymi powiekami, potem, spokojnym i silnym głosem, mówi tylko:

- Może pan wyjechać, jeśli pan chce.

To Paoli ma w ręku Korsykę. Ta myśl nie opuszcza Napoleona podczas drogi powrotnej do Ajaccio i przez następne tygodnie. Trzeba obalić jego władzę, a w tym celu trzeba się stać bardziej francuskim. W domu przy ulicy Saint-Charles Napoleon przyjmuje admirała Trugueta, młodego i świetnego oficera, który dowodzi flotyllą zgromadzoną w celu zaatakowania Sardynii. Wyprawia bale. Admirał zaleca się do Elizy, zabawia Paulinę i Karolinę.

Później Napoleon gości Hugueta de Semonville'a, dyplomatę w drodze do Konstantynopola, który podczas przejazdu przez Ajaccio włącza się do uroczystości wydawanych przez Buonapartych. Wygłasza mowy w miejscowym klubie patriotycznym i Lucjan z dużą pewnością siebie pomimo swych osiemnastu lat służy mu za tłumacza, a wkrótce i za sekretarza. Napoleon proponuje nawet, aby Semonville z rodziną zamieszkali w jednym z jego wiejskich domów w Ucciani.

Organizuje swoim gościom zwiedzanie Ajaccio, odczuwa jednak wrogość ludności. Klan Buonapartych staje się klanem profrancuskim. W grudniu marynarze z floty Trugueta, a potem ochotnicy marsylscy prowokują bijatyki z ochotnikami korsykańskimi i zabijają kilku z nich; Napoleon głośno potępia wybryki Francuzów: „Ci marsylczycy są anarchistami, którzy wszędzie roznoszą terror, szukają arystokratów albo księży, spragnieni są krwi i zbrodni”. Cokolwiek by jednak powiedział, wie, że jest odtąd w oczach Korsykan tym, który wybrał Francję.

A więc trzeba iść dalej. Koresponduje z Salicetim, który głosował w Konwencji za śmiercią króla. W końcu stycznia 1793 roku może jednak ocenić, jak sprawa egzekucji Ludwika XVI poróżniła większość Korsykan i Francuzów.

Powtarzają mu słowa Paolego, który potępił stracenie Ludwika

XVI. „Nie chcemy być katami królów” - powiedział Babbo. W jego otoczeniu Pozzo di Borgo jest zręcznym adwokatem przymierza z Anglią.

- Król angielski płacił Paolemowi przez lata - powtarza Lucjan Napoleonowi. - Paoli jest nadal na jego żołądź.

Napoleon stara się być bardziej umiarkowany, lecz gdy 1 lutego Konwent wypowiedział wojnę Anglii, Paoli jako dawny emigrant w Anglii staje się podejrzany. Pewnego lutowego wieczoru w 1793 roku Napoleon zwierza się przyciszonym głosem Huguetowi de Semonville'owi:

-Zastanawiałem się długo nad naszą sytuacją - mówi. -Konwent bez wątpienia popełnił wielką zbrodnię, nakazując egzekucję króla, i potępiam to bardziej niż ktokolwiek inny, ale cokolwiek się zdarzy, Korsyka musi pozostać zjednoczona z Francją. Jest to warunek jej istnienia. Ja i moi bliscy będziemy bronili, uprzedzam pana o tym, sprawy zjednoczenia.

Trzy dni później Napoleon jest w Bonifacio. Ochotnicy z jego batalionu zgrupowali się tam, aby zaatakować wyspy La Maddalena, należące do Sardyńczyków i kontrolujące cieśninę pomiędzy Korsyką a Sycylią. Tymczasem flotyła admirała Truguetta z ochotnikami marsylskimi na pokładzie płynie w stronę Cagliari, stolicy Sycylii. Atak na wyspy La Maddalena ma odwrócić uwagę przeciwnika.

Napoleon jest spokojny i rozgorączkowany zarazem. W końcu będzie się bił. Tego dnia wielokrotnie chodzi na kraniec cypla Bonifacio. Widać stamtąd szarawe brzegi Sycylii. Po powrocie do domu, który zajmuje przy ulicy Piazzalonga, wzywa dawnego kancelistę trybunału. Dyktuje mu instrukcje. Zdania są krótkie, ich ton stanowczy. Każe sobie przekazywać raporty, przegląda je drobiazgowo. Chce - mówi - dyscypliny, pilności, dokładności. Chce wszystko sam kontrolować.

Bardzo wcześnie rano myje się gąbką namoczoną w zimnej wodzie, wyciera się energicznie, a później starannie ubiera, dbając o schludny i nienaganny wygląd swego munduru. Jednak wbrew jego rozkazom pełno wokół ludzi w zaniedbanych ubiorach.

-Dobrze walczyć można tylko z żołnierzami, którzy są czysti i mają czyste mundury - stwierdza.

Obserwując swoich ludzi, zadaje sobie pytanie: ilu z nich naprawdę chce się bić? Kiedy schodzi z *Faivette* na małą wysepkę Santo Stefano, natychmiast każe ustawić swoje dwa działa i moździerz. Zaczyna ostrzeliwać miasto La Maddalena. Jednak jego żołnierze są niedoświadczeni, wystraszeni. Komendant ekspedycji, Colonna di Cesari, otrzymał od Babbo rozkaz nieatakowania „sardyńskich braci”. Marynarze z *Faivette* buntują się i chcą wrócić do Bonifacio. Na południu, w Cagliari, ochotnicy marsylscy uciekli na pierwszy odgłos wystrzałów.

Zagryzając wargi z wściekłości, Napoleon zmuszony jest opuścić swoją pozycję i zatopić działa, których majtkowie nie chcą wtoczyć z powrotem na pokład. Na pokładzie *Faivette* trzyma się na uboczu, pełen pogardy. Zdaje mu się, iż każdego dnia traci kolejne złudzenie. Co do Korsyki, ludzi, Paolego.

-Tyle przewrotności kryje się w ludzkim sercu. A fatalna ambicja sprowadza na złą drogę starca mającego siedemdziesiąt osiem lat - mówi o człowieku, którego tak bardzo podziwiał.

Niedługo po wylądowaniu w Bonifacio, kiedy spaceruje po placu Doria, marsylscy marynarze z *Faivette* nadbiegają w jego stronę z okrzykiem: „Na latarnię z arystokratą!” i najwyraźniej mają zamiar go zabić. Napoleon broni się, na szczęście przybiegają ochotnicy z Bocognano, którzy przeganiają marynarzy.

Oto, jacy są ludzie, nawet ci, którzy uważają się za patriotów i rewolucjonistów.

Tak niewiele można się spodziewać po większości z nich!

Uwolnienie się od naiwnych przekonań daje jednak Napoleonowi poczucie wolności i siły. Może liczyć tylko na siebie. Powinien działać tylko z myślą o sobie. Ludzie liczą się tylko o tyle, o ile są jego sprzymierzeńcami. Pozostali to wrogowie, których trzeba albo przekabacić i pozyskać dla swojej sprawy¹, albo zmiążdżyć.

Zaraz po powrocie do Ajaccio Napoleon pisze do ministra wojny protest przeciwko temu, w jaki sposób Colonna di Cesari poprowadził ekspedycję na La Maddalenę. To pośredni atak na Pasquale Paolego, któremu tamten jest oddany.

Tymczasem Napoleon dowiaduje się, najpierw, że Konwent wyznaczył trzech komisarzy z nieograniczoną władzą, wśród nich

Salicetiego, aby udali się na Korsykę, a następnie, że przybyli oni już 5 kwietnia do Bastii. Napoleon przygotowuje się do wyjazdu, chcąc się z nimi spotkać, ponieważ ich przybycie jest aktem wyzwania wobec Paolego.

Lecz całkowite zerwanie z korsykańskim wodzem jeszcze nie nastąpiło.

Napoleon ostrzega Salicetiego: „Paoli ma dobroć i łagodność na tw^oarzu, a nienawiść i zemstę w sercu. Sentymentalną słodycz w spojrzeniu i gorzyc w duszy”. Zaleca ostrożność i Saliceti zgadza się z nim. Paoli ciągle jest panem wyspy. Korsykanie wciąż są mu wierni. Trzeba więc zręcznie manewrować.

Napoleon obserwuje i słucha Salicetiego. Uczy się intryg, politycznych wybiegów-, w których próbował już swych sił poprzedniego roku w Ajaccio. Saliceti, który udaje się do Corte i nawiązuje rozmowy z Paolim, jest dla niego mistrzem. Napoleon podziwia swego mimowolnego profesora. Lecz 18 kwietnia, kiedy negocjacje wciąż trwają, po Korsyce rozchodzi się nowina.

Napoleon jest w rodzinnym domu przy ulicy Saint-Charles. jeden z jego zwolenników kładzie przed nim dwa teksty. Pierwszy to decyzja Konwentu, która nakazuje aresztowanie Pasquale Paolego i Pozzo di Borgo. Dekret datowany jest 2 kwietnia 1793 roku W przeddzień Dumouriez przeszedł na stronę wroga. Konwent stara się uprzedzić zdradę Paolego.

Drugi tekst to odpis listu, rozpowszechnianego przez ludzi Pozzo di Borgo po całej Korsyce. Napoleon czyta go kilkakrotnie. Pod listem, skierowanym do Napoleona i Józefa, widnieje podpis Lucjana Buonapartego, który od kilku tygodni przebywa w Tu-lonie, towarzysząc Huguetowi de Semonville'owi. List został więc przechwycony przez ludzi Paolego, aby zniszczyć do reszty reputację Buonapartych.

„W następstwie petycji miasta Tulonu, zaproponowanej i ułożonej przeze mnie w komitecie klubu - pisze Lucjan - Konwent wydał dekret o aresztowaniu Paolego i Pozzo di Borgo. W ten sposób zadałem naszym wrogom decydujący cios. Gazety już obwieściły wam tę nowinę. Nie spodziewaliście się tego. Czekam z niecierpliwością na to, co stanie się z Paolim i Pozzo di Borgo”.

Napoleon przymyka oczy. Ten list i ten nakaz Konwentu oznaczają otwartą wojnę z Paolim, a tym samym wojnę pomiędzy Korsyką i republiką - dla jego rodziny zaś oznacza to wygnanie i ruinę. A wszystko to, zanim jeszcze Napoleon zdążył przygotować swoją przyszłość. Młodszy osiemnastoletni brat odegrał swą rolę z zuchwalstwem i arogancją *briconcelle*, łobuziaka.

Napoleon woła matkę, czyta jej oba pisma.

- Gdyby żył jeszcze archidiakon Lucjan - mówi - serce krwawiłoby mu na myśl o utracie baranów, kóz i wołów, a jego roztropność pomogłaby zażegnać burzę.

Napoleon wyjaśnia matce, że ma zamiar spróbować odwlec zemstę Paolego. Wybiera się do klubu w Ajaccio, układa list do Konwentu, w którym żąda, aby odwołano dekret.

Ma jednak świadomość, że jest już za późno.

W Corte delegaci korsykańscy zgromadzeni wokół Paolego potępiają Buonapartych, „urodzonych w błocie despotyzmu, wy-karmionych i wychowanych pod okiem i na koszt rozwiązłego baszy, który rządził wyspą... Niecli Buonapartowie porzuceni będą na pastwę swoich wyrzutów sumienia i opinii publicznej, która już teraz skazała ich na wieczne przekleństwo i niesławę”.

Napoleon nawet przez chwilę nie przypuszcza, aby jego przeciwnicy zadowolili się jedynie tym wyrażeniem pogardy. Mówi do matki: *Preparatevi, questo paese non e per noi**.

Trzeba jednak walczyć do końca. Spróbować zawładnąć cytadelą w Ajaccio, później z Salicetim zdobyć miasto, wywołać powstanie stronników Francuzów. Wszystko na próżno, nikt się nie podrywa. Napoleon patrzy na swe rodzinne miasto z wieży Capiteu na krańcu zatoki Ajaccio, gdzie schronił się z kilkoma ludźmi.

Wie, że to koniec jakiejś części jego życia. Niedługo skończy dwadzieścia cztery lata i odtąd jego los musi już być związany wyłącznie z Francją: jego rodzina nie ma żadnych innych środków utrzymania oprócz jego pensji kapitana. Także Józef i Lucjan mogą znaleźć zatrudnienie jedynie we Francji, może dzięki pomocy Salicetiego. To koniec korsykańskich złudzeń.

* Z wł.: „Przygotuj się do wyjazdu, ten kraj nie jest dla nas”.

-Wszystko skończone, moja obecność niczemu nie służy — mów cicho do Salicetiego. - Muszę opuścić ten kraj.

Przez cały maj i początek czerwca 1793 roku będzie jednak stawał opór i skutecznie wymykał się tym, którzy go ścigają. Ludzie Paolego, nie mogąc go złapać, grożą Letycji i jej młodszym dzieciom.

Kiedy Napoleon dowiaduje się, że jego matka musiała się ukryć, uciekając przed bandami zwolenników Paolego, którzy splądrowali, złupili i spalili ich dom rodzinny, nie robi żadnego gestu, nie wypowiada ani słowa, wydaje się skamieniały ze złości. Paoli — powie później - jest zdrajcą, a Korsykanie to buntownicy i kontrewolucjoniści, tacy sami jak ci Wandejczycy, którzy od marca powstali przeciwko republice.

Płonący rodzinny dom to jego korsykańska przeszłość obracająca się w popiół, jest Francuzem, już nie może być nikim innym.

Korsykanom udaje się go złapać, zamykają go w pewnym domu w Bocognano, mają go zawieźć do Corte, gdzie będzie osadzony i skazany. Jednak wierni pasterze umożliwiają mu ucieczkę przez okno.

Czegoś takiego jeszcze nie przeżywał. Musi przemykać się nocą drogami, ucieka swoim prześladowcom. Ukrywa się w grocie, później w pewnym domu w Ajaccio, który przeszukują żandarmi.

Jest niewzruszony. Nigdy nie traci zimnej krwi. Polityka, wojna to ludzie, którym się schlebia albo których się zwalcza, których się kupuje albo zabija. Kilkoma słowami podnosi na duchu pasterzy z Bocognano, którzy eskortują go i chronią. Nigdy im tego nie zapomni - mówi, kierując się w stronę brzegu, by przedostać się na francuski okręt wiozący wysłanników z Paryża.

31 maja, kiedy okręt komisarzy Konwentu z Napoleonem i Józefem na pokładzie wchodzi do zatoki Ajaccio, na brzegu widać uciekinierów dających znaki. Napoleon przechodzi na dziób. Wskakuje do szalupy, ciągnąc za sobą Józefa. Łądują na plaży i rzucają się w stronę Letycji i jej dzieci; wszyscy musieli przedzierać się całą noc przez chaszczę, aby ująć zwolennikom Pasquale Paolego.

Napoleon przewozi ich wszystkich szalupą na statek. Jego matka nie skarży się ani słowem. Statek zawozi ich do Calvi, gdzie Napoleon decyduje się poprosić o gościnę swego ojca chrzestnego

Giubege. Gdy tylko rodzina jest w bezpiecznym schronieniu, wyrusza znowu, wsiada na statek i wraz z komisarzami dociera do Bastii. Jest jednak wzburzony, niespokojny. Francuzi kontrolują już tylko trzy miejsca na Korsyce: Calvi, Bastię i Saint-Florent. Czy może pozostawić swoją matkę oraz braci i siostry na wyspie na łasce wrogów?

10 czerwca opuszcza samotnie Bastię na koniu, aby do nich dołączyć i zorganizować ich ewakuację do Tulu. Jedzie przez wiele dni na wymęczonym wierzchowcu o zapadłych bokach, który zna jednak instynktownie niebezpieczeństwa tych ścieżek wijących się na zboczach gór, ledwie wytyczonych w gęstych zaroślach. Wdycha zapachy korsykańskiej wsi, za którymi tak często tęsknił i które z taką radością i uniesieniem odnajdywał za każdym swym powrotem na wyspę.

To także się skończyło, wie o tym.

Jego przeznaczenie leży gdzie indziej, we Francji, gdzie odtąd jest jego ojczyzna i jego naród. Musiał pozostać przy wyborze, którego dokonał za niego ojciec. Nie potrafił tego zmienić.

Aby zaistnieć, trzeba umieć zrywać związki. Zrywa z Korsyką.

11 czerwca 1793 roku Napoleon i jego rodzina wsiadają na szesbękę płynącą do Tulu.

CZEŚĆ CZWARTA

LEPIEJ ZJADAĆ,
NIŻ ZOSTAĆ ZJEDZONYM

CZERWIEC 1793 - MAJ 1795

Rozdział 14

W dali, na pełnym morzu od strony Tulu, grzmia dział. Napoleon wychyla się przez okno dylżansu, który toczy się wolno między oliwkami. Ranek 20 czerwca 1793 roku ma już w sobie promienną jasność lata, ale powietrze jest lżejsze, bardziej rześkie.

Pomiędzy pośępnymi murami górującymi nad redą Tulu Napoleon rozpoznaje sylwetki okrętów, z obłokami białego dymu w miejscu wylotu kuli. Trwa ostrzał fortów Tulu.

- To Hiszpanie - mówi jeden z. podróżnych.

Opowiada, że odkąd marsylczycy powstali przeciwko Konwentowi, na morzu krążą okręty hiszpańskie gotowe wysadzić na brzeg żołnierzy i przyjść rebeliantom z pomocą. Cała dolina Rodanu jest w stanie wojny z Paryżem. Awinion, Nîmes, ale także Marvejols i Menele są w rękach federalistów i rojalistów. Po tym, jak 2 czerwca Konwent zdecydował o aresztowaniu reprezentujących prowincję deputowanych żyrondistów Vergniauda, Brissota i Rolanda, wszędzie wybuchła rewolta. Nie tylko w Prowansji, ale także w Bordeaux, w Normandii i oczywiście w Wandei, gdzie buntownicy wybrali na wodza „katolickiej i królewskiej armii” dawnego woźnicę Cathelineau. Górale - jakobini - będą mieli trudności z odzyskaniem kontroli nad krajem.

Napoleon przymknął oczy.

Myśli o matce, siostrach i braciach, których pozostawił w małym domku w wiosce La Valette położonej u bram Tulu. Słyszał, że miejscowość ta jest gniazdem rojalistów i arystokratów, a flota an-

gielska krąży w odległości kilku kabli od brzegu, czekając jedynie na sygnał wejścia na redę. Być może trzeba będzie uciekać znowu, jeszcze dalej.

Przed wyjazdem do Nicei, gdzie stacjonuje pięć kompanii czwartego pułku artylerii, Napoleon pragnął dodać jeszcze otuchy matce. Prawie wcale nie podnosiła głowy znad kuchni. Hieronim i Ludwik rąbali drewno. Eliza i Paulina chodziły do źródła, aby przynieść wody i wyprać tam bieliznę. W ciągu tygodnia, który spędził wśród swoich, Napoleon uzyskał od władz Brignoles i Saint--Maximin pomoc w postaci racji żołnierskiego chleba. Powtarzał, że Buonapartowie są uchodźcami patriotami, wygnanymi ze swej wyspy, ponieważ nie potrafili żyć pod jarzmem zdrajców, sojuszników Anglii.

Przekonywał matkę, że nie będzie musiała długo żyć w tak opłakanych warunkach. Józef i Lucjan mieli zwrócić się do Sa-licetiego, reprezentanta rządu przy armii rewolucyjnej w Prowansji z zadaniem zwalczania żyrondistowskich federalistów i arystokratów. On sam ma w Nicei otrzymać zaległy żołd, prawie trzy tysiące liwrow. Dostanie też patent kapitana dowodzącego kompanią artylerii.

Mimo to wyjeżdżał z Tulonu niespokojny. Jeżeli miasto wpadnie w ręce rojalistów, jeżeli Anglicy wejdą na redę, jeżeli wojska republikańskie nie odzyskają Prowansji i całego kraju, to jaki los przypadnie jego rodzinie? I co się stanie z nim samym?

Konwent musi wygrać, republika musi zwyciężyć.

Po kilku dniach spędzonych w Nicei Napoleon gotów jest z jeszcze większą determinacją zaangażować się po stronie Konwentu. Oświadcza to generałowi artylerii armii Włoch, Jeanowi du Teilowi - jest on bratem dowódcy Napoleona z Valence.

- Oficer w służbie narodu - mówi po prostu Du Teil.

Napoleon z entuzjazmem przyjmuje zadanie dowodzenia bateriami nadbrzeżnymi. Osobiście wizytuje nerwowym krokiem każdą pozycję. 3 lipca 1793 roku pisze do ministra wojny, upominając się o model pieca płomienno do rozgrzewania kul, „żebyśmy mogli zbudować sobie takie piece na naszym wybrzeżu i dzięki temu palić okręty despotów”. Podpisuje: „Bonaparte”.

Już nie pamięta o swoich wahaniach, jakby wszystkie pomysły i projekty dotyczące Korsyki nigdy nie istniały. Ten dwudziesto-czteroletni kapitan jest Francuzem, republikaninem, Góralem, zwoleńnikiem Konwentu i przeciwnikiem tych, którzy narażają na szwank jedność republiki. Przyznaje, że głowy wciąż spadają i „maszyna doktora Guillotina” każdego dnia czyni swą powinność. 21 stycznia 1793 roku ścięto króla. Rządzi Konwent zdominowany przez Górali. Rozpoczyna się Terror. Napoleon godzi się na to. Dokonał wyboru. Tylko taki wybór otwiera przed nim przyszłość.

Kilka dni później znowu przemierza drogi Prowansji. Jedzie sam w oślepiającym słońcu lipca. Kocha to suche ciepło, te kolory, kępy janowca i lawendy, ochrę wysoko usadowionych wiosek. Jedzie do Awinionu, aby tam zgodnie z rozkazami generała Du Teila, zorganizować konwoje prochu i broni z przeznaczeniem dla armii Włoch.

Jego koń wielokrotnie staje dęba. Słyszc strzały, a także huk pojedynczych dział. Awinion znajduje się w rękach marsylskich federalistów i stawia opór rewolucyjnej armii generała Carteaux.

Napoleon przejeżdża przez kwatery armii, która liczy ponad cztery tysiące żołnierzy. Rozpoznaje pułk z Côte-d’Or, dragonów Allobroges, batalion Mont-Blanc, później niespodziewanie widzi znajomą twarz oficera.

To kapitan Dommartin, który dowodzi kompanią artylerii; w 1785 roku otrzymał stopień podporucznika w tej samej promocji co Napoleon. Był wówczas trzydziesty szósty, a Napoleon dopiero czterdziesty drugi. Witają się serdecznie.

Słuchając Dommartina, Napoleon odczuwa przyływ zniechęcenia. Chciałby walczyć tak samo jak on, a jest tylko konwojentem baryłek z prochem! Ładne zajęcie! Żyzma się. Trawi go niecierpliwość działania. Kiedy po wejściu wojsk Carteaux do Awinionu armia rusza i Napoleon widzi Dommartina przejeżdżającego „w najpiękniejszym wojskowym ekwipunku, jaki można zobaczyć”, buntuje się wewnętrznie. Nie może zaakceptować takiej sytuacji. I nie musi.

Zostaje w Awinionie, aby zorganizować konwój. Przeklęty konwój! Czasem jeździ na targ do Beaucaire. Słucha rozmów kupców, którzy siedząc za stołami na obrzeżach placu targowego, dyskutują o sytuacji w regionie. Szuka jakiegoś pomysłu. Jak wyjść z tego impasu?

Kiedy dowiaduje się, że garnizon francuski w Moguncji musiał skapitulować przed wrogiem, natychmiast chwyta za pióro i zwraca się do obywatela ministra z prośbą o przydział do armii Renu w stopniu podpułkownika. Trzeba jechać tam, gdzie jest niebezpiecznie. Trzeba w tym momencie dla zbudowania swego losu zdecydowanie iść na całego. Minister pomyśli, że chodzi tutaj o „propozycję patrioty”.

I trzeba być patriotą. Głosić swą wierność obozowi, do którego się należy. I robić wszystko, aby ten obóz wygrał. „Jeśli trzeba być po czyjejś stronie, to po tej, która wygrywa, ”. Ale odpowiedź ministra się opóźnia, Napoleon znużony jest pobylem w Awinionie i wyczekiwaniem, aż dostarczą działa i amunicję, które ma zawieźć do Nicei.

Jak sforsować zamknięte drzwi, dać znać o swoim istnieniu, o tym, że jest się zdeklarowanym zwolennikiem władzy, kimś, kogo warto wyróżnić i awansować?

Pisanie? To może być jakiś sposób na wyjście z cienia. Napoleon zasiada za stołem. Pisze w tę ciepłą awiniońską noc pod koniec lipca. Pióro biegnie po papierze jeszcze szybciej niż zwykle, zdania są lakoniczne i nerwowe.

Najpierw tytuł, który od razu przyszedł mu na myśl: *Wieczera w Beaucaire, czyli dialog pomiędzy wojskowym z armii Carteaux, marsylczykiem, mieszkańcem Nîmes i fabrykantem z Montpellier na temat wydarzeń, które zaszły w tym hrabstwie, gdy weszli marsylczycy.*

Dwadzieścia stron, na których opowiada się za Konwentem, przeciwko powstaniu federalistów. Wymyśla tę rozmowę, aby włożyć w usta marsylczyka, zwolennika powstania, argumenty, które następnie odrzuci „wojskowy”.

„Czy nie rozumiecie, że walka patriotów i despotów to walka na śmierć i życie?” - mówi. Rozumuje chłodno. Zdania czasem stają się

gorące, lecz podporządkowane są potrzebom analizy. Punkt po punkcie Napoleon wykazuje, że siły rewolucyjne zetrą w pył buntowników. Że intencje buntowników, dobre czy złe, nie grają tu żadnej roli.

„Już nie wolno zadowalać się słowami, trzeba analizować czyny”. Nie wystarczy wymachiwać trójkolorowym sztandarem. Czyż Paoli nie potrząsał nim na Korsyce, „wciągając jednocześnie rodaków w swe ambitne i zbrodnicze projekty”? I Napoleon kreśli pewnym piórem konkluzję: „Centrum jedności stanowi Konwent, to jest prawdziwy suweren, zwłaszcza wtedy, gdy lud jest podzielony”.

Odczytuje swój tekst na nowo i już nie kładąc się spać, z samego rana zanosi kartki do drukarza Sabina Tournala, który jest wydawcą „Le Courier d'Avignon”. Tournal bierze je, przegląda. To patriota. Wydrukuje tekst tymi samymi czcionkami i na tym samym papierze co gazetę.

- Kto zapłaci? - pyta.

Napoleon wyciąga monety.

-Ja.

Tournal zaznaczy więc na egzemplarzach: „Na koszt autora”. Napoleon zgadza się. Trzeba umieć zaryzykować. Chce dostać próbne odbitki jeszcze tego samego dnia - 29 lipca 1793 roku późnym popołudniem. Sam je wyśle do reprezentantów rządu przy armii Cardeaux, Salicetiego i Gasparina.

Kilka dni później do drzwi hotelu, w którym mieszka Napoleon, puka żołnierz i wręcza mu pakiet zawierający dziesięć broszurek zatytułowanych po prostu *Wieczera w Beaucaire*, wydanych przez Marca Aurela, drukarza armii. Żołnierz wyjaśnia, że wojsko rozdaje tę broszurę podczas swego przemarszu.

Napoleon wie, że odniósł zwycięstwo. Już nie jest zwykłym kapitanem artylerii mającym zadanie konwojowania baryłek prochu i broni do Nicei. Zdecydował się na zagranie na terenie polityki, ponieważ jeszcze na Korsyce odkrył, że w tych czasach polityka stała się najważniejszym czynnikiem decydującym o losach ludzi. A kto chce awansować, musi odpowiedzieć się po którejś stronie.

On wybrał „centrum jedności, jakim jest Konwent”, kosztem poszczególnych stronnictw.

To nie kwestia sympatii, lecz skutek przekonania ukształtowanego zarówno podczas tragicznego spektaklu 10 sierpnia 1792 roku w Paryżu, jak i przez doświadczenia, które zebrał w Ajaccio. Władza musi być jedna. Konwent to władza. To Konwent prowadzi wojnę.

Jestem z tą władzą.

Na początku września 1793 roku Napoleon zdobył wreszcie amunicję i broń. Ponawia zabiegi u władz Vaucluse, aby otrzymać pięć wozów niezbędnych do transportu. Armia Włoch - mówi - potrzebuje prochu, aby pokonać „tyrana z Turynu”.

Każą mu na razie czekać. Wojska Carteaux, które 25 sierpnia wyzwoliły Marsylię, żyją z rekwizycji, gdyż Tulon, gdzie schronili się rojalistyczni uciekinierzy i marsylscy federaliści, oddał swą redę okrętom angielskim i hiszpańskim.

Napoleon się niecierpliwi. Jego brat Józef został mianowany przez Salicetiego komisarzem wojennym przy armii Carteaux. Lucjan otrzymał stanowisko strażnika magazynów armii w Saint--Maximin. Może oni dopomogą mu w znalezieniu brakujących wozów. 16 września udaje się do kwatery głównej armii Carteaux znajdującej się w Beausset.

Oficerowie zajmują wiele domów w miasteczku. Napoleon chodzi od domu do domu. Ktoś go woła. To Saliceti, w towarzystwie Gasparina, także reprezentanta w misji.

- *Wieczera w Beaucaire...* - zaczyna Saliceti.

Urywa, bierze Gasparina na stronę. Wymieniają kilka zdań. Saliceti odwraca się do Napoleona.

- Kapitan Dommartin, który dowodził jedną z kompanii artylerii, został zraniony w ramię i ewakuowany do Marsylii. Potrzebujemy wyszkolonego oficera.

Włącza się Gasparin. Wyjaśnia, że za wszelką cenę trzeba przepędzić Anglików z Tulonu.

- Kiedyś - mówi Napoleon - gdy czekałem na statek na Korsy kę, przestudiowałem fortyfikacje miasta. Niczego nie zapomniałem.

Na wolnym skrawku stołu Saliceti pisze rozkaz przydzielający kapitana artylerii Napoleona Bonapartego do armii Carteaux oblegającej Tulu. Wstawia datę: 16 września 1793 roku.

Wreszcie będę mógł pokazać, pierwszy raz na tej francuskiej ziemi, na co mnie stać.

Rozdział 15

Zapada noc. Napoleon stoi ze skrzyżowanymi ramionami na progu domu, który będzie jego kwaterą. Przygląda się żołnierzom, którzy leniwie oddają się swoim zajęciom. Niektórzy bez broni wracają z pobliskich sadów. Przynoszą koszyki owoców. Trzymają się pod ramiona. Ich wargi oblepione są sokiem z fig i mięszem czarnych winogron. Nieopodal inni rozpalają ognisko, rzucając w ogień drzwi i okna wyłamane z obrabowanych domów. Grupa obdartych ludzi, także bez broni, urządza się na noc, moszcząc słomą beczki, w których będą spać.

To ma być armia!

Napoleon miałby ochotę złapać każdego z tych żołnierzy za kłapy munduru, potrząsnąć nim i wykrzyknąć, że tak się nie prowadzi wojny! Jest przekonany, że on wie, jak należy ją prowadzić. Ledwie kilka godzin temu Saliceti i Gasparin wyznaczyli go na dowódcę artylerii, ale mniejsza z tym, on wie swoje. Nie ma żadnych, nawet najmniejszych wątpliwości. Po prostu wie. I powinien wiedzieć, gdyż właśnie tutaj musi odnieść sukces.

Z domu naprzeciwko słychać śmiechy. Przez szyby dostrzega wielkie świeczniki ustawione na stole. Tutaj kwateruje generał Carteaux wraz z żoną. Generał podejmuje swych oficerów kolacją.

Napoleon rozmawiał z nim wcześniej tego dnia.

„Jestem generałem sankiulotą” - oświadczył Carteaux, rozglądając się z zadowoleniem dokoła. Poglądził duży czarny was, odrzucił głowę do tyłu. W błękitnym surducie, złożonym wzdłuż szwów, wygląda zawadiacko. Mierząc Napoleona wzrokiem pełnym poga-

rdy pomieszanej z podejrzliwością, wspomniał kapitana Dommar-tina. „To dla mnie wielka strata - stwierdził - zostać pozbawionym jego talentów”.

Potem dorzucił, że białą bronią zdobędzie forty Tulonu znajdujące się w rękach Anglików, Hiszpanów, Neapolitańczyków, Sycylijczyków. Napoleon wysłuchał go w milczeniu. Ten generał to ignorant. I odrzucił jego zaproszenie na obiad.

Ma do roboty co innego: prowadzić wojnę. Swoją wojnę. Nie będzie jadł ani spał. Dopóki Tulon nie padnie, nic się nie liczy oprócz wojny, zupełnie nic. Pyta jakiegoś żołnierza, lecz ten nie wie, gdzie znajduje się artyleria. W końcu Napoleon natyka się na sześć dział, z których się ona składa. Odpowiedzialny za nią sierżant nie dysponuje ani amunicją, ani niezbędnymi narzędziami.

To ma być artyleria!

Napoleon odchodzi. Trzeba więc będzie grać takimi kartami: niedyscyplinowana armia, nie istniejąca artyleria, nieudolny i podejrzliwy generał szczyjący się jedynie tym, że 10 sierpnia 1792 roku pociągnął za sobą swoich kolegów żandarmów, którzy przyłączyli się do ludu. Motłoch, mruczy Napoleon. Generał, który od lat zadawała się malowaniem niewielkich obrazków!

I to w takiej rozgrywce naraża się życie!

Pada drobny deszczyk przywiewany zimnym wiatrem. Napoleon wspina się na jeden ze szczytów, skąd widać redę i forty w Tulonie. Czeka na świt. Ta pierwsza noc jest nocą postanowień.

Kiedy w końcu wschodzi słońce, rozdzierając ostatnie chmury, Napoleon jest już przemoczony do nitki. Widzi jednak górujące nad redą forty, zajęte teraz przez Anglików oraz icli sprzymierzeńców. Rozpoznaje zwalistą wieżę fortu La Malue, forty Balaguiet i Malbousquet i jeszcze inne. Jego wzrok zatrzymuje się jednak na forcie, który najgłębiej zapadł mu w pamięć. To fort Éguillette, który kontroluje wąski przesmyk łączący wielką i małą redę.

To klucz do zwycięstwa.

Napoleon jest pewny siebie. Jakby oprócz tej pewności nie istniało w nim nic. Trzeba zdobyć fort, temu celowi należy wszystko podporządkować. Okręty wroga pod ogniem dział z Éguillette będą zmuszone do opuszczenia redy i Tulon padnie.

Kiedy słońce zaczyna przygrzewać, Napoleon schodzi ze wzgórza. Ustalił cel i czuje, że odzyskał spokój. Wystarczy teraz nagiąć ludzi i rzeczy do tego celu, obalić wszelkie przeszkody stojące na drodze jego planom. Wystarczy odsunąć na bok wszystkich, którzy tego nie rozumieją.

Spotyka się z Salicetim i Gasparinem, którzy dopiero co wstali.

- Całą operację należy przeprowadzić według obmyślonego systemu - zaczyna - ponieważ niczego nie da się osiągnąć przez przypadek. - Po chwili dodaje, zwracając się ku oknu i skinieniem głowy wskazując ciom generała Carteaux: - To artyleria zdobywa fortece, piechota udziela jej wsparcia. - Objaśnia swój plan w oszczędnych słowach, spokojnie, ale wydaje się, jakby słowa te niosły całą sprężoną energię jego ciała.

Wedle reguł sztuki wojennej, obleganie Tulonu jest beznadziejne. Miasto jest nie do zdobycia w ataku frontalnym. Przede wszystkim należy zmusić do ucieczki okręty przeciwnika zgromadzone na obu redach. W tym celu trzeba wziąć je pod ogień artylerii, która zbombarduje je płonącymi kulami, zapalającymi żagle i kadłuby i powodującymi eksplozje w ładowniach.

-A do tego - Napoleon wyciąga rękę tak, jakby można było zobaczyć ten fort, zwornik jego całego planu - trzeba opanować Éguillette. Zdobądźcie ten fort, a za tydzień wkroczycie do Tulonu - kończy.

Wychodząc z pokoju, rzuca jeszcze od progu:

-Wykonujcie swe obowiązki, obywatele reprezentanci, a mnie pozwólcie wykonywać moje.

Już nie kładzie się spać. Je niewiele. Podtrzymuje go na siłach jego własna aktywność, pewność swoich racji stała się dla niego niewyczerpanym źródłem energii. I z każdym nowym sukcesem narasta w nim przekonanie, że może wpływać na rzeczy i ludzi.

Napoleon rzuca się w wir pracy.

Potrzebuję codziennie pięciu tysięcy worków do napelnienia ziemią. Potrzebuję zbrojowni z osiemdziesięcioma kowalami, drewna i bali wołów i zwierząt pociagowych.

Niech Marsylia, Nicea, La Ciotat, Montpellier dostarczą mi wszystkiego, czego potrzebuję.

W tym miejscu trzeba zbudować baterię, a tam drugą. Pierwsza będzie się nazywała fortem Konwentu, a druga fortem Sankiulotów.

Napoleon stoi na nasypie jednej z tych baterii. Wzięły ją na cel działa angielskiego generała O'Hary. Kule padają gęsto. Napoleon nawet nie mrugnie.

- Uwaga - mówi po prostu - leci pocisk.

Żołnierze wokół niego wahają się, nie wiedząc, czy mają się kryć. Kula gwizdże.

Nie ruszam się. Mnie nic nie może dosięgnąć. Los popycha mnie do przodu. Jak moja trajektoria mogłaby się urwać? Jeśli idę do przodu, to nie mogę upaść.

Podmuch rzuca go na ziemię. Podnosi się.

-Kto potrafi pisać? - pyta.

Występuje sierżant.

- Ta bateria będzie się odtąd nazywała - mówi Napoleon -Fortem Ludzi Nieustraszonych.

Sierżant pisze, a po chwili kilka metrów dalej rozrywa się kula, posypując papier piaskiem.

- To mi oszczędzi suszenia atramentu - mówi sierżant.

- Jak się nazywasz?

- Junot.

Napoleon patrzy przeciągle na odważnego chłopaka.

Chce czuć, że mobilizuje ludzi, aby przechodzili samych siebie. Chce ich przekonać. Uwieść. Pociągnąć za sobą. Podporządkować.

W każdej chwili Napoleon odkrywa tę intensywną, palącą rozkosz. To dla niej warto się nie uchylać, kiedy nadlatuje pocisk, spać pośród żołnierzy na płaszczu rozpostartym na gołej ziemi, prowadzić na czele wojska natarcie pod gradem kul, podnosić się, kiedy zostanie zabity koń, na którym się siedziało, zagrzewać żołnierzy, kiedy rwą się do przodu, dzielni i rozgorączkowani, zapominający o swoim niebezpieczeństwie, mówiąc, że „piwo już nawarzone, teraz trzeba je wypić”, a jeśli wystraszony generał rozkaże odwrót, wyzwąć go od tchórzy.

Nigdy dotąd Napoleon nie odczuwał takiego spełnienia. Obserwuje i ocenia Salicetiego i innych reprezentantów rządu: Gasparina, Barrasa, Frérona, Ricorda i Augustyna Robespierre'a - młodszego brata człowieka, który rządzi Komitetem Ocalenia Publicznego. Saliceti jest już starym kompanem.

Oni, delegaci Konwentu, mają władzę. Ich należy przekonać.

Pewnego wieczoru Napoleon zaciąga Salicetiego na stanowisko jednej z baterii. Koń reprezentanta zostaje zabity. Kule świszczą. Napoleon pospiesznie pomaga podnieść się Salicetiemu. W pobliżu są patrole Anglików. Trzeba się kryć i maszerować w milczeniu, aby dojść do drugiej baterii.

Tam zabity został właśnie kanonier. Napoleon chwytając za ubijacz i jak prosty żołnierz pomaga oddać dziesięć czy dwanaście strzałów. Inni żołnierze patrzą na niego, ktoś próbuje wyjaśniać, że zabity kanonier... potem urywa, drapiąc się po rękach i ramionach. Kanonier miał świerzb i nikt nie odważył się dotknąć jego ubijacza ze strachu przed zarażeniem. Napoleon wzrusza ramionami. Czy takie rzeczy mogą człowieka powstrzymać, nawet gdyby później miało się odczuwać skutki choroby?

Nie czas troszczyć się o siebie.

29 września reprezentanci mianowali go dowódcą batalionu. Nowy zapal, nowe źródło energii, nowa pewność, że można zajść dalej i szybciej. Napoleon codziennie składa wizyty Salicetiemu. Podkreśla, że tylko jego plan może sprawić, iż Tulon upadnie. Ale wciąż są przeszkody.

Powtarza w kółko swoje. Mówić to jak strzelać salwami. Uczy swoich kanonierów.- „Trzeba strzelać i nie rezygnować, po stu chybiomych strzałach sto pierwszy trafi i osiągnie cel”. Czuje, że Saliceti, Gasparin, potem Ricord i Augustyn Robespierre, a nawet Barras i Fréron przestają mu się opierać.

Wpływać na ludzi, cóż to za radość! Jakie to upajające! Jaka kobieta mogłaby dać mu takie poczucie rozkoszy i władzy?

Saliceti i reprezentanci załatwiają usunięcie generała Carteaux. „Kapitan Armata” go pokonał. Generał Doppet, który przychodzi po Carteaux, jest byłym lekarzem i tylko przez parę tygodni stawia opór.

Napoleon zraniony w czoło, z zakrwawioną twarzą, pod koniec jednego z ataków podchodzi do Doppeta.

-A więc to pan jest tym niedołęga, który nakazał odwrót? -rzuca.

Generał się oddala. Napoleon patrzy na żołnierzy wokół siebie. Znieważają generała:

- Czy zawsze będą nami dowodzić malarze i lekarze? - krzyczą.

Napoleon milczy. Jego wiara w siebie umacnia się: on umie przewodzić ludziom.

Żąda, aby Saliceti go przyjął; muszą go wysłuchać, przeprowadził próby. Już ponad dwa miesiące walczy, przewiduje i organizuje.

- Czy zawsze będzie trzeba - mówi - zмагаć się z ignorancją i z niskimi namiętnościami z niej zrodzonymi? Wykładać swoje racje i wchodzić w kompromisy z kupą *ignorantacci*, tylko po to, żeby obalić ich przesady i zrobić to, co teoria i doświadczenie nakazują każdemu oficerowi artylerii?

Saliceti spuszcza głowę, przyznaje mu rację.

16 listopada do Ollioules przybywa generał Dugommier, aby zastąpić Doppeta, a dwie godziny później dołącza do niego generał Du Teil. Późnym popołudniem Napoleon udaje się do nich. Zna już Du Teila. Dugommier wysłuchuje go, zaprasza na obiad. Podczas posiłku podaje mu talerz z baranym mózdzkiem.

- Proszę - mówi ze śmiechem - potrzebujesz go.

Kiedy 25 listopada Napoleon wchodzi do małej sali, gdzie zbiera się rada wojenna, wie, że pokonał wszystkie przeszkody. Generałowie Dugommier i Du Teil zgadzają się z nim, gdy pochylony nad mapą podsumowuje swój plan: „Zdobycie fortu Eguillet-te, wypędzenie Anglików z obu red i jednoczesny atak na fort z góry Faron”. Saliceti, Augustyn Robespierre i Ricord dają swoją zgodę.

W chwili wyjścia z sali Napoleon spogląda w stronę Dugom-miera. Ten zaś uśmiecha się, przeciągając dłońią po szyi. Jeśli plan zawiedzie, czeka go gilotyna.

To już ostatnie dni przed osiągnięciem celu.

Żadnych obaw. Napoleon ma wręcz pewność, że nic mu się nie może stać, i wcale go to nie dziwi. Gdy 30 listopada jego żołnierze odbijają fort Konwentu, który wcześniej przez zaskoczenie opanowali Anglicy, Napoleon prowadzi atak na bagnety.

Angielski generał O'Hara zostaje wzięty do niewoli. Siedzi posepny, z głową opartą na rękach, lecz widząc nadchodzącego Francuza, prostuje się.

- Czego pan sobie życzy? - pyta Napoleon.

- Zostać sam, nie zawdzięczać niczego czyjejś litości. Napoleon odchodzi, popatrując na angielskiego generała. Taki powinien być żołnierz. Powinien w razie klęski dać dowód godności i rezerwy.

16 grudnia 1793 roku deszcz leje strugami. Nic nie widać na trzy kroki. Atak ma się odbyć tej nocy. Jedynie długie rozbłyski błyskawic rozdzierają ciemność, oświetlając zgromadzone kolumny wojska. Napoleon odnajduje Dugommiera i reprezentantów zebranych pod namiotem, który przecieka ze wszystkich stron. Wszyscy odwracają się w jego stronę. W twarzach wyczytuje wahanie i niepokój.

Jest pewny siebie. Ta wiara we własny „system” wykracza poza racjonalność.

Mówi tylko, że zła pogoda wcale nie jest okolicznością niesprzyjającą. Twarze zebranych odmieniają się. Tacy są ludzie. Siła przekonania skłania ich do uległości, pociąga, wskazuje kierunek.

Dugommier daje sygnał. Napoleon dosiada konia, piechurzy ruszają. Rozpoczyna się natarcie. Druga kolumna pod ulewą idzie w rozsypkę z krzykami: „Ratuj się, kto może!” „Zdrada!”. Inni prą naprzód, rycząc: „Zwycięstwo, na bagnety!”.

Napoleon czuje, że jego koń się osuwa. Podnosi się, idzie do przodu, ostry ból przeszywa mu udo. Jakiś Anglik zranił go ciosem bagnetu. Biegnie. Obok niego jego przyjaciel kapitan Muiron, nieco dalej w pierwszym szeregu Marmont i sierżant Junot.

Fort Mulgrave zostaje zdobyty, jego działa obrócone są w drugą stronę, w końcu w zapale wzięty jest także fort Éguillette. Anglicy uciekają, zabijając przedtem swoje konie i muły, których trupy zalegają korytarze.

Dopiero teraz Napoleon zaczyna odczuwać swoją ranę. Robią mu opatrunek.

- Anglicy - mówi - to dobrzy żołnierze. - Potem, wskazując na jeńców, dodaje z pogardą: - Cała ta hołota, Neapolitańczycy, Sycylijscy, jest nic niewarta. - Wstaje, kulejąc, podchodzi do parapetu. - Jutro, najdalej pojutrze będziemy jedli kolację w Tulonie.

Jest spokojny. Nie okazuje radości. Prowadzi ostatnie konieczne przygotowania, ale jego wzrok jest już gdzie indziej. Donoszą mu, że „Anglicy wynoszą się zewsząd” i że Neapolitańczycy porzucają forty. Nie okazuje żadnego zaskoczenia. Są to przewidywane konsekwencje jego planu.

Na redzie i w arsenale wybuchają fregaty. To Anglicy i Hiszpanie wysadzają okręty wypełnione prochem. W blasku pożarów Napoleon widzi dziesiątki obładowanych tulończykami barek i tar-tan, które próbują dotrzeć do okrętów floty angielsko-hiszpańskiej. Szalupy się wywracają. Kobiety krzyczą, toną, pociągnięte na dno - jak będzie się później mówić - przez worki ciężkie ocl bizuterii. Baterie otwierają ogień, lekkie kadłuby feluk rozpryskują się.

To koniec.

19 grudnia 1793 roku wojska republikańskie, ubrane w kar-maniole, wchodzą do Tulonu.

Teraz Napoleon trzyma się na uboczu. Mijając strzelające plutony egzekucyjne, nie odwraca nawet głowy. Wszędzie sceny grabieży. Natyka się na Barrasa i Frérona, dwóch reprezentantów, którzy przedtem wąpili w zwycięstwo, ale dziś każą rozlepić na murach obwieszczenia zapowiadające, że zrównają miasto z ziemią i że potrzeba do tego dwunastu tysięcy murarzy.

Widzi ludzi, którzy prowadzą żołnierzy do domów. To Górale uwolnieni z ładowni *Temistoklesa*, która służyła za więzienie. Teraz szukają donosicieli, katów i swoich strażników. Teraz z kolei oni denuncjują i mogą masakrować innych.

Chwilami Napoleona ogarniają mdłości. Lud jest zawsze dziką bestią, jakimkolwiek sztandarem by wymachiwał. On nie ma z tym nic wspólnego.

Wraca do swojej kwatery. Czekają na niego jakieś kobiety. Pro-

szą o wstawiennictwo. Ani słowem nie okazuje litości, lecz interweniuje, posyła Junota, Marmonta czy Muirona - jednego z tych oficerów, którzy stali mu się bliscy - aby wydrzeć śmierci jakąś ofiarę.

Cóż można robić innego?

Tacy są ludzie. Taka jest polityka.

Czuje się tak zimny, tak przenikliwie świadomy, że radość z osiągniętego celu ulatnia się. Cóż robić teraz?

22 grudnia wzywają go reprezentanci rządu. Siedzą wokół stołu, na którym rozstawione są kieliszki i butelki.

- Cóż to za mundur? - pyta Saliceti na widok wchodzącego Napoleona.

Odczytuje krótkie postanowienie przyjęte przez reprezentantów. Mianują oni dowódcę batalionu Napoleona Bonapartego generałem brygady, „za żarliwość i inteligencję, których dal dowody, przyczyniając się do poddania zbuntowanego miasta”.

- Należy więc zmienić mundur - kontynuuje Saliceti. Śmieje się i ściska Napoleona.

Jakże wszystko staje się szare, kiedy tylko wyścig ustaje.

Rozdział 16

Jest 4 stycznia 1794 roku.

Napoleon siedzi naprzeciwko matki. Niewielki stół, o który opierają się łokciami, zajmuje niemal cały pokój. Bracia i siostry stoją z tyłu, za Letycja.

Napoleon podnosi się i paroma krokami przemierza trzy niewielkie pokoiki, z których składa się całe mieszkanie. Ma wrażenie, że się dusi. Otwiera okno, lecz nawet zimny i wilgotny wiatr nie pomaga: czuje, że jeszcze bardziej brak mu powietrza.

Brak mu powietrza, odkąd wszedł w uliczkę Pavillon w pobliżu portu w Marsylii. Odór zepsutej ryby, oliwy i odpadków wywołał u niego mdłości. Pomimo ulewy zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na szarą fasadę pod numerem 7. To tutaj, na czwartym piętrze, mieszka jego rodzina.

Kiedy wszedł do mieszkania, bracia i siostry rzucili się w jego stronę, lecz natychmiast przystanęli onieśmieleni. Ludwik dotknął nowego generalskiego mundur. Powoli zbliżyła się do niego matka. Kilka miesięcy biedy i niepewności postarzyło ją wyraźnie.

Napoleon położył na stole skórzaną torbę pełną słoniny, szynki, chleba, jajek i owoców. Później wręczył swej matce plik asyg-nat i garść monet. Na koniec z innej torby wydobył koszule, sukienki, buty.

Jest generałem brygady, wyjaśnił. Jego żołd wynosi dwanaście tysięcy liwrów rocznie. Ma prawo do codziennych racji generalskich.

Letycja opowiada równym, spokojnym głosem, jak w La Yalette

żyli w strachu przed rojalistami, jak później mieszkali w Meonnes, wiosce koło Brignoles.

Napoleon wysłuchuje wszystkiego. Potem mówi tylko:

-To już skończone.

Myśli o Barrasie. Ten deputowany Konwentu po wejściu do Tuluonu okazał się jednym z najbardziej zacieklej inicjatorów Terroru, jeszcze wczoraj, wyjeżdżając z miasta, Napoleon widział ludzi postawionych pod murem. Żołnierze trzymali ich na muszce, jakiś oficer chodził, oświetlając pochodnią twarze więźniów, a w cieniu szeptał coś donosiciel. Nieopodal kręcił się na koniu Barras.

W sztabie Dugommiera mówi się po kątach, że od czasu swojej misji przy armii Włoch w hrabstwie Nicei Barras zgromadził wielki osobisty majątek. „W imieniu republiki” - chociaż złośliwi. Tak samo postępuje wielu reprezentantów rządu, oficerów czy żołnierzy - wszyscy grabią, kiedy tylko nadarzy się okazja, jedni podwędzą garść fig, inni srebrne nakrycia. Najsprytniejsi i najwyżsi stopniem kradną złote monety, dzieła sztuki i za bezcen kupują posiadłości ziemskie.

Piękna moralność!

Tylko nieliczni, jak Augustyn Robespierre, pozostają nieprzekupni i głośno mówią, że „narodowa brzytwa” powinna oczyścić republikę i ustanowić rządu cnoty!

-To już skończone - powtarza Napoleon, wstając i przerywając matce.

Musi wygrać także tę batalię: przeciw biedzie czy choćby tylko przeciętności. Nie chce być naiwny. Cnota, owszem, ale jeśli obowiązuje wszystkich. Kto jednak naprawdę wierzy, że to możliwe? Powinien więc, musi dorównać tym, którzy posiadają najwięcej; byłoby niesprawiedliwe, niemalże niemoralne, gdyby on sam i jego bliscy żyli jak biedacy, gdyby jego matka zmuszona była żywić dzieci kawałkiem żołnierskiego chleba i jednym jajkiem, jak to przed chwilą opowiadała.

Jego rodzina straciła wszystko w zamęcie rewolucji. Sprawiedliwość wymaga, aby teraz dostali swoją część łupu.

Pieniądze, pieniądze! To słowo dźwięczy jak obcasy Napoleona na bruku uliczki Pavillon. Nie można być biednym - bo to jest jak

druga emigracja. Ci wszyscy Barrasowie, którzy na koszt republiki bogacą się na potęgę.

Czy są więcej warci ode mnie?

Pieniądze to kolejny fort Éguillette. Punkt kluczowy, który należy zdobyć, aby kontrolować dwie redy: życie i swój los.

Chcę także tego.

Wraca do Tulu.

W jego kwaterze trwa krzątanina. Uwielbia ten ruch ludzi wokół siebie. Wybrał Junota i Marmonta na adiutantów. Przygląda im się: są oddani, pełni podziwu i działają skutecznie.

O to właśnie chodzi: być wodzem, stać się centrum grupy ludzi, którzy będą krążyć jak planety w Układzie Słonecznym. Napoleon przypomina sobie książki z astronomii, w które zagłębiał się zafascynowany w Paryżu w dniach, kiedy rozpadała się monarchia.

Spółcześnie, rządy, armie, rodziny urządzone są na podobieństwo niebios. Trzeba im jakiegoś centrum, wokół którego mogą się organizować. To ten ośrodek wyznacza trajektorie planet satelitów. Niech tylko zbraknie mu siły, a wszystkie planety się rozproszą. System będzie się rozpadał aż do chwili, gdy pojawi się inna siła i każe im krążyć wokół nowego centrum.

Dokonując przeglądu fortec Marsylii i Tulu, gdzie ma odbudować artylerię, Napoleon bawi się tymi myślami.

Styczeń roku 1794 jest lodowato zimny. Wieje mistral, siekąc po twarzy. Wojna i terror wciąż się rozprzestrzeniają. W Wandei „kolumny piekielne” generała Turreau dewastują kraj i masakrują mieszkańców. W Paryżu wzrasta się walka stronnictw, Saint-Just i Robespierre uderzają zarówno we „wściekłych”, do których zalicza się Jacques Roux, jak i „umiarkowanych”, takich jak Danton.

Napoleon patrzy często ze szczytu fortecy na pełne morze. Kilka razy o świcie zdaje mu się, że dostrzega Korsykę. 19 stycznia Pasquale Paoli wezwał Anglików do wylądowania na wyspie i zaczęli oni rozmieszczać swe siły w zatoce Saint-Florent.

Paoli nie jest już punktem centralnym. Teraz cały system obraca się wokół Konwentu, Komitetu Ocalenia Publicznego i Robespierre'a, który jest w nim siłą napędową.

Napoleon często spotyka Augustyna Robespierre'a, brata Maksy-

miliana, reprezentanta rządu przy armii Włoch. Ale raczej słucha, niż sam mówi. Augustyn chciałby poznać jego ocenę wypadków politycznych. Napoleon z nieruchomą twarzą mamrocze przez zęby, że jest na rozkazy Konwentu.

Ocl Augustyna właśnie dowiaduje się Napoleon, że Lucjan - „pański brat, obywatelu generale” - jest zdeklarowanym jakobinem. Na propozycję Lucjana miasteczko Saint-Maximin przybrało nazwę Maratonu. On sam zmienił imię na Brutus! Augustyn Robespierre wyciąga w stronę Napoleona arkusik papieru. Oto, co napisał do Konwentu w pierwszych dniach stycznia 1794 roku, zaraz po wzięciu Tulu. Napoleon czyta, lecz jego twarz nawet przy tym nie drgnie.

„Obywatele Deputowani! Oto pławiąc się we krwi zdrajców, donoszę wam z radością z pola chwały, że wasze rozkazy zostały wykonane i że Francja została pomszczona. Nie było litości ani dla wieku, ani dla płci. Tych, którzy byli jedynie ranni, dosięgał miecz wolności i bagniet równości. Pozdrowienia z wyrazami podziwu, Brutus Bonaparte, obywatel sankiulota”.

Napoleon zwraca kartkę Augustynowi Robespierre'owi. Wie, że tamten oczekuje komentarza. Ale Napoleon nie ma zamiaru nic mówić o tym młodym durniu Lucjanie, który nie rozumie, że systemy się zmieniają i że dopóki samemu nie jest się centrum jednego z nich, należy mieć się roztropnie na baczności.

Czyż nie widział, jak Ludwik XVI, władca największego królestwa, wkłada czerwoną czapkę frygijską, pije ze swymi poddanymi i ucieka jak jakiś *coglionc*, dureń? Kto może wiedzieć, czy jutro taki sam los nie spotka Robespierre'a? Bez względu na to, jak bardzo jest szlachetny, energiczny i bezlitosny.

Augustyn Robespierre składa kartkę. Ma zamiar, oznajmia, w porozumieniu z innymi reprezentantami rządu, Ricordem i Salicetim, mianować na komendanta artylerii w armii Włoch generała, który się wykazał i którego sympatie jakobińskie i rewolucyjne są sprawdzone.

Napoleon pozostaje niewzruszony.

- Was, obywatelu Bonaparte.

Nominacja do armii Włoch nadeszła 7 lutego 1794 roku i wystar-

czyło kilka dni, aby Napoleon odczuł zawistne, graniczące z nienawiścią spojrzenia oficerów zazdroszczących mu awansu. Generał, który nie ma dwudziestu pięciu lat, na czele artylerii całej armii! Pojawiają się insynuacje, że nominacja jest polityczna, gdyż Bonaparte jest człowiekiem Robespierre'a.

W Nicei, wchodząc do pokojów w pobliżu portu zajmowanych przez generała Dumberbiona, Napoleon słyszy i odgaduje te insynuacje.

Generał Dumberbion ma twarz znużoną, rysy ściągnięte. Prosi Napoleona, by usiadł, wypytuje go.

-Ten obywatel Robespierre... - zaczyna.

Napoleon nie odpowiada, pozwala Dumberbionowi plątać się, tłumaczyć, że jest chory, że cierpi na przepuklinę, która nie pozwala mu dosiąść konia i że daje Napoleonowi *carte blanche*. Chodzi o przywrócenie artylerii do gotowości i stworzenie planów działań wojennych. Trzeba zmusić armię sardyńską, okupującą miasta na północnym wschodzie hrabstwa Nicei, do wycofania się w kierunku Saorge i przełęczy Tende. Trzeba także zmusić ich do wycofania się na linii wybrzeża poza Oneglię.

Organizować. Pracować. Działać. Napoleon rzeczowo wydaje rozkazy Junotowi i Marmontowi, później objeżdża miasto. Na jednym z placów, którego dawniejszą nazwę - plac Saint-Dominique - można jeszcze odczytać, wznosi się gilotyna. Teraz jest to plac *Égalité*. Napoleon przejeżdża go w eskorcie dragonów. Dociera do wschodniej części miasta, za portem, i wybiera na swoje mieszkanie piękną rezydencję przy ulicy Villefranche, gdzie były hrabia Laurenti przyjmuje go uprzejmie.

Na widok młodej *Émilie Laurenti* Napoleon staje jak wryty. Dziewczyna nie ma jeszcze siedemnastu lat. Ubrana jest w białą sukienkę i ma wysoko upięte włosy. Napoleon podchodzi, wita się z nią niezgrabnie. Nagle ma wrażenie, że jest brudny i zabłocony. I rzeczywiście tak jest, ponieważ owego dnia, 12 lutego 1794 roku, w Nicei pada deszcz.

Napoleon zgadza się, aby Laurenti pokazał mu jego pokój. Odwraca się jeszcze i widzi, że *Émilie* spogląda na niego. Od tygodni nie napotkał wzroku kobiety. Podczas oblężenia Tulonu bywał czasem na kolacjach u kontrolera Chauveta i siedział przy

stole z córkami gospodarza. Ale wokół grzmiały działa. Trzeba było sypiać na płaszczu rozpostartym na gołej ziemi za wałami baterii.

Tutaj, w tym nicejskim domu, Napoleon odnajduje słodycz, wdzięk i delikatność młodej dziewczyny.

Mundur zaczyna mu ciążyć. Sukno jest szorstkie, skóra butów sztywna.

W swoim pokoju Napoleon otwiera okno. Pod niskim niebem morze wydaje się czarne. Wciśnięty pomiędzy dwa przylądki port jest jedynie naturalną zatoczką. Widać tartany i barki powyciągane na płaski brzeg. Krajobraz przypomina Korsykę i obrazki z dzieciństwa, jest może tylko nieco mniej surowy, bardziej delikatny.

Nagle Napoleon odczuwa pragnienie, aby ulec i dać się ponieść przyptywowi uczuć, wrażeń, miłości. Powracają przeczytane kiedyś zdania Rousseau. Sądził, że już je zapomniał. Są jednak blisko, ciągle poruszające.

Istnieje także miłość i kobiety. One są w samym sercu życia, jak wojna i pieniądze.

Kobiet pragnie także.

W swoim gabinecie w sztabie Napoleon każe rozwinąć mapy. Kreśli szerokimi czarnymi liniami kierunki, w których powinny pójść bataliony, aby odepchnąć wojska sardyńskie i dotrzeć do Tende, Saorge i Oneglii. Spotyka Masséna, który również został mianowany generałem; osiem tysięcy jego ludzi, którzy wyróżnili się w oblężeniu Tulonu, defiluje ulicami Nicei.

Napoleon przygląda się defiladzie. Obserwuje entuzjazm rewolucjonistów nicejskich i strach ludności. Czy to nie stracił rządzi ludźmi?

Później, w towarzystwie Junota i Marmonta, zagłębia się w górskie doliny, wspina po stromych drogach. Oto Saorge, miasteczko, którego domy przylepione są do górskich ścian. Nie można już pocl-jechać bliżej, gdyż Sardyńczycy ostrzeliwiają ze szczytów dolinę Roya.

W ciągu następnych dni Napoleon dokonuje inspekcji na-brzeżnych fortyfikacji, blisko których przepływa czasem angielska flota operująca z otwartych dla niej teraz portów korsykańskich.

Któregoś razu w Antibes, wychodząc z Fort-Carré, podczas jednego z rzadkich pięknych dni pod koniec lutego 1794 roku, Na-

pooleon zauważa na wzgórzu mieszczański dom o dachu ze spłó-wiałych dachówek, z zamkniętymi okiennicami pomalowanymi na jaskrawozielony kolor. Wspina się na wzgórze, wchodzi do ogrodu, gdzie rosną drzewka pomarańczowe, wawrzyny, palmy i mimozy. Z ukwieconego tarasu można dostrzec przylądek Antibes, zatokę Juan i zatokę Des Anges. Widać także zbudowany przez Vaubana Fort-Carré z jego narożnymi wieżami. -To będzie tu - mówi Napoleon do Junota. Tydzień później czeka na swoją rodzinę w progu domu, który kazał zarekwirować. W prowincji Antibes nazywają ten dom Château-Salé . Napoleon nadal mieszka w rezydencji Laurentiego przy ulicy Villefranche w Nicei, ale chce, aby jego matka, bracia i siostry znaleźli się przy nim, poci jego ochroną i mogli korzystać z jego pomocy.

Potrzebuje swej rodziny. To ze wzroku matki, z podziwu i zazdrości braci i sióstr może wyczytać, jak daleko zaszedł i jak wielki odniósł sukces.

Oto nadjeżdżają, otoczeni kawalerzystami Junota, gdyż drogi pomiędzy Marsylią a Antibes nie są bezpieczne. Podczas trzydniowej podróży, opowiada Napoleonowi Junot, byli często ścigani przez „Kompanie Słońca”, bandy rojalistów, którzy prowadzą wojnę partyzancką w rejonie Var i schronili się w lasach Esterel i Maures.

Czym jest naród bez porządku, bez wewnętrznego pokoju?

Napoleon oprowadza matkę po nowym mieszkaniu, sam otwiera okiennice.

-To wasz dom - mówi.

Nie jest to wprawdzie dom rodzinny w Ajaccio, ale wydaje mu się, jakby zaczął odbudowywać jego mury.

Podchodzi do Ludwika, swego dawnego ucznia w Auxonne i Valence. Kazał zatrudnić go w swoim sztabie, choć młodszy brat ma dopiero siedemnaście lat.

Później Napoleon pyta o Lucjana. Letycja mówi, że ma on zamiar ożenić się z córką oberżysty, u którego mieszka. Józef zaś jest dobrze widziany w rodzinie Clarych, bogatych kupców marsylskich z ulicy Phocéens. Starsza z córek, Julie, ma sto pięćdziesiąt tysięcy liwrow posagu.

Napoleon słucha. Jest przecież punktem centralnym tego „systemu” swego klanu.

W Château-Salé Napoleon nabiera nowych przyzwyczajęń. Jada tam obiady z Marmontem, Junotem, Muironem, Sébastianim. Widuje się tam również Massénę. Napoleon uchodzi za „zagorzałego republikańczyka”, czasami gości u niego żona Ricorda, reprezentanta rządu, a nawet Charlotte, siostra Maksymiliana i Augustyna Robespier-re'ów.

Rankiem, po nocach spędzonych w Château-Salé, Napoleon wraca do Nicei, często w towarzystwie swoich adiutantów. Konie pędzą wzdłuż brzegu, ich kopyta rozbryzgują pianę wodną. Przejeżdżają w bród rzekę Var i przy wschodzącym słońcu docierają na nabrzeża portu w Nicei.

Do pracy: nad planami i mapami. Zebrania z generałem Dumerbionem. Napoleon zaskoczony jest tym, jak szybko ucieka czas. Mapy pobudzają jego wyobraźnię, która stopniowo się rozpala. Planuje ruchy wojsk, reakcje przeciwnika. Wszystko układa się w jego umyśle jak ogniwa dowodu matematycznego, elementy systemu.

Kiedy zwraca się do Augustyna Robespierre'a albo do generała Dumerbiona, czuje, że nic nie stawia oporu jego myśli.

Pewnego kwietniowego dnia Augustyn Robespierre zabiera go na przechadzkę po nabrzeżach portowych i mówi, że napisał do swego brata Maksymiliana, chwając „obywatela Bonaparte, komendanta artylerii, wyróżniającego się wieloma zaletami”.

Armia Włoch trzymała się jego planów. Saorge, Oneglia i przełęcz Tencie zostały zdobyte i Dumerbion w raporcie do Konwentu oddał sprawiedliwość „uczynom kombinacjom generała Bonaparte, które zapewniły zwycięstwo”.

- Czemu by więc - mówi Augustyn Robespierre - nie odgrywać większej roli, w Paryżu?

Napoleon przystaje, jakby nie rozumiejąc. Przygotował plan -mówi - który chciałby przedłożyć Maksymilianowi Robespierre. Chodzi o projekt natarcia całą armią Włoch, aby w ten sposób zmusić Austriaków do obrony Lombardii oraz Ticino i umożliwić armii Renu atak na osłabionego przeciwnika.

Augustyn Robespierre słucha, zgadza się, ale nie o to tutaj chodzi.

- Atakować wszędzie naraz byłoby zresztą błędem militarnym - kontynuuje Napoleon, jakby nie zrozumiał uwagi reprezentanta. -Nie należy rozpraszać natarcia, lecz je koncentrować. W systemach prowadzenia wojny jest tak samo jak przy oblężeniu fortecy: należy skupić ogień na jednym punkcie, a gdy uczyni się wyłom, równowaga się załamuje, cała reszta staje się bezużyteczna i forteca pacia.

- Zgoda - mówi Augustyn Robespierre.

Przekaze ten plan ataku przez Włochy. Czy Bonaparte zna Han-riota, szefa sztabu armii rewolucyjnej ochraniającej Konwent i Komitet Ocalenia Publicznego?

Napoleon przez chwilę milczy, później mówi:

- Uderzyć w Austrię, osłabić ją na skutek ran odniesionych we Włoszech, wprawić w ruch armię z Oneglii i z przełęczą Tencie, oto mój plan.

Wieczorem podczas przejazdu do Antibes, galopując samotnie daleko przed Junotem i Marmontem, Napoleon analizuje propozycję Augustyna Robespierre'a, aby wejść w samo serce systemu stworzonego przez Robespierre'a. Czy należy jednak przedwcześnie wystawiać się na ciosy?

Nie dalej niż wczoraj mógł ocenić, jak wielką wzbudza zazdrość. Wezwano go, aby stawił się przed sądem Konwentu za to, że doprowadził do gotowości bojowej działa w Marsylii, działając w ten sposób rzekomo na korzyść arystokratów! Reprezentanci rządu go wybronili. Jednak miecz oskarżenia pozostaje zawieszony nad jego głową. Trzeba umieć otworzyć ogień we właściwym momencie, w przeciwnym razie miecz spadnie.

Napoleon zeskakuje z konia w ogrodzie Château-Salé. Przyjechali się z nim spotkać bracia Lucjan i Józef. Prowadzi ich w głąb ogrodu. Jest ciepło, maj. Napoleon patrzy na morze. Przedstawia swoją sytuację. Tylko od niego zależy, czy już jutro wyjedzie do Paryża, mówi. Mógłby wówczas urządzić całą rodzinę.

Odwraca się do nich.

- Co na to powiecie? - pyta.

Wcale nie oczekuje, że bracia mu odpowiedzą.

- Nie chodzi o to, aby bawić się w entuzjastę. W Paryżu nie tak łatwo ocalić swą głowę jak w Saint-Maximin. Młody Robespierre jest uczciwy, ale z jego bratem nie ma żartów. Musiałbym mu służyć. Ja miałbym wspierać tego człowieka? Nie, nigdy! Wiem, jak bardzo bym mu się przydał, zastępując tego imbecyla komendanta Paryża, ale nie chcę tego. To nie jest właściwy moment. Dzisiaj jedynym honorowym miejscem dla mnie jest armia, bądźcie cierpliwi, będę jeszcze kiedyś dowodził Paryżem.

Rozstrzygnięcie nastąpiło, lecz głośno wypowiadając to, co myślał po drodze z Nicei, a nawet już podczas rozmowy z Augustynem Robespierre'em, przekonuje się, że możliwy był tylko jeden wybór - właśnie ten, którego dokonał.

Odwraca się, rzuca do swych braci:

- Po kiego diabła pakować się w taką aferę? - Ale długo jeszcze zostaje w ogrodzie, wpatruje się w morze.

Propozycja Augustyna zrodziła w nim pewność: któregoś dnia przyjdzie czas na dowodzenie w Paryżu.

Jest początek lata. Dochodzą niewesołe wiadomości.

21 czerwca w imieniu Rady Paoli zaproponował królowi Anglii, Jerzemu III, koronę Korsyki, którą władca ten przyjął. W Paryżu spadają głowy, Terror przeradza się w szaleństwo i to w chwili, kiedy dzięki zwycięstwu pod Fleurus 26 czerwca 1794 roku te okrutne represje nie mają już nawet uzasadnienia.

Często w czerwcowych i lipcowych dniach tego roku Napoleon przebywa w ogrodzie domu Laurentich przy ulicy Villefranche. Mówi niewiele. Patrzy na Émilie. Uspokają się. Ale nie może długo wytrwać bez działania. Atmosfera w sztabie staje się ciężka. Kasa armii jest pusta. Brakuje odzieży. Na czterdzieści tysięcy ludzi szesnaście tysięcy jest chorych!

11 lipca Napoleon udaje się na wezwanie reprezentanta rządu, a w głowie dźwięczą mu jeszcze słowa, które niedawno napisał do jednego ze swych oficerów skarżącego się na stan armii. „To się źle skończy dla tych, którzy sięją zamęt wśród ludu”.

Jemu także udziela się ta atmosfera przemocy i niepokoju. Czego chce Ricord?

Reprezentant rządu odczytuje dwie tajne instrukcje, które ułożył wraz z Augustynem Robespierre'em. Generał Bonaparte ma się udać do Genui, zorientować się w stanie tamtejszych fortyfikacji, odebrać proch, który jest już zapłacony, i ocenić obywatelską postawę przedstawicieli francuskich, a także omówić z rządem Genui sposoby zwalczania „band rozbójników”, którym Genueńczycy zezwalają na swobodny przemarsz.

Misja jest tajna, podkreśla Ricord, dyplomatyczna i wojskowa zarazem.

Jak się od niej wykręcić? Ricord i Robespierre są wciąż u władzy. Augustyn Robespierre wybiera się do Paryża, gdzie w Komitecie Ocalenia Publicznego ma przedstawić opracowany przez Napoleona plan ataku.

- Wyjeżdżam - decyduje się Napoleon.

Jedzie sam, w cywilu, po drogach uczeplonych wysokich brzegów morskich.

Kraj nie jest pewny, ale tu i ówdzie znajdują się posterunki francuskie albo miasta przejęte przez włoskich rewolucjonistów. W Oneglii Napoleon je obiad z Buonarrotim, którego poznał na Korsyce i który przez Ricorda i Robespierre'a został mianowany komisarzem Konwentu.

Buonarroti wydawał na Korsyce „Il Giornale Patriottico di Corsica”, w którym Napoleon ogłosił artykuł.

Na tarasie wychodzącym na port Buonarrotiego mówi o równości, która powinna zapanować i do której wprowadzenia przyczyni się może Robespierre.

Napoleon nie odpowiada. Równość? Jak Buonarroti - mężczyzna przeszło trzydziestoletni - może wierzyć w takie szaleństwo?

- Równość praw - zaczyna Napoleon - równość, jaka ustano-
wić może prawo...

Lecz Buonarroti przerywa mu zapalczywie:

- Równość majątkowa - mówi - równe bogactwo, aby ustano-
wić prawdziwą równość praw.

Najpierw należałoby uciąć głowę co drugiemu człowiekowi, mruczy Napoleon, a i to by nie wystarczyło. Kto chce być biedniejszy, niż jest?

W drodze powrotnej z Genewy Napoleon nie zatrzymuje się w Oneglii i kiedy 27 lipca 1794 roku przybywa do Nicei, najpierw przedstawia Ricordowi sprawozdanie ze swojej misji, a później jedzie z Junotem do Chateau-Saïe.

Dom jest pusty. Letycja wyjechała z dziećmi z Antibes na ślub najstarszego syna z Marie-Julie Gary, córką marsylskiego hurtownika mydła i jedwabiu. Józef wybrał sto pięćdziesiąt tysięcy liwów renty!

Napoleon czuje się okropnie samotny. Powraca do Nicei, do Laurentich.

4 sierpnia rano zjawia się podenerwowany i błądy Junot.

- Robespierre został ścięty - obwieszcza. - Maksymilian został aresztowany dwudziestego siódmego lipca, a nazajutrz wykonano egzekucję na nim i na jego bracie Augustynie.

Napoleon spuszcza głowę.

Zbliża się Laurenti, każe sobie powtórzyć nowinę. Nareszcie! Więźniowie zostaną uwolnieni, maszyna doktora Guillotina zdemontowana!

Napoleon wychodzi z domu, nie mówiąc ani słowa. Widział . zbyt wiele nienawiści w ludzkich oczach. Zbyt silnie odczuwał, że trzęsą się z zazdrości o jego pozycję, aby nie wiedzieć, że teraz pojawiają się na niego donosy.

- Zemścić się - mówi.

Przychodzą mu na myśl sceny na ulicach Tułonu. Po chwili dodaje głośno, tak żeby słyszeli otaczający go oficerowie:

- Byłem nieco zmartwiony upadkiem Robespierre'a, którego lubiłem i który był czysty, jak sądzę, ale choćby nawet był on moim bratem, to sam bym go zasztyletował, gdyby tylko dążył do tyranii.

Czeka.

Spotyka się z Salicetim, który odwraca wzrok. Usiłuje spotkać się z Ricordem, ale mówią mu, że uciekł do Szwajcarii.

9 sierpnia w domu Laurentich zjawiają się żandarmi, aby mu oznajmić, że jest aresztowany z rozkazu reprezentantów rządu Salicetiego oraz Albitte'a, który zastąpił Ricorda. Napoleon nie okazuje żadnego poruszenia. Wtrąca się Laurenti i proponuje kaucję

w zamian za to, aby pozwolono Napoleonowi pozostać w areszcie w jego domu.

Informują Napoleona, że podejrzewa się go o sprzyjanie Robespierre'owi. Dlaczego wybrał się do Genui? Komisarze armii Alp twierdzą nawet, że aby go skorumpować, emigranci oddali we Włoszech do jego dyspozycji milion liwrow. Saliceti dorzuca:

- Są mocne podstawy do podejrzewania Bonapartego o zdradę i marnotrawstwo pieniędzy.

Ostatecznie zawieziono go pod silną eskortą do Fort-Carré w Antibes. Z okien pokoju, w którym został osadzony, widać Château-Salé. Z początku zamyka się w sobie. Myśli o Salicetim, który go zadenuncjował, zdradził, aby ocalić siebie. Tchórzliwość ludzka. Myśli o losie, który zawiódł go tak wysoko w ciągu zaledwie paru miesięcy, i teraz, w przededniu dwudziestych piątych urodzin, strąca go w dół, przeznaczając na gilotynę.

Pogodzić się z takim losem czy podnieść się, jakby tylko przewrócił się podczas ataku? Żąda pióra i papieru. Napisze do reprezentantów rządu. Wydobędzie się z tego.

„Zawiesiliście mnie w moich funkcjach - pisze - aresztowaliście i uznaliście za podejrzanego. Oto jestem zniesławiony, nie będąc osądzonym, i osądzony, nie będąc wysłuchanym. Czyż od początku rewolucji nie byłem zawsze oddany jej zasadom? Poświęciłem pobyt w swoim departamencie, porzuciłem nasz majątek, straciłem wszystko w imię republiki. Służyłem potem pod Tulonem, gdzie wyróżniłem się i zasłużyłem na częśćkę laurów, jakie otrzymała wówczas armia Włoch. Nie można więc odmawiać mi miana patrioty”.

Saliceti, ty mnie znasz! Czy widziałeś coś podejrzanego w moim zachowaniu podczas ostatnich pięciu lat, cokolwiek, co byłoby podejrzanego z punktu widzenia rewolucji!”

„Wysłuchajcie mnie, wyratujcie z opresji, w której się znalazłem, i przywróćcie mi szacunek patriotów!

A już w godzinę później, jeśli niegodziwcy zechcą nastawać na me życie, oddam je chętnie - cenię je tak nisko, tak często je narażałem! Tylko myśl, iż moje życie może jeszcze być użyteczne dla ojczyzny, sprawia, że znoszę to brzemię z odwagą”.

Oddaje list strażnikowi. Nie kładzie się spać. Słyszy uderzenia fal o skały otaczające fort.

Będzie jak skała.

W nocy żołnierz podrzuca mu projekt ucieczki, który opracowali Junot, Sébastiani i Marmont. Napoleon pisze znowu:

„Cenię Twą przyjaźń, mój drogi Junot [...], Ludzie mogą być dla mnie niesprawiedliwi, ale mnie samemu wystarcza to, że jestem niewinny, moje sumienie jest trybunałem, przed który przywołuję moje postęпки. Sumienie to jest spokojne, kiedy je badam. Nie rób więc nic, skompromitowałbyś mnie tylko. Żegnaj, drogi Junot, pozdrowienia i wyrazy przyjaźni, Bonaparte z aresztu w Fort-Carré (Antibes)“.

Nie śpi.

Jedni ludzie zdradzają. Inni pozostają wierni. Popada się w rozpacz albo odczuwa się nadzieję, gdy człowiek dowiaduje się o zachowaniu jednych bądź drugich. Ale liczyć trzeba jedynie na siebie. Nie ufać nikomu oprócz siebie.

Wie, że w Nicei jego adiutanci naciskają reprezentantów rządu i generała Dumberbiona.

Na froncie, w górskich dolinach, Sardyńczycy atakują, korzystając z kłopotów, w jakie popadła republika w następstwie upadku Robespierre'a.

Napoleon jest potrzebny. Saliceti się wycofuje. „Nic konkretnego“ nie znaleziono przeciwko Napoleonowi, pisze 20 sierpnia do Komitetu Ocalenia Publicznego. Tego samego dnia strażnik otwiera drzwi pomieszczenia i uśmiechając się, prezentuje broń.

-Obywatelu generale... - zaczyna.

Napoleon wolnym krokiem przechodzi koło niego.

Jest wolny. Nie można zależeć od systemu. Trzeba zbudować własny system. Pięć dni temu skończył dwadzieścia pięć lat.

Rozdział 17

Napoleon wchodzi do biura generała Dumberbiona, który siedzi z wyciągniętymi nogami, ocieężały i znużony. Wydaje się, że nawet podniesienie ręki sprawia mu trudność. Oficerowie stoją wokół stołu, na którym rozłożone są mapy.

Napoleon przypatruje im się kolejno. Spuszczają oczy. Ani jeden z tych ludzi, z którymi od miesiący przebywał na co dzień, nie zdobył się na żaden przyjazny gest ani nie odważył się pogratulować mu uwolnienia.

Wszyscy milczą. I jest tak, odkąd Napoleon opuścił Fort-Carré i podjął swoje funkcje w sztabie armii Włoch. Generał Dumberbion pokasłuje, wzdycha. W końcu wskazuje palcem mapę, prosi Napoleona, aby się zbliżył. Oficerowie się odsuwają.

Napoleon ma ochotę dotknąć icli i rzucić szyderczo: „Jestem zadżumiony, lękajcie się o waszą wolność i wasze życie”. Ale po co? Od czasu swego uwięzienia odkrył, że podłość i strach są nazbyt rozpowszechnione.

Dumberbion poprosił go o stworzenie nowego planu ataku w regionie Dego i Cairo w Piemencie, po drugiej stronie przełęczy Tende i Cadibona. Ale Napoleon czuje, że otacza go podejrzliwość. Jest śledzony. Przyglądają mu się i przede wszystkim unikają go. Nikt nie ufa nowym deputowanym. Wszyscy obawiają się czystki zarządzanej przez Konwent i Komitet Ocalenia Publicznego. Chodzi o ściganie oficerów podejrzanych o jakobinizm i o to, aby zniszczyć „zaplecze Robespierre'a” w armii. Jednych oficerów karnie poprzenoszono, innych uwięziono. W ciągu kilku dni po upad-

ku tego, którego teraz nazywa się „tyranem”, zgilotynowano ponad setkę osób. W więzieniach tłoczą się wczorajsi władarze. W kilku wypadkach tłum rozwalił bramy i zmasakrował więźniów. „Kompanie Jezusa” i „Kompanie Słońca” ścigają jakobinów, tysiące ludzi padają ich ofiarą. Organizacjom tym przewodzą rojalistyczni emigranci bądź nowi reprezentanci.

Napoleon wie, że Lucjan został aresztowany jako jakobin i wtrącony do więzienia w Aix. Napisał w jego sprawie do jednego z administratorów miasta: „Proszę dopomóc temu młodemu głupcowi, memu bratu, i okazać mu przyjacielską troskę”.

Ale czego można się spodziewać po człowieku, kiedy strach go obleci? Czego można się spodziewać po kraju, kiedy ośrodek władzy przechodzi z rąk do rąk, a po terrorze jakobińskim następuje biały terror?

Kiedy generał Dumberbion mówi, Napoleon nie patrzy na mapę.

Zna każdą nierówność terenu. Zredagował tyle memoriałów na temat kampanii, którą należałoby przeprowadzić we Włoszech! Za każdym razem proponował te same linie natarcia, by rozdzielić Austriaków i Piemontczyków. Tłumaczył, że trzeba rozmieścić wojska tyralierą. Wszystko, co przeczytał w garnizonach w Auxonne i Valence, książki Guiberta i Gribeauvala, traktaty Du Teila, teraz pojawiło się w naturalny sposób w jego wywodach. Dlaczego miałyby słuchać Dumberbiona, tego bezsilnego generała pozbawionego wyobraźni?

Gdyby Dumberbion i ci tchórzliwi oficerowie znali jego pewność siebie i gdyby domyślali się, jakie myśli chodzą mu po głowie!

W państwie, myśli Napoleon, potrzebne jest centrum, w którym zbiegają się wszystkie linie i które jest jego stałą osią. I każdy obywatel musi być pewny miejsca, jakie zajmuje w całym systemie. Ani czerwony, ani biały terror. Metodyczny porządek i matematyczna organizacja.

Odpowiada Dumberbionowi, nie wysłuchawszy go wcześniej. Gotów jest poprowadzić bataliony w region Cairo i Dejo. Jutro wyruszy w drogę, aby do nich dołączyć.

Wie, że generał Scherer napisał o nim: „Ten oficer zna dobrze swoje wojsko, lecz ma zbyt wybujałe ambicje”.

Czym jest człowiek bez ambicji? Jałową glebą.

Napoleon jest w terenie. Deszcz pada w wysoko położonych dolinach i na wzgórzach Piemontu, które długimi zwartymi grzbietami opadają w równinę lombardzką.

Tam, na żyznej aluwialnej glebie, nad brzegami Padu, drzemią bogate miasta: Mediolan, Weronia, Mantua. Kiedy więc następuje odwrót wojsk sardyńskich i kiedy żołnierze republikańscy - obdarcy, źle odżywieni, chorzy na dyzenterię, a czasem i na tyfus - odnoszą zwycięstwa pod Degeo i Cairo, Napoleon obserwuje przez lunetę tę bogatą Italię, Lombardię: wystarczyłoby tylko trochę odwagi, by wejść tam i ją zdobyć.

Jednak nie on jest głównym dowódcą. Co można poradzić, jeśli trzeba słuchać ludzi nie dorastających do sytuacji?

Chudy, z ciałem pochylonym do przodu, krąży po domu w Cairo, gdzie zainstalował się sztab. Wszystko jest zbyt proste. Dzieje się zbyt wolno. Napoleon niecierpliwi się. Nie mógłby tak żyć.

Pcha drzwi gabinetu zajmowanego przez członka Konwentu Turreau, który przysłany został z misją do armii Włoch. Staje jak wryty. Turreau jest nieobecny, za to siedzi tam jakaś kobieta.

- Jestem obywatelką Turreau - przedstawia się.

Długa plisowana suknia, ściśnięta w talii, uwydatnia krągłość jej bioder i piersi. Kobieta nie podnosi oczu.

Pociąga go to ciało, te jasne włosy, ta omdlewająca postawa. Jest jak równina do zdobycia, do wzięcia w krótkim brutalnym ataku.

Napoleon pochyla się. Wypowiada kilka słów, ona odpowiada:

- Obywatel Turreau jest na inspekcji, wróci jutro.

Bonaparte pociąga ją za sobą.

Rankiem, gdy cwałują z Junotem w stronę Nicei, mruczy do siebie: „Blond włosy, rozum, patriotyzm, filozofia”.

Dojeżdżają do kwater sztabu w Nicei.

Czy jedna kobieta, jedna noc zaspokoić mogą tę potrzebę działania, osłabić pragnienie zostania tym, kim wie, że może zostać?

Félicité Turreau spędza kilka dni w Nicei i znowu mu się oddaje.

O ile jednak noce są krótkie, to dni ciągną się w nieskończoność.

W sztabie mówi się o ekspedycji na Korsykę, aby przegnać stamtąd Anglików. Gromadzi się wojska i okręty w Tulonie. Powinien wziąć w tym udział.

Lecz Napoleon odnosi wrażenie, że za każdym razem, gdy o to pyta, natrafia na wykręty. Pewnego ranka dowiaduje się, że Buonarroti został zdjęty ze stanowiska komisarza Konwentu w Oneglii. Nocą w otoczeniu eskorty przewieziono podejrzanego o robespierryzm Włocha przez Niceę w drodze do paryskiego więzienia.

Napoleon rozumie, iż aresztowanie Buonarrotiego jeszcze bardziej wzmacni podejrzenia w stosunku do niego samego. Gniewa się i oburza: nie weźmie udziału w ekspedycji na Korsykę. Gorzej, 29 marca zostaje odwołany z armii Włoch.

Rzyczy na Junota, Marmonta i Muirona, którzy usiłują go uspokajać. Nic nie może uśmierzyć jego wściekłości. Otrzymuje list od matki. „Korsyka - pisze Letycja - jest tylko jałową skałą, małym zakątkiem ziemi, nieznacznym i ubogim. Za to Francja jest wielka, bogata, gęsto zaludniona. Francja jest cała w ogniu. Oto, mój synu, szlachetna pożoga, warta tego, aby zaryzykować oparzenie”.

Ale jak rzucić się w ten żar?

Nagle w marcu 1795 roku czuje się tak, jakby z braku odpowiedniego celu cięciwa łuku przestała być napięta i strzała upadła na ziemię.

Udaje się do Marsylii.

Kiedy przejeżdża przez Draguignan, Brignoles i małe miasteczka departamentu Var, widzi śledzące go zewsząd wrogie spojrzenia. „Kompanie Jezusa” opanowały wieś, sieją terror wzdłuż całej doliny Rodanu. Ścigają jakobinów. Masakrują ich w więzieniach Lyonu. Royalistyczna złota młodzież, firecykowie, zabijają ich w Paryżu. Klub jakobinów zostaje zamknięty.

Co można zrobić bez poparcia, kiedy się jest dwudziestopięcioletnim generałem podejrzanym o jakobinizm, odsuniętym i pozbawionym dowództwa, zależnym od dobrej woli nie znanych ludzi, wrogich bądź obojętnych, wszechwładnych w swoich biurach Ministerstwa Wojny; nie widzieli cię na czele żołnierzy podczas ataku, nie znają, a być może nawet obawiają się tego wszystkiego, co jest w tobie siłą, energią i pragnieniem zwycięstwa?

Może zaczynają się dobre czasy dla miernot?
Gdzie jest moje miejsce w tym kraju?

Wchodzi do bogatego salonu rodziny Clary przy ulicy des Phocéens w Marsylii. Podchodzi Józef, uśmiechnięty, zaokrąglony, podtrzymując pulchne ramię swojej żony Julie Clary, mającej sto pięćdziesiąt tysięcy liwrów posagu.

Józef usuwa się na bok, lekko popycha w stronę Napoleona swoją szwagierkę Désirée Clary, dziewczynę o czarnych włosach, okrągłej buzi i wysmukłej sylwetce. Przy swoich szesnastu latach miewa ona przypływy nieśmiałości.

Jest filuterna, pełna podziwu i łagodna. Ofiarowuje się bez kokieterii, jak forteca, która poddaje się w porwywie uniesienia zwycięskiemu wodzowi.

Napoleon siada przy niej. Dziewczyna mówi niewiele. Czeką. Napoleon marzy, aby stać się jak Józef spokojnym kapłanem, szczęśliwym w małżeństwie, jadającym tłusto i regularnie, nie mającym wrogów i pragnień, troszczącym się jedynie o codzienne szczęście u boku swoich bliskich.

Marzenie staje się uporczywe, nasila się z biegiem dni marca i kwietnia 1795 roku. Gdyby tak ożenił się z Désirée Clary, przestałby wreszcie być kotem o zapadniętych bokach, co wałęsa się najczęściej sam. Chwyta Désirée za rękę. Ścisną lekko jej dłoń, a ona jej nie cofa.

Każdej nocy oblegać tę fortecę, zdobyć ją ostatecznie. Czemu nie?

Ona mówi, że ma tylko szesnaście lat. A on za cztery miesiące skończy dwadzieścia sześć. W nadanie realności temu marzeniu wkłada tyle siły co w przygotowanie baterii.

21 kwietnia Napoleon i Désirée zaręczają się pod życzliwym okiem Józefa, starszego brata, i jego żony Julie z domu Clary, starszej siostry.

Wszystko idzie dobrze.

7 maja Junot przynosi Napoleonowi kartkę pisaną znanym mu, charakterystycznym kolorem atramentu. Napoleon wrywa ją z rąk Junota. Czyta i głośno przeklina. Mianowano go dowódcą brygady piechoty w Wandei.

Piechoty! On, generał „uczzonej” broni, on, „Kapitan Armata” z oblężenia Tuluzy, on, dowódca artylerii armii Włoch! To degradacja, a nie awans.

Do Wandei!

On, który bił się z Anglikami i Sardyńczykami, walczyć ma przeciwko szuanom!

Potrąca Junota, odpycha Józefa, spostrzega Désirée Gary. Wpatruje się w nią. Jego marzenie siedzi sobie tutaj, w tym salonie, z rękami złożonymi skromnie na kolanach.

-Jutro wyjeżdżam do Paryża - komunikuje.

Czy oni sądzą, że pozwoli się zadusić, odsunąć, wygnąć, poniżyć? Czy jest szczęście, jeśli nie działaniem i walką?

CZEŚĆ PIĄTA

MAM SZABLĘ U BOKU,
A Z JEJ POMOCĄ
ZAJDĘ DALEKO

MAJ 1795 - 11 MARCA 1796

Rozdział 18

Jesteś niczym.

Nikt wprawdzie nie rzuca tych słów Napoleonowi prosto w twarz, kiedy w połowie maja 1795 roku przybywa on do Paryża w towarzystwie adiutantów Junota i Marmonta oraz brata Ludwika. A jednak na każdym kroku, w spojrzeniach, w sposobie zwracania się, w słowach odgaduje ten osąd pogardliwy bądź obojętny jak urzędowe oświadczenie.

Kiedy Napoleon narzeka, że w mieszkaniu, które wynajął w hotelu Liberté, przy ulicy Fossés-Montmartre, meble są liche, a pościel podejrzanej czystości, hotelarz zadawała się powtarzaniem: „Siedemdziesiąt dwa liwry miesięcznie, siedemdziesiąt dwa liwry”. Rzeźczywiście, czego więcej można żądać za taką cenę?

Pieniądze przepływają wszędzie wokół. Kręcąc swymi grubymi spiralnymi laskami, najmodniejsi fircykowie w pudrowanych perukach, „eleganci”, w towarzystwie „wykwintniś”, paradują po bulwarach i grzmocą jakobinów i sankiulotów.

Napoleon obrusza się: „I to tacy cieszą się powodzeniem!”

On jest niczym.

Żąda zwrotu kosztów podróży, dwóch tysięcy sześciuset czterdziestu liwrów. Zgłasza się w Ministerstwie Wojny, aby odebrać swą pensję i przysługujące mu sześć racji żywnościowych dziennie. Ale wystarczy jeden dzień, aby pieniądze straciły dziesięć procent wartości! Czym są pliki asygnat, które mu przyznają? Papierem, który niszczy w oczach!

W biurach ministerstwa nie zwracają na niego prawie wcale

uwagi. Czeką, aż minister Aubry zechce go przyjąć. Aubry! Stary kapitan artylerii, który sam siebie mianował generałem, inspektorem artylerii i który decyduje o przebiegu kariery innych! Oficer, który swoje stanowisko zawdzięcza intrygom i przygląda się Napoleonowi z nieznośną wyższością.

Napoleon przedstawia swoją sprawę: jest artylerzystą, generałem brygady, nie może przyjąć dowództwa jednostki piechoty.

-Jest pan zbyt młody - powtarza Aubry. - Trzeba ustąpić starszym.

- Na polach bitew, skąd przybywam, człowiek starzeje się szybko - mówi Napoleon.

O jedno zdanie za dużo, kiedy jest się nikim, kiedy nie dysponuje się żadnym poparciem, kiedy nosi się jedynie wytarty mundur, na którym ledwie widać jedwabny galon generała.

Ulice, urzędy i salony pełne są tłumu elegantów i elegantek, którzy nie dostrzegają oficera o niedbale uczesanych i źle upudrowanych włosach, spadających na ramiona jak wielkie psie uszy. Jego ręce są długie i chucie, skóra żółta. Jest przygarbiony, brzydki okrągły kapelusznaciśnięty ma aż na oczy. Kroczy niezgrabnie i niepewnie. Jedyne, co posiada, to spojrzenie, które czasami zaskakuje, szare i przenikliwe. I wtedy zauważa się rysy twarzy, subtelne usta, energiczny podbródek, śmiały wyraz, żywotność, która bije z tego młodzieńczego oblicza, a jednak już pobruźdzonego i wymizerowanego.

Napoleon jednak dobrze wyczuwa, że w spojrzeniach, które się na nim zatrzymują, nie ma pobłażliwości. W mgnieniu oka taksują jego ubiór, wykrzywione i zakurzone buty, chorobliwą cerę, po czym się odwracają.

Wiosną 1795 roku biedni są podejrzani. Demonstrowali już 1 kwietnia i 20 maja, zaledwie kilka godzin po przyjeździe Napoleona, zaczynają znowu. Opanowali Konwent, obcięli głowę deputowanemu Feraudowi i obnosili ją jak za czasów rewolucji na ostrzu piki! Armia pod dowództwem generała Menou przywróciła porządek. Ale okrzyki wznoszone na przedmieściach: „Chleba!”, „Konstytucja roku 1793!” przejmują dreszczem. Trzeba jeszcze mocniej przydeptać szyję motłochowi.

- Kraj rządzony przez posiadaczy wykazuje porządek społeczny, natomiast taki, w którym rządzą ludzie nie posiadający niczego, znajduje się w stanie natury, to znaczy barbarzyństwa - głosi członek Konwentu Boissy d'Anglas.

Napoleon dobrze wie, że nadal ciąży na nim podejrzenie o robespierreizm i że w tym momencie nie ma plamy bardziej hańbiącej.

Wąleśa się po Paryżu, chcąc zrozumieć, gdzie są siły, które określają porządek rzeczy. Jest pewien, że wszystko rozstrzyga się tutaj, w stolicy. Na nic odwaga na polu bitwy, jeśli najpierw nie zdobędzie się oparcia wśród tych, którzy mają w rękę władzę. Jego zgoda na udanie się do armii Zachodu byłaby nie tylko niesprawiedliwym poniżeniem, ale także utratą wszelkich możliwości awansu, dobicia się w końcu uznania dla tego, kim się jest i ile jest się wartym.

Jest w nim tak silne napięcie zwrócone ku przyszłości, że aż prowadzi to do wyczerpania. Stale jest sprężony, czujny jak na polowaniu, nie wiedząc dokładnie, na co czatuje, z której strony nadejdzie zwierzyzna, na kogo trzeba będzie się rzucić.

Czasami czuje się zmęczony tym niespokojnym tropieniem. „Jestem chory - pisze do starszego brata Józefa - co zmusza mnie do wzięcia dwóch albo trzech miesięcy urlopu. Gdy moje zdrowie się poprawi, będzie, co będzie”.

Naprawdę cierpi, jest rozgorączkowany, wynędzniały, miewa napady rozpacz.

Chwyta za pióro, pisze do Józefa list za listem. Często znajduje się na krawędzi płaczu. „Kreśląc te słowa - pisze - doświadczam uczucia, którego niewiele przykładów było w moim życiu; czuję, że nieprędko się zobaczymy, ale już nie mogę pisać dalej”.

Jest samotny pomimo obecności Junota u swego boku. Marmont dołączył do armii Renu, Ludwik został przyjęty do szkoły artylerii w Châlons-sur-Mame. Potrzebuje rodziny. „Wiesz o tym, mój przyjacielu - pisze znów do Józefa - że żyję tylko przyjemnością, jaką sprawiam moim bliskim”.

Ogarnia go tęsknota za innym życiem. „Życie jest ulotnym snem, który znika bez śladu”, stwierdza. Czemu nie wybrać jakiegoś „spo-

kojnego domu", życia na wsi? Pisze do Bourrienne'a: „Wyszukaj mi niewielką posiadłość w twojej pięknej dolinie rzeki Yonne. Kupię ją, kiedy tylko będę miał pieniądze. Chcę się tam wycofać, lecz nie zapominaj, że nie chcę dóbr narodowych”.

Roztropny jak burżuj, który się obawia, żeby pewnego dnia nie wrócili emigranci i nie zażądali z powrotem swojej własności!

Kiedy tak marzy o zagrzebaniu się w zacisznej wygodzie rodzinnego życia, rzuca znienacka do Junota: „Ależ ten drań Józef ma szczęście!”. Jego myśli obracają się wokół okresu spędzonego z rodziną Gary. Marzy o Désirée, szwagierce Józefa. Pelen zapału pisze w ciągu kilku nocy krótką powieść, której daje tytuł *Clisson et Eugénie*. Odślania się, wprowadzając do akcji młodego człowieka, który ma dwadzieścia sześć lat, ale już okrył się laurami zdobytymi w bitwach, i który zakochany jest w siedemnastoletniej Eugénie. Clisson jest człowiekiem wyciosanym z jednej bryły, mającym zalety, jakie przypisuje sobie Napoleon: „Clisson nie potrafił przywyknąć do pustych konwenansów. Jego żarliwa wyobraźnia, ogniste serce, surowy rozum i chłodny dowcip nużyły się przymilaniem kokietek i moralnością docinków. Nie pojmował nic z intryg i nie rozumiał się na grach słów”.

Poświęcając się miłości do Eugénie, Clisson opuszcza armię, ale wraca na pole bitwy, gdy wezwie go pilny rozkaz rządu. Odnosi zwycięstwo za zwycięstwem, odkrywa jednak, że Eugénie już go nie kocha. Wówczas wyrzeka się życia, kierując do niej ostatni list: „Cóż by mi pozostało na przyszłe lata, tylko bywanie w towarzystwie i nuda!

W wieku dwudziestu sześciu lat do dna wyczerpałem efemeryczne rozkosze sławy, lecz w twojej miłości zakosztowałem słodkich uczuć życia mężczyzny. Uściskaj mych synów, niech nie mają duszy żarliwej jak ich ojciec, staliby się bowiem tak jak on ofiarami ludzi, sławy i miłości.

Clisson złożył list, wydał adiutantowi rozkaz natychmiastowego dostarczenia go Eugénie i wnet stanął na czele szwadronu, z opuszczoną głową rzucił się w zamęt bitwy i zginął przeszyty tysiącem ciosów”.

Napoleon sam ma dwadzieścia sześć lat i żarliwą duszę swego bohatera Clissona. Siedzi w swoim pokoju w hotelu Liberté. Nie

spał przez całą noc. Upały początku sierpnia 1795 roku są nie do zniesienia. W sąsiednim pokoju nocuje Junot.

Jest jeszcze tak wcześnie! Co robić? Napoleon czyta ponownie dopiero co ukończoną powieść, poprawia ją, trzy razy przepisuje początkowe stronicę. Później zaczyna list do Józefa. „Sądzę, że naumyślnie postanowiłeś nie mówić mi o Désirée [...]. Jeśli tu pozostanę, to nie jest wcale wykluczone, że zapragnę się ożenić; chciałbym, abys ze swej strony rzucił tam słówko na ten temat”.

Napoleon chce, aby Józef poruszył tę kwestię z bratem Desirée. Kreśli słowa swoim kanciastym i pospiesznym charakterem pisma. „Pisz mi nadal o wszystkim dokładnie, przypilnuj, żeby moja sprawa została załatwiona tak, by moja nieobecność nie przeszkodziła w spełnieniu mych pragnień”.

Jeszcze parę linijek, potem, na zakończenie listu, to brutalne stwierdzenie: „Sprawa Désirée musi się zakończyć albo trzeba ją zerwać. Z niecierpliwością oczekuję Twojej odpowiedzi”.

Pisanie powieści, przeglądanie się jakby w lustrze, prólly nakłonienia na odległość dziewczyny, aby go poślubiła - są to wszystko działania zastępcze, sposoby walki z pustką niepewności, z lękiem zrodzonym przez przymusowe unieruchomienie.

Lecz te pragnienia, te stronicę, te usiłowania stanowią tylko chwile wśród wielu innych chwil, kiedy Napoleon próbuje stukać do wszystkich drzwi.

Zadręcza urzędników. Wspina się na szóste piętro pawilonu Flory w pałacu Tuileries. Urzęduje tam członek Komitetu Ocalenia Publicznego Doucet de Pontécoulant, przewodniczący komitetu wojskowego. Napoleon uzyskał rekomendację od członka Konwentu Boissy'ego d'Anglas. Lepiej układać plany kampanii na poddaszu biur Ministerstwa Wojny, niż być zapomnianym generałem na czele brygady piechoty ścigającej szuanów. Generał Hoche świetnie się wywiązuje z tego ostatniego zadania, a reprezentant rządu Tallien rozkazał niedawno rozstrzelanie siedmiuset czterdziestu ośmiu emigrantów, którzy wylądowali na półwyspie Quiberon i dostali się do niewoli.

Cóż można zdobyć w takiej wojnie?

Lepiej już tłoczyć się pośród petentów. Ze zdziwieniem i po-

gardą patrząc na jego ubiór. Uznają go za dziwaka. Wyczuwa, że lękają się jego pasji. Odsyłają go zdaniem: „Niech pan napisze wszystko, co pan powiedział, zrobi z tego memoriał i go prześle”.

Napoleon odwraca się. Nie będzie redagował notatek, myśli z początku. Później, po naleganiach Boissy'ego d'Anglas, opisze plan kampanii dla armii Włoch i w kilka tygodni później pan de Pontécoulant zatrudni go w służbie topograficznej.

Pracuje z zaskakującą szybkością, z oryginalnością i talentem, które są uderzające. Zdobywa uznanie Pontécoulanta; i kiedy zapanują między nimi stosunki oparte na szacunku, a jego zdolności zostaną dostrzeżone, zażąda przywrócenia go na stanowisko generała artylerii, może w misji do Konstantynopola dla zreorganizowania armii tureckiej? Pontécoulant popiera jego prośby. Projekt wyjazdu na Bliski Wschód byłby może jakimś rozwiązaniem, trzeba jednak czekać na decyzję Letourneura, który kieruje sprawami personalnymi, a przecież jest zaledwie kapitanem artylerii, w wieku czterdziestu lat!

Szuka więc innych celów, ponieważ miota nim niecierpliwość, a bezczynność wyniszcza.

Przede wszystkim pieniądze. Co można bez nich zdziałać? Otrzymuje żołd, prawda. Ale ci, którzy mają w Paryżu wysoką pozycję, obracają milionami asygnat. Noszą ekstrawaganckie stroje z jedwabiu i brokatu, turbany, a kiedy Napoleon wchodzi do ich salonów, jest tylko czarną sylwetką wbitą w źle uszyty mundur.

Przede wszystkim więc pieniądze.

Józef ma pieniądze, ponieważ Julie Clary wniosła mu sto pięćdziesiąt tysięcy liwrów renty.

„Byłem wczoraj na terenach Ragny - pisze Napoleon w pośpiechu do swego brata. - Gdybyś gotów był zrobić dobry interes, należałoby przyjechać i nabyć te tereny za cenę ośmiu milionów asygnat; mógłbyś umieścić w tym sześćdziesiąt tysięcy franków posagu twojej żony; to moje życzenie i moja rada [...]”

Lecz dobre interesy uciekają, gdyż wszyscy się spieszą, aby zamienić dewaluujące się asygnaty na dobre ziemie albo mury.

„Wczoraj byłem na przetargu dóbr, które chciałem Ci załatwić, o osiem mil od Paryża; byłem zdecydowany dać za nie milion

pięćset tysięcy franków, ale, rzecz nie do wiary, cena wzrosła do trzech milionów".

Taki jest ten świat! Świat pieniędzy, intryg, luksusu, rozpusty, władzy i spisków! Napoleon zbliża się do niego i bada. To właśnie ci zepsuci nuworysze, którzy spotykają się u pani Tallien - „Matki Boskiej Termidorańskiej” - mogą ułatwić dostęp tam, gdzie rozstrzygają się losy!

Trzeba do tego świata należeć albo się wcale nie istnieje.

Także to odkrycie podkopuje zdrowie Napoleona.

Załatwia sobie zaproszenie do pałacu Luksemburskiego, gdzie rezyduje Barras, którego nazywają królem republiki. Dostaje się do salonu, zwanego skromnie „chatą”, przy promenadzie la Reine, na rogu alei des Veuves na Polach Elizejskich. Przyjmuje tam pani Tallien, oficjalna kochanka Barrasa, który oprócz niej ma jeszcze wiele innych, a w dodatku, jak mówią, paru chłopców.

Barras! Napoleon pamięta tego reprezentanta rządu, który wraz z Fréronem i Fouchém oczyszczał Tuluzy z roja listów. Wszyscy oni zrobili fortuny na dostawach dla wojska, malwersacjach i grabieżach, gdzie się tylko dało. Świat rozwiążności, zepsucia, zbytku i rozpusty - który pociąga Napoleona, ponieważ jest on młodym wilkiem żądnym sławy, kobiet i władzy, a także ponieważ pojął, że wszystko rozstrzyga się tu i teraz.

Napoleon powątpiewa jednak w swoją zdolność podbicia tego świata i zdobycia w nim pozycji. Musi spróbować, gdyż nie ma innego wyboru. Nie będzie liczył na powrót robespierrowskiej cnoty, była ona zresztą często tylko pozorem i iluzją, a terror, który jej towarzyszył, wszyscy zgodnie odrzucają. Kto się teraz jeszcze przejmuje biedakami? Każdego dnia kilku z nich rzuca się do Sekwany razem ze swymi dziećmi, aby uniknąć śmierci z głodu i z nędzy.

Taki jest świat. Równość jest jedynie chimera. Biada biedakom i pokonanym!

„Zbytek, zabawa i sztuki odżywają tu w sposób zadziwiający” - pisze Napoleon.

Wybiera się do Opery, asystuje przy wystawieniu *Fedry*. jeździ po mieście, „pojawiły się znów karety, pojawili eleganci i właści-

wie wcale już nie pamiętają, jakby to był tylko długi sen, że w ogóle kiedykolwiek przestali błyszczeć".

Wciąż trawi go pragnienie wiedzy. „Biblioteki, wykłady historii, chemii, botaniki, astronomii pojawiają się jedne po drugich...” -notuje. Ale to, co najbardziej pociąga całe miasto, to chęć zapomnienia wśród przyjemności o miesiącach rewolucji. „Rzec by można, że każdy chce sobie wynagrodzić czasy, kiedy cierpiał, i że niepewność przyszłości prowadzi do tego, aby sobie niczego nie odmawiać z dzisiejszych przyjemności” - wyjaśnia Napoleon Józefowi.

Taka jest epoka. Byłby szaleńcem, kto by tego nie rozumiał, kto chciałby czegoś innego. „To miasto jest zawsze takie samo; wszystko w nim służy przyjemności, wszystko poświęca się dla kobiet, dla widowisk, dla balów, dla przejażdżek, dla artystów”.

Nie zostać kimś w tym świecie - jedynym świecie rzeczywistym? To jakby umrzeć.

Naraz ogarnia Napoleona gorycz i zniechęcenie. Nie odpowiada na pytania Junota. Zamyka się w sobie, przygarbia.

Tego ranka próbował załatwić swoje sprawy u Barrasa, Boissy'ego d'Anglas, Frérona. Był w biurach Ministerstwa Wojny, które przyznają czynnym oficerom sukno na ubrania, surdut, kamizelkę i spodnie mundurowe. Napoleon żądał swego przydziału, odczytywał nawet stosowny dekret Komitetu Ocalenia Publicznego. Zbyto go byle czym. Do czego doszedł? Nawet żeby załatwić mundur, trzeba mieć poparcie.

Oto, do czego został doprowadzony człowiek taki jak on!

Chwyta za pióro. Tej nocy, 12 sierpnia 1795 roku, daje upust swemu żalowi. Między tym, kim jest, a tym, kim chciałby zostać, rozciąga się przepaść; między bitwami, o których przeprowadzeniu marzy, a bagnem, w którym musi się nurzać. Jak powiedział o swoim bohaterze Clissonie: „Nie potrafił przywyknąć do pustych konwenansów [...]. Nie pojmował nic z intryg i nie rozumiał się na grach słów”.

Paryż termidoriański jest właśnie taki! Napoleon czuje się rozbrojony, bezsilny, niezdolny do sforsowania różnych drzwi. Tej nocy, pisząc list do Józefa, poddaje się rozpacz.

„Ja, który jestem tak mało przywiązany do życia - pisze - i nie

troszcę się o nie szczególnie, stale znajdując się w stanie ducha takim jak w przeddzień bitwy, przekonany jestem, że skoro śmierć przychodzi w samym środku i wszystko kończy, to szaleństwem jest się niepokoić. Wszystko każe mi wyzywać los i przeznaczenie. I jak tak dalej pójdzie, mój przyjacielu, to skończę na tym, że nie będę się cofał, gdy przejeżdża powóz. Mój rozum jest tym cokolwiek zdziwiony, lecz taką skłonność wyrobiło we mnie oglądanie moralności tego kraju i przyzwyczajenie do niebezpieczeństwa".

Gdy list zostaje zapieczętowany, Napoleon prostuje się i woła Junota. Jego adiutant otrzymuje pewne sumy pieniędzy od swej rodziny, gra za nie, a wygrane oddaje swemu generałowi. Napoleon dzieli monety i banknoty. Idą do Palais-Royal.

Ma dwadzieścia sześć lat, Junot dwadzieścia cztery. Przechodzą między kobietami, patrząc na nie pożądliwie. Ich ciała i zapach, oczy, które czasem napotykają wzrok Napoleona i na chwilę każą zapomnieć o niemal samobójczej rozpaczy. Pożądanie rozbudza chęć do życia.

Narzucić się temu światu, takiemu, jaki jest, to przede wszystkim zdobyć, osiąść kobietę.

„Kobiety są wszędzie - pisze Napoleon do Józefa - na spektaklach, na przejażdżkach, w bibliotekach. W gabinecie uczonego widzi się bardzo ładne osobki. Jedynie tutaj ze wszystkich miejsc na ziemi zasługują one na to, aby sprawować rządy; toteż mężczyźni szaleją na ich punkcie, myślą jedynie o nich, żyją tylko przez nie i dla nich. Kobiecie potrzeba w Paryżu sześciu miesięcy, aby poznać, ile jest warta i jak daleko sięga jej władza".

Należy więc chodzić tam, gdzie bywają kobiety strojne i wpływowe, inteligentne, uduchowione i zmysłowe.

Jeśli chce się uzyskać poparcie Barrasa, króla republiki, należy zbliżyć się do Matki Boskiej Termidorańskiej, Thérésy Tallien.

Oto ona w swym wyglądającym jak grecka świątynia salonie w „chatce". Spośród wszystkich zaproszonych Napoleon jest naj-biedniej ubrany. Fircykowie noszą jasne peruki, podobno zrobione z włosów ludzi ściętych na gilotynie. Paradują w ekstrawaganckich strojach: zielonych, żółtych, różowych. Bawią się długimi połami

swych żakietów. Nikt zdaje się nie zauważać tego „czarnego” generała, tego „kota w butach” o przenikliwym spojrzeniu.

Napoleon przeciska się, toruje sobie drogę wśród szamerowanych oficerów, członków Konwentu z wielkimi trójkolorowymi pasami. Wita Frérona, który w Marsylii gorliwie i natrętnie zalecał się do Pauliny. Barras, mając u swego boku Thérésę Tallien, kroczy przez salony jak władca, ubrany w haftowany złotem wojskowy surdut. Wicehrabia Barras de Fox-d'Amphoux, wybrany z okręgu Var, wystąpił kiedyś z armii królewskiej i zostało mu marzenie o wysokich stopniach. 1 sierpnia 1795 roku mianował się generałem brygady!

Przed takim to generałem trzeba się kłaniać. Barras paraduje, wystawiając Thérésę Tallien jak klejnot na pokaz.

Pani Tallien ma na sobie prostą suknię z muślinu, naśladującą w kroju greckie peplum, bardzo obszerną, spadającą w długich i szerokich fałdach wokół ciała, udrapowaną na piersiach, z rękawami przytrzymywanymi na ramionach przez guziki z antycznych kamei. Nie nosi rękawiczek. Przez cienki materiał widać kształt jej piersi, bioder.

Wokół niej tłoczą się inne kobiety, w podobny sposób ubrane--rozebrane, wyperfumowane i prowokujące. Pewna zmysłowa Kredka każdemu mężczyźnie przygląda się tak, jakby go zachęcała do zuchwałości. Jest to obywatelka Hamelin, a obok niej obywatelka Krudener, jasna blondynka z Inflant. To pani Récamer, a ta młoda brunetka, która uśmiecha się, nie otwierając ust, to Józefina de Beauharnais, wdowa po generale straconym podczas Terroru. Mówią o niej, że poznała panią Tallien w więzieniu, że przed nią była kochanką Barrasa i że nadal bywa nią od czasu do czasu.

Wszystkim tym kobietom przypisuje się wielu kochanków, rozpuszne życie i fortunę.

Zafascynowany i uległy Napoleon podchodzi do Thérésy Tallien. Zdaje się, że go zauważono. Barras szepcze kilka słów. Być może wspomina obleżenie Tulonu.

Napoleon nabiera śmiałości. Te obnażone kobiety dodają mu odwagi. W jednej chwili chudy i bezbarwny oficer staje się ognisty, zdobywczy i władczy. Prosi usilnie, pokpiwając z siebie samego: zdarł mu się mundur, proszę tylko popatrzeć. Czy pani Tallien nie

mogłaby mu pomóc w otrzymaniu tkaniny, która mu się należy? Czy może mu wyświadczyć tę łaskę, ona, królowa Paryża?

Błądnował. Lecz ona raczyła na niego spojrzeć. Ujęła ją emanująca od niego energia. Postać tego oficera jest banalna i śmieszna, ale jego oczy przyciągają uwagę.

Wysłuchuje go i odpowiada wielkodusznie, że zarządzający Lefeuve, który jest jej dłużnikiem, przydzielili to sukno na mundur.

Barras oddała się, uśmiechnięty, ze znużoną miną.

Zaczyna się rozmowa. Napoleon chwytą w lot każde zdanie i wykorzystuje każdą okazję, by zabłysnąć. Nagle czuje się swobodnie, jakby zawsze umiał flirtować, jakby ten świat był jego światem. Śmiało chwytą dłoń Teresy Tallien. Peroruje. Potrafi odczytywać przyszłość z linii dłoni. Wokół niego zamyka się krąg kobiet. Rozśmiesza je mówieniem niedorzeczności, aluzjami ukrytymi w przepowiedniach. Jest Korsykaninem, prawie Włochem, nieprawdaż? To cywilizacja potrafiąca przewidywać przyszłość. Generał Hoche wyciąga ku niemu dłoń. Napoleon obwieszcza, że generał umrze w swoim łóżku, „jak Aleksander”.

Zamienia parę słów z Józefiną de Beauharnais, tymczasem ona stara się wzrokiem ocenić wartość tego chudego, nerwowego człowieczka, którego dowcip i wymowa są tak żywe, że zapomina się o jego lichym odzieniu. Ona szuka właśnie mężczyzny.

Napoleon opuszcza „chatkę” pani Tallien podenerwowany. Paryż jest właśnie taki. Zdaje mu się, że teraz, w początku września 1795 roku, udało mu się wreszcie po raz pierwszy umieścić for-poczty na terenie, który należy zdobyć. Musi zobaczyć się ponownie z panią Tallien, przez nią zbliżyć się do Barrasa i Talliena, którzy do tej pory odpowiadali na jego zabiegi jedynie kurtuazyjnymi i przyjaznymi bilecikami w praktyce równającymi się odmowie.

Przejeżdżają powozy. W załomach bram stłoczone ciała śpiących biedaków z dziećmi zawiniętymi w jakieś szmaty. Noce są jeszcze łagodne.

W swoim pokoju pisze do Józefa: „Nie musisz się o mnie obawiać, cokolwiek by się zdarzyło; mam za przyjaciół porządných ludzi wszystkich stronnictw i poglądów, jakie istnieją [...]. Jutro będę miał trzy konie, co pozwoli mi pojeździć trochę kabrioletem i pozałatwiać moje wszystkie sprawy. Widzę w przyszłości same

przyjemne tematy i gdyby nawet miało być inaczej, to tym bardziej należałoby żyć chwilą bieżącą: człowiek odważny powinien pogardzać przyszłością".

W następnych dniach Napoleona roznosi pewność, że wreszcie uzyskał środki do działania. Píše do Barrasa. Upewnia się, że Pontécoulant popiera jego starania o stanowisko w Stambule.

Postanowienie o nominacji jest gotowe, zapewnia Pontécoulant. Uzgodniono także zwrot kosztów podróży. Napoleon zostanie szefem prawdziwej misji. Uniknie w ten sposób paryskich zamieszek, które przewiduje w najbliższym czasie. Wśród rojalistów trwa mobilizacja. Żle już przyjęli projekt nowej konstytucji - Konstytucji III roku - w Radzie Starszych i Radzie Pięciuset. Jednak dekret, który Konwent przyjmuje 28 sierpnia, wydał im się prawdziwym zamachem stanu.

Członkowie Konwentu zadecydowali po prostu, że dwie trzecie członków przyszłego Zgromadzenia musi zostać wybranych spośród nich... To sposób na odsunięcie przewidywanego triumfu wyborczego rojalistów i umiarkowanych. Barras, Tallien Fouché, Fréron i im podobni nie chcą powrotu monarchii.

Napoleon jest zanedo naznaczony piętnem jakobinizmu, zbyt podejrzany, aby mógł się czegokolwiek spodziewać ze strony rojalistów albo członków Konwentu. Każdego dnia oczekuje więc z niecierpliwością decyzji, która pozwoli mu wyjechać z Francji z dobrą pensją i prestiżową funkcją.

15 września 1795 roku otrzymuje list datowany 29 fructidora III roku republiki.

„Komitet Ocalenia Publicznego postanawia, że generał brygady Bonaparte, przedtem do dyspozycji Komitetu Ocalenia Publicznego, zostaje skreślony z listy zatrudnionych oficerów z powodu jego odmowy udania się na stanowisko, jakie zostało mu przydzielone.

Komisja nr 9 ma obowiązek wykonania niniejszego postanowienia".
Podpisali: Cambacérès, Berlier, Merlin, Boissy.

Zostaje więc odsunięty, pada ofiarą czystki.

Zwycięstwo, talent, upór, wszystkie wysiłki czynione, aby prze-

konać członków Konwentu, różnych Barrasów i Fréronów i ich kochanki, spędziły więc na niczym. Jest tylko jednym z wielu generałów bez zajęcia, aż siedemdziesięciu czterech podejrzanych zostało tak jak on skreślonych z rejestrów czynnej służby w armii.

Ma dwadzieścia sześć lat.

„Jesteś niczym, Napoleonie!”

Rozdział 19

Trzeba więc zaczynać od nowa.

Napoleon nie odczuwa zniechęcenia. Wprost przeciwnie. Ten nieoczekiwany cios, który spotkał go w chwili, kiedy cel wydawał się już tak bliski, pobudza go tylko do działania.

Albo się z tego podniosę, albo przepadnę.

Podnosi głowę, patrzy na Junota, który chodzi tam i z powrotem po pokoju i wrzeszczy, obsypuje przekleństwami Letourneura, decydującego o sprawach personalnych, a także Cambacérèsa, Barrasa, Frérona - tych wszystkich hochsztaplerów i urzędasów, którzy decydują o losach generała Napoleona Bonaparte!

Po cóż przyłączać się do wyrzekań Junota? Na co się zdadzą pretensje? Czy warto tracić na próżno energię? Trzeba się podnieść, jak po zadanim z furją ciosie, który pozostawia ranę.

Idziemy.

Kroczy energicznie w stronę Palais-Royal. Nie odpowiada na pytania Junota. Wieczór jest ciepły, na niebie rozlewa się krwisto-czerwona zorza.

Naraz słyszą krzyki, widzą biegnących ludzi, którzy wołają: „Precz z dwiema trzecimi!” Noszą kołnierze w barwach hrabiego Artois i warkoczyki zaplecione od środka głowy, które spadają na piersi. Wpadają do kawiarni, do Theatre-Francais, zmuszają gości, widzów i przechodniów do wznoszenia okrzyków potępiających Konstytucję i dekret o dwóch trzecich. Od czasu do czasu ktoś krzyczy: „Niech żyje król!”.

Mówi się, że sekcja Lepeletier z dzielnicy la Bourse wysłała odezwę do wszystkich komun, aby zaprotestowały przeciwko dekretowi o dwóch trzecich i zażądały jego odwołania. Zaapelowała też do generała Danicana, aby skierował przeciwko Konwentowi paryską Gwardię Narodową, jeśli zajdzie potrzeba, to z bronią w rękę.

Konwent tymczasem obraduje. U wejścia do budynku Napoleon pisze na kolanie list do Barrasa i drugi do Frérona. Od czasu do czasu przerywa. Zna już tę atmosferę: to cisza przed burzą. Przypomina sobie 20 czerwca i 10 sierpnia 1792 roku. Znajdował się wtedy niedaleko stąd, o parę kroków od uczestników rozruchów, był obserwatorem przekonanym, że potrafiłby odmienić bieg wypadków. Tym bardziej jest zdolny to zrobić teraz. Ale znajduje się poza sceną. Skoro nie można odgrywać pierwszoplanowej roli, trzeba wyjść z teatru. Dostać już wreszcie tę przygotowaną nominację, wyjechać do Stambułu.

Kilka dni później może napisać do Józefa: „Bardziej niż kiedykolwiek aktualny jest mój wyjazd; decyzja byłaby już zapadła, gdyby nie było tu takiego wrzenia; w tej chwili panuje pewne wzburzenie i sytuacja jest zapalna, to się skończy w ciągu kilku dni”.

Nie może wysiedzieć w swoim pokoju. Chodzi do teatru. Potrzebuje szmeru rozmów, śmiechów wokół siebie. Pozwalają mu się one odizolować, pobudzając go zarazem do rozmyślań. Czuje na sobie niespokojne i zdziwione spojrzenie Junota: gdy wszyscy widzowie wybuchają śmiechem, Napoleon pozostaje niewzruszony.

Na zewnątrz, w podcieniach Palais-Royal, ożywione grupki ludzi coś wykrzykują. Oburzają się na wyniki referendum zatwierdzającego Konstytucję: ponad milion głosów za i zaledwie pięćdziesiąt tysięcy głosów przeciwko, przy ponad pięciu milionach nie biorących udziału w głosowaniu. A dekret o dwóch trzecich -umożliwiający deputowanym Konwentu znalezienie się w obu nowych Zgromadzeniach, które zastąpią Konwent - otrzymał zaledwie dwieście pięć tysięcy czterysta dziewięćdziesiąt osiem głosów przeciwko ponad stu tysiącom! Farsa! - krzyczą. Potem rozlegają się strzały. Ktoś strzela do patrolu wojskowego. Przechodzą

młodzi ludzie z bronią. Niektórzy noszą znak Wandejczyków: serce i krzyż.

Na wyspie Yeu wylądowało tysiąc emigrantów wraz z dwoma tysiącami Anglików. Trzydzieści z czterdziestu ośmiu sekcji Paryża pod przywództwem sekcji Lepeletier wzywa do powstania przeciwko Konwentowi, do chwycenia za broń. Teraz, gdy sankiuloci zostali zmiażdżeni, gdy armia została oczyszczona z oficerów o jakobińskich sympatiach, umiarkowani oraz rojaliści mogą sobie wyobrazić, że czeka ich łatwa rozgrywka. Mają do dyspozycji trzydzieści tysięcy umundurowanych gwardzistów narodowych, a Konwent może liczyć na nie więcej niż osiem tysięcy ludzi.

Głosy, krzyki, odgłosy strzałów, przemarsze uzbrojonej Gwardii Narodowej, od czasu do czasu tętent konia - Napoleon nasłuchuje tych dźwięków jak myśliwy czatujący na sprzyjającą okazję. Ale jest niczym. Może jedynie obserwować i czekać. Co nowego? -pyta Junota.

Dowiadują się, że wystraszony Konwent zwrócił się o pomoc do generałów i oficerów odsuniętych za jakobinizm. Utworzył nawet wraz z członkami sekcji antyroyalistycznych trzy bataliony ochotników, „Patriotów roku 89”.

- Bronić Barrasa, Frérona, Talliena, Cambacérèsa! - szydzi Napoleon. Bierze pod ramię Junota. - Ach - mruczy przez zaciśnięte zęby - gdyby sekcje mnie postawiły na czele, to zaręczam, że za dwie godziny wprowadziłbym ich do Tuileries i przepędził stamtąd tych nędznych deputowanych!

Ale sekcje wybrały generała Danicana, armia Konwentu zaś dowodzona jest przez generała Menou, tego samego, który 20 maja stłumił rozruchy głodowe sankiulotów.

Danican czy Menou, co za różnica? Chodźmy do teatru.

Na ulicach słyhać werble. Przeciągają wojska: piechurzy, artyleria, jazda. Zdążają w stronę ulicy Vivienne, aby obsadzić sekcję Lepeletier, gdzie pod kierownictwem rojalisty Richera de Sèrizy'ego zasiada centralny komitet wojskowy wszystkich zbuntowanych sekcji paryskich. jest dziewiąta wieczorem. Napoleon obserwuje, trzymając się na

uboczu. Zaczyna padać deszcz i jego mundur nasiąka wodą. Długie włosy spadające na ramiona są mokre. W ciemności nikt nie zwraca na niego uwagi. Bataliony Gwardii Narodowej poprzedzane dobozami zajmują pozycje na ulicy Faubourg-Saint-Honoré. Dlaczego generał Menou czeka, zamiast rozpedzić wojska sekcji? Wydaje się wręcz, że wojska te po kawałku zajmują całą stolicę, podczas gdy deszcz leje już teraz jak z cebra.

Napoleon kieruje się w stronę Konwentu. Ktoś go zaczepia. Czy słyszał, że generał Menou został umieszczony w areszcie za to, że prowadził rozmowy z sekcjami i wycofał armię, pozostawiając ulice w rękach powstańców? Trzydzieści tysięcy żołnierzy! Wszyscy generałowie sztabu Menou zostali jak on zdegradowani. Do objęcia dowództwa nad wojskiem i obrony Konwentu wyznaczono Barrasa.

Szukają was, obywatelu generale.

Napoleon nie odczuwa podniecenia. Nie przyspiesza kroku. Oto Fréron, nagle poufały, mówi o Paulinie, w której jest zakochany, i cicho dodaje, że to on podsunął Barrasowi myśl, aby na swego zastępcę wybrał Napoleona. Barras zaś zwrócił uwagę na tę propozycję. Carnot zgłaszał kandydatury Brune'a i Verdierès'a, lecz Barras odrzekł mu, że „Tu nie potrzeba generałów z Równiny, ale generała artylerii”.

Barras zbliża się i ręką daje Fréronowi znak, aby się oddalił. Jest poważny. Nie można dopuścić do tego, aby rojaliści obalili rząd. Byłoby to równoznaczne z otwarciem bram przed wojskami nieprzyjaciela: Anglikami, którzy mają czterdzieści okrętów nieopodal Brestu, i Austriakami, którzy zgromadzili czterdzieści tysięcy żołnierzy pod Strasburgiem. Byłoby to równoznaczne z oddaniem zdobytych terenów, oddaniem Belgii, która od 1 października jest francuska. Barras urywa. Proponuje Napoleonowi stanowisko zastępcy dowódcy.

Napoleon jest niewzruszony, patrzy nieruchomo, jego twarz jeszcze bardziej pociemniała. Czy nadeszła chwila, aby się zdeklarować? Chwila, gdy wychodzi się spoza wałów i idzie pod ogień? Czy to chwila, gdy wydaje się rozkaz: „ognia!”? Zdeklarować się, odsłonić, aby bronić czego? Barrasa, Frérona? Francji?

Republiki? O co chodzi ludziom, którzy się do niego zwracają? O ich władzę. O nagromadzone przez nich fortuny. O ich pragnienie, aby nigdy nie zdawać rachunku z tego, co zrobili jako kró-lobójcy, łapownicy, podżegacze terroru rozkazujący strzelać do biedaków z przedmieść, termidorianie pragnący jedynie trawić w spokoju i cieszyć się swoim przesytem!

Czy warto dla nich zostać kozłem ofiarnym biorącym na siebie tyle zbrodni, w których się nie brało udziału?

Dla kogo? W imię czego?

Dla mnie.

- Daję panu trzy minuty na zastanowienie - mówi Barras.

Trzeba chwycić nadarzającą się okazję.

- Zgadzam się - mówi Napoleon spokojnie. - Ale uprzedzam pana... - Urywa. Jakie wszystko staje się proste, kiedy zaczyna się działać. - Jeśli wyciągnę szablę - mówi dalej - to schowam ją do pochwy dopiero wtedy, gdy zostanie przywrócony porządek, bez względu na koszty.

Jest pierwsza w nocy 5 października 1795 roku, 13 vendè-miaire'a. Teraz trzeba ujarzmić tego konia, którego schwyciło się za grzywę i który wierzga.

Kiedy Napoleon przechodzi między żołnierzami, kiedy wypytuje oficerów, wyczuwa ich zdziwienie „zaniedbaniami jego toalety, długimi zwisającymi włosami, znoszonym ubraniem”. Słyszy szepty po kątach. „Bonaparte dowodzi? Ki diabeł?”

Najpierw rozpoznać sytuację. Generał Menou siedzi w strzeżonym pomieszczeniu. Napoleon w kilku życzliwych słowach uzyskuje od niego niezbędne informacje.

Następnie wydać rozkazy. Zwięzłość. Nie narażać żołnierzy, bronić Konwentu. Powstańcy z sekcji mają przewagę liczebną, ale będą się posuwać w oddzielnych kolumnach, wystawionych na ogień z dział.

Jednym gestem Napoleon przywołuje młodego dowódcę szwadronu Murata, który kręci się z zarozumiałą miną. Oficer podchodzi z widocznym lekceważeniem. Zdania spadają jak cięcia topora:

- Weźmie pan dwieście konnych i natychmiast uda się do obozu na równinie Sablons. Przywieziecie czterdzieści dział i amunicję.

Mają się tu znaleźć. Jeśli trzeba, użyjcie szabli, ale macie je przywieźć.

Murat chce coś powiedzieć.

- Odpowiada pan za to przede mną. Odmaszerować - kończy Napoleon.

Stukot kopyt zagłusza deputowanych, którzy otaczają Napoleona i zasypują go pytaniami. Gdy kawaleria odjechała, przygląda się tym ludziom, których twarze wykrzywia strach i trwoga. „Niech się uzbroją - mówi - niech utworzą batalion i będą w pogotowiu”.

On jest zupełnie spokojny i pewny siebie. Decyzje zazębiają się jak w doskonałym mechanizmie. Przewiduje kolejne działania drugiej strony. Wojska sekcji także musiały pomyśleć o działach, ale dotrą na miejsce po Muracie. A tych czterdzieści dział będzie rozstrzygającym atutem - którym nie posłużył się Ludwik XVI w czerwcu i w sierpniu 1792 roku. Użycie dział w mieście będzie zaskoczeniem, pozwoli odblokować ulice i zmieni stosunek sił, na razie korzystny dla rojalistów.

Wskakuje na konia, jeździ od posterunku do posterunku, przy każdym zatrzymuje się tylko na parę minut. Lubi gorliwość poruczników stających do raportu. Czuje na sobie wzrok żołnierzy. Wypowiada zaledwie kilka słów. Widzi, że zmienia się nastawienie do niego. Zaczynają mu ufać. Jedzie dalej. Wie, że wszyscy powinni widzieć dowódcę. Muszą wiedzieć, że z nimi jest, nawet poci ostrzałem, słyszeć, że bez wahania wydaje rozkazy.

Wyciągając prawe ramię, każe rozmieścić działa u wylotu wszystkich ulic prowadzących do Konwentu. Jeśli bataliony powstańców pójdą do przodu, trzeba będzie otworzyć ogień. Będzie się strzelać kartaczami. Wystarczy parę minut, aby zmieść wojska przeciwnika.

Barras słucha go. To on - mówi - wyda rozkaz otwarcia ognia. Jest głównym dowódcą, Napoleon zastępcą.

Nie ma sensu podważać jego autorytetu. Jeszcze nie czas na to. Napoleon nie mówi nic, około trzeciej po południu przybywają do niego oficerowie z wieścią, że Konwent jest otoczony przez kolumny wojsk powstańców. Oczekują od niego rozkazów. Barras daje znak, Napoleon występuje do przodu i wydaje kanonierom rozkaz otwarcia ognia.

Na ulicach panuje chaos, ciała zabitych kartaczami leżą pokotem. Dym wystrzałów spowija jezdnie i fasady domów. Żołnierze sekcji organizują opór na stopniach kościoła św. Rocha, inni zbierają się w Palais-Royal. Napoleon dosiada konia. Trzeba być tam, gdzie się toczy walka. Zbliży się do budynku feuillantów przy ulicy Faubourg-Saint-Honoré. Koń pada pod nim. Napoleon podnosi się, nietknięty, biegną już do niego żołnierze. Wydaje rozkaz otwarcia ognia przeciw zgromadzonym rebeliantom. Niebawem stopnie kościoła św. Rocha pokryte są ciałami zabitych i plamami krwi.

Ulice są puste. Wystarczyły dwie godziny, aby odnieść zwycięstwo.

Przed gmachem Konwentu deputowani zbliżają się, aby pogratulować generałowi. Napoleon ignoruje ich i kieruje się do pałacu Tuileries. W jego salach zgromadzono rannych. Poukładani są na materacach albo na świeżej słomie. Opiekują się nimi żony deputowanych. Napoleon nachyla się i pozdrowia rannych, otaczają go kobiety. Jest zwyciężcą i wybawcą.

Słyszysz Barrasa, który w sali posiedzeń odbiera owacje na swoją cześć.

Odchodzi. Wie, że będzie musiał zapłacić za swoje zwycięstwo. Tych trzystu leżących na ulicy, zabitych przez jego działa, dołączyło do ofiar, które już pochłonęła rewolucyjna zawierucha. Ale nigdy mu nie wybaczą, że rozbił ruch rojalistów. Będzie miał od tej pory zagorzałych wrogów politycznych. Bez względu na to, co zrobi, znalazł się w tym samym obozie co Barras, Fréron i Tallien, a wraz z nimi także wszyscy królobójcy oraz Robespierre.

Tak już jest. Ale tylko działając, dochodzi się do czegoś.

W nocy z 5 na 6 października, czyli z 13 na 14 vendémiaire'a, Napoleon nie śpi. Wydaje rozkazy, aby nazajutrz zorganizowano patrole w Paryżu. Pisze do Józefa, gdyż czuje potrzebę opowiedzenia komuś o wypadkach.

„Kiedy wreszcie wszystko się zakończyło, od razu pomyślałem, aby Ci przekazać nowiny”. Opisuje pokrótce główne wydarzenia ostatnich godzin, potem dorzuca: „Jak to zwykle u mnie, nie jestem nawet draśnięty. PS Szczęście mi sprzyja; grzeczności dla Désirée i Julie”.

Rozdział 20

6 października 1795 roku wojska przeczesują Paryż, nie napotykając żadnego oporu. Napoleon nie okazuje najmniejszego zdziwienia tym, co zaszło, lecz wie, czuje i rozumie, że wszystko się teraz zmieniło. Przynoszą mu mundur z dobrej wełny, jakiego przedtem nie mógł się doprosić. Przebiera się w niego powoli. Zdaje mu się, że jego ciało okryte grubą tkaniną i twarz schowana w wysoki kołnierz ze złotymi galonami nie są już takie same jak przedtem. Nawet gesty nabrały płynności, skóra podrażniona świerzbem stała się jakby gładsza, karnacja jaśniejsza.

Podchodzą do niego oficerowie. Oczekuje ich z rękami skrzyżowanymi na piersi, na nogach błyszczą skóra nowych butów. Z szacunkiem wręczają mu listy. Wyraz twarzy kuriera, porucznika, jest pełen podziwu i bojaźni zarazem. Napoleon przygląda mu się badawczo. Oficer natychmiast spuszcza wzrok, jakby popełnił jakieś wykroczenie i bał się reprimendy.

Napoleon nie mówi nic. To właśnie jest władza, to właśnie jest zwycięstwo. Nawet Junot przestał zachowywać się poufale. Nie śmie się pierwszy odezwać, trzyma się w odległości kilku kroków, szanując milczenie Napoleona.

Przynoszą gazety. Junot przegląda je, pokazuje Napoleonowi.

Ten generał, o którym się mówi, ten Bonaparte, którego nazwisko wszyscy powtarzają - to ja.

Żaden rys twarzy Napoleona nie objawia zaskoczenia ani radości. Fréron z trybuny Konwentu wygłosił pochwałę „generała artylerii, Bonapartego, mianowanego w nocy z 12 na 13 i mającego

tylko ranek 13 na wydanie roztropnych dyspozycji, których efekty widzieliście".

Barras interweniował, aby potwierdzono nominację Bonapartego na zastępcę dowódcy armii Wewnętrznej, czyli garnizonu Paryża. 16 października mianowany został generałem dywizji. A 26 października, przed swym rozwiązaniem, Konwent desygnował go na dowódcę armii Wewnętrznej.

Nareszcie.

Siedzi w wielkim powozie zaprzężonym w czwórkę koni, otoczony eskortą. Wartownik salutuje, kiedy Napoleon wchodzi do pałacu kwatery głównej, swojej oficjalnej rezydencji przy ulicy Neuve-Capucine. Przechodzi przez salony. Wszyscy wstają na jego widok, trzaskają obcasy. Wzywa swych adiutantów: Marmonta, Junota, swego brata Ludwika i pięciu innych oficerów, którzy są, jak napisał do Józefa, jego „adiutantami kapitanami”.

Czyta listę osób oczekujących w przedpokoju na przyjęcie. Ci petenci, których życie odmienić może jedno jego zdanie czy słowo, są dowodem, jak daleko zaszedł. Na ścianach wiszą lustra w złożonych ramach. Napoleon przegląda się w nich, czekając, aż wprowadzą pierwszego z petentów.

Jest tym samym człowiekiem co miesiąc temu. Tym samym, którego zamknięto w Fort-Carré, pozbawiono dowództwa w armii Włoch i usunięto w ramach czystki. Tym samym, którego zbywano kreślonym naprędce bilecikiem, tym samym, który chodził w przemakających butach.

Ale znalazł się tutaj, taki sam i inny. Ma pod komendą czterdzieści tysięcy ludzi, a ci, którzy wchodzi do tego pokoju i nie ośmielają się uisnąć, widzą go w aureoli władzy.

Nie czuje upojenia. Nie jest zdziwiony. Przypomina sobie, jak będąc dzieckiem, często dla skrócenia sobie drogi na szczyt wzgórza schodził ze ścieżki i zapuszczał się w zarośla. Ciernie czeptały się jego ubrania, drapały mu ręce, ramiona i nogi. Czasami gałęzie siekły go po twarzy. Ze wszystkich stron coś go przytrzymywało i chwyciło. Osuwał się na kolana, sądząc, że już osiągnął szczyt, ale wyrastał przed nim jeszcze kolejny krzak albo skała. W końcu jednak prostował się i mając przed sobą horyzont, mógł przejść swo-

bodnie na skalny taras, na którym jeszcze nie był, gdzie groziły nowe niebezpieczeństwa, lecz można było nareszcie odetchnąć pełną piersią.

Teraz jego kolej.

Wydaje rozkazy. Żadnych represji, egzekucji ani nawet aresztowań wśród wczorajszych rebeliantów. Okazać łaskawość dla zwolenników sekcji.

Spotyka się z Barrasem, Fréronem, Tallienem. Prosi o uwolnienie generała Menou. Słuchają go. Zadają pytania. Odpowiada krótkimi zdaniami. Dostrzega zaniepokojenie tych ludzi, którzy jeszcze tak niedawno trzymali go na dystans, traktowali z pobłażliwą wyższością, nawet ironią zaprawioną odrobiną pogardy. Są więc tylko ludźmi: boją się zwycięstwa rojalistów w nadchodzących wyborach, spiskują między sobą, aby w razie czego unieważnić wybory i zorganizować zamach stanu. Na razie organizują Dyrektoriat wykonawczy, w którym główną postacią będzie przystrojony w pióra wicehrabia Barras de Fox-Amphoux, nazywany królem Dyrektoriatu, powszechnie znienawidzony i pogardzany, któremu zazdroszczą i którego się boją.

*Gdy w purpurę się ubiera,
biera, biera, biera,
Winny zbrodni vendémiaire'a
Fox-Amphoux!*

*Gdy w Paryżu laury zbiera,
biera, biera, biera,
Niech go cały świat zna teraz:
Fox-Amphoux!*

Junot powtarza Napoleonowi dwa wiersze, które ludzie dokładają do tej piosenki obiegającej ulice w ślad za Barrasem:

*Nie ma jeszcze czterdziestki, lecz u dusz na kata
Zbrodnia wcale nie czeka, aż spełnią się lata.*

Jednak to właśnie ludzie tego pokroju mają władzę, Napoleon spotyka ich codziennie, jeździ do nich lub przyjmuje ich u siebie.

Wchodzi do salonu Thérésy Tallien. Już nie musi się do niej przeciskać. To ona podchodzi do niego i ujmuje pod ramię. Jest rozchwytywany przez wszystkie te uperfumowane kobiety, muskają go ich woalki, ich dłonie długo pozostają w jego rękę. Jest w ich małym światku człowiekiem nowym, tym, który je uratował, chudym nerwowym żołnierzem, tak odmiennym od mężczyzn znanych im od lat, z ich tłustymi ciałami i występkami, mężczyzn, którymi się dzielą i wymieniają, którzy niczym już ich nie zaskoczą i których one także już nie mogą zadziwić, których usiłują zatrzymać, ale są zbyt zblazowani i potrzebują coraz silniejszych podniet.

A poza tym ci mężczyźni nie zajmują się rozmowami, tylko grają z nieruchomym wzrokiem, siedząc przy stolikach, na których pojawiają się znaczne stawki. Spędzają noce, grając w wista, faraona, dwadzieścia jeden, w *bouillotte*, w kości. Ten Bonaparte, generał dowodzący garnizonem Paryża, o którym mówi się, że ma przed sobą przyszłość, różni się od innych także tym, że nie gra.

Kobiety zadają mu pytania. Patrzy im w oczy, nie spuszczać wzroku. Jedna z nich, o matowej cerze i ramionach nagich pod przezroczystymi rękawami spiętymi na mankietach małymi złotymi agrafami, odrzuca lekko głowę do tyłu. Napoleon widzi jej skapo osłonięte piersi i szyję. Ma wrażenie, jakby go zachęcała. Jej ruchy są powolne. Czasem koniuszkami palców dotyka swych spiętych złotą spinką włosów, których liczne pukle tworzą wokół jej czoła coś na kształt diademu. Mówi, uśmiechając się, ma żywą twarz i błyszczące oczy.

Wydaje się, jakby wciąż powtarzała: „Niech mi pan opowie”.

I on mówi. Stopniowo inne kobiety oddalają się, jakby tylko ta jedna, Józefina de Beauharnais, miała prawo do młodego generała, który jeszcze nie ukończył dwudziestu siedmiu lat. Zaprasza go do swego domu przy ulicy Chantereine 6.

Napoleon wie, kim ona jest.

Wieczorem w dużym mieszkaniu przy ulicy Neuve-Capucine nie może znaleźć snu. Chodzi po pokoju, jak to ma w zwyczaju. Przechodzi do swego gabinetu. Jedyнным sposobem, aby się uspokoić, jest pisanie. Zaczyna list do Józefa. „Jestem niezmiernie zajęty - pisze - zdrowie mi dopisuje. Jestem tutaj szczęśliwy i zadowolony”. Przerzywa.

Wie, kim ona jest.

Wdowa po generale de Beauharnais, dwoje dzieci, Eugeniusz i Hortensja. Kochanka Barrasa. Szlachta z Martyniki, Tascher de La Pagerie. Przywiązana zarówno do dawnego ustroju, jak do nowego rządu. Kobieta tak odmienna od Désirée Clary. Być może nawet jest bogata.

Wiele przeszła. Z pewnością jest po trzydziestce. Ale to ciało, skóra, sposób poruszania się - jakby tańczyła - ukwiecona roślina owijająca się wokół pnia drzewa.

Przyjaźni się ze wszystkimi. Jest w samym centrum świata, do którego wszedł.

Napoleon zna jej pozycję i właśnie dlatego tak mocno go ona pociąga.

Korzysta z jej zaproszenia. Zajmowany przez nią pałacyk otoczony jest parkiem i położony w wiejskiej jeszcze okolicy przy drodze d'Antin. Aby go znaleźć, trzeba przejechać między ogrodami. Odślania się wtedy półkolisty pawilon w stylu neoklasycystycznym. Jego parter rozjaśniają cztery wysokie okna zwieńczone attyką.

Józefina siedzi na berzerce. Wydaje się niemal naga. Przez powiewne szaty prześwitują zmysłowe kształty jej ciała. W salonie są białe boazerie i fryz utrzymany w stylu rzymskim. Pełno tu foteli i berzerok. Teatralnej scenografii dopełnia harfa stojąca pod jednym z okien.

Powolnym gestem Józefina zaprasza Napoleona, aby usiadł przy niej.

On wie, kim ona jest.

Ona jest symbolem zwycięstwa.

Napoleon waha się. Mógłby - wie o tym i ma na to ochotę - wziąć ją w ramiona, powalić i zdobyć. Siada jednak na berzerce w bezpiecznej odległości.

28 października Napoleon przebywa w otoczeniu swych adiutantów, kiedy żołnierz wręcza mu pismo. Oficerowie oddalają się, a Napoleon odpieczętowuje list datowany 6 brumaire'a.

Nie rozpoznaje tego charakteru pisma o grubych i zaokrąglonych laseczkach, które wydają się pisane z wahaniem i starannością. List jest podpisany: „Wdowa Beauharnais”.

„Nie przychodzi już Pan odwiedzać przyjaciółki, która Pana szanuje. Zaniedbał ją Pan zupełnie; postępuje Pan niewłaściwie, gdyż jest ona do Pana czule przywiązana.

Proszę przyjść jutro zjeść ze mną obiad; chciałabym Pana zobaczyć i pogawędzić z Panem o rzeczach, które Pana zajmują.

Miłego wieczoru, przyjacielu, ściskam Cię".

Napoleon składa z powrotem list, odsyła swoich adiutantów.

Kobieta, nareszcie.

Ta kobieta ofiarowuje mu siebie.

Będzie moja. Jeśli zechcę.

Kiedy jednak przychodzi Junot, aby przekazać mu policyjne raporty, w których mówi się, że zdaniem „porządnych ludzi” Bonaparte jest „nadmiernym jakobinem” i zwany jest „generałem vendè-miaire'a”, Napoleon stoi nieruchomo z kamienną twarzą. „Cenię tytuł generała vendémiaire - mówi - będzie to w przyszłości mój pierwszy tytuł do chwały”.

Potem bierze plik raportów i zaczyna je czytać. Podczas gdy rojaliści go krytykują, atakują Dyrektoriat i spiskują, jakobini się reorganizują. Założyli klub Panteonu. Napoleon obok nie znanych mu nazwisk Babeufa i Darthege zauważa nagle znajome nazwisko: to Buonarroti - nadal wierny idei równości, wspiera obecnie nielegalną gazetę zatytułowaną „Le Tribun du peuple”, publikowaną przez Babeufa.

Czego się spodziewają ci ludzie? Nie można rozdać wszystkim po równo. Samo życie dzieli ludzi na tych, którzy potrafią brać i którzy posiadają, oraz na tych, którzy godzą się na dominację innych. Tak już jest. I wciąż trzeba bronić tego, co się zdobyło, powiększać zdobycze, opierać się na swoich ludziach - rodzinie, klanie. Napoleon zasiada, żeby napisać do Józefa.

Być u władzy oznacza także to: zabierać albo dawać ludziom.

„Mianowałem... umieściłem... - zaczyna wyliczać - Ramolino mianowany jest inspektorem transportu, Lucjan jest komisarzem wojennym przy armii Renu, Ludwik jest ze mną [...]. Nie mogę robić dla was więcej niż dla innych [...]. Rodzinie nie brak niczego, kazałem przekazać im pieniądze i asygnaty [...]. Otrzymałem

dopiero przed kilkoma dniami czterysta tysięcy franków dla Ciebie. Fesch, któremu je przekazałem, zda Ci rachunki [...]. Nie musisz się martwić o rodzinę, jest obficie zaopatrzona we wszystko. Przyjechał tutaj wczoraj Hieronim, umieszczę go w kolegium, gdzie będzie mu dobrze [...]. Mam tutaj do Twojej dyspozycji mieszkanie, stół i powóz [...]. Przyjedź, sam wybierzesz miejsce, które będzie Ci odpowiadało [...]."

Jeszcze jeden, ostatni list do Józefa, ostatnie wiadomości, aby jeszcze raz powtórzyć, że „rodzinnie niczego nie brakuje. Wysłałem im wszystko, co konieczne [...] pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy franków, pieniądze, asygnaty, fatałaszki; nie potrzebujesz się więc niepokoić”.

Obdarowywać swoich, dzielić się z nimi. Cóż innego można robić na tym świecie - takim, jaki jest?

Napoleon objeżdża ulice w okolicy sztabu. Musi wszystko sam zobaczyć - do jego obowiązków należy utrzymanie porządku. Wybuchają strajki. Cena chleba idzie w górę. Grozi głód. Jest zimno i brakuje drewna na opał.

Napoleon to widzi. Trzeba zorganizować dystrybucję chleba i opału. Przed piekarniami tworzą się kolejki. Zaczepia go jakaś kobieta, jest potwornie brzydka i krzyczy piskliwym głosem. „Cała ta wygalonowana banda śmieje nam się w nos - rzuca, pokazując na Napoleona i jego sztab. - Sami się obżerają, obrastają w sadło i nic ich nie obchodzi, że biedacy umierają z głodu!”

Tłum szemrze. Napoleon podnosi się w strzemiączkach. „Dobra kobieto, przyjrzyjcie się dobrze, kto z nas dwojga jest grubszy?”

Tłum się śmieje. Napoleon odjeżdża wraz ze swoim sztabem.

Z wysokości siodła kieruje się ludźmi jak wtedy, gdy się zajmuje wysokie stanowisko.

Lecz rozpychając tłum piersią wierzchowca i widząc, jak ludzie niechętnie się rozstępują, Napoleon po raz pierwszy od vendémiaire'a czuje, że natrafia na opór. To dowództwo armii Wewnętrznej nie jest niczym innym niż służbą policyjną w interesie tych, którzy mają nacelną władzę polityczną, pięciu dyrektorów, Barra-sa, a teraz także Carnota.

Napoleon na czele wojska wkracza do klubu Panteonu, ale to oni wydają rozkazy, to Dyrektoriat zadecydował o zamknięciu

klubu. Powodem było jego zbyt wielkie powodzenie: niemal dwa tysiące ludzi na każdym zebraniu oklaskiwało Buonarrotiego i czytało jego gazetę.

Nie wolno zostawiać tłącego się lontu, kiedy obywatele cierpią chłód i głód.

Napoleon ściąga wodze swego konia, który niecierpliwie przestępuje po bruku. Nie jest żandarmem. Jest żołnierzem. 19 stycznia 1796 roku ponownie przedstawił plan zwycięskiej kampanii we Włoszech. Ale Scherer, generał dowodzący armią Włoch, odrzucił plan. Ritter, komisarz rządu przy armii, oburzony napisał do Dyrektoriatu i przede wszystkim do Carnota, który odpowiada za sprawy wojskowe. Cóż to za plany mu przesyłają? Kto to ułożył? „Jeden z tych szaleńców, którym się zdaje, że można sięgnąć po Księżyc? Jeden z tych osobników zżeranych ambicją i pragnących stanowiska ponad swoje siły?”

W chwili gdy żołnierze wyprowadzają aresztowanych jakobinów, Napoleon marzy o prawdziwym wielkim dowództwie.

Carnot przekazuje mu sceptyczne i wrogie reakcje generałów Scherera i Ritтера, odrzucających jego plan kampanii włoskiej. Jednocześnie Carnot daje do zrozumienia, że być może Napoleon mógłby otrzymać dowództwo armii Włoch.

Napoleon ma sobie za złe, że ujawnił swoje przekonania i ambicje. „Gdybym to ja tam był - wykrzyknął - Austriacy zostaliby przepędzeni!” Carnot mruknął: „Pojedzie pan”.

Ale od tamtej pory nic - cisza, jedynie plotki i pogłoski rozposzechniane przez zawistnych. Jego brat Ludwik zbiera je w przedpokojach, wśród wiernych adiutantów, pełnych oburzenia, a następnie przekazuje Napoleonowi.

Mówi się, że młody generał korzysta z protekcji Barrasa. Barras chciałby się pozbyć swej dawnej kochanki Józefiny, dając jej dobrze uposażonego męża. Może Napoleona, który otrzymałby dowództwo armii Włoch?

Napoleon wpada we wściekłość.

- Czy im się zdaje - krzyczy - że potrzebują protekcji, aby do czegoś dojść? To oni będą się cieszyli, jeśli zechcą im udzielić swojej protekcji. Mam szablę u boku, a z nią zajdę daleko.

-Ta kobieta - szepcze Ludwik - ten projekt małżeństwa. Napoleon wbija wzrok w swego brata, który wycofuje się i wychodzi.

Co inni mogą zrozumieć z tego, co czuję?

Przyciągnął Józefinę do siebie, a ona ulegle się poddała, ofiarowując mu swe ciało, później wygiętą w łuk zaniósł do łóżka.

Do niego należy ta kobieta o zręcznych dłoniach z długimi palcami, kobieta jak jedwab i słodycz, którą ściska z namiętnością tak wielką, z tak wielkim pożądaniem, że ona zdaje się niemal omdlewać, próbuje go odpychać, w końcu w uniesieniu mu ulega, a później jest tak czuła. Jednak Napoleon ma wrażenie, że Józefina wymyka mu się z ramion i że w chwili, kiedy zdaje mu się, że ją posiada, kiedy ją bierze, ona jest nieobecna, znajduje się gdzie indziej.

Cóż inni mogą wiedzieć o tych nocach, gdy do niej przychodzi, gdy rozchyła jej przezroczyste szaty, nie zdejmując nawet butów i munduru? Józefina jest kobietą tego momentu jego życia, w którym on nareszcie czuje się sobą. Ona jest jego zwycięstwem utkanym z ciała i z rozkoszy. Żywym zwycięstwem, które nie wyczerpuje się z chwilą, kiedy się je osiągnie, lecz które przeciwnie - podsycza namiętność.

Pisze do niej:

„Budzę się wypełniony Tobą. Twój portret i wczorajszy upojny wieczór nie pozwoliły moim zmysłom odpocząć: słodka i niezrównana Józefino, cóż za dziwny wpływ wywiera Pani na moje serce! Niech tylko zobaczę, że dąsa się Pani, jest smutna albo niespokojna, a już moją duszę przeszywa ból i już Pani przyjaciel nie może znaleźć spokoju. Lecz czy może być inaczej, gdy oddając się głębokiemu uczuciu, które mną owładnęło, czerpię z Twoich ust i z Twego serca płomień, który mnie spala? Ach, dzisiejszej nocy zrozumiałem, że Twój portret to nie Ty sama. Wyjeżdżasz w południe, zobaczę Cię za trzy godziny. Na razie, *mio dolce amore*, milion pocałunków, lecz mi ich nie oddawaj, gdyż zanadto rozpalają mi krew!”

Bez ustanku myśli o tej kobiecie, o jej ciele. Chce trzymać ją uwięzioną w swoich ramionach, jakby w ten sposób mógł zdobyć nie tylko ją, ale to wszystko, co ona reprezentuje: jej przeszłość, jej znajomości, być może nawet jej fortunę, jej pozycję w paryskim towarzystwie, którego próg, jak dobrze wie, zaledwie przestąpił. Trzymając ją w ramionach, staje się na dobre częścią świata, do którego wkroczył w noc wojny domowej, podczas ulewy 13 vendémiaire'a. Chce poprzez tę kobietę ogłosić swoje zwycięstwo, dać świadectwo pozycji, jaką uzyskał. Chce się z nią ożenić, mieć ją we wszystkie noce, kiedy jej zapragnie.

Lecz Józefina się wymyka. Czekać na nią w przedpokoju notariusza, pana Raguideau, do którego chciała się udać, Napoleon zbliża się do nie domkniętych drzwi. Słyszy, jak notariusz gdera: „I co? Poślubić generała, który ma tylko płaszcz i szablę, ładny interes pani na tym zrobi!”. Co posiada ten cały Bonaparte? Jakiś zameczek? Nawet tego nie. Kim on jest? Małym generałem od wojny domowej, bez żadnej przyszłości, podległym wszystkim wielkim generałom republiki! Lepiej by już było wyjść za wojskowego dostawcę!

Napoleon opanowuje się. Miałby ochotę z trzaskiem wpaść do gabinetu notariusza, ale odchodzi, zbliża się do okna. Będzie miał tę kobietę. Wie, kim ona jest. Wie, co ona mu daje: ten płomień we krwi. Zna jej ciało. To pierwsze ciało kobiece, które może tak trzymać w rękach, pieścić i kochać do woli. I ona jest pierwszą kobietą, która dotyka jego ciała w taki sposób, bez zahamowań, z tą słodyczą i śmiałością, tym mistrzostwem, które go upaja, porywa, odnawia jego pożądanie nawet w chwili, gdy sądził, że jest zaspokojone.

A w dodatku wszyscy chcieliby, żeby on odstąpił od swych zamiarów.

Widuje ją codziennie. Odkrywa, że doba pomieścić może oprócz obowiązków wojskowych spotkania i miłość z nią, a także myśli o niej i listy do niej.

A przecież widuje w tym czasie Barrasa, Carnota oraz Louisa La Revellière-Lépeaux - także jednego z pięciu członków rządzącego Dyrektoriatu.

Pragnienie Józefiny zamiast wyczerpać jego energię, dodaje mu nowych sił. 7 lutego 1795 roku ogłoszone zostają zapowiedzi małżeństwa, a w następnych dniach Dyrektoriat decyduje się powierzyć mu naczelne dowództwo armii Włoch.

- To wiano Barrasa - powtarzają zawistni.

Każę zamilknąć Ludwikowi i Junotowi, oburzonym na te plotki.

Czy musi im wyjaśniać, że stawiają go na czele armii Włoch, ponieważ generałowie Scherer, Augereau, Sérurier, Masseña i paru innych nie odnieśli rozstrzygających zwycięstw, i że Dyrektoriat chce sukcesu i łupów, ponieważ skarbiec jest pusty i zadaniem Napoleona jest zwyciężyć, aby go napelnić.

23 lutego postanowienie o nominacji do armii Włoch jest gotowe. Dwa dni później Dyrektoriat mianuje generała Hatry'ego na stanowisko dowódcy armii Wewnętrznej.

Są to gorączkowe dni. Napoleon przekazuje swoje dotychczasowe dowództwo, a jednocześnie wyznacza adiutantów i przygotowuje plany swej kampanii.

Wieczorami wyklada swoje zamiary w salonie i buduarze Józefiny w pałacu przy ulicy Chantierine. Piesek Fortuné, ze wstążką zawiązaną wokół szyi, podskakuje i ujada, gdy Napoleon porywa Józefinę i popycha ją na łóżko, władczy i namiętny.

Czasami wyczuwa, że jest powściągliwa i tylko mu ulega. To go niepokoi. Przecież za parę dni będzie jego żoną. Obejmuje ją z uniesieniem. Czy ona potrafi sobie wyobrazić siłę jego uczuć? Józefina uśmiecha się z zaciśniętymi ustami.

Ściska ją. Będzie jego żoną.

Potrzebny jest kontrakt małżeński. Józefina odmładza się o cztery lata, on wie o tym. Sam dodaje sobie osiemnaście miesięcy. Jakie znaczenie mają takie szczegóły? Chce tego małżeństwa.

Kiedy pan Raguideau czyta, że przyszły małżonek „oświadcza, iż nie posiada żadnych budynków ani żadnych nieruchomości, jedynie swoją garderobę i ekwipunek wojskowy", Napoleon wstaje, czyta ponownie to zdanie i żąda, aby je wykreślić. Wprowadza się separację majątkową między małżonkami. W razie śmierci Napoleona Józefina otrzyma tysiąc pięćset liwrów. Zachowa prawo do opieki nad swoimi dziećmi Hortensją i Eugeniuszem. Akt wylicza listę wyprawy, jaką ona wnosi: cztery tuziny koszul, sześć

halek, dwanaście par jedwabnych pończoch... Napoleon zdaje się nie słuchać, lecz zastyga w zdziwieniu, gdy okazuje się, że wśród dóbr Józefiny znajduje się także para karych koni i kolaska.

To Barras nakazał przekazanie tego ekwipażu przez stajnie narodowe jako odszkodowanie za dobra utracone przez generała Beauharnais'go za czasów Terroru.

9 marca 1796 roku (19 ventôse'a IV roku republiki), w dniu ślubu, który ma się odbyć o dziewiątej wieczorem w merostwie przy ulicy d'Antin, Napoleon zebrał swoich adiutantów. Rozdziela między nich zadania. Nominacja na dowódcę armii Włoch została oficjalnie wręczona 2 marca. Wyjazd do Nicei, siedziby sztabu głównego, wyznaczono na 11 marca. Adiutanci muszą przygotować miejsca postojów, kwatery dla Napoleona, muszą zebrać generałów.

Wtem Napoleon podnosi głowę i podskakuje. Jest już po dziewiątej, w merostwie Barras, Tallien i Józefina muszą się już niecierpliwić. Napoleon pędzi z jednym ze swoich adiutantów, Le Marois'm. Już wcześniej podarował Józefinie mały pierścionek z szafirem, który odegrać ma rolę ślubnej obrączki. Wewnątrz wygrawerowane są słowa: *Au destin*. „Przeznaczeniu”.

Gdy przybywa do merostwa, jest już dziesiąta. Biegiem pokonuje schody. Wszyscy już czekają. Mer Le Clerq drzemie w świetle świec. Napoleon potrząsa nim. Rozpoczyna się krótka ceremonia. Józefina cicho wypowiada swoją zgodę, „tak” - mówi dźwięcznym głosem Napoleon.

Później wyprowadza Józefinę.

Należy do niego na dwie noce.

11 marca w towarzystwie swego brata Ludwika, Junota i skarbnika Chauveta Napoleon wyrusza do sztabu generalnego armii Włoch.

Józefina wychodzi na schody. Napoleon przesyła jej znak.

Jest moja.

Tak jak będą Włochy.

CZEŚĆ SZÓSTA

WIDZĘ ŚWIAT Z GÓRY...

27 MARCA 1796 - 5 GRUDNIA 1797

Rozdział 21

W dyliżansie pocztowym Napoleon milczy. Na postoju gestem pokazuje Junotowi, aby przyniósł mu papier, atrament i pióro, a następnie przechodzi do sali, gdzie będzie podana kolacja. Zasiada za małym stolikiem, pisze.

Rozstanie z Józefiną jest bolesne. Potrzebuje jej. Chciałby czuć jej ciało przy swoim. Buntuje się przeciw tej sytuacji, odczuwa ją jak okaleczenie.

Chce mieć wszystko jednocześnie. Józefinę i dowództwo armii Włoch.

Czemu musi być tak, że aby cokolwiek osiągnąć, trzeba poświęcić tak wiele? To głupie i niesprawiedliwe, nie można się na to zgodzić.

Podróż do Nicei zdaje się nie mieć końca! Przyjazd przewidziany jest dopiero na koniec marca. Dyliżans ma postoje w Fontainebleu, Sens, Troyes, Châtillon, Chanceaux, Lyonie, Valence. Na dwa dni zatrzymuje się Napoleon w Marsylii, żeby odwiedzić matkę.

Na każdym postoju ogarnia go chęć powrotu do Paryża, wyrwania Józefiny z jej buduaru, od jej przyjaciół i zmuszenia, aby mu towarzyszyła.

Ale jeszcze na to za wcześnie. Józefina przyjedzie później. Na razie stoi przed nim trudne zadanie. Armia Włoch jest najgorzej zaopatrzona ze wszystkich wojsk republiki. Miała odgrywać jedynie drugorzędną rolę, wiązać część sił austriackich, aby wielkie i dysponujące wszystkimi środkami armie Renu generałów Moreau czy Pichegru mogły odnieść decydujące zwycięstwo nad Wiedniem.

Zwyciężyć przy pomocy tych trzydziestu tysięcy żołnierzy armii Włoch - to wyzwanie, które musi podjąć i na myśl o tym wpada w gorączkowe podniecenie. Odczuwa uniesienie, czuje, jakby porywała go jakaś fala.

Wzywa Junota, żąda dokumentu, który 6 marca wręczył mu Carnot, zatytułowanego *Instrukcja dla głównodowodzącego armii Włoch*. Czyta go na nowo. Rozpoznaje pomysły, które tak często przedstawiał Augustynowi Robespierre'owi, Doulcetowi de Pontécoulantowi, a także Carnotowi: „Samo zaatakowanie Piemontu nie pozwoliłoby osiągnąć celu, jaki stawia sobie Dyrektoriat, tzn. wyparcia Austriaków z Włoch i jak najszybszego doprowadzenia do trwałego i chwalebego pokoju [...]. Głównodowodzący nie może tracić z pola widzenia, że celem zasadniczym jest zaszkożenie Austriakom”.

Kilku ostatnich linijek nie może czytać bez szyderczego uśmieszku: „Na zakończenie *Instrukcji* Dyrektoriat podkreśla, że konieczne jest utrzymywanie armii Włoch w krajach przeciwnika i na ich koszt, oraz zaopatrywanie jej z miejscowych zasobów we wszystkie rzeczy, jakich może potrzebować. Będzie trzeba nałożyć znaczne kontrybucje, z których połowa zostanie złożona w kasach przeznaczonych do wypłacania gotówką żołdu i kosztów utrzymania armii”.

Zabierać Włochom, co tylko można, wrywać siłą wszystko, czego się potrzebuje: oto sens tej instrukcji. Za pomocą grabieży wykarmić, opłacić i uzbroić żołnierzy oraz napełnić skarbiec Dyrektoriatu.

Zgoda, taka jest wojna. Taka jest potęga broni.

Składa pismo. I znowu czuje się tak, jakby ześlizgiwał się z grzbietu fali w dolinę, przechodził od egzaltacji do przygnębienia.

Chwyta ponownie za pióro. Wciąż widzi Józefinę.

„Wczoraj pisałem do Ciebie z Châtillon... Z każdą chwilą oddalam się od Ciebie, uroczą przyjaciółko, i z każdą chwilą znajduję mniej siły, aby znieść oddalenie od Ciebie. Jesteś stale obecna w moich myślach; moja wyobraźnia daremnie stara się odgadnąć, co robisz w tej chwili. Gdy myślę, że jesteś smutna, serce mi się kraje i mój ból się wzmacnia; jeśli zdaje mi się, że jesteś wesoła, swa-

wolna ze swymi przyjaciółmi, robię Ci wymówki, że tak szybko zapomniałeś o tym bolesnym rozstaniu; widocznie jesteś więc płocha i nie ożywia Cię wcale głębokie uczucie.

Jak widzisz, niełatwo mnie zadowolić [...]. Żałuję, że z taką szybkością oddalam się od Ciebie [...]. Niech mój duch opiekuńczy, który zawsze mnie chronił wśród największych niebezpieczeństw, chroni Cię i osłania, zwierzam Ci się tu bez obsłonek. Ach, nie bądź wesoła, lecz trochę melancholijna [...]. Napisz do mnie, moja czuła przyjaciółko, napisz długi list i przyjmij tysiąc i jeden pocałunków najczulszej i najprawdziwszej miłości".

Pieczętuje list, nie czytając go ponownie, i pisze na nim adres:

„Do obywatelki Beauharnais, ulica Chantereine numer 6 w Paryżu".

Bez słowa wręcza list Junotowi.

I miałby chęć znowu zacząć pisać od początku. Trzeba jednak zaczekać na następny postój.

Oto już Marsylia. Dylizans posuwa się powoli w ciasnych zatłoczonych ulicach schodzących ku portowym nabrzeżom. Napoleon rozpoznaje zapach słonych ryb, odór zgniłych owoców. Te wonie przywiewane chłodnym wiatrem, takie same jakie czuł w uliczce Pavillon, kiedy odwiedzał rodzinę, przynoszą mu wspomnienie niedawnej przeszłości.

Dzięki niemu życie jego bliskich się odmieniło. Spełnił swój obowiązek i jest z tego dumny. Matka, bracia i siostry mogli się wyprowadzić z nędznego mieszkania przy ulicy Pavillon, a także z hôtel de Cypiéres - okazałego, surowego budynku, w którym zakwaterowani są korsykańscy emigranci. Letycja mieszkała tam przez trzynaście miesięcy, utrzymując się z zasiłków wypłacanych przez miejscowy dyrektoriat.

Nie będzie już musiała znosić takiego życia, nigdy więcej.

Powóz przystaje przed numerem 17 na ulicy de Romę, kilkadziesiąt metrów od hôtel de Cypiéres. Napoleon wysiada, patrzy na fasadę imponującej mieszczańskiej rezydencji. Teraz jego matka mieszka tutaj, w jednym z najpiękniejszych i największych apartamentów w Marsylii.

To dzięki niemu, swemu synowi, mogła sobie na to pozwolić.

Spieszą ku niemu siostry Paulina i Karolina, które stały się dzięki bratu eleganckimi młodymi damami. Zasypują go pytaniami o ślub i małżonkę. Letycja z surową miną czeka, aż syn podejdzie i pozwoli się uściskać. Czyni to z czułością i respektem. Matka mu się przygląda. Napoleon czuje na sobie jej podejrzliwy, badawczy wzrok, szukający jakby śladów kompromitacji czy nawet zdrady. On doskonale wie, że matka nie aprobuje małżeństwa z „tą kobietą”, która, jak jej powiedział, ma już dwójkę dzieci, jest o sześć lat starsza od Napoleona i miała wielu kochanków, w tym niewątpliwie Barrasa. Spryciara, która potrafiła dzięki swoim sztuczkom kurtyzany uwieść, omotać i odebrać jej syna.

Letycja jednak nic nie mówi. Bierze szybko list od Józefiny, który - wręcza jej Napoleon. Oczywiście, że odpowie, mruczy, wkładając list „tej drugiej” do kieszeni.

- Jesteś więc wielkim generałem - mówi, ujmując syna za ramiona i popychając w stronę okna, aby zobaczyć go w pełnym świetle.

Napoleon uwielbia ten pełen podziwu wzrok matki. Opowiada, co udało mu się załatwić dla Hieronima, Lucjana, Józefa, dla wuja Fescha. Czy matka i siostry otrzymały pieniądze? Czy „szmatki” im się podobały?

Matka go obejmuje. „Mój syn”. Zaklina go, aby się nie narażał.

On przyciska ją do siebie. Niech jak najdłużej żyje, on jej potrzebuje.

- Gdybyś ty umarła, nie byłoby już na świecie nikogo stojącego wyżej ode mnie - mówi Napoleon.

Zamieszkuje w pałacu des Princes przy ulicy Beauvau, w swej kwaterze głównej. Przyjmuje przedstawicieli lokalnych władz. Kiedy zbliża się do niego jakiś oficer czy nawet reprezentant ludu Fréron, ten sam Fréron, u którego tyle razy o coś zabiegał, Napoleon osadza ich wzrokiem na miejscu, zmuszając do zatrzymania.

Podczas kolacji, którą Fréron wydał na jego cześć, Napoleon jest milczący, jego twarz jest surowa. Jest głównodowodzącym. Pogardliwym ruchem głowy zmusza do umilknięcia Frérona, który

pozwała sobie na poufałość i wspomina o swoim zamiarze poślubienia Pauliny.

Nazajutrz przed odjazdem Napoleon dokonuje przeglądu wojsk garnizonu Marsylii. W oczach żołnierzy, sierżantów i kapitanów dostrzega ironiczne zdziwienie. Kto to jest ten generał? Artylerzysta. Mówi się o nim „matematyk i marzyciel”, intrygant, generał vendémiaire'a. Co on potrafi? Dowodzić ogniem dział strzelających kartaczami do tłumu? Niech przyjedzie i zobaczy, jak wygląda pole prawdziwej bitwy!

Napoleon przystaje przed niektórymi żołnierzami. Zmusza ich do spuszczenia wzroku. Są podwładnymi, są niżej. Nie tylko dlatego, że jest głównodowodzącym generałem, ale także dlatego, że jego umysł ich ogarnia, są elementem jego planów, podczas gdy oni nie potrafią go pojąć. Ci ludzie nie potrafią zrozumieć, kim on jest i do czego jest zdolny.

Są od niego niżej, ponieważ to on nakreśla w wyobraźni przyszłość, on zdecydował, co się z nimi stanie, zdecydował o ich życiu i śmierci, postanowi posłać ich do ataku albo pozostawi z bronią u nogi.

Jak można żyć, nie komenderując ludźmi?

Cała armia Włoch musi spuszczać przed nim wzrok, musi być posłuszna.

Lecz kiedy 27 marca 1796 roku w Nicei, przy ulicy Saint-Francois-de-Paule, wysiada z karety, wartownicy nawet mu nie salutują.

Napoleon przystaje.

Budynek jest piękny. Jasna klatka schodowa podtrzymywana jest przez marmurowe kolumny. Wysokie okna zdobią witraże. Zbliży się oficer, przedstawia się. Napoleon przygląda mu się, powtarza jego nazwisko: „porucznik Joubert”. Oficer wyjaśnia, że to jeden z najbardziej komfortowych domów w Nicei, położony naprzeciwko siedziby administracji wojska. Napoleon odwraca się i pokazuje obdartych żołnierzy w dziurawych butach, którzy przypominają - jego głos się podnosi - „rozbójników”.

Joubert waha się, Napoleon zaczyna wchodzić na schody.

- Zostawia się armię bez pieniędzy - mówi Joubert - na łasce łajdaków, którzy nami zarządzają. Nasi żołnierze to obywatele. Mają niezmordowaną odwagę, są cierpliwi, ale umierają z głodu

i chorób. Nas nie traktuje się tak dobrze jak panów z armii Renu.

Napoleon wchodzi do zarezerwowanego dla niego apartamentu na drugim piętrze. Pokoje zalane są słońcem. Na wschodzie widać wyrastającą ze skały wieżę fortecy, która strzeże zatoki Des Anges. Morze połyskuje.

Joubert zatrzymuje się na progu.

- Rząd spodziewa się po naszej armii wielkich rzeczy - mówi Napoleon. - Trzeba ich dokonać i wyciągnąć ojczyznę z kryzysu, w którym się znalazła.

Dowodzić tymi ludźmi, zrobić znowu armię z tej nędznej hołoty. Natychmiast zabiera się do pracy, dyktuje Junotowi, pisze, wydaje rozkazy.

- Może się zdarzyć, że któregoś dnia przegram bitwę, ale nigdy nie stracę ani minuty przez lenistwo i zadufanie - mówi.

Nic nie pomogą skargi, narzekania na stan wojska, żal, że nie dysponuje się lepszym. Trzeba wygrać z pomocą tych ludzi. Nigdy nie ma żadnego usprawiedliwienia dla porażki, żadnej litości dla przegranych.

- Żołnierz bez chleba dopuszcza się ekscesów, które każą się wstydzić, że jest się człowiekiem - rzuca. - Ukarzę niektórych przykładnie albo przestanę dowodzić tymi rozbójnikami.

Każę rozłożyć na stole torby zawierające dwa tysiące złotych ludwików, które Dyrektoriat dał mu na prowadzenie kampanii. Jałmużna. Ale pieniądze przyjdą z podbojami.

Niech wojsko się zgromadzi.

Oficerowie dziwią się. W tej chwili?

- Nigdy nie tracę ani minuty - powtarza Napoleon.

Widzi wchodzących generałów. Stoi na szeroko rozstawionych nogach, w pierogu na głowie, ze szablą przy boku. Ogniskują się na nim spojrzenia pełne zazdrości, wyniosłości i poczucia krzywdy. Każdy z tych ludzi - Sérurier, Laharpe, Masséna, Scherer, a zwłaszcza Augereau, ze swym wzrostem i postawą zapaśnika - każdy z nich uważa, że ma większe niż Napoleon prawo do zajmowania stanowiska naczelnego dowódcy.

Wszyscy oni zostali już wypróbowani. Kim jest ten dwudziestosiemioletni generał, który nigdy nie dowodził żadną armią, jedynie policją w służbie Konwentu? Augereau mierzy go wzrokiem.

Napoleon postępuje o krok. Ci ludzie tutaj są jedynie kulami armatnimi, to on jest artylerzystą, który wyda komendę „ognia!”. Przygląda im się po kolei. Jest to za każdym razem próba sił. Wzbiera w nim ciepła, drżąca radość, kiedy Masséna, a później Scherer spuszcza ją oczy. Po kolei poddają się pozostali. Augereau wytrzymuje kilka chwil dłużej.

Napoleon zdaje się mówić mu spojrzeniem: „Pańskie pięć stóp i sześć cali wzrostu wcale panu nie pomogą, jeśli każę go natychmiast rozstrzelać”. Tamten czuje, że Napoleon jest zdecydowany i gotów na wszystko. To właśnie znaczy dowodzić.

Augereau spuszcza wzrok.

Generałowie wychodzą. Napoleon słyszy, jak Masséna wykrzykuje: „Temu małemu generałowi zdaje się, że cię zmiażdży jednym spojrzeniem, zdaje mu się, że wzbudza strach”.

Zmiażdżę ich.

Napoleon zasiada za stołem do pracy, zwrócony twarzą do zatoki. Dowodzić to znaczy także pisać, ponieważ słowa są czynami.

„Nie macie pojęcia o sytuacji administracyjnej i militarnej armii - pisze do Dyrektoriatu. - Wojsko jest podburzane przez złośliwych. Nie ma chleba, upada dyscyplina i subordynacja [...]. Chciwość dostawców sprawia, że brakuje absolutnie wszystkiego [...]. Zapowiadana suma sześciuset tysięcy liwrów nie dotarła”.

Przerywa pisanie.

Dowodzenie w takiej sytuacji, kiedy w Piemontcie i Lombardii zgromadzonych jest blisko sześćdziesiąt tysięcy wojsk austro-sardyńskich, to pierwsza wielka próba. Jeśli jestem tym, kim się czuję, to odniosę zwycięstwo, pokonam kolejny stopień. W stronę czego? Do przodu. Znow nie ma innego wyboru, niż iść naprzód, radzić sobie za pomocą tego, co jest do dyspozycji.

Ponownie chwyta za pióro: „Tu - pisze - trzeba działać zdecydowanie, trzeba niektórych rozstrzelać”. Później dorzuca, zgniatając pióro i stawiając litery o mocnych liniach: „Pomimo tego wszystkiego wyruszymy”.

Do pracy. Działać. Działać.

Napoleon zaczyna dyktować, zanim jeszcze nowy adiutant

Berthier zdąży zasiąść za stołem. Ma wrażenie, że odczytuje tekst, który przesuwa mu się przed oczami. Tak jakby myśl wyrażała się od razu w słowach, bez potrzeby formułowania jej w głowie.

Potrzebny jest warsztat z setką robotników na naprawy broni. Wszędzie należy dopilnować, aby co drugi dzień przydzielane było świeże mięso. Sumy, którymi dysponują komisarze wojenni, trzeba włączyć do kasy armii. Nie wolno zmniejszać racji żywnościowych dla ludzi i koni bez wyraźnej zgody. Niech generał Berthier wskaże oficerów i żołnierzy, którzy się wyróżnili.

Napoleon przestaje spacerować. Zamyśla się nagle.

- Od triumfu do upadku jest tylko jeden krok - mówi. - W największych wydarzeniach decydowały zawsze drobiazgi. - Podchodzi do stołu, na którym porozkładane są mapy i plany. - Przewrotność, roztropność - mówi cicho - tylko sprytem można dojść do czegoś wielkiego i pokonać wszystkie przeszkody, inaczej nie osiągnie się sukcesu w niczym.

Zbliża się doń Berthier.

- Moja decyzja zapadła - mówi Napoleon.

Palcem wodzi po liniach wybranych dla ataku. Te plany kosztowały go całą bezsenną noc. Noc, podczas której wyolbrzymiał „wszelkie niebezpieczeństwa i wszelkie możliwe nieszczęścia”, noc bolesnego niepokoju. Ale teraz to wszystko poszło w zapomnienie, pozostało tylko to, co należy zrobić, aby plany się powiodły.

Trzyma palec nad mapą, jego wyciągnięta ręka jest nieruchoma, wewnątrz jednak odczuwa Napoleon podniecenie tak żywe, jak wówczas gdy rozwiązywał zadanie z matematyki. Zdaje mu się, jakby każda część jego ciała wibrowała, lecz nic z tego nie przenika na zewnątrz.

Podchodzi do okna.

- Sekret wielkich bitew polega na tym, aby umieć rozciągnąć albo skoncentrować wojska stosownie do potrzeb - mówi, nie patrząc na Berthiera.

Odprawiając go, dodaje:

- To są osie, które posłużą do wykreślenia krzywej.

Naraz spada na niego zmęczenie i wyczerpanie, odczuwa chłód i samotność wśród padającej nocy, nie może zasnąć, gdyż myśli

wciąż szybko wirują, niesione własnym rozpędem. Jedynie rozkosz, ufność w ofiarowujące się ciało mogłaby na parę chwil uciszyć ten natłok pytań, które należy wyrzucić z siebie. Pisz do Józefiny: „Czym jest przyszłość? Czym jest przeszłość? Kim my jesteśmy? Jakiż to magiczny fluid otacza nas i skrywa przed nami to wszystko, co przede wszystkim powinniśmy wiedzieć?”

Pragnie jej, rozłąka tak się dłuży! Czemu życie musi być tak rozdarte?

„Jeśli pewnego dnia przestaniesz mnie kochać, powiedz mi to. Zasłużyłbym wówczas na nieszczęście. Prawda, szczerłość bez granic [...]. Józefino! Józefino! Czy pamiętasz, co Ci czasami mówiłem? Natura obdarzyła mnie duszą silną i zdecydowaną; Ciebie utkała z koronek i z gazy. Przestałaś mnie kochać? [...] Żegnaj, żegnaj, położę się spać bez Ciebie i będę spać bez Ciebie. Proszę Cię, pozwól mi spać. Już od wielu nocy czuję Ciebie w moich ramionach. Szczęśliwy sen, ale to nie Ty!”

Chodzi po pokoju, jakby chciał się uwolnić od obsesji, która się go uczepiła i której nie może odegnąć. Co ona tam robi? Czy myśli o nim?

Znowu piecze go skóra.

Otwiera drzwi. Niech zawołają adiutantów.

Nazajutrz rano wojska są zgromadzone. Zbliżając się, słyszy gwar. Widzi, jak szeregi falują, ponieważ żołnierze wychylają się, aby go dojrzeć. Mundury są niejednolite. Nawet oficerowie stojący na czele swoich żołnierzy mają wygląd rozbójników.

Gwar nie cichnie, gdy podjeżdża do pierwszych szeregów. To nowa próba sił. Ściąga wodze swego konia, prostuje się. Dominuje nad tym kłębowiskiem ludzi, którzy zwracają ku niemu twarze. Trzeba z tej zbieraniny zrobić armię. Takiej samej przemiany musiał kiedyś dokonać w Tulonie. Ale tutaj zadanie jest trudniejsze i większe. Jest naczelnym dowódcą.

- Żołnierze - woła - jesteście obdarci, źle odżywieni! Rząd zawdzięcza wam wiele, nie może dać wam nic.

Gwar narasta. Znalazł się na tym morzu, więc musi utrzymać ster.

- Wasza cierpliwość, odwaga, jaką wykazujecie wśród tych strat,

są godne podziwu - ciągnie. - Jednak nie przynoszą wam one żadnej chwały, nie spływa na was żadna sława.

Hałas się ucisza. Słuchają go.

-Chcę...

Przebiega wzrokiem obszar cienia, gdzie słońce połyskuje na lufach karabinów.

- Chcę was poprowadzić na najbardziej żyzne równiny świata. Bogate prowincje i wielkie miasta znajdują się w waszej mocy... W waszej mocy.

Na placu, pomiędzy domami o fasadach koloru ochry, panuje teraz cisza.

- Znajdziecie tam honor, sławę i bogactwa. Bogactwa! Żołnierze armii Włoch, czyżby miało zbraknąć wam odwagi i wytrwałości?

Jego koń niecierpliwie grzebie kopytami. Nagle cisza pęka. Morze wzbiera nieokreślonym poszumem, w którym nie sposób rozróżnić akceptacji i odmowy.

Wieczorem, siedząc naprzeciw generała Scherera, swego poprzednika, słucha oficera objaśniającego szczegółowo sytuację na różnych frontach. Później Scherer komentuje poranne przemówienie. „Żołnierze przyjęli je dobrze” - mówi.

Jak można znieść jakąkolwiek niepewność?

"Wojsko powinno być związane ze swym dowódcą jak planety ze Słońcem.

Jak można liczyć na wojsko, w którym każdy żołnierz, każdy oddział i każdy oficer robią to, co uważają za stosowne, i myślą o sobie, zamiast słuchać rozkazów?

Całej nocy nie wystarczy, aby Napoleon się uspokoił.

Rankiem Berthier informuje go, że obozujący na placu Republique 3- batalion z 209. półbrygady zbuntował się. Napoleon podskakuje.

W asyście swych adiutantów zbiega po schodach, przejeżdża ulice i staje twarzą w twarz ze zbuntowanymi żołnierzami i wahającymi się oficerami.

Lepiej zginąć, niż zgodzić się na nieposłuszeństwo.

Stary żołnierz, który nie ośmiela się patrzeć mu w twarz, rzuca-

-Gada nam głupoty o tych żyznych równinach! Niech na początek da nam buty, żebyśmy tam doszli!

Napoleon wchodzi między żołnierzy, jest sam. Jest jak ostrze, które wchodzi w miękkie ciało.

- Postawić przed sąd wojskowy grenadierów, którzy wszczęli bunt... - zaczyna. - Aresztować dowódcę. Wszyscy oficerowie i podoficerowie oddziału, którzy się nie odzywali, są winni.

Gwar cichnie, żołnierze ustawiają się w szeregu. Oficerowie spuszczaają głowy.

Teraz mogą zwyciężać.

2 kwietnia 1796 roku Napoleon wyrusza w stronę Villefranche. Po kilkuset metrach zatrzymuje się przed budynkiem otoczonym ogrodem. Wojska przechodzą, maszerując lekkim krokiem. Ma tych ludzi w garści. Będą się bili. Zgodzą się na śmierć. Wczoraj kazał rozstrzelać maruderów i rozdać wódkę, a generałom złote ludwiki.

Drzwi domu otwierają się. To hrabia Laurenti i jego córka Émilie. Minęło zaledwie osiemnaście miesięcy ocl czasu, gdy tutaj, w tym domu, został aresztowany. Kto może stanąć mu na drodze? Tylko śmierć, ale śmierć wydaje mu się niemożliwa. Nie ma jeszcze dwudziestu siedmiu lat.

Otoczają go oficerowie. Wybrana przez niego droga wzdłuż urwistego brzegu jest narażona na ogień dział z angielskich okrętów, które krążą niedaleko wybrzeży. Nie jest rozsądnie obierać tę drogę - mówią. Napoleon zdaje się nie słyszeć, ściska Laurentiego i jego córkę.

Dowódca musi dawać przykład i bez wahania maszerować pod ogniem.

Wskakuje zwawo na konia i na czele swego sztabu jedzie drogą wzdłuż urwiska. Białe klify spadają pionowo aż do spokojnego morza. Na horyzoncie nie widać żadnych żagli.

Napoleon odwraca się do Berthiera, który cwałuje o koński łeb za nim.

- Brawura - stwierdza - wiedzie do sukcesu równie często jak do porażki: w życiu są równe szanse... a na wojnie szczęście to połowa sukcesu we wszystkim. - Milczy chwilę, po czym doda-

je: - Na wojnie odwaga jest najpiękniejszą kalkulacją geniuszu...
Najlepiej zdać się na przeznaczenie.

3 kwietnia kwatery główna jest w Mentonie, a 5 w Albendze.

Generalowie zebrali się wokół niego w wielkim białym pokoju, przed dużym stołem, na którym porozkładane są mapy. Ich ciała, twarze, broń, mundury wyrażają siłę i władzę.

Ale nie ośmielają się na mnie spojrzeć.

- Hannibal przeszedł Alpy - mówi Napoleon. - My je ominęliśmy.
Kampania włoska może się rozpocząć.

Rozdział 22

Napoleon obserwuje bataliony grenadierów wchodzących szybkim krokiem na wąską drogę ku przełęczy Cadibona. Droga wspina się stromym zboczem, pasmo gór wznosi się ponad morzem jak wysoka ściana oddzielająca śródziemnomorskie wybrzeże Piemontu od Lombardii.

Ściąga wodze swego wierzchowca. Rzą konie oficerów sztabu. Jest świt 10 kwietnia 1796 roku, od gór wieje wiatr, przynosząc zimny zapach lasów i łąk, pochylając drzewa laurowe i kwiaty na brzegu morza.

Po tej stronie panuje jeszcze pokój, za przełęczą zacznie się wojna.

Wojska austriackie generałów Beaulieu i Argenteau oczekują w pobliżu przełęczy, w Montenotte i Dego. Piemontczycy generała Collego cofnięci są nieco na zachód, stacjonują w Millesimo, i jeszcze wyżej w górach, w Mondovi.

Napoleon kieruje konia na drogę. Oficerowie jadą za nim, żołnierze drepczą w miejscu, przepuszczając sztab, potem znów zaczynają maszerować.

Napoleon nie patrzy w dół na żołnierzy, którzy rozstępują się, rozwierając szeregi, aby umożliwić mu przejazd. Trzeba umieć posyłać tych ludzi setkami i tysiącami na śmierć. Od ich poświęcenia zależy realizacja jego projektów.

Przez całą noc w Albendze oddawał się marzeniom. Oczami wyobraźni widział już Austriaków zepchniętych w stronę Lombardii, a Piemontczyków pokonanych i zmuszonych prosić

o pokój. Aby to osiągnąć, trzeba uderzyć w środek, pomiędzy nich, rozdzielić ich i oddzielnie pokonać, a kiedy Piemont będzie już powalony na kolana, trzeba ścigać Austriaków wycofujących się w kierunku doliny Padu, Lodi i Mediolanu.

Wszystko zależy od tych żołnierzy posuwających się poboczami drogi, którzy muszą być przygotowani na śmierć. Muszą maszerować dzień i noc, aby się szybciej przedostać z jednego miejsca na drugie i zaskoczyć wroga tam, gdzie się ich nie spodziewa. Trzeba zawsze mieć przewagę liczebną w miejscu ataku. Jakie wtedy znaczenie ma fakt, że wojska Austriaków i Piemontczyków liczą siedemdziesiąt tysięcy ludzi, skoro żołnierze armii Włoch nacierają z przewagą liczebną tam, gdzie oddziały nieprzyjaciela są najsłabsze!

Napoleon popędza konia. Daje znak oficerom i podoficerom maszerującym wraz ze swymi żołnierzami. Trzeba przyspieszyć kroku. Oddalając się, słyszy, jak padają rozkazy przyspieszenia tempa marszu. Maszerować, aby zginąć, maszerować, aby zabijać.

Dowodzić to wiedzieć, gdzie pośle się ludzi na śmierć i gdzie będzie się zabijać ludzi. Dowodzić to umieć umrzeć. Umieć nakazać poświęcenie. Aby to osiągnąć, myśl musi być napięta jak łuk, słowa muszą wylatywać jak strzały.

Na południe od Montenotte toczy się bój. Kto tam jest? Dowódca brygady Rampon, który odpiera ataki Austriaków dowodzonych przez Argenteau. Napoleon wychodzi z namiotu. Pole bitwy zasnuwane jest dymem. To moment decyzji. Generał Masséna musi okrążyć z boku i z tyłu austriackiego generała, a Laharpe zaatakować go od czoła. Adiutanci rzucają się w drogę.

Umieć czekać.

12 kwietnia Austriacy zostają pokonani pod Montenotte. W ciągu następnych trzech dni spotyka ich to samo pod Millesimo i pod Deigo.

Napoleon siedzi na skrzynce pokrytej ciemnoczerwonym dywanem. Wzięto dwa tysiące sześciuset jeńców, po stronie austriackiej zostało zabitych około ośmiu tysięcy żołnierzy, po francuskiej tysiąc.

Zbliża się Rampon cały we krwi i błocie. Wojna to zapominać

o poległych i gratulować żyjącym. Napoleon uderza szablą ramię Rampona i awansuje go na stopień generała brygady. Później, chodząc z rękami założonymi na plecy, wysłuchuje raportów. Żołnierze rozproszyli się w poszukiwaniu jedzenia i picia. Masséna musiał zbierać na nowo swoich ludzi, z których wielu pouciekało podczas walk wokół Dego. Zdarzały się przypadki grabieży.

Jak można walczyć: ginąć lub zabijać, gdy upada dyscyplina? Napoleon przywołuje Berthiera, dyktuje rozkaz.

„Dowódca naczelny dowiaduje się ze zgrozą o odrażających aktach grabieży popełnianych przez zdeprawowanych ludzi, którzy pojawiali się w swoich oddziałach dopiero po bitwie [...]. Rozstrzelać natychmiast oficerów lub żołnierzy, którzy swoim przykładem pobudzali innych do grabieży i tym samym naruszali dyscyplinę, siali zamęt w armii i pozbawili się honoru i sławy [...].”

Uściśla jeszcze: „Należy zedrzeć z tych ludzi mundur, mają być w opinii swoich współobywateli napiętnowani jako tchórze”.

Potem pochyla się nad mapami, precyzyjnym ruchem kreśli strzałki. Trzy zwycięstwa w ciągu czterech dni. Sam się dziwi, że nie odczuwa radości. Porażka byłaby czymś nie do zniesienia, lecz zwycięstwo wcale nie upaja. Zawsze jest przecież następna bitwa. Nie ma końca czynom, dopóki się żyje.

- Kolej na Piemontczyków generała Collego - mówi Napoleon.

Nie śpi wcale lub najwyżej tylko po parę minut i budzi się rześki, choć nieco bledszy, mówi zdaniami jeszcze krótszymi niż zwykle, jakby jego myśli dojrzały przez noc.

21 kwietnia Colli zostaje pokonany pod Mondovi, ale i tym razem Napoleon nie odczuwa radości zwycięstwa.

Wojska znowu się rozproszyły, żeby rabować. Trzeba surowo karać. Rozstrzeliwać, degradować. Jeśli nie przytrzyma się żołnierzy żelazną ręką, to jak mieliby się pogodzić z tym, że idą na śmierć?

Napoleon przechadza się po obozie. Naraz żołnierze i oficerowie krzyczą: „Niech żyje generał Bonaparte!”. Zjawiają się parlamentariusze Collego, aby prosić o zawieszenie broni.

Przychodzą do mnie.

Nikły płomyk radości.

25 kwietnia w Cherasco przed Napoleonem zjawiają się wysłannicy króla Piemontu i Sardynii, Wiktora Amadeusza III. Są godni i pełni szacunku. Nazywają się Salier de La Tour i Costa de Beauregard. Napoleon prosi piemonckich arystokratów, aby usiedli. Adiutanci stoją wokół swego generała.

Napoleon przedstawia swoje warunki.

Piemontczycy muszą poddać trzy fortece: Cuneo, Tortone, Alessandrię oraz przeprawę przez Pad w Valenzie. Muszą dostarczyć armii francuskiej wszelkich niezbędnych zapasów. Warunki pokoju omawiane będą w Paryżu, gdyż - mówi - na razie jest tylko generałem dowodzącym jedną z armii Republiki Francuskiej. Piemontcy posłowie zgadzają się, ale zaczynają dyskutować nad stawianymi warunkami.

- Panowie - Napoleon ledwie otwiera usta - ostrzegam was, że został wydany rozkaz generalnego ataku o drugiej i że ten atak nie opóźni się ani o jedną chwilę.

Krzyżuje ręce i czeka. Jest silny potęgą zbrojną, ale także siłą swego zdecydowania oraz strachu, jaki wzbudza.

26 kwietnia przed świtem Piemontczycy podpisują zawieszenie broni. Napoleon słyszy okrzyki żołnierzy: „Niech żyje generał Bonaparte!”.

Jak łatwo narzucić swoje prawa innym, kiedy się jest zwycięskim wodzem.

O świcie jest cicho. Napoleon w otoczeniu kilku oficerów wyjeżdża z budynku, w którym ulokował się sztab. Ulice Cherasco zatłoczone są wozami i wózkami na dwóch kołach, w których na świeżym sianie leżą ranni. Niektórzy jęczą, ich kikuty krwawią. Żołnierze siedzą wprost na chodnikach, oparci o ściany domów.

Po dotarciu do końca ulicy Napoleon posuwa się w stronę cypla, który dominuje nad krajobrazem. Doliny i rozlewiska rzek Tanaro i Stury zaściela błękitnawa mgła. Na polu leżą pokotem zabici żołnierze. Pomiędzy nimi jak sępy krążą przygarbieni ludzie i kiedy się prostują, trzymają naręcza pałaszy i torby wypełnione amunicją. To, co się dokonało, co jest martwe, już nie istnieje. Liczy się tylko to, co zostało do zrobienia.

Napoleon zwawym krokiem powraca do siedziby sztabu. Słowa

kłębią się w jego głowie. Byli zabici, byli ranni, uciekinierzy, mordercy i tchórze, były bataliony, które ulegały panice, rabusie, którzy zostali rozstrzelani. Cała wojenna rzeczywistość pełna krwi i błota.

Zatrzymuje się na chwilę przed wózkiem, na którym jeden na drugim położono trzech rannych w stanie agonii. Czy są to tchórze, którzy dostali postrzał w plecy? Złodzieje, zaskoczeni przez oficera i skazani na śmierć? A może bohaterowie? Któż to wie?

Wchodzi do budynku.

Zaczyna dyktować Berthierowi proklamację, którą oficerowie będą musieli przeczytać swoim żołnierzom; zostanie ona wydrukowana i będzie rozdawana wszystkim. To ona stanie się prawdą o tych dniach bitwy. Nie będzie już żadnej innej rzeczywistości niż ta:

„Żołnierze! W ciągu dwóch tygodni odnieśliście sześć zwycięstw, zdobyliście dwadzieścia jeden sztandarów, pięćdziesiąt pięć dział, wiele fortec, podbiliście najbogatszą część Piemontu [...]. Pozbawieni wszystkiego, powetowaliście sobie wszystko; wygrywaliście bitwy, nie mając dział, przechodziliście rzeki bez mostów, odbywaliście forsowne marsze bez butów, biwakowaliście bez wódki, a często i bez chleba. Tylko falangi republikańskie, tylko żołnierze wolności mogą być zdolni wytrzymać to, co wy wytrzymaliście. Dzięki wam za to, żołnierze! Ale to, czego dokonaliście, jest niczym wobec tego, co jeszcze zostało do zrobienia!”

Pochyla się nad stołem, na którym zawsze porozkładane są mapy. Palcem wodzi po liniach, które zostały nakreślone w jego umyśle i które, wie o tym, tylko on jeden może sobie wyobrazić i narysować. Austriacy generała Beaulieu są tu, gdzie wskazują jego palce.

-Jutro... - zaczyna.

Urywa i pokazuje gestem Berthierowi, że ma on sporządzić notatkę dla Dyrektoriatu.

-Jutro idę na Beaulieu, zmuszę go do wycofania się za Pad, przekroczy rzekę zaraz za nim i zawładnę całą Lombardią, a nim minie miesiąc, spodziewam się dotrzeć do gór Tyrolu, połączyć tam z armią Renu i przenieść wspólnie z nią działania wojenne do Bawarii.

Tyle zostało do zrobienia.

Rozdział 23

Napoleon unosi się w strzemionach i ogląda za siebie.

Cherasco jest już tylko ochrowym kształtem na horyzoncie wylaniającym się z mgły, w której brygada grenadierów maszeruje od świtu. Ma zaufanie do tych żołnierzy, sam ich wybrał i oddał pod rozkazy generała Dallemagne'a, który dowodził już grenadierami podczas oblężenia Tulonu. Lecz to Napoleon otwiera kolumnę.

Zaczyna się bitwa o panowanie nad Lombardią i Mediolanem - klejnotem umieszczonym w samym jej sercu. Napoleon chce przeżyć tę bitwę na czele wojska, w kurzawie walki. Nie czuje wcale strachu. Śmierć nie jest mu pisana. Chce pierwszy przekroczyć Pad. Nie przestaje patrzeć na rzekę, jej długie srebrzyste pasmo, szerokie i majestatyczne, strzeżone przez wysokie topole zastygłe na brzegach niby halabardnicy. Na tej samej równinie, kilka mil na północ, w okolicach Pawii, w 1525 roku Franciszek I został pokonany i wzięty do niewoli przez wojska Karola V.

Tutaj królestwo Francji przegrało kiedyś rozgrywkę. Teraz odbędzie się rewanż i to ją go rozegram.

Popędza konia. Jest noc z 6 na 7 maja 1796 roku. Wojsko dociera do Padu w Piacenzy. Słysząc jakieś pojedyncze strzały. Napoleon rzuca się do przodu, grenadierzy za nim. Wróg się wycofuje. Wojska Bonapartego nie zatrzymują się.

O świcie Napoleon widzi przed sobą Lombardię. Słońce przegląda się w wodzie bagien i stawów. Gleba jest żyzna, zabudowania rozległe i masywne.

Oto ziemie urodzaju.

Z dala widać świetlistą wstęgę - to Adda, dopływ Padu. Rozpoznać można też kształty miast Lodi i Cremony, które rysują się nad równiną jak sylwetki okrętów z dzwoniczami zamiast masztów.

9 maja rankiem wojska posuwają się forsownym marszem w kierunku Lodi. Jest tam most, który ma umożliwić armii przeprawę na drugą stronę Addy. Zjawia się adiutant, w mundurze białym od kurzu, i przekazuje wiadomość, że Austriacy przeszli do kontrataku. W nocy panika opanowała wojska generała Laharpe'a. Sam Laharpe padł od kul własnych żołnierzy, którzy wzięli jego święte za oddział kawalerii wroga.

Naprzód, szybciej.

10 maja Napoleon wkracza do Lodi. Tysiące żołnierzy z dywizji Massény i Augereau są już na miejscu. Maszerują uliczkami. Napoleon na czele swej brygady grenadierów kieruje się w stronę spowitego dymem strome go brzegu.

Most na Addzie ostrzeliwany jest amfiladowo przez dwadzieścia austriackich dział strzelających kartaczami. Przeprawa usłana jest ciałami zabitych i rannych. Słychać świst kul. Między jednym brzegiem a drugim trwa wymiana ognia.

Teraz moja kolej.

Porywa go ruch całego ciała, popycha naprzód, ze wzniesioną szablą, na most, pod grad kul i kartaczy.

Musi się przedostać przez most. Po tamtej stronie, na drugim brzegu rzeki czeka przyszłość.

Nie słyszy nic, tylko własne serce walące w piersi od pędu. Grenadierzy biegną za nim. Kawaleria przekracza rzekę w bród powyżej mostu. Wróg zmuszony jest do odwrotu. Żołnierze dyszą oparci o swoje karabiny pośród rozciągniętych ciał. Napoleon na nich patrzy. Podchodzą do niego. Potrafił tak jak oni, jak zwykły szeregowy żołnierz, zaryzykować życie. Wznoszą karabiny i krzyczą. Żyją. Zwyciężyli. Niech żyje generał Bonaparte!

Bił się jak „mały kapral” - mówi o nim jeden z grenadierów. Niech żyje mały kapral!

Tutaj, gdzie został pokonany Franciszek I, na tej równinie nad Padem, on zwyciężył.

Wkracza do Cremony. Żąda od Parmy kontrybucji w wysokości dwóch milionów franków w złocie i dostarczenia tysiąca siedmiuset koni.

Gospodarstwa muszą otworzyć swe spichrze. Miasta swoje kufry i muzea. Parmezan wspaniale smakuje z pszenicznym chlebem i pieniającym się lambrusco. Domy, pałace i kościoły obfitują w obrazy, które całymi taborami wysyła się do Paryża.

Żołnierze śpiewają i śmieją się z wargami czerwonymi od wina. Patrioci włoscy wychodzą Napoleonowi na spotkanie. Słucha krzyków tłumu: *Viva Buonaparte, il liberatore dell'Italia!* „Niech żyje wyzwoliciel Włoch!” Saliceti, komisarz w armii Włoch, Saliceti, skruszony donosiciel, zręczny i podstępny, dopomaga w tym patriotycznym wybuchu na rzecz jedności Włochów. Mediolan poddaje się bez walki.

To miasto, te łuki triumfalne w dniu Wniebowstąpienia 1796 roku, kobiety z nareęczami kwiatów, pałac Serbelloni otwierający podwoje, wiwaty - to wszystko dla mnie.

Napoleon zamieszkuje w jednej z wielkich, bogato zdobionych komnat pałacu. Dowiaduje się, że w Paryżu podpisano pokój z Piemontem. Nicea i Sabaudia przypadły Francji. To on sprawił, że król Piemontu znalazł się na łasce republiki.

Pisze do Dyrektoriatu: „Jeśli nadal będziecie darzyć mnie zaufaniem, Włochy są wasze”.

Ich? Czy moje?

Ta nagła myśl go olśniewa. Może potrafi wszystko?

- Widzę świat z góry - mówi do siebie - jakbym wzbił się w powietrze.

Wzywa Marmonta.

- To jeszcze nic, zobaczą więcej - oświadcza.

Czerwonawa wywoskowana posadzka skrzypi pod jego butami.

Napoleon przegląda papiery porozrzucane w nieładzie na marmurowym stole. Pogardliwym głosem wylicza:

- Prowincja Mondovi dostarczy milionowej kontrybucji. Dyrektoriatowi oddają dwa miliony w biżuterii i srebrze w sztabkach, do tego dwadzieścia cztery obrazy, arcydzieła włoskich mistrzów. A dyrektorzy mogą liczyć na jeszcze dziesięć milionów.

Czy są zadowoleni?

Marmont wręcza mu pismo Dyrektoriatu, przywiezione właśnie przez kuriera. Napoleon niecierpliwym gestem zrywa pieczęć i przebiega list wzrokiem. Dyrektorzy radzą mu się skierować w stronę środkowych i południowych Włoch, do Florencji, Rzymu i Neapolu, tymczasem w Mediolanie i Lombardii zastąpiłby go generał Kellermann.

Nieruchomieje w trakcie czytania, jakby otrzymał cios. Kurczy się, przygarbiając na chwilę ramiona. A więc chcą go wywłaszczyć, odsunąć, może nawet doprowadzić do zguby w jakiejś awanturze militarnej i politycznej. Czy im się zdaje, że jest ślepy?

Zaczyna spacerować na nowo.

Walka się nie skończyła. Nie można się uwolnić od tego rodzaju wypadków, dopóki nie decyduje się samemu, dopóki samemu nie jest się na górze.

Czy oni sądzą, że on się podporządkuje? To on napełnia skarbiec Dyrektoriatu. On odnosi zwycięstwa, podczas gdy w Niemczech armia Renu drepcze w miejscu. „Przeprowadziłem kampanię, nie radząc się nikogo” - zaczyna.

Każe Marmontowi pisać.

„Nie dokonałbym niczego dobrego, gdybym musiał uzgadniać mój punkt widzenia z kim innym - dyktuje. - Odniosłem pewne sukcesy nad przeważającymi siłami i w sytuacji, gdy wszystkiego brakowało. Ponieważ przekonany byłem, że pokładacie we mnie zaufanie, mój marsz był równie szybki jak moja myśl [...]. Każdy ma swój sposób prowadzenia wojny. Generał Kellermann ma więcej doświadczenia i poprowadzi ją lepiej ode mnie; ale nas dwóch razem poprowadzi ją zupełnie źle. Uważam, że lepszy jest jeden zły generał niż dwóch dobrych”.

Marmonta aż zatyka z oburzenia i złości.

Napoleon wzrusza ramionami.

- Oni ustąpią. Będą drżeli na myśl o mojej dymisji. Fortuna nie po to uśmiechnęła się dzisiaj do mnie, żebym odrzucał jej względy - dodaje. - Ona jest kobietą i im więcej dla mnie robi, tym więcej od niej wymagam.

Niech Marmont będzie spokojny.

- W naszych czasach nikt nie zamyślił niczego wielkiego. To do mnie należy dać przykład.

Podchodzi do okna, otwiera je. Cały wielki Mediolan jest przed nim, bruki lśnią od drobnego wiosennego deszczu. Wchodzi Murat, chwilę peroruje, potem nagle rzuca:

- Mówią, że jest pan tak ambitny, iż chciałby się pan postawić na miejscu Boga.

Napoleon gwałtownie zatrzaskuje okno.

- Boga? Nigdy, to sytuacja bez wyjścia!

Murat i Marmont wychodzą. Zostaje sam. Z oddali dobiega go turkot wozów po bruku i bicie dzwonów. Te nocne godziny są otchłanią, w którą się zapada. Wszystko jest nazbyt spokojne. Pałac Serbelloni staje się wyspą pośród morza ciszy.

Pole bitwy zawsze rozbrzmiewa hukami i krzykami, wyciem, trzaskiem kul. Głowę wypełnia szal bojowy. Trzeba bezustannie coś robić. Zapomina się o pustce w sobie.

Tylko Józefina mogłaby ożywić te mediolańskie noce. Tyle razy do niej pisał. Gdy tylko umilkną wybuchy kartaczy, gdy tylko zapadnie cisza, znowu czuje, że ona jest jego obsesją. Na zmianę stanu rzeczy potrzeba czasu, nawet jeśli się tak bardzo pogania czas, jak on to robi.

Zdecydował niedawno, że wypłaci wojsku żołd w dobrej brzęczącej monecie. Żołnierze przyjęli to wiwatami na jego cześć.

Podpisał zawieszenie broni z Parmą, Modeną, Bolonią, Ferrarą i legatami papieża, za każdym razem uzyskiwał wielomilionowe kontrybucje oraz okup w naturze, w obrazach, w rękopisach.

Dyrektoriat skapitulował oczywiście przed jego groźbą dymisji. Skapitulował ponownie, gdy Napoleon ograniczył władzę komisarzy rządu. „Komisarze nie mają nic do mojej polityki - stwierdził. - Robię, co zechcę. Niech się włączą do zarządzania dochodami publicznymi, na to zgoda, przynajmniej na razie. Reszta ich nie obchodzi. Spodziewam się, że nie pozostaną długo na swych stanowiskach i że nie będzie mi się przysyłać następnych”.

Robię, co zechcę.

Owszem. Z mężczyznami, z Dyrektoriatem, lecz nie z nią!

Kiedy chłopcy po wsiach albo mieszkańcy Pawii napadają na żołnierzy, przeciwstawiają się rekwizycjom, wówczas „robi, co zechcę”. Miasto Lugo, gdzie zabito pięciu żołnierzy, zostało poddane

wojskowym represjom. Setki osób posiekanych szablami, domostwa ograbione, wrogo nastawieni mieszkańcy zabici.

Robię, co zechcę.

Ale ona? Co można zrobić kobiecie, która się wymyka, która dręczy cię milczeniem, której nieobecność stanowi torturę i której wspomnienie prześladowuje cię w samotności nocy?

Pisać do niej, znowu i ciągle, błagać, aby przyjechała tutaj do Mediolanu. I obawiać się wszystkiego z jej strony. Szkło na jej portrecie pękło. To omen. Jest chora albo niewierna.

„Gdybyś mnie kochała, pisałabyś do mnie dwa razy dziennie, ale przecież trzeba plotkować z tymi paniczykami odwiedzającymi Cię od dziesiątej rano, a potem słuchać głupstw i bredni aż do pierwszej w nocy. W krajach, gdzie istnieją jakieś obyczaje, o dziesiątej wieczór każdy jest u siebie w domu, ale w takich krajach pisze się do męża, myśli o nim, żyje dla niego. Żegnaj, Józefino, jesteś takim potworem, że słów mi brak.”

Lecz jak się uwolnić od pasji, której potrzebuje się do życia? Nawet gdy wygrywa się sześć bitew w dwa tygodnie, to wciąż pozostają puste noce między bojami.

Napoleon zwierza się swemu bratu Józefowi.

„Znasz moją miłość, wiesz, jaka jest gorąca, wiesz, że nikogo nigdy nie kochałem oprócz Józefiny, że Józefina jest pierwszą kobietą, którą uwielbiam [...] Żegnaj przyjacielu, Ty będziesz szczęśliwy. Ja zostałem przez naturę przeznaczony do tego, aby posiadać tylko błyszczące pozory”.

A więc poddać się, przyznać do słabości, wyznać jej swe uzależnienie: „Codziennie rozpamiętując me błędy, daremnie staram się już Cię nie kochać, ale kocham Cię jeszcze mocniej [...]. Wyznam Ci mój sekret; kpj sobie ze mnie, zostań w Paryżu, miej kochanków, niech każdy o tym wie, nie pisz wcale, a ja i tak będę Cię kochał jeszcze dziesięć razy mocniej! Czyż to nie jest szaleństwo, gorączka, zamroczenie? I nie uleczę się z tego! Nie, dalibóg, muszą się z tego wyleczyć.”

Nie wie nic na pewno, ale podejrzewa. Zżera go zazdrość. Donoszą mu, że Józefina, którą nazywają teraz Najświętszą Panienką Zwycięską, jadła kolację z Barrasem. Że Murat i Junot, których

posłał do Paryża, aby uprosili Józefinę, by do niego przyjechała, zostali jej kochankami. Że ona afiszuje się wszędzie ze swą najnowszą zdobyczą, swoim „poliszynelem” porucznikiem Hippolyte'em Charles'em, człowiekiem „zabawnym”, noszącym obcisłe szamerowane mundury uwydatniające jego młodzieńczą sylwetkę uwodziciela.

Napoleon nie chce tego słuchać. Nie chce wiedzieć. Ale pisze: „Bez apetytu, bez snu, nie dbam o przyjaźń, sławę, ojczyznę, wypełniasz mnie tylko Ty, reszta świata nie istnieje, jakby została unicestwiona”.

I nagle nie potrafi opanować swego bólu: „Ludzie są tak godni pogardy - zauważa. - Ty jedna zmaływałaś w moich oczach hańbę ludzkiej natury! Nie wierzę w nieśmiertelność duszy. Jeśli Ty umrzesz, to i ja wkrótce umrę, z przynębienia”.

Przez kilka dni nie może jej posyłać tych listów, które tak często pozostają bez odpowiedzi. Powraca do swych map i do wojny. Wyjeżdża z Mediolanu. Cwałuje do Mantui, niezdobytej fortecy, która trzyma w szachu całą Lombardię i znajduje się u bram Wenecji. Kontroluje ona drogi, które okrążając jezioro Garda, prowadzą do Tyrolu, na przełęcz, przez które można przedostać się do Austrii. Zdobyć Wiedeń, jak zdobyło się Mediolan? Czemu nie?

Uśmiecha się rozmarzony. Zaledwie kilka dni wcześniej skierował odezwę do żołnierzy, aby pogratulować im zwycięstw: „Żołnierze, runęliście jak potok ze szczytu Apeninów, przewracając i roztrzucając wszystko, co stało wam na drodze”.

Czemu by jutro nie mieli stoczyć się z nim na czele jak lawina zboczami Alp w stronę Dunaju?

Oblega Mantuę. Dogląda każdego drobiazgu. Zeskakuje z konia, wybiera stanowiska dla dział, oblicza kąty strzałów. I nagle blednie, chwieje się na nogach, mdleje z wyczerpania. Odprowadzają go do namiotu. Ale zaraz podnosi się, przeganiam adiutantów i bierze do ręki pióro.

„Pokażę ci kieszenie pełne listów, których Ci nie posłałem, gdyż są zbyt głupie [...]. Napisz do mnie dziesięć stron, tylko to może mnie trochę pocieszyć”.

Jest chory. Czuje przeszywający ból, który ściska mu brzuch i dręczy go.

„Zmęczenie i Twoja nieobecność to zbyt wiele naraz [...]. Ty wrócisz, prawda? Będziesz tutaj przy mnie, na moim sercu, w moich ramionach, przy moich ustach! Przyleć tu do mnie na skrzydłach. Jeden pocałunek na serce i potem jeden trochę niżej, dużo niżej!”

Pragnie jej. „Całuję Cię tysiąc razy w oczy, w usta”. Pożądanie to jest-jeszcze bardziej podsycane przez narastającą obsesyjną zazdrość.

Pisze nawet do Barrasa: „Jestem w rozpacz, moja żona nie przyjeżdża, ma jakiegoś kochanka, który zatrzymuje ją w Paryżu. Przeklinam wszystkie kobiety, lecz ściskam wszystkich moich dobrych przyjaciół”.

A zatem wie. Lecz jednocześnie nie chce wiedzieć.

„Wiesz, że nigdy nie mógłbym widzieć przy Tobie kochanka ani tym bardziej go ścierpieć: ujrzeć go i rozszarpać mu serce byłoby dla mnie tym samym; gdybym potrafił podnieść rękę na Twoją świętą osobę [...], Nie, na to nigdy się nie ośmielę, ale pożegnałbym się z życiem, w którym wszystko, co może być najbardziej cnotliwego, zdradziło mnie. Jestem pewny Twojej miłości i z niej dumny”.

Chce być zaślepiony.

Nie chce pamiętać wszystkich plotek, które o niej krążą, o nazwiskach kochanków Józefiny, które mu powtarzają i które zna: Barras, przed nim Hoche i prawdopodobnie także stajenny Hoche'a, wielki zawadiaka, a także Murat, Junot i Hippolyte Charles. Napoleon ma ochotę zabijać i sam zginąć.

I wreszcie dowiaduje się, że ruszyła w drogę do Mediolanu. Wybuch radości i zapалу zaciera w nim wszelkie urazy i podejrzenia. Wchodzi do pokoju adiutantów, chodzi od jednego do drugiego. Niech Marmont pogalopuje z eskortą honorową na spotkanie Józefiny.

Organizuje jej przyjazd, jakby planował bitwę. Krąży po pokojach pałacu Serbelloni, przestawia meble, troszczy się o bibeloty, obrazy, dywany. Ona kocha luksus. Wydając polecenia, ucisza swą niecierpliwość: wielkie łóżce ustawić tutaj, obicia baldachimu mają być błękitne ze złotymi obszyciami.

Mówią mu, że Junot wysłany do Paryża, aby zawieźć Dyrektoriatowi sztandary zdobyte na wrogu, powraca z Józefiną, której towarzyszy porucznik Charles. Nieważne! Teraz nie czas na zazdrość. Ona przybywa, powóz otoczony eskortą dragonów zatrzymuje się na dziedzińcu pałacu Serbelloni.

Napoleon spiesznie wychodzi. Józefina jest tutaj, uśmiechnięta, ze swym pieskiem Fortuné na rękach. Bierze ją w objęcia przy oficerach. Nie widzi ani Junota, ani Charles'a. Prowadzi ją. Chciałby, aby się pospieszyła, lecz ona idzie drobnymi kroczkami, martwi się o bagaże, mówi o Fortuné, którego wyczerpała tak długa podróż, podobnie jak i ją. On zamyka drzwi pokoju.

Józefina śmieje się z jego niecierpliwości. Pozwala się kochać.

Dwa dni, tylko dwa dni, by postarać się dotrzeć do granic rozkoszy. Ścisła jej ciało tak, jakby chciał je zgnieść, a ono zazwyczaj poddaje mu się, zdaje się biernie ulegać, lecz potem nagle okazuje się śmiała i prowokuje swobodą gestów, która fascynuje i przeraża Napoleona jak niezgłębiona i niemożliwa do poznania otchłań.

Później rankiem Napoleon przypasuje szablę, zapina swój generalski pas, wkłada na głowę pieróg. Józefina ma spokojną twarz. Nie dostrzegł dwóch małych zmarszczek w kąciku jej ust, będących oznaką obojętności pod maską uśmiechu.

Napoleon dopiero co się z nią rozstał, a już odczuwa ból rozłąki i utraty. Nie zaspokoił swej tęsknoty. Chciałby jeszcze trzymać ją w ramionach, lecz konie przestępują już z nogi na nogę. Biegają rozkazy. Wojna daje o sobie znać poważnymi wiadomościami.

Austriacki generał Wurmser maszeruje na czele dwudziestu czterech tysięcy żołnierzy. Schodzi wzdłuż wschodniego brzegu jeziora Garda w kierunku Werony i Mantui. Generał Kwazdanowicz idzie wzdłuż zachodniego brzegu.

Kości są rzucone na nowo. Zwycięstwo nigdy nie jest trwałe. Trzeba zostawić Józefinę.

Czy ona wie, co to wojna? Czy może sobie wyobrazić, co ja czuję?

Jej ciało jeszcze jeden ostatni raz poddaje się uściskom, potem się wyswabada. Trzeba rzucić się w wir wojny. Teraz ona musi zapełnić pustkę.

6 lipca Napoleon pisze:

„Pobiłem wroga. Jestem śmiertelnie zmęczony. Proszę Cię, udaj się natychmiast do Werony, gdyż sędzę, że będę chory. Posyłam Ci tysiąc pocałunków. Jestem w łóżku”.

Ale czy można leżeć, gdy jest się naczelnym dowódcą tysięcy ludzi idących na śmierć? Więc walczy także on. A wieczorem pisze:

„Przyjedź do mnie; żebyśmy przed śmiercią mogli przynajmniej powiedzieć: byliśmy przez tyle dni szczęśliwi!”.

Grzmią działa.

„Wzięliśmy sześciuset jeńców i zdobyliśmy trzy działa. Generał Brune miał w swoim mundurze siedem kul, z których żadna nawet go nie drasnęła; to się nazywa mieć szczęście.

Tysiąc pocałunków tak bardzo gorących, jak Ty jesteś zimna”.

Rozdział 24

Jest sam. Choć otacza go tłum ludzi. Żołnierze wykrzykują jego imię: „Niech żyje Bonaparte!”, inni salutują familiarnie „naszemu małemu kapralowi”.

Adiutanci zeskakują z koni, przynoszą wiadomości. Na przedmieściach widziano białe kurty piechurów austriackich. „Trzeba wyjść z Werony, generale”. Przednie stráže Wurmsera dotarły już do tego miejsca. Inni kurierzy donoszą, że na zachodzie wojska generała Kwazdanowicza dotarły do Brescii. Dywizje Massény i Augereau wycofały się. Ułani zapędzają się daleko naprzód. Są w okolicach Mantui. Napadają na konwoje i pojedyncze wozy.

W postawie oficerów, a także na twarzach żołnierzy Napoleon wyczytuje niepokój i lęk, obawę porażki, chęć ucieczki. W ciągu kilku godzin wszystko, co zdobył od początku kampanii włoskiej, może zostać stracone.

Tak bardzo chciałby pozwolić sobie na chwilę słabości, poszukać oparcia, poprosić o radę. Ma wrażenie, że przytłaczają go decyzje, które musi podjąć. Wątpi w siebie. Zwołuje wszystkich generałów, którzy służą pod jego rozkazami. Może to błąd? Ale Wurmser i Kwazdanowicz posuwają się triumfalnie naprzód.

Augereau, Masséna, Sérurier wchodzą do pokoju i Napoleon od razu widzi, że nie może się po nich niczego spodziewać. Być naczelnym dowódcą to znaczy być osamotnionym.

A więc spokojnym głosem, tak jakby nie odczuwał tego gryzącego niepokojem, mówi, że siła armii, „jak uczy nas Guibert”, jest iloczynem szybkości i jej liczebności. Trzeba więc przemieszczać

wojska z dużą prędkością. Maszerować dzień i noc, żeby zaskoczyć przeciwnika. Pobić go. A potem znów maszerować i maszerować aż do następnego celu.

Decyduje więc odstąpić od oblężenia Mantui, co zdziwi i zaniepokoi Austriaków, potem pójść na północ wszystkimi siłami, żeby pokonać Kwazdanowicza i wrócić, aby stawić czoło Wurmserowi, który będzie sądził, że odniósł wielkie zwycięstwo, odblokowując Mantuę, „które oblężenie my umyślnie porzucimy”.

- Odstąpić od oblężenia Mantui... - próbuje oponować Sćurier.

- Odstąpić od oblężenia - powtarza Napoleon, ucinając dyskusję. - I maszerować.

Jest osamotniony. To wyczerpuje. Gdyby mógł się komuś zwierzyć, gdyby ktoś mógł go podtrzymać na duchu, pocieszyć, zapewnić o miłości. Móc choć na chwilę zrzucić z siebie pancierz, nie być samotnym, cóż za błogość!

Ale jest sam.

„Już od dwóclh dni nie mam listu od Ciebie - pisze Napoleon, starając się stawiać wyraźne litery, aby Józefina mogła je odczytać bez zniecierpliwienia. - Już trzydzieści razy dzisiaj poczyniłem tę obserwację. Kazałem zawołać posłańca, mówi mi, że był u Ciebie i powiedziałaś mu, że nie masz dla niego żadnych zleceń. Fe! Niegrzeczny, brzydki, okrutny, despotyczny, śliczny potworek! Kpisz sobie z moich grózb i obelg! Ach, gdybym mógł, wiesz o tym, zamknął Cię w moim sercu, wsadziłbym Cię tam do więzienia”.

Myśl, aby trzymać przy sobie Józefinę, nie być już dłużej samotnym, dręczy go i nęka. Gdyby choć mógł posiadać przynajmniej tyle: kochaną kobietę, która by mu się nie wymykała i która nie byłaby równie nieosiągalna jak ostateczne zwycięstwo, to wtedy, wydaje mu się, byłby spokojniejszy. Pisze do niej:

„Mam nadzieję, że będziesz mogła mi towarzyszyć do mojej kwatery głównej i już mnie nie opuścisz. Czyż nie jesteś duszą mego życia i miłością mego serca?”.

Nazajutrz, 22 lipca 1796 roku, nalega dalej: „Mówisz mi, że jesteś w dobrym zdrowiu; proszę Cię więc, przyjedź do Brescii. Wysyłam jeszcze w tej godzinie Murata, aby przygotował dla Ciebie w mieś-

cie mieszkanie, jakiego zapragniesz [...]. Zabierz twoje srebra i część rzeczy, które są Ci niezbędne. Podróżuj wcześniej rano, kiedy jest chłodno, żeby się nie zmęczyć [...]. Przyjadę się z Tobą zobaczyć najdalej 7 sierpnia".

Kiedy pisze do Józefiny, opowiadając o swej miłości, nie jest już osamotniony, zapomina o bieżącej chwili, o wojnie. Jakby naraz nie istniało dla niego nic więcej oprócz tej kobiety i miłości do niej. Otwiera listy adresowane do Józefiny, jakby siłą wdzierał się do fortecy. Później przeprosza, kaja się, przyrzeka, że to ostatni raz i on - który rzuca na kolana Austriaków Wurmsera i Chorwatów Kwazdanowicza - błaga o przebaczenie: „Jeśli jestem winien, to przez Ciebie".

Czuje się lepiej, gdy może tak przez jakiś czas mówić tylko o swoich uczuciach, zajmować się wyłącznie sobą, jakby był jedynie zwyczajnym młodym człowiekiem, który dopiero 15 sierpnia 1796 roku obchodzić będzie dwudzieste siódme urodziny.

Teraz na koń, poprowadzić wojska.

Marsze, walki.

3 sierpnia Kwazdanowicz zostaje rozgromiony pod Lonato. Wurmser, który zgodnie z planem wjechał triumfalnie do Mantui, musi ją opuścić, aby iść na ratunek pokonanemu towarzyszowi. Trzeba więc pobić Wurmsera.

Napoleon przejeżdża ulicami odbitej Brescii. Żołnierze myją się w fontannach, gaszą pragnienie czystą tryskającą wodą, która chłodzi ulice. Wozy załadowane karabinami zabranymi z manufaktur broni podskakują po brukach tego przemysłowego miasta, *Brescia armata*. „Uzbrojona Brescia".

Napoleon wchodzi do gmachu *Municipio*, ratusza na Piazza Vecchi, w którym założył kwaterę główną. Słyszy śmiechy, nieruchomieje. Pojawia się Józefina otoczona oficerami: paradytuje przy niej Murat, a ten młody kapitan Hippolyte Charles trzyma w rękach pieska Fortuné. Napoleon brutalnie ich odprawia. Wszyscy wychodzą. Ona jest tutaj, należy do niego. „Te delikatne ramiona, drobne białe piersi, sprężyste i jędrne, a przede wszystkim ta minka w kreolskim szalu, chciałoby się ją wprost schrupać, i ten mały czarny gąszcz".

Zaciąga ją z pasją do sypialni. Za zamkniętymi drzwiami rozlega się szczekanie. Lecz Napoleon nie pozwala Józefinie otworzyć drzwi pieskowi Fortuné, ona musi ustąpić.

Później, przy kolacji, Józefina trzyma jednak pieska na kolanach. Napoleon nie może się powstrzymać, aby pokazując na psa, nie szepnąć do Arnaulta, pisarza będącego blisko z Józefiną, tonem, w którym miesza się wesołość i gorycz: „Widzi pan, ten jegomość jest moim rywalem. Był w posiadaniu łoża pani, kiedy ją poślubiałem. Chciałem go stamtąd wykurzyć, lecz daremne starania. Powiedziano mi, że muszę albo sypiać gdzie indziej, albo dzielić łożę także z nim. Dość mnie to zmartwiło, nie miałem jednak wyboru, musiałem się z tym pogodzić. Faworyt był mniej ode mnie skory do ustępstw, czego dowód noszę na łydce”. Ale zaraz po tym wyznaniu wychodzi. Już skończył kolację. Czas spędzony przy stole zawsze wydawał mu się stracony. Zmusza innych współbiedniaków do opuszczenia pokoju i w końcu zostaje sam na sam z Józefiną. Piesek warczy.

Półtorej doby razem z nią. Tylko jedna noc. Słysząc tętent koni. W oddali kanonada. Zbliżają się wojska Wurmsera. U bram Brescii widziano ułanów. Józefina płacze. Boi się. Niechaj wraca do Mediolanu z eskortą pod dowództwem Junota.

- Żegnaj, piękna i dobra, moja boska i niezrównana. Wurmser drogo mi zapłaci za łzy, które wylałaś przez niego - mówi Napoleon.

Pokonuje Wurmsera pod Castiglione 5 sierpnia i ponownie 7 sierpnia, po odbiciu Werony. Oblega na nowo Mantwę.

Decydowałem sam. Zwycięstwo jest moje.

Lecz na jak długo? Wurmser odbudowuje swoje siły, otrzymuje posiłki. Na miejsce Kwazdanowicza przychodzi Dawidowicz. W każdej chwili wszystko może stać pod znakiem zapytania. Ta niepewność co do przyszłości wyczerpuje go.

Junot prosi, aby go przyjąć. Opowiada, jak w drodze powrotnej oddział ułanów zaatakował powóz Józefiny de Beauharnais. Trzeba było walczyć. Zabito dwa konie i koła powozu zostały potraskane przez kule. Józefina musiała pożyczyć chłopski *carricolo* i schronić się w Peschierze, zanim mogła wrócić do Mediolanu.

Trzeba ukryć trwogę i pogratulować Junotowi. Pogodzić się z tym, że Józefina pozostanie w Mediolanie, będzie przyjmować w pałacu Serbelloni wystawnie jak rojalistyczna arystokratka, którą wciąż pozostaje, że będzie otoczona wianuszkiem nadszkakujących mężczyzn.

Czy mogę to tolerować?

Napoleon unosi się gniewem. Niech zdymisjonują kapitana Charles'a i przepędzą go z armii Włoch. Napoleon wypytuje Junota, czy to prawda, co mu donoszono, że Józefina spędziła wiele dni na wycieczce nad brzegami jeziora Como razem z Charles'em? Junot milczy. Junot o tym wie, wszyscy wiedzą.

Czy trzeba przyjąć do wiadomości, że jestem nieszczęśliwym i oszukiwanym mężem?

„Jesteś zła i paskudna - pisze do Józefiny - tyleż paskudna, co lekkomyślna. To perfidia oszukiwać biednego męża i czulego kochanka. Czyż ma on tracić swe prawa, ponieważ jest daleko, obarczony obowiązkami, zmęczeniem i bólem?" Co to jednak pomoże, że jeszcze raz będzie błagać, że jej powie-. „Bez swej Józefiny, bez pewności, że mnie kochasz, nie zostałyby mi już nic na tej ziemi, nie miałbym już co robić”.

Czy ona posłucha?

Mówi zatem o wojnie:

„Mieliśmy tu wczoraj bardzo krwawą rozprawę, nieprzyjacieli stracił wielu ludzi i został kompletnie pokonany. Zajęliśmy przedmieścia Mantui”.

Lecz co dla niej znaczy wojna? I czemu miałyby zrozumieć, co oznaczają te nowe zwycięstwa? Co to jest podjąć samemu decyzję i poczuć radość, której z nikim nie trzeba dzielić, gdy nieprzyjacieli wpada w pułapkę? Generał Dawidowicz został rozbity pod Revereto 4 września, zmiażdżony przewagą liczebną. Później Napoleon zwrócił armię przeciw Wurmserowi, który 7 września został pobity pod Primolano, a 8 pod Bassano. Bezsilnemu Wurmserowi nie zostało nic innego, jak tylko zamknąć się w Mantui.

Czy Józefina może sobie wyobrazić, czego wymagam od żołnierzy?

W ciągu sześciu dni przeszli oni, walcząc, sto osiemdziesiąt kilometrów. W ten sposób w ciągu dwóch tygodni druga ofensywa Wurmsersa została rozbita. Kto poprowadzi następną?

Ta wojna mnie zjada, jest nienasycona. Potrzebuję miłości mojej żony, by mnie broniła przed tym mięsożernym potworem.

„Ale Twoje listy, Józefino, są zimne, jakbyś miała pięćdziesiąt lat, przywodzą na myśl piętnaście lat małżeństwa. Można w nich dostrzec przyjaźń i uczucia zimy życia. To niegodziwe, podle, zdradzieckie z twojej strony. Cóż jeszcze mogłabyś zrobić, aby dać mi powód do skargi? Przystaniesz mnie kochać? To już przecież jest faktem. Znienawidzisz mnie? Czemu nie, życzyłbym sobie tego; wszystko bowiem inne prócz nienawiści jest poniżające; byle nie obojętność o marmurowym pulsie, o nieruchomym spojrzeniu i monotonnym diodzie...”

Zatem ta wojna toczy się także przeciwko niej.

„Wcale Cię już nie kocham, przeciwnie: nie cierpię Cię. Jesteś niegodziwa, niezgrabna, głupia, kopciuch [...]. Cóż pani porabia przez cały dzień, madame? [...]. Kim jest ten nowy cudowny kochanek, który pochłania wszystkie Twoje chwile, zabiera ci całe dnie i przeszkadza zajmować się mężem? Strzeż się, Józefino, pewnej pięknej nocy wyważę drzwi i się zjawię!”

Chwila wściekłości w pustce jesiennej nocy, gdy deszcz zalewa Lombardię, gdy wilgoć przenika mundury, gdy bagna wokół Mantui zasnuwane są mgłą. Znużenie, a z czasem wyczerpanie, uporczywe przeziębienie, gorączka, nawrót świerzb, wszystko naraz przystąpiło do obłąkania tego chudego ciała o żółtej skórze, które jednak trzeba dźwigać na nogi, wsadzać na konia, przewozić z miejsca na miejsce, z Bolonii do Brescii, z Werony na przedmieścia Mantui. Z Wiednia dochodzą wieści, że cesarstwo gromadzi nowe oddziały, liczniejsze, lepiej zaprawione i lepiej uzbrojone, pod dowództwem generała Alvinczy'ego. Trzeba będzie znowu stanąć do walki.

Napoleon przeprowadza inspekcję wojsk. Oficerowie i żołnierze się skarżą. Kogoś obrażono w mieście. Innego napadnięto. Drogi przestały być bezpieczne. „Ludność jest przeciwko nam” - powtarzają. Konwój obrazów przeznaczonych dla Paryża musiał się zatrzymać w Cuneo, gdyż po wsiach w Piemencie uzbrojone bandy atakują transporty wojskowe i patrole. Ci rozbójnicy to wieśniacy, którzy nas nienawidzą, tłumaczą Napoleonowi żołnierze.

Jeszcze raz znalazł się sam w obliczu przyszłości.

Czy z armią liczącą ledwie czterdzieści tysięcy żołnierzy, zagrożoną przez przeważające siły, które wydają się niewyczerpane i wciąż otrzymują posiłki z Chorwacji, z Węgier, z Niemiec i z Austrii, czy z taką armią można utrzymać Włochy, Piemont i Lombardię? Bolonię i Weronę?

Każę wprowadzić Miota de Mérito, przedstawiciela Republiki Francuskiej w Toskanii. Jest to niewysoki, wymowny mężczyzna, który objaśnia mu sytuację. Napoleon go wypytuje. Obserwuje dyplomata, domyśla się, że tamten jest zaskoczony. Spodziewał się zobaczyć jednego z tych generałów w typie Massény, odważnych i porywczych.

- Pan nie przypomina innych - mówi do Napoleona. - Pańskie poglądy militarne i polityczne... - Urywa, po czym dodaje cicho, jakby nie ośmielał się tego przyznać: - Jest pan człowiekiem najdalszym od form i idei republikańskich spośród ludzi, jakich spotkałem.

- Powinniśmy być w przyjaźni - mówi Napoleon - dla zabezpieczenia naszych tyłów i skrzydeł. Ze wszystkich stron zawiązują się przeciwko nam koalicje - ciągnie. - Prestiż naszych wojsk upada. Zorientują się, jak jest nas mało. Nie sposób przecenić wpływu Rzymu, który uzbraja i fanatyzuje lud. - Chodzi zgarbiony, z gładkimi włosami spadającymi na błądą i jeszcze bardziej wychudzoną twarz. - Trzeba przyjąć ustrój, który może przysporzyć nam przyjaciół zarówno ze strony ludu, jak ze strony książąt. - Krzyżuje ramiona i rzuca: - Wszystko można zrobić za pomocą bagnetu, nie można tylko na nim siedzieć.

Trzeba więc działać za pomocą innych środków.

- Polityka - mówi - ustrój.

Przypominają mu się lektury. Mógłby wyrecytować wszystkie notatki, jakie sporządził w Paryżu czy Valence, gdy streszczał książki historyczne. Przypomina sobie *Kodeks Justyniana*. Czemu by nie stworzyć tutaj, w sercu Włoch, sprzymierzonych republik podobnych do tych, jakimi otaczał się starożytny Rzym?

-Dyrektoriat... - wtrąca Miot.

Napoleon robi zniecierpliwiony gest. Co ci dyrektorzy wiedzą? Co robią? Pisał do nich. Żądał „żołnierzy i jeszcze raz żołnierzy, jeśli

chcecie utrzymać Włochy". Odpowiedzieli mu rozsądnymi radami. Nie należy popierać włoskich patriotów, powiedzieli.

- Właśnie na odwrót - stwierdza stanowczo Napoleon - trzeba zwołać kongres w Bolonii i w Modenie złożony z przedstawicieli Ferrary, Bolonii, Modeny i Reggio. Ten kongres sformowałby le gion włoski, utworzył coś na kształt federacji, republikę.

Miot jest oszołomiony. To nie jest linia Dyrektoriatu.

Napoleon wzrusza ramionami.

15 października w jego obecności odbywa się w Modenie spotkanie i stu deputowanych proklamuje Republikę Cispadańską.

Władza, polityka, dyplomacja. Zaczyna smakować w tych owocach, które można zebrać dzięki zwycięstwu militarnemu i których może zakosztować, gdyż jest naczelnym dowódcą zwycięskiej armii.

Komandor d'Este, brat księcia Modeny, prosi, aby go przyjąć. Saliceti, jak zawsze krętacz, mówi Napoleonowi po cichu kusiciel-skim głosem, że wysłannik z Modeny przywiózł w czterech skrzyniach cztery miliony w złocie.

- Jesteśmy z jednego kraju. Znam twoją sytuację i twoją rodzinę. Dyktoriaat nigdy ci się nie odwdzięczy za twoje zasługi. To, co tu ofiarowują, jest przeznaczone dla ciebie, przyjmij to bez skrupułów i bez rozgłosu - namawia go. - Kontrybucja księcia zostanie pomniejszona o tę sumę, a on sam będzie zadowolony, że zyskał proktora.

- Chcę pozostać wolny - oświadcza Napoleon.

Przedstawiciel rządu Wenecji niedługo później oferuje mu ponad siedem milionów w złocie. Napoleon jednym gestem odsyła finansistę.

Czym są te sumy, jakie mu się proponuje, wobec ogromnych pragnień i ambicji, które zaczynają w nim wzbierać? Nie chce drobnych napiwków od władzy. Chce samej władzy. Chce posługiwać się polityką i dyplomacją do innych celów niż napełnianie osobistej szkatuły. Jeśli mu się powiedzie, to i tak szkatuła będzie pełna. Powiedzie co? Kiedy próbuje sprecyzować, czego właściwie pragnie, nie udaje mu się nigdy tego określić. Chce wielkości, chce wciąż więcej. Nie chce przyjąć do wiadomości żadnych ograniczeń.

I teraz, gdy obraca się wśród tylu ludzi, książąt, diuków, hrabiów, którzy do swoich bogactw zaliczyć mogą nawet małe państwa, zaczyna myśleć, że nikt nie może go powstrzymać, ponieważ czuje się silniejszy niż ci wszyscy, których spotkał. Czyż nie pokonał austriackich generałów?

Pisze do cesarza Austrii tonem rozkazującym.

„Wasza Wysokość, Europa chce pokoju. Ta straszliwa wojna trwa już zbyt długo.

Mam honor przestrzec Waszą Wysokość, że jeśli nie wyśle swoich wysłanników do Paryża, aby rozpocząć negocjacje pokojowe, Dyrektoriat rozkaże mi zasypać port w Trieście i zniszczyć wszystkie urządzenia Waszej Wysokości na Adriatyku. Dotąd powstrzymywałem się od wykonania tego planu w nadziei niepowiększania liczby niewinnych ofiar tej wojny.

Pragnąłbym, aby Wasza Wysokość okazał się wrażliwy na nie-szczęścia zagrażające jego poddanym i przywrócił światu pokój. Pozostaję z szacunkiem wobec Waszej Wysokości, Bonaparte”.

Ten podpis dźwięczy jak wyzwanie pod pismem, które naprawdę, jak dobrze wie, stanowi ultimatum.

Gdy w wielkich lodowatych salach pałacu Scaligerich w Weronie Napoleon przypomina sobie to pismo, ogarnia go lęk, którego nie potrafi opanować. Na ścianach godła Scaligerich przedstawiają herb tej średniowiecznej rodziny: drabinę. Czy on, mały Korsykanin, nie wspiął się zbyt wysoko? Nadchodzi armia Alvinczy'ego, trzykrotnie liczniejsza niż jego własna. Tysiące żołnierzy leżą w szpitalach, są ranni i wyczerpani po miesiącach nieprzerwanych marszów i bojów. 6 i 11 listopada pod Caldiero, przy pierwszych starciach z wojskami Alvinczy'ego, musiał się wycofać.

Napoleon został pobity. Nie spuścił głowy mimo nieznośnego bólu porażki. Maszerował obok żołnierzy po błotnistej ziemi. Jutro będzie się znowu bił i zwycięży. Ponieważ czuje, że jeśli czarna fala porażek na nowo zaleje armię Włoch, to wszystkie słabości, nagromadzone zmęczenie, zazdrość i wzajemne urazy pogrążą do reszty żołnierzy, a jego, naczelnego dowódcę, jako pierwszego.

Pisze do Dyrektoriatu.

„Proszę was o jak najszybsze przysłanie karabinów, nie macie pojęcia o stopniu wyczerpania, w jakim są nasi ludzie”.

Dyrektoriat powinien znać sytuację.

„Słabość armii oraz wyczerpanie, w jakim się znajdują ci najdzielniejsi ludzie, każą mi się obawiać wszystkiego”.

Jak ich wyżywić?

„Niemcy, wycofując się, dopuścili się wszelkich możliwych okropności, wycięli drzewa owocowe, spalili domy i ograbili wioski”.

Jest naczelnym dowódcą. Ale ponad nim są dyrektorzy, którzy powinni przyjąć na siebie swoją część odpowiedzialności, tak jak on przyjął swoją:

„Losy Włoch i Europy decydują się tutaj, w tej chwili. Całe cesarstwo zostało wprawione w ruch i nadal jest w ruchu [...]. Niewiele jest takich dni, w których nie przybywa pięć tysięcy nowych żołnierzy; i od dwóch miesięcy jasne jest, że potrzeba nam tutaj posiłków [...]. Wykonuję moje obowiązki, armia wykonuje swoje. Duszę mam rozdarta, ale sumienie spokojne. Posiłków, posiłków [...]”.

Lecz kiedy 14 listopada 1796 roku maszeruje pośród bagien Alpone, nie myśli już o posiłkach. Działa się z tym, co się ma.

Posuwa się na czele żołnierzy po wąskich groblach przecinających bagna. Miasto Arcole pogrążone jest we mgle. Woda bagien jest lodowata, cuchnąca. Austriacy Alvinczy'ego stoją okopani na drugim brzegu. Pada wielu oficerów idących obok Napoleona, ponieważ wszyscy muszą maszerować po wzniesieniach terenu, a tam trzeba się spieszyć, gdyż jest się łatwym celem dla wroga.

Oto drewniany most - jak w Lodi. Napoleon odczuwa takie samo jak wtedy podniecenie w całym ciele. Jeśli się chce wygrać, trzeba za każdym razem ryzykować wszystko od nowa.

Napoleon wbiega na most, obok niego bęben bije do ataku. Nie ogląda się za siebie. Wyrywa sztandar z rąk jakiegoś sierżanta, wymachuje nim. Woła: „Żołnierze, czy nie jesteście zwycięzcami spod Lodi?” Naprzód! Potyka się o ciała. Popychają go. Wyprzedzają go grenadierzy, jedna salwa nieprzyjaciela i leżą skoszeni na ziemi. Zostaje sam, z pierśią wystawioną na strzały. Śmierć jest niczym, jeśli przyjdzie w taki sposób, w ogniu walki. Muiron, Muiron, jego przyjaciel z oblężenia Tulonu, najlepszy ze wszystkich jego adiutantów staje przed nim. Uderzenie. Muiron jest zabity.

Jego ciało ześlizguje się po ciele Napoleona. Trzeba iść naprzód. Napoleon ślizga się, uderza w jeden ze słupów mostu, chwieje się i wszystko znika. Zapada mrok.

Kiedy otwiera oczy, słucha bez słowa, jak jego brat Ludwik wyjaśnia mu, że stracił przytomność i że wyciągnięto go z bagna w ostatniej chwili, gdy z drugiego brzegu nadbiegali już Chorwaci, aby go schwycić.

Podnosi się. To była próba. Mroczny moment. Żyje. Alvinczy został pokonany.

- Niech kawaleria ściga Austriaków - mówi.

Jakiś oficer burczy, że to ryzykowny manewr, którego się nigdy nie praktykuje.

- Wojna polega na wyobraźni - mówi, zamykając oczy.

Myśli o Muironie, o ludziach, których obrócone plecami ciała wystawały jak pływające pnie ponad powierzchnię wody na bagnach Alpone. Mógł być jednym z nich. Martwy jak Muiron, który oddał życie za niego. Wszystko wciąż jest możliwe, ponieważ żyje. Śmierć jedynie go musnęła, jakby na znak, że go nie chce, że jeszcze jest od niej silniejszy.

Jest znużony, lecz zdeterminowany. Karetą wiezie go do Mediolanu. Jego członki są obolałe od zmęczenia. Kaszle. Lecz tylko śmierć mogłaby mu przeszkodzić w działaniu. A jest jeszcze tyle rzeczy do zrobienia. Dyrektoriat przysłał z Paryża generała Clarke'a z misją negocjowania z Wiedniem.

Nie mają więc do mnie zaufania. Do mnie, zwycięzcy. Do mnie, którego sukcesy oklaskiwał cały Paryż.

Do tego stopnia, że ulica Chantereine, gdzie mieszka Józefina, nazwana została ulicą Victoire, Zwycięstwa, i że jeden z teatrów gra sztukę na cześć Napoleona, zatytułowaną *Most w Lodi*. Co wieczór widzowie wstają, aby wiwatować na cześć zwycięskiego i bohaterskiego generała.

Dyrektorzy boją się go jednak. Rywalizacja między ludźmi nie ustaje nigdy.

Niech moja żona mnie pocieszy.

27 listopada Napoleon przyjeżdża do pałacu Serbelloni. Nie

musi nawet wchodzić do środka. Pałac jest pusty, martwy. Gdzie ona jest? W Genui, zaproszona przez senat do przewodniczenia uroczystościom. Wyjechała z Charles'em. „Rozstrzelać go!” - wykrzykuje. Później się opanowuje. Z jakiego powodu? Z zazdrości? Kto tu jest śmieszny? Mąż czy kochanek? Pozostaje tylko rozpacz, jak mała śmierć, będąca w życiu prywatnym powtórzeniem tamtego upadku w bagno Alpone z wysokości mostu Arcole.

„Przybywam do Mediolanu - pisze do Józefiny - spieszę do Twych apartamentów, wszystko zostawiłem, żeby zobaczyć się z Tobą, uściskać Cię w mych ramionach [...]. Tymczasem Ciebie nie ma: jeździsz po jakichś miastach, świętujesz, wyjeżdżasz, kiedy ja przybywam [...]. Jestem przyzwyczajony do niebezpieczeństw, znam remedium na nudę i cierpienia życia. Ale tego nieszczęścia nie przewidziałem; miałem prawo się go nie spodziewać.

Będę tutaj do dziewiątej rano. Nie przeszkadzaj sobie; oddawaj się przyjemnościom; szczęście jest stworzone dla Ciebie. Cały świat jest szczęśliwy, że może Ci się podobać, a tylko twój mąż jest bardzo, bardzo nieszczęśliwy [...].”

Noc zdaje się nie mieć końca. Kiedy wreszcie nadejdzie dzień? Nie uda mu się odnieść zwycięstwa nad Józefiną. Wydał rozkazy, aby Hippolyte'a Charles'a wydalic z armii Włoch rozkazem naczelnego dowódcy, lecz Józefina płakała i błagała. I w końcu odwołał swą decyzję.

„Żyjąc wśród rozkoszy, poczytałabyś sobie za błąd uczynienie nawet najmniejszego poświęcenia dla mnie - pisze - szkoda dla mnie wysiłku, a szczęście bądź nieszczęście mężczyzny, którego nie kochasz, nie musi Cię interesować [...]. Nie mam racji, żądając od Ciebie miłości podobnej do mojej, jak można wymagać, aby koronka ważyła tyle co złoto? Nie mam racji, gdyż natura nie wyposażyla mnie w rysy pociągające dla Ciebie, lecz to, na co zasługuję ze strony Józefiny, to jakieś względy i szacunek, ponieważ kocham Cię do zaleństwa i tylko Ciebie”.

Wyjeżdża z Mediolanu. Spiesz na spotkanie z wojną. Ona go przynajmniej nie zdradza.

14 stycznia 1797 roku w nocy na płaskowyżu Rivoli widać ogniska austriackich forpoczt generała Alvinczy'ego, który powró-

cił z nowymi wojskami. Naprzeciwko nich, w odległości zaledwie kilkuset metrów, inne ogniska tworzą na szczytach wzgórz gwiaździsty pas - to dywizje Jouberta i Massény. Noc spędzono na przygotowaniach do bitwy. Na lewo w odwodzie Masséna. Na prawo, w stronę Adygi, dywizja Jouberta. W środku Berthier i jego ludzie.

Poranek nadchodzi szybko. Trzeba w towarzystwie Murata i adiutanta Lemarois'go objechać linię wojsk. Jeden pułk się wycofuje. Trzeba przystąpić do kontrataku. Oficerowie po otrzymaniu rozkazów rozbiegają się pospiesznie.

Bitwa jest nierozstrzygnięta. Nagle przy dźwiękach muzyki i z rozwiniętymi sztandarami pojawiają się posiłki, to 18. pułk. Napoleon jedzie na ich spotkanie. Jego słowa brzmią jak warkot werbla:

- Dzielny osiemnasty, poddaliście się szlachetnemu porywowi. Wasza sława jeszcze bardziej wzrosła. Aby jej dopełnić, w nagrodę za waszą dzielność, będziecie mieli honor pierwsi zaatakować tych, którzy ośmielają się nas okrążyć.

Odpowiadają mu wiwaty, żołnierze idą do ataku na bagnety, spychają Austriaków, którzy zaczynają się setkami poddawać, krzycząc: „Jeńcy! Jeńcy!”

Ma czas tylko na to, aby dowodzić i działać.

Nadchodzi noc. Kilkudziesięciu oficerów ciśnie się w dwóch pokojach. Napoleon jest w centrum tej grupy. Jedzą czerstwy chleb i nieświeżą szynkę. Napoleon żartuje z jakości tego „pokarmu”.

- Pokarm nieśmiertelności smakuje zawsze - rzuca kapitan Thiébaud. Zaraz jednak spuszcza oczy, nagle onieśmielony, on, który przez cały dzień walczył z szablą w ręku.

Takie chwile utwierdzają Napoleona w pewności, że posiada dar komenderowania innymi. Wybiera dla siebie miejsce na słomie. Będzie spał między swymi oficerami. Dzieli ich los, ale jest sam.

Rankiem trzeba przemówić do żołnierzy, wymarżniętych przez noc. Dowodzić to znaczy nie tylko przejść do porządku nad ich cierpieniem, ale wymagać, aby teraz pomaszerowali jeszcze bić się z Wurmserem, który usiłuje przyjść na ratunek Alvinczy'emu i in-

nemu austriackiemu generałowi, Proverze. „Generale, chcesz chwały? - pytają żołnierze. - Dobrze, przyniesiemy ci chwałę!”

Ruszają szybkim krokiem.

Pokonają Wurmsera pod La Favorita. Provera podda się wraz ze swymi żołnierzami. Wurmser 2 lutego kapituluje i opuszcza Mantuę.

Człowiek staje się kim innym, zwyciężając w taki sposób, słysząc wiwaty ludzi, którzy gotowi są umrzeć, jeśli dostaną taki rozkaz. Mediolańczycy naliczyć mogą dwadzieścia dwa tysiące jeńców, którzy pod strażą żołnierzy przechodzą przez miasto i maszerują do Francji. Kiedy Napoleon wraca do Werony, oficerowie niosą obok niego ponad trzydzieści rozwiniętych sztandarów zdobytych na nieprzyjacielu pod Rivoli.

Inaczej mówi się i pisze do żołnierzy, jeśli można powiedzieć: „Odnieśliście zwycięstwo w czternastu bitwach pod rząd i siedemdziesięciu potyczkach. Wzięliście ponad sto tysięcy jeńców, zdobyliście na wrogu pięćset dział polowych i dwa tysiące ciężkich. Wzbogaciliście Muzeum Paryskie o ponad trzysta dzieł sztuki, arcydzieł dawnych i współczesnych Włoch”...

/ Dyrektorzy chcieliby mi z Paryża wydawać rozkazy? Polityka i dyplomacja także należą do mnie.

Napoleon przyjmuje wysłanników papieża i podpisuje z nimi traktat pokojowy w Tolentino: do już przyrzeczonych szesnastu milionów muszą dorzucić jeszcze następne piętnaście milionów i odstąpić Awinion.

Widać morze.

4 lutego 1797 roku Napoleon zajmuje Ankonę. Idzie sam na koniec falochronu portowego. Patrzy prosto przed siebie.

-W ciągu dwudziestu czterech godzin można stąd dotrzeć do Macedonii - mówi do spotkanego na nabrzeżu Berthiera. Macedonia, ojczyzna Aleksandra Wielkiego.

Nagle jednak wydaje mu się, że wszystkie odniesione zwycięstwa należą do przeszłości, od dawna zamierzchłej.

„Wciąż jestem w Ankonie - pisze kilka dni później do Józefi-

ny. - Nie chcę Cię tu sprowadzać, ponieważ nie wszystko zostało tu skończone. Zresztą ten kraj jest bardzo ponury i wszyscy się go boją. Jutro ruszam w góry. Nie piszesz do mnie wcale [...]. Nigdy się tyle nie nudziłem, co na tej paskudnej wojnie".

Rozdział 25

Przed Napoleonem rozciągają się góry.

Zatrzymał się na początku drogi wychodzącej z Treviso w stronę Piawy, pierwszej rzeki, którą należy przekroczyć. Po drugiej stronie są doliny dwóch kolejnych rzek: Tagliamento i Soczy.

Żołnierze, zmęczeni tak jak on, posuwają się przed nim powolnym i ciężkim krokiem. Droga jest wąska i stroma. Napisał w odezwie do nich: „Nie ma już innej nadziei na pokój, jak tylko pójść go szukać w dziedzicznych krajach Domu Austriackiego”.

Znów trzeba walczyć, stawić czoło nowemu austriackiemu generałowi - jest nim arcyksiążę Karol, który zgromadził swe wojska w Tyrolu w pobliżu przełęczy Tarvisio, po drugiej stronie tych rzek, u ich źródeł.

Trzeba więc się zapuścić w kamieniste doliny, przekroczyć kolejno Piawę, Tagliamento i Soczę, maszerować po pokrytych rumowiskiem zboczach, nad którymi wznoszą się wapienne sinawobiałe masywy o tak poszarpanych ścianach i turniach, że przypominają jakiś potężny szkielet zupełnie odarty z ciała. Dopiero po drugiej stronie gór, w Tyrolu, na Friuli i w Karyntii, w okolicach Judenburga i Klagenfurtu znów będzie można napotkać łąki i lasy. Tutaj są jedynie ostre i splekane skały.

Napoleon jest zaniepokojony.

„Im dalej zapuszczę się w głąb Cesarstwa - mówi - tym więcej będę miał sił nieprzyjacielskich na karku [...]. Wszystkie zasoby cesarza zostały zmobilizowane i we wszystkich prowincjach Austrii

czynione są przygotowania, aby odeprzeć nasz atak". Myśli o wojskach francuskich stojących z bronią u nogi, tam nad Renem. „Jeśli będą zwlekać z przekroczeniem Renu, to stanie się niemożliwe, abyśmy się długo utrzymali". Jednak armie generała Moreau tkwią nieruchomo nad brzegiem Renu; armia Sambry i Mozy, wzięta znowu w garść przez Hoche'a, wykazuje wprawdzie ochotę do walki, ale kiedy zaatakuje?

A z drugiej strony, gdyby to tamci odnieśli zwycięstwo nad Austrią, głównym przeciwnikiem, gdyby to im udało się zmusić Wiedeń do podpisania pokoju, co pozostałoby z chwały armii Włoch i jej naczelnego dowódcy?

Ta kwestia dręczy go już od kilku nocy.

Rozważał ją w samotności w Ankonie i w Tolentino, gdy w wilgotne i deszczowe przedwiośnie czekał na wysłanników papieża, chodząc wielkimi krokami po pokoju i odprowadzając adiutantów, którzy się u niego meldowali.

Dla kogo walczy? Komu służyć mają jego zwycięstwa? Dyktoriatowi, tym adwokatom i „gapiom", czy jemu samemu? Podczas tych nocy jego skóra na nowo pokryła się krostami i liszajem. Chciał napisać do Józefiny, lecz nie znajdował odpowiednich słów, jakby wewnętrzna rozterka była zbyt silna, aby mógł wyrażać jeszcze jakieś inne uczucia.

Toczy się gra o jego życie. Karty, które wyklada, jemu mają służyć. Czemu miałby pozwolić, aby grę prowadzili ludzie od niego gorsi? Jakie mają zalety? Są chciwi. Myślą o swojej władzy. Czy kiedykolwiek narażali swe życie w bitwie? Czy wiedzą, co się czuje, gdy idzie się przez most pod ostrzałem? Jakim prawem mieliby narzucać swoją wolę? Czy zostali wybrani przez lud? Tylko pozornie. W rzeczywistości sami tak przykroili konstytucję, aby zachować swoje stanowiska i swoje dobra. I każą strzelać z dział do tych, którzy się sprzeciwiają. I to mieliby być ludzie, którzy zgarną całą stawkę?

Czy już nie dokonałem więcej, niż oni kiedykolwiek dokonają?

Gram dla siebie.

Należy pokonać arcyksięcia Karola i rozpocząć negocjacje z Wiedniem, aby być nie tylko zwycięskim generałem, lecz także człowiekiem pokoju. Trzeba działać szybko, ponieważ nie można

rzucić Austrii na kolana, mając tylko czterdzieści tysięcy żołnierzy, nie można też spuszczać z oka tych wszystkich wiosek i miast włoskich, gdzie większość ludu nienawidzi Francuzów.

Napoleon i jego armia maszerują na północny wschód. 12 marca 1797 roku przekraczają Tagliamento. Joubert jest w Bolzano i Bressanone, a Bernadotte w Trieście. 28 marca Napoleon wkracza do Klagenfurtu. Niebawem jego forpocztę docierają do Leoben, w samym sercu Styrii. I z wysokości przełęczy Semmering widzi wielką równinę Dunaju, a na niej, w odległości stu kilometrów, wśród mgieł dostrzega - lub może tylko tak mu się zdaje - kopuły i dachy Wiednia.

Nie pozwalać sobie na upojenie. Trzymać się ściśle systemu, który sam nakreślił: zwycięstwo i potem jak najszybciej pokój.

Już 31 marca w swym namiocie ułożył list do arcyksięcia Karola. Nakazał, by adiutant, który miał się udać w stronę linii austriackich, oddał to posłanie do rąk własnych austriackiego generała. Później długo patrzył za oficerem oddalającym się ulicami Klagenfurtu.

Wciąż dźwięczą mu w głowie słowa, które znalazły się w liście, niewiele jest jednak szans na to, aby zostały wysłuchane. Arcyksiążę Karol z pewnością nie jest przygotowany na odstępstwa od instrukcji rządu w Wiedniu. Lecz cesarz Austrii nie jest „advokatem” ani „gapiem”, tak jak ci, co rządzą w Paryżu. Nawet jednak tamci pewnego dnia będą musieli się liczyć z Napoleonem, ponieważ lud pozna treść tego posłania.

„Dzielni żołnierze prowadzą wojnę, ale pragną pokoju - napisał. - Czyż nie zabiliśmy już dość ludzi i nie przysporzyli dość cierpień strapionej ludzkości? Zewsząd rozlegają się krzyki [...]. Czy jest Pan zdecydowany zasłużyć na tytuł dobroczyńcy ludzkości i wybawcy Cesarstwa? [...] Co do mnie, to jeśli propozycje, które mam honor Panu złożyć, pozwolą oszczędzić życie choć jednego człowieka, to bardziej dumny będę z tego, że zasłużyłem na wieniec obywatelski, niż z smutnej chwały, jaką przynieść mogą zwycięstwa wojskowe”.

Czeka i jednocześnie wchodzi coraz dalej do Styrii, dociera do Judenburga, Leoben. Nowe zwycięstwa - pod Neumarkt i Unz-

markt - nie dają mu żadnego zadowolenia. Po Lodi, Arcole i Rivoli wydają mu się blade. Może to już sama wojna przestała w nim budzić tak silne emocje? Na początku wprawiała go w rozgorączkowanie. Ale już niemal od roku oddaje się jej na co dzień, wciąż aż do mdłości ogląda poległych, widzi, jak giną najlepsi, tacy jak Muiron, który zginął na moście w Arcole, ratując jego życie. Teraz, mając niecałe dwadzieścia osiem lat, już wie, że wojna jest jedynie środkiem, rodzajem narzędzia, które zdążył już dobrze poznać ze wszystkich stron. Czy może go ona jeszcze czymś zaskoczyć? Pociąga go to, co można dzięki niej zdobyć: sława i władza nad ludźmi - nie nad tymi, którzy maszerują w szeregu, lecz nad wszystkimi, nad ich życiem codziennym, instytucjami i przyjemnościami.

Spogląda na swoich oficerów, adiutantów, generałów: Jouberta, Masséna, Bernadotte'a. To dobrzy żołnierze, odważni, utalentowani. Ale on jest już dalej, wśród tych, którym nie wystarcza dowodzenie armią, nawet w charakterze naczelnego dowódcy, lecz którzy decydują o losach całych armii. Wśród tych, którzy mają władzę polityczną.

Jako jeden z nich czy jako jedyny?

Jeśli jednak chce być jednym z nich albo nawet - czemu bać się tej myśli - jedynym, to musi stawić czoło ludziom będącym u władzy w Paryżu.

Zna pięciu dyrektorów: Barrasa, Carnota, Reubella, Barthelemy'ego, La Reveilliere-Lépeaux. 13 vendémiaire'a posłużył za zbrojne ramię Barrasa. Ci ludzie zupełnie się nie przejmują przestrzeganiem prawa. Przecież przeżył rewolucję. Dobrze wie, że tak samo jak na polu walki, o wszystkim rozstrzyga szabla, czyli naga siła.

Przywołuje jednego ze swych adiutantów, Lavalette'a. Oficer kłania się. Ta uprzejmość pełna szacunku, lecz bez służalczości, ta postawa człowieka z dobrego towarzystwa - Napoleon ją rozpoznaje. Tak zachowują się arystokraci, dawni rojaliści. Lavalette jest wierny i inteligentny. Powinien być świetnym agentem wywiadu. Napoleon prosi go, aby usiadł.

Poleca mu spotkać się z Carnotem. Carnot wraz z Barthelemyem

są blisko środowisk rojalistycznych zbierających się w klubie Clichy. Czy w trosce o stabilność państwa Carnot gotów byłby obalić republikę? Trzeba się dowiedzieć, co myśli i przygotowuje ten człowiek. Za kilka tygodni powinny się odbyć wybory. Wszystko wskazuje, że zwyciężą rojaliści. Wówczas triumfirowie Barras, Reubell i La Reveilliere-Lépeaux gotowi są bez wątpienia na nowy vendémiaire.

Napoleon spaceruje. Ta gra go podnieca. Czuje się w niej zręczny. To też wojna, tyle że podziemna, tocząca się w ukryciu. Partia szachów. Konfrontacja, jak na polu bitwy, ale o bardziej skomplikowanych regułach, ze zręczniejszymi graczami, z liczniejszymi polami i figurami. Wojna to jak gra w warcaby. Polityka to szachy.

W dodatku sama ta szachownica podlega rozlicznym siłom, które mogą się nagle przebudzić, zmiatając pionki oraz samych graczy. Napoleon przypomina sobie sceny z dziedzińca Tuileries, kobiety, które 10 sierpnia z furią okaleczyły zabitych Szwajcarów.

- Demokracja miewa przystępy furii, ale ma uczucia i można się do nich odwołać.

Lavalette ma się zająć tworzeniem gazet, spotkaniami z pisarzami i dziennikarzami, tymi, którzy mają wpływ na opinię publiczną. Żeby wszyscy wiedzieli, kim jest Bonaparte, czego dokonał i że pragnie pokoju. Ci mówcy, powieściopisarze, poeci i malarze powinni sławić czyny generała Bonapartego.

Lavalette potakuje.

- Arystokracja - ciągnie Napoleon - jest zawsze zimna, czyż nie? I nie wybacza nigdy.

Następnie daje oficerowi instrukcje. Niech koniecznie zobaczy się z Carnotem, powtarza. Trzeba uspokoić Carnota, uspić jego czujność.

- Proszę zakomunikować mu jako swoją opinię, że przy pierwszej okazji mam zamiar wycofać się z działalności publicznej... że jeśli nie będzie okazji, to sam złożę dymisję. Proszę za obserwować, jakie to na nim zrobi wrażenie.

13 vendémiaire'a Napoleon był człowiekiem Barrasa. Tym razem gra na własny rachunek.

Gra toczy się zgodnie z oczekiwaniami. 13 kwietnia 1797 roku w małym mieście Leoben dwaj wysłannicy austriaccy proszą o przyjęcie. Napoleon każe im czekać, gdyż ci dwaj „panowie”, dwaj uprzejmi i elegancyści arystokraci, generałowie Merveldt i Bellegarde powinni zrozumieć, że nie oni są górą w tych negocjacjach.

Wyobrażając sobie, jak obaj muszą się niecierpliwie pod maską niewzruszoności, Napoleon doświadcza przyjemności gracza, który przewiduje przebieg partii na wiele ruchów naprzód. Nauczył się w ten sposób wytrącać z równowagi nawet najbardziej wytrawnych przeciwników. W zmaganiu się podczas dyskusji człowieka z człowiekiem i jednej siły z drugą liczy się wszystko.

Chce od Austrii uzyskać Belgię i lewy brzeg Renu. W zamian proponuje im Wenecję, której wprawdzie jeszcze nie kontroluje, lecz wystarczy jakikolwiek pretekst, aby obalić władzę doży. Francja zachowa Wyspy Jońskie.

Propozycje te muszą pozostać tajne. Co pomyśleliby sobie Wenecjanie? Jak oceniliby je dyrektorzy, którzy już dali do zrozumienia, że w razie negocjacji należy Lombardię odstąpić Austrii?

Napoleon wolnym krokiem wchodzi do pokoju o niskim suficie, gdzie przebywają obaj wysłannicy. Wygra, ponieważ wie, czego chce. Tym, co stanowi o sile człowieka, generała bądź przywódcy państwa, jest zdolność widzenia dalej i szybciej niż jego przeciwnicy. 18 kwietnia preliminaria pokojowe z Leoben są podpisane przez Napoleona i wysłanników Wiednia.

Wykonałem swój ruch.

Znowu bezsenna noc.

Trzeba grać jednocześnie na wszystkich szachownicach. Wyprawić kuriera do Dyrektoriatu z tekstem preliminarium i skromnym tonem zagrozić dymisją w wypadku, gdyby nie zostały zaakceptowane. Znaleźć słowa, które zmuszą tych ludzi, żeby nie mogli odmówić, choćby nawet nie wierzyli w ani jedno czytane słowo. Złapać ich w pułapkę. I nie wystawiać się na krytykę. Przywołuje adiutanta, dyktuje.

„Jeśli o mnie chodzi, proszę o spoczynek. Nie zawiodłem zaufania, jakim mnie obdarzyliście [...] i zdobyłem więcej chwały niż trzeba, aby stać się szczęśliwym [...]. Oszczercy daremnie będą się

starali przypisać mi zdradzieckie intencje, moja kariera obywatelska, tak samo jak wojskowa, będzie jedna i prosta. Zapewne jednak uważacie, że powinienem wyjechać z Włoch i proszę was usilnie o przesłanie, wraz z ratyfikacją preliminarzów pokojowych, rozkazów co do kierunku, jaki na początek trzeba nadać sprawom we Włoszech, oraz urlopu, abym mógł się udać do Francji".

Spoczynek?

Cóż to jest spoczynek?

Nocą 19 kwietnia 1797 roku do kwatery głównej wpadają zdyszani oficerowie o twarzach zapadniętych ze zmęczenia. Napoleon osadza ich wzrokiem na miejscu. Dowodzić to utrzymywać wobec innych dystans będący oznaką szacunku.

-Czterystu... - zaczyna jeden z oficerów.

Czterystu żołnierzy francuskich, przeważnie rannych, unieruchomionych na szpitalnych łóżkach, zostało zabitych, zaszlachtowanych, zasztyletowanych i pociętych szablami przez bandy wieśniaków w Weronie. W Wenecji zaatakowany został statek francuski stojący na redzie, zabito kapitana.

Napoleon odprawia oficerów. Dla utrzymania porządku konieczna jest zemsta. Na przemoc trzeba odpowiedzieć jeszcze większą przemocą. Nauczył się tego prawa jeszcze w dzieciństwie, w Brienne, w szkole wojskowej, w Ajaccio, podczas pierwszego okresu dowodzenia, podczas pierwszych bitew.

Można przy okazji wykorzystać tę niezbędną zemstę jako pretekst do działań, które i tak zostały już postanowione. Jeśli przeciwnik się odsłania i nie dostrzega grożącego mu niebezpieczeństwa, tym gorzej dla niego. Trzeba uderzyć mocno i szybko.

„Czy sądzi Pan - pisze Napoleon do doży Wenecji - że moje legiony włoskie nie zareagują na masakrę, którą urządzacie? Krew moich towarzyszy broni zostanie pomszczona".

Na winnych masakry w Weronie spadają bezlitosne represje, a wojska francuskie wkraczają do Wenecji. Dobiega kresu Republika Wenecka, mająca za sobą trzynaście wieków niepodległej historii. Będzie można oddać ją Austrii w zamian za lewy brzeg Renu i Belgię. Dyrektoriat po długich debatach zatwierdza preliminarza z Leoben.

Wykreślam nową mapę Europy.

Kilka dni później Napoleon odpieczętował pierwszą przesyłkę, jaką kieruje do niego z Paryża jego adiutant Lavalette:

„Wszystkie oczy, drogi Panie Generale, są zwrócone na Pana. W Pańskich rękach jest los całej Francji. Niech podpisze Pan pokój, a odmieni Pan jej oblicze jakby przez czary. Gdyby nawet musiał Pan zawrzeć pokój jedynie na podstawie preliminarium z Leoben, to proszę to zrobić [...]. I wtedy, drogi Panie Generale, proszę przyjechać i cieszyć się błogosławieństwami ludu francuskiego, który obwoła Pana swoim dobroczyńcą. Proszę przyjechać zadziwić paryżan swoim umiarkowaniem i swoją filozofią”.

Napoleon czyta posłanie jeszcze raz.

Kocha tę wiosnę 1797 roku.

Rozdział 26

Ma dwadzieścia osiem lat. Uczy się panować.

Zadecydował, że zamieszka wraz ze swoimi bliskimi, z rodziną przybyłą z Marsylii, ze swoim sztabem i całym tłumem zaproszonych gości w pałacu Mombello, okazałej willi położonej dwanaście kilometrów od Mediolanu, którą wybrał, aby schronić się przed upałami lombardzkiego lata.

Józefina jest przy nim, nareszcie! Widuje ją, kiedy tylko zechce. Gdy jest się królem, wszystko się odменя, nawet małżonka. Józefina już nie jeździ na Corso, promenadę mediolańskich elegantek, które w swoich niskich powozach, zwanych *bastardelle*, pozwalają podziwiać się kawalerom jadącym konno u ich boku, potem wszyscy zatrzymują się na lody w kawiarni „Corsia de Servi”. Napoleon nie miałby zrozumienia dla natrętnych umizgów oficerów.

Tu, w Mombello, przebywają oni zawsze w jej pobliżu, lecz się go boją.

Uwielbia patrzeć na Józefinę zajmującą honorowe miejsce przy stole podczas kolacji, codziennie wydawanych pod wielkim namiotem ustawionym w parku. Stół nakryty jest na czterdzieści osób.

Napoleon mówi, inni słuchają go w nabożnym skupieniu, wszystkie głowy zwrócone są w jego kierunku. On tu jest panem. To on narzuca skromny jadłospis: zupa, gotowane mięso, przystawka, sałata i owoce, tylko jeden rodzaj wina.

Rządzi tym światkiem, na który składają się jego siostry Paulina i Karolina, jego brat Hieronim, a także Eugeniusz i Hortensja de

Beauharnais. Często czuje na sobie wzrok matki i zdarza mu się przyłapać spojrzenie, jakim obrzuca ona Józefinę. Matka nie przepada za nią, ale Józefina jest tutaj na swoim miejscu, otoczona przez austriackich czy neapolitańskich dyplomatów, samych arystokratów. Napoleon ją obserwuje. Józefina ma wdzięk i elegancję wicehrabiny, którą kiedyś była. Czasem ogarnia go nagłe pożądanie. Wtedy wyprowadza ją z sali. Nie obchodzi go, co współbiesiadnicy pomyślą o takim zachowaniu.

Do jakiego stopnia może to żenować innych, ocenić mógł podczas wycieczki nad jezioro Maggiore, widząc skrępowanie Berthiera oraz dyplomaty Miota de Mérito, którzy spuszczały wzrok, gdy pozwalał sobie na obściskiwanie Józefiny. Cóż z tego! Ona jest jego żoną i to on ustala zasady.

Już od dawna nie czuł się tak radośnie i lekko, może nawet nigdy w życiu. Jego ciało odzyskuje siły. Nigdy nie brakowało mu energii, teraz jednak stopniowo przechodzi mu zmęczenie, także ten uprzykrzony świerzb dokucza coraz rzadziej.

Decyduje o życiu wielu różnych ludzi i odnajduje w tym głęboką radość, być może jedną z najsilniejszych, jakich w ogóle zdarzyło mu się doświadczyć. Jego siostra Eliza poślubiła w Marsylii skromnego korsykańskiego kapitana Féliksa Bacciochi. Niech i tak będzie. Potępia, lecz musi się pogodzić. Jej ślub kościelny odbędzie się jednak w pałacowej kaplicy razem ze ślubem Pauliny z generałem Leclerkiem - tego związku Napoleon pragnął. Bacciochi zostanie komendantem obrony Ajaccio, gdyż w październiku 1796 roku Anglicy opuścili Korsykę. Teraz, gdy paoliści musieli zabierać się razem z bagażem Anglików, Józef został wreszcie wybrany na deputowanego z Ajaccio do Rady Pięciuset. Jako jeden z niewielu obrany został pomimo swej jakobińskiej przeszłości, większość deputowanych ma bowiem skłonności rojalistyczne. Józefa zrobi się ambasadorem republiki w Rzymie. Dyrektorzy nie mogą mu odmówić tej grzeczności. Ludwik jest już kapitanem. Lucjan, ambitny i niezależny, jest komisarzem w armii Północy, potem Renu, wreszcie na Korsyce, lecz przeważnie •włóczy się po Paryżu. Ubrana zawsze na czarno Letycja, której wszyscy kłaniają się z szacunkiem, pragnie powrócić na Korsykę, zorganizuje się jej więc królewską podróż powrotną.

To poczucie władzy, ta świadomość wpływania na losy innych, jak bardzo umacniają one pewność siebie!

Wychodzi przed pałac. W oddali widać ośnieżone jeszcze szczyty Alp. Kilka kroków za nim pozostają generałowie Berthier i Clarke, a dalej Lannes, Murat i Marmont. Wszyscy czekają na chwilę udania się do stołu.

W ogrodzie pełno gapiów, zarówno okolicznych wieśniaków, jak i mieszczan z Mediolanu. Utrzymują ich w bezpiecznej odległości polscy legionieści strzegący pałacu. Ich oddział liczy trzystu potężnych zuchów. Podobnie jak ich dowódca generał Henryk Dąbrowski, są wygnańcami ze swego okupowanego i podzielonego przez zaborców kraju. Wszyscy duszą i ciałem oddani są Napoleonowi.

Królować to wzbudzać podziw i oddanie.

Napoleon myśli o Muironie na moście w Arcole. Składając siebie w ofierze za tego, kogo wybrali na przywódcę, ludzie legitymizują jego władzę.

Włosi tłoczą się. Będą asystować przy uczcie. Podobnie jak działo się to w Wersalu za czasów Króla Słońce. Oto anonsują markiza Galio, ambasadora Neapolu w Wiedniu.

Przychodzą tutaj do mnie ci stojący najwyżej, z dworów królewskich i cesarskich.

Nie brak też plebejuszy, takich jak Lannes czy Murat, żołnierzy rewolucji. Kobieta idąca u boku Józefiny to Saint-Huberty, aktorka, która swe lata świetności przeżyła przed rewolucją i o której mówi się, że jest żoną hrabiego d'Antraigues'a, agenta rojalistów, będącego - wedle plotek - na służbie dworów w Wiedniu i Londynie oraz Ludwika XVIII. Wywiad armii twierdzi, iż znajduje się on teraz w Wenecji.

Zając się tym, wydać rozkaz, aby go odszukano.

Oto ambasador Francji Miot de Mélito, który przystaje i czeka na gest Napoleona, zanim się zbliży, by powiedzieć mu, że pokój jest niewątpliwie bliski, ponieważ jest tu Galio i przybywają inni włoscy dyplomaci. Gratuluje Napoleonowi utworzenia Republiki Cisalpińskiej i Republiki Liguryjskiej. Pyta go, jaka będzie jego rola.

Zwierzyć się od czasu do czasu, ponieważ dzięki temu idee nabierają kształtu i siły; ponieważ zwierzenia zobowiązują słucha-

czy do tego, aby się określili, sprawiają, że drżą oni ze strachu albo zaczynają marzyć; ponieważ organizują one przyszłość. Zwierzyć się, mówiąc półprawdy, podtrzymując wątpliwości co do swych ambicji i jednocześnie odsłaniając je częściowo.

- Nie chciałbym opuścić armii Włoch - mówi Napoleon - chyba że dla odegrania roli mniej więcej podobnej do tej, jaką odgrywam tutaj, ale jeszcze na to nie czas... Pokój jest zapewne konieczny, aby zadowolić pragnienia naszych „gapiów” w Paryżu, i jeśli ktoś ma go zawrzeć, to powinienem zrobić to ja. Gdybym pozostawił tę rzecz komu innemu, to zasługa zawarcia pokoju przyćmiłaby w ludzkiej opinii wszystkie moje zwycięstwa.

Dość poważnych rozmów, jedźmy.

Napoleon zajmuje swoje miejsce. Opowiada anegdoty, najczęściej zaczerpnięte z historii. Wszystkie oczy zwrócone są ku niemu.

Daje sygnał zakończenia obiadu.

Wychodzi sam do cienistego parku, gdzie Włosi wznoszą okrzyki i wiwatują na cześć „wyzwolicielea Italii”. Czeką na markiza Galio i mówi mu, że po podpisaniu pokoju pragnie powrócić do swych studiów astronomicznych albo matematycznych. Mógłby mieszkać tutaj, w domostwie oddalonym od zgiełku miasta, sprawując jedynie funkcję sędziego pokoju wobec okolicznych mieszkańców.

Przyłącza się do nich Józefina.

- Niech mu pan wcale nie wierzy - zwraca się do markiza swym gruchającym głosem. - To duch najbardziej niespokojny w świecie, głowę ma zawsze czymś zaprzętą, nabitą projektami, gdyby prze stał się zajmować wielkimi sprawami, to przewracałby codziennie dom do góry nogami, nie można byłoby z nim wytrzymać.

Śmieje się. Lecz Napoleon ucisza ją jednym spojrzeniem. Zdobył już taką władzę.

- Czy zna pan hrabiego d'Antraigues'a? - pyta ambasadora. I od dała się, nie słuchając odpowiedzi.

Berthier czeka na niego w pałacowym salonie. Ciężkie rzeźbione sufity i ciemne pluszowe obicia tworzą w tej przepelnionej meblami sali duszną atmosferę. Na stole służącym mu za biurko Napoleon spostrzega czerwoną teczkę ze złotym zamkiem.

Spogląda pytająco na Berthiera. Tę teczkę znaleziono przy hrabim d'Antraigues, którego zgodnie z otrzymanymi rozkazami aresztował generał Bernadotte. Agent rojalistów był w towarzystwie Mordwinowa, ambasadora Rosji. D'Antraigues miał rosyjski paszport, co pozwoliło mu wyjechać z Wenecji okupowanej przez francuskie wojska i przejść pierwsze posterunki kontrolne. Bernadotte dopadł go w Trieście. Więzień został przewieziony do Mediolanu.

Każdy przedmiot, każdy człowiek ma jakąś ukrytą mroczną stronę, która często właśnie pozwala lepiej go zrozumieć. Lecz tylko nieliczni znają te sekrety. Inni ludzie, ogół, naród często dopiero poniewczasie odkrywają prawdę: ich bohater był jedynie pociągana za sznurki marionetką.

Napoleon myśli o Mirabeau, którego tak podziwiano w swoim czasie, i dopiero przejęta w Tuileries żelazna szafa dostarczyła dowodów, że był on opłacany przez króla jako pospolity agent.

Pomagając sobie sztyletem, otwiera zamek czerwonej teczki. Zaczyna przeglądać stronicę pokryte drobnym pismem. Zatrzymuje wzrok. Są tu znajome nazwiska: generał Pichegru, który niedawno został wybrany na przewodniczącego Rady Pięciuset i który jest przywódcą rojalistycznej reakcji, jednym z najbardziej aktywnych członków rojalistycznego klubu Clichy.

Czyta trzydzieści trzy kartki dokumentu. Jest to raport rojalistycznego agenta Montgaillarda dla d'Antraigues'a. Dowody zdrady generała Pichegru, w czasie kiedy dowodził armią Renu i Mozeli, są przytłaczające. Agenci emigracyjnej armii Kondeusza i Austriacy nawiązali kontakt z generałem Pichegru. Zdławił on brutalnie sankiulocką rewoltę 1 kwietnia 1795 roku w Paryżu. To dobry znak. Montgaillard zaproponował mu w imieniu Kondeusza przeprowadzenie z pomocą jego armii zamachu stanu otwierającego drogę do przywrócenia monarchii. W nagrodę za swą zdradę otrzymać miał buławę marszałkowską, Krzyż Komandorii Św. Ludwika, zamek w Chambord, dwa miliony w gotówce płatne natychmiast, sto dwadzieścia tysięcy liwrów renty, które w połowie miały być dziedziczone przez jego żonę, a w jednej czwartej przez dzieci, oraz do tego wszystkiego jeszcze cztery działa!

Napoleon. czyta ponownie. To tak, jakby otworzył się wyłom w linii nieprzyjaciela. Mając te dowody, dysponuje środkami, aby

wpłynąć na sytuację w Paryżu. Może dostarczyć Barrasowi materiałów pozwalających oskarżyć o zdradę i zniszczyć Pichegru oraz rojalistów - zwycięzców w wyborach.

Przerywa czytanie. Podejmuje je na nowo i nagle podskakuje. Montgaillard pisze do d'Antraigues'a, że może uzyskać „wkrótce ze strony «Eleonore» rezultat równie zachęcający jak ten, który już uzyskał ze strony «Baptiste»". „Baptiste" to pseudonim używany na oznaczenie Pichegru. „Eleonore" to pseudonim Bonapartego. Montgaillard szacuje cenę Bonapartego na trzydzieści sześć tysięcy liwrow.

Napoleon odkłada kartki. Jego nazwisko pojawiające się w tych dokumentach osłabia dowody przeciwko Pichegru. Należy usunąć wszelkie aluzje do armii Włoch. Wystarczy, że d'Antraigues zgodzi się podpisać stronicę poświęconę sprawie Pichegru. Nie można się pozbawiać takiej broni.

- Sprowadzić d'Antraigues'a do pałacu - mówi Napoleon.

Jest noc, w pokoju ciemno. Napoleon patrzy na wchodzącego d'Antraigues'a. Jest elegancki i pewny siebie, na jego twarzy jednak maluje się niepokój. Najpierw dostrzega Berthiera, później rozpoznaje Napoleona. Protestuje wzburzony. Dysponuje przecież rosyjskim paszportem, jest dyplomatą.

- Wielka mi rzecz paszport, nie warto ufać paszportom - mówi Napoleon. - Pozwoliłem panu wydać paszport tylko po to, żeby mieć pewność, że pana schwytam.

- Tego nowego prawa politycznego nie znają jeszcze w Rosji - mówi d'Antraigues.

- No to poznają. Niech car potraktuje ten wypadek, jak mu się spodoba, nam jest wszystko jedno. Gdybym to ja był w Trieście, to zatrzymałbym także ambasadora, skonfiskowałbym jego majątek i dokumenty, a potem odesłał go samego do Rosji, żeby przekazał, co się stało. Jest pan moim więźniem i nie chcę pana wypuścić.

Trzeba najpierw napaść na przeciwnika, żeby go zmiękczyć i żeby zrozumiał, jak bardzo zdecydowany jest ten, z kim ma do czynienia.

- Teraz pomówmy o czym innym.

Napoleon sadza hrabiego na wielkiej kanapie, zajmuje miejsce

obok niego, podczas gdy Berthier przysuwa mały stół, na którym rozłożone są papiery wyjęte z czerwonej teczki.

Oceniać właściwie ludzi. Wiedzieć, ile trzeba pochlebstw, a ile gróźb, żeby zmusić ich do ustępstw. Także w ten sposób osiąga się władzę pozwalającą wpływać na innych, kierować nimi i przewodzić im.

- Jest pan zbyt bystry - zaczyna Napoleon - ma pan zbyt wiele inteligencji, aby nie wiedzieć, że sprawa, której pan bronił, jest przegrana. Ludzie nie chcą już walczyć za durniów, a żołnierze za tchórzy. Rewolucja w Europie się dokonała. Musi ona iść swoim torem. Niech pan spojrzy na armie królów: żołnierze są dobrzy, oficerowie niezadowoleni i armie przegrywają. - Zbiera papiery. - We Francji istnieje nowe stronnictwo - mówi. - Chcę je unicestwić. Trzeba nam w tym pomóc, a wówczas będzie pan z nas zadowolony... Proszę, niech pan podpisze te papiery, dobrze panu radzę.

Wręcza spreparowane dokumenty. D'Antraigues protestuje. Jego teczka została otwarta. Nie poznaje tych papierów. Napoleon wstaje, krzyczy.

- Kpi pan sobie ze mnie! Wszystko to jest szalone, nie ma w tym ani krzty zdrowego rozsądku. Otworzyłem pańską teczkę, ponie waż tak mi się podobało. Armie nie znają form sądowych. Ja nie żądam, aby pan uznał te dokumenty za swoje, żądam, aby podpisał pan te cztery zeszyty tutaj...

W zamian Napoleon oferuje mu odzyskanie majątku we Francji, a nawet stanowisko w ambasadzie w Wiedniu.

-Nie chcę żadnej z pańskich ofert - powtarza dalej d'Antraigues.

Cóż sobie wyobraża ten naiwny? W jakim on świecie żyje?

- Dowody, dowody! Och, jeśli tylko będzie trzeba, to się je sporządzi!

Ten człowiek musi ustąpić.

Kilka dni później Napoleon spotyka żonę d'Antraigues'a, która wraz z pięcioletnim synkiem chce złożyć wizytę Józefinie de Beauharnais. Napoleon zwraca się do niej (należy także umieć udawać większy gniew, niż czuje się naprawdę):

- Być może jutro o szóstej pani mąż opuści więzienie i o jedenastej odeślę go pani z dziesięcioma kulami w brzuchu - mówi.

Saint-Huberty tuli do siebie synka. Krzyczy, dziecko płacze.

- A czy mój syn jest jeszcze za mały na rzeź? - wrzeszczy kobieta. - Radzę panu rozstrzelać także mnie, bo zabiję pana, jeśli tylko gdzieś pana spotkam...

Wchodzi Józefina, odprowadza Saint-Huberty, która rzuca:

- Mówiła pani, że Robespierre nie żyje, i proszę, oto zmartwychwstał. Spragniony jest naszej krwi. I lepiej będzie, jeśli ją przeleje, gdyż inaczej pojedę do Paryża i tam uzyskam sprawiedliwość...

Robespierre? Napoleon, oddalając się, przypomina sobie Maksymiliana Robespierre'a i zastanawia się. Może tamci zwolennicy terroru, mimo iż rządzili za pomocą gilotyny, byli mimo wszystko naiwni.

9 czerwca 1796 roku d'Antraigues zgadza się przepisać szesnaście spreparowanych kartek i je podpisać. Czerwona teczka zostaje wysłana do Barrasa. Triumwirowie Dyrektoriatu mają od tej chwili rozstrzygającą broń przeciwko Pichegru i rojalistycznym deputowanym.

- To moje dzieło - mówi Napoleon.

Wydaje rozkaz, aby puszczono d'Antraigues'a wolno w zamian za obietnicę, że nie będzie się ukrywał. Niech sobie żyje. Może się nawet ukrywać, jeśli zechce. Zdrajca jest już nieprzydatny. Choć właściwie może jeszcze się przydać, jego korespondencja jest otwierana i przekazywana Napoleonowi.

Pewnego wieczoru, chodząc wolno po swoim gabinecie, Napoleon czyta swą charakterystykę nakreśloną piórem d'Antraigues'a. Często przy tym przystaje, jakby przed lustrem.

„Ten geniusz destrukcji - pisze d'Antraigues - przewrotny, okrutny, złośliwy, bardzo pomysłowy, irytujący się, gdy napotka przeszkody, dla którego ludzkie życie jest niczym, a ambicja wszystkim, pragnący być panem sytuacji i zdecydowany zginąć albo to osiągnąć, zupełnie pozbawiony hamulców, uznający zarówno wady, jak i zalety za środki i traktujący je z najgłębszą obojętnością, ma znamiona męża stanu. Z natury przesadnie brutalny, potrafi się jednak pohamować, okazując bardziej rozważny rodzaj okrucieństwa, które każe mu zawieszać wybuchy furii i odkładać

zemstę, fizycznie oraz moralnie nie potrafi wytrzymać ani chwili w spoczynku [...]. Bonaparte jest mężczyzną niewielkiego wzrostu, marnej postaci, o płonących oczach, w jego spojrzeniu i ustach jest coś okropnego, udawanego i zdradliwego; mówi mało, ale zapala się, kiedy stawką jest jego próżność albo kiedy coś się jej sprzeciwia; zdrowie ma złe za przyczyną zgryźliwości. Pokryty jest liszajem i przystępy tej choroby jeszcze powiększają jego brutalność i aktywność.

Człowiek ten jest zawsze zajęty swymi projektami i na nicli skupiony. Śpi trzy godziny na dobę, zażywa lekarstwa tylko wtedy, gdy cierpienia stają się nie do zniesienia.

Człowiek ten chce zapanować nad Francją i poprzez Francję nad Europą. Wszystko inne, nawet jego sukcesy wydają mu się zaledwie środkiem do tego celu. Kradnie więc otwarcie, rabuje, co się da, tworzy sobie ogromny skarbiec w złocie, srebrze, biżuterii, drogich kamieniach. Ale pragnie tego wszystkiego wyłącznie po to, aby się tym posługiwać. Ten sam człowiek, który potrafi doszczętnie złupić jakąś społeczność, da bez wahania milion komuś, kto może być dla niego użyteczny [...], Można z nim dobić targu w dwóch słowach i w dwie minuty. Oto jego sposoby uwodzenia".

Czy naprawdę jestem taki;¹

Napoleon wychodzi do parku. Spaceruje. Zrywa się gwałtowny wiatr, jak to często bywa wieczorem po wielkich popołudniowych upałach. Nie zawsze nadchodzi burza, ale powietrze jest tak naładowane piorunami, że aż trzeszczy i chwilami zdaje się rozdzierać. Daleko nad jeziorami i górami błyskawice rozświetlają ciemne niebo.

Tak mnie widzą wrogowie.

Chcieć zostać kimś, chcieć odcisnąć swe piętno, to narażać się na obmowę i nienawiść ze strony ludzi zawistnych i rywali. Nie można żyć, nie mając wrogów. Ci, których nikt nie nienawidzi, są niczym. Niczego nie dokonują.

Czy jestem taki?

jestem.

Rozdział 27

Pada deszcz. Chmury wiszą nisko nad doliną Tagliamento. Jest koniec sierpnia 1797 roku Napoleon stoi na podjeździe pałacu Passariano. Widzi stąd na końcu topolowej alei oddalające się karety parlamentarzysty austriackich. Zamieszkali oni niedaleko od pałacu, w Campo Formio. Inni na miejsce zamieszkania wybrali Udine. Na negocjacje przyjeżdżają jednak tutaj, do pałacu Passariano. Ani wytrawny dyplomata hrabia Ludwig Cobenzl, ani markiz Galio, ani generał hrabia Merveldt nie zdają się zbytnio spieszyć z podpisaniem pokoju. Nadal omawiają preliminaria z Leoben.

Spędzają dni, bawiąc się swą frywolnością i elegancją, swą sztuką konwersacji. Nadskakują Józefinie de Beauharnais jak zmanierowani arystokraci. Biorą nawet udział w grze w karty albo kości, które dla zabicia nudy organizuje Józefina.

Napoleon, trzaskając drzwiami, wchodzi do pałacu. Nie jest naiwny. Ci dyplomaci czekają na wydarzenia w Paryżu. Mają nadzieję, że w rozgrywce dzielącej Dyrektoriat górę wezmą zwolennicy Pichegru: rojaliści, członkowie klubu Clichy. Wtedy - żegnaj, pokoju. Byłaby to restauracja monarchii w Paryżu.

Nieosiągalne. Jaki byłby wówczas mój los?

Napoleon działał. Pośród żołnierzy armii Włoch kolportowano tysiącami gazety i proklamacje. Mogli oni tam przeczytać: „Żołnierze! Macie obowiązek poświęcić się całkowicie republice... Żołnierze! Rojaliści będą przegrani już z chwilą, gdy się pojawią [...]. Nieubłagana wojna wrogom republiki i Konstytucji III roku”.

Ten manewr jest skomplikowany. Nie trzeba się zanadto odslaniać. Napoleon powtarza Lavalette'owi: „Niech pan się spotyka ze wszystkimi, wystrzega ducha partyjnego; niech dostarcza mi pan prawdy, i to oczyszczonej z wszelkich emocji”.

Jaką wybrać strategię, skoro mgły się jeszcze nie rozproszyły?

Lavalette informuje: Barras i La Revellière-Lépeaux zwrócili się do generała Hoche'a i jego armii, aby przeprowadzili antyroyalistyczny zamach stanu. Jednak generał, który z początku się zaangażował, później, pod wpływem ataków i intryg, wycofał się. Dyrektorzy szukają innej szabli.

Nie będę już generałem vendémiaire'a.

Jest jednak Augereau, którego Napoleon wysłał z trzema milionami dla Barrasa. On będzie działać. Wkrótce po jego przybyciu do Paryża Napoleon otrzymuje od niego list: „Obiecuję uratować republikę przed agentami tronu i ołtarza”.

Lavalette doradza Napoleonowi, aby trzymał się na uboczu, nie narażał swej chwały zwycięskiego generała przez udział w represjach, jakie szykują się w Paryżu.

„Czy dostali papiery d'Antraigues'a?” - pyta Napoleon.

„Będą one pretekstem do represji i ostatecznym ciosem - zapewnia Lavalette. - Ofiary zostały już wyznaczone. Drukuje się już w tajemnicy zeznania d'Antraigues'a świadczące o zdradzie Pichegru. Na murach rozkleja się afisze ujawniające spisek zagranicy”.

Czekać na uderzenie, jakie zada Augereau, pozostawać na dystans, lecz nie być beczynnym. Napoleon nikomu nie pozwala na wychnienie, wzywa do pałacu Passariano ludzi, którym powierzył zadanie rozsyłania gazet do Paryża i Mediolanu, do liczących się obywateli i do żołnierzy. Przerzuca pierwsze numery „Courrier de l'armee d'Italie”, „Patriotę français”, „La France vue de l'Italie” czy „Journal de Bonaparte et des hommes vertueux”. Unosi się. Artykuły są zbyt umiarkowane! Nie wolno pozostawić bez odpowiedzi ataków gazet rojalistycznych, należy szerzyć idee mocne i proste. „Niech mówi się o mnie, o moich czynach” - żąda.

Nigdy nie dość pochwał wodza.

Czyta głośno zdanie z „Courriera”: „Spada jak błyskawica i uderza jak grom, jest wszędzie i widzi wszystko”. Oto, co należy pisać.

Dyktuje: „Królowie byli u moich stóp, mógłbym mieć w kufrach pięćdziesiąt milionów, mógłbym żądać czegoś więcej; lecz jestem obywatelem francuskim, jestem wysłannikiem i pierwszym generałem Wielkiego Narodu, wiem, że potomność odda mi sprawiedliwość”.

Jeśli prawd tego rodzaju nie roztrąbią nawet w gazetach, które sam opłaca, to kto inny będzie je głosił? Jest osiemdziesiąt gazet rojalistycznych - wykrzykuje - które każdego dnia rozpowszechniają obelgi i kalumnie!

„Widzę, że klub Clichy chce po moim trupie zmierzać do destrukcji republiki. Jego członkowie mówią: »Nie boimy się Bona-partego, mamy Pichegru«. Trzeba zażądać, by aresztowano tych emigrantów i zniweczono wpływy cudzoziemców. Trzeba zażądać, aby zniszczono prasy, na których drukuje się dzienniki sprzedawane w Anglii, bardziej krwiożercze od pism Marata”.

Kiedy ludzie pióra - jakobin Julien, dawny członek Konstytuanty Regnault de Saint-Jean-d'Angély, pisarz Arnault - odchodzą, Napoleon wzywa Berthiera. Chce, aby codziennie zdawano mu sprawę z lektury głównych gazet francuskich i zagranicznych. Sytuacja w Paryżu jest niepewna. Chodzi o to, aby jak na wojnie, nic nie pozostawiać na los szczęścia. Opinia publiczna jest ważna.

Po każdym zdaniu urywa. „Narodowi potrzeba przywódcy, przywódcy znanego dzięki sławie swych czynów - mówi - a nie dzięki teoriom rządzenia, mowom czy ideologicznym dysputom, z których Francuzi nic nie rozumieją [...]. Republika mająca trzydzieści milionów ludzi, cóż za pomysł! Przy naszych obyczajach, naszych wadach! To chimera, do której Francuzi się zapalili, która jednak minie jak tyle innych. Potrzeba im chwały, zaspokojenia próżności, ale wolność? - nic się na niej nie znają. Niech pan spojrzy na armię: sukcesy, jakie odnieśliśmy, nasze triumfy już przywróciły żołnierzowi francuskiemu jego prawdziwy charakter. Jestem dla niego wszystkim”.

Patrzy przeciągle na Berthiera. Nie wolno mówić wszystkiego, nawet komuś najwierniejszemu. Trzeba jednak napomykać o swoich planach, aby ten człowiek rozumiał je i pomógł wcielić je w życie.

„Partia działająca na rzecz Burbonów podnosi głowę - ciągnie

Napoleon. - Nie chcę się przyczynić do ich triumfu. Chcę wprawdzie, aby pewnego dnia partia republikańska została osłabiona, ale nie chcę, aby wyszło to na korzyść dawnej dynastii, stanowczo nie życzę sobie roli Mońka, który doprowadził do restauracji monarchii w Anglii po Cromwellu, nie chcę sam odegrać takiej roli i nie chcę, aby ktokolwiek ją odegrał [...]." *To mój system: gram dla siebie.*

9 września Napoleon otwiera list, który za pośrednictwem specjalnego kuriera skierował do niego Lavalette. W głowie tłoczą mu się różne myśli.

4 września - 18 fructidora - o trzeciej nad ranem Paryż został zajęty przez wojska Augereau. Rojalistów aresztowano. Barras triumfuje. Carnot uciekł. Barthelemy, wierny klubowi Clichy, został schwytyany. Rada Pięciuset i Rada Starszych zostały poddane czystkom. Ogromne afisze na wszystkich murach Paryża powieślały dokumenty d'Antraigues'a. „Moje dzieło”, mówi Napoleon, składając z powrotem list.

To on posłał Augereau do Paryża i zdemaskował zdradę Pi-chegru.

Pichegru został aresztowany. Kilka godzin później inny kurier powiadamia Napoleona o śmierci generała Hoche'a, od dawna chorego na gruźlicę, i zwolnieniu ze służby generała Moreau, podejrzanego o współpracę z rojalistami.

Jestem odtąd sam.

Trzeba teraz uspokoić dyrektorów, którzy się właśnie umocnili i mogą się teraz obawiać okrytego chwałą generała, którego imię głośne jest w Paryżu i o którym piszą gazety. Dlatego 10 października Napoleon zasiada do stołu i pisze do nich: „Pragnę się wycofać, wziąć w ręce lemiesz Cyncynata i dać przykład szacunku dla władzy i awersji do reżymu wojskowego, który zniszczył tyle republik i zgubił wiele państw”.

Czy teraz czujecie się pewniej, panowie dyrektorzy?

Rozdział 28

Jeśli chodzi o mnie... - zaczyna Napoleon.

Znajduje się w salonie pałacu Passariano, gdzie zwykle przyjmuje hrabiego Cobenzla. Pełnomocnik Wiednia powinien za kilka minut nadjechać z Campo Formio i Napoleon zdecydowany jest tym razem doprowadzić negocjacje pokojowe do końca. Teraz, gdy niebezpieczeństwo rojalistycznego zamachu stanu w Paryżu zostało odsunięte, trzeba zadbać, aby w oczach wszystkich Francuzów Napoleon był człowiekiem pokoju.

- Jeśli chodzi o mnie, to nie mam wcale ambicji - mówi Napoleon, patrząc na Berthiera, który przeczytał mu paryskie gazety.

Wszystkie wyśpiewują peany na cześć generała Bonaparte.

- Tak, jeśli w ogóle mam ambicję - ciągnie - to jest ona u mnie tak bardzo naturalna, tak wrodzona, tak mocno złączona z moją egzystencją, że jest jak krew płynąca mi w żyłach, jak powietrze, którym oddycham. Nie każe mi wcale iść szybciej... nigdy nie muszę walczyć ani dla niej, ani przeciwko niej... nigdy też nie spieszy się ona bardziej niż ja sam... dostosowuje się raczej do okoliczności i z całością moich poglądów.

Czym jest ambicja? Wolalby powiedzieć: energia, pragnienie, aby iść do przodu. Dokąd? Wie, że jeśli pokój zostanie uzgodniony, będzie musiał opuścić Włochy. Nie może dłużej pozostać w tym podbitym kraju, który jednak do niego nie należy i w którym byłby zawsze zależny od decyzji podejmowanych w Paryżu. Trzeba wrócić do Paryża, tylko jakie stanowisko mógłby tam zajmować? Zostać

jednym z dyrektorów? „Owoc jeszcze nie dojrzał do zerwania” -myśli częstokroć. Zatem wyjechać gdzieś jeszcze dalej.

Wiele razy jeździł nad brzegi Adriatyku.

Patrzył na wschód i na południe, na poszarpane wybrzeża przypominające Korsykę i zapowiadające już Grecję i Bliski Wschód. Oddawał się marzeniom, pozwalał się ponosić wyobraźni. Wystarczyłoby paru godzin, aby dotrzeć do Wysp Jońskich, odtąd już francuskich. Stamtąd zaś kolejnym ruchem, w ciągu kilku dni żeglugi, można by się znaleźć na Malcie, twierdzy na Morzu Śródziemnym. I w ten sposób, z wyspy na wyspę, dotrzeć do kontynentu starożytnych zdobywców, którzy wkraczali do mitycznych miast: Aleksandrii i Jerozolimy. Należałoby jednak w tym celu panować na morzu, poskromić Anglię.

- Zniszczyć Anglię to rzucić Europę do naszych stóp - mówi do dyplomaty Poulssiegue'a, któremu powierza misję szpiegowską na Malcie.

Gdy ten okazuje zdziwienie, Napoleon wzrusza tylko ramionami. Czemu zawsze trzeba tłumaczyć to, co jest zaledwie intuicją, marzeniem?

- Niedaleki jest czas - mówi jakby do siebie Napoleon - gdy poczujemy, że aby naprawdę zniszczyć Anglię, trzeba zawładnąć Egiptem.

Naturalnie Poulssiegue nie czytał *Podróży do Syrii i Egiptu* Volneya, dawnego przyjaciela Napoleona, poznanego na Korsyce. Napoleon wpatruje się nieruchomo w horyzont. *Dalej*. Wpierw jednak trzeba zawrzeć pokój z Austrią.

Hrabia Cobenzl siada, krzyżując elegancko nogi, zaczyna rozwijać swoją argumentację.

Napoleon niecierpliwie chodzi po salonie. Nie może tego słuchać. Za kogo go bierze ten arystokrata? Za jakiegoś domorosłego utytułowanego dyplomata, którym można w kółko kręcić jak osłem? Już od wielu dni nie można przełamać impasu w negocjacjach. Napoleon czuje wzbierającą wściekłość, ale tym razem nie stara się jej pohamować. Niech grzmot się rozlegnie, niech lawa wypłynie! Czasem trzeba ryknąć.

- Wasze cesarstwo - krzyczy nagle - jest jak stara ladacznica przyzwyczajona do tego, że wszyscy ją gwałcą...! Zapominacie, że to Francja zwyciężyła, wy zostaliście pokonani... Zapominacie też, że prowadzicie tu ze mną rokowania otoczeni przez moich grenadierów.

Gestykuje. Przewraca ozdobny stolik. Na ziemię spada serwis do kawy i tłucze się. Napoleon nieruchomieje, widzi, jak zaskoczenie i strach zmieszany z ironią wykrzywiają rysy twarzy hrabiego Cobenzla. Niewątpliwie arystokrata widzi w nim „szaleńca”, jak zwierzył się swoim bliskim.

Szaleniec? Ten, kto zwycięża, nigdy nie jest szaleńcem.

W tydzień później, 17 października 1797 roku w Campo Formio Cobenzl w imieniu Austrii podpisuje pokój z Francją zatwierdzający preliminaria z Leoben. Austria odstępuje Francji Belgię. Oddaje Lombardię na rzecz Republiki Cisalpińskiej. Francja anektuje Wyspy Jońskie (Korfu, Zakynthos, Kefalonię), lecz w zamian Austria otrzymuje Wenecję i tereny aż do rzeki Adygi.

- Czy wie pan - relacjonuje Lavalette, który sześć dni temu wyjechał ze stolicy - że w Paryżu jest pan „wielkim twórcą pokoju”? Wiwatują na pańską cześć. Pańska małżonka była przy powrocie witana jak królowa. Otacza pana aureola chwały zwycięskiego generała i mędrca.

Napoleon słucha. Otrzymał gratulacje Dyrektoriatu z okazji podpisania traktatu z Campo Formio. Nowy minister spraw zagranicznych, Talleyrand, dawny biskup Autun, którego Napoleon nie zna osobiście, napisał do niego: „Oto mamy więc pokój a la Bonaparte [...]. Dyktariat jest zadowolony, opinia publiczna zachwycona. Wszystko jest jak najlepiej. Będą może jakieś biadolenia ze strony Włochów, ale to nieważne. Bądź zdrow, generale pokoju, a wraz z tobą przyjaźń, podziw, szacunek, wdzięczność: nie wiadomo, w jakim miejscu przerwać to wyliczenie”.

„Biadolenia Włochów”: oto minister, który niezbyt się przejmując oddaniem Wenecji Austriakom, oto człowiek, który zdaje się rozumieć, na czym polega polityka i dyplomacja.

- W Paryżu czeka pana triumf - zapewnia Lavalette. - Będą się tłoczyć na ulicach, którymi pan pojedzie.

- Ha! - prycha Napoleon. - Lud tłoczyłby się z takim samym zapalem, gdybym jechał na szafot.

Nie okazuje żadnego zdziwienia, kiedy dostaje nominację na naczelnego dowódcę armii Anglii, której zadaniem jest przygotować inwazję; następnego dnia nowe przesłanie z Paryża powierza mu reprezentowanie republiki w Rastacie, gdzie ma się omawiać wykonanie traktatu z Campo Formio.

Wie, że niektórzy deputowani, a wśród dyrektorów Reubell, nie są zadowoleni z warunków traktatu. Nie wszyscy mają takie poczucie realizmu jak Talleyrand. Nie mogą jednak odrzucić wyczekiwanego pokoju, który powitano z takim entuzjazmem.

- Zazdroszczą mi, wiem o tym - mówi Napoleon - choć mi każą. Ale nie zmacą mi spokoju ducha. Pospiesznie mianowali mnie generałem armii Anglii, aby mnie oddalić od Włoch, gdzie jestem bardziej władcą niż generałem. Niech zobaczą, jak beze mnie potoczą się wypadki.

Wyjeżdża jednak bez żalu.

Zbiera oficerów w pałacu Serbelloni. Przechodzi powoli przed nimi. Każda twarz przypomina jakąś chwilę z walk trwających prawie dwa lata. Od tamtej wiosny 1796 roku, kiedy dostał w swoje ręce bandę „rozbójników”, przebyli długą drogę aż do wiernych po śmierć grenadierów, do kapitanów i generałów, którzy teraz pełni podziwu otaczają go w tych salonach urządzonych z przepychem - to była w jego życiu prawdziwa rewolucja.

Wczoraj był tylko generałem vendémiaire'a, dzisiaj fetują, czczą i otaczają pochlebstwami generała pokoju.

Oddala się od tłumu oficerów. Przypomina mu się Muiron, który stanął jak tarcza pomiędzy nim a śmiercią. Muiron, martwy jak tysiące innych, młodych, pełnych energii, pragnień i ambicji. Czuje na swoich barkach ciężar tej spuścizny siły i krwi. Żyje dzięki nim i dla nich - tych wszystkich poległych. Na zawsze z nimi solidarny, zachowujący ich w pamięci.

- Oddalając się od armii - mówi - pocieszam się tylko nadzieją, że wkrótce się z wami zobaczę, by walczyć z nowymi niebezpieczeństwami. Jakikolwiek posterunek rząd wyznaczy żołnierzom armii Włoch, zawsze będą oni godnie służyć wolności i chwale imienia Francji.

To ja stałem się imieniem Francji.

W nocy z 17 na 18 listopada przybywa do Turynu. Ambasador Francji Miot de Mérito gości go przez kilka dni w swej rezydencji. Napoleon nie może spać. Chodzi tam i z powrotem po wielkim salonie, nie zwracając niemal uwagi na Miota, milczącego i pełnego respektu. W tym momencie, stanowiącym cezurę w jego życiu, Napoleon mówi głównie do siebie.

- Ci paryscy adwokaci, którzy usadowili się w Dyrektoriacie - mówi - wcale nie znają się na rządzeniu, to małe umysły. Zobaczę, co oni chcą zdziałać w Rastatie. Bardzo wątpię, czy będziemy się mogli porozumieć i długo pozostać w zgodzie.

Urywa. Patrzy na Miota, jakby dopiero teraz dostrzegł jego obecność, i nie spuszczając z niego oczu, dorzuca:

- Co do mnie, mój drogi Miot, oświadczam panu, że nie mógłbym już teraz słuchać rozkazów; posmakowałem dowodzenia i nie umiałbym z tego zrezygnować. Już wybrałem, jeśli nie będę mógł rządzić, wyjadę z Francji; nie chcę dokonywać tylu rzeczy tylko po to, aby ją oddać adwokatom...

O dziewiątej rano karetą wyjeżdża z Turynu.

Napoleon przejeżdża przez Chambéry, Genewę, Berno, Solurę, Bazyleję.

Patrzy na tłumy wiwatujące na jego cześć i widzi odbijającą się w szybie swoją twarz: wychudzoną, bladą, zmęczoną. Lecz gdy karetą się zatrzymuje, zeskakuje na ziemię żwawy i pełen energii. Tłoczą się wokół niego. Proszą o opinie. Ucina dyskusje, spożywa szybko skromną kolację, a o świcie jedzie dalej, przejeżdża przez Bryzgowię i przybywa do bram Rastattu 25 listopada wieczorem.

Każę zatrzymać karetę, zmienić ekwipaż. Trzeba olśnić ludzi. Do miasta wjeżdża karocą zaprzęzoną w osiem koni, w eskorcie trzydziestu olbrzymich huzarów Veczaya na paradnie przystrojonych koniach.

Zajmuje wraz ze swą żoną całe skrzydło pałacu. Szybko jednak zaczyna mieć uczucie, że ugrzązł w tych dyplomatycznych negocjacjach. Nie jest w nich panem, lecz podwładnym Reubella, dyrektora odpowiadającego za politykę zagraniczną. Wokół niego nie ma

już wiernych grenadierów ani dworu, jak w pałacu Mombello. Irytuje się. Nie można zaakceptować niższej pozycji, gdy już raz było się wielkim.

W sali obrad spotyka Axela Fersena, delegata Szwecji, który był kochankiem Marii Antoniny. Mierzy go wzrokiem.

- Republika Francuska nie ścierpi - mówi ostrym tonem - żeby ludzie zbyt dobrze znani ze związków z dawnym dworem francuskim przyjeżdżali naigrawać się z ministrów pierwszego ludu na świecie.

Odwraca się do niego plecami. Nie znosi tej „dyplomatycznej gadaniny”.

30 listopada, ponaglając dyplomatów, wymienia dokumenty ratyfikacyjne traktatu. 2 grudnia wzywa swego adiutanta Murata, wydaje mu rozkaz udania się do Paryża i przygotowania tam jego wjazdu. Sam wyjeżdża 3 grudnia.

4 grudnia zatrzymuje się na kilka godzin w Nancy. Witają go tu i fetują wolnomularze z loży Świętego Jana z Jerozolimy, lecz on odpowiada im w zaledwie paru słowach. Jest roztargniony i zamyślony, jakby marzył. Ubrany w zwyczajny strój mieszczański, przybywa do Paryża zwykłym dylizanssem pocztowym 5 grudnia 1797 roku o piątej po południu w towarzystwie Berthiera i Cham-pionneta.

Józefina musi być gdzieś na włoskich drogach, ponieważ wydał jej rozkaz udania się do Paryża. Nie chce o niej myśleć. Wyobraźnia przyprawia go o męki zazdrości.

Paryż jest opustoszały. Żadnego hałasu, żadnego orszaku. Wraca do siebie, na ulicę Chantierine. Tyle że teraz nazywa się ona ulicą Victoire. Cisza i dyskrecja w sytuacji, gdy wszyscy spodziewają się wiwatów na jego cześć, to jeszcze jeden sposób na zaskoczenie.

A jak rządzić ludźmi, nie zaskakując ich?

CZEŚĆ SIÓDMA

WSZYSTKO SIĘ TU PSUJE...
TRZEBA JECHAĆ NA
WSCHÓD

5 GRUDNIA 1797 - 19 MAJA 1798

Rozdział 29

Jutro muszę się spotkać z tym człowiekiem - mówi Napoleon.

Ledwie przyjechał do Paryża, a już posłał jednego z adiutantów z wiadomością do ministra spraw zagranicznych Dyrektoriatu Charles'a Maurice'a de Talleyranda-Périgorda. Nie wątpi, że Talleyrand go przyjmie.

Czasem odgaduje się człowieka, nawet jeśli się go nigdy nie widziało. A Talleyrand, odkąd został mianowany ministrem w lipcu 1797 roku, dawał do zrozumienia, że jest sojusznikiem, który mógłby się Napoleonowi przysłużyć, oczywiście z korzyścią dla siebie.

Sojusze między ludźmi władzy są zawsze tego rodzaju.

Napoleon przypomina sobie pierwszy list od Talleyranda. „Prawdziwie przerażony funkcją, której niebezpieczną wagę odczuwam w całej pełni, potrzebuję upewnienia, że wspierają mnie zdolności i możliwości, jakie do negocjacji wnieść musi pańska sława” -napisał w liście z 24 lipca 1797 roku.

Były biskup Autun przerażony? Człowiek, który w 1790 roku celebrował mszę na Święto Federacji, który spędził kilka lat na wygnaniu w Stanach Zjednoczonych i Anglii, do czasu gdy ostrze gilotyny przestało spadać? A gdy tylko wrócił do Francji, dzięki poparciu Barrasa i intrygom kobiet, które tak kocha, zwłaszcza pani de Stael - córki Neckera - uzyskał od Dyrektoriatu ministerstwo spraw zagranicznych... Ten człowiek wątpiłby w swe talenty? Niemożliwe! Nic nie może przerazić takiego człowieka. Jego list znaczył więc tyle: podajmy sobie ręce, mamy wspólne interesy. Później potwierdziły to inne posunięcia Talleyranda.

Napoleon pamięta o tym wszystkim, kiedy 6 grudnia o jedenastej rano wchodzi do salonów pałacu Galliffet przy ulicy du Bac. Talleyrand dawał mu już do zrozumienia, że źle znosi kuratelę dyrektorów, a zwłaszcza zajmującego się polityką zagraniczną Reubella. To wystarczy do zawarcia dobrego sojuszu.

Oto i on.

Podchodzi do Napoleona, jest wysoki, ma ziemistą cerę, zadarty nos, włosy upudrowane wedle przedrewolucyjnej mody. Nie ma zarostu, uśmiecha się ironicznie. Utyka. Trudno określić jego wiek.

W salonie zaproszeni goście wstali, żeby przyjrzeć się Napoleonowi. Talleyrand przedstawia ich jakby ze znużeniem. Pani de Stäel. Dziwaczka, na którą Napoleon ledwie spojrział. Nie ufa tej kobiecie, która pożera go wzrokiem, która pisała do niego płomienne listy. Cóż to za kobieta, która zamiast poprzestać na urokach własnej płci, zajmuje się pisaniem i zabawia zuchwalstwem? Kobieta, która próbuje ukryć swą brzydotę. Napoleon odwraca się od niej, wita żeglarza Bougainville'a, po czym idzie za Talleyrandem do jego gabinetu.

Napoleon obserwuje ministra. Jest taki, jak go sobie wyobrażał: szyję owija mu niezwykle szeroki fular, obszerny surdut opina pierś, jego głos jest silny i poważny, ma sztywną postawę wielkiego pana, który patrzy na wszystko z góry, jego wzrok jest nieruchomy i pozbawiony złudzeń. Człowiek, którego nie można zbyć słowami. Zręczny gracz, który jednak ostentacyjnie okazuje podziw, jaki żywi wobec Napoleona, i mimo że jest starszy, docenia atuty sławnego młodzieńca. Ma przy tym wystarczająco dużo dystansu, aby Napoleon nie odniósł wrażenia służalczości ani nie miał poczucia niższości. „Pan rozdaje karty - zdaje się mówić Talleyrand - ja panu sekunduję w grze, ale z niczego nie rezygnuję”.

Potrzebuję takich partnerów w grze, którą rozgrywam.

-Jest pan siostrzeńcem arcybiskupa Reims, który jest przy Ludwiku XVIII - mówi Napoleon.

Umyślnie powtarza: „Ludwik XVIII” - jak mówią rojaliści.

- Ja także miałem wujka, który był archidiakonem na Korsyce - ciągnie. - To on mnie wychował. Na Korsyce archidiakon to jak we Francji biskup.

Sugeruje w ten sposób, że oprócz bezpośrednich interesów

łączy ich pochodzenie, co daje jeszcze jedną rękojmię dobrej współpracy.

Pierwsze spotkanie dobiega końca. Salon jest wypełniony. Napoleona wita pełen szacunku szmer.

- Obywatele - mówi Napoleon - doceniam entuzjazm, jaki mi okazujecie. Prowadziłem wojnę najlepiej, jak umiałem, i zawarłem najlepszy, jak mi się wydaje, pokój. Do Dyrektoriatu należy, aby potrafił go spożytkować dla szczęścia i pomyślności republiki.

Trzeba być roztropnym. W niektórych gazetach już dają do zrozumienia, że dąży do dyktatury. Po co przyjechał do Paryża? -pytają. Należy więc uspić czujność przeciwników, nie okazywać pragnienia sławy, podobać się jak największej liczbie ludzi, ale zachowywać jak skromny obywatel, który troszczy się nie o swoje interesy, lecz o dobro republiki.

Je kolację u Reubella, zwierzchnika i przeciwnika Talleyranda, dyrektora najbardziej przeciwnego klauzulom traktatu z Campo Formio. Trzeba usuwać się w cień i udawać brak zainteresowania wielką polityką. W powszechnej opinii Dyrektoriat składa się z ludzi skorumpowanych i skłóconych. Ważne jest zatem, aby się nie kompromitować stosunkami z którąś z klik oraz demonstrować, że się nie wzbogaciło na wojnie.

Jeśli więc przyjmuje się przy ulicy Zwycięstwa wizyty, to przede wszystkim ludzi nauki albo literatury, uczonych, członków Instytutu, wojskowych. Nie należy uchodzić za polityka. Berthollet, Monge, Laplace, Prony, Bernardin de Saint-Pierre, Desaix czy Ber-thier: to są obywatele ponad wszelkim podejrzeniem. Rozmawia o metafizyce i poezji z Marie Josephem Chénierem, przeprowadza dowód matematyczny dla Laplace'a, niegdysiejszego egzaminatora ze szkoły wojskowej.

To postępowanie przynosi owoce, gdy Laplace wykrzykuje: „Spodziewalibyśmy się po panu wszystkiego oprócz lekcji matematyki!”. Kielkuje idea, aby kandydował do Instytutu na miejsce po Carnocie. Wkrótce rozpisują się o tym gazety. Napoleon czyta je każdego ranka. Dziennikarze nie mogą się nadziwić: generał wydaje się zaabsorbowany tylko kwestią tej honorowej, bezinteresownej kandydatury.

25 grudnia Napoleon zostaje wybrany przez trzystu pięciu głosujących na członka Instytutu, wydziału fizyczno-matematycznego, sekcji mechaniki. Nazajutrz o pół do piątej po południu zajmuje miejsce między Monge'em a Bertholletem i bierze udział w pierwszym posiedzeniu Instytutu. Wieczorem, podczas kolacji, pani Tallien składa mu gratulacje.

Po niecałych trzech latach znalazł się blisko szczytu. Ale jest jeszcze za wcześnie, aby okazać, że o tym wie. Na razie trzeba udawać, że jest się nikim, i nie zajmować się niczym ważnym. Nabrał odporności na upojenie kadzidłem. Podczas oficjalnej ceremonii, którą Dyrektoriat zorganizował na jego cześć w Pałacu Luksemburskim, nie odwraca głowy w stronę tych, którzy wnoszą okrzyki: „Niech żyje Bonaparte! Niech żyje generał wielkiej armii!” Ulice wokół pałacu wypełnione są rozentuzjasmowanym tłumem.

Oni są tutaj dla mnie. Wykrzykują moje nazwisko.

Ponieważ zdaje sobie z tego sprawę, innym okiem spogląda na pięciu dyrektorów w haftowanych złotem frakach, czarnych kapeluszach podwiniętych z jednej strony i ozdobionych trójkolorowymi piórami, w narzuconych na ramiona obszernych płaszczach barwy między jasną czerwienią a pomarańczą, wykończonych wielkimi białymi kołnierzeniami i koronkami.

To nie ich nazwiska powtarza tłum. To nie na ich cześć oddają salwy z dział i wznosi się ołtarz ojczyzny otoczony posągami Wolności, Równości i Braterstwa, intonuje się Pieśń powrotu do muzyki Méhula i słów Chéniera; to wszystko na moją cześć.

Ale to oni, dyrektorzy, mają władzę pozwalającą zorganizować taką uroczystość. A władza to sieć porozumień, zabezpieczeń i zabezpieczeń tych zabezpieczeń, cała pajęczyna, która łączy setki ludzi.

Jeszcze ją mają.

Talleyrand wygłasza przemówienie.

- Myślę o wszystkim, co zrobił, aby zasłużyć na tę sławę - mówi zwrócony w stronę Napoleona - o wyróżniającym go antycznym umiłowaniu prostoty, o jego zamiłowaniu do nauk ścisłych... Wszyscy znają jego głęboką odrazę do blichtru, luksusu i zbytku, tych godnych pogardy ambicji właściwych duszom pospolitym. Daleki jestem od tego, by się obawiać jego ambicji, sądzę raczej, że być

może pewnego dnia będziemy musieli go prosić, aby porzucił ciszę pracowitego odosobnienia...

Napoleon słucha z nieporuszoną twarzą, z zaciśniętymi ustami i nieruchomym wzrokiem. Talleyrand mu pomaga, nie musieli tego nawet uzgadniać.

Moja skromność musi być zdumiewająca.

Napoleon postanowił wygłosić jedynie parę słów, jak przystoi temu, kto zdecydował się pozostawać w cieniu.

- Lud francuski musiał na drodze do wolności - zaczyna - pokonać królów. Aby uzyskać konstytucję opartą na rozumie, trzeba było przezwyciężyć osiemnaście stuleci przesądów... Kiedy szczęście ludu francuskiego opierać się będzie na najlepszych prawnach naturalnych, cała Europa stanie się wolna.

Wiwatują. Czy tłum zrozumiał, że kraj nie ma jeszcze „najlepszych praw”? I że on, Napoleon, wie o tym? Trzeba było to powiedzieć, nie licząc się z ostrożnością, gdyż on musi być uosobieniem woli zmian. Odkąd przyjechał do Paryża, wszyscy go wypytyują. Czego chce? Liczą, że przyczyni się do tego, aby kraj uspokoił się wreszcie i skończyły się zamachy stanu. Musi więc dać do zrozumienia, że podziela takie uczucia.

Nazajutrz po ceremonii jest u siebie, przy ulicy Victoire. Składa mu wizytę Bourrienne. Był obecny w Pałacu Luksemburskim.

- Lodowato chłodna uroczystość - stwierdza. - Wyglądało to tak, jakby wszyscy się nawzajem obserwowali i u wszystkich osóbistości widziałem raczej ciekawość niż radość czy prawdziwą wdzięczność.

- Boją się - wyjaśnia Napoleon - nienawidzą mnie.

Pokazuje otrzymany tego ranka list, gdzie zapewnia się go, że zawiązano spisek, aby go otruć.

- Ci, którzy krzyczą na moją cześć - mówi - chętnie by mnie udusili pod wieńcami triumfalnymi.

Zatem przezorność. Trzeba skrywać swą sławę i dumę, zadbać o pozostanie przy życiu. Prosi wiernego służącego, dawnego żołnierza, aby mu towarzyszył. To on służy mu przy stole i nalewa wina.

Sieyès i Francois de Neufchâteau, pomiędzy którymi Napoleon siedzi na bankiecie wydanym na jego cześć przez obie izby: Radę

Starszych i Radę Pięciuset, dziwią się tym środkom ostrożności. Zdumiało ich także, gdy zobaczyli, jak nadjeżdża w „bardzo skromnej karecie”, w cywilnym ubraniu i w butach z ostrogami, jakby w razie konieczności miał wskoczyć na konia.

Odpowiada uśmieżkiem. Czyżby udawali, że nie wiedzą, iż zabija się tych, którzy stają na drodze? On o tym wie. A stoi na drodze. Jakobini podejrzewają go o chęć zaprowadzenia dyktatury. Dyrektorzy boją się o swoją władzę. Więc nawet na tym bankiecie na osiemset osób, gdzie podawano cztery dania, gdzie usługiwało ośmiuset lokajów i trzydziestu dwóch *maitres d'hôtel*, gdzie były wina z Kapsztadu i Tokaju, karpie z Renu i wszelkie możliwe nowalijki, tylko jego osobisty służący zmieniał mu nakrycia, talerzyki, kieliszki i podawał mu jajka na miękko.

Co innego u Talleyranda. O wpół do jedenastej wieczorem 3 stycznia 1798 roku Napoleon wchodzi na salony pałacu Galliffet, gdzie oczekuje go Talleyrand i blisko pięciuset zaproszonych gości.

Robotnicy pracowali od tygodni, aby ozdobić pałac. Na estradach wzniesionych w salonach występują śpiewacy, tancerze, muzycy. Wszędzie zieleń, na ścianach kopie arcydzieł, które Napoleon zdobył we Włoszech. Na dziedzińcach namioty rozstawione przez żołnierzy. Schody i salony pachną ambrą. Kobiety, piękne i eleganckie, ubrane na modłę rzymską bądź grecką, w muślinach, jedwabiach i krepach, zostały osobiście wybrane przez Talleyranda.

Napoleon patrzy na Józefinę, nonszalancką, uśmiechniętą, w diademie z kamei we włosach. Jest tutaj jedną z najpiękniejszych kobiet. Należy do niego.

Ma więc to, o czym marzył. Triumf. Wytworne kobiety i wpływowi mężczyźni tłoczą się przy nim. Pozostaje jednak sztywny. Zdecydował nie wkładać munduru, jedynie prosty czarny surdut zapinany pod szyję.

Bierze pod ramię pisarza Arnaulta. Wchodzi do sali balowej, gęście odbywają się tańce. Tańczy się kontredansa do nowej piosenki, zatytułowanej *Bonaparte*. Jest ośrodkiem całej tej fety, lecz mimo to jest zirytowany. Pochyliła się do Arnaulta. Niechże oddalą natrętów, mówi. Nie można swobodnie rozmawiać. Ten bal wydany jest przez Talleyranda na jego cześć, ale nie czuje się na nim

panem. Wśród zaproszonych dostrzega trzech dyrektorów. Oto szczyty władzy. Ta myśl go rani. Uroczystość brzmi fałszywie, jest w niej jakiś zgrzyt. Zbyt wiele wokół niego ciekawości i za mało prawdziwego respektu. Ale wzbudza się go tylko wtedy, gdy ma się rzeczywistą władzę.

Arnault, którego tłum rozdzielił z Napoleonem, powraca w towarzystwie kobiety. Napoleon ją poznaje.

- Pani de Stäel - mówi Arnault - udaje, że trzeba jej u pana innej rekomendacji niż ta, którą daje jej nazwisko, i chce, abym ją panu przedstawił. Niech mi pan pozwoli, generale, spełnić jej życzenia.

Tworzy się wokół nich krąg osób. Napoleon patrzy na tę korpulentną kobietę, która mówi z emfazą, komplementuje go i wypytuje. Ogarnia go pogarda i złość. Nie jest mężczyzną dającym się zawojować kobiecie, której nie pragnie. Ta tutaj nie tylko jest brzydka, lecz jeszcze do tego pretensjonalna. Mówi się, że jest pisarką, że ma ambicję posiadania poglądów politycznych. Ona!

- Generale, jaką kobietę kochałby pan najbardziej? - pyta pani de Stäel.

- Moją.

- To oczywiste, ale jaką najwyżej by pan cenił?

Spodziewała się może, iż odpowie: kobietę myślącą, która interesuje się rządzeniem państwem, pisarkę. Czy jej się zdaje, że ma do czynienia z jakimś gadułą z salonu literackiego?

- Tę, która najlepiej umie zajmować się domem - odpowiada.

- Rozumiem. Ale jaką kobietę postawiłby pan na pierwszym miejscu?

- Taką, która rodzi najwięcej dzieci, madame.

Obraca się na pięcie i idzie do sali balowej, między żywopłoty z mirtów, wawrzynu i drzewek oliwnych. Grają *Pieśń wymarszu*. Tylko kobiety siedzą. Talleyrand trzyma się za tronem Józefiny. Napoleon bierze pod rękę ambasadora Turcji Esseida Alego.

Śpiewak Lays intonuje na cześć Józefiny kuplet, który trzeba bisować:

*U boku herosa zwycięzcy
Życie twoje płynie,
Ty, co serce jego dzielisz*

*Z ojczyzną jedynie.
O, czuła towarzyszek
Obrońcy Francji i mężczyzny,
Troszcząc się o jego szczęście,
Splacasz dług całej ojczyzny.*

Napoleon patrzy na Talleyranda, który nachyla się nad ramieniem Józefiny. Ten człowiek jest mistrzem zręczności. Niezwykle cennym sojusznikiem.

Lecz Talleyrand nie ma władzy. Jest tylko protegowanym Barrasa i podwładnym Reubella, który nie szczędzi mu sarkazmów i pogardy. To właśnie ich należy wywieść w pole za wszelką cenę, nie dopuszczając przy tym, aby go uznano za jednego z nich.

Napoleon jedzie do nich do Pałacu Luksemburskiego. Pracuje nad projektem inwazji na Anglię. Czy nie jest generałem dowodzącym armią, której powierzono tę misję? Stoi naprzeciw dyrektora. Objasnia trudności całego przedsięwzięcia. Nakazał doprowadzić do gotowości flotę wojenną w Breście. Spotkał się z Theobaldem Wolfe'em Tone'em, irlandzkim patriotą. Można by się zastanowić - wyjaśnia - nad desantem w Irlandii i wywołaniem powstania przeciwko angielskiemu najeźdźcy.

Czuje, że stopniowo rozbraja krytyków. Trud popłaca.

Na początku stycznia zostaje pilnie wezwany. W Rzymie doszło do poważnych incydentów. Podżegana przez księży ludność zaatakowała wojska francuskie. Zamordowano generała Duphota. Ambasador Józef Bonaparte musiał opuścić Rzym.

Napoleon wydaje instrukcje, pisze do generała Berthiera, który zastąpił go na czele armii Włoch. Ale nawet w tych dramatycznych okolicznościach spojrzenia, jakie mu rzucają, często nie są pozbawione politycznych zamysłów. Wówczas się broni. Odsuwa generałów, których uważa za rywali, Bernadotte'a i swego dawnego podwładnego Augereau, który napisał, że Bonaparte jest „ambitnym bałaganiarzem i zabójcą”. Ten list zaczął krążyć w odpisach wśród deputowanych. Napoleon także się z nim zapoznał. Ogarnia go furia. Gniewnie egzemplarz listu. Ciągle trzeba się mieć na baczności.

18 stycznia Talleyrand chce się spotkać z Napoleonem. Napoleon udaje się do pałacu Galliffet. Talleyrand przyjmuje go z jeszcze bardziej niż zwykle wylewnymi oznakami podziwu. Po chwili niezobowiązującej rozmowy ujawnia powód spotkania. 21 stycznia w dawnym kościele św. Sulpicjusza obchodzona ma być piąta rocznica egzekucji Ludwika XVI. Dyrektoriat życzy sobie, aby Napoleon był obecny przy tej ceremonii.

Talleyrand uśmiecha się i milknie. Napoleon wpatruje się w niego.

- Nie sprawuję żadnej funkcji publicznej, moja obecność byłaby trudna do wytłumaczenia.

Pułapka jest wyraźna. Podczas gdy on od tygodni stara się usytuować ponad ścierającymi się obozami, oni chcą go teraz zmusić do dokonania wyboru.

Przed trzema dniami w jednej z najbardziej znanych paryskich kawiarni, w „Cafe Garchy” w pobliżu Palais-Royal, wywiązała się bójka między dawnymi rojalistycznymi emigrantami i jakobinami, w której wyniku jedna osoba została zabita i byli ranni. Napoleon gwałtownie zaprotestował i oburzył się, mówiąc o wandalizmie, kradzieży, masakrze pod przykrywką jakobinizmu. Oskarżył nawet policję o zorganizowanie tej „ohydnej zbrodni”, tej „wyprawy obwiesiów”. On jest za porządkiem i ukróceniem przemocy. Należy zatrzeć dawną wrogość pomiędzy jakobinami i emigrantami. Trzeba, aby rządzili najlepsi. Tak właśnie urządził republiki włoskie.

Właśnie to do niego przyciąga: jest człowiekiem, który przywróci pokój wewnętrzny. Tymczasem dyrektorzy chcą go wmieszać w obchody śmierci Ludwika XVI!

Talleyrand nalega.

- To święto ludożerców - mówi opryskliwie Napoleon. - Okropne błazeństwo.

Uspokaja się jednak równie szybko, jak się zapalił.

- Nie zamierzam się zastanawiać, czy osądzenie Ludwika XVI było korzystne czy szkodliwe - mówi. - Był to pożałowania godny incydent.

Święta narodowe, dodaje, powinny służyć świętowaniu zwycięstw. Opłakuje się jedynie poległych na polu walki.

Obaj milczą, potem Talleyrand spokojnie wyjaśnia, że krajem

rządzi prawo. Prawo zaś przewiduje takie obchody. Wpływ generała Bonaparte na opinię publiczną jest tak wielki, że powinien on pojawić się na tej ceremonii. Dyrektorzy, którzy go zaprosili, byłiby zdziwieni jego nieobecnością, uznaliby, że zdecydował się występować przeciwko republice.

- Czy to dobry moment? - pyta Talleyrand.

Napoleon nie odpowiada, lecz 21 stycznia 1798 roku idzie w orszaku. Słucha przemówienia Barrasa, który wygłasza kazanie na temat „nienawiści do monarchii i anarchii”. Później chóry śpiewają *Przysięgę rewolucyjną* z muzyką Gosseca i słowami Chéniera:

*Jeśli jakiś uzurpator zechce ujarzmić Francję,
Niech spotka go natychmiast zemsta ludu.
Niech padnie od żelaza; niech jego członki krwawe
Będą wydane na równinie żarłocznym sępom.*

Na koniec odczytano odę Lebruna-Pindare'a:

*Jeśli są tacy, którzy pragną pana,
Króla z królów,
Niechaj idą zebrać o okowy
Ci Francuzi niegodni swego narodu.*

Pod koniec ceremonii tłum, który Dyrektoriat zignorował, czeka wciąż zgromadzony przed kościołem. Napoleon waha się, czy stanąć twarzą w twarz z zebranymi. Chce się dyskretnie oddalić, zostaje jednak dostrzeżony, wznoszą okrzyki: „Niech żyje Bonaparte! Niech żyje generał armii Włoch!” Z trudem udaje mu się wydostać.

Ci ludzie bez względu na to, co śpiewają, chcą mieć przywódcę.

Może nadeszła już chwila działania.

Kręci się w kółko po swoim pałacu przy ulicy Victoire. Nie odzywa się nawet do Józefiny, która go obserwuje, usiłuje się do niego zbliżyć.

Powinien się zobaczyć z Barrasem, który akurat przewodniczy Dyrektoriatowi. Barras jest zwolennikiem porządku. Powinien ro-

zumieć, że potrzebne są reformy instytucji. Trzeba skończyć z tymi rządami pięciu dyrektorów, które z natury są niezdolne do działania. Napoleon puszcza wodze wyobraźni. We Włoszech napisał konstytucję dla utworzonych przez siebie republik. Gdyby został jednym z dyrektorów, mógłby wspólnie z Barrasem pozbyć się trzech pozostałych i ustanowić skuteczny rząd.

Barras przyjmuje go w Pałacu Luksemburskim z wielkim prze-
 pychem, w którym się lubuje. Jest tłusty. Mówi powoli, jakby wy-
 mówienie kilku słów było zbyt wielkim wysiłkiem. Czy ten człowiek,
 nurzający się w rozkoszach, żarłok, smakosz i gracz, o którym się mówi,
 że lubi wszelkie możliwe rodzaje rozpusty, czy on jeszcze potrafi
 chcieć?

Napoleon waha się, w końcu jednak wyklada karty na stół:

- Rządy Dyrektoriatu - mówi - nie mogą trwać długo. Zamach
 stanu osiemnastego fructidora zadał im śmiertelny cios. Większość
 narodu je odrzuca, zarówno jakobini, jak i rojaliści.

Urywa, po czym, nie spuszczać wzroku z Barrasa, ciągnie,
 wyraźnie rozdzielając słowa:

-Trzeba sprawić, aby w drodze wyjątku zwyczajem z Włoch i twórcą
 pokoju mógł się stać wybieralny. Później, będąc u władzy, możemy we
 dwójkę przepędzić dyrektorów. Zaprowadzić w ten sposób rządy
 porządku i tolerancji. Chwila jest sprzyjająca.

Podchodzi bliżej. Barras siedzi. Nawet się nie poruszył.

- Opinia publiczna jest przychylna - podejmuje Napoleon - ale
 publiczna przychylność jest jak burza, szybko mija.

Barras gwałtownie się prostuje. Oddycha ciężko. Toczy wokół
 oczami. Zaczyna mówić grmiącym głosem. To wszystko niemożliwe.
 Gdyby Rady wybrały Bonapartego na członka Dyrektoriatu, to
 naruszyłyby konstytucję. Dyrektoriat odrzuciłby taki dekret. Podnosi
 głos jeszcze bardziej:

- Chcesz obalić Konstytucję! - krzyczy. - To ci się nie uda i tylko
 sam się pograżysz. To Sieyès pewnie cię do tego nakłonił swymi
 zdradzieckimi radami, obydwaj źle skończycie.

Napoleon jest sam, znowu decydują się jego losy. Nie może mieć
 zaufania do nikogo oprócz siebie. Liczył na Barrasa. Lecz on woli
 patrzeć, jak kraj gnije, niż podjąć jakieś ryzyko. Co robić? Na

kogo liczyć? „Owoc jeszcze nie dojrzał”. Jeśli będzie teraz działał, to ryzykuje, że przysłuży się jakobinom, dla których jest podejrzany i którzy się go i tak pozbędą, albo odda przysługę kontrrewolucji, której triumfu także nie pragnie. Kraj nie zgodziłby się zresztą na żadną z tych ewentualności. A na to, by zaproponować trzecią drogę, taką, jaką chciał pójść z Barrasem, czas jeszcze nie nadszedł. Sam by temu nie podolał, jeszcze nie.

Przez następne dni nigdzie nie wychodzi, jest ponury. Znów, jak dawniej, marzy o wyjeździe. 29 stycznia goniec przynosi mu memoriał, przedłożony dwa dni wcześniej Dyrektoriatowi przez Talleyranda. Jest to długi tekst, w którym minister spraw zagranicznych zaleca okupację Egiptu. „Egipt, który natura umieściła tak blisko -pisze Talleyrand - przedstawia dla nas ogromne korzyści pod względem handlu czy to z Indiami, czy z innymi krajami [...]. Egipt jest niczym dla Turcji, która nie ma tam ani cienia władzy”.

Napoleon czyta ów tekst wielokrotnie tego dnia. Tyle razy marzył o Egipcie, jeszcze przed wieloma laty, na Korsyce, kiedy słuchał Volneya, który opowiadał mu o swych podróżach po Nilu, a nie dalej niż kilka tygodni wcześniej, w Passariano, te dawne marzenia przypomniały mu się znowu.

Kiedy wieczorem przychodzi Bourrienne, Napoleon zaciąga go zaraz do małego saloniku, z dala od Józefiny.

- Nie chcę tu zostać - mówi nerwowo. - Nic tu nie mam do roboty. Dyrektorzy nie chcą niczego zrozumieć. Widzę, że jeśli tu zostanę, to wkrótce mnie zniszczą. Wszystko się tu zużywa, nie ma tu już dla mnie sławy, ta mała Europa mi nie wystarczy. Trzeba jechać na Wschód, stamtąd przychodzi wszystko, co naprawdę wielkie i sławne. Ale przedtem chcę objechać wybrzeże, aby się osobiście upewnić, co można zrobić. Zabiorę pana, Lannes'a i Sułkowskiego. Jeśli widoki na powodzenie desantu w Anglii wydadzą mi się wątpliwe, jak się tego zresztą obawiam, to armia Anglii stanie się armią Wschodu i pójdę na Egipt.

Rozdział 30

Napoleon stoi na krańcu falochronu portu w Anvers. Jest zimno, mży. Od tygodnia jeździ od portu do portu: z Etaples do Boulogne i Calais, z Dunkierki do Ostendy. Chce tego wieczoru być w Brukseli, później powozem pocztowym jechać przez Givet, Lille i Saint-Quentin, aby dotrzeć do Paryża około 20 lutego.

Śledzi wzrokiem odpływ. Wszystko jest szare: niebo, horyzont, fale, piasek, bloki kamienia, z których zbudowany jest falochron. Wszystko jest mu tu obce. Kolory, skały, morze. Nie to jest jednak najważniejsze. Nie zadowoliło go nic z tego, co zobaczył. Jak można zaatakować Anglię za pomocą tych paru okrętów, często przypominających barki, podczas gdy byłyby do tego potrzebne całe ich setki?

Podchodzi do grupy marynarzy. Patrzy na tych ludzi, których języka często nie rozumie. Ale w Boulogne i Dunkierce doskonale pojął, co mu mówili. Jednostki angielskie pływają wzdłuż całego wybrzeża. Jest ich wiele: fregaty, brygi, patrolowce. Niektóre mają ponad czterdzieści dział. Marynarze zupełnie swobodnie rozmawiali z małym generałem, który przedstawił im się jako generał Lasne.

Napoleon ostatni raz patrzy na horyzont. Wystarczy. Wsiada do powozu. Bourrienne zadaje mu pytania. Czy generał jest zadowolony z tego, co widział? I dodaje, że siły morskie pozostawione do dyspozycji armii Anglii wydają mu się zupełnie niewystarczające.

Co on myśli? Że tego nie widziałem?

-To zbyt wielkie ryzyko - odpowiada podniesionym głosem zirytowany Napoleon. - Nie chcę tak narażać losu pięknej Francji.

Wieczorem w Brukseli publiczność rozpoznaje go w teatrze, lecz jego ponury wygląd odpycha natrętów. W drodze do Paryża jest wciąż nachmurzony.

Należy więc zarzucić myśl o inwazji na Anglię i wyjechać z Francji, wdać się w tę egipską przygodę, o której wprawdzie marzy, ale która niesie też wielkie niebezpieczeństwo i niepewność. Czy ma jednak wybór?

Odwraca się do Bourrienne'a.

- Z tymi ludźmi nie da się nic zrobić - mówi. - Dyrektorzy nie mają zrozumienia dla wielkich zamiarów. Nie mają także w ogóle zdolności działania. Do tej wyprawy potrzebowalibyśmy silnej floty, lecz Anglicy już teraz mają więcej okrętów od nas. Niezbędne środki do jej przygotowania przerastają nasze możliwości. Trzeba powrócić do projektów wschodnich, tam można osiągnąć wielkie rzeczy.

Ponownie zamyka się w sobie.

Widział tę niemożność u Barrasa, tego sybaryty i tchórza, który odmówił mu pomocy w dostaniu się do wewnętrznego kręgu władzy. Właśnie dlatego zmuszony jest wybrać Egipt. Nie może zostać w Paryżu i czekać, aż jego sława pomału zgaśnie.

A więc Wschód, Egipt.

Kiedy decyzja jest już podjęta, należy ją wprowadzić w życie.

Spotyka się z dyrektorami i Talleyrandem, autorem raportu na temat możliwości tej ekspedycji. Jednak dowodzić - to znaczy nie pozostawiać nikomu kwestii organizacyjnych. Sam dyktuje listy do Berthiera. Wierne oddziały armii Włoch mają się udać do Genui i przygotować do załadowania na statki. Żąda, aby przyjął go Dyrektoriat. Patrzy na tych pięciu ludzi z pogardą i powstrzymywaną złością. To oni postanowili go wyprawić z Francji. Niech teraz zapłacą za swoje zachcianki.

Chce dwudziestu pięciu tysięcy piechoty, trzech tysięcy kawalerii - bez koni, wierzchowce znajdują się na miejscu. Chce stu dział, stu naboju na każdego żołnierza oraz ośmiu do dziewięciu milionów na wydatki.

Miny dyrektorów się wydłużają. Ale to jeszcze nie wszystko.

Napoleon kontynuuje ostrym głosem:

-Chcę nieograniczonej władzy, carte blanche od rządu, zarówno w sprawach Malty, jak i Egiptu, Syrii, Konstantynopola czy Indii...

Widzi, jak ironia połączona z niedowierzaniem i lękiem zniekształca twarze Barrasa i Reubella.

Muszą się zgodzić na wszystko, ponieważ chcą, abym wyjechał. Boją się.

- Chcę prawa do obsadzania wszystkich stanowisk, łącznie z wyznaczeniem mego następcy - wylicza. - Chcę formalnych upoważnień zaopatrzonych we wszystkie pieczęcie i podpisy, a także wielkiej pieczęci dla prowadzenia negocjacji z Porta Otomańską, Rosją, różnymi państwami Indii i Afryki.

Uważają, że jestem człowiekiem niebezpiecznym, osobliwym, może nawet szalonym. Chcą się mnie pozbyć.

Napoleon milczy przez dłuższą chwilę, po czym dorzuca:

- Chcę sam wybrać sposób i termin mojego powrotu do Francji. *Patrzę po sobie nawzajem. Wyobrażają sobie mój powrót do Paryża z czołem zwieńczonym laurami jeszcze świetniejszymi niż włoskie. Ale sądzą, że mam tak małe szanse na powrót!*

Spuszczają głowy, aby ukryć tę nadzieję. Zgodzą się na to, czego żądam.

To rodzaj zakładu. Najbardziej ryzykownego w moim życiu.

Ale czy jest inna możliwość? Moje życie jest już takie, że w ważnych momentach mogę albo pozostać wierny sobie i podjąć wyzwanie, albo zaprzecić się siebie, nie być już dłużej sobą i stać się człowiekiem nijakim, jak oni.

Ale to oni rządzą. Na razie narzucają swoje decyzje.

Ta myśl napelnia Napoleona gniewem. Mruczy pod nosem, przerywa układanie listy nazwisk rozmaitych ludzi, oficerów, uczonych, których chce ze sobą zabrać na ekspedycję. Trzeba bowiem zadziwić Paryż. Nie chce być jedynie wojownikiem i twórcą pokoju, chce też wydobyć na światło dzienne zapomnianą wielką cywilizację ziemi, po której stąpali faraonowie, Herodot i Aleksander, Cezar i Pompejusz.

Na wzmiankę o tych imionach zatapia się w marzeniach, jego gniew się ulatnia.

- Skolonizuję ten kraj - zapala się. - Sprowadzę artystów, rzemieślników, kobiety, aktorów. Jak wszystko dobrze pójdzie, to wystarczy mi sześć lat, żeby ruszyć na Indie... Chcę jako wyzwoliciel przejść Azję Mniejszą, triumfalnie wkroczyć do stolicy starego kontynentu, wypędzić ze Stambułu potomków Mahometa i zasiąść na ich tronie.

- Sześć lat - szepcze zafascynowany Bourrienne.

- Sześć lat, Bourrienne, albo kilka miesięcy, wszystko zależy od rozwoju wypadków.

Posepnieje. Co wydarzy się w Paryżu w czasie, gdy on będzie daleko od tego miasta, w którym decydują się jego losy...?

-Tak - mruczy - próbowałem wszystkiego. Nie chcą mnie.

Zaczyna znowu chodzić, stukając twardo obcasami w podłogę salonu swego pałacu przy ulicy Victoire.

- Należałoby ich obalić - podejmuje mocnym głosem - i obwołać się królem. Ale na razie nie ma co o tym marzyć. Szlachta nigdy by się na to nie zgodziła. Sondowałem teren. Jeszcze nie czas. Zostałbym sam, Bourrienne. Muszę jeszcze czymś zadziwić tych ludzi.

Wyznacza datę wypłynięcia z Tulu, gdzie zbierają się okręty przybyłe ze wszystkich śródziemnomorskich portów pod francuską kontrolą, od Triestu po Genuę i Niceę, na maj 1798 roku.

Gazety już 25 kwietnia donoszą, że „generał Bonaparte wyjechał z Paryża 3 floréala (22 kwietnia) o północy, po złożeniu pożegnalnej wizyty dyrektorom o godzinie trzeciej i zjedzeniu kolacji u dyrektora Barrasa, z którym pojawił się razem na przedstawieniu *Makbeta* w teatrze Feydeau”.

Jeśli 23 kwietnia Napoleon zostaje przyjęty przez dyrektorów, to nie po to, by im złożyć uszanowanie, lecz przeciwnie, by jeszcze raz zastanowić się nad wyjazdem.

Poprzedniego dnia, gdy nadzorował ostatnie przygotowania do swej podróży, na ulicy Zwycięstwa pojawił się kurier z Wiednia. Wiadomość jest krótka: pałac generała Bernadotte'a w stolicy cesarstwa austriackiego został napadnięty przez tłum i splądrowany.

Urzednicy ambasady francuskiej musieli sie bronic. Bernadotte opuścił Wiedeń.

Czy to początek wojny z Austria? Wydarzenia, które pozwolą działać?

Przez całą noc Napoleon się zastanawia. Trzeba się zaprezentować jako człowiek, który może zapobiec wybuchowi wojny. Mógłby się udać do Rastattu, nawiązać znowu kontakt z hrabią Cobenzlem i przywieźć do Paryża ponownie umocniony pokój. Lepszy Rastatt niż Egipt!

Wysłał kurierów do Włoch. Niech na razie nie zaokrętowują wojsk w Genui, niech czekają.

Udaje się do dyrektorów. Wysłuchują Napoleona, który oznajmia, że czuje się na siłach załagodzić incydent, jeśli tylko zostanie wysłany do Rastattu z odpowiednimi pełnomocnictwami. Popiera go Talleyrand. Napoleon nalega.

Może to dla niego szansa. Może lepiej raczej zaryzykować wszystko, niż wyjeżdżać. A może należy przepędzić dyrektorów i już teraz przejąć władzę?

28 kwietnia na ulicy Victoire zjawia się Barras. Napoleon patrzy na niego, poznał już jego charakter. Barras prawi komplementy Józefinie, potem zbliża się do Napoleona i cicho mówi, że Dyrektoriat życzy sobie bezzwłocznego wyjazdu do Egiptu. Misja w Rastacie już nie wchodzi w grę.

Dokonali więc wyboru.

Jeszcze kilka godzin wahań i Napoleon podejmuje ostateczną decyzję: jedzie. Telegraf przekazuje rozkazy. Rozjeżdżają się kurierzy. Cała machina ekspedycji rusza na nowo.

5 maja Napoleon oznajmia swoim bliskim, że wyjeżdża z Paryża do Egiptu. Przygotowuje się już wielką berlinę przykrytą specjalnym dachem chroniącym kufry. Zajmą w niej miejsca Marmont, Bourrienne, Duroc i Lavalette.

Podchodzi Józefina. Napoleon patrzy na nią w milczeniu. Jego żona mówi, że także pojedzie.

Do salonu wchodzi wzburzony Arnault.

-Dyrektoriat chce się pana pozbyć... Francja chce pana zatrzymać - rzuca do Napoleona. - Paryżanie mają pana za złe rezygnację. Głośniej niż kiedykolwiek sarkają przeciwko rządo-

wi. Nie obawia się pan, że w końcu zaczną sarkać przeciwko panu?

Czy jest coś bardziej niestalego, nieprzewidywalnego i mniej godnego zaufania od tłumu?

- Paryżanie - odpowiada Napoleon - krzyczą, ale nie zrobiliby nic. Są niezadowoleni, lecz nie są nieszczęśliwi. - Uśmiecha się, robi parę kroków. - Gdybym wsiadł na konia, nikt by za mną nie podążył. - Potem dorzuca rozkazującym tonem: - Wyruszamy jutro.

O trzeciej nad ranem 6 maja 1798 roku opuszczają Paryż. Jadą w ulewie, wśród burz. W Berlinie nikt się nie odzywa. Wstrząsy na nierównej drodze rzucają często podróżnych na siebie nawzajem. Józefina śpi. Napoleon ma otwarte oczy, wydaje się, że wcale nie potrzebuje snu. Jego życie się toczy, nikt go już nie może powstrzymać.

Jadą na skrót drogą do Roquevaire, aby ominąć Marsylię i szybciej dotrzeć do Tulonu. Nagle gwałtowne uderzenie kołysze powozem. To wysoki dach berlińskich domów zahaczył o gałąź drzewa. Podróżni wysiadają, świecą. Napoleon postępuje kilka kroków i widzi przed sobą most strącony przez burzę do głębokiego wąwozu.

- Ręka Opatrzności - mówi Marmont, pokazując gałąź.

Gdyby nie ta gałąź, Berlin roztrzaskałaby się o skały, pośród których w dole płynie górski potok. Napoleon wsiada z powrotem do powozu.

- Szybko - rzuca.

Trzeba jechać bez wahania, iść aż do końca za swoim wyborem.
Nadszedł czas działania.

10 maja w Tulonie znowu widzi głęboki błękit morza, słońce, które już zaczyna przypiekać, i białe żagle odcinające się ostro od osłepiająco jasnego nieba.

Ze swego okna w pałacu marynarki podziwia pejzaż i w wyobraźni widzi za horyzontem ziemię Egiptu, po której od początku dziejów maszerowało tyłu różnych zdobywców.

Pójdzie w ich ślady. Wkłada mundur i rusza na inspekcję floty.

Za każdym razem, gdy jego szalupa podpływa do któregoś

okrętu, na powitanie rozlegają się dwa strzały armatnie. Jest naczelnym dowódcą armady, on, który pięć lat wcześniej był tu tylko młodym, nikomu nie znanym kapitanem. Na skórze wciąż ma jeszcze ślady świerzb, którym zaraził się wówczas w Tulonie.

Wieczorem miasto jest iluminowane na jego cześć. Józefina jest przy nim. Czuje się silny.

Nazajutrz dokonuje przeglądu wojsk. Stając przed szeregami żołnierzy, pod rodzimym niebem, wśród zapachów morza, sosen i oliwek, które są mu tak dobrze znane, Napoleon odzyskuje energię i werwę, tłumione od ponad miesiąca w Paryżu, gdzie decydują rozmaite wybiegi i pokrętne intrygi.

Tutaj, w działaniu, w obliczu morza, wszystko jest proste. Jasne jak światło dzieciństwa.

- Oficerowie i żołnierze! - przemawia. - Dwa lata temu przybyłem, aby wami dowodzić. W tamtym czasie przebywaliście na Riwierze Genueńskiej w największej biedzie, brakowało wam wszystkiego, musieliście poświęcać nawet wasze zegarki, żeby przeżyć: obiecałem wam zakończyć waszą biedę, zaprowadziłem was do Włoch. Tam dostaliście wszystko... Czy nie dotrzymałem słowa?

Ta fala uznania, owo „tak” wykrzyczane przez żołnierzy podnosi go na duchu. To się nazywa żyć.

- A więc dowiedzcie się - kontynuuje - że wcale jeszcze nie zrobiliście dostatecznie dużo dla ojczyzny ani ojczyzna nie zrobiła dostatecznie dużo dla was. Zaprowadzę was do kraju, gdzie do konacie czynów jeszcze znaczniejszych niż te, które dotąd wzbudzały taki podziw, i oddacie ojczyźnie usługi, jakich ma ona prawo oczekiwać od niezwyciężonej armii. Obiecuję...

Zawiesza na chwilę głos, czekając, aż znowu zalegnie cisza.

- Obiecuję, że każdy żołnierz po powrocie z tej ekspedycji będzie miał tyle pieniędzy, że starczy mu na kupno sześciu mórg ziemi...

Grają fanfary. Żołnierze krzyczą: „Wiwat nieśmiertelna republika!”

19 maja o piątej rano Napoleon stoi na rufie szalupy oddalającej się od nabrzeża. Józefina przesyła mu pożegnalne znaki. Napoleon

długo na nią patrzy. Czy tak, jak mówiła, naprawdę chciała z nim wsiąść na okręt, czy też było to tylko zdanie bez konsekwencji, rzucone ze świadomością, że on się nie zgodzi? Woli nie rozstrzygać. Chce wyjeżdżać ze złudzeniem, że pragnęła być u jego boku.

Odwraca się w stronę pełnego morza. Reda jest pełna okrętów. Sto osiemdziesiąt jednostek ma odpłynąć o godzinie szóstej. Na kotwicy o kilka kabli od brzegu stoi okręt admirałski *Orient*, trój-piętrowa pływająca forteca, mająca po czterdzieści dział na każdym pokładzie.

Napoleon wchodzi na pokład, zajmuje miejsce na mostku. Komendant Casabianca wydaje rozkaz postawienia żagli. Morze pokrywa krótka fala. Płynący pod wiatr konwój otwiera trzynaście okrętów liniowych, za nimi znajdują się statki transportowe w otoczeniu fregat, patrolowców i brygów.

Niektóre okręty, mocno obciążone, szorują o dno. *Orient* chwieje się, uderza o dno, pochyła, lecz po chwili się wyswobadza. Napoleon nawet się nie poruszył. Przez wiele godzin pozostaje na pokładzie, podczas gdy okręty wypływają na pełne morze.

On jest przeznaczeniem tych trzydziestu czterech tysięcy ludzi.

Sam wybierał dywizje, generałów, działa. Sam nadzorował skład komisji sztuk i nauk, która zgodnie z jego życzeniem miała towarzyszyć armii.

Aby zwyciężyć, trzeba wszystko przewidzieć.

Odwraca się do Marmonta, który stoi w pobliżu.

- Moje marzenia odmierzam cyrklem rozumu - mówi.

CZĘŚĆ ÓSMA

BYĆ WIELKIM -
TO NALEŻEĆ
OD WSZYSTKIEGO

19 MAJA 1798 - 9 PAŹDZIERNIKA 1799

Rozdział 31

Napoleon stoi na mostku okrętu *Orient* i słucha.

Płyną wzdłuż wybrzeży Korsyki. Wiatr ucichł. Pogoda jest piękna. Widać już przylądek Bonifacio, daleko na horyzoncie rysują się szczyty Sardynii. Dalej popłyną w stronę Sycylii, później będzie Malta, Kreta i w końcu Aleksandria.

Napoleon rozkazuje orkiestrze zebrać się z przodu, na najwyższym pokładzie. Muzycy zaczynają grać. Z najbliższych jednostek odpowiadają fanfary. Wkrótce z warkotem bębnow i dźwiękiem trąbek mieszają się głosy żołnierzy zgromadzonych na pokładach. Od okrętu do okrętu żołnierze podejmują chórem *Pieśń wymarszu*, która od 1794 roku śpiewana jest we wszystkich armiach.

*Wolność wiedzie nasze kroki,
Zwycięstwo łańcuchy zrywa.
W całym kraju sygnał trąbki do
walki, do walki wzywa.
Drzyjcie, wrogowie Francji.*

Żołnierze potrzebują poczucia wspólnoty. Ryczą na całe gardło refren:

*Na republiki wezwanie
Trzeba zwyciężyć lub zginąć.
Francuz żyć powinien dla niej,
Za nią musi umieć zginąć.*

Podchodzi admirał Brueys, mówi głośno, aby było go słyhać, lecz Napoleon odwraca głowę. Wie. Już od wielu dni admirał informuje go o swoim niepokoju. Fregata, która przyłączyła się do konwoju na wysokości Bastii, widziała z daleka angielską eskadrę. Inna wiadomość przekazana z Genui na jeden z okrętów francuskich również to potwierdza. Ścigają ich okręty angielskie, z *Vanguardem* admirała Nelsona na czele.

Napoleon odchodzi.

Od wielu tygodni nie zaznał takiego spokoju. W dniach poprzedzających odjazd dręczyły go rozmaite obawy. Ale odkąd wypłynął w morze, doświadcza radosnego uczucia lekkości i gotowości. Zależny jest od wiatru, morza, przypadku. Już nie może nic więcej zrobić. Jeśli na horyzoncie pojawią się angielskie żagle, jeśli rozpocznie się walka, to trzeba będzie decydować, wybierać. Na razie jednak niech admirał Brueys nie zawraca głowy, pilnuje kursu okrętów, każe reperować żagle, gdy pogoda pozwala, i niech zwiększą szybkość halsowania, aby jak najprędzej dotrzeć do celu.

Zapada noc. Orkiestry przestają grać jedna po drugiej i słyhać już tylko trzeszczenie kadłubów i masztów oraz łopotanie żagli. Konwój, który w dzień rozciągał się aż po horyzont jak majestatyczne miasto z wywieszonymi banderami i sztandarami, teraz zupełnie zniknął, pochłonięty przez ciemność. Napoleon patrzy na sklepienie niebieskie, na Drogę Mleczną przecinającą niebo jak oświetlona eskadra złożona z miriadów okrętów, których nic nie może powstrzymać.

Tak jak jego. Kroczy od jednego etapu swego przeznaczenia do drugiego, pociągając za sobą tę flotę oraz dziesiątki tysięcy ludzi.

Schodzi z mostka. W obszernym salonie, który kazał urządzić obok jadalni i swojej kabiny, wstają z miejsc zaproszeni na kolację oficerowie oraz wybrani członkowie ekspedycji.

Od pierwszych godzin zaprowadził ścisłą dyscyplinę. Bourrienne, któremu Napoleon przekazał te instrukcje, zdziwiony był ową „dworską etykietą”, jak ją nazwał. Czemu nie? Na morzu, a jeszcze bardziej na pustyni, gdzie trzeba będzie całymi dniami maszerować

i walczyć, konieczne są porządek, dyscyplina i hierarchia. Trzeba więc wyraźnie zaznaczyć i ściśle przestrzegać drabiny stopni pozwalających dotrzeć aż na szczyt. Także luksusowe wyposażenie ma przypominać, że naczelny dowódca jest człowiekiem innym niż pozostali.

Żołnierze stłoczeni są na międzypokładach *Orientu*. Ich wyżywienie pogarsza się z każdym dniem. Ubrania codziennie nasiąkają wymiocinami chorych kolegów. A prawie wszyscy są chorzy. Ale naczelny dowódca i jego otoczenie nie mogą dzielić tego wspólnego losu. Nie z zamiłowania do zbytku, lecz dlatego, że to oni dowodzą. A więc przywileje, jakimi się cieszą, są oznaką ich odpowiedzialności i odgrywanej przez nich roli.

Napoleon zdaje sobie sprawę, że jego styl życia na pokładzie *Orientu* budzi krytykę. „Dworskie obyczaje w środku obozu spartańskiego” - mówią niektórzy. Słowa te docierają do Napoleona. Kiedy przechodzi przez salę gry, ktoś nawet rzuca: „Nie zdobywa się chwały i szacunku dzięki przywilejom, lecz przez umiłowanie ojczyzny i wolności”.

Napoleon zatrzymał się, poszukał wzrokiem śmiałka, ale widział wokół jedynie uległe twarze i uciekające spojrzenia. Donośnym głosem zachęca: „Grajcie, panowie. Zobaczymy, komu przypadek zapewni przywileje i wyższość”. Podniósł się gwar. Gracze znowu postawili złote ludwiki na karty. Grano w faraona - grę uprawianą niegdyś w Wersalu. Po chwili niektórzy mogli schować swoje wygrane.

Czym jest równość w grze? O tym, kto wygra, a kto przegra, decyduje przypadek. A w życiu?

Napoleon rozsiada się w salonie wśród swoich bliskich. „Porozmawiajmy o równości - mówi - a więc i nierówności wśród ludzi”. Wzrokiem zachęca siedzącego obok Monge'a, potem Bour-rienne'a i generała Caffarellego. Junot już drzemie. Eugeniusz de Beauharnais marzy. Berthollet zrzędzi pod nosem. Nikt jednak nie może się uchylić od codziennych debat, które Napoleon wprowadził, ponieważ myśl powinna być w ciągłym ruchu, ponieważ każda chwila i każde spojrzenie pobudzają do nowych refleksji.

- Nierówność - ciągnie.

Czy czytali Rousseau? Zaczyna Caffarelli: „Prawa, które uświęcają własność - mówi - uświęcają uzurpację, kradzież”. Dyskusja się ożywia.

Napoleon wstaje. Proponuje, by całą grupą poszli na pokład. Jest ciepło. Rozmawiają długo w noc. Jutro to posiedzenie „instytutu”, jak nazywa te konfrontacje idei Napoleon, będzie kontynuowane.

Każe Bourrienne'owi iść za nim do kabiny. Kładzie się. W nogach swego łóżka polecił umocować żelazne kule, aby zmniejszyć wpływ kołysania statku. Nic to jednak nie pomogło. Czasami Napoleon pozostaje w łóżku. Bourrienne mu coś czyta. Odwiedzają go w kabinie Monge i Berthollet. Mówi się o Bogu, o islamie, o tym, że religia jest niezbędna dla ludu.

Napoleon nagle przerywa. Chce, aby Bourrienne dalej na głos czytał Koran. Książka ta wraz z Biblią została w bibliotece okrętowej sklasyfikowana w dziale „polityka”.

9 czerwca wczesnym rankiem Napoleon wchodzi na mostek *Orientu*. Admirał Brueys wyciąga rękę: na horyzoncie dziesiątki żagli tworzą białe kłębowisko. Napoleon rozpoznaje przez lunetę konwój, który wyruszył z Civita Vecchia i dołączył do głównej części floty. A to brunatne pasmo lądu, które ledwie można odróżnić od morza, to Malta i oddalona od niej o kilka kabli wyspa Gozo.

Napoleon każe sobie przynieść szablę, później zaczyna dyktować utrzymany w tonie ultimatum i pełen pogroźek list do wielkiego mistrza kawalerów maltańskich, Hompescha.

Chce - pisze - odnowić zapasy wody na wszystkich okrętach. Żąda kapitulacji rycerzy. I tak wie, że będzie okupować tę wyspę, niezależnie od tego, jaką odpowiedź przyniosą wysłani na dwóch szalupach oficerowie.

Wyspa musi przejść pod kontrolę Francji, jej opanowanie stanowi część planu. Nic nie może mu w tym przeszkodzić. Malta zostanie zdobyta jak wysunięty posterunek podczas natarcia, które sięgnie znacznie dalej.

„Generał Bonaparte - dyktuje - zdecydowany jest zdobyć siłą to, co powinno być mu przyznane na mocy praw gościnności, które leżą u podstaw reguły waszego zakonu”.

Desant żołnierzy może się rozpocząć.

Słyszy głosy śpiewające *Marsylianke*. To żołnierze z 9- półbrygady wspinają się na umocnienia wyspy Gozo. Napoleon widzi ich przez lunetę. W płataninie lin spuszczone są szalupy, wchodzą do nich piechurzy. Po kilku minutach pierwsi z nich docierają do lądu i tu i ówdzie zaczynają już się wznosić dymy pożarów.

Napoleon każe oddać salwę z dział. Trzeba pokazać, że nic nie powstrzyma siły. Po kilku godzinach wielki mistrz Hompesch prosi o rozmowy. Napoleon może więc jechać ulicami Valetty. Jedzie powoli przez miasto, którego ulice mają bruk ułożony w szachownicę. Tutaj, tak jak we Włoszech, kroczy śladami historii. Jest następcą krzyżowców.

Przyjmuje delegację kawalerów maltańskich w ich własnym pałacu, nad którym powiewa flaga republiki. „Niech ci, którzy są Francuzami i mają mniej niż trzydzieści lat, przyłączą się do ekspedycji, aby mieć swój udział w sławie. Pozostali mają trzy dni na opuszczenie wyspy”.

Jest wreszcie panem samodzielnego państwa i pobudza to jego wyobraźnię. Nic nie może oprzeć się jego woli. Dyktuje kodeksy, dekryty, reorganizuje całą administrację wyspy.

Kiedy chodzi po wielkiej sali zakonu, przystaje czasem przed jednym z herbów rycerskich. Na kilka minut przestaje dyktować. Trzeba było wieków, aby zbudować to państwo. Jemu wystarczyło kilka godzin, aby je przeobrazić. Stworzyć w szesnastu paragrafach całą strukturę administracyjną wyspy, skończyć z tytułami szlacheckimi. Czuje, że jego adiutanci obserwują go, zastygli w podziwie pełnym szacunku.

Człowiek może z wysokości władzy przebudować cały porządek rzeczy, odczuł to już we Włoszech, tworząc republiki Cisalpińską i Liguryjską. Człowiek dowodzący uzbrojonymi żołnierzami może zdziałać tak wiele - więcej niż lud podczas rewolucji, niż motłoch i wywoływane przez niego zamieszki. Ta myśl go ekscytuje. Dumny jest ze swego dzieła.

Chodzi ulicami La Valetty. Wchodzi do katedry Św. Jana. Zgodnie z jego rozkazami, została zamieniona w odlewnię. W każdej kaplicy zainstalowano piece służące do przetapiania relikwii na

złoto i srebro. Dziesięciu robotników wali młotami w cenne przedmioty, zanim stopi się ich kawałki.

Wraca do pałacu kawalerów maltańskich. Rozkazuje, aby wszędzie porozwieszano obwieszczenie, które właśnie ponownie przeczytał: „Wszyscy mieszkańcy wyspy Malty stają się obywatelami francuskimi i stanowią część republiki [...]. Człowiek nie może zawdzięczać niczego przypadkowi swego urodzenia, jedynie jego własne zasługi i talenty sprawić mogą, że się odznaczy [...].”

Mijają godziny, dni. Przechadzając się po ogrodach pałacu kawalerów, wysłuchuje swoich generałów. Lannes skarży się na postawę niektórych żołnierzy, którzy złupili klasztor na Gozo, usiłowali zgwałcić zakonnice i grozili oficerom. Inni mówią o niezliczonych prostytutkach chętnie przyjmujących Francuzów.

Słucha. O czym będzie się pamiętać? O tej szumowinie? O ograbionych domach, przetopionych relikwiach, zgwałconych kobietach, brutalności żołnierzy, o zabitych czy raczej o tym, że był tutaj Napoleon, zanim wyruszył do Aleksandrii?

Co przetrwa w ludzkiej pamięci? Wspomnienie przemocy czy to, że uwolnił dwa tysiące muzułmańskich niewolników z galer na Malcie?

Siada w ogrodzie pałacowym. Przynoszą mu koszyk świeżo zerwanych pomarańcz. Pod grubą skórka owocu odnajduje aksamitny chłód soczystego mięszu.

18 czerwca zadanie jest wykonane, a wiatry pomyślne, Napoleon daje więc admirałowi Brueysowi rozkaz wypłynięcia w morze. *Orient* się oddala, podczas gdy pozostawiony na Malcie garnizon salutuje odpływający konwój salwami z dział.

W ciągu kilku godzin pomimo morskiej bryzy upał staje się cięższy. Flota płynie wzdłuż brzegów Kithiry i Krety, przez cały dzień spowitych szarawą mgłą, którą rozwiewają jedynie wieczorne i poranne wiatry. Napoleon stoi na mostku. Tutaj, na tych ziemiach przebywał Odys, tam są wybrzeża, u których pływały rzymskie galery. Oto królestwo Minosa, kraina mitologiczna.

Czy tylko on jeden odczuwa wspólnotę z tymi pejzażami tak przesyconymi historią? Mówi bez przerwy. Przywołuje upadek miast, Grecji, rzymskich cesarstw Zachodu i Wschodu. Potrzebna

jest wola człowieka równego Aleksandrowi czy Cezarowi, aby nakreślić granice nowych mocarstw. Tutaj zdobywa się nieśmiertelną sławę.

27 czerwca o zmierzchu Napoleon wydaje admirałowi Brueysowi rozkaz, aby do *Orientu* podpłynęła fregata *Junona*.

Gdy fregata zbliża się do burty, Napoleon widzi ludzi zebranych w milczeniu na pokładzie. Czekają na jego słowa jak na wyrok bóstwa. Kapitan fregaty słucha instrukcji: wpłynąć do Aleksandrii i zabrać na pokład francuskiego konsula Magallona.

Trzeba teraz czekać na powrót fregaty. Ochładza się. Północny wiatr wzmaga się coraz bardziej, kołysząc okrętami konwoju. Fale są wysokie, spienione, zalewają pokłady masami wody. Żołnierze chorują. Gromadzą się jednak, by wysłuchać proklamacji Napoleona. Podczas gdy oficerowie czytają, generał obserwuje żołnierzy. Mają trudności z utrzymaniem się na nogach w sztormową pogodę, lecz stopniowo zaczynają słuchać. Muszą zrozumieć. Mówi im: „Każdy, kto dopuszcza się gwałtu, jest potworem, kto dopuszcza się rabunku, godzi w nasz honor”. Zostali ostrzeżeni. Nie wszystkiemu zdoła zapobiec. Zna żołnierzy na wojnie. Będzie mógł jednak surowo karać. Mówi do nich, aby ich ostrzec i podnieść ich morale, zażądać od nich, aby wznieśli się ponad siebie samych. Na tym polega dowodzenie ludźmi.

„Żołnierze!

Rozpoczniecie podbój, którego konsekwencje dla cywilizacji i handlu będą nieobliczalne [...].

Przeprowadzimy kilka forsownych marszów; stoczmy kilka potyczek; odniesiemy sukces we wszystkich naszych zamierzeniach; Los jest z nami.

Ludy, wśród których przyjdzie nam żyć, są muzułmańskie; pierwszy artykuł ich wiary brzmi następująco: «Nie ma boga prócz Boga, a Mahomet jest Jego prorokiem-.

Nie szukajcie z nimi zwady; zachowujcie się wobec nich tak, jak zachowywaliśmy się wobec Żydów, wobec Włochów; miejcie względy dla ich muftich i imamów, tak jak mieliście dla rabinów i biskupów. Okazujcie taką samą tolerancję dla obrzędów przepi-

sanych przez Koran, jaką okazywaliście klasztorom i synagom, religii Mojżesza i Jezusa Chrystusa.

Legiony rzymskie ochraniały wszystkie religie. Spotkacie się tutaj z obyczajami odmiennymi od europejskich: należy się do nich przyzwyczaić.

Pierwsze miasto, które napotkamy, zostało zbudowane przez Aleksandra Wielkiego. Na każdym kroku znajdziemy pamiątki godne tego, by pobudzić Francuzów do rywalizacji".

Wiwaty są nieliczne, wiatr jest na to zbyt silny, morze nazbyt wzburzone.

30 czerwca podczas szalejącego sztormu powraca *Junona*.

Konsulowi Magallonowi udaje się wejść na pokład *Orientu* pomimo fal spychających szalupę na jego kadłub. Rozmawia z Napoleonem, trzymając się grodzi kabiny. Niedawno Aleksandrię opuściła silna eskadra angielska licząca ponad dziesięć okrętów. Będzie krążyć po morzu, oczekując francuskiego konwoju.

Napoleon wchodzi zaraz na pokład. Na twarzy admirała Brueysa maluje się niepokój. Nelson jest w pobliżu. Sztorm nie pozwala na desant w najbliższych godzinach.

-Trzeba czekać - mówi Brueys z naciskiem.

-Admirale, nie mamy czasu do stracenia. Fortuna daje mi tylko trzy dni. Jeśli ich nie wykorzystamy, jesteśmy zgubieni. Być wielkim to zależeć od wszystkiego. Co do mnie, jestem zależny od wypadków, w których przesądza byle drobnostka.

Wydany zostaje rozkaz lądowania w zatoce Marabut, na zachód od Aleksandrii.

Z pokładu *Orientu* Napoleon widzi, jak przewracają się szalupy wypełnione wojskiem. Słyszy krzyki żołnierzy, z których większość nie potrafi pływać. To najbardziej niebezpieczny moment. Napoleon chodzi po pokładzie z rękami założonymi na plecy. Ogarniają go obawy i trawi go niecierpliwość.

O czwartej po południu 1 lipca 1798 roku wsiada na galerę maltańską, aby podплыć do brzegu. Potem wskakuje do szalupy i o pierwszej w nocy dociera do brzegu.

Nareszcie suchy ląd!

Chodzi po nim, wydaje pierwsze rozkazy. Noc jest jasna. Żołnierze nadal lądują. Czuje się znów spokojny i zdecydowany. Kładzie się, będzie spał na ziemi, po której stapał Aleksander.

O trzeciej w nocy już się budzi, dokonuje przeglądu wojsk, po czym dywizjom Klebera, Menou i Bona wydaje rozkaz marszu na Aleksandrię.

Tutaj wódz wyróżnia się nie zbytkiem, lecz odwagą i brawurą. Napoleon zwawym krokiem maszeruje na czele kolumny. Obok niego kroczy generał Caffarelli, który ma drewnianą nogę.

Wkrótce odśłania się królestwo słońca, pragnienia, piasku, Beduinów, osłepiającego światła i ciężkiego upału, który odbiera oddech, przenika wełniane ubrania. Napoleon maszeruje, nie odwracając głowy. Od czasu do czasu słyszy za sobą głuchy krzyk i hałas. To kolejny żołnierz osuwa się na ziemię, wyczerpany, z wargami i językiem napuchniętymi z pragnienia.

Studnie są wyschnięte.

Wtem ze szczytu jednej z wydm ukazują się fortyfikacje Aleksandrii. O kilkaset metrów od nich wznosi się kolumna Pompejusza. Napoleon przysiada na cokole i bierze do ust pomarańczę jeszcze z Malty. Jest gorzka i słodka zarazem.

Rozdział 32

Od pierwszych wystrzałów, grzmiących w obezwładniającym upale, Napoleon już wie. Przybył łącznik, który donosi, że ludność Aleksandrii kamieniami i strzałami przyjmuje przednie stráže dywizji Klébera. Nastąpiła także szarża arabskiej kawalerii. Mimo że wojsko rozprawiło się z tymi przejawami oporu, w mieście zdarzają się starcia. Ktoś strzelał z meczetu. Żołnierze weszli do świątyni, chcąc ukarać wszystkich, którzy się tam znajdowali, mężczyzn, kobiety i dzieci. Generał zdołał powstrzymać masakrę.

Łącznik odjeżdża. Z miasta dobiegają krzyki kobiet, które mieszają się z odgłosem wybuchów. Ranni przechodzą, podpierając jeden drugiego, po czym osuwają się na rozpaloną ziemię.

Napoleon od tej chwili już wie.

Do barbarzyństwa wojny dołączy się tutaj wrogość, a nawet, rzecz można, nienawiść samego klimatu: duszący upał, wgrzyzający się w oczy blask, suchość zatykająca usta i podrażniająca skórę. Całym swoim obolałym ciałem, pokrwawionymi od nocnego marszu stopami Napoleon czuje, że w każdej chwili trzeba tu będzie wysiłkiem woli przeciwstawiać się klimatowi, aby pokonać go i zmusić żołnierzy do marszu i walki mimo wszystko.

Tutaj wszystko będzie trudniejsze. Wszystko będzie bezlitosne. Kto osłabnie, zginie. Trzeba będzie odegnąć od siebie wspomnienia mediolańskiego Corso, pałaców Mombello i Passariano, ceremonii w Pałacu Luksemburskim i przyjęć u Talleyranda w pałacu Galliffet.

Czy Talleyrand pojechał do ambasady w Stambule, aby uprzedzić Turków, że inwazja na Egipt nie jest zwrócona przeciwko nim? Napoleon powątpiewa. Trzeba będzie zapomnieć o Włoszech, nie myśleć już o Józefinie, i każdy żołnierz powinien postąpić podobnie w swoich sprawach. Czy żołnierze, którzy przyszedli z armii Włoch, będą do tego zdolni?

Czy dyrektorzy Barras i Reubell, ci wszyscy sybaryci, którzy zostali w Paryżu, potrafią sobie wyobrazić, co to znaczy tu przebywać, z poparzoną skórą, gdy wokół czyha śmierć?

Każdego dnia trzeba odierać śmierć, być straszliwszym niż ona, nie ulec jej przyciąganiu. Trzeba posługiwać się śmiercią, aby pokonać śmierć.

Ta myśl go podtrzymuje. Czuje się napięty jak łuk. Jest nieugięty. Mógł wybrać nurzanie się w zniewieściałych intrygach Dyrektoriatu, między salonem a buduaem, wśród gadułów i kobiet. Ta wojna jest próbą, jakiej od czasów antycznych musi się poddać bohater. Musi przez nią przejść i dowieść, że jest bohaterem, na równi z tymi, którzy kroczyli po tej ziemi, na równi z Aleksandrem, który założył to miasto.

Napoleon wysłał gubernatorowi Aleksandrii ultimatum:

„Jest Pan albo ignorantem, albo jest Pan bardzo zarozumiały [...] - pisze. - Moja armia pokonała jedną z pierwszych potęg Europy. Jeśli w ciągu dziesięciu minut nie zobaczę wywieszanej białej flagi, będzie Pan musiał przed Bogiem zdać rachunek z krwi, którą przeleje Pan niepotrzebnie”.

Kurier przynosi jednocześnie wiadomości, że generał Kleber został zraniony kulą, która trafiła go w czoło, oraz że nadjeżdża delegacja, aby złożyć przysięgę posłuszeństwa i poddać miasto.

Posłowie zbliżają się w otoczeniu uzbrojonych żołnierzy. Różnobarwne turbany i długie jedwabne tuniki odcinają się od ciemnych mundurów. Nad grupą górują wielbłądy. U stóp kolumny Pompejusza panuje wielki zamęt. „Mówię do was, szejkwowie, ima-mowie, kadiowie. Przybyłem tu - zaczyna Napoleon - aby przywrócić wam prawa odebrane przez uzurpatorów [...]. Czczę Boga bardziej niż mamefucy, wasi ciemiecy, i szanuję jego proroka Mahometa i wspomniały Koran”.

Trzeba mówić w taki sposób. Ludzie potrzebują swoich wierzeń i potrzebują takich słów.

Wdaje się z nimi w pogawędkę. Muzułmanie skarżą się. Żołnierze okradli Arabów, którzy nie stawiali oporu wojsku. Oficerowie wyjaśniają, że aresztowano jednego z tych żołnierzy. Zabrał on Arabowi sztylet.

- Osądzić tego człowieka.

Oto on, coś bełkocze, skóra w pęcherzach od oparzeń, twarz wykrzywiona strachem. Przesłuchują go. Przyznaje się do wszystkiego.

Śmierć, aby pokonać śmierć.

Żołnierz zostaje stracony o parę kroków od kolumny Pompejusza. Delegaci kłaniają się, oddają hołd Napoleonowi. Może już wkroczyć do Aleksandrii.

Uliczki są wąskie. Wydaje się, że wypełnia je tylko upał. Kobiety wydają ostre niezrozumiałe okrzyki. Napoleon jedzie w otoczeniu członków delegacji i eskorty przewodników. Naraz słyszy wybuch i czuje uderzenie w lewy but, jego koń uskakuje. Krzyki. Żołnierze strzelają w kierunku domu, z którego padł strzał.

Znowu śmierć otarła się mnie.

Wszyscy wokół niego wciąż jeszcze mówią o samotnym strzelcu, którego znaleziono z sześcioma strzelbami i zabito, gdy Napoleon już instaluje się w domu konsula francuskiego i natychmiast zaczyna wydawać rozkazy.

Nazajutrz, 2 lipca, ma się odbyć defilada wojsk z orkiestrą, z udziałem wyższych oficerów w galowych mundurach, później zaś wymarsz pierwszych jednostek w stronę Kairu. Napoleon wzywa konsula Magallona i wybiera dla przemarszu wojsk drogę przez Damanhur, by uniknąć przeprawy przez Nil, po którym płyną galery mameluków. Ponagla oficerów, rozkazuje założyć manufakturę szyjącą nowe, lżejsze mundury. Napoleon chciałby każdemu, kto go słucha, przekazać swoją energię, niecierpliwość i przekonanie, że każdą sekundę należy wykorzystać na działanie. Mówi: „Święty Ludwik spędził tu osiem miesięcy na modlitwach, podczas gdy należało spędzić je na marszach i walce, aby ustanowić w tym kraju władzę”.

Jak sprawić, aby ci ludzie, każdy z żołnierzy, byli tak samo napięci jak on? Dziś Kair, a co jutro? Dalej, wyżej.

Zaczyna dyktować Boumenne'owi proklamację do Egipcjan, która jeszcze tej samej nocy ma zostać wydrukowana po arabsku, po turecku i po francusku, a następnie rozwieszona we wszystkich miastach, publicznie odczytywana i rozdawana przez armię podczas marszu.

„W imię Boga miłosiernego i łaskawego. Nie ma boga prócz Allacha, który nie ma syna i rządzi sam”.

Bourrienne unosi głowę.

Co on sobie myśli? Że do muzułmanów można mówić tak samo jak do chrześcijan?

„W imię Republiki Francuskiej opartej na wolności i równości...”

Dyktuje urywanym głosem, atakując mameluków - wojskową arystokrację, która gnębi Egipcjan.

„Czy to inteligencja, cnoty albo wiedza tak wyróżniają mameluków, że posiadają oni wszystko, co czyni życie przyjemnym? Czy jest gdzieś jakaś piękna ziemia, piękna niewolnica, piękny koń czy piękny dom, które by nie należały do mameluków?”

Ale Bóg jest sprawiedliwy i miłosierny dla swego ludu [...]. Wszyscy ludzie są równi przed Bogiem. Jedynie inteligencja, cnoty i nauka stwarzają między nimi różnice [...], Odtąd żaden Egipcjanin nie będzie wykluczony od urzędów i wszyscy dojść mogą do najwyższych godności [...] dzięki temu lud będzie szczęśliwy [...], Szejkwowie, imamowie, kadiowie, powiedzcie ludowi, że także Francuzi są prawdziwymi muzułmanami. Dowodzi tego fakt, że byli w wielkim Rzymie i obalili tron papieża, który stale podburzał chrześcijan do wojny z muzułmanami; że popłynęli na wyspę Maltę i przepędzili z niej kawalerów maltańskich, którzy sobie wyobrażali, że Bóg pragnie, aby prowadzić wojnę z muzułmanami [...]. Szczęśliwi, zaprawdę, szczęśliwi Egipcjanie, którzy szybko się do nas przyłączą [...]. Biada tym, którzy się przyłączą do mameluków.

Niechaj Bóg strzeże chwały sułtana tureckiego, niechaj Bóg strzeże chwały francuskiego oręża! Niechaj Bóg przeklnie mameluków i uczyni szczęśliwym los narodu egipskiego.

W kwaterze głównej w Aleksandrii, 13 messidora VI roku re-

publiki (1 lipca 1798 roku), czyli pod koniec miesiąca moharram 1213 roku hedżry".

Widzi uśmieшки Bourrienne'a i oficerów, którzy powtarzają ironicznie: „Także Francuzi są prawdziwymi muzułmanami”. Unosi się gniewem. Co oni wiedzą o rządzeniu ludźmi? On chce zrewolucjonizować i zrepublikanizować Egipt, rozproszyć przesady mieszkańców i zrobić z nich swoich sprzymierzeńców. Ta proklamacja jest, przyznaje, „szarlatanerią, lecz wysokiego lotu!”. Jak sprawić, aby ludzie nas rozumieli, skoro nie gramy muzyki, którą znają? Istnieje jeszcze tylko jeden środek: siła zbrojna, strach, jaki ona wzbudza.

2 lipca Napoleon dokonuje przeglądu wojsk. Mimo wczesnej pory upał jest już wielki. Żołnierze muszą maszerować, nie zważając na pragnienie. Wyruszają w drogę z generałami Desaix i Reymerem na czele.

Napoleon zbliża się do grupy żołnierzy, którzy zostali schwytani przez Beduinów, lecz potem udało im się uciec bądź zostali oswobodzeni. Mają spuszczone głowy. Niektórzy zaczynają mówić, opowiadają, co widzieli: tortury, okaleczanie. Jeden z nich płacze, jego ciałem wstrząsa szloch, został zgwałcony przez Beduinów.

- Wielki głupiec, też mi choroba - rzuca Napoleon. - Zapłaciłeś za swoją nieostrożność. Trzeba się było trzymać swojej brygady. Dziękuj niebiosom, że udało ci się wykipić tak tanim kosztem. No, już nie płacz.

Lecz żołnierz nie przestaje szlochać. Napoleon idzie dalej, jeszcze raz przechodzi przed frontem wojska. Trzeba szybko iść do boju, zanim strach i zwątpienie zniszczą morale armii. Trzeba tych ludzi popychać do przodu, żeby trzymali się prosto, inaczej gotowi się tutaj załamać. Ich strach przed dostaniem się do niewoli i związanymi z tym ponizieniami musi być tak duży, aby popychał ich do zwycięstwa.

Wszystko zorganizować, wszystko przewidzieć, wszystkim pokierować.

W upale tak wielkim, że każdy ruch wymaga wysiłku i ledwie można oddychać, Napoleon bez przerwy jest aktywny, nie prze-

staje chodzić, nawet kiedy dyktuje. Dokonuje inspekcji umocnień Aleksandrii, ponieważ ma zamiar opuścić miasto i dołączyć do armii, aby wydać bitwę. Chodzi po bazarze, patrzy na kobiety z zasłoniętymi twarzami. Sam sprawdza zaopatrzenie oddziałów, liczbę koni. Wtrąca się do administracji cywilnej.

Nocą jest tak duszno, że nie może spać.

Wstaje, wzywa do siebie adiutanta. Czy pamięta tego sierżanta, który jako jeden z pierwszych przedostał się przez fortyfikacje i którego zachowanie w walce widzieli spod kolumny Pompejusza? Należy mu się odznaczenie. Później Napoleon rozmyśla o flocie. Jakie rozkazy wydać admirałowi Brueysowi? Czy ma on pozostać na redzie w Abukirze, czy raczej popłynąć na Maltę albo na Korfu, a może spróbować jeszcze wejść do portu w Aleksandrii? Najprawdopodobniej Nelson powróci ze swą eskadrą. Napoleon waha się. Brueys utrzymuje, że w Abukirze może się obronić w razie ataku Anglików. Na to, aby dotrzeć do Malty czy na Korfu, nie starczy mu wody. Natomiast w porcie w Aleksandrii okręty narażone są na wejście na mieliznę.

Flota jest jednym z tematów przyprawiających Napoleona o ból głowy. Czuje, że nie kontroluje losu swej eskadry. Nie jest jednak marynarzem, musi zaufać admirałowi. Niechętnie jednak dzieli się z kimkolwiek czy to władzą, czy obowiązkami.

7 lipca słońce przesłania czerwona mgła. W powietrzu pełno palącego kurzu. To zaczyna się chamsin, wiatr z południa. Trzeba jednak wyruszyć przez pustynię w stronę Damanhuru. Napoleon jedzie konno na czele swego sztabu oraz żołnierzy z eskorty i kwatery głównej. Wojsku towarzyszą uczeni Monge i Berthollet. Jest piąta po południu. Napoleon czuje, jak tysiące ziarenek pyłu uderzają go w twarz. Doznaje tego samego bólu na całym ciele, co wszyscy żołnierze Desaix i Reyniera, którzy przebyli tę kamienistą i spieczoną pustynię. Ludzie popełniali samobójstwa. Cysterny znajdujące się wzdłuż trasy przemarszu były często puste, ponieważ kanał, wzdłuż którego maszerowała armia, wysechł. Szli z pałającymi oczyma, wargami spękany od upału, bez wody, w wełnianych mundurach, o pustym żołądku, gdyż w wioskach nie można było nic znaleźć do jedzenia, a maruderów mordowała i tortu-

rowała okoliczna ludność. Desaix wysyłał apele o pomoc. Jego ludzie dostawali obłędu.

Napoleon jedzie całą noc, wyprzedzając dywizje Bona i Viala, które także posuwają się drogą do Damanhuru.

Widzi żołnierzy maszerujących nocą. Wyobraża sobie ich cierpienie i strach. Wie, że żołnierze narzekają, obwiniają oficerów, oskarżają dyrektorów o to, że zesłali ich tutaj, chcąc się pozbyć „ich” generała Bonapartego. Nawet jego zaczynają już obwiniać. Czemu nie pomyślał o manierkach na wodę? Przypominają Wiochy. Czy tutaj mają dostać te obiecane przez generała sześć mórg ziemi?

Ci ludzie jednak są z nim na pustyni. I tak samo jak on, mają tylko jedno wyjście: zwyciężyć. Muszą więc maszerować. Trzeba narzucić im dyscyplinę. Uratować ich w tej chwili oznacza popchnąć ich do przodu.

O ósmej dociera do Damanhuru.

Wchodzi do nędznej chatki, gdzie oczekuje go miejscowa starszyzna. Częstują go kubkiem mleka i pszenicznym plackiem. Wypowiada parę słów, lecz niepokoją go twarze generałów. Niektórzy są wściekli, inni znużeni i zrozpaczeni. Napoleon milknie i pozwala im mówić. Ta awantura jest beznadziejna - mówi jeden. Żołnierze dostają obłędu - dodaje drugi. Tracą wzrok. Popelniają samobójstwa. Już nie są zdolni walczyć.

Napoleon podchodzi bliżej. Nie mówi nic, patrzy na nich tylko, potem ogłasza, że trzeba kontynuować marsz w stronę Ramanieh nad Nilem. Muszą rozbić mameluków Murad-beja. Dowodzić to obstawać przy swoim.

9 lipca ruszają dalej. Znowu te same nieznośne dolegliwości, wielokrotnie łudzą ich mirażem, aż wreszcie niespodziewanie ukazuje się Nil. Napoleon widzi, jak szeregi się rozsypują, dragoni i piechurzy, tak jak stoją, z bronią, rzucają się w wody rzeki, piją, widzi unoszone prądem ciała tych, co wypili zbyt wiele naraz, nie wytrzymali szoku i wyczerpania. Na brzegu rzeki rozciągają się pola arbuzów, którymi żołnierze opychają się łapczywie.

Obserwuje ich. Dotarli aż tutaj pomimo wyczerpania, zniechęcenia, niezadowolenia, melancholii i rozpacz. Kampania włoska nie przygotowała tych ludzi na zupełnie inny świat, na kraj tak dziki.

A jednak zdołali tego dokonać, ponieważ on tak chciał. Teraz będą musieli walczyć.

11 lipca o trzeciej dokonuje przeglądu wojska. Każe się anonsować warkotem werbli. Wolno przejeżdża na koniu. Żołnierze wyczyścili mundury, ich broń błyszczy. Napoleon zatrzymuje się przed każdą z pięciu dywizji. Przywołuje oficerów. Prostuje się w siodle. Wszystkie spojrzenia zwrócone są w jego stronę, spoczywają na nim.

- Przestrzegam was - oświadcza - że nasz trud jeszcze się nie skończył: musimy stoczyć wiele walk, odnieść wiele zwycięstw i przejść wiele pustyń. W końcu dotrzemy do Kairu, gdzie będziemy mieli tyle chleba, ile tylko zechcemy!

Oddalając się, słyszy głosy oficerów, którzy powtarzają jego słowa żołnierzom. Słyszy podnoszące się śpiewy. Będą się bić i zwyciężać.

O wschodzie słońca wydaje rozkaz, aby orkiestra zagrała *Marsyliankę*. Widzi na horyzoncie zbliżającą się kawalerię mamelu-ków. Niektórzy noszą złożone hełmy, inni turbany. Ich kosztowne tuniki błyszczą. Każdy ma karabin, pistolety, dzirynt i dwa bułaty.

Napoleon zbiera adiutantów. Chce, żeby dywizje uformowały się w czworoboki. Oficerowie są zdziwieni. Nie stosowano jeszcze takiego ustawienia.

Co oni wiedza? To taktyka, jaką stosowali już Austriacy i Rosjanie przeciwko Turkom. Ale armia francuska nigdy jej nie wykorzystwała. Powtarza rozkazy. Minęło mu zmęczenie. Każe poustawiać działa w narożach czworoboków, z których każdy liczy sześć szeregów piechurów. W środku rozmieści się wozy oraz „osły i uczonych” - jak ktoś dodaje.

Chodzi o to, żeby żaden z czworoboków nie wykruszył się podczas ataku. W rezultacie mamelucy przez cały poranek rozbijają się o te „jeże”, potem uciekają i bitwa pod Chebreiss dobiega końca. Żołnierze zaczynają obdzierać trupy poległych mameluków. Noszą oni pod tunikami sakiewki wypełnione złotem, cały swój majątek. Nim jednak minęły dwie czy trzy godziny, Napoleon wydaje rozkaz wymarszu.

Jest to przejście przez piekło upału, ludzie idą z najwyższym trudem. Widzi, jak żołnierze padają ze zmęczenia. Maruderom

Beduini odcinają głowy, wymachują nimi, a potem uciekają. Wojsko pali wioski. Rabuje. W końcu 21 lipca o drugiej po południu, po wyczerpującym marszu, docierają do Embabeh. Upał jest nieznośny. W dali po prawej stronie Napoleon dostrzega piramidy, na lewo minarety i kopuły Kairu.

Z początku stoi nieruchomo, wodząc wzrokiem od piramid do minaretów i do Nilu. Znalazł się w kolebce historii. Przypominają mu się noce w Valence, kiedy czytał gorączkowo książki o czynach starożytnych bohaterów i dziejach ludów zakładających pierwsze cywilizacje. Znalazł się tutaj nie jako podróżnik, jak Volney i tyłu innych, lecz jako zdobywca.

Wzywa do siebie generałów. Gromadzą się wokół niego.

- Dywizje utworzą czworobok - zaczyna. Ale mówiąc to, czuje, że należałoby uświadomić tym ludziom znaczenie chwili, którą przeżywają. - Idźcie - mówi na koniec - i pomyślcie, że z wierzchołków tych piramid patrzy na was czterdzieści wieków!

Widzi, jak pierwsze szarże mameluków kruszą się na czworobokach, jak dywizje ruszają, aby ich odciąć od fortyfikacji w Embabeh. Słyszy działa strzelające kartaczami, potem okrzyki żołnierzy atakujących fortyfikacje.

Wyobraża sobie masakrę. Widzi żołnierzy spieszących ku trupom bogatych wojowników, aby je ograbić. Tam w samotnym pojedynku francuski porucznik naciera *na* mameluka *mocnymi* ciosami szabli. Tu mamelucy rzucają się w panice do Nilu.

Zwycięstwo. Napoleon przejeżdża na koniu obok przetrząsanego przez żołnierzy wozu Murad-beja. Widzi, jak żołnierze za pomocą bagnatów wyławiają z wody płynące z prądem trupy mameluków, aby je ograbić. Później szybko zapada noc.

Jedzie sam. Zwycięzył. Tutaj, pod czujnym spojrzeniem wieków. Patrzy na daleki Kair oświetlony pożarami wznieconymi przez płądrujących wszystko Beduinów i fellachów. Mamelucy podłożyli ogień na ponad trzystu statkach. Niebo rozgorzało łuną i w jej blasku piramidy przybrały czerwony kolor.

Kolor krwi.

Czuje się znużony.

Nie wkracza jeszcze do Kairu. Czeka cierpliwie, jakby teraz, gdy

zwycięstwo zostało osiągnięte, znalazł się w pustce. Wchodzi do wiejskiego domu Murad-beja w Gizie. Krąży po obszernych pokojach, gdzie kanapy przykryte są narzutami z lionńskiego jedwabiu obramowanego złotymi frędzlami. Przechadza się samotnie po ogrodzie pełnym rozmaitych gatunków drzew, siada w altanie oplecionej winoroślą o ciężkich i obfitych gronach.

Ciąży mu samotność.

Po gorączkowej niecierpliwości, po forsownych marszach, po całym tym napięciu ogarnia go teraz melancholia. Myśli o Józefinie. Przywołuje Junota. Musi o niej porozmawiać, upewnić się - ponieważ zazdrość powraca i ponieważ wątpi. Chce, aby powiedzieć mu prawdę i zarazem nie chce jej znać. Junot zaczyna jednak wykrzykiwać. W ten wieczór zwycięstwa czas stawić czoło prawdzie. Czy taki zwycięzca jak generał Bonaparte może się pogodzić z tym, że jest oszukiwany?

Napoleon podskakuje. Przypomina mu się nagle oficer, młody człowiek, którego Arabowie schwytali na drodze do Kairu i proponowali uwolnić w zamian za okup. Oficer odmówił. I Arabowie natychmiast zabili go strzałem w głowę. Napoleon popatrzył wtedy chwilę i pojechał dalej. Nie wolno ustępować wobec szantażu. Teraz sam się czuje jak ten oficer, który dostał się do niewoli, Junot swoimi słowami strzela mu w łeb. Józefina go zdradzała - mówi Junot i wylicza nazwiska kochanków, z którymi afiszowała się na oczach wszystkich. Bonaparte nie domyślał się niczego?

Napoleon odprawia Junota, długo siedzi sam w ogrodzie. Później ogarnia go wściekłość, wraca do domu, przewraca bibeloty, zderza się z nadbiegającym Bourrienne'em. Patrzy na niego. Nikomu nie może ufać. Człowiek jest sam.

-Wcale do mnie nie jesteście przywiązani! - woła. - Kobiety...

Brak mu tchu. Głuchym głosem mówi: „Józefina”. W końcu poznaje Bourrienne'a.

- Gdyby był pan do mnie przywiązany - ciągnie - poinformowałby mnie pan o wszystkim, czego się dowiedziałem od Junota: to jest prawdziwy przyjaciel! - Głos mu się załamuje. -Józefina... A ja jestem o setki mil... Powinniście byli mi powiedzieć! Józefina mnie zdradzała, ona... - Odchodzi. Miałby ochotę bić wszystkich wokół. - Biada im! Wytępię tę rasę chłystków i ba-

widamków! A z nią się rozwiodę, tak, wezmę rozwód, publiczny, głośny rozwód! Muszę napisać, że wiem wszystko... - Odwraca się *do Bourrienne'a*. - To pańska wina! Należało mi powiedzieć.

Słyszy niewyraźnie, jak Bourrienne mówi coś o zwycięstwie i sławie.

- Moja sława! Ach, dałbym nie wiem co za to, by wszystko, co mi powiedział Junot, było nieprawdą, tak bardzo kocham tę kobietę! Jeśli Józefina jest winna, to musi mnie z nią raz na zawsze rozdzielić rozwód! Nie chcę być pośmiewiskiem wszystkich próżniaków w Paryżu. Napiszę do Józefa, trzeba ogłosić rozwód!

Do ogrodu wchodzi oficerowie. Dowiedzieli się, że rosną tu winogrona. Napoleon trzyma się na uboczu, kiedy oni urządzają zabawę w winobranie. W głowie ma pustkę. Nic już nie czuje, złość go wyczerpała.

Kurier stoi przed nim dłuższą chwilę, zanim Napoleon wreszcie go dostrzeże. Oficer relacjonuje, że dwie kompanie piechoty, z orkiestrą na czele, weszły, jak było przewidziane, do Kairu, w towarzystwie delegacji, która przysła poddać miasto.

- Ani żywej duszy na całej drodze - opowiada. - Tylko zawodzenia kobiet rozbrzmiewające we wszystkich haremach.

Haremach? Napoleon unosi głowę i odprawia brutalnie kuriera.

Dopiero 24 lipca Napoleon wprowadza się do pałacu Mohammed-beja el Elfi przy placu Ezbekieh w Kairze. Wokół niego pośpiech. Trzeba jeszcze tyle zorganizować. Tworzy Dywan, radę złożoną z ulemów - przywódców religijnych - z meczetu Al Azhar. Przez cały ten dzień i następny dyktuje zarządzenia. Organizuje jednostki policji z dawnej milicji tureckiej.

Czasem urywa w środku zdania, jakby pustka nagle się odnawiała, po chwili jednak kontynuuje. Należy położyć kres plądrowaniu domów mameluków przez Egipcjan i żołnierzy. Rozszerza zasadę funkcjonowania Dywanu na całość podbitych terytoriów. Mijają godziny. Przychodzą kupcy. Chcieliby ponownie otworzyć swoje sklepy. Jest już noc 25 lipca. Znowu jest sam. Pustka.

Pisze do Józefa:

„Mogę być we Francji za dwa miesiące: powierzam Ci moje

interesy. Mam dużo kłopotów domowych, gdyż wszystko wyszło na jaw. Tylko Ty jeden zostałeś mi na świecie. Twoja przyjaźń jest mi bardzo droga, do tego, żeby zostać mizantropem, brakuje mi już tylko stracić Twą przyjaźń i zobaczyć, że i Ty mnie zdradzasz. To smutna sytuacja, kiedy ma się wciąż tyle uczuć dla tej osoby i serce wcale się nie zmieniło [...]. Rozumiesz mnie?"

Tak, Józef zrozumie. Tak, również Józef musiał od dawna wiedzieć, jaka jest Józefina.

„Zadbaj o to - kontynuuje Napoleon - abym po powrocie miał jakąś posiadłość na wsi w pobliżu Paryża albo w Burgundii. Spodziewam się tam spędzić zimę w odosobnieniu”.

Wstaje, podchodzi do okna. Noc rozdzierają nie słabnące ujadania dzikich psów włączających się stadami po pustych ulicach. Napoleon powraca do swego stołu.

' „Jestem rozczarowany ludzką naturą - pisze. - Odczuwam potrzebę izolacji i samotności. Zaszczyty mnie nudzą. Uczucia wygasły, sława mi zbrzydła. W wieku dwudziestu dziewięciu lat wyczerpałem wszystko; nie pozostaje mi nic innego, jak stać się skończonym egoistą!”

Waha się. Myśli o żołnierzach, o tych wszystkich okaleczonych, poćwiartowanych i spalonych ciałach, jakie widział, o głowach odciętych jednym ciosem szabli i pokazywanych przez mameluków.

Ponownie czyta zdanie i dorzuca:

„Będę strzec swego domu. Nigdy go nikomu nie oddam. Nie mam już więcej po co żyć! Żegnaj, mój jedyny przyjacielu, nigdy wobec ciebie nie byłem niesprawiedliwy!”.

Nie śpi. Nienawidzi tych hałaśliwych nocy, wycia psów. Zaczyna raport dla Dyrektoriatu: „Trudno napotkać - pisze - ziemię bardziej żyzną i lud bardziej biedny, ciemny i zezwierzęcony”.

Rozumie już, że nie da rady pociągnąć za sobą tego ludu. Zbyt różnią się oni od Europejczyków. Ci ulemowie, jak widać po tysiącu oznak, nie dali się nabrać na jego deklaracje religijne. Nakazuje więc, aby ludność oddała wszelką broń. Obawia się powstania. I ten niepokój go podtrzymuje. Na razie, jakkolwiek wymarzyłby sobie przyszłość, znajduje się jeszcze w tym mieście. „Kair - pisze do Dyrektoriatu - przy ponad trzystu tysiącach

mieszkańców ma najgorszy motłoch na całym świecie". Codziennie musi podejmować dziesiątki decyzji, stawiać czoło nowym trudnościom. 31 lipca pisze do dowodzącego w delcie Nilu generała Menou:

„Turkami nie można kierować inaczej niż tylko największą surowością; każdego dnia rozkazuję ścinać pięć albo sześć głów na ulicach Kairu. Do tej pory należało ich oszczędzać, aby pokazać, że niesłusznie posądza się nas o rozpętywanie terroru; dzisiaj przeciwnie, należy przyjąć ton, który sprawi, że ludzie ci zaczną być posłuszni; a dla nich być posłusznym znaczy bać się”.

13 sierpnia Napoleon siedzi w swoim namiocie blisko Salahieh, na skraju pustyni Synaj. Waha się, czy iść dalej. Pyta oficerów. Czy uda się dogonić Ibrahim-beja, który uciekł w stronę Syrii i którego ścigają od dziesięciu dni? Zanim jednak padnie odpowiedź, przybywają zdyszani kurierzy. Opowiadają, że 1 sierpnia eskadra Nelsona zniszczyła w zatoce Abukir flotę admirała Brueysa. Jedynie kilku okrętom udało się uciec. Morze wciąż wyrzuca trupy marynarzy. *Orient* eksplodował, a odgłos wybuchu i wstrząs dotarł aż do Aleksandrii. Brueys zabity.

Zapada martwa cisza.

- Jesteśmy więźniami! - woła głośno jeden z oficerów.

Napoleon się podnosi.

- Brueys poległ, dobrze spełnił swój obowiązek - mówi do nośnym głosem.

Zaczyna chodzić po namiocie, nie spuszczać oczu z oficerów.

- Tak, panowie - podejmuje zdecydowanym tonem - spoczywa więc na nas obowiązek dokonania rzeczy wielkich! Dokonamy ich! Założymy imperium. Wprawdzie morza, na których nie jesteśmy panami, dzielą nas od ojczyzny, ale żadne morze nie dzieli nas ani od Afryki, ani od Azji.

Przygląda się im. Większość spuszcza wzrok.

-Jest nas wielu, nie zabraknie nam nowych rekrutów. Nie zabraknie nam zapasów broni i amunicji: w razie potrzeby sami je sobie zrobimy.

Gdy Napoleon wychodzi przed namiot i patrzy w dal, oficerowie uśmiechają się nerwowo.

Rozdział 33

Wraca do Kairu.

Gdy pojawia się 14 sierpnia 1798 roku w wielkiej sali recepcyjnej swego pałacu na placu Ezbekieh, natychmiast zapada cisza. Słysząc tylko szmer wody w monumentalnej fontannie zajmującej środek sali.

Odgaduje pytania, które cisną się na usta wszystkim, zarówno oficerom, jak i bejom czy uleom. Twarze dostojników muzułmańskich są nieporuszone, można jednak wyczytać radość w ich oczach. Wszyscy wiedzą o katastrofie w zatoce Abukir.

Śledzą jego zachowanie. Napoleon siada. Musi okazać spokój. Daje znak, służący krzątają się przy stojących na ogniu siedmiu dzbankach do kawy. Napoleon częstuje kawą i cukrem. Wypytuje o uroczystości święta Nilu, które mają się rozpocząć nazajutrz, 15 sierpnia, oraz o święto upamiętniające dzień narodzin Mahometa. Czy wiedzą, że on się urodził tego samego dnia, 15 sierpnia, dwadzieścia dziewięć lat temu?

Podczas gdy dostojnicy muzułmańscy sączą wolno kawę, Napoleon mówi: „Chcę ustanowić władzę opartą na zasadach Koranu, które są jedynie słuszne i które mogą zapewnić ludziom szczęście”.

Wstaje. Posłuchanie skończone. Odprowadza swoich gości aż do ogromnych schodów z marmuru, alabastru i asuańskiego granitu.

W sali zostają Berthier i Bourrienne. Nie mają odwagi nic powiedzieć. Chodzą za nim, gdy krąży po salach pałacu, którego właściciel, Mohammed-bej el Elfi, uciekł do Górnego Egiptu. Ten

pałac jest jedynym miejscem w Kairze, gdzie w oknach są szyby i na każdym piętrze znajduje się łazienka.

Napoleon przystaje.

Nawet najbliżsi oficerowie go nie rozumieją. Cóż oni sobie wyobrażają? Że przeszedł na islam? Gdy chciał kiedyś przyjąć członków Dywanu ubrany po turecku w orientálną tunikę i turban, Bourrienne i właśnie przybyły do Egiptu Tallien zaczęli głośno protestować. Napoleon ustąpił, włożył swój czarny surdut zapinany pod szyję. Musiał wybierać między dezorientacją swoich żołnierzy a - być może - przypodobaniem się Egipcjanom. Ludzie nie są jednak jeszcze na to gotowi. Mimo to nie porzuca swych pomysłów. Planuje utworzenie oddziałów wojskowych, w których służyliby Murzyni kupieni w Górnym Egipcie, Beduini, dawni słuźący mameluków. Armia taka odzwierciedlałaby swym składem ludność kraju, owego przyszłego imperium, które nadal mu się marzy. Byłoby to rozwiązanie problemu stanu liczebnego, w sytuacji gdy zdolnych do walki jest coraz mniej, szpitale zatłoczone są chorymi, a w nadbrzeźnych miastach pojawia się dżuma.

Trzeba mieć oko na wszystko. Wypytuje Berthiera. Czy nakazano żołnierzom, tak jak żądał, codzienną kąpiel i czyszczenie mundurów? Gdzie jest nakład „*Courrier d'Egypte*”, pierwszej gazety, która ma informować jego armię?

Patrzy na Berthiera. Ceni tego skutecznie działającego rozważnego człowieka. Szanuje go za miłość, jaką żywi on wobec pewnej mieszkanki Mediolanu, pani Visconti, która pozostała we Włoszech. Berthier chce o niej porozmawiać.

- Rozumiem miłość, ale nie takie uwielbienie - mruczy Napoleon.

Berthier spuszcza głowę. Prosił o możliwość powrotu do Europy. Nie ukrywał swoich powodów. Ale wie, że flota została zniszczona.

- Na fregacie - dodaje Napoleon - dopłynie pan do niej szybko.

Później, biorąc Berthiera i Bourrienne'a na świadków, oskarża admirała Brueysa, który okazał się nieprzewidujący, i admirała Villeneuve'a, który według wszystkich relacji, zamiast walczyć, uciekł z redy.

- Panowanie na morzach należy do naszych przeciwników -

mówi. - Ale jak wielka by była ta porażka, nie można jej przypisać nieśmiałości Fortuny; ona na razie nas nie opuściła, wręcz przeciwnie, pomogła nam w tej kampanii bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Widzi zdziwienie Bourrienne'a i Berthiera.

- Nie pozostaje nam już nic innego, niż zorganizować podbity kraj - wyjaśnia. - Najbardziej podziwiam u Aleksandra - ciągnie - nie jego kampanie, lecz jego posunięcia polityczne. Trzeba być wielkim politykiem, aby odwiedzić wyrocznię Amona i dzięki temu zapanować nad Egipsem.

Czy Berthier i Bourrienne rozumieją?

- Moim zamysłem jest rządzenie ludźmi w taki sposób, jak większość z nich chciałaby być rządzona. Wierzę, że to najlepszy sposób uznania suwerenności ludzi. Gdybym rządził narodem żydowskim, odbudowałbym świątynię Salomona...

Urywa. 18 sierpnia weźmie udział w święcie Nilu, a w kilka dni później w uroczystościach na cześć Mahometa, 21 września obchodzone będzie święto republiki, następnie 4 października rocznica 13 vendémiaire'a. We wszystkie te dni należy zgromadzić wojsko z generałami w paradnych mundurach i z orkiestrą.

Berthier i Bourrienne wychodzą.

Jutro, 15 sierpnia, skończę dwadzieścia dziewięć lat.

18 sierpnia o szóstej rano, kiedy słońce już pali, Napoleon jedzie kilka kroków przed grupą generałów i dostojników kairskich, którzy udają się do Megyas. Tam właśnie zostanie przerwana tama, wody Nilu zaleją część terenów otaczających miasto i spłyną do kanału. Gra muzyka, strzelają salwy na wiwat. W końcu woda się rozlewa.

Napoleon obserwuje płynącą falę powodzi. Zaczyna rzucać monety w zebrany tłum. Ludzie biją się o nie, biegną za nim, gdy wraca do swej kwatery.

21 sierpnia miasto jest znowu odświętne, tym razem z okazji urodzin Proroka. Napoleon przyjmuje defiladę wojsk. Muszą zobaczyć, jak jest silny. Zasiada wśród ulemów do wielkiego bankietu. Nie cierpi tej zbyt tłustej baraniny, zbyt ostro przyprawionych potraw. Lecz zanurza palce w sosie, wyławia kawałki mięsa tak samo, jak pozostali współbiednicy.

General Dupuy, wojskowy komendant Kairu, nachyla się do Napoleona.

- Oszukujemy Egipcjan - mówi - udając przywiązanie do ich religii, w którą naprawdę wierzymy nie bardziej niż w religię papieża.

Czy warto mu odpowiadać? Jak wielu ludzi może obejść się bez religii? Czy można byłoby rządzić ludem, który nie uznaje żadnego boga? Który nie boi się bożej kary? Ani wojska?

Dlatego właśnie Napoleon chce, aby 21 września siły zbrojne jeszcze liczniej wzięły udział w święcie republiki. Na placu przed swą siedzibą każe zbudować wielki amfiteatr, pośrodku niego stanąć ma drewniany obelisk z nazwiskami żołnierzy poległych podczas walk o Egipt. Wokół obelisku wzniesiono świątynię. Na jej frontonie wielkimi literami złoci się inskrypcja: „Nie ma boga prócz Boga, a Mahomet jest Jego prorokiem”. Świątynię obok trójkolorowych sztandarów zdobią także barwy tureckie, czapka frygijska i półksiężyc.

Aby rządzić, należy jednoczyć siły, ludzi oraz idee i trzymać to wszystko żelazną ręką. Rozumieli to zdobywcy, cesarze i wszyscy, którzy chcieli odcisnąć piętno na historii narodów.

Jest jednym z nich. Teraz jest już tego pewien, kiedy ogląda żołnierzy defilujących wokół areny, a potem kawalerzystów biorących udział w wyścigach, podobnych do tych, jakie musiały się tu odbywać w czasach cywilizacji, które już przeminęły.

Zbliża się do ołtarza, na którym złożone są tablica z *Prawami Człowieka i Obywatela* oraz Koran. Ma wygłosić przemówienie do żołnierzy, będzie słał ich czyny oraz chwalił republikę.

Kiedy przemawia, czuje, że jego słowa nie znajdują żadnego oddźwięku. Nikt nie krzyczy: „Niech żyje republika!”. Ci ludzie są znużeni, obawiają się wiszącej w powietrzu wojny z Turcją, boją się zostać więźniami w podbitym kraju.

Napoleon podnosi rękę. Artyleria oddaje salwę, później sztuczne ognie rozjaśniają niebo. Entuzjazm ludzi jest jak balon braci Montgolfier: ciągle trzeba go podgrzewać, żeby nie opadł. A bez entuzjazmu niczego nie można zdziałać.

Czy jego samego nie opadają żadne wątpliwości, nie miewa nawet chwili wahania?

Oddaje się swoim zadaniom. Zakłada Instytut Egipski. Lubi do niego jeździć. Jest przecież wiceprzewodniczącym!

Przewodniczący Monge wita go w pałacu w Nasrieh, na przedmieściach Kairu. Dawniej należał on do Kassim-beja. W budynkach otaczających cienisty ogród zamieszkali wszyscy uczeni towarzyszący ekspedycji. Napoleon wchodzi do sali zebrań, która dawniej była głównym salonem haremu. Wokół niego zasiadają Monge, Berthollet, Geoffroy Saint-Hilaire. Słucha ich wystąpień. Znaleziska są niezliczone. Berthollet wyjaśnia z entuzjazmem, że w miejscowości Rosetta kapitan Bouchard odkrył na wygładzonej ścianie dużego bloku bazaltu grecką inskrypcję. Obok greckiego tekstu znajdują się przypuszczalnie jego przekłady na egipski zapisany hieroglifami i jakiś trzeci rodzaj pisma, dotąd nie zidentyfikowanego. Może uda się odczytać hieroglify, porównując je z sąsiednimi napisami?

Napoleon słucha. Przez jakiś czas nie marzy o imperium, o marszu do Indii ani zawiązaniu sojuszu z Tipu, sułtanem Majsuru, który jest tak antyangielski, że pozwolił Francuzom założyć w Majsurze klub jakobiński!

Zwiedza bibliotekę, która powstała w jednym z budynków. Spotykają się tutaj żołnierze, oficerowie i niektórzy szejkowie. Przechodzi przez ogród, ogląda laboratorium i dalej pracownię malarzy. Czasami w ogrodzie Instytutu, pośród krzewów mimozy, uczestniczy w dyskusjach uczonych.

Ogarnia go inne marzenie: żądza wiedzy. Wiedzieć, rozumieć. I znów, jak w latach szkolnych, ogarnia go na nowo entuzjazm.

- Godność nauk - mówi, ujmując pod ramię Geoffroya Saint-Hilaire'a. - To jedyne określenie, które oddaje dokładnie moją myśl. Nie znam piękniejszego użytku z ludzkiego życia, niż pracować nad poznaniem natury i wszelkich rzeczy użytecznych dla człowieka, które dostępne są jego myśli w materialnym świecie.

Kontynuuje z zapalem przemowę. Należałoby sporządzić mapę Egiptu, odnaleźć ślady kanału faraonów, który biegł z Suezu do wybrzeży śródziemnomorskich.

- Udam się do Suezu - oświadcza.

Monge i Geoffroy Saint-Hilaire odprowadzają go do drzwi Instytutu. Przygląda się im. Ci ludzie wyglądają na szczęśliwych. Pyta o to Geoffroya Saint-Hilaire'a.

- Znajduję tu ludzi, którzy myślą wyłącznie o nauce - mówi zoolog z entuzjazmem. - Żyję w centrum rozpalonego ogniska rozumu... Zajmujemy się gorliwie wszystkimi kwestiami, które interesują rząd, oraz tymi naukami, którym poświęcamy się dobrowolnie.

On im to umożliwił.

Wraca do pałacu. Ulice wokół placu Ezbekieh od kilku tygodni wyglądają inaczej. Otwarte zostały kawiarnie prowadzone przez kairskich chrześcijan. Tłum ciśnie się do kramów. Pełno tu wałęsających się żołnierzy, którzy kupują drób i baraninę oraz handlują rzeczami, nierzadko zrabowanymi przy okazji operacji wojskowych przeciwko Beduinom. Wielu żołnierzom towarzyszą kobiety w każdym możliwym wieku, także dokonujące zakupów. Ubrane są w europejskie stroje, z dumą odsłaniają swe ciała.

Także wokół Napoleona, w jego najbliższym otoczeniu, widać to samo szukanie przyjemności. Irytuje go to i rani. Eugeniusz de Beauharnais pojawia się w towarzystwie młodej czarnoskórej kobiety, której smukłe ciało przyciąga wszystkie spojrzenia.

Czasami, kiedy jest sam, w środku nocy nawiedza go wspomnienie tych kobiet. W wilgotnym upale, który rozbudza pożądanie, pragnie kobiecego ciała obok siebie. W okolicach pałacu niezliczone prostytutki zaczepiają mężczyzn. Nie może zasnąć. Ujadania psów rozdzierają noc. Wydał rozkaz, aby zabijano wszystkie psy zbierające się w stada. Jak mu doniesiono, spędzono je na wielki plac i dziesiątkami zabijano, lecz setki innych nadal są nieuchwytnie.

Nagle ogarnia go poczucie niemocy i gorycz. Tak samo jak jego żołnierze i oficerowie, czuje się tu więźniem.

Szejkowie ofiarowali mu w podarunku jakieś kobiety, ale uznał, że są zbyt grube i zbyt stare, masy tłustego ciała. Poczul się upokorzony. Przypomniała mu się Józefina i cała jego złość na nią odżyła na nowo. Któregoś wieczoru szejk El Bekri podsunął mu młodą szesnastoletnią dziewczynę. Napoleon spędził z nią kilka nocy. Ale

co to za kobieta, która potrafi jedynie ulegać? Poczul się jeszcze bardziej samotny. Po kilku tygodniach odesłał ją z powrotem.

Zaczął wychodzić wieczorami w towarzystwie swoich adiutantów, którzy bywają w Tivoli. To on chciał, aby otwarto teatr na modłę francuską. Znajdują się tam parkiety do tańca, sale gry, a nawet biblioteka. Nieliczne kobiety towarzyszące ekspedycji mogą tam uwodzić nadskakujących im oficerów.

Napoleon zasiada za stołem, spojrzeniem omiata otoczenie. Eugeniusz de Beauharnais i Junot opowiadali mu o młodej blondynce, żonie porucznika Fourèsa, uwodzicielskiej i wesołej. Ona tu jest. Napoleon przygląda się jej przez cały wieczór. Pragnie jej. Ona bezustannie odwraca się w jego kierunku. Pierwszy raz od miesiąca Napoleon odczuwa przemożne podniecenie, które usuwa wszystko na bok. Wie, że wszyscy zauważyli jego zachowanie. Szepczą, pokazują palcami Margueritte Pauline Fourès. Nie dba o to. Musi dostać, co chce.

Nie ma wątpliwości, że ona mu ulegnie. Ze sposobu, w jaki odpowiadała na jego spojrzenia, wie, że gotowa jest mu ulec. Wypytuje o nią. Ma dwadzieścia lat, była modystką. Pojechała za mężem przebrana za żołnierza. Jej blond włosy są podobno tak piękne i długie, że mogłaby się nimi okryć jak płaszczem.

Dyktuje rozkaz: „Rozkazuje się obywatelowi Fourèsowi, porucznikowi w 22. pułku szaserów konnych, wyjechać pierwszym dyliżansem do Rosetty, a stamtąd udać się do Aleksandrii, gdzie wsiądzie na okręt [...]. Obywatel Fourès otrzyma rozkazy, które wolno mu będzie otworzyć dopiero na morzu, w nich znajdzie dalsze instrukcje”.

Tak postępują królowie.

Czy nie jest równy władcom?

Pauline ulega. Napoleon urządza ją w domu nieopodal swego pałacu. Jeździ z nią na spacerzy koczem. Wie, że żołnierze nazywają ją „Kliupatrą” albo „naszą orientálną władczynią”. Cieszy się jej ciałem, jej radosną spontanicznością i gadulstwem. Jest jego Be-Ililotte - jak ją nazywa. Kiedy porucznik Fourès wraca - ponieważ Anglicy przechwycili okręt, na którym płynął, i go uwolnili, na złość Napoleonowi - ona się rozwodzi. Wystarczy jego jedno

słowo. To pierwsza kobieta, wobec której zachowuje się jak władca. Już nie jest tamtym młodym generałem, którego doświadczona kobieta uwodziła w równym stopniu za pomocą swego sprytu i wdzięku i która narzucała mu swoje warunki. Teraz to on rozkazuje. Bellilotte pozwala mu odkryć, że pragnie być właśnie taki. Że także wobec kobiet może zachowywać się jak zdobywca. Uwalnia go w ten sposób z dobrowolnego poddaństwa, które przez lata czyniło z niego wzdychającego adoratora Józefiny. Z tym już koniec.

Czemu nie miałyby posłubić Bellilotte - myśli czasami. Gdyż z Józefiną się rozwiedzie. Czuje do niej urazę. To przecież takie proste, takie radosne kochać taką kobietę jak Bellilotte!

Gdyby dała mu dziecko, nie wahałby się z nią połączyć ślubem. „Ale sam pan widzi - skarży się Bourrienne'owi - ta mała gąska nie może zająć w ciążę”.

A zresztą czy byłby to odpowiedni moment?

Młoda kobieta dostarcza mu rozrywki, zaspokaja jego pragnienia, przywraca mu równowagę. Zajmuje honorowe miejsce podczas kolacji, jest przy jego boku. Jeździ pod eskortą jego adiutantów. Eugeniusz de Beauharnais buntował się przeciw temu. Jest przecież synem prawowitej małżonki - stwierdził. Napoleon nic nie powiedział, ale zwolnił go od tej służby. Nie może wymagać takich rzeczy od Eugeniusza, dobrego żołnierza i oddanego adiutanta. Napoleon nie chce pozwolić, aby jego życie prywatne mieszało się ze sferą obowiązków związanych z jego stanowiskiem.

Nawet dla Józefiny nie zaniedbywał nigdy obowiązków. Tym bardziej nie robi tego dla Bellilotte. Kobieta może rozjaśnić jego życie albo uczynić je bardziej smutnym, nie może jednak być jego przeznaczeniem.

Musiał stłumić powstanie wśród części ludności Kairu. Ludzie mordowali, plądrowali i grabili ze ślełą zaciekłością. Aby ich ujarzmić, kazał otworzyć ogień do meczetu Al Azhar. Zamordowany został generał Dupuy, adiutant Sułkowski poległ, przeprowadzając rekonesans poza Kairem.

- Zginał, jest szczęśliwy - mówi Napoleon.

Pełen jest skrywanej furii, którą zdradza jedynie jego bladeść i nerwowość.

- Zniechęciłem się do Rousseau - rzuca. - Człowiek dziki to zwierzę.

Zginęło prawie trzystu Francuzów i na pewno około trzech tysięcy rebeliantów. Nadszedł czas kary, w cytadeli ścina się głowy, a zdekapitowane ciała wrzuca do Nilu, podczas gdy żołnierze grabią, znęcają się i zabijają.

Trzeba jednak powstrzymać represje, przeciwstawić się oficerom i żołnierzom, którzy chcieliby „wydać na śmierć wszystkich tych, których oczy widziały, jak wycofują się francuskie kompanie”. Takie są żądania żołnierzy, trzeba im jednak odmawiać, ponieważ ludzi nie można utrzymać wyłącznie za pomocą terroru. Czy oni tego nie rozumieją?

Napoleon nazajutrz po rewolcie przyjmuje dostojników. Klękają przed nim. Przypatruje im się. Ci hipokryci udają posłuszeństwo, a podburzali lud do powstania.

- Dowódcy, ulemowie, mufti - mówi - ogłoście swemu ludowi, że ci, którzy z lekkim sercem ogłaszają się moimi nieprzyjaciółmi, nie znajdą schronienia ani na tym świecie, ani na tamym... Szcześliwi ci, którzy w dobrej wierze pierwsi wezmą moją stronę...

Każę im się podnieść.

- Przyjdzie dzień, gdy przekonacie się, że wszystko, co zrobiłem - ciągnie - było mi przekazane od Boga. Zobaczycie wówczas, że nawet gdyby wszyscy ludzie sprzeciwili się bożym zamysłom, to i tak nie zdołaliby przeszkodzić w przeprowadzeniu Jego postanowień. To mnie Bóg obarczył misją ich przeprowadzenia...

- Twe ramię jest mocne, twoje słowa jak balsam - odpowiadają dostojnicy.

To język, którego trzeba się trzymać, lecz którym nie należy się upajać.

A jednak na każdym kroku napotyka się tu historię i nie sposób nie dostać zawrotu głowy. Przyjmuje w swym namiocie kupców z Jemenu, których karawany jeżdżą aż do Indii. Pertraktuje z Be-duinami. Udaje się do źródeł Mojżesza, tam, gdzie ze skał Synaju wytryska słodka woda.

Jest na ziemiach, gdzie powstały religie. On także przechodzi przez Morze Czerwone. Jego i eskortę zaskakuje tam nagły przy-

plyw. Konie muszą płynąć wśród zapadającej nocy. Jego ludzie są jak porwani nurtem żołnierze armii faraona. Wśród plusku fal docierają jednak do brzegu. Tylko generał Caffarelli utracił swą drewnianą nogę.

Napoleon jedzie na cypel wystający ponad wodą. Tu właśnie narodziły się mity. Tu, gdzie stoi, wypełnia się jego los, tutaj powstanie być może jego legenda.

W drodze powrotnej odkrywa kanał wykopany przez faraonów. Zsiada z konia, idzie wzdłuż niego. Czas jak piasek pochłania dzieła ludzi, lecz pozostawia przy życiu legendę.

Wraca do Belłilotte. Przeżywa z nią kilka dni fizycznej namiętności i zapomnienia.

Wie bowiem, że będzie musiał niedługo wyjechać i odnaleźć samotność działania. Już teraz pozwala się ponieść wyobraźni. Turcja wypowiedziała Francji wojnę. Jej armia jest w Syrii i kieruje się w stronę Egiptu. Trzeba ją powstrzymać, a więc - wyruszyć na jej spotkanie. Pokonać ją, a potem otworzą się drogi do Indii albo do Stambułu.

Na początku lutego pojawia się jednak francuski kupiec Hame-lin, który zdołał się przedrzeć przez angielską blokadę. Przywozi wieści z Europy. Francja musi stawić czoło nowej koalicji, jej podboje są zagrożone. „Jeśli w marcu raport obywatela Hamełina się potwierdzi i jeśli Francja będzie zbrojnie występować przeciw królom, pojedą do Francji” - mówi Napoleon.

Bramy przyszłości stoją ponownie otworem.

Wyjedzie z Kairu do Syrii.

Przyprowadzają mu trzech grenadierów z 32. półbrygady, oskarżonych o zamordowanie dwóch Egipcjanek, które próbowali okraść. Dywan chce, aby głównodowodzący sam ich osądził.

Stoją przed nim, nieokrzesani i przekonujący o swej niewinności, przypominający o bitwach, w których brali udział. Przesłuchuje ich. Płaczą się. Obciążają ich dowody: guzik, skrawek munduru. Napoleon sam podejmuje decyzję. Zostaną rozstrzelani.

Kilka godzin później zostają rozstrzelani w obecności całej brygady, po wzniesieniu szklaneczki „za zdrowie Bonapartego”.

Wysłuchuje relacji z egzekucji. Niektórzy żołnierze protestowali, inni cieszyli się z kary w imię porządku, dyscypliny i sprawiedli-

wości. Napoleon mówi do towarzyszącego mu lekarza Desgenettes'a:

- Jakże, u diabła, odmawiać można człowiekowi, któremu państwo powierza nieraz życie stu tysięcy ludzi, prawa do karania tak poważnych przestępstw zgodnie ze swoim przekonaniem... -Robi parę kroków, a potem dodaje: - Głównodowodzący musi być wyposażony w straszliwą władzę.

Rozdział 34

Jest zimno. Napoleon ogląda się za siebie. Kilkaset metrów od niego płonie wioska. Dobiegają stamtąd jeszcze jakieś krzyki, które stopniowo cichną. Pędzi teraz galopem w samym środku kawalkady. Zbliża się do niego Berthier i nie zwalniając, pyta o jego obrażenia. Napoleon spina konia ostrogą i tłumi jęk. Boli go udo, w głowie wciąż mu huczy, czuje pulsowanie na skroni w miejscu, gdzie otrzymał cios. Ogląda się jeszcze raz. Kompania dromaderów zwartym blokiem przesłania pożar wioski, w której 15 lutego 1799 roku mógł umrzeć. Pozwolił oddalić się eskorcie i został sam z Berthierem, a wtedy rzucili się na nich uzbrojeni w kije wieśniacy. W jednej chwili został otoczony, zaczęli go bić. Potem nadjechała kawaleria, zaczęła ciąć szablami i zabijać, puściła wioskę z dymem.

Ten incydent jest kolejnym znakiem. Odkąd posuwa się ku północy na czele trzynastu tysięcy ludzi, z których składa się jego armia, nie odczuwa żadnego entuzjazmu. A przecież jedzie przez biblijny kraj, ten sam, który okupowali krzyżowcy. Marzy mu się rewolta ludności chrześcijańskiej w Palestynie i przyłączenie się Arabów walczących przeciwko swym tureckim władcom. Gdyby tak się stało, mógłby dojść do Indii albo do Stambułu, zmienić mapę świata. Mimo to, i sam jest tym zdziwiony, pozostaje wciąż posepny.

17 lutego 1799 roku przybywa do Al-Arisz. Wojska generała Reyniera zdobyły niedawno fortecę. Napoleon przecina -wolnym krokiem obóz, gdzie żołnierze porozpalali wielkie ogniska, na

których pieką się barany i ćwiartki koni. Rozbili duże namioty i Napoleon, schylając się, dostrzega w nich sylwetki kobiet, czarne Abisynki, Czerkieski. Na ziemi rozłożone są maty i materace.

Czy ta armia może dojść aż do Indusu? Żołnierze nie zwracają na niego uwagi. Podchodzi generał Reynier w otoczeniu oficerów. Forteca w Al-Arisz była dobrze broniona, wyjaśnia, lecz przeprowadził atak przez zaskoczenie. Żołnierze tureccy zostali zakłuci *podczas snu*. Atakujący *ponieśli* niewielkie *stnily*, a z Turków -pokazuje ręką leżące na ziemi ciała - przeżyło niewielu.

Napoleon idzie dalej.

- To jedna z najpiękniejszych operacji wojennych, jakie w ogóle można przeprowadzić - mówi.

Później pokazuje na obóz: brak tam dyscypliny. Dlaczego każda grupa żołnierzy na własną rękę pożywia się przy ognisku? Gdzie są prowianty? Kto rozprowadza racje żywnościowe?

Reynier oburza się, protestuje przeciw oskarżeniom o bałagan. Jego oficerowie stają po jego stronie. Nadchodzący właśnie generał Kleber dodaje, że nic nie jest zorganizowane, że nie można utrzymać armii kosztem magazynów zdobywanych na nieprzyjacielu.

Napoleon przygląda się im bacznie.

- Armia opuści Al-Arisz 21 lutego - oświadcza. - Pomaszeruje w stronę Gazy, Jaffy i Akki.

W drodze do swego namiotu spostrzega zgromadzonych przy ogniu Monge'a, Bertholleta, tłumacza Venture'a, malarza Domi-nique'a Vivanta Denona, lekarza Desgenettes'a i kilku innych uczonych, którzy zgodnie z jego życzeniem, idą z armią do Syrii.

- Palestyna, ziemia krwawych ofiar - mówi Venture.

Napoleon wie o tym. Myśli o bożku Molochu, któremu Fenicjanie składali w ofierze ludzi, o zarządzanej przez Heroda rzezi niewinątek, o masakrach dokonywanych przez Rzymian, krzyżowców. Śmierć zrodziła tutaj historię.

Teraz ucieleśnia bieg historii. Głowa i noga wciąż go bołą. Jednak żyje. Jego wrogowie są martwi. Od początku świata nie ma innego prawa.

25 lutego 1799 roku wkracza do Gazy.

Nieprzerwanie pada deszcz. Trzeba brnąć w wodzie i błocie. Na

drodze do Ramallah wielbłądy padają z zimna. Nad niewielką wioską górują dwa klasztory z kamienia barwy ochry. Jeden należy do obrządku ormiańskiego, drugi jest katolicki. Napoleon tam jedzie. Mnisi zbierają się wokół niego. Ścisną mu ręce. Klękają przed nim kobiety o bardzo jasnej cerze. Słyszy, że jest pierwszym chrześcijaninem, jaki się tu pojawił od wieków. Przechodzi sklepione sale, za nim idzie lekarz Desgenettes. Mówi, że tutaj należałoby zorganizować szpital wojskowy. Gdy opuszcza klasztor katolicki, widzi, jak przywożą ułożonych na wózkach pierwszych rannych.

Wciąż pada. Wojska, do których dołącza, posuwają się wolno w stronę Jaffy. Wyczuwa ich zmęczenie i znużenie. Ci ludzie, zarówno oficerowie, jak i żołnierze, nie chcą jeszcze bardziej oddalać się od Francji, a nawet od Egiptu, do którego zdążyli się już przyzwyczaić. I to w jakim celu? Żeby rozbić armię turecką? Czemu nie zaczekać, aż Turcy przyjdą nad Nil? Czemu trzeba iść im na spotkanie? Czy trzeba zdobywać każdą wioskę? Czemu służy to wychwalanie Mahometa i wzywanie Arabów, by przyłączali się do armii, skoro oni i tak się wszędzie buntują, są barbarzyńscy, zdeterminowani i okrutni?

4 marca, już Jaffa.

Napoleon patrzy na miasto, które należy zdobyć. Położone jest na czymś na kształt wysokiej głowy cukru. Domy leżą na zboczach, chronione murem obronnym z wieżami. W zimnym wietrze kreśli plany oblężenia, później, gdy praca jest niemal zakończona, udaje się do okopów.

Żołnierze skupiają się wokół niego u stóp zbocza, po którym trzeba będzie się wdrapywać. Napoleon dyktuje Berthierowi posłanie do gubernatora Jaffy: „Bóg jest łaskawy i miłosierny [...]. Dla uniknięcia nieszczęść, jakie mogłyby spaść na miasto, głównodowodzący Bonaparte żąda, aby pasza się poddał, zanim zostanie do tego zmuszony szturmem, do którego wszystko jest gotowe”.

Napoleon odprowadza wzrokiem oficera zanoszącego posłanie. Zbliża się on do jednej z bram w murach obronnych, otwierają mu, wciągają go do środka.

W okopach zalega cisza. Nagle na wałach pojawiają się sylwetki Turków. Wymachują głową posłańca. Natychmiast podnosi się krzyk, żołnierze rzucają się do ataku, nie czekając nawet na rozkaz.

W końcu zapomina się, że wróg także jest człowiekiem.

Napoleon słyszy krzyki, widzi krew. Żołnierze powracają z czerwonymi bagnetami. Wracają do obozu obładowani łupami, popychają przed sobą kobiety i młode dziewczęta na sprzedaż, którymi zaczynają handlować jak rzeczami.

Wycofał się do namiotu. Czuje się pusty w środku, jego ciało przenika chłód. Zostało dwa do trzech tysięcy Turków, którzy schronili się w cytadeli. W mieście były przypadki dżumy. Rabunki dezorganizują armię.

Trzeba wysłać dwóch oficerów, by zbadali sytuację. Zgłasza się Eugeniusz de Beauharnais, chce być jednym z nich. Napoleon zgadza się. Jego spojrzenie jest znowu skupione.

Po kilku godzinach Beauharnais wraca. Uzyskał kapitulację Turków. Teraz składają broń. Napoleon wstaje blady.

- Co ja mam z nimi zrobić, po jakiego diabła wzięci do niewoli w Al-Arisz, wypuszczeni „na słowo” bronili Jaffy? - zastanawia się.

Zwołuje naradę wojenną. Przypatruje się oficerom. Wszyscy spuszczają wzrok.

- Urodzonych w Egipcie trzeba odesłać do ojczyzny - mówi Napoleon. - Co robić z resztą? - pyta.

Nikt nie odpowiada. Napoleon chodzi z rękami na plecach, z tułowiem pochylonym do przodu. Przypomina sobie książkę Vol-neya, którą czytał w Valence, a także późniejsze rozmowy z nim na Korsyce. Jeden z tych, co podbijali Palestynę, kazał zbudować piramidę z uciętych głów, aby zawładnąć krajem poprzez strach.

Śmierć wroga to także broń.

-Trzeba ich... - zaczyna.

Oficerowie wychodzą. Zostaje sam, zimny, znieruchomiały.

Ma się to odbyć na piaszczystych wydmach na południowy zachód od Jaffy. Jeńcy zostaną podzieleni na małe grupy. Niektórzy będą się próbowali ratować, rzucając się do morza. Woda zabarwi się na czerwono. A kiedy żołnierzom skończą się naboje, będą zabijali bagnetami.

Napoleon słyszy krzyki umierających, którym podrzynają gardła. I po kilku godzinach czuje odór śmierci unoszący się z niemal trzech tysięcy trupów.

Jest zdobywcą Palestyny, jednym z wielu.

Bourrienne'owi, który patrzy na niego z pewnego rodzaju przestachem, Napoleon dyktuje proklamację skierowaną do mieszkańców Palestyny, Nablusu, Jerozolimy i Akki: „Dobrze, abyście wiedzieli, że na niczym spełzły wszelkie ludzkie wysiłki podejmowane przeciwko mnie, gdyż wszystko, co robię, musi zakonczyć się sukcesem. Kto uważa się za mego przyjaciela, ten ma się dobrze. Kto jest moim wrogiem, ginie. Przykład wydarzeń w Jaffie i Gazie powinien wam uświadomić, że choć jestem straszny dla moich wrogów, to dla przyjaciół jestem dobry, a szczególnie jestem łaskawy i miłosierny dla biednego ludu”.

Potem gwałtownym gestem odprawia sekretarza.

Siada. Gdzie się znalazł? Co zrobił? Dokąd zmierza? Nie wie, jak długo tak siedział. Być może tkwił bez ruchu przez całą noc, ponieważ świeci już mocno słońce.

Przed nim stoi lekarz Desgenettes. Od jak dawna mówi mu o chorych, którzy się tłoczą w szpitalu? Mają ogromne obrzmienia w pachwinach i na szyi. To dżuma. Desgenettes starał się uspokoić ludzi. Zanurzył ostrze sztyletu w ropie chorego i nakłuł się nim pod pachą i w pachwinie.

Napoleon wstaje i zdecydowanym krokiem zmierza do szpitala. Podąża za nim kilku oficerów jego sztabu, patrząc na niego z takim samym przerażeniem jak wtedy, gdy nakazał przeprowadzić egzekucję jeńców.

Te ich spojrzenia usprawiedliwiają go i rozgrzeszają. Jest kimś od nich innym. Do jego czynów nie można przykładać miary zwyczajnych ludzi. Rola, którą odgrywa, którą chce i będzie odgrywać w historii, usprawiedliwia wszystko. Nie boi się śmierci. Wyzywa ją. Jeśli śmierć go zabierze, to znaczy, że się pomylił w odczytaniu sensu swego losu.

Zarażeni leżą w półmroku, w cuchnącym odorze kloaki. Wszystkie zakamarki wypełnione są chorymi.

Napoleon idzie powoli. Pyta Desgenettes'a o organizację szpitala. Jego oficerowie trzymają się o kilka kroków z tyłu, starając się uniknąć pochylania nad chorymi, rozmów czy dotykania ich ciał.

W Reims król dotykał chorych na skrofule. Był uzdrowicielem.

Musi stać się równy tym monarchom. Jego strach i emocje nie mają znaczenia. Jest posłuszny jedynie prawom swego losu i robi to, co one mu nakazują. Zapomina o tym, co czuje, aby być tylko tym, kim być powinien.

Wchodzi do ciasnej sali szpitalnej, pełnej chorych. W poprzek jednej z prycz leży zmarły. Cierpienie odrażająco wykrzywiło jego twarz, podarte łachmany zanieczyszczone są ropą, która wylała się z ogromnego guza.

Napoleon bez wahania chwytą ciało. Oficerowie usiłują mu pomóc. Ale on przyciska zwłoki żołnierza do siebie i niesie je sam.

Czego się boi? Tylko i wyłącznie tego, że nie stanie na wysokości swego zadania. Śmierć - czy to jego własna, czy innych ludzi -nie znaczy nic.

Nie zaraził się dżumą. Lecz przeznaczenie jest tu niedaleko, w zatoce Hajfy na kotwicy stoją dwa liniowe okręty angielskie, *Tygrys* i *Tezeusz*, niebawem przyłączają się do nich okręty i kano-nierki tureckie.

Napoleon okupuje Hajfę, na południowym krańcu zatoki. Na drugim jej krańcu, na północy, nad niedużym portem wznosi się cytadela Akki z wielką wieżą.

Długo przygląda się rozległej zatoce, szeroko otwartej na morze. Zna ludzi, przeciw którym walczy. Gubernatora Akki nazywają Dżezarem Rzeźnikiem. Napoleon przypomina sobie podróznicze książki Totta, które prócz książek Volneya czytał w Valence. To Dżezar-Rzeźnik - opowiadał Tott - rozkazał w murach, które odbudowywał wokół Bejrutu, zamurować setki chrześcijan greckiego obrządku, pozostawiając ich głowy na wierzchu, aby napawać się ich mękami. Człowiek ten przyjął pomoc Anglika Williama Sidneya Smitha. Napoleon zetknął się z jego nazwiskiem po raz pierwszy podczas oblężenia Tulonu. Smith wysadził w powietrze flotę francuską na redzie w chwili, gdy wojska Konwentu i wśród nich także Napoleon zdobywały miasto. Od tamtej pory nie przestał walczyć przeciwko Francji. Napoleon przypomina sobie list otrzymany niedługo po 13 vendémiaire'a, w którym Sidney Smith, uwięziony wówczas w Paryżu, żądał uwolnienia w zamian za więźniów francuskich. Napoleon nie odpowiedział. Wkrótce dowiedział się

o ucieczce Sidneya Smitha z więzienia z pomocą rojalistycznych agentów, a wśród nich Le Picarda de Phélippeaux.

Phélippeaux! Jest także w Akce i dowodzi artylerią Dżezara Rzeźnika. To również omen.

-Phélippeaux... - zaczyna Bourrienne.

Napoleon ruchem głowy każe mu zamilknąć. To spotkanie, tutaj, pod murami Akki, jest zrzędzeniem losu. Przypomina sobie wszystkie starcia z Phélippeaux w szkole wojskowej. Kopniaki pod stołem w refektarzu, rywalizacja, nienawiść. Tutaj znajdują one rozstrzygnięcie.

Rozpoczyna się oblężenie. Francuzi robią podkopy, aby zbliżyć się do murów i ogromnych wież zbudowanych jeszcze przez krzyżowców. Próbuje za pomocą wybuchów min otworzyć wyłom w fortyfikacjach. Niezbędna artyleria oblężnicza, która płynęła morzem, przechwycona została przez okręty Sidneya Smitha. Tureckie działa niszczą pozycje Francuzów i Napoleon, widząc ich krzyżowy ogień, wie, że Phélippeaux kieruje ogniem, stosując nauki, które kiedyś pobierali razem.

Powtarzają się kolejne natarcia, mordercze i bezowocne. Obozowisko francuskie wokół twierdzy przypomina wielki jarmark. Handluje się tam winem, wódką, figami, plackami, rodzynekami, a nawet masłem. Także kobietami.

Napoleon wie o tym, lecz armia wymyka mu się stopniowo spod kontroli. Coraz trudniej utrzymać dyscyplinę. Donoszą mu o wypowiedziach oficerów, niechęci generałów, wściekłości żołnierzy. Bourrienne kładzie na stole ulotkę, jedną z tych, które Sidney Smith każe codziennie zrzucić z murów do okopów. „Ci spośród was - czyta Napoleon - bez względu na stopień, którzy chcieliby uniknąć niebezpieczeństwa, jakie wam zagraża, powinni bez najmniejszej zwłoki zmanifestować swe intencje. Zostaną odprowadzeni tam, gdzie zapragną się udać”.

Napoleon pogardliwym gestem odpycha ulotkę, mówiąc, że żaden żołnierz nie ulegnie takiej pokusie. Dyktuje Berthierowi rozkaz dzienny. Setki chrześcijan zostały zmasakrowane w Akce przez Dżezara Rzeźnika - przypomina. Co zrobili Smith i Phélippeaux? Są współwinni zbrodni. Turcy torturują jeńców francuskich,

ścinają im głowy, ładują ich na statki zarażone dżumą. Trzeba zerwać wszelkie stosunki z Anglikami. Posunięcia Smitha są poczynaniami szaleńca - grzmi Napoleon.

Należy podjąć ataki na nowo. Caffarelli zostaje zabity. Oficerowie dziesiątkami padają na czele swych ludzi. Kleber zauważa-

- Bonaparte to generał dziesięciu tysięcy poległych dziennie!

Należy stawić czoło tym zarzutom. Napoleon zbiera generałów. Murat występuje o krok do przodu.

- Jest pan katem dla żołnierzy - mówi. - Musi pan być uparty i ślepy, żeby nie widzieć, że nigdy nie zdoła pan zniszczyć Akki.

Słuchać. Nie unosić się gniewem. Nie odpowiadać od razu.

- Z początku pańscy żołnierze byli pełni entuzjazmu - podejmuje Murat - teraz trzeba ich przymuszać do posłuszeństwa! Biorąc pod uwagę ich stan ducha, nie zdziwiłbym się, gdyby w ogóle przestali słuchać.

Napoleon odwraca się, bez słowa idzie do swego namiotu.

Czemu ci ludzie nie rozumieją, jak wysoka jest stawka? W twierdzy znajduje się skarbiec paszy i uzbrojenie dla trzystu tysięcy ludzi.

Wchodzi Bourrienne w towarzystwie Berthiera. Napoleon zwraca się do nich.

- Jeśli mi się powiedzie - mówi - wzniesę bunt i uzbroję całą Syrię, oburzoną okrucieństwem Dżezara. O jego upadek, jak widzieliście, cała ludność prosi Boga przy każdym naszym natarciu. Pomaszeruję na Damaszek i Aleppo. Idąc przez kraj, powiększę moją armię o wszystkich niezadowolonych. Ogłoszę ludowi zniesienie poddaństwa i tyrańskich rządów paszów. Wkroczę do Stambułu z uzbrojonymi masami. Obalę Wielką Portę. Założę na Bliskim Wschodzie nowe i wielkie imperium, które zapewni mi miejsce w historii. I być może powrócę do Paryża przez Adrianopol albo przez Wiedeń, niszcząc najpierw Austrię.

Z twarzy Bourrienne'a i Berthiera wyczytuje, że oni nie podzielają jego marzeń, że musi ich za sobą pociągać, odnosząc jedno zwycięstwo dziennie, cel ostateczny powinien natomiast zachować dla siebie.

Berthier informuje, że wojska Klebera mają kłopoty w rejonie góry Tabor, między Nazaretem a Jeziołem Tyberiadzkim. Zostawmy

imperium Wschodu. Pokonajmy gubernatora Damaszku, który usiłuje okrążyć wojska francuskie!

Napoleon prowadzi atak. Turcy uciekają. Niektórzy wpadają do Jeziora Tyberiadzkiego, gdzie żołnierze dopadają ich i zabijają bagnetami. Woda jest niebawem czerwona od krwi.

Zwycięstwo jest zupełne. Napoleon jedzie uliczkami Nazaretu. Zwierzęta gaszą pragnienie w kamiennej czaszy fontanny. Napoleon przystaje. Być może fontanna ta istniała już w czasach, gdy powstawały religie?

Mnisi z zakonu w Nazarecie przyjmują go i ofiarowują gościnę na noc. Zwiedza kaplicę. Przeor oprowadza ich i z powagą pokazuje kolumnę z czarnego marmuru, którą rozbić miał archanioł Gabriel, dotykając jej piętą.

Wśród oficerów rozlegają się śmiechy. Napoleon ucisza ich spojrzeniem. To jest jedno z miejsc, gdzie powstawała historia. Zbliża się starszyzna miasteczka. Dla uczczenia zwycięstw intonuje się *Te Deum*. Mnisi i ludność chrześcijańska otaczają Napoleona. Jest kontynuatorem krzyżowców. Są szczęśliwi. Chrześcijanie myślą, że zostali wyzwoleni spod władzy tyranów. Napoleon nie wyprowadza ich z błędu.

Jak długo będą się cieszyć tą wolnością?

Kiedy wraca do obozu pod Akką, stwierdza, że sytuacja jest jeszcze gorsza. Obleżeni otrzymali posiłki w artylerii i żołnierzach.

Napoleon zamyka się w namiocie.

Osiem kolejnych natarć nie dało żadnego rezultatu. Wystarczyło mu dziś przejechać przez obóz, aby zauważyć zarówno wyczerpanie żołnierzy, jak i rozprężenie w oddziałach. Jedyna dobra nowina to śmierć Phélippeaux.

To jego postanowiła zabrać, nie mnie.

Trzeba jednak podjąć decyzję. Wśród dokumentów doręczonych mu przez adiutantów znajduje list Dyrektoriatu z 4 listopada. Piszą mu: „Do Pana należy decyzja, w zgodzie z elitą dzielnych i wybitnych ludzi, którzy Pana otaczają”.

Decyzja należy do niego. Wysłuchuje wiadomości, które o swej długiej podróży przekazuje pewien kupiec przybywający z Włoch.

Wojska francuskie ponownie zajęły Rzym i Neapol. Nie wie nic więcej na ten temat. Ale te słowa wystarczają. Napoleon czuje, jak ogarnia go niecierpliwość. W Europie znów zaczęła się gra w kości. Austria musi wypowiedzieć wojnę Francji, skoro Neapol padł.

A ja siedzę tutaj jak w pułapce i walczę z barbarzyńcami z pomocą znużonych i niezadowolonych żołnierzy, którym dżuma depcze po piętach.

Trzeba stąd wyjść, odstąpić od oblężenia i wrócić do Francji.

Najpierw jednak należy nadać sens minionym wydarzeniom. Trzeba sprawić, by cierpienia i poświęcenie nie wydawały się daremne. Trzeba słów, które przekształcą rzeczywistość, przydadzą tym ludziom marzeń, aby mogli być dumni z tego, czego dokonali.

„Żołnierze, przebyliście pustynię oddzielającą Afrykę od Azji szybciej niż armia arabska [...] - pisze. - Rozpędziliście na polach u stóp góry Tabor tę chmurę ludzi, którzy ze wszystkich części Azji zbiegli się w nadziei ograbienia Egiptu [...]. Powrócimy do Egiptu [...]. Zdobycie Akki nie jest warte kilku dni. Śmiałkowie, których musiałbym tam stracić, są dziś potrzebni do bardziej istotnych operacji [...]. Żołnierze, mamy do przejścia męczącą i niebezpieczną drogę [...]. Znajdziecie na niej nową okazję do zdobycia sławy”.

Decyzja zapadła.

- Trzeba zorganizować odwrót - mówi - działa trzeba wysłać, lecz przedtem mają do końca ostrzeliwać Akkę. Potem ruszyć w drogę, rozkazać, aby w każdym mijanym mieście defilowano ze sztandarami zdobytymi na wrogu na czele, z muzyką.

Rozkazuje, aby rannych załadowano na konie. Wszyscy ludzie zdrowi pieszo.

- Generale, którego konia rezerwuje pan dla siebie? - pyta ordynans.

-Wszyscy idą pieszo, do diabła, a ja pierwszy, nie zrozumiał pan rozkazu?

Maszeruje na czele. Oddał swój powóz do dyspozycji Monge'a, Bertholleta i matematyka Gostaza, którzy chorują. Po ulicach Hajfy, po placu Tanturah w Jaffie snują się ranni i zarażeni dżumą. Składa się ich na ziemi i zostawia. Niektórzy proszą, aby skrócić im cierpienia.

Napoleon po ponownych odwiedzinach w szpitalu w Jaffie podchodzi do doktora Desgenettes'a. Długo mu się przygląda. Kilkudziesięciu chorych nie nadaje się do transportu.

- Opium - mówi krótko.

Desgenettes wzdyga się.

-Moim obowiązkiem jest ich ratować - mówi. Nie poda trucizny swoim chorym.

- Nie będę próbował przewyciężyć pańskiej odrazy - odpowiada Napoleon. - Ale moim obowiązkiem jest ratować armię.

Odchodzi. Znajdzie ludzi, którzy podadzą opium zadżumionym.

-Gdybym miał dżumę... - zaczyna.

Chciałby, aby w takim wypadku również jemu wyświadczono tę przysługę.

Znowu maszeruje na czele, podczas gdy saperzy wysadzają fortyfikacje Jaffy.

Trzeba iść do przodu, słuchając odgłosów strzałów: to chorzy żołnierze popełniają samobójstwo albo są na własną prośbę zabijani przez swoich towarzyszy.

Cały teren jest pod ogniem. Kolumna dostaje się pod ostrzał okrętów angielskich, nekają ją Beduini.

W końcu, 9 czerwca, po przejściu przez pustynię Synaj docierają do Salahieh.

Napoleon wie, że wojsko narzeka. Co to za armia, która ma wątpliwości i się buntuje? Trzeba wziąć żołnierzy w karby. Czuje się oficerem do szpiku kości. „Warcholów" należy skazać - pisze -w razie potrzeby nawet na karę śmierci, jeśli złamanie dyscypliny nastąpiło podczas forsownego marszu albo pod ogniem.

17 czerwca 1799 roku wkracza do Kairu bramą Zwycięstwa, *Bab el Naser*. Wydał rozkazy komendantowi garnizonu, generałowi Du-gua, aby przyjęcie było triumfalne. Ziemię usłano liśćmi palmowymi. Gra muzyka, tłoczy się gawiedź. Pochód otwierają sztandary zdobyte na wrogu.

Napoleon po przybyciu na plac Ezbekieh usadowił się w środku i ogląda defiladę tych ludzi o marsowym wyglądzie, z których każdy przy swoim sztandarze niesie palmową gałązkę.

Twierdza w Akce, krzyki rozstrzeliwanych w Jaffie, skargi za-

dżumionych, wszystko to znika w przeszłości, która teraz wydaje się daleka.

Żyje. Powraca jako zwycięzca. Przyszłość jest przed nim.

Kieruje się do pałacu. Na schodach czeka na niego Pauline Fourès.

Rozdział 35

Znów słyszy ujadanie psów. Wstaje. Pauline Fourès, jego Bellilotte, śpi. Podchodzi do okna. Widzi minarety. Czy możliwe, żeby jeszcze długo tu został, teraz, gdy już wie, że nie pomaszeruje na Stambuł ani w kierunku Indii?

Schodzi po marmurowych schodach, przesuwa dłonią po asuańskim granicie. Musi opuścić to miasto, gdzie teraz czuje się schwytny w pułapkę deja vu.

Psy znowu ujadają w kairskie noce. Należałoby je ponownie spędzić na jeden plac i pozabijać. A po kilku tygodniach pojawiłyby się na nowo, przebiegając stadami ulice i wyjąc tak, że głowa może pęknąć.

Trzeba stąd wyjechać, wrócić do Francji, do Europy.

Tej nocy, 21 czerwca, zaczyna więc pisać do admirała Ganteaume'a, aby otrzymał w gotowości do odpłynięcia dwie fregaty znajdujące się na redzie w Aleksandrii, *Muiron* i *Carrère*.

Muiron, którego śmierć na moście w Arcole ocaliła mu życie. Tak już jest, jedni padają, inni maszerują dalej.

Wraca do sypialni. Pauline Fourès nawet się nie poruszyła.

Wyjechać? Ale kiedy?

Trzeba się przyczytać. Wie, że musi wykorzystać odpowiedni moment, skoczyć naprzód i nie pozwolić się zatrzymać. Okazja nadejdzie, jest tego pewien, ponieważ znów musi dokonać wyboru między życiem a śmiercią. A życie pulsuje w nim tak mocno, że to ono musi zwyciężyć.

Może stojąc pod murami Akki, tam, gdzie rozwiały się jego marzenia, nie pragnął dostatecznie mocno? Albo wyobraźnia zaprowadziła go zbyt daleko?

To „kompas jego rozumu" musi przewodzić. Nie wolno okazywać niecierpliwości, przeciwnie, powinien zachowywać się w tym kraju tak, jakby spodziewał się pozostać tu na zawsze. Musi maskować swoje intencje, zostawić swym następcom zdobyty kraj w jak największym porządku.

Pojawia się przed dostojnikami Dywanu. Jest arogancki, jego słowa tchną pewnością siebie.

- Dowiedziałem się, że wrogowie rozpowszechniają pogłoski o mojej śmierci - mówi. - Przyjrzyjcie się dobrze i upewnijcie sami, czy jestem prawdziwym Bonaparte... Wy, członkowie Dywanu, sami wydajcie mi hipokrytów i buntowników. Bóg dał mi straszliwą potęgę. Czekają ich surowa kara! Mój miecz jest długi i nie wie, co to słabość!

Trzeba więc będzie w dalszym ciągu zabijać. Tak już jest.

23 czerwca Napoleon przyjmuje dowodzącego cytadelą generała Dugua. Co zrobić z więźniami, dla których brakuje miejsca? Trzeba oszczędzać naboje i dokonywać egzekucji bez hałasu, radzi Napoleon.

Dugua waha się chwilę, potem mówi:

- Proponuję, generale, odwołać się do usług kata.

- Zgoda - odpowiada Napoleon.

Śmierć potrzebna, aby rządzić miastem.

Katami są Egipcjanie albo Grecy. Sami muzułmanie topią prostytutki w Nilu, stosując wobec nich prawo islamskie, które potępia stosunki pomiędzy muzułmanką a niewiernym. Francuzi nie powinni im tego zabraniać. Szerzą się bowiem choroby weneryczne. Trzeba wziąć armię w garść, zreorganizować i ochraniać, gdyż dyscyplina ulega rozprzężeniu nawet na szczycie hierarchii.

Kleber kpi sobie z niego. Napoleon długo przygląda się narysowanym przez Klebera karykaturom, które położono mu na stole. Ten chudy człowieczek, który wygląda na nawiedzonego i chorego, to on, tak go widzi Kleber.

Armia jest znużona, zaczynają przeciw niemu szemrać.

29 czerwca, na pierwszym zebraniu Instytutu Egipskiego, wsta-

je rozwścieczony doktor Desgenettes, mówi o „najemnych pochlebcach orientalnego despoty” i oskarża Napoleona o to, że chce z dzumy uczynić przyczynę niepowodzenia kampanii syryjskiej, to znaczy faktycznie obarczyć lekarza odpowiedzialnością za porażkę.

Nie odpowiadać, czekać, aż Desgenettes się uspokoi i powie na koniec: „Wiem, panowie, wiem, generale, że jest pan tutaj kimś innym niż członkowie Instytutu i że chciałby pan być wszędzie wodzem. Wiem, że dałem się ponieść emocjom i powiedziałem rzeczy, które będą rozbrzmiewały daleko stąd; lecz nie wycofuję z tego ani słowa... Uciekam się do wdzięczności armii”.

Każdy mijający dzień mocniej to potwierdza: trzeba opuścić Egipt, lecz potrzebne jest jakieś olśniewające zwycięstwo, gdyż w przeciwnym razie jego wyjazd, bez względu na wysiłki, jakie podjął dla ustabilizowania sytuacji w tym kraju, będzie wyglądał na ucieczkę pokonanego.

Początkowo szuka tego zwycięstwa na południu i lokuje swoją kwaterę główną u stóp piramid, aby przygotować się do walki z wciąż nieuchwytnym Murad-bejem.

Każdego dnia w okrutnym upale maszeruje w słońcu, zmusza się do czekania, aż patrole odnajdą obozowisko Murad-beja albo zauważą jego sygnały, ponieważ nocami porozumiewa się on podobno ze swoją żoną, która została w Kairze.

15 lipca grupa kawalerzystów z twarzami poparzonymi od piasku przynosi nowinę: w Abukirze flota angielsko-turecka wysadziła na ląd wojsko, wiele tysięcy ludzi.

Nie warto słuchać dalej. Oto znak, oto właściwy moment.

Napoleon dyktuje rozkazy. To bitwa, na którą czekał. Trzeba posuwać się forsownym marszem, zebrać się w Ramanieh, później dotrzeć do Abukiru, gdzie Turcy wzdłuż wybrzeża porobili umocnienia.

Trzeba jednym gestem ręki odsunąć od siebie rozsądne rady, uciszyć oficerów, którzy proszą, aby czekać na przybycie dywizji Klebera.

W nocy 24 lipca Napoleon przywołuje Murata. Oto plan ataku: trzeba natrzeć i zepchnąć Turków do morza. Napoleon nie ma żad-

nych wątpliwości. Tak właśnie należy postąpić. Bierze Murata pod ramię, wyprowadza go poza namiot. Noc jest jasna. Na niebie wstaje już świt.

-Ta bitwa zadecyduje o losach świata - stwierdza górnolotnie Napoleon.

Dostrzega zdziwienie Murata, który mówi:

- A przynajmniej o losach armii.
- O losach świata - powtarza Napoleon.

Wie, że nie będzie mógł opuścić Egiptu, jeśli nie zostanie opromieniony blaskiem zwycięstwa, które zatrze wszystkie krwawe i wątpliwe epizody, pozostawiając w pamięci tylko wspomnienia pełne chwały.

Murat szarżuje o świcie 25 lipca i spycha Turków do morza. Tysiące ciał zabarwiają morze krwią, to samo morze, w którym przed rokiem zginęło tylu francuskich marynarzy.

Kiedy nadsięga Kleber, bitwa jest zakończona, a Murat zostaje awansowany do rangi generała dywizji.

- To jedna z piękniejszych bitew, jakie widziałem - podsumowuje Napoleon - i jedno z najokropniejszych widowisk.

Potęźnie zbudowany, pełen rezerwy, sarkastyczny i wrogo usposobiony Kleber podchodzi do Napoleona. Jednak to Napoleon dominuje. Kleber otwiera ramiona.

- Generale, jest pan wielki jak świat - mówi - i świat nie jest dość wielki dla pana.

Napoleon pozwala się uścisnąć.

Jest 2 sierpnia. Ostatni żołnierze tureccy, którzy bronili się w forcie w Abukirze, poddali się po południu, ubrani w łachmany, trzęsący się, głodni i ranni. Napoleon rozkazał nakarmić ich i opatrzyć. Później wysłał dwóch oficerów na pokład *Tygrysa*, okrętu komodora Sidneya Smitha - znowu tego samego, wciąż tego samego - aby negocjować wymianę jeńców.

Jest dziesiąta wieczór. Napoleon się kładzie. Z daleka dochodzi rytmiczny odgłos przyływania i odpływania fal. Po jakimś czasie budzi się nerwowo. Jeden z adiutantów wchodzi do namiotu i anonsuje, że jest z nim sekretarz Sidneya Smitha, który w imieniu komodora pragnie się spotkać z Napoleonem.

Napoleon siada na brzegu łóżka polowego, patrzy, jak Anglik się zbliża. Wysoki mężczyzna z szacunkiem wręcza pakiet gazet, które sir Smith chciał przekazać głównodowodzącemu, między innymi frankfurckie i londyńskie. Napoleon zaczyna czytać, nie skrępowany obecnością Anglika. Najpóźniejsze egzemplarze mają datę 10 czerwca. Napoleon już od miesiąca nie miał wiadomości.

Słowa, nazwiska sprawiają ból. Porażki francuskie we Włoszech z marszałkiem Suworowem: Rosjanie! W Niemczech porażki z arcyksięciem Karolem. Tym samym, którego pokonał. Wszystkie podbite kraje stracone. Podzielony Dyrektoriat brnie od kryzysu do kryzysu.

A ja jestem tutaj, niezdolny do naprawienia sytuacji, do skorzystania z niej, do skorzystania z momentu, gdy wszystko jest możliwe, kiedy ten owoc jest nareszcie dojrzały.

Inni mają możliwości działania.

Wypytuje Anglika, który potwierdza nowiny i daje do zrozumienia, że Sidney Smith życzy sobie widzieć Francuzów opuszczających Egipt i że może rozpocząć negocjacje na ten temat.

Napoleon odprowadza go aż do łodzi, potem różnym krokiem powraca do swego namiotu i ponownie przegląda gazety. Dyrektorzy stracili wszystko to, co on zdobył. Niepotrzebne zwycięstwa i niepotrzebne ofiary.

Rzuca gazety na ziemię.

- Nędznicy, czy to możliwe! Biedna Francja! Co oni zrobili! - wykrzykuje. - Co za niedorajdy!

Już nie potrafi zasnąć. Trzeba szybko wyjechać z Egiptu.

15 sierpnia 1799 roku to dzień jego trzydziestych urodzin. Skończył się pewien etap jego życia. Naprzeciwko niego siedzi Pauline Fourès, gadatliwa, beztroska, w bluzie huzara i wysokich butach, jej długie blond włosy są rozpuszczone.

Ona nic nie wie. Najlepiej, aby nikt z wyjątkiem kilku osób, które będą mu towarzyszyć, nie domyślał się jego wyjazdu.

Udaje, że jej słucha. Bellilotte mówi o przyszłości. Kiedy on się zdecyduje na rozwód? Ona jest wolna. Obiecał jej albo dał do zrozumienia, że ją poślubi. Mówi to wesoło, bez gniewu. On kręci głową. „Moja kochanka to władza. Moja jedyna miłość, jedyna

kochanka to Francja. Ja z nią sypiam". I przyrzeka sobie po cichu: zostać tym, kim zechce być. Osiągnąć wszystko, do czego będzie czuł, że jest zdolny.

Lecz w tym celu musi udawać, musi grać, aby nikt nie odgadł, że myślami jest już daleko, gdzie indziej, we Francji, w Paryżu i narzuca swą wolę tym wszystkim bezsilnym gadułom, nieudolnym i skorumpowanym członkom Dyrektoriatu.

Jak zwykle udaje się na spotkanie z dostojnikami Dywanu. Wita ich jak muzułmanin. Odmawia z nimi modlitwę. Mówi: „Czyż jest prawdą, że w waszych księgach jest napisane, iż z Zachodu przybędzie wyższa istota z zadaniem kontynuowania dzieła Proroka? Czyż to nie prawda, że jest także napisane, iż ten człowiek, ten wysłannik Mahometa, to ja?”.

Nie mają odwagi protestować. Zwycięstwo, jakie niedawno odniósł, zdumiało ich i przytłoczyło. Poddali się.

Napoleon zamyka się w swoim pałacu, zaczyna redagować instrukcje, dla Klebera, którego wybrał na swojego następcę. Pisze bez wypoczynku przez wiele godzin, objaśniając środki, za pomocą których należy rządzić w Egipcie. Lecz jeśli sytuacja stanie się krytyczna z powodu dżumy albo braku posiłków przysłanych z Francji, „Będzie pan upoważniony do zawarcia pokoju z Porta Otomańską, zasadniczym warunkiem powinna być jednak ewakuacja Egiptu”.

Odkłada pióro. Egipt już go nie obchodzi.

Często podczas dyktowania rozkazów zapowiada, że wybiera się w deltę Nilu na inspekcję. Kto z nim pojedzie? Potrzebuje tylko ludzi pewnych, oddanych ciałem i duszą. To właśnie jest niezbędne dla wodza. Więc jego adiutanci, jego straż przyboczna. „Trzystu ludzi elity - myśli - to ogromna rzecz”. Bourrienne, zaufany i dobry sekretarz, będzie mu towarzyszył wraz z generałami Berthierem, niezastąpionym szefem sztabu, Muratem, Marmontem, Andréossym, Bessières'em. Są młodzi, zapalczywi, wierni. To wierność liczy się przede wszystkim. Myśli o Rustanie Razie, mameluku, którego sułtan El Bekri podarował mu w zamian za kampanię syryjską i który od tamtej pory okazywał niewolnicze przy-

wiązanie i oddanie. Wodzowi potrzeba człowieka tego pokroju, który wszystko wie, może widzieć i słyszeć rzeczy najbardziej intymne i potrafi milczeć. Rustan pojedzie. Podobnie jak Monge i Berthollet, Vivant Denon, którzy wykazali odwagę i wierność i którzy zaświadczą przed Instytutem o dokonanych odkryciach.

Więcej nikt.

Wchodzi Pauline Fourès. Niczego się nie domyśla. I on nic jej nie mówi. Była chwilą w jego życiu. Był dla niej hojny i będzie znowu, jeśli się kiedyś spotkają. Ale tu chodzi o jego los, który jest na inną miarę niż los pozostałych ludzi. Nie wolno mu teraz okazać słabości.

Wreszcie 17 sierpnia po południu przybywa kurier admirała Ganteaume'a. Flota angielska opuściła wybrzeża Egiptu niewątpliwie po to, aby zaopatrzyć się w wodę na Cyprze. Przez kilka dni możliwe jest opuszczenie portu w Aleksandrii.

Nie czekać. Zdecydować od razu. Zawiadomić tych, którzy biorą udział w podróży. Wydać rozkazy.

Podchodzi do Pauline Fourès, obejmuje ją, daje jej tysiąc ludwików i zaraz szybko odchodzi. Jedzie na koniu do Buolaą, a stamtąd do Aleksandrii i na plaży oczekuje zapadnięcia nocy.

Ma trzydzieści lat. Oto na nowo otwiera się przed nim przyszłość. Wszystko jest możliwe. Katastrofa morska. Przechwycenie przez angielski krążownik. Skazanie przez dyrektorów pod zarzutem dezercji. Byliby do tego zdolni. Albo może po prostu przybyć za późno, gdy ktoś - Bernadotte, Moreau, Sieyès albo Barras - zdola już schwytać dojrzały owoc, odciąć ciosem szabli szypułkę tego słodkiego owocu, jakim jest władza.

Patrzy na morze wśród zapadającej nocy. Na czerwonym horyzoncie rysują się maszty dwóch fregat i dwóch patrolowców.

Podchodzi generał Menou. Przekáže on instrukcje Kleberowi, który został wprawdzie wezwany, ale Napoleon odpłynie jeszcze tej nocy, zanim Kleber zdąży nadjechać.

Napoleon bierze pod ramię Menou, szybko idzie wzdłuż plaży. Okrągły mężczyzna, zaspany, nie może nic wtrącić.

- Dyrektoriat stracił wszystko to, co zdobyliśmy, wie pan, Menou - zaczyna Napoleon. - Wszystko jest zagrożone. Francja jest teraz między wojną zewnętrzną a 'wojną domową. Jest pokonana,

upokarzana, bliska zguby. - Przystaje z twarzą zwróconą ku morzu. - Muszę zdobyć się na ryzyko morskiej podróży i jechać ją ratować - dodaje. Znowu zaczyna maszerować. - Gdy się pojawię, biada gadułom na mównicy, koniec z szachrajstwami różnych koterii.

Wszystkim wymierzy sprawiedliwość.

- Tutaj - wskazuje w głąb kraju i dalekie miasto Aleksandrię - moja obecność nie jest konieczna, Kleber może mnie we wszystkim zastąpić.

Wręcza Menou instrukcje i ściska go.

Ciemność gwałtownie pograżyła ludzi i okręty. Nie ma księżyca. Pomimo ryzyka, że zostaną dostrzeżeni, muszą rozpalić ogniska, aby wskazać drogę szalupom, które w końcu docierają na plażę. Morze jest gładkie, okręty nieruchome jakby zostały schwytane w czarny lep.

23 sierpnia o świcie do fregaty *Muiron* przybija mała szalupa. Na pokład wspina się mężczyzna. To członek Instytutu, Parseval Grandmaison, który domyślił się, jaki jest cel podróży kolegów, i błaga, aby go zabrano.

Napoleon długo patrzy na usilnie proszącego człowieka. Sforsował bramy. To zasługuje na nagrodę. Przyjmuje go na pokład.

O ósmej rano z pierwszą bryzą podnoszą żagle i oddalają się od brzegów Egiptu, które stają się jedynie brązową linią, ginącą z pola widzenia.

Napoleon już nie odczuwa niecierpliwości. Siada na podstawie działa. O kilka kabli z tyłu za *Muironem* płynie fregata *Carrère*. Przed obiema fregatami, służąc im za zwiadowców, płyną zygzakami dwa patrolowce.

Przez długi czas nie było wiatru. Napoleon był najspokojniejszy ze wszystkich na pokładzie. Powtarzał: „Bądźcie spokojni, przejdziemy”.

Żagle się wypełniły. Admirał Ganteaume przybył, aby objaśnić trasę. Będą płynąć wzdłuż brzegów Afryki, później skręcą i popłyną wzdłuż Korsyki.

- Dowodzę pod pańską gwiazdą - powiedział.

Niedługo później podchodzi Berthollet. Mówi o niepokoju niektórych pasażerów.

- Kto się boi o swe życie - mówi Napoleon - na pewno je straci. Trzeba umieć jednocześnie zdobywać się na odwagę i kalkulować, a co do reszty zdać się na fortunę.

Wstaje, idzie na pokład.

Od kilku tygodni jest w rękach fortuny. Nic nie może zrobić, teraz, gdy już zdecydował.

- Przyszłość jest godna pogardy - zwraca się do Bertholleta, który poszedł za nim. - Powinno się myśleć tylko o terażniejszości.

Terażniejszość to dni żeglugi jeden po drugim, wiatr, który słabnie bądź się wzmacnia, żagle, które zdają się pojawiać na horyzoncie i znikają, książki, które się czyta.

Słucha jednego z adiutantów, któremu kazał po obiedzie czytać na głos *Żywoły sławnych mężów*. Uwielbia Plutarcha, narratora, który potrafi ożywić swe opowiadanie. Uwielbia te dni, gdy można pozwolić umysłowi bujać swobodnie, ponieważ jest to jedyna możliwość działania, gdy wiatr, morze i fortuna decydują o wszystkim.

- Nic nie można zdziałać wbrew naturze rzeczy. Dzieci się upierają. Wielki człowiek nie. Czym jest ludzkie życie? Torem wystrzelonego pocisku - mówi.

- Kto ładuje, kto celuje, kto przykłada ogień do lontu? - pyta Berthollet.

Napoleon chodzi wielkimi krokami. Przychodzą mu do głowy różne słowa. Czy wyrażają one jego myśl, czy tylko bawi się nimi? Mówi to, co czuje, a jednak w każdej chwili swego życia dokonywał wyborów. Odpowiada jednak Bertholletowi:

- Wyższa siła popycha mnie do celu, którego nie znam; póki nie zostanie on osiągnięty, będę odporny na ciosy i niezwyknięty, kiedy zaś przestanę już być jej potrzebny, wystarczy mucha, aby mnie powalić.

Ale po co to mówić Bertholletowi albo Monge'owi? Przecież ci uczeni tak samo jak on doświadczają uczucia, że podtrzymuje ich jakaś siła, też mają jakieś przeczucia, pewność, której nie można niczym wyjaśnić.

Wie, że Anglicy go nie schwytają. Wie, że Francja jest zmęczona

wojną między jakobinami i emigrantami, że pragnie pokoju wewnętrznego i czeka na człowieka, który go jej przyniesie.

Być może ten człowiek jest już na miejscu?

To jego jedyna troska.

30 września obserwuje w zachodzącym słońcu ukształtowanie brzegu Korsyki, później dochodzi go zapach makii i wkrótce ukazuje się cytadela oraz domy Ajaccio.

1 października *Muiron* rzuca kotwicę i niebawem ze wszystkich stron zjawiają się łódki.

Skąd wiedzieli?

Krzyczą, wiwatują. Nikt nie zwraca uwagi na konieczność kwarentanny. Chcą zobaczyć, dotknąć Napoleona. Ściskają go. Wśród tłumu, który ciśnie się wokół niego, dostrzega swą piastunkę Camille Ilari, staruszkę, którą zaraz przyciska do siebie. Obejmuje w ten sposób swoje dzieciństwo, tak bliskie i tak już dalekie. Dowiaduje się, że Ludwik, którego wysłał do Francji w 1798 roku, przejeżdżał przez Ajaccio, a później dotarł na kontynent wraz z ich matką.

Napoleon udaje się do wiejskiego domu w Milelli. Odnajduje w swej pamięci każdy szczegół, a jednak nie doświadcza emocji. Ten świat został daleko za nim jak scena, z której już zszedł i która już go nie obchodzi. Tymczasem wszyscy go tu otaczają interesownymi grzecznościami.

- Co za nuda - wzdycha. - Krewni mi spadają jak deszcz.

Żąda ostatnich gazet, jakie dotarły z Francji. Czyta chciwie nowiny, ocenia, że sytuacja wojskowa się poprawiła, że Masséna - „jego” Masséna - odniósł zwycięstwa we Włoszech, że generał Brune broni się w Republice Batawskiej, ale w Paryżu, gdzie Sieyès prowadzi grę, pogłębia się kryzys polityczny.

Trzeba opuścić Korsykę, przybyć tam na czas.

7 października w końcu zrywa się wiatr, można podnosić kotwicę.

Napoleon stoi na dziobie aż do chwili, gdy pojawia się wybrzeże Francji. To najbardziej niebezpieczny moment podróży. Wzdłuż wybrzeży krąży eskadra angielska. Na morzu w pobliżu

Tulonu widzą żagle, które na szczęście się oddalają. 9 października rano wchodzą do zatoki Saint-Raphael. Cytadela we Frejus otwiera ogień na widok nieznanej flotyli.

Napoleon widzi z dziobu tłum, który pędzi po nabrzeżach, potem rzuca się do łodzi i wiosłuje w kierunku fregat, krzyząc: „Bonaparte!” Admirał Ganteaume podchodzi do niego w chwili, gdy tłum wdziera się już na *Muirona*.

- Zawiozłem pana tam, gdzie wzywa pana przeznaczenie -zauważa admirał.

Ramiona rodaków podnoszą Napoleona, niosą go triumfalnie.

-Jest tutaj! Jest tutaj! - krzyczą.

Schodzi z fregaty. Na nabrzeżu tworzy się orszak. Kto by myślał o kwarantannie, o niebezpieczeństwie zarazy?

Przygotowują powóz.

Dotarł tutaj, więc znaczy to, że Fortuna go ochraniała.

Kto mógłby mnie powstrzymać?

CZEŚĆ DZIEWIĄTA

ZA MNA!
JESTEM BOGIEM DNIA

9 PAŹDZIERNIKA 1799 - 11 LISTOPADA 1799
(20 BRUMAIRE'A VIII ROKU REPUBLIKI)

Rozdział 36

Minęło siedemnaście miesięcy, odkąd wyjechał z Francji! Wtedy była wiosna, maj 1798 roku, a teraz jest jesień. Błotniste nurty wypełniają łożysko rzeki Durance. Pogoda jest burzowa, ulewy są tak wielkie, że trzeba czasami zatrzymywać konie.

Wtedy jechał w stronę Tulonu, u jego boku Józefina, darząca go wszelkimi oznakami przywiązania. Mówiła, że gotowa jest jechać z nim do Egiptu.

Teraz już wie, jak było z nią, z kapitanem Charles'em, z innymi kochankami.

W każdym mieście powozy Napoleona otacza tłum i krzyczy: „Niech żyje republika! Niech żyje Bonaparte!” Kiedy jednak wrzawa cichnie i Napoleon pozostaje sam na sam ze swoimi myślami, wściekłość i gorycz ogarniają go na nowo.

Gdyby nawet nie chciał pamiętać, to wystarczyłoby popatrzeć na siedzącego naprzeciwko Eugeniusza de Beauharnais, aby sobie przypomnieć.

W Awinionie lud otacza powozy. Chce uczcić Bonapartego, zwycięzcę i człowieka pokoju. Napoleon mówi parę słów: „Nie należę do żadnego stronnictwa, jestem z wielkiego stronnictwa ludu francuskiego”. Wiwatują na jego cześć. Na cześć zwycięstwa pod Abukirem. Nowina dotarła więc aż tutaj i, jak przewidywał, ludzie będą pamiętać tylko tyle. Wzrokiem śledzi Murata - ogorzały paraduje z przypasana szablą i opowiada o swojej szarzy zebranych wokół oficerom garnizonu. Mameluk Rustan znalazł się w centrum zainteresowania, każdy zadaje mu pytania,

chce dotknąć jego munduru. Kiedy wreszcie udaje mu się precyzyjnie przez otaczający go tłum w pobliżu Napoleona, mówi, że wozy z bagażami zostały obrabowane w pobliżu Aix i są unieruchomione. Powtarza: „Francuscy Beduini napadli. Francuscy Be-duini”.

Słyszając te słowa, tłum ryczy. Rabusie napadają na podróżnych, okradają cywilizację. Trzeba przywrócić spokój i porządek. „Dyrektoriat też nas okrada!” - krzyczy ktoś. „Wszędzie złodzieje, wszędzie!” - krzyczą.

Napoleon podchodzi do uskarżających się notabli, którym pochlebia jego uwaga dla ich spraw. Czy generał Bonaparte wie, że Dyrektoriat chce zadekretować przymusową pożyczkę, aby okraść uczciwych ludzi, tych, którzy cokolwiek posiadają? A jeszcze są szuani, którzy wciąż okupują część Wandei, zagrażają Nantes. Kto może zagwarantować, że emigranci nie wrócą i nie zażądadzą zwrotu ziem, które były sprzedawane jako dobra narodowe i które kupiliśmy? Trzeba zachować republikę - mówią.

- Należę do narodu - oświadcza Napoleon, wsiadając do powozu. Ze stopni rzuca jeszcze: - Nie potrzeba partii, nie ścierpię żadnej z nich. Niech żyje naród!

Okrzyki „Niech żyje republika! Niech żyje Bonaparte!” towarzyszą mu wzdłuż ulic Awinionu, także później słyszy je w miasteczkach doliny Rodanu.

Zbliżając się do Lyonu, widzi w oknach wszystkich domów trójkolorowe chorągiewki. Poczmistrze na postojach także przystroili się w te same kolory.

To dla niego.

W Lyonie wszystkie domy są iluminowane i udekorowane flagami. Strzelają na wiwat z karabinów. Tłum jest tak gęsty, że powozy muszą jechać bardzo wolno. Przed drzwiami hôtelu spostrzega grenadierów, a na podjeździe braci, Ludwika i Józefa. Ze wszystkich stron krzyczą: „Niech żyje Bonaparte, który przyjeżdża ocalić ojczyznę!”

Wita tłum powściągliwie. Czuje, że unosząca go fala jest potężna i głęboka, ale powinien wystrzegać się wszelkiej przesady i niecierpliwości. Wie dobrze, czego chce: dojść do władzy. Jest wart

więcej niż ci, którzy ją sobie wrywają. Ma trzydzieści lat. Dowodził dziesiątkami tysięcy ludzi. Wraz z nimi stawiał czoło śmierci. Obali wszelkie przeszkody. Ale konieczna jest rozwaga. Barrasowie i Sieyèsowie są zręczni i chytry.

Zamyka się z Józefem.

Napoleon chciałby najpierw omówić sytuację w Paryżu, plany różnych ugrupowań. Ale na usta cisną mu się inne pytania:

-Józefina, Józefina... - powtarza.

Józef zaczyna mówić z początku stłumionym głosem, później się unosi. Nie przekazuje już Józefinie czterdziestu tysięcy franków renty, którą Napoleon polecił jej wypłacać. Ona ośmieszyła nazwisko Bonapartych. Mieszkała z kapitanem Charles'em w posiadłości w Malmaison, którą kupiła. Dalej spotykała się z Bar-rasem. Widziano ją u Gohiera, przewodniczącego Dyrektoriatu. Którego z ludzi władzy nie uważano już za jej kochanka? Tonie w długach. Popierała Charles'a w jego szwindlach z zaopatrzeniem armii.

-Nasza matka... - ciągnie Józef.

Napoleon go powstrzymuje. Może sobie wyobrazić odczucia matki i sióstr. Mówi, że weźmie rozwód. I słowo to z trudem przechodzi mu przez usta. Powtarza je. Zadaje sobie ból. Zmienił się, a jednak z każdym obrotem kół od Frejus więcej myślał o ciele swej żony, o jej zapachu. Chciałby ją podporządkować jak fortecę, która długo się broniła, lecz w końcu musi ulec i przyjąć jego warunki. Dzięki tej swojej sile stał się człowiekiem, na którego cześć wznoszą okrzyki. Podchodzi do okna, widzi oddalające się powozy. Wzywa adiutanta. Generał Marbot, który jedzie objąć dowództwo we Włoszech, wcześniej zarezerwował dla siebie te pokoje, które hôtełarz oddał do dyspozycji Bonapartemu.

Nigdy nikogo nie lekceważyć. Człowiek upokorzony, a nawet tylko urażony, może stać się wrogiem. Napoleon wydaje rozkazy. Wybierz się do hotelu, gdzie zatrzymał się Marbot, aby się z nim przywitać i przeprosić. W rozgrywanej przez niego partii każdy mężczyzna może stać się figurą decydującą.

I każda kobieta.

Myśli o Józefinie. Czy może sobie z niej teraz zrobić wroga?

Wyjechali z Lyonu i pomimo wczesnej godziny entuzjastyczny tłum na nowo wiwatował przed hotelem: „Niech żyje Bonaparte, zbawca ojczyzny!”.

Napoleon chciał pozostać w karecie sam z Józefem. Niech już nie rozmawiają o Józefinie. Patrzy na krajobraz gór Forez przysłoniętych mgłą. Karetą pojedzie drogą przez Bourbonnais, węższą i mniej pewną, ale pozwalającą szybciej dotrzeć do Paryża.

Trzeba bowiem działać szybko. Od czasu powrotu z Włoch nigdy nie wątpił, że pewnego dnia dojdzie do władzy w Paryżu. Teraz jednak te krzyki i zbiorowy entuzjazm przemieniają to, co było jedynie przecuciem, w rzeczywistość, którą należy zorganizować i w której musi się poruszać.

Pochyla się ku Józefowi. Wypytuje go.

- Najbardziej liczy się jeden człowiek - informuje go Józef - Sieyès.

Napoleon przypomina sobie tego mężczyznę koło pięćdziesiątki, byłego księdza, zdeterminowanego i roztropnego. W 1789 roku napisał broszurę *Czym jest trzeci stan?*, która nadała kierunek wydarzeniom. Późniejszy okres Konwentu i Terroru, jak sam to określił: „przeżył”. Józef wyjaśnia, że Sieyès rozmawiał z icli bratem Lucjanem, wybranym z Korsyki do Rady Pięciuset. Sieyès chce reformy, wzmocnienia władzy wykonawczej w stosunku do obu Rad: Pięciuset i Starszych. Szukał generała, który mógłby to narzucić. Lucjan uczestniczył we wszystkich pertraktacjach. Sieyès myślał o generale Joubertcie, ale ten został zabity w bitwie pod Novi. Generał Moreau okazał rezerwę. Czy Napoleon ma pojęcie, co powiedział Moreau na wieść o jego powrocie do Francji? I wypowiedział to zdanie w obecności Lucjana: „Oto pański człowiek, przeprowadzi zamach stanu lepiej ode mnie”.

- A Bernadotte? - pyta Napoleon.

- Wrogo nastawiony - ocenia Józef.

Ale Bernadotte jest mężem Désirée Clary. I być może to sprawi, że wykaże więcej zrozumienia. Można oczywiście liczyć na generała Leclerca, męża Pauliny. I wiele oddziałów przebywających w Paryżu składa się z dawnej armii Włoch. Lecz najważniejszym człowiekiem, podkreśla Józef, jest Sieyès. Co do ministra policji Fouchégo, to jest on inteligentny, jako seminarzysta i były kaz-

nodzieja. Jest republikaninem, królobójcą i terrorystą, który brał udział w zmasakrowaniu rojalistów w Lyonie za pomocą dział. Jego zastępca Real to dawny jakobin, jest blisko Lucjana. Kieruje policją kryminalną.

Napoleon słucha. Nie wolno mu popełnić żadnego błędu. Przypomina sobie Fouchégo, człowieka dwulicowego, tajemniczego, jego rude włosy i ciężkie powieki skrywające oczy. Napoleon korzystał z jego pomocy 13 vendémiaire'a, Fouché starał się w ten sposób powrócić do łask u Barrasa.

Należałoby uzyskać współdziałanie Barrasa. Tylko jak się przedstawiać jako zbawca ojczyzny, jeśli się wchodzi w aliansę z człowiekiem, który w oczach opinii jest wcieleniem korupcji? Już lepiej liczyć na trójkę księży. Sieyèsa, Foucliego i Talleyranda.

- Gohier - mruczy Napoleon.

- Adwokat, pięćdziesiąt lat, bojaźliwy - mówi Józef - ale jest urzędującym przewodniczącym Dyrektoriatu.

Józef wzdycha i dorzuca, że państwo Gohier utrzymują bliskie stosunki z Józefiną, która często u nich bywa. Znowu Józefina.

Nie ma jej w domu, kiedy o szóstej rano 16 października 1799 roku Napoleon wchodzi do rezydencji przy ulicy Victoire.

Podchodzi jego matka, pełna powagi, potem siostry, Lucjan. Czekają. Nie ma potrzeby ich pytać. Od pierwszych słów ją potępiają: jest niewierna, natrętna, nieobecna. Gdzie jest? Mówią, że niechętnie wyjeżdżała z Paryża na jego spotkanie. Józefowi i Ludwikowi udało się jakoś spotkać Napoleona, szydzą. A ona? Nie potrafiła znaleźć swojego męża!

Jechał drogą przez Bourbonnais, mruczy Napoleon.

Potem ogarnia go szal. Weźmie rozwód, niech spakują kufry Józefiny i niech je zaniósą do odźwiernego. Weźmie rozwód.

Chciałby odpocząć, ale jest zbyt napięty, a tu już zaczynają się wizyty. Pojawia się Collot, dostawca dla armii, którego Napoleon nie widział od czasu kampanii włoskiej. Oferuje swą pomoc. Kiedy mówi, słychać pierwsze odgłosy tłumu, który gromadzi się na ulicy Victoire, śpiewa *Marsylianke* i wznosi okrzyki na cześć Bonapartego.

Napoleon ledwie słucha Collota. Chciałby powrotu bez rozgłosu. Musi udawać skromność jeszcze przez jakiś czas. Nie odkryje swoich działań, póki nie będzie pewien wszystkich swoich pozycji. Dopiero wtedy otworzy piekielny ogień. Ale na razie niezbędne są powściągliwość i rozwaga.

Collot spostrzega kufry Józefiny.

- Chce ją pan zostawić? - pyta.

- Nie mamy już ze sobą nic wspólnego.

Napoleon natychmiast wyrzuca sobie tę odpowiedź, lecz jego żal okazał się silniejszy niż rezerwa, jaką należało okazać. Collot kręci głową.

Perswaduje.

- Nie należy teraz - mówi - zajmować się kłótniami domowymi. Ucierpiałaby na tym pańska wielkość, stałby się pan mężem z komedii Moliera.

To rozsądne słowa, Napoleon nie może zaprzeczyć. Otwierają one w nim drogę do pojednania z Józefiną.

- Ważne, aby nie zaczął pan od śmieszności - kończy Collot.

Napoleon nie chce się tak od razu poddać argumentom, które sam już zresztą wcześniej rozważał. Aby ukryć swoje wahanie, udaje gniew.

- Nie, wszystko postanowione - rzuca. - Ona już więcej nie postawi spodu w moim domu. Nieważne, co będą mówić!

Wychodzi, trzaskając drzwiami. Dobrze wie, że się okłamuje. Musi się liczyć z opinią. Mimo to, kiedy wraca do Collota, a ten dalej nalega, mówi, że pewien jest, iż w końcu generał wybaczy, Napoleon krzyczy:

- Gdybym nie był pewien, wyrwałbym to serce i wrzucił do ognia!

Nie chce już więcej o niej myśleć, lecz wie, że cokolwiek by powiedział, sprawa nie jest rozstrzygnięta. Józefina jest zbyt blisko centrum szachownicy, aby traktować ją jak niewierną żonę. Choć jest nią także. I jeszcze jest kobietą, której pragnie.

Oto zastępca Fouchégo, Real, prosi, aby go przyjąć. Przeważność. Obserwują go. Sondują. Fouché, twierdzi Real, gotów jest poprzeć projekt, który ocaliłby republikę od podwójnego niebezpieczeństwa, jakobińskiego i rojalistycznego. Jest ministrem policji.

Może wnieść znaczną pomoc finansową. Collot już przedtem ofiarował pięćset tysięcy franków.

Jeśli ci ludzie ryzykują własne pieniądze, to dlatego, że wierzą w mój sukces.

Nie można jednak tracić czasu. Napoleon zostaje przyjęty przez Gohiera, przewodniczącego Dyrektoriatu. A więc to u tego człowieka, tak pospolitego, sztywnego i bojaźliwego, Józefina spędzała wieczory. Ale on ma władzę. Trzeba go wywieść w pole.

- Nowiny, jakie docierały do nas w Egipcie, były tak alarmujące - oznajmia Napoleon - że nie zawahałem się opuścić mej armii, aby dzielić z wami niebezpieczeństwa...

- Generale - mówi Gohier - niebezpieczeństwa były wielkie. Ale wyszliśmy z nich chwalebnie. Przybył pan w samą porę, aby uczcić wraz z nami liczne triumfy pańskich towarzyszy broni...

A więc tak będą o tym mówili! Wysunął na pierwszy plan zwycięstwa generałów Moreau, Brune'a i Massény, którzy rozluźnili uchwyt kleszczy wroga. Nie będą jednak mogli, a przynajmniej nie od razu, uciszyć tłumu, który rankiem 17 października zbiera się na ulicy Victoire albo przed Pałacem Luksemburskim, kiedy Napoleon staje przed dyrektorami.

Napoleon postanowił wystąpić w cywilu, w zielonkawym surducie opinającym ciało i w wieńczącym ów dziwny strój cylindrze na głowie. U boku ma turecki bułat na jedwabnych rapciach.

Tłum wznosi wiwaty na jego cześć, podczas gdy on spuszcza głowę. Także przed dyrektorami zachowuje skromną postawę. Pokazuje swą broń.

- Obywatele dyrektorzy - mówi - przysięgam, że nigdy nie wyciągałem jej z pochwy w innym celu niż tylko w obronie republiki i jej rządu.

Patrzy na nich. Czy ośmielą się go potępić, zarzucić mu, że opuścił Egipt, słysząc ten tłum, który ciągle wykrzykuje jego imię? Dobrze wiedzą, że będą musieli znaleźć dla niego jakieś miejsce we władzach republiki. Przygląda się Barrasowi, Gohierowi, Moulinowi. Na nich nie może liczyć. Co najwyżej może sprawić, aby mu nie przeszkadzali. Dwaj pozostali, Sieyès i Roger Ducos, są sprzymierzeńcami i to z nimi trzeba prowadzić grę, choć na twarzy

Sieyès'a maluje się jednocześnie zarozumiałość i nieufność. On chce być panem gry.

Lucjan doniósł, co Sieyès powiedział swoim współpracownikom: „Miecz Bonapartego jest za długi”.

Trzeba więc go uspokoić. Albo stać się niezastąpionym. Bo na którego generała może liczyć Sieyès?

Gratuluja mu. Pięciu dyrektorów nie odważy się wystąpić przeciw niemu.

Wychodzi z Pałacu Luksemburskiego, okazując ostentacyjną wesołość i pewność siebie w obliczu tłumu. Wszyscy powinni wiedzieć, że władze nie miały mu nic do zarzucenia.

Wraca na ulicę Victoire. Musi tkąć swoje nitki. Przyjmuje tych, którzy zdecydowali się rozgrywać tę decydującą i niebezpieczną partię razem z nim.

Slucha Talleyranda. Oto człowiek, którego zmuszono do dymisji ze stanowiska ministra. I który marzy tylko o tym, aby na nie powrócić. „Jego interes jest więc najlepszą gwarancją”.

Razem z nim jest członek Instytutu Roederer, także inni, którzy przemawiają z żarliwą pasją. Napoleon obserwuje ich, jak powtarzają: „Generale, trzeba przejąć władzę”.

Tylko że to on zapłaci za te dobre rady, jeśli zbyt wcześnie wyskoczy z okopu.

Decyduje się więc zostać na ulicy Victoire, nie chce nawet przyjąć delegacji oficerów i żołnierzy, które przychodzą go powitać i długo czekają na ulicy, starając się go dojrzeć.

Przejąć władzę?

- Sądzi pan, że to możliwe do przeprowadzenia? - pyta nalegającego Roederera.

- To już w trzech czwartych zrobione.

Zamiast odpowiadać, popycha w kierunku Roederera „Le Mesager” z tego ranka, 20 października. Pojawiają się pierwsze oznaki kontraktaku jego przeciwników, może nawet jakobinów albo Bar-rasa.

„Bonaparte - donosi gazeta - wyjechał z Egiptu w takim pośpiechu i w sekrecie, aby uciec przed powszechnym buntem w armii”.

Roederer i Talleyrand się oburzają. Napoleon obserwuje ich bez

słowa. Musi działać, gdyż jeśli nie zdobędzie władzy, to go zniszczą. Sława szybko przygasa, a popularność zmienia się często w powszechne potępienie. Ale jeśli będzie działać, to musi wygrać. A w tym celu nie wolno zaniedbać niczego.

Miał więc rację, godząc się z Józefiną.

Wróciła w nocy. Odźwierny otworzył jej wbrew rozkazowi.

Napoleon słyszał ją. Natychmiast zamknął się w swoim pokoju. Przyszła zapukać do drzwi. Błagała go. I ten proszący głos go poruszył. Wreszcie znalazła się na jego łasce, tak jak tego tylekroć pragnął, ale nigdy mu się nie udawało.

Napoleon nie ustępuje. Pozwala jej płakać, wyznawać winy, prosić o łaskę. Choć się nie porusza, czuje, jak szaleje w nim burza, w której mieszają się interes z pożądaniem, a rozkosz zemsty z chłodną kalkulacją.

Józefina odeszła od drzwi i na myśl, że zrezygnowała, natychmiast doznał poczucia straty. Pożądał jej jeszcze bardziej. Jeszcze silniej uzmysłowił sobie, że jej potrzebuje.

Wyśledził jakieś hałasy. Ktoś schodzi ze schodów. Rozpoznał głosy Eugeniusza i Hortensji de Beauharnais, którzy błagają, aby wybaczył ich matce.

Ogarnia go wzruszenie. Kocha Eugeniusza. Dzielił z tym chłopcem niebezpieczeństwa i rozkosze Egiptu. Widział, jak na jego oczach stawał się on mężczyzną i żołnierzem. Ma do niego zaufanie. Czemu miałby w takiej chwili odrzucać poparcie całego klanu Beauharnais? Czy może sobie pozwolić na utratę części swej rodzinnej „armii”?

Zgadza się ustąpić nie Józefinie, lecz jej dzieciom.

Otwiera drzwi. Józefina spieszy ku niemu. Zaczęła pieścić jego twarz. On odnajduje znów ten zapach, to ciało tak smukłe, które przywiera do niego.

Kochał się z nią przez całą noc.

Stał się panem tej kobiety, może dlatego, że już nie kocha jej tak jak dawniej, błagalnie i na ślepo.

Widzi, jak ona się uśmiecha, kiedy nazajutrz wchodzi Lucjan, przekonany, że rozwód brata został już postanowiony. Napoleon

odciąga Lucjana. To nie jest odpowiedni moment, aby o tym mówić.

Lucjan nie nalega. Napoleon słucha tego dwudziestoczteroletniego chłopca, którego pasją jest polityka i który zdołał dzięki swemu nazwisku wyróżnić się w Radzie Pięciuset i zostać partnerem Sieyèsa.

- Sieyès - mówi nerwowo Lucjan - chce rządu mniejszego, złożonego z trzech konsulów zamiast pięciu dyrektorów. Spodziewa się, że uda mu się przenieść obie rady z Paryża do Saint-Cloud i nakłonić do przegłosowania reformy rządu. Czy mogę go zapewnić, że zgadzasz się zostać jednym z trzech konsulów?

- Nie, dalibóg, ani mi się waży.

Jest jeszcze za wcześnie. Później się zobaczy. Sieyès ma opinię zbyt umiarkowanego, a nawet reakcjonisty i zwolennika powrotu monarchii, może być powiązany z Orleanami.

- Nie chcę przybierać barw żadnej partii - powtarza Napoleon.

Prowadzi ukrytą wojnę. Ekscytującą jak ofensywa, w której trzeba maskować swe posunięcia. Potrzebuje poparcia Sieyèsa, ale nie chce go o to prosić ani tego rozgłaszać. Należy się pozbyć dyrektorów, unikając jednak w miarę możliwości zamachu stanu. Trzeba zdobyć fortecę od środka, przy poparciu Rady Pięciuset i Rady Starszych.

Nie chcę być generałem, który siłą dochodzi do władzy.

Ignoruje więc Sieyèsa podczas kolacji u Gohiera i ten donosi mu nazajutrz o gorzkim zawołaniu dyrektora: „Czy zauważyliście zachowanie tego małego impertynenta w stosunku do przedstawiciela władz, który mógł go kazać rozstrzelać?”

Już na to za późno.

Schlebia generałowi Moreau: „Od tak dawna pragnęłam pana poznać”.

23 października znowu udaje się do Pałacu Luksemburskiego i bez nacisku daje do zrozumienia dwóm spośród dyrektorów, że jest kandydatem do Dyrektoriatu. Gohier i Moulin z zafrasowanymi i zarazem zadowolonymi minami odpowiadają, że „umowa społeczna wymaga bezwarunkowo ukończenia czterdziestu lat, aby wejść do Dyrektoriatu”.

Tym gorzej dla nich.

Tłum nadal wiwatuje na jego cześć. Gazety, które codziennie czyta z uwagą, zapewniają, że „Dyrektorom nie uda się zmienić nastawienia ludu do Bonapartego”.

Tego samego 23 października Lucjan zostaje wybrany na przewodniczącego Rady Pięciuset. Oto zdobyta pozycja.

Lecz każdy medal ma dwie strony. Uczcili nazwisko Bonaparte w osobie Lucjana, mając nadzieję zepchnąć Napoleona do roli czysto wojskowej.

Jeśli im się zdaje, że to jeszcze możliwe, to czeka ich przykre przebudzenie!

Ale nic nie jest pewne, dopóki się tego nie zdobyło.

Czyż Bernadotte nie odmówił właśnie udziału w bankiecie obok Napoleona? „Człowiek, który naruszył kwarantannę - rzekł - może równie dobrze roznosić dżumę i wcale mi nie zależy, aby jadać z zadżumionym”.

Od powrotu Napoleona do Paryża minęło zaledwie dziesięć dni.

Rozdział 37

Każdemu z odwiedzających Napoleon może poświęcić tylko parę minut. Bierze ich pod rękę, prowadzi w głąb salonu. Przez sięgające podłogi okna rotundy widać ogród skryty we mgle. Jasny ogień oświetla i ogrzewa pokój.

Józefina stoi przed kominkiem. Uśmiechając się i gawędząc, skraca czekanie następnego gościa na rozmowę z Napoleonem. On rzuca jej spojrzenie.

Trzeba być dla wszystkich miłym, prawić im komplementy, zapraszać do ponownych odwiedzin.

Józefina wspaniale potrafi podejmować zarówno oficerów wszelkich stopni, jak i członków Instytutu czy deputowanych i bankierów, którzy tłumnie schodzą się na ulicę Victoire. W paryskim świątku, gdzie roi się od ambicji i plotek, słychać bowiem, że generał Bonaparte znajdzie się niebawem w rządzie, że szykuje zamach stanu.

Przedmieścia są spokojne, przygniecione biedą, szukaniem pracy, zmęczone dziesięcioma latami kolejnych nadziei i rozczarowań, gwałtów i represji. Zależy im już tylko na tym, żeby było za co kupić chleb. Marzą o pokoju, żeby nie zabierano już młodych mężczyzn, którzy jadą walczyć gdzieś na granicach tylko po to, by wzbogacić Barrasów i dostawców armii.

Więc czemu nie generał Bonaparte - przecież zwyciężał i podpisał kiedyś pokój?

Ale teraz nie jest to już sprawa przedmieść i ulicy. O władzy rozstrzyga się w salonach i koszarach, w parlamencie.

Napoleon pojął, że partia rozgrywa się pomiędzy kilkoma dziesiątkami ludzi.

Rozpoznaje pułkownika Thiébauda, gawędzącego z Józefiną opartą łokciem o kominek. Thiébaud służył we Włoszech, a później, 13 vendémiaire'a, był jednym z tych, którzy mu pomagali.

- Zostanie pan na obiedzie - zaprasza.

Podnosi wzrok na Thiébauda, który wydaje się onieśmielony, później zaczyna poruszać temat nowej kampanii włoskiej.

Czy to odpowiednia chwila? Czy i on nie rozumie, że najpierw trzeba uregulować kwestię władzy w l'aryżu? Napoleon przerywa Thiébaudowi, unosi się gniewem.

- Naród zawsze jest tym, co potrafi się z niego zrobić - stwierdza. - Nie ma złego ludu dla dobrego rządu, jak nie ma złych wojsk pod dobrymi dowódcami. Ale czego się spodziewać po ludziach, którzy nie znają ani swego kraju, ani jego potrzeb, nie rozumieją swoich czasów ani ludzi i którzy natrafiają na opór tam, gdzie powinni znaleźć ratunek?

Napoleon wstaje. Nie może usiedzieć przy stole dłużej niż kilka minut. Zaczyna chodzić po salonie.

- Zostawiłem pokój, a zastaję wojnę! - wykrzykuje. - Zamiast owoców zwycięstwa haniebne porażki. l'odbiłem Włochy, a teraz zostały stracone i nawet Francja jest zagrożona. l'ozostawiłem mi liony, a wszędzie jest nędza; ci ludzie spychają i degradują Francję do poziomu swej nieudolności, Francja ich potępia...

Odprowadza Thiébauda i przypatruje mu się. Czy to pewny człowiek?

- Czego mogą się spodziewać generałowie po rządzie adwo katów? - ciągnie Napoleon. - Aby porucznik się poświęcił, potrze buje dowódcy, który potrafi go docenić, pokierować nim...

Thiébaud się oddala. Trzeba go zatrzymać, rzucić mu-. „Niech pan zostawi swój adres Berthierowi!"

Widuje się ciągle z ludźmi, którzy się liczą. Jada z nimi obiady i kolacje. Spotyka się znowu z Dyrektoriatem, choć wiadomo już, że dyrektorzy mają zamiar go odsunąć.

- Postarajmy się, jeśli to możliwe, aby go zapomniano - po wiedział Sieyès.

Sieyès: jedyny wśród pięciu dyrektorów, który mógłby być jego sprzymierzeńcem! Ale Sieyès nie chce mieć równego sobie. Potrzebuje tylko miecza, który wykorzysta w swoich celach i który schowa do pochwy z chwilą ich osiągnięcia. Trzeba także zareagować na pogłoski rozpowszechniane przez Barrasa. Ten zepsuty Barras, który afiszuje się ze swoimi chłopcami, który był kochankiem Józefiny, miał czelność powiedzieć: „Mały Kapral zbił fortunę na swojej kampanii włoskiej”.

- To niegodziwe gadanie - grzmi Napoleon na audyencji u dyrektorów. - Zresztą gdyby nawet było prawdą, że zrobiłem tak dobre interesy we Włoszech, to nie byłaby to fortuna zdobyta kosztem republiki.

Ten nadskakujący Gohier, człowiek, który zaleca się do Józefiny, bojaźliwy Gohier, odpowiada, że „cenne dobra zamknięte w skrzyniach głównodowodzącego nie bardziej do niego należą niż kura w worku biednego żołnierza, którego każe się rozstrzelać. Gdyby zbił pan fortunę we Włoszech, to nie mogłoby to nie być kosztem republiki!”.

- Moja rzekoma fortuna to bajeczka, w którą mogą uwierzyć tylko ci, którzy sami ją wymyślili! - odpowiada Napoleon.

Czego się spodziewają ci adwokaci? Nie odpadają, że istnieje dla mnie już tylko jedna sprawa: zwyciężyć? W sojuszu z niektórymi spośród nich, może z Sieyèssem, albo przeciwko wszystkim!

Józefina go uspokaja. Jest sprytna. Zna każdego z tych mężczyzn. Trzeba z nimi rozmawiać, zjednywać ich sobie. Nie zrażać niepotrzebnie.

Napoleon robi kilka kroków. Zgadza się z tym, choć jednocześnie buntuje się przeciw takiej postawie. Bierze na świadka Bourrienne'a.

- Niech pan pamięta o jednym - mówi. - Zawsze trzeba wychodzić naprzeciw wrogom i uprzejmie ich traktować, inaczej myślą, że się ich boimy, i to im dodaje śmiałości.

Spotyka się z Barrasem. Słucha go nieporuszony, kiedy dyrektor swobodnym tonem oznajmia:

- Pańskim przeznaczeniem, Bonaparte, jest wojsko. Pojedzie pan stanąć na czele armii Włoch. Republika jest w tak złym stanie,

że tylko prezydent może ją ocalić. Widzę w tej roli jedynie generała Hédouville'a. Co pan o tym sądzi?

Uklonić się i w tył zwrot.

Zobaczyć się z generałem Jourdanem. Mówi się o nim, że zbliżony jest do jakobinów, którzy przygotowują się do uderzenia 20 brumaire'a. Uspokoić Jourdana, nie oszukując go.

- Jestem przekonany o dobrych intencjach pana i pańskich przyjaciół, ale przy tej okazji nie mogę z wami pomaszzerować. Zresztą, proszę się nie niepokoić, wszystko zostanie zrobione w interesie republiki.

I'onownie zobaczyć się z generałem Moreau-, podarować mu damasceńską szablę wysadzaną brylantami wartości dziesięciu tysięcy franków.

Zobaczyć się z generałem Bernadotte'em, spróbować go pozyskać albo przynajmniej go zneutralizować. On się przyłączy do zwycięzcy. Należy więc zwyciężyć.

Teraz, 1 listopada - JO brumaire'a - jeszcze nie nadeszła pora na rekonesanse i patrole, lecz na przygotowanie natarcia.

Napoleon zgadza się w końcu odbyć zasadniczą dyskusję z Siey- esem. Spotkanie odbywa się u Lucjana. Ledwie Sieyès zdążył usiąść, Napoleon już zaczął mówić. Trzeba tego człowieka przycisnąć, dać mu do zrozumienia, że Napoleon nie będzie podwładnym, ale równoprawnym partnerem.

- Zna pan moje poglądy - stwierdza Napoleon. - Nadeszła chwila działania. Czy wszystkie pańskie posunięcia są ustalone?

Nie pozwolić Sieyèsowi zagłębiać się w labiryncie konstytucyjnym, przeszkodzić mu.

- Niech więc zajmie się pan wyłącznie przeniesieniem Rad do Saint-Cloud i utworzeniem rządu tymczasowego. Zgadzam się, aby ten rząd tymczasowy został zmniejszony do trzech osób, zgadzam się zostać jednym z trzech tymczasowych konsulów, wraz z panem i pańskim kolegą Rogerem Ducos.

Milczenie Sieyèsa i Lucjana świadczy wymownie o ich zaskoczeniu tą wyłożoną bez ogródek deklaracją.

- Bez tego niech pan na mnie nie liczy. Nie brak generałów do wprowadzenia w życie dekretu Rady Starszych.

Ale który generał ośmieliłby się pomaszerować przeciwko mnie, teraz gdy wszyscy już znają mój cel?

Czasem jednak ogarnia go niepokój.

Pewnego wieczoru u Talleyranda, przy ulicy Taitbout, słyszą kłusowanie plutonu kawalerii. Żołnierze zatrzymują się przed domem. Talleyrand, utykając, zdmuchuje pospiesznie świece. Na ulicy zatrzymała się dorożka otoczona kawalerzystami.

Mogą chcieć mnie aresztować.

Kto by zaprotestował? Dzisiejsi sprzymierzeńcy, ci, którzy codziennie przychodzą na ulicę Victoire, przyłączyliby się do zwycięzców. Lud by się nie ruszył. Dla kogo miałby to zrobić?

Talleyrand, śmiejąc się, zapala świece na nowo. Chodzi tylko o pewnego bankiera, który jeździ w eskorcie do domu.

Trzeba jednak mieć się na baczności. Opinia może się zmienić. Napoleon wśród wiwatów słyszy także wrogie okrzyki, kiedy wkracza do świątyni Zwycięstwa - dawnego kościoła św. Sulpicjusza - gdzie Rada Pięciuset i Rada Starszych wydają 6 listopada bankiet na jego cześć i na cześć generała Moreau.

Zjada tylko trzy jajka i gruszkę. To dania, których przynajmniej nikt nie może zatruć. W udekorowanym flagami i wielkim napisem „Bądźcie zjednoczeni, a będziecie zwycięzcami” wnętrzu kościoła jest zimno. Muzycy grają żywe melodie, lecz atmosfera jest pogrzebowa. Na dworze mży. W kolejności stanowisk dostojnicy wstają i wygłaszają toasty. Lucjan jako przewodniczący Rady Pięciuset wznosi toast:

- Za armie lądową i morską republiki.
- Za pokój - mówi Gohier.

Moreau deklamuje:

- Za wszystkich wiernych sprzymierzeńców republiki. Napoleon wstaje, odczekuje kilka minut, patrzy po sali, gdzie cienie kolumn układają się w labirynt. Mocnym głosem wola:

- Za jedność wszystkich Francuzów!

Natychmiast opuszcza bankiet.

Ważniejsze jest teraz ponowne spotkanie i potwierdzenie porozumienia z Sieyèssem. Trzeba spotkać się z Barrasem i dać mu do zrozumienia, że dyrektor musi podać się do dymisji. Spotkać się

z ministrem policji Fouchém, aby przypieczętować z nim przymierze, a także z Bernadotte'em, aby zapewnić sobie jego neutralność.

17 brumaire'a (8 listopada) Napoleon jest u siebie, przy ulicy Victoire. Podśpiewuje. Wszystko jest gotowe. Przeczytał właśnie ponownie ulotki, obwieszczenia i proklamacje, które zawiadomią ludność o zmianie rządu. Później zwołuje do siebie na następny dzień 18 brumaire'a (9 listopada) na godzinę szóstą rano generałów i oficerów. Wojska, objaśnia Sébastianemu i Muratowi, zajmą pozycje na placu Concorde, ponieważ Rada Pięciuset zbiera się w pałacu Concorde, a Rada Starszych w Tuileries. Obie mają zostać przeniesione do Saint-Cloud dopiero 19 brumaire'a.

Pisze zaproszenie na kolację na jutro wieczór dla przewodniczącego Gohiera. To powinno go uspokoić. Później się rozmyśla, woła Józefinę. Gohier zalecał się do niej, nieprawdaż? Niecił więc ona zaprosi tego imbecyla do siebie na jutro rano.

Józefina uśmiecha się, bierze do ręki pióro i pisze:

„Do obywatela Gohier, przewodniczącego Dyrektoriatu Republiki Francuskiej.

Niech Pan przybędzie, drogi Gohier, wraz z żoną do mnie na śniadanie o ósmej rano. Niech Pan nie zawiedzie, mam z Panem do pomówienia na bardzo interesujące tematy.

Adieu, drogi Gohier, proszę zawsze liczyć na moją szczerą przyjaźń. Lapagerie Bonaparte”.

Jest już północ, gdy Eugeniusz de Beauharnais wręcza Go-hierowi to zaproszenie na następny dzień, 18 brumaire'a.

Rozdział 38

Jest godzina piąta rano. Napoleon otwiera okno salonu w rotundzie, wychodzi do ogrodu. Noc jest zimna i jasna. Na trawnikach dostrzega w chłodnym świetle błyszczące ślady białego mrozu.

W tym dniu, 18 brumaire'a, rozegra się pierwszy akt. Napoleon jest spokojny, jak zawsze w chwili przed bitwą, gdy wojska ruszają naprzód. Dragoni oraz kawaleria Sébastianiego i Murata powinni już do tej pory zająć pozycje na placu Concorde i w Tuileries, a pierwsi deputowani Rady Starszych zaczynają przybywać do pałacu.

Napoleon wraca do swego pokoju, spokojnie ubiera się, wybierając najskromniejszy mundur bez ozdób, taki, który będzie kontrastował z przeladowanymi galonami strojami deputowanych, dyrektorów czy generałów. Kilkadziesiąt minut później, o szóstej, u wejścia przy ulicy Victoire pojawiają się już pierwsi oficerowie. Są w białych spodniach do kolan, w pierogach z trójkolorowymi kitami. Napoleon robi obchód ogrodu, wita się z nimi, sprawdza, czy gwardia przyboczna jest na miejscu.

Generałowie ci mają tu z nim czekać na wiadomość o dekreście Rady Starszych, który zgodnie z założonym planem ma być przegłosowany w Tuileries.

Wkrótce dom jest pełen ludzi.

Trzeba z nimi rozmawiać, aby każdy czuł się wyróżniony i osobiście zaangażowany. Napoleon zasiada w małym gabinecie do pracy i daje znak Berthierowi, aby po kolei wprowadzał woj-

skowych. Pierwszy wchodzi generał Lefebvre. Napoleon widzi, że jest on zaniepokojony tym zgromadzeniem, być może nielegalnym. Trzeba pozyskać Lefebvre'a, dowodzi on bowiem 17. dywizją obejmującą wojska z regionu paryskiego i Gwardię Narodową Dyrektoriatu. Napoleon wita go braterskim uściskiem. Czy Lefebvre chce, aby Francja była w rękach tych adwokatów, którzy okradają republikę? - Napoleon zaczyna oskarżać Dyrektoriat. Później odpina swoją szablę.

- Oto w dowód przyjaźni szablę, którą nosiłem w Egipcie, teraz należy do pana, generale.

Lefebvre wzruszony przyjmuje podarunek. Wychodzi z gabinetu, głośno obwieszczać, że gotów jest „powrzucać tych drani adwokatów do Sekwany”.

Pierwszy sukces.

Ludźmi w końcu tak łatwo pokierować. Niemal wszystkimi.

Jednak na razie, dopóki nie ma wiadomości o dekrete, za wcześniej otrąbiać zwycięstwo, gdyż przeważnie ludzie gotowi są tylko wtedy podjąć ryzyko, kiedy pewni są wygranej.

Wchodzi Józef w towarzystwie generała Bernadotte'a.

- Jak to? Nie jest pan w mundurze? - wykrzykuje Napoleon.

Bernadotte wyjaśnia, że nie jest na służbie i nie chce brać udziału w rebelii.

- Rebelia, rebelia, przeciwko bandzie imbecylów, ludzi, którzy od rana do nocy zajmują się tylko adwokackimi sztuczkami! - wybucha Napoleon. - Sądzi pan zapewne, że może liczyć na Moreau, Macdonalda, na... Oni wszyscy przyjdą do mnie, Bernadotte. Nie zna pan ludzi. Dużo obiecują i niewiele dotrzymują.

Nie należy mieć złudzeń co do Bernadotte'a, który wymachuje swoją laską z ukrytą w niej szpadą i mówi:

- Można mi zadać śmierć, ale nie jestem człowiekiem, którego można zatrzymać wbrew jego woli...

Trzeba się uśmiechnąć, zadowolić żądaniem, aby Bernadotte nie czynił żadnych wrogich kroków.

-Jako obywatel daję panu moje słowo honoru, że nie będę działać - zapewnia Bernadotte - ale jeśli ciało ustawodawcze i Dyrektoriat wydadzą mi rozkaz...

Napoleon bierze Bernadotte'a pod ramię.

- Nie skorzystają z pana usług - oświadcza. - Obawiają się pańskich ambicji jeszcze bardziej niż moich. Jeśli o mnie chodzi, to pewien jestem, że nie mam żadnych innych ambicji, niż tylko oca lić republikę...

Odprowadza Bernadotte'a do drzwi.

- Chcę wraz z kilkoma przyjaciółmi usunąć się do Malmaison - mówi.

Bernadotte, zaintrygowany, patrzy na niego z niedowierzaniem.

Trzeba próbować wszystkiego, gdy toczy się bitwa. Napoleon wzywa Józefa.

- Twój szwagier - zaczyna - generał Bernadotte, będzie u ciebie na obiedzie.

W ten sposób będzie go miał na oku.

Napoleon idzie przez salon, z trudem przeciskając się przez tłum oficerów. Odgaduje ich pytania. Ci ludzie zaczynają się niepokoić. A jeśli dekret nie nadejdzie...

Zjawia się Józefina. A Gohier? - pyta Napoleon. Przewodniczący Dyrektoriatu nie przybył na ulicę Victoire. Odrzucił zaproszenie i przysłał żonę samą.

Wszystko jeszcze się chwije, lecz mimo to Napoleon czuje wewnętrzną pewność sukcesu. Nie ma innego wyjścia, niż iść do końca, bez względu na konsekwencje.

Gwar w salonie. Jest już ósma trzydzieści. Dwóch inspektorów kwestorów Rady Starszych w towarzystwie „wysłannika stanu” w uroczystym stroju przeciska się przez tłum oficerów. Przyszli zakomunikować treść dekretu przegłosowanego przez Radę Starszych.

Napoleon, stojąc w gabinecie, przebiega tekst oczami. Jest zgodny z tym, co zaplanowali z Sieyèsem. Posiedzenia Rad przeniesione są do gminy Saint-Cloud na następny dzień, 19 brumaire'a, w południe. „Wykonanie tego dekretu powierza się generałowi Bonaparte. Podejmie on wszystkie konieczne środki, aby zapewnić bezpieczeństwo przedstawicieli narodu”. Będzie musiał stawić się przed Radą Starszych, aby złożyć przysięgę.

Czyta raz jeszcze. Bierze pióro i nie zaszczycając inspektorów

nawet spojrzeniem, dopisuje linijkę przyznającą mu dowództwo Gwardii Dyrektoriatu. Ma przecież poparcie Lefebvre'a. Wygrał pierwszą bitwę. To on, a nie Sieyès, prowadzi grę.

Przechodzi do salonu z tekstem dekretu w ręce. Potrząsa nim, odczytuje. Jest legalnym dowódcą wszystkich wojsk. Oficerowie wyciągają szable, wznoszą je i wiwatują.

Kto mógłby go powstrzymać?

Na koń!

Powietrze wczesnego poranka jest rześkie. Niebo czyste. Napoleon jedzie na czele wojska. Słyszy za sobą stukot podków kawalkady. Generałowie, oficerowie jadą kilka metrów za nim. Paryż jest piękny. Zbiera się tłum. Na wysokości Madeleine do orszaku dołącza z grupą oficerów Marmont, później nadjeżdżają kawalerzyści Murata.

Napoleon oddycha pełną piersią, na twarzy czuje orzeźwiający tchnienie wiatru.

Przed Tuileries zeskakuje z konia, w towarzystwie kilku generałów idzie do sali, gdzie obradują deputowani Rady Starszych. Widzi wpatrzone w siebie wszystkie oczy, mnóstwo twarzy, wysokie kołnierze ze złożonymi galonami. Waha się.

- Obywatele deputowani, republika ginęła - zaczyna. - Wiedzieliście o tym i wasz dekret ją ocalił. Biada tym, którzy usiłowałiby wzniecać niepokoje i zamieszki! Powstrzymam ich z pomocą generała Lefebvre'a, generała Berthiera i wszystkich moich towarzyszy broni...

Nabiera tchu. Nie lubi tych zgromadzeń adwokatów.

-W całych dziejach nie było takiego okresu jak koniec XVIII wieku - mówi. - W końcu XVIII wieku nie było takiej chwili jak obecna. Chcemy republiki opartej na prawdziwej wolności, na swobodach obywatelskich, na przedstawicielstwie narodu: będziemy ją mieli, przysięgam w imieniu własnym i moich towarzyszy broni.

- Przysięgamy - powtarzają oficerowie.

Słychać aplauz. Wstaje jeden z deputowanych i wspomina o poszanowaniu konstytucji, lecz przewodniczący Lemercier zamyka posiedzenie. Jutro zbiórą się w Saint-Cloud.

Druga bitwa wygrana.

Przyjmuje gratulacje. Lecz dopóki bitwa nie jest zakończona, nie może być pewny zdobytego terenu. Wychodzi do ogrodu w Tuile-ries. Stoją tu wojska. To one zadecydują o wszystkim. Napoleon spostrzega Bottota, sekretarza Barrasa, chwytą go za ramię i popycha przed front wojska, naskakuje na niego podniesionym głosem.

-Co zrobiliście z Francji, którą pozostawiłem wam w kwitnącym stanie? - woła. - Złodziejstwo zostało podniesione do rangi systemu! Żołnierz został pozbawiony jakiejkolwiek ochrony! Gdzie są ci dzielni wojacy, sto tysięcy towarzyszy, których zostawiłem okrytych laurami? Co się z nimi stało?

Odsuwa Bottota, robi krok do przodu.

-Taki stan rzeczy nie może trwać! Za trzy miesiące zagroziłby nam despotyzm. Ale my chcemy republiki, republiki opartej na równości, moralności swobód obywatelskich i tolerancji politycznej! Żołnierze, armia jednoczy się całym sercem ze mną, jak ja się jednoczę z ciałem ustawodawczym! Jeśli wierzyć kilku buntownikom, to my wszyscy zostaniemy wkrótce uznani za wrogów republiki, my, którzyśmy ją umacniali naszym trudem i odwagą! Nie znamy ludzi bardziej patriotycznych niż ci dzielni żołnierze, którzy odnieśli rany w służbie republiki!

Wybuchają wiwaty. Wznoszą się szable i karabiny.

Napoleon wskazuje na konia i dokonuje przeglądu wojsk.

jest dopiero jedenasta trzydzieści 18 brumaire'a, lecz Napoleon ma wrażenie, że pierwszy akt dobiegł końca.

Pozostaje jeszcze wprowadzić przewodniczący Dyrektoriatu Gohier, który przez jakiś czas odmawia podpisania dekretu. Zdaniem ministra sprawiedliwości Cambacérèsa, jego podpis jest konieczny.

- Prawnicy zawsze wymyślają przeszkody - mruczy Napoleon.

Lecz Gohier ustępuje i podpisuje, zapowiadając, że jutro w Saint-Cloud zobaczą, czy Dyrektoriat jeszcze istnieje!

Jutro...

Być może należało jeszcze dzisiaj doprowadzić wszystko do końca. Napoleon opanowuje jednak żal. Nie chce wojskowego zamachu stanu, brutalnego, butnego, z kanonadami, salwami, aresztowaniami. Chce uchodzić, zgodnie z tym, co głoszą obwieszczenia

rozlepiane wokół Tuileries, rozdawane w tłumie ulotki i jego własne rozkazy, za „człowieka rozsądku, człowieka uczciwego”.

Wczesnym popołudniem do gabinetu w Tuileries wchodzi Talleyrand. Napoleon patrzy na niego pytająco. Barras zgodził się podać do dymisji, poddał się bez walki. Oto najlepsze zwycięstwa! Po co przemoc, kiedy można wygrać samą tylko groźbą?

Napoleon zwołuje swoich oficerów sztabu, rozkłada plan Paryża. Jutro trzeba rozmieścić wojska w Tuileries, na Polach Elizejskich, na drodze do Saint-Cloud. Trzeba pokazać siłę, aby uspokoić ludzi porządných, a ewentualnych przeciwników zastraszyć i przeszkodzić im w działaniu.

Podchodzi Fouché, wyjaśnia, że kazał zamknąć roгатki Paryża.

- O mój dobry Boże, po cóż takie środki ostrożności? - wykrzykuje Napoleon. - Idziemy z narodem i tylko dzięki jego własnej sile. Niech żaden obywatel nie ma powodu do niepokoju, niech triumf opinii nie ma nic wspólnego z rozruchami urządzanymi przez buntowniczą mniejszość!

Czy nie rozumieją, że Paryż powinien żyć jak co dzień?

- Posłuchajcie - prosi.

Czyta proklamację do wojska, która zostanie ogłoszona nazajutrz, 19 brumaire'a:

„Republika jest źle rządzona od dziesięciu lat [...]. Wolność, zwycięstwo i pokój przywrócą republice rangę, którą miała w Europie i którą mogła utracić jedynie wskutek nieudolności albo zdrady”.

Czy to jasne?

- Cały naród.

Odwraca się do Sieyèsa, który żąda aresztowania przywódców jakobinów, potrząsa głową. Odmawia.

Nie mówi, że wysłał już Salicetiego, aby uspokoił jakobinów i przyrzekł im w imieniu generała „szczerze i szczegółowe wyjaśnienia”, tłumacząc jednocześnie, że Sieyès chciał ich aresztować, lecz generał Bonaparte ich obronił. Jakobini nie pójną jutro do Saint-Cloud.

Sieyès spuszcza głowę.

Czy zrozumiał, że wieczorem 18 brumaire'a nie jest, jak się spodziewał, jedynym zwycięzcą? Że na całym tym dniu Napoleon odcisnął swoje piętno?

Jutro?

To prawda, jutro w Saint-Cloud.

-Dzisiaj nie było najgorzej - mówi Napoleon do Bourrienne'a w domu przy ulicy Victoire. - Zobaczymy jutro.

Wyjmuje z olster dwa pistolety i zabiera je ze sobą do sypialni.

Rozdział 39

To dziś, 19 brumaire'a VIII roku republiki (10 listopada 1799 roku), rozegra się ostatni akt.

Napoleon patrzy z salonu na szare niebo. Lekko mży. W kominku z trudem rozpala się ogień. Pokój przenika wilgoć.

Dziś przy ulicy Victoire pojawiło się mniej osób niż wczoraj, ale to ludzie pewni. Rozprawiają cicho. Trzeba jednak chodzić ocl jednego do drugiego, ponieważ niektórzy zaczęli już wyrażać obawy. Jak zareagują deputowani obu Rad? Czy dadzą się przekonać? Wczoraj wzięto ich przez zaskoczenie. Mieli noc, aby się porozumieć.

Napoleon gestem zbywa te obawy. Mimo to nurtują one wszystkich. Przerwana bitwa to bitwa nie rozstrzygnięta. A ten rozpoczynający się dzień wcale się Napoleonowi nie podoba.

Oczywiście, dopilnował założeń wojskowych. Wojsko będzie obecne na całej długości drogi. Żołnierze Murata zajmą plac przed pałacem Saint-Cloud i okrążą w ten sposób straż Dyrektoriatu, do której nie można mieć zaufania. Nic jednak nie jest pewne, jeśli chodzi o przebieg wydarzeń. Lucjan i Sieyès zapewniali, że Rada Starszych i Rada Pięciuset postanowiły zaakceptować nominację trzech konsulów i odroczenie posiedzeń na kilka tygodni. Czy to pewne?

Napoleon żałuje, że nie może lepiej kontrolować sytuacji. Wierzy w swoją szczęśliwą gwiazdę, ale nie lubi zdawać się na improwizację i przypadek.

Podchodzi Cambacérès.

- Nic nie zostało zdecydowane - mówi z powagą minister sprawiedliwości. - Nie bardzo wiem, czym się to skończy.

Napoleon wzrusza ramionami. Trzeba uspokoić Cambacérès.

-W tych zgromadzeniach - oświadcza - mało jest mężczyzn. Widziałem i słyszałem ich wczoraj przez cały dzień. Co za frazesy, jaka nikczemna interesowność!

Robi kilka kroków. Prosi rannego generała Lannes'a, aby nie jechał do Saint-Cloud. Później, gdy żegna Józefinę, mruczy:

-Ten dzień nie jest dla kobiet.

Być może dojdzie do walki.

Odjeżdża kareta w eskorcie oddziału kawalerii.

Napoleon milczy. Gdy przejeżdżają plac Concorde, słyszy, jak siedzący obok Bourrienne mówi półgłosem do La Valette'a:

-Jutro będziemy spać w Pałacu Luksemburskim albo skończymy tutaj. - Wskazuje ruchem głowy miejsce na placu, gdzie wznosi się gilotyna.

Droga zatłoczona jest powozami, nierzadko obładowanymi bagażem, jakby ci, którzy jadą do Saint-Cloud, przewidywali już ucieczkę. Wszędzie wokół pałacu biwakują żołnierze.

Gdy wjeżdżają na plac przed pałacem, Napoleon widzi grupy deputowanych Rady Pięciuset w czerwonych togach ściśniętych błękitnym pasem, białych tunikach i w niebieskich biretach na głowach kierujących się w stronę pawilonu oranżerii.

Przecina plac. Żołnierze krzyczą: „Niech żyje Bonaparte!”. Z grupy deputowanych do Rady Pięciuset wznoszą się okrzyki: „Co za łajdak! Nędznik!”. Napoleon nie odwraca głowy.

Ten ostatni akt musi się zakończyć zwycięstwem. W razie porażki straci wszystko.

Wchodzi do zarezerwowanego dlań gabinetu, który sąsiaduje z salonami. Jedyne umeblowanie stanowią tu dwa fotele, w których siedzą już Sieyès i Roger Ducos, dwaj przyszli konsulowie. Jest wilgotno i zimno. Ogień w kominku lada chwila zgaśnie.

Napoleon zaczyna chodzić po pokoju. Czekać, nie móc działać, oddać swój los w cudze ręce - to nie do zniesienia.

Jest dopiero trzynasta trzydzieści.

Adiutant La Valette informuje, że Lucjan Bonaparte otworzył właśnie posiedzenie Rady Pięciuset.

Trzeba więc czekać. Napoleon gawędzi z czekającymi wraz z nim mężczyznami. Czy potrafią tak pozostawić swoje losy biegowi wypadków, nie próbując na nie wpływać? Wchodzi jeden z adiutantów, Napoleon chwytą go za ramię i odciąga daleko od foteli. Oficer mówi cicho, patrząc w stronę Sieyèsa, że ten wydał swemu woźnicy rozkaz, aby nie wyprzęgał koni i ukrył karetę w lesie, by uciec w razie niepomyślnego obrotu wypadków. Talleyrand, wyjaśnia oficer, przybył w towarzystwie bankiera Collota i obaj zatrzymali się w domu niedaleko pałacu.

Wszyscy są ostrożni, zabezpieczają sobie tyły. On gra wszystkimi kartami.

Wchodzi La Valette. Jego twarz wyraża z troską. W Radzie Pięciuset, mówi, panuje zamęt. Deputowani krzyczą: „«Nie» dla dyktatury! Precz z dyktatorami! Niech żyje Konstytucja!". Przewodniczący Lucjan Bonaparte musiał się zgodzić, by deputowani złożyli przysięgę na wierność Konstytucji III roku.

Sieyès się uśmiecha. Oczywiście, niezbyt się martwi oskarżeniami przeciwko Napoleonowi.

-Widzi pan, co oni robią - rzuca mu Napoleon.

Sieyès wzrusza ramionami. Ta przysięga na posłuszeństwo całej Konstytucji jest rzeczywiście przesadą. Ale...

Napoleon odwraca się, beszta szefa batalionu, który nie wykonał jego rozkazów.

-Tylko ja tu rozkazuję! - krzyczy. - Zaaresztować tego człowieka i wtrącić do więzienia!

Chodzi wzdłuż i wszerz pokoju. Czuję, że ten dzień będzie niepewny. Ktoś pcha drzwi. Czego chcą generałowie deputowani Jour-dan i Augereau, o których mówi się, że sympatyzują z jakobinami?

Kręcą się tu jak sępy, bo sądzą, że się cofnę przed opozycją w parlamencie?

Proponują mi kompromis, wspólną akcję. Zapewniają, że Bernadotte dysponuje ludźmi na przedmieściach, którzy mogą wywołać sankiulocką ruchawkę.

Jeśli nie będę działać, przegram.

Napoleon odsuwa Augereau.

- Wino już utoczone - mówi. - Trzeba je wypić. Bądź spokojny.

Wychodzi z pokoju, w którym się dusi. Nie pozwoli sobie prze-

szkodzić tego rodzaju manewrami ani ugrzęznąć w adwokackich dyskusjach.

Wchodzi do galerii Apollina. Deputowani Rady Starszych zawiesili swoje posiedzenie. Tworzą zbitą czerwono-niebieską masę. Napoleon chciałby przejść dalej, ale nie może przedostać się do mównicy.

Trzeba działać, to znaczy przemówić.

-Przedstawiciele narodu - rozpoczyna - nie znajdujecie się w zwyczajnych okolicznościach, jesteście na krawędzi wulkanu...

Deputowani już szemrzą. Czuje się nieswojo. Nie lubi się usprawiedliwiać.

Ci ludzie, do których mówi: „Przysięgam wam, że ojczyzna nie ma bardziej gorliwego obrońcy niż ja; oddaję się całkowicie pod wasze rozkazy”, kimże oni są? Czego dokonali, że tak trudno ocl nich uzyskać zgodę?

-A Konstytucja? - krzyczy ktoś.

Napoleon się prostuje.

-Konstytucja? Czy wypada wam się na nią powoływać? Czy może ona jeszcze być gwarancją dla ludu francuskiego? Konstytucja? Powołują się na nią wszystkie stronnictwa, i przez wszystkie została pogwałcona; u wszystkich jest w pogardzie.

Poczerwieniał. Dyszy ciężko. Jeden z bliskich mu deputowanych proponuje druk jego wystąpienia. Ale inne głosy domagają się wyjaśnień. Musi więc mówić o zagrożeniach rodzących się w Wandei, o rojalistach zagrażających Nantes, Saint-Brieuc, Le Mans.

Mówi dobitnie:

-Nie należę do żadnej koterii, ponieważ należę tylko do wielkiej partii narodu francuskiego.

jednak czuje, że jego słowa nie osiągają zamierzonego skutku. Ci ludzie w białych, niebiesko obramowanych togach i czerwonych biretach nie dają się przekonać.

Odwraca się w kierunku wejścia do sali.

-Wy, grenadierzy, których bermyce tam widzę, wy, dzielni żołnierze, których bagnety tam widzę...

Deputowani wstają, wykrzykują, grożą. A to są przecież członkowie Rady Starszych, ci nastawieni bardziej przychylnie!

Spogląda na nich. Czuje ich wrogość. Nigdy nie zdoła ich pozyskać, dopóki będą zgromadzeni razem. I przestaje nad sobą panować, wypowiada słowa będące zaprzeczeniem jakiegokolwiek zręczności czy roztropności.

- Gdyby jakiś orator opłacany przez zagranicę nawoływał, by postawić mnie poza prawem - rzuca - niech dosięgnie go na miejscu grom wojny, wezwę was, dzielni żołnierze, moi dzielni towarzysze broni...

Deputowani ryczą.

- Pamiętajcie, że w moim marszu towarzyszą mi bogowie zwycięstwa i fortuny...

Słyszy, jak Bourrienne szepcze:

-Niech pan wyjdzie generale, nie wie już pan, co mówi. Co innego można powiedzieć tym adwokatom, którzy nie chcą słuchać!

- Proszę was, abyście przedsięwzięli środki zaradcze, których pilnie wymaga bliskość niebezpieczeństwa - ciągnie. - Moje ramię zawsze będzie wykonywać wasze postanowienia.

Przemierza szybkim krokiem galerię Apollina. Odpycha tych, którzy jak Bourrienne zalecają mu rozwagę i odradzają wystąpienie przed Radą Pięciuset, gdzie większość deputowanych jest do niego wrogo nastawiona. Czy nie rozumieją, że lepiej źle walczyć, niż nie walczyć wcale? Jest przekonany, że nic nie uzyska od tych deputowanych za pomocą umiarkowania. Sieyeś idzie obok, nic nie mówi. Na schodach prowadzących do oranżerii zaczyna Napoleona pisarz Arnault, który przyjechał z Paryża i niedawno widział Fouchégo:

- Fouché odpowiada za Paryż, generale, lecz do pana należy to, co się dzieje w Saint-Cloud. Fouché jest zdania, że jeśli zechcą pana wpłatać w dalsze opóźnienia, to należy przyspieszyć sprawę... Także obywatel Talleyrand sądzi, że nie ma czasu do stracenia.

Próbują go jednak zatrzymać w chwili, gdy ma wejść do sali oranżerii, w której zasiada Rada Pięciuset. Napoleon wrywa się. Trzeba przeciąć ten węzeł. W eskorcie grenadierów przeciska się przez cizbę tłoczącą się w korytarzu, otwiera drzwi i sam wchodzi do sali.

Przed nim ludzie w czerwonych biretach. Krzyki, wycie. Twarze wykrzywione nienawiścią.

-Wyjąć dyktatora spod prawa! Precz z dyktatorem! - wrzeszczą.

Jakiś deputowany o głowę wyższy od innych rzuca się do przodu, uderza mocno Napoleona w ramię.

- Generale, a więc po to wygrywałeś? - pyta.

Rozlega się kilka okrzyków „Niech żyje Bonaparte!”, lecz zagłusza je ryk. „Wyjąć spod prawa! Wyjąć spod prawa!” - powtarzają.

Przez chwilę Napoleon ma przed oczami mgłę. Dusi się w zamieszaniu. Widzi deputowanych wymachujących sztyletami. Rozdrapuje krosty na twarzy. Po policzkach spływa mu krew. Czuje, jak go podnoszą, niosą.

Jest w salonie. Naprzeciwko niego siedzi spokojny Sieyès.

- Oni chcą mnie wyjąć spod prawa - mówi Napoleon.

-To oni się postawili poza prawem - odpowiada Sieyès. -Trzeba użyć wojska.

Napoleon w kilka sekund odzyskuje spokój. Nie chciał wojkowego zamachu stanu. Dalej go nie chce. Ale nie może przegrać.

Słychać krzyki dochodzące z oranżerii.

Drzwi do salonu otwierają się. Ktoś zapewnia, że deputowani Rady Pięciuset zadekretowali wyjęcie generała spod prawa.

Nie może przegrać. Wyciąga szablę, krzyczy z okna: „Do broni! Do broni!”

Spiesznie wychodzi z adiutantami na dziedziniec, wsiada na konia. Pojawia się Lucjan z gołą głową. Żąda konia.

Sieyès rzuca:

- Chcą nas postawić poza prawem! Dobrze, generale, wystarczy, że pan ich wyrzuci z sali!

Lucjan, stając w strzemionach, krzyczy:

- Bęben, warkot bębna!

Bęben bije. Później zapada cisza.

- Francuzi, przewodniczący Rady Pięciuset oświadczą wam, że ogromna większość Rady jest w tej chwili zastraszona przez nie których deputowanych uzbrojonych w sztylety... Ci odrażający bandyci, bez wątpienia na angielskim żołdzie... ośmielili się mówić

o wyjęciu spod prawa generała, któremu powierzono wykonanie dekretu Rady Starszych... Ta niewielka liczba szaleńców sama się postawiła poza prawem... Ci prześladowcy nie są już reprezentantami ludu, lecz reprezentują sztylety...!

Na dziedzińcu i placu przed pałacem rozlegają się wiwaty.

Napoleon z trudem trzyma się w siodle. Jego koń grzebie kopytami, kręci się w miejscu.

Generał wie, że nadszedł decydujący moment tego dnia. I jest pewny, że mu się uda. Musi się udać.

- Żołnierze - krzyczy - prowadziłem was do zwycięstw, czy mogę na was liczyć?

Żołnierze podnoszą karabiny i pałasze, odpowiadają, że tak. Pomruk narasta, unosi Napoleona.

- Agitatorzy usiłują obrócić przeciwko mnie Radę Pięciuset. Ja ich przywiodę do rozumu! Czy mogę na was liczyć?

Krzyczą: „Niech żyje Bonaparte!”.

-Chciałem do nich przemówić, ale odpowiedzieli mi sztyletami...

Wygrał. Wystarczy jeszcze tylko parę słów.

- Od dawna już ojczyzna jest rozszarpywana - woła - grabiona i rozkradana, od dawna już jej obrońcy są poniżani, składani w ofierze! Ci dzielni żołnierze, których ubrałem, opłaciłem i utrzymywałem na koszt naszych zwycięstw, w jakim stanie ich teraz widzę...

- Niech żyje Bonaparte!

-Trzy razy otwierałem bramy republiki i trzy razy je zamykano...!

- Niech żyje Bonaparte!

- Za mną! Jestem bogiem dnia!

Znowu wybuchają okrzyki na jego cześć. Słyszy, jak Lucjan krzyczy:

- Zamilknijże wreszcie, zdaje ci się, że przemawiasz do mameluków?

Lucjan ma rację: nie trzeba nic więcej mówić.

Napoleon pochyła się, wydaje rozkaz generałowi Leclercowi. Grenadierzy ruszają. Z bębnami dającymi sygnał do ataku, kierują się w stronę oranżerii. Widać deputowanych Rady Pięciuset wyskakujących oknami, gubiących niebieskie birety, porzucających

swe czerwone togi, uciekających do parku. I słyhać, jak Murat krzyczy: „Wywalić mi stąd tę hołotę!”.

Zapada zmierzch. Jest godzina osiemnasta.

Wystarczy zaczekać w salonie. Adiutant La Valette przynosi wiadomość, że Rada Starszych przegłosowała dekret powołujący na miejsce Dyrektoriatu komisję wykonawczą złożoną z trzech członków. Trzeba jeszcze go przegłosować w Radzie Pięciuset.

Żołnierze rozchodzą się po Saint-Cloud, po gospodach, ogrodach, kawiarniach. Muszą odnaleźć rozpierzchłych deputowanych i sprowadzić ich do oranżerii, aby z kolei oni mogli teraz głosować.

Napoleon chodzi tam i z powrotem po salonie. W pałacu jest teraz cicho. Słyhać, jak maszerują żołnierze, którzy zaczynają już opuszczać Saint-Cloud.

Okolo północy do salonu wchodzi promieniejący Lucjan.

Odczytuje dekret: „Ciało ustawodawcze tworzy wykonawczą komisję konsulów złożoną z obywateli Sieyèsa, Rogera Ducos, byłych dyrektorów, oraz generała Bonaparte; będą oni nosili miano konsulów republiki”.

Później Napoleon zajmuje miejsce w orszaku, który prowadzi konsulów aż do sali posiedzeń, gdzie mają złożyć przysięgę na wierność „Suwerenności ludu, jednej i niepodzielnej Republice Francuskiej, równości, wolności i ustrojowi przedstawicielskiemu”.

Napoleon powtarza te słowa ostatni.

O świcie 11 listopada 1799 roku jest konsulem.

W powozie, który o piątej rano wiezie go z powrotem do Paryża, nie odzywa się ani słowem. Domyśla się, że siedzący obok Bourrienne patrzy na niego w ciemności.

Jednak Napoleon ma zamknięte oczy i nie odwraca głowy.

Powóz przejeżdża obok oddziału wojska, który rozciąga się na poboczu drogi. Żołnierze wesoło śpiewają:

Ah ca ira, ca ira

*Les aristocrates a la Lanterne**

* Z fr. ' „Zaprowadzi się, zaprowadzi się arystokratów na latarnie”.

Napoleon wie, że cokolwiek uczyni, jest synem rewolucji. Ale rewolucja się skończyła, jak świt.

Otwiera oczy. Powóz jest już w Paryżu. Ulice są ciche i wyludnione. Turkot kół na bruku i stukot kopyt koni niewielkiej eskorty rozlega się echem pomiędzy fasadami domów o pozamykanych okiennicach.

Doświadcza nie znanego mu dotąd uczucia spokojnej siły. Po tych miesiącach niepewności i porażek w Egipcie, po tych godzinach w Saint-Cloud, gdy błyskały przed nim sztylety nienawiści, kiedy w każdej chwili mógł wszystko stracić, zdaje mu się, że wreszcie przekroczył ostatnie przeszkody. Przed nim rozciąga się jasny horyzont, jego życie. Teraz wszystko będzie wielkie. Czuje to. Chce tego.

Tak, rewolucja się skończyła.

To on zamyka jedną epokę i otwiera następną.

Nareszcie, nareszcie! Wstaje dzień! Przyszłość należy do mnie!

Spis treści

Uwertura	7
Część pierwsza	
Wulkan drzemiący pod skałą.....	13
Część druga	
Zawsze sam pośród ludzi	51
Część trzecia	
Głowa pełna wielkich spraw publicznych.....	97
Część czwarta	
Lepiej zjadać niż zostać zjedzonym	159
Część piąta	
Mam szablę u boku, a z jej pomocą zajdę daleko	197
Część szósta	
Widzę świat z góry.....	231
Część siódma	
Wszystko się tu psuje... Trzeba jechać na Wschód	303
Część ósma	
Być wielkim - to zależy od wszystkiego	325
Część dziewiąta	
Za mną! Jestem bogiem dnia	383